

James Clavell

Noble House

Noble House

Książkę tę składam w hołdzie Najwyższemu Majestatowi Elżbiety II oraz ludziom Jej Korony w Hongkongu - na

zgubę ich wrogów.

Środa

8 czerwca 1960

Prolog

23:45

Nazywał się Ian Dunross. W rzęsim deszczu ostrożnie skręcił sportowym samochodem w Dirk's Street okalającą budynek Struanów w przybrzeżnej dzielnicy Hongkongu. Panowała ciemna, nieprzyjemna noc. W całej kolonii - tutaj na wyspie Hongkong, po przeciwnej stronie kanału w Koulu-nie i na Nowych Terytoriach należących do Państwa Środka - ulice były niemal całkowicie wyludnione. Wszyscy, oczekując na tajfun Mary, deskami uszczelniali okna i drzwi. Pierwszym ostrzeżeniem okazał się dziewięciostopniowy sztorm o zmierzchu, a potem osiemdziesięcio-, a w porywach stuwęzłowa burza z rzęsim deszczem bombardującym dachy nad głowami dziesiątek tysięcy ludzi skulonych bezbrinnie w ruderach i samodzielnie skleconych budach.

Dunross zwolnił, nie widział, co się przed nim dzieje, bo wycieraczki nie mogły dać sobie rady ze strugami wody. Przednia szyba od razu stała się przejrzysta. Wiatr wył, ocierając się o boczne szyby i brezentowy dach. Z

przodu, na końcu Dirk's Street, znajdował się budynek terminalu Golden Ferry i przystań z ponad pół tysiącem statków.

Jadąc dalej, Dunross zauważył przewrócony przez wichurę stragan, który przygniótł zaparkowany obok samochód. Mocno trzymał kierownicę, aby nie wpaść w poślizg. Samochód miał stary, lecz dobrze utrzymany. Hamulce i silnik działały niezawodnie. Serce biło Dunrossowi przyjemnym rytmem, lubił burzę.

Zaparkował na chodniku dokładnie naprzeciwko budynku Struanów i wysiadł.

Miał nienaganną fryzurę, niebieskie oczy, trzydzieści osiem lat, wysmukłą sylwetkę i schludny wygląd. Ubrany był w stary prochowiec i czapkę. Biegąc w stronę głównego wejścia do dwudziestojednopiętrowego budynku, przemókł do suchej nitki. Nad ogromnymi drzwiami wisiał herb Struanów - szkocki Czerwony Lew spleciony z chińskim Zielonym Smokiem. Wyprostował się, odetchnął i po szerokich schodach wszedł do środka.

- Dobry wieczór, panie Dunross - przywitał go chiński odźwierny.

- Tai-pan posyłał po mnie.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Chińczyk, przyciskając za niego guzik w windzie.

Po otwarciu drzwi Dunross wyszedł do małego korytarza, zapukał i wkroczył do salonu.

- Dobry wieczór, tai-pan - odezwał się oficjalnym głosem.

Alastair Struan opierał się o gustowny kominek. Był wielkim, rumianym, zadbanym Szkotem z wydatnym brzuszkiem i siwymi włosami. Miał lat sześćdziesiąt, a od sześciu rządził Struanami.

- Napijesz się? - zapytał, wskazując ręką srebrny kubałek z Dom Perignon.

- Tak, dziękuję. - Dunross nigdy nie widział prywatnych apartamentów tai-pana. Pomieszczenie było obszerne, wspaniale umeblowane, z przepyszными dywanami na podłodze, a na ścianach wisiały stare obrazy olejne przedstawiające ich pierwsze klipery i parowce. Ogromne okno, przez które zwykle rozpościerał

się zachwycający widok na cały Hongkong, przystań, a także Koulun po drugiej stronie kanału, straszło teraz czernią i spływającymi strugami wody.

Nalał sobie szampana.

- Na zdrowie - powiedział oschłym tonem.

Alastair Struan skinął głową równie ozięble i uniósł swój kieliszek.

- Przyszedłeś za wcześnie.

- Pięć minut za wcześnie to akurat na czas, tai-pan. Czyż nie to wpajał mi ojciec? Czy to, że spotykamy się o północy, ma jakieś znaczenie?

- Tak. To nasz zwyczaj, wprowadzony przez Dirka.

Dunross w milczeniu przechylił kieliszek. Głośno tykał zabytkowy zegar okrętowy. Napięcie Dunrossa rosło z każdą sekundą, nie wiedział, czego ma się spodziewać. Nad kominkiem wisiał portret młodej dziewczyny w sukni ślubnej. Była to szesnastoletnia Tess Struan, żona Culuma, drugiego tai-pana, syna założyciela firmy - Dirka Struana.

Przyglądał jej się. W okno uderzyła silniejsza fala deszczu.

- Fatalna noc - stwierdził.

Starszy mężczyzna spojrział na niego z nienawiścią. Cisza zaczynała świdrować uszy. Nagle ośmiokrotnie zadzwonił stary zegar, wybijając północ. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - odezwał się Alastair Struan z ulgą, że nareszcie mogą zaczynać.

Drzwi otworzył Lim Czu, osobisty służący tai-pana. Odsunął się, aby przepuścić Phillipa Czena, honorowego doradcę Struanów.

- Ach, Phillip, jak zwykle punktualnie - Alastair Struan starał się mówić jowialnym tonem. - Szampana?

- Dziękuję, tai-pan. Napiję się z przyjemnością. Witam, Ianie Struan Dunross. - Pozdrowił młodego człowieka ze zwykłą sobie formalnością, po angielsku mówił z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer. Miał

sporo ponad sześćdziesiąt lat, w jego żyłach płynęło więcej krwi chińskiej niż europejskiej. Był szczupły, przystojny, miał siwe włosy, nadal jędrną skórę i czarne, bardzo czarne, chińskie oczy.

- Straszna noc, nieprawdaż?

- Oj tak, tak, Wujku Czen - Dunross zwrócił się do Czena, używając chińskiej formy grzecznościowej. Lubił go i szanował, tak samo jak pogardzał

kuzynem Alastairem.

- Podobno ten tajfun może narobić wiele szkód odezwał się Alastair, nalewając szampana do zgrabnych kieliszków. Najpierw podał trunek Cze-nowi, a potem Dunrossowi.

- Na zdrowie.

Wypili. Deszcz stukał o szyby okna.

- Cieszę się, że nie wypłynąłem dzisiaj w morze - powiedział w zamyśleniu Alastair Struan. - A więc znów tu jesteś, Phillipie.

- Tak, tai-pan. Czuję się zaszczycony. Wielce zaszczycony. - Wyczuwał

nienawistne napięcie między obydwojma mężczyznami, ale ignorował je. To naturalne, kiedy tai-pan Noble House musi przekazać władzę.

Alastair Struan napił się ponownie i rozkoszował się smakiem wina. Po dłuższej chwili powiedział:

- Ianie, zgodnie z naszym zwyczajem, przy przekazaniu władzy musi być obecny świadek. Jak zwykle może nim być tylko nasz obecny honorowy doradca, Ile razy już brałeś w tym udział, Phillip?

- Cztery razy, tai-pan.

- Phillip poznał prawie nas wszystkich. Zna wiele naszych tajemnic.

Prawda, przyjacielu? - Phillip Czen tylko się uśmiechnął. - Na nim możesz polegać, Ianie. Zaufaj jego wiedzy.

Na tyle, na ile tai-pan może wierzyć komukolwiek, pomyślał Dunross.

Alastair Struan odstawił kieliszek.

- Po pierwsze: Ianie Struan Dunross, pytam cię oficjalnie, czy chcesz zostać tai-panem Struanów?

- Chcę.

- Czy przysięgasz na Boga zatrzymać w tajemnicy wszystkie obrzędy i nie wyjawić ich nikomu z wyjątkiem swego następcy?

- Przysięgam.

- Przysięgnij oficjalnie.

- Przysięgam na Boga, że zatrzymam w tajemnicy wszystkie obrzędy i nie wyjawię ich nikomu z wyjątkiem swego następcy.

- Proszę. - Tai-pan podał mu pożąłkły ze starości pergamin. - Czytaj na głos.

Dunross rozłożył dokument. Pismo było bardzo ozdobne, ale zupełnie czytelne. Spojrzał na datę - 15 lipca 1841 roku. Czuł coraz większe po-dekscytowanie.

- To pismo Dirka Struana? - zapytał.

- W większości tak. Część dopisał jego syn, Culum Struan, „Na wszelki wypadek mamy oczywiście fotokopie. Czytaj.

„Moja Legacja obowiązuje każdego tai-pana, który przejmuje ten tytuł po mnie. Niech odczytają na głos i niech zgodnie ze zwyczajem ustalonym przeze mnie, Dirka Struana, założyciela Struan i Spółki, przysięgnie przed Bogiem i świadkami, że przyjmuje wszystkie punkty i że zatrzyma je w sekrecie, zanim jeszcze przejmie moje obowiązki. Wymagam, aby zostały pokonane trudności, które spadną w przyszłych latach na moich następców. Trudności wynikające z przelanej przeze mnie krwi, zaciągniętych długów honorowych i z powodu nieprzewidywalności działań Chińczyków, z którymi jesteśmy związani, co bez wątpienia czyni nas wyjątkowymi ludźmi na świecie. Oto moja Legacja:
Po pierwsze:

Będzie tylko jeden tai-pan i to on będzie dzierzył w swoim ręku absolutną władzę nad Kompanią, sprawował władzę nad kapitanami wszystkich naszych statków i wszystkimi naszymi kompaniami, gdziekolwiek by się znajdowały. Tai-pan jest zawsze w swych radościach i troskach sam. Wszyscy go muszą chronić i musi on mieć zapewnioną prywatność szanowaną przez wszystkich. Cokolwiek rozkaże, ma być spełnione, i w Kompanii nie mogą się tworzyć żadne grupy, stronnictwa ani kręgi, aby nie zakłócać jego absolutnej władzy.

Po drugie:

Gdy tai-pan postawi nogę na pokładzie któregoś ze statków, przejmuje władzę nad kapitanem i wszystkie jego rozkazy dotyczące bitwy i żeglugi muszą być traktowane jak prawo. Każdy kapitan przed objęciem statku musi przysiąc, że będzie je respektował.

Po trzecie:

Tai-pan sam wybiera swojego następcę, spośród sześciu ludzi z rady. Jeden z nich musi być

honorowym doradcą pochodzącym zawsze z Domu Czenów.

Pozostałych pięciu powinno być godnych miana tai-pana, muszą być dobrzy i szczerzy, mieć co najmniej pięcioletnie doświadczenie w służbie Kompanii, odznaczać się zdrowym duchem. Muszą być chrześcijanami spokrewnionymi z klanem Struanów od urodzenia albo poprzez małżeństwo. Linia moja i mojego brata Robba nie daje nikomu pierwszeństwa nad innymi. Jeśli tai-pan tego zechce, rada ma służyć mu radami, ale, powtarzam, głos tai-pana wart jest siedem razy tyle co głos każdego członka z osobna.

Po czwarte:

Jeśli tai-pan zginie na morzu w bitwie lub zaginie na sześć miesięcy księżycowych, rada wybierze następcę spośród jednego ze swych członków poprzez głosowanie, w którym każdy ma jeden głos z wyjątkiem honorowego doradcy, który ma cztery. Potem tai-pan będzie zaprzysiężony według ustalonego przeze mnie zwyczaju. Ci, co w jawnym głosowaniu opowiadali się przeciwko niemu, zostaną usunięci z Kompanii na zawsze, bez prawa powrotu.

Po piąte:

Wyboru do rady i usunięć z niej dokonuje sam tai-pan według własnego uznania. Nie wolno mu posiadać więcej niż jedną dziesiątą część wartości Kompanii, nie licząc statków, kapitanów i załóg będących dla nas ożywczą krwią i drogą ku przyszłości.

Po szóste:

Każdy tai-pan ma przyjąć honorowego doradcę. Doradca powinien przed zaprzysiężeniem otrzymać na piśmie wiadomość, że w każdej chwili bez wyjaśnień może być zwolniony przez tai-pana.

Na koniec:

Tai-pan ma zaprzysiąc swego następcę, wybranego samodzielnie, w obecności honorowego doradcy, zaprzysiąc słowami spisanymi moją dłonią w rodzinnej Biblii.

Hongkong, piętnasty dzień lipca, roku pańskiego 1841".

Dunross westchnął.

- Podpisane przez Dirka Struana i świadków... Nie mogę odczytać, to stare znaki...

Alastair spojrział na Czena, a ten wyjaśnił:

- Pierwszym świadkiem był opiekun mojego dziadka, Czen Szeng Arn, nasz pierwszy doradca. A świadkiem drugim moja wielka ciotka, TCzung Dzin Mei-mei.

- A więc legenda okazuje się prawdą - rzekł Dunross.

- Tak, częściowo tak - przyznał Phillip Czen. - Porozmawiaj z moją ciocią Sarą. Teraz, kiedy będziesz tai-panem, zdradzi ci wiele tajemnic. W tym roku kończy osiemdziesiąt cztery lata. Pamięta jeszcze mojego dziadka Sir Gordona Czena, a także Duncana i Kate T'Czung, dzieci Mei-mei po Dirku Struanie. Tak, tak, pamięta wiele rzeczy...

Alastair przyniósł z gabinetu stary, ciężki egzemplarz Biblii. Założył

okulary, a Dunross poczuł dreszcze na plecach.

- Powtarzaj za mną: Ja, Ian Struan Dunross, potomek Struanów, chrześcija-nin, przysięgam przed Bogiem w obecności Alastaira McKenzie Duncana Struana, dziewiątego tai-pana, oraz Phillipa T'Czung Szeng Czena, czwartego doradcy, posłuszny przeczytanej w ich obecności, tu w Hongkongu, Lega-cji, że pozostawię Kompanię związaną z Hongkongiem i chińskim przemysłem i że najważniejszym miejscem mojej działalności będzie Hongkong oraz że jako tai-pan przejmuję wszystkie obietnice, wszelką odpowiedzialność oraz dług honorowe Dirka Struana wobec jego

wiecznego przyjaciela Czen-tse Żin Arna, znanego też jako Żin-kua, a także jego potomków... dalej...

- Jakie obietnice?

- Przysięgaj w ciemno jak każdy tai-pan przed tobą! Wkrótce się dowiesz.

- A jeśli nie?

- Sam znasz odpowiedź.

Deszcz walił w szyby okien z siłą równą złości kotłującej się w piersiach Dunrossa. Wiedział jednak, że nie zostanie tai-panem, jeśli nie przysięgnie przed Bogiem tych kilku słów, więc powtarzał dalej:

-. . .dalej, że wszystkie swoje siły i całą wiedzę poświęcę temu, aby Kompania utrzymała tytuł Pierwszego Domu, Noble House Azji. I przysięgam przed Bogiem, że uczynię wszystko, co w mej mocy, aby zniszczyć i wyrugować z Azji kompanię zwaną Brock i Synowie, a szczególnie mojego wroga Tylera Struana, jego syna Morgana oraz ich potomków w każdej linii z wyjątkiem potomków Tess Brock będącej żoną mojego syna Culuma. . - Dunross znów przerwał.

- Jak skończysz, będziesz pytać, o co zechcesz. - Alastair Struan nie krył zniecierpliwienia.

- Dobrze. I na koniec: Przysięgam przed Bogiem, że mój następca zostanie także zaprzysiężony wobec tej Legacji, tak mi dopomóż Bóg.

Ciszę przerywało tylko dudnienie deszczu o szyby. Dunross czuł pot występujący na kark.

Alastair Struan odłożył Biblię i zdjął okulary.

- A więc stało się. - Zdecydowanym ruchem wyciągnął rękę. - Cieszę się, że mogę jako pierwszy życzyć ci szczęścia, tai-panie. Zawsze możesz liczyć na moją pomoc.

- Mam zaszczyt być drugi, tai-pan - lekko kłaniając się, powiedział ze zwykłą sobie oficjalnością Phillip Czen.

- Dziękuję. - W Dunrossie napięcie rosło.

- Chyba wszystkim nam przyda się drink - zaproponował Alastair Struan. -

Oczywiście, jeśli pozwolisz - aby dopełnić formalności zwrócił się do Dunrossa.

- Phillip?

- Tak, tai-pan, chęć...

- Nie. Teraz Ian jest tai-panem. - Alastair Struan rozlał szampana i pierwszy kieliszek podał Dunrossowi.

- Dziękuję - Dunross zignorował komplement, wiedząc, że między nimi nic się nie zmieniło. - Za

Noble House - wzniosł toast.

Kiedy odstawili kieliszki, Alastair Struan wyjął kopertę.

- To moja rezygnacja z sześćdziesięciu miejsc w radach, ze stanowiska dyrektora, które przechodzi automatycznie z tytułem tai-pana. Także automatycznie zajmiesz moje miejsce. Zgodnie ze zwyczajem zostanę teraz radnym w naszej londyńskiej firmie. Ale oczywiście możesz zerwać z tym zwyczajem, kiedy tylko zechcesz.

- Zrywam - powiedział natychmiast Dunross.

- Jak sobie życzysz - mruknął starszy mężczyzna, ale zrobił się czerwony na szyi.
- Uważam, że więcej pożytku przyniesiesz Struanom jako radny Pierwszego Banku Centralnego Edynburga.

Struan zamrugał oczami.

- Słucham?
- Mamy prawo do tego stanowiska, prawda?
- Tak - potwierdził Alastair. - Ale dlaczego?
- Będę potrzebował pomocy. W przyszłym roku Struanowie otworzą się dla ludzi.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli na niego ze zdumieniem. -Co?!

- Otworzą...
- Od stu trzydziestu dwu lat jesteśmy prywatną kompanią! - ryknął starszy. -

Jezu Chryste, setki razy powtarzałem ci, że w tym nasza siła. Bez kursów akcji i akcjonariuszy nikt z zewnątrz nie może się wtrącać w nasze sprawy! -Twarz pokryła mu się purpurą, ale stłumił złość. - Nigdy mnie nie słuchałeś?

- Zawsze i bardzo uważnie - powiedział Dunross głosem pozbawionym emocji. - Jedyne sposoby na nasze przetrwanie to otworzyć się... Tylko w ten sposób możemy zdobyć kapitał, którego potrzebujemy.

- Phillip, porozmawiaj z nim. Pomóż mu zrozumieć.
- Jaki to będzie miało wpływ na Dom Czenów? - zapytał doradca.

- Nasz oficjalny system doradczy od dzisiaj przestaje istnieć. - Widział, jak Phillipowi Czenowi bieleje twarz, ale mówił dalej: - Z tobą też wiąże pewne plany. Nie zmieni się nic, a zarazem zmieni się wszystko. Oficjalnie nadal będziesz doradcą, a nieoficjalnie działać będziemy zupełnie inaczej. Główna zmiana polegać będzie na tym, że zamiast zarabiać milion na rok, za dziesięć lat twoje udziały będą wynosić dwadzieścia, a za piętnaście około trzydziestu milionów.

- Niemożliwe! - wybuchnął Alastair.
- Nasz kapitał własny wynosi obecnie około dwudziestu milionów amerykańskich dolarów. Za dziesięć lat dojdzie do dwustu, a za piętnaście do czterystu milionów. Nasz roczny obrót zbliży się do miliarda.

- Zwariowałeś! - syknął Struan.
- Nie. Noble House stanie się firmą międzynarodową. Czasy izolacji kompanii handlowych Hongkongu minęły bezpowrotnie.
- Na Boga, pamiętaj o przysiędze. Nasze korzenie są tu, w Hongkongu!
- Nie zapomnę. Kolejna rzecz. Jakie zobowiązania odziedziczyłem po Dirku Struanie?
- Wszystko znajduje się w sejfie. Spisane w zapieczętowanej kopercie z napisem „Legacja”. Także we „Wskazówkach dla przyszłych tai-panów” Hag.

- Gdzie jest sejf?

- Za obrazem w Wielkim Domu. W gabinecie. - Alastair niechętnie wskazał

palcem kopertę leżącą obok zegara na kominku. - Tu jest klucz i obecna kombinacja. Ty ją oczywiście zmienisz. Na wszelki wypadek zostaw kopię w jednej z prywatnych skrytek tai-pana w banku. Jeden z dwóch kluczy daj Phillipowi.

- Zgodnie z naszymi zasadami - powiedział Czen - dopóki żyjesz, bank ma obowiązek odmówić mi otwarcia.

- Dalej: Tyler Brock i jego synowie. . te łajdaki już prawie sto lat temu poszły w zapomnienie.

- Tak! Oczywiście tylko mężczyźni z prawego łoża. Ale Dirk Struan był

sprawiedliwy i mści się nawet z za grobu. Aktualną listę następców Tylera Brocka również znajdziesz w sejfie. To ciekawa lektura, nie, Phillip?

- Tak, rzeczywiście.

- Rothwellów, Tommów, Yadegarów z potomstwem, tych już znasz. Ale są tam też Tuskerowie, chociaż o tym nie wiedzą, Jason Plumm, Lord Dep-ford-Smyth i przede wszystkim Quillan Gornt.

- Niemożliwe!

- Gornt, tai-pan, Rothwell-Gornt jest nie tylko naszym największym wrogiem, lecz także w prostej linii potomkiem Morgana Brocka, chociaż nie z prawego łoża.

- Ale on zawsze uważał, że jego prapradziadkiem był Edward Gornt, amerykański przemysłowiec.

- Owszem, prawnie pochodzi od Edwarda Gornta. Jednak Sir Morgan Brock był prawdziwym ojcem Edwarda, matką natomiast Kristian Gornt -Amerykanka z Wirginii. Oczywiście wszystko pozostawało w ścisłej tajemnicy. Towarzystwo było nie mniej mściwe niż teraz.

Najgorsze minęło. Dunross podszedł do barometru. Było 980,3 hPa.

- Ciągle spada - zauważył.

- Boże!

Dunross spojrział w okno. Strugi deszczu układały się niemal pionowo.

- Jutro powinna zadekować „Spokojna Chmura”.

- Tak, ale pewnie teraz kołysze się na falach gdzieś koło Filipin. Kapitan Moffatt jest zbyt

doświadczony, żeby płynąć podczas huraganu - powiedział Struan.

- Nie zgadzam się. Moffatt lubi dotrzymywać terminów. A ten wiatr mu w tym bardzo przeszkadza. Kapitan powinien dostać rozkaz. - Napił

się w zamyśleniu wina. - Lepiej, żeby „Spokojnej Chmurze” nic się nie stało.

Phillip Czen wsłuchiwał się w wycie wiatru.

- Dlaczego? - zapytał.

- Na pokładzie znajduje się nowy komputer i silniki odrzutowe warte

dwa miliony funtów. Nie ubezpieczone, przynajmniej silniki.

Dunross wpatrywał się w Alastaira Struana.

- Trzeba było na to pójść, inaczej stracilibyśmy ten kontrakt - bronił się starszy człowiek. - Silniki dostarczamy do Kantonu. Wiesz przecież, Phillip, że nie możemy ich ubezpieczać, gdy jadą do czerwonych Chin. - A potem dodał

poirytowany: - Należą do kogoś z Południowej Ameryki i chociaż nie ma żadnych restrykcji w eksporcie z Ameryki Południowej do Chin, to i tak nikt nie chciał ich ubezpieczyć.

- Myślałem, że nowy komputer ma nadejść w marcu - odezwał się po dłuższej chwili Czen.

- Tak, ale udało mi się wszystko przyspieszyć - wyjaśnił Alastair.

- U kogo są dokumenty silników? - zapytał Czen.

- U nas.

- To duże ryzyko. - Phillip Czen stawał się bardzo niespokojny. - Zgadzasz się, Ian?

Dunross nie odpowiedział.

- Inaczej nic nie wyszłoby z tego kontraktu - mówił Alastair Struan jeszcze bardziej rozdrażniony. - Mieliśmy podwoić nasz majątek, Phillip. Potrzebujemy pieniędzy. Chińczycy zaś jeszcze bardziej potrzebują silników. Gdy w zeszłym miesiącu byłem w Kantonie, widać to było wyraźnie. A my też potrzebujemy Chin, dali nam to równie jasno do zrozumienia.

- Tak, ale dwanaście milionów to... spore ryzyko jak na jeden statek - napierał

Czen.

- Wszystko, co robimy, żeby nie dopuścić do interesów Sowietów - odezwał się Dunross - stawia nas w lepszej pozycji. Poza tym, już się stało. Wspominałeś coś, Alastair, że na liście jest ktoś, kogo powinienem znać. Prezes czego?

- Marlborough Motors.

- O - Dunross uśmiechnął się z zadowoleniem. - Od lat nienawidzę tych skurwieli. I ojca, i syna.

- Wiem.

- A więc Nikklinowie są spadkobiercami Tylera Brocka? Skreślenie ich nie powinno nam zabrać

dużo czasu. Bardzo dobrze, doskonale. Wiedzą, że znajdują się na czarnej liście Dirka Struana?

-Nie sędzę. -Tym

lepiej.

- Nie zgadzam się! Młodego Nikklina nie znosisz, bo cię pobił. - Ala stair Struan z gniewem wymierzył palec w Dunrossa. - Najwyższy czas, żebyś skończył z wyścigami samochodowymi. Zostaw te gonitwy po gó rach i Makau Grand Prix. Nikklinowie mają więcej czasu na zajmowanie 17

się samochodami. To całe ich życie. Ty masz teraz przed sobą inne wyścigi, ważniejsze.

- Makau jest dla amatorów, a ci dranie w zeszłym roku oszukiwali.

- To nigdy nie zostało udowodnione. Silnik wyleciał w powietrze. Tak się często dzieje. Taki *dżos*, łan.

- W moim samochodzie ktoś grzebał.

- To także nie zostało udowodnione! O czym ty w ogóle mówisz? Na punkcie paru rzeczy masz tak kompletnego bzika, jak sam Demon Strua-nów.

-Co?

-Tak właśnie, i...

- Jeśli to takie ważne - Czen przerwał szybko, chcąc rozładować nie przyjemny nastrój - zorientuję się, co się da zrobić, żeby wyświetlić prawdę. Znam pewne niedostępne dla was źródła. Moi chińscy przyjaciele po winni wiedzieć, czy Tom albo młody Donald maczali w tym palce. Oczywiście - dodał delikatnie -jeśli tai-pan sobie tego życzy. Wszystko zależy od tai-pana, prawda, Alastair?

Starszy mężczyzna opanował już gniew, ale nadal miał czerwoną szyję.

- Tak, masz rację. A jednak, łan, radzę ci z tym skończyć. Zawsze będą przed tobą, bo nienawidzą cię równie mocno, jak ty ich.

- Czy powinienem wiedzieć jeszcze o kimś z listy?

- Nie, nie teraz - zawyrokował Struan po chwili wahania. Otworzył drugą butelkę i nie przestając mówić, rozlewał szampana do kieliszków. - Cóż, już wszystko w twoich rękach, wszystkie radości i troski. Cieszę się, że ci to przekazuję. Jak dotrzesz do sejfu, dowiesz się najlepszego i najgorszego. - Rozdał

kieliszki i wychylił łyk. - Na Chrystusa, to chyba najlepszy szampan, jaki kiedykolwiek nadszedł z Francji.

- Tak - przyznał Phillip Czen.

Dunross uważał, że Dom Perignon jest za drogi, przeceniany, i wiedział też, że rocznik pięćdziesiąty czwarty nie należał do najlepszych. Zatrzymał jednak tę opinię dla siebie.

Struan zbliżył się do barometru. Ciśnienie doszło do 979,2 hPa.

- Nie najlepiej stoimy, Ian. Ale nie przejmuj się. Klaudia Czen przekaże ci teczkę z ważnymi materiałami i kompletną listą naszych akcjonariuszy z nazwiskami i liczbą akcji. Jeśli masz do mnie jakieś pytania, jestem tu jeszcze jutro i pojutrze, potem mam rezerwację do Londynu. Klaudia oczywiście zostaje.

- Naturalnie. - Klaudia Czen, podobnie jak Phillip Czen, przechodziła z tai-pana na tai-pana. Była sekretarką-asystentką i daleką kuzynką Phillipa.

- A co z naszym bankiem Victoria? - zapytał Dunross. - Nie znam dokładnej liczby naszych udziałów.

- To zawsze wie jedynie tai-pan.

- A jaki jest twój udział? - Dunross zwrócił się do Phillipa Czena. - W

procentach albo w liczbie akcji.

Wstrząśnięty doradca wahał się.

- W przyszłości zamierzam połączyć nasze udziały. - Dunross nie spuszczał oczu z Czena. - Chcę od razu znać wysokość, ponadto liczę na oficjalne przekazanie mi prawa do głosu, mnie i moim następcom, na piśmie. Czekam jutro w południe. Aha, i jeszcze prawo pierwokupu, jeśli kiedyś zdecydujesz się na sprzedaż akcji.

Zapadła cisza.

- Ian - odezwał się Phillip Czen - te udziały... - Ugiął się jednak pod siłą woli Dunrossa. - Sześć procent, trochę więcej. Ja... będzie tak, jak sobie życzysz.

- Nie będziesz tego żałował. - Dunross odwrócił się do Struana. Starszemu człowiekowi zamarło serce. - A jakie są nasze udziały? Ile mamy akcji?

Alastair zawahał się.

- To są wiadomości wyłącznie dla tai-pana.

- Oczywiście. Ale naszemu doradcy możemy absolutnie wierzyć. - Dunross zrobił taką minę, jakby mu było przykro okazywać przed Alastaiem Struanem swoją dominację. - Ile?

- Piętnaście procent - powiedział Struan.

Dunross, tak samo jak Czen, otworzył ze zdziwienia usta i chciał krzyknąć: Jezu Chryste, mamy piętnaście procent, Phillip kolejne sześć, a ty nie miałeś skąd wziąć pieniędzy, gdy stanęliśmy na skraju bankructwa?

Jednak zamiast tego, żeby uspokoić rozdygotane serce, rozlał do kieliszków resztkę szampana.

- Dobrze - powiedział spokojnym, pozbawionym emocji głosem. - Mam nadzieję, że razem zdziałamy więcej. Przygotowuję nadzwyczajne zebranie.

W przyszłym tygodniu.

Obydwaj zamarli. Od 1880 roku tai-panowie Struanów, Rothwell-Gornt i banku Victoria, mimo rywalizacji, co roku spotykają się potajemnie, aby określić przyszłość Hongkongu i Azji.

- Mogą się nie zgodzić - uprzedził Alastair.

- Dziś rano rozmawiałem ze wszystkimi. Ustaliliśmy, że spotkanie odbędzie się w następny poniedziałek o dziewiątej, tutaj.

- Kto przyjdzie z banku?

- Zastępca prezesa Havergill. Teraz jest w Japonii, a potem jedzie do Anglii. - Rysy twarzy Dunrossa stężały. - Załatwię wszystko.

- Paul to porządny człowiek - stwierdził Alastair.

- On będzie następnym prezesem.

- Jeśli ja coś będę miał do powiedzenia, to nie - powiedział Dunross.
 - Nigdy nie lubiłeś Paula Havergilla, prawda, Ian? - zapytał Phillip Czen.
 - Prawda. Razi zaściankowością, widać, że pochodzi z Hongkongu, jest zbyt staroświecki i pompatyczny.
 - I napuszczał na ciebie twojego ojca.
 - Tak. Ale to nie powinno mieć żadnego znaczenia. Ważniejsze, że on stoi na drodze Noble House. Jest zbyt konserwatystą, zbyt szczodry dla Asian Properties, i wydaje mi się, że potajemnie sprzyja Rothwell-Gornt.
 - Nie zgadzam się z tym - obruszył się Alastair.
 - Wiem. Ale musimy zdobyć pieniądze i mam zamiar tego dokonać.
- Zamierzam bardzo rozważnie skorzystać ze swoich dwudziestu jeden procent.
- Burza nadal się wzmagala, ale wydawało się, że oni tego nie zauważają.
- Nie radzę ci zarzucać sieci na Victorię - powiedział Phillip grobowym głosem.
 - Ja też tak uważam - poparł go natychmiast Alastair.
 - A ja nie. Pozwala mi na to mój udział. - Dunross obserwował przez chwilę strugi deszczu. - I przy okazji: Zaprosiłem na spotkanie Jasona Plumma.
 - Po kiego czorta? - zapytał Struan. Jego szyja znów pokryła się czerwonymi plamami.
 - Pomiędzy nami a jego Asian Properties...
 - Plumm znajduje się na czarnej liście Dirka Struana. Jest naszym przeciwnikiem.
 - Nasza czwórka ma w Hongkongu najwięcej do powiedzenia. . - Głośny dzwonek telefonu przerwał Dunrossowi. Wszyscy spojrzeli w stronę aparatu.
 - Teraz to twój telefon, a nie mój - przypomniał Alastair Struan. Dunross odebrał.
 - Dunross! - Chwilę słuchał, a potem powiedział: - Nie, pan Alastair Struan został zwolniony. Teraz ja jestem tai-panem Struanów. Tak. Ian Dunross. Co zawiera teleks? - Znów słuchał. - Tak, dziękuję.
- Odłożył słuchawkę. Po dłuższym czasie przerwał ciszę:
- To z biura w Tajpej. Na północ od Formozy tonie „Spokojna Chmu ra”. Twierdzą, że pójdzie na

dno z całą załogą...

20

Niedziela

18 sierpnia 1963

22:45

Policjant nachylał się nad kontuarem przy informacji i patrzył niewidzącym wzrokiem na pewnego Euroazjatę. Oficer ubrany był w jasny tropikalny garnitur, policyjny krawat i białą koszulę. W jasno oświetlonym pomieszczeniu terminalu powietrze zawsze było wilgotne i nieprzyjemnie pachniało. Jak zwykle hala pobrzmiwała głosami perorujących po kantońsku Chińczyków. Widać też było kilku Europejczyków.

- Panie nadinspektorze? - Jedna z dziewczyn z informacji podała mu telefon. -

To do pana, sir - powiedziała z uśmiechem. Miała białe zęby, ciemne włosy, ciemne duże oczy i cudownie złotą skórę.

- Dziękuję - powiedział, zwracając uwagę na to, że jest nowa i pochodzi z Kantonu, i że nie chciała, aby jej uśmiech był pusty i miał w sobie tylko kantońską sprośność.

- Tak? - powiedział do telefonu.

- Nadinspektor Armstrong? Tu wieża, „Yankee 2” właśnie podchodzi do lądowania. O czasie.

- Nadal chcecie go skierować do przejścia numer szesnaście?

- Tak. Będzie na miejscu za sześć minut.

- Dziękuję. - Robert Armstrong był wysoki. Wychylił się za kontuar i odstawił

telefon. Zauważył długie nogi dziewczyny i obcisłą, trochę za ciasną spódnicę oficjalnego *czong-sam*. Przez chwilę zastanowił się, jaka byłaby w łóżku.

- Jak się nazywasz? - zapytał, wiedząc, że Chińczycy nienawidzą podawać imion policjantom, zwłaszcza europejskim.

- Mona Leung, sir.

- Dziękuję, Mona Leung. - Skinął jej głową, wpatrując się w nią swymi jasnoniebieskimi oczami, i zauważył u niej maleńki dreszcz strachu. Sprawilo mu to przyjemność. Tobie też, pomyślał, a potem z powrotem zajął się swoją ofiarą.

Euroazjata John Czen stał samotnie obok jednego z wyjść, to zaskoczyło Armstronga. Także to, że Czen denerwował się. Zwykle słynął ze swojego opanowania, ale teraz co chwila patrzył na zegarek, na tablicę przylotów, a potem znów na zegarek.

Jeszcze minuta i się zacnie, pomyślał Armstrong.

Sięgnął po papierosa, ale przypomniał sobie, że dwa tygodnie temu w prezencie urodzinowym

obiecał żonie, że rzuci palenie, więc zaklął i wsunął ręce głęboko do kieszeni.

Do kontuaru informacyjnego podchodzili, odchodzili i znowu wracali pasażerowie, a także oczekujący na pasażerów. Głośno, w tysiącu różnych dialektów pytali, co, gdzie, kiedy, jak i po co. Armstrong rozumiał kanton-ski.

Słabiej szanghajski i mandaryński. Znał kilka słów w dialekcie czu czou, ale głównie były to przekleństwa. Co nieco chwycił także z tajwańskiego.

Odszedł od kontuaru. Górował nad całym tłumem o głowę. Był potężnie zbudowany, szeroki w barkach. Od siedemnastu lat służył w policji Hongkongu, obecnie zajmował stanowisko komendanta CID - Wydziału do Spraw Kryminalnych - w Koulunie.

- Dobry wieczór, John - odezwał się. - Jak leci?

- O, cześć, Robert - powiedział swoim anglo-amerykańskim akcentem John Czen, mając się nagle na baczności. - Wszystko w porządku, dziękuję. A co u ciebie?

- Dzięki. W Imigracyjnym powiedzieli mi, że czekasz na specjalnego gościa.

W czarterowym „Yankee 2”.

- Tak, tylko że to nie jest samolot czarterowy, ale prywatny. Należy do Lincolna Bartletta, amerykańskiego milionera.

- On jest na pokładzie? - zapytał Armstrong, mimo że znał odpowiedź.

-Tak.

-Ze swoją świtą?

- Tylko z wiceprezesem.

- Pan Barlett jest waszym przyjacielem? - zapytał, wiedząc, że nie.

- Gościem. Mamy nadzieję zrobić z nim interes.

- Ach tak. O, samolot już ląduje. Może pójdziemy razem. Ominiemy kontrolę. To przynajmniej mogę zrobić dla Noble House, prawda?

- Dziękuję za troskę.

- Żaden kłopot. - Armstrong poprowadził bocznymi drzwiami do barierki, za którą stawali goście. Zauważył go umundurowany policjant, natychmiast zaszalutował i patrzył uważnie na Johna Czena, którego też od razu rozpoznał.

- Nic mi nie mówi nazwisko tego Lincolna Bartletta - Armstrong ciągnął z udawaną uprzejmością. -

A powinno?

- Nie, bo nie zajmujesz się biznesem - wyjaśnił John Czen i zaczął mówić nerwowym głosem: - Ma pseudonim „Jeździec”, bo z powodzeniem najeżdża na firmy i je przejmuje, najczęściej potężniejsze niż on. Ciekawy z niego człowiek.

Poznałem go w zeszłym roku w Nowym Jorku. Jego dochody wynoszą pół

miliarda dolarów rocznie. Mówi, że zaczynał w czterdziestym piątym roku z pożyczonymi dwoma tysiącami. Teraz ma udziały w przemyśle petrochemicznym, elektronice, przemyśle ciężkim, zbrojeniowym, wykonuje wiele zleceń dla rządu USA. . ma znaczne osiągnięcia w produkcji nawozów sztucznych, tworzyw sztucznych. Posiada nawet jedną firmę

zajmującą się wytwarzaniem i sprzedażąart oraz artykułów sportowych. Jego kompania nazywa się Par-Con Industries. Ma wszystko, czego potrzeba.

- Myślałem, że twoja kompania też już wszystko ma.

- Nie w Ameryce - zaznaczył. - Poza tym to nie moja kompania, ja jestem tylko niewiele znaczącym udziałowcem, urzędnikiem.

- Dyrektorem, także starszym synem obecnego doradcy Noble House, a więc będziesz następny. - Zgodnie ze zwyczajem doradcą zostawał Chińczyk lub Euroazjata będący biznesmenem. Miał za zadanie prowadzenie handlu z Chinami. Wszystkie interesy przechodziły przez jego ręce i z każdego po trochu mu zostawało.

Wiele władzy i wiele pieniędzy, pomyślał Armstrong, ale przy odrobinie szczęścia ściągniemy cię jak Humpty-Dumpty, a Struanów razem z tobą. Jezu Chryste, mówił sobie, jeśli dojdzie do tego skandalu, odbije się echem daleko poza Hongkongiem.

- Będziesz doradcą tak jak twój ojciec, dziadek, pradziadek. Prapra-dziadek był pierwszy, prawda? Sir Gordon Czen, doradca Dirka Struana, który założył

Noble House i prawie założył Hongkong.

- Nie. Doradcą Dirka był Czen Szeng. Sir Gordon Czen był doradcą syna Dirka - Culuma Struana.

Podobno byli przyrodnimi braćmi, tak?

- Tak głosi legenda.

- Ach te legendy, są dla nas pokarmem. Culum Struan, kolejna legenda Hongkongu. Sir Gordon również, masz szczęście.

Szczęście? Czen z goryczą zadał sobie to pytanie. Być spadkobiercą syna z nieprawego łoża szkockiego pirata - handlarza opium i mordercy, jeśli prawdą są niektóre opowieści - oraz kantońskiej śpiewaczki wykupionej z brudnego lupanaru, który nadal działa na brudnej alei w Makau? Mieć świadomość, że o jego pochodzeniu wie prawie cały Hongkong i przeklinają go obydwie rasy?

- Wątpliwe szczęście - skomentował, starając się zachować spokój. Miał

ciemne włosy, lekko przyprószone siwizną, anglosaską, przystojną mimo trochę obwisłych policzków twarz, a z oczu tylko w niewielkim stopniu przypominał Azjatę. Dwa lata temu przekroczył czterdziestkę, nosił

tropikalny,nienagannie skrojony garnitur, buty Hermes i zegarek Rolex.

- Nie zgadzam się. Być doradcą Struanów, azjatyckiego Noble House... to naprawdę coś. Coś specjalnego.

- Owszem, może i specjalnego - powiedział bezbarwnym głosem John Czen. Odkąd tylko zaczął myśleć, ciążyło na nim dziedzictwo. Zawsze czuł

wlepione w siebie oczy - w niego, najstarszego syna, następnego z kolei -czuł

wszechobecną żądzę i zazdrość. Zawsze go to przerażało, nieważne, jak bardzo pragnął przewyciężyć strach. Nigdy nie chciał żadnej władzy **25**

ani odpowiedzialności. Nie dalej jak wczoraj miał z ojcem kolejną ostrą rozmowę, gorszą od wszystkich poprzednich.

- Nie chcę należeć do Struanów! - wybuchnął. - Po raz setny powtarzam, że zamierzam ten cały Hongkong rzucić w diabły i wrócić do Stanów. Chcę żyć własnym życiem. Gdzie mi się podoba i jak mi się podoba.

- A ja ci powtórzę po raz tysięczny, że wysłałem cię do Amer...

- Pozwól, ojcze, prowadzić mi nasze interesy w Stanach, proszę. Tam jest dużo do zrobienia! Mógłbyś pozwolić mi na...

- *Aiii ia*, posłuchaj mnie! To tutaj, w Hongkongu i w Azji, robimy pieniądze.

Wysłałem cię do Ameryki, żeby przygotować rodzinę do nowoczesnego życia. Ty już zostałeś przygotowany i twoim obowiązkiem wobec rodziny. .

- Ojcze, jest jeszcze Richard, mały Kevin - on po stokroć bardziej ode mnie nadaje się na biznesmena. A wujek Jam...

- Zrobisz, co każę! Dobry Boże, wiesz, że ma do nas przyjechać ten Amerykanin Bartlett. Potrzebujemy twojej wiedzy...

- ...Wujek James, wujek Thomas. Najlepszy byłby wujek James, najlepszy dla rodziny i najlepszy...

- Ty jesteś moim pierworodnym synem. Ty będziesz głową rodziny i następnym doradcą!

-Na Boga, nie!

- To zostaniesz bez grosza przy duszy!

- Niewiele to zmieni! Wszyscy pracujemy za marne pieniądze, cokolwiek inni sobie o nas myślą! Ile masz milionów? Pięćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Sto?

- Jeśli natychmiast mnie nie przeprosisz i nie przestaniesz wygadywać bzdur, wyrzucę cię od razu! W tej chwili!

- Przepraszam, że cię rozzłościłem, ale zdania nie zmienię! Nigdy!

- Daję ci czas do moich urodzin. Osiem dni. Osiem dni na to, żebyś stał się posłusznym synem. To moje ostatnie słowo. W przeciwnym razie ciebie i wszystkich twoich potomków releguję z rodziny. A teraz wynoś się stąd!

John Czen czuł ściskanie w dołku. Nienawidził nie kończących się kłótni z ojcem, łez żony, zastraszonych dzieci. Macocha, wszyscy bracia i kuzyni, większość wujów i ich żony przyglądali się temu z rozkoszą. Wszyscy chcieli jego odejścia. Żądza i zawiść. Do diabła z tym wszystkim, myślał. Ale co do Bartletta ojciec miał rację, chociaż nie z tego powodu, z którego mu się wydawało. Nie. Ten interes będzie dla mnie. Tylko jeden interes, a potem będę wolny na wieki.

Minęli już prawie całą jasno oświetloną poczekalnię.

- Idziesz w sobotę na wyścigi? - zapytał John Czen.

- A kto nie idzie? - Tydzień wcześniej, ku radości wszystkich, wpływowy klub jeździecki mający monopol na wyścigi konne, będące jedyną legal-26

ną formą hazardu w kolonii, wydał specjalną ulotkę: „Chociaż oficjalnie sezon wyścigowy rozpocznie się dopiero 5 października, to za zgodą naszego gubernatora Sir Geoffreya Allisona, gospodarze zdecydowali się wyznaczyć sobotę, dwudziesty czwarty sierpnia, Dniem Specjalnych Gonitw, dla przyjemności wszystkich i ku chwale ciężko pracującej ludności, która z odwagą znosi suszę niemalże najdotkliwszą w naszej historii (...)”.

- Słyszałem, że wystawiasz Złotą Damę w piątej - powiedział Armstrong.

- Trener mówi, że ma szanse. Przyjdź do łóż mojego ojca, napijemy się.

Myślę, że skorzystam z niektórych twoich typów. Jesteś w tym dobry.

- To zwykły fart. Ale trudno porównywać moje dziesięć dolarów z twoimi dziesięcioma tysiącami.

- Gram tylko, gdy biegnie jeden z naszych koni. W poprzednim sezonie wydarzyło się nieszczęście... Przydałoby się wytypować zwycięzcę.

- Mnie też. - Chryste, jak by mi się przydało, myślał Armstrong. - Lecz dla ciebie, Johnny Czen, to żadna różnica... przegrasz, wygrasz, dziesięć tysięcy, sto tysięcy. - Starał się powstrzymać piekącą zazdrość. Uspokój się, powtarzał

w duchu. To są oszuści, a ty, jeśli zdołasz, masz ich przy-skrzynić, nieważne, czy biedni, czy bogaci... i cieszyć się swoją pensją. Dlaczego zazdrościsz temu lajdakowi? Tak czy inaczej trafi pod topór.

- Atak przy okazji. Wysłałem konstabla, żeby przyprowadził twój samochód. Będzie czekał na ciebie i gości przed wejściem.

- Och, wielkie dzięki. Przepraszam za kłopot.

- Zaden kłopot. Trzeba zrobić dobre wrażenie, prawda? Pomyślałem sobie, że skoro przybyłeś osobiście, czekacie na kogoś specjalnego. - Nie mógł się powstrzymać od kolejnej zgryźliwości. - Jak mówiłem, dla Noble House nigdy za wiele kłopotów.

Mimo grzecznego uśmiechu John Czen pomyślał: A niech cię diabli porwą.

Tolerujemy cię tylko dlatego, że jesteś ważnym gliniarzem. Pożera cię zawiść, masz pełno długów, z pewnością jesteś skorumpowany i nie masz najmniejszego pojęcia o koniach. *Dew neh loh moh* na całe twoje nasienie, pomyślał John Czen, ale zatrzymał przekleństwo dla siebie, ponieważ choć Armstronga nienawidziły wszystkie *yan* z Hongkongu, John Czen z długiego doświadczenia wiedział, że przebiegłość i bezwzględność Armstronga w knuciu zemsty warta jest plugawego *manchu*. Sięgnął do zawieszanej na szyi na cienkim rzemyku połówki monety. Palce mu zadrżały, gdy dotykał metalu przez koszulę. Drgnął bezwiednie.

- Co się stało? - zapytał Armstrong.

- Nic. Zupełnie nic. - Pilnuj swojego nosa, pomyślał John Czen.

Szli przez poczekalnię do zanurzonego w ciemności terenu dla imigrantów.

Kolejki zaniepokojonych, zmęczonych ludzi gromadziły się przed małutkimi biurkami umundurowanych urzędników biura imigracyjnego. Urzęd-27

nicy zasalutowali Armstrongowi. John Czen poczuł na sobie ich badawcze spojrzenia.

Chociaż nie był narażony na ich wnikliwe pytania, jak zwykle poczuł się nieswojo. Miał uczciwy paszport wystawiony w Wielkiej Brytanii, a nie w Hongkongu, także amerykańską Zieloną Kartę, której posiadanie zapewnia mu bezcenną możliwość starania się o pracę i cieszenia życiem w USA oraz wszystkie przywileje rodowitego Amerykanina z wyjątkiem prawa do głosowania. A komu potrzebne głosowanie, zachnął się i odwzajemnił spojrzenie jednemu z urzędników. Starał się okazywać odwagę, ale nadal czuł się pod jego wzrokiem jak nagi.

- Nadinspektorze... - Jeden z urzędników trzymał słuchawkę telefonu.

- Do pana.

Patrzył, jak Armstrong wraca, żeby odebrać telefon, i zastanawiał się, jak to jest być policjantem z tak wieloma możliwościami przyjęcia łapówki. Także po raz tysięczny zastanawiał się, jak by to było, gdyby był Chińczykiem albo Brytyjczykiem, a nie znenawidzonym przez obydwie nacje Euroazjatą.

Poprzez zgiełk dobiegły go słowa Armstronga:

- Nie, tylko budka. Porozmawiam osobiście. Dziękuję, Tom.

Armstrong wrócił.

- Przepraszam powiedział, a potem poprowadził go przez kordon urzędników do pomieszczenia dla ważnych osobistości. Było czysto, przyjemnie i drogo.

Dobrze zaopatrzony bar i ładny widok na lotnisko, miasto, a także zatokę. Z

wyjątkiem dwóch urzędników i jednego człowieka Armstronga stojącego przy przejściu numer 16 - szklanych drzwiach, zza których widać było oświetlony asfalt - pomieszczenie świeciło pustkami.

- Dobry wieczór, sierżancie Lee - przywitał się Armstrong. - Wszystko gra?

- Tak jest. „Yankee 2” właśnie wyłączył silniki. - Sierżant Lee znów zasalutował i otworzył przed nimi drzwi.

Wiedząc, że już nie ma odwrotu, Armstrong spojrzał na Johna Czena.

- Proszę przodem.

- Dziękuję. - John Czen wyszedł na asfaltową płytę.

Zobaczyli „Yankee 2”. Dopiero co wyłączone silniki wydawały z siebie ostatnie dźwięki. Z jednej strony nadjeżdżał wózek ze schodami. Przez małe kokpit, w słabym świetle, widać było pilotów. W cieniu parkował granatowy rolls należący do Johna Czena. Obok drzwi stał chiński szofer w liberii, a nie opodal niego policjant.

Otworzył się główny wjazd do samolotu i na przywitanie dwóch urzędników czekających na platformie wyszła dziewczyna. Jednemu z nich wręczyła plik dokumentów samolotu i dokumenty podróży, a potem zaczęli ze sobą rozmawiać. Nagle przestali. Urzędnicy grzecznie, z szacunkiem zasalutowali.

- *Aiii ia* - cicho szepnął Armstrong.

- Bartlett ma gust - mruknął John Czen, serce mu mocniej zabiło.

Z typowo męskim zachwytem obserwowali, jak dziewczyna schodzi po schodach.

- Myślisz, że jest modelką?

- Tak się porusza. Może jest gwiazdą filmową? John Czen ruszył do przodu.

- Dobry wieczór. Nazywam się John Czen. Jestem od Struanów. Oczekuję pana Bartletta i pana Tchulucka.

- Ach tak, oczywiście, pan Czen. Bardzo miło z pana strony, sir, że się pan fatygował, zwłaszcza w niedzielę. Cieszę się, że mogę pana poznać. Nazywam się K.C. Tcholak. Linc mówi, że jeśli pan...

- Casey Tchuluck? - John Czen wyszczerzył zęby. - Tak?

- Tak - odparła z miłym uśmiechem, nie zważając na złą wymowę. -

Inicjały moich imion to K.C, więc Casey stało się moim pseudonimem. -

Spojrzała na Armstronga. - Dobry wieczór, pan jest również od Struanów? -

zapytała melodyjnym głosem.

- Ach, eee, proszę mi wybaczyć, to... to jest nadinspektor Armstrong - John Czen nie mógł opanować jąkania.

- Dobry wieczór - powiedział Armstrong, zwracając uwagę na to, że z bliska dziewczyna wyglądała jeszcze atrakcyjniej. - Witamy w Hongkongu.

- Nadinspektor? To znaczy z policji? - Wtedy skojarzyła nazwisko. - Ach, Armstrong. Robert Armstrong? Komendant CID w Koulunie.

- Jest pani dobrze poinformowana, panno Tcholak. - Starał się ukryć zaskoczenie.

Roześmiała się.

- To z przyzwyczajenia. Gdy jadę do nowego miejsca, zawsze jestem dobrze przygotowana... i przeczytałam spis ważnych osób.

- Nie publikujemy czegoś takiego.

- Wiem. Ale rząd Hongkongu wydaje książkę telefoniczną i z niej się wszystkiego dowiedziałam.

Każdy może ją kupić za kilka centów.

Tam są wymienione wszystkie wydziały policji, nazwiska komendantów, w większości z numerami domowymi, a także wszystkie inne urzędy państwowe. Dostałam ją w biurze przedstawicielstwa Hongkongu w Nowym Jorku.

- Kto jest komendantem Oddziału Specjalnego? - zapytał na próbę. -Nie wiem. Nie sądzę, żeby taki oddział w ogóle był wymieniany. A jest?

- Czasami. Zmarszczyła lekko brwi.

-: - Przychodzi pan, panie nadinspektorze, witać wszystkie prywatne samoloty?

- Tylko te, które chcę. - Uśmiechnął się do niej. - Tylko te, w których przylatują piękne, dobrze poinformowane damy.

- Czy coś jest nie tak? Jakieś kłopoty?

- Nie, zwykle rutynowe czynności. Kai Tak leży na moim terenie - powiedział swobodnie Armstrong.

- Mogę panią prosić o paszport?

- Oczywiście. - Gdy sięgała do torby po swój amerykański paszport, na jej twarzy pojawił się lekki grymas.

Po latach doświadczeń nauczył się bardzo szczegółowo sprawdzać paszporty.

Data i miejsce urodzenia, Rhode Island, 25 listopada 1936 roku, wzrost 5 stóp i 8

cali, włosy blond, oczy niebieskie. Paszport ważny jeszcze przez dwa lata.

Dwadzieścia sześć lat, myślałem, że młodsza. Gdy się patrzy z bliska, jest w jej oczach coś dziwnego.

Na chybił trafił otwierał na poszczególnych stronach. Trzymiesięczna wiza do Hongkongu była aktualna i nic jej nie można było zarzucić. Wśród innych pieczętek znajdowały się wizy angielskie, francuskie, włoskie i po-

łudniowoamerykańskie. A także z ZSRR z lipca bieżącego roku. Wiza na siedem dni. Ach, ta moskiewska gościnność.

- Sierżancie Lee!

- Tak jest.

- Proszę wstemplować pani wizę - powiedział spokojnie i uśmiechnął się. -

Wszystko w porządku. Może pani zostać u nas, ile czasu pani zechce. Przed upływem trzech miesięcy proszę zgłosić się na najbliższy posterunek policji i przedłużymy pani wizę.

- Dziękuję bardzo.

- Zostanie pani u nas jakiś czas?

- To będzie zależało od interesów - odparła Casey po chwili milczenia.

Uśmiechnęła się do Johna Czena. - Mamy nadzieję, że będziemy długo je prowadzić.

- Tak - wydukał John Czen. - Eee. . my także. - Jeszcze się nie uspokoił, nie mógł dojść do siebie. Po

prostu niemożliwe, że Casey Tcholak to kobieta, myślał.

Po schodach zszedł do nich steward Sven Svensen z dwiema walizkami.

- Proszę, Casey. Na pewno to wystarczy na noc?

- Tak, oczywiście. Dziękuję, Sven.

- Linc mówi, żebyście już szli. Pomóc ci w czymś?

- Nie, dziękuję. Wyszedł po mnie pan John Czen. Także nadinspektor Armstrong, komendant CID w Koulunie.

- Okay - popatrzył uważnie na policjanta. - Chyba już wrócę.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Chyba tak. - Sven Svensen uśmiechnął się. - Celnicy właśnie sprawdzają nasze zapasy alkoholu i papierosów. - Przy wwozie do kolonii tylko **30**

cztery produkty podlegają ocłeniu lub wymagana jest koncesja: złoto, alkohol, tytoń i benzyna. A tylko jednego produktu, nie licząc narkotyków, nie wolno importować: wszelkiego rodzaju amunicji, petard i fajerwerków.

- Nie mamy na pokładzie ryżu, panie nadinspektorze. - Uśmiechnęła się do Armstronga. - Linc nie lubi.

- No to nie będzie miał tu łatwego życia.

Roześmiała się i zwróciła do Svensena:

- Do jutra. Dziękuję.

- Punktualnie o dziewiątej! - powiedział, wracając do samolotu, a Casey spojrzała na Johna Czena.

- Linc prosił, żebyśmy na niego nie czekali - powiedziała. - Wierzy, że nie ma w tym nic złego.

-Tak?

- Idziemy? Mamy rezerwację w hotelu „Victoria and Albert” w Koulunie. - Wzięła swój bagaż, ale z ciemności wyłonił się bagażowy i zabrał od niej walizki. - Linc przyjdzie później... albo jutro.

John Czen otworzył usta ze zdumienia.

- Pan Bartlett nie przyjdzie?

- Nie. Zamierza zostać na noc na pokładzie, jeśli dostanie na to zezwolenie. Jeśli nie, przyjdzie za nami taksówką. W każdym razie jutro na lunchu będzie tak, jak się umówiliśmy. Lunch jest nadal

aktualny, prawda'?

- Ależ tak, ale... - John Czen starał się zebrać myśli. - Chcecie odwołać spotkanie o dziesiątej?

- Nie. Ja przyjdę, tak jak to było umówione. Obecność Linca nie jest konieczna. Spotkanie będzie dotyczyć finansów, a nie taktyki. Z pewnością pan zrozumie. Linc jest bardzo zmęczony, panie Czen - mówiła. - Dopiero wczoraj wrócił z Europy. - Obejrzała się na Armstronga. - Kapitan pytał już wieżę, czy Linc będzie mógł spać w samolocie, panie nadinspektorze.

Powiedzieli, że porozumieją się z wydziałem imigracyjnym, a potem nam odpowiedzą. Wydaje mi się, że może pan jakoś wpłynąć na tę decyzję. Bę-

dziemy po stokroć wdzięczni, jeśli pan nam pomoże. Linc naprawdę zbyt długo jest w ciągłym ruchu.

- Zobaczę, co się da zrobić - Armstrong usłyszał swój głos.

- Dziękuję. Dziękuję bardzo - powiedziała. Znow zwróciła się do Johna Czena: - Przepraszam za ten kłopot, panie Czen. Tędy? - zapytała, ruszając za bagażowym w stronę przejścia numer 16, ale John Czen wskazał palcem rollsa.

- Nie, tędy, panno Tchu... eee... Casey.

- Bez odprawy? - Wybałuszyła oczy.

- W każdym razie nie dzisiaj - powiedział Armstrong. - Prezent od rządu Jej Wysokości.

- Czuję się jak na audiencji u królowej.

- Miło mi.

Wsiadła do samochodu. Ogarnął ją przyjemny *zapach* skóry. A także wszechobecny luksus. W pewnej chwili zwróciła uwagę na bagażowego podążającego w stronę przejścia numer 16.

- A co z moimi walizkami?

- Nie ma potrzeby się martwić - mówił podenerwowany John Czen. -

Znajdą się w pani apartamencie jeszcze przed panią.

Armstrong przytrzymał na moment drzwi.

- John przyjechał po panią dwoma samochodami. Jeden dla pani i pana Bartletta, a drugi na bagaże.

- Dwa samochody?

- Oczywiście. Proszę nie zapominać, że przyjechała pani do Hongkongu.

Obserwował odjeżdżający samochód. Szczęściarz z tego Linca Bartletta, pomyślał. Odruchowo zastanowił się, dlaczego interesuje się nią wywiad.

- Wyjdź po prostu na lotnisko i osobiście sprawdź jej paszport - zapowiedział mu dziś rano szef wywiadu. - Panu Bartlettowi także.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Nie, Robert, nie możesz. Nie jesteś już w branży, masz ciepłą posadkę w Koulunie. Dobrze ci na niej?

- Tak jest.

- I Robert, nie spieprz tego zadania, bądź uprzejmy, niewykluczone, że są tu zamieszane bardzo grube ryby. Zawsze musimy się gęsto tłumaczyć za twoich koleś, których często myślą z bandytami.

- Tak jest.

Armstrong westchnął, wchodząc po schodach za sierżantem Lee. *Dew neh loh moh* na wszystkich wyższych urzędników, a zwłaszcza na szefa wywiadu.

Jeden z celników czekał ze Svensenem na górze.

- Dobry wieczór, sir - powiedział. - Na pokładzie wszystko we wzorowym porządku. Na wyposażeniu samolotu znajduje się jeden pistolet Verey Light kaliber trzydzieści osiem z nie rozpieczętowanym pudełkiem naboju. Także trzy strzelby myśliwskie kaliber dwanaście należące do

pana Bartletta. Wszystkie zgłoszone i sprawdzone przeze mnie. Zamknięte w szafce z bronią. Klucz ma kapitan.

- Dobrze.

- Potrzeba panu jeszcze czegoś, sir?

- Nie, dziękuję.

Armstrong wziął kartę pokładową i zaczął dokładnie sprawdzać. Wina, papierosy, tytoń, piwo i spirytualia. Dziesięć skrzynek Dom Perignon, rocznik 59, piętnaście Puligny Morrtrachet, rocznik 53, dziewięć Chateau Haut Brion, rocznik 53.

- Nie ma Lafite Rothschild rocznik szesnasty, panie Svensen?

- Nie, sir - Svensen uśmiechnął się. - Rocznik szesnasty był kiepski. Mamy pół skrzynki z dwudziestego trzeciego. Na następnej stronie.

Armstrong odwrócił kartkę. Znowu wymienione były wina i cygara.

- Dobrze - powiedział. - Oczywiście, gdy wychodzicie na ląd, bierzemy to w depozyt.

- Tak. Już wszystko zamknąłem. Pański człowiek zapieczętował. Nie miał nic przeciwko temu, żeby dwanaście puszek piwa zostało w lodówce.

- Jeśli właściciel będzie chciał sprowadzić wino, proszę dać mi znać. Tu nie ma bałaganu i sprawy nie trafiają do najniższej szuflady Jej Wysokości.

- Proszę? - zapytał zdezorientowany Svensen.

- Ach, to takie angielskie powiedzenie. Chodzi o to, że królowa odkłada do najniższej szuflady sprawę do załatwienia w przyszłości. Poproszę o paszport. -

Svensen wyjął kanadyjski dokument. - Dziękuję.

- Mogę przedstawić panu pana Bartletta? Czeka na pana.

Svensen wskazał drogę do środka samolotu. Wnętrze stanowiło kompilację prostoty i elegancji. W prawym końcu małego holu znajdował się kącik z sześcioma obitymi skórą fotelami oraz sofą. Pomiędzy nimi zaś drzwi prowadzące na rufę. W

jednym z foteli drzemała stewardesa, obok stała jej torba podróżna. Po lewej stronie znajdowały się drzwi do kabiny. Były otwarte.

Kapitan i pierwszy oficer siedzieli jeszcze na swoich miejscach i zajmowali się papierkową robotą.

- Przepraszam, kapitanie. To nadinspektor Armstrong - powiedział Svensen, wchodząc do środka.

- Dobry wieczór panu - odezwał się kapitan. - Ja jestem kapitanem i nazywam się Jannelli, a to mój pierwszy oficer Bill O'Rourke.

- Dobry wieczór. Mogę panów prosić o paszporty?

Obydwaj piloci mieli wbitych mnóstwo wiz ze wszystkich krajów świata i pieczętek wjazdowych. Żadnych z państw zza Żelaznej Kurtyny. Armstrong podał

je sierżantowi Lee do podstemplowania.

- Dziękuję, kapitanie. To pana pierwsza wizyta w Hongkongu?

- Nie, sir. Byłem tu wiele razy podczas wojny z Koreą. A w pięćdziesiątym szóstym podczas zamieszek latałem po Dalekim Wschodzie jako pierwszy oficer.

- Jakich zamieszek? - zapytał O'Rourke.

- Zawrzało w całym Koulunie. Kilkaset tysięcy Chińczyków zaczęło szaleć i podpalać ulice. Gliniarze... o przepraszam, policja starała się zachować spokój, ale w tłumie zaczęły się zabójstwa, więc wyciągnęli parę stenów, zastrzelili kilku demonstrantów i szybko się wszystko skończyło. Dobrze, jak broń ma tylko policja.

- I zwrócił się do Armstronga: - Pańscy ludzie nie mają tu chyba za wiele pracy.

- Różnie to bywa, kapitanie Jannelii. Gdzie rozpoczęliście lot?
 - W Los Angeles. Główne biuro Linca, to znaczy pana Bartletta, właśnie tam ma swoją siedzibę.
 - Lecieliście nad Honolulu i Tokio do Hongkongu? -Tak.
 - Na jak długo zatrzymaliście się w Tokio? Bill O'Rourke spojrzął w harmonogram.
 - Dwie godziny siedemnaście minut. Tylko tankowaliśmy.
 - Wystarczyło czasu, żeby rozprostować nogi?
 - Tylko ja opuszczałem pokład - zaznaczył Jannelii. - Zawsze, gdy lądujemy, sprawdzam silniki i ogólny stan kadłuba.
 - Dobry zwyczaj - powiedział grzecznie policjant. - Jak długo zostajecie?
 - Nie wiemy. Wszystko zależy od Linca. Na pewno całą noc. Nie powinniśmy odlecieć przed czternastą. Mamy polecenie w każdej chwili być gotowi do odlotu.
 - Kapitanie, pański samolot jest bez zarzutu. Ma pan pozwolenie na pozostanie tutaj do czternastej. Jeśli będziecie chcieli przedłużyć pobyt, proszę skontaktować się z wieżą kontrolną. Kiedy będziecie gotowi, proszę udać się na kontrolę celną. Jeśli można, całą załogą jednocześnie.
 - Oczywiście. Jak tylko zatankujemy.
 - Czy pan i pańska załoga wiecie, że na teren kolonii zabroniony jest wwóz jakiegokolwiek broni palnej? Tu, w Hongkongu, broń palna nas denerwuje.
 - Mnie też, panie nadinspektorze, i to w każdym miejscu. Dlatego ja mam jedyny klucz do szafy z bronią.
 - To dobrze. W razie jakichś kłopotów proszę się skontaktować z moim biurem.
- Armstrong wyszedł i sprawdził paszport stewardesy. Była piękna, nazywała się Jenny Poilard. Jannelii bacznie obserwował formalne czynności Armstronga.
- Sukinsyn - mruknął pod nosem. - Coś mi tu śmierdzi.
 - He?
 - Od kiedy to Wydział Spraw Kryminalnych sprawdza tak dokładnie paszporty? Upewniam się, czy

czegoś nie wwozimy?

- Ależ nie. Zawsze wszystko sprawdzamy. Oczywiście nie podejrzewam o nic Linca ani Casey, ale nie chciałbym, żeby postąpili z jakiegoś powodu nierozsądnie.

- Cztery lata już z nim latam i ani razu... Ech, i tak coś tu śmierdzi. -Jannelii zasiadł wygodnie na swoim miejscu. - Jezu, jeszcze tylko raport i koniec tygodnia.

W holu Armstrong oddał paszport stewardesy sierżantowi Lee do podstemplowania.

- Dziękują, panno Pollard.

- Dziękuję.

- To już cała załoga, sir - oznajmił Svensen. - Teraz pan Bartlett.

- Tak, proszę.

Svensen zapukał w drzwi między fotelami i otworzył, nie czekając na zaproszenie.

- Linc, to nadinspektor Armstrong - powiedział bezceremonialnie.

- Cześć - odezwał się Bartlett, wstając zza biurka. Podali sobie ręce. -

Napije się pan? Może piwa?

- Nie, dziękuję. Chyba że kawy.

. Svensen natychmiast odwrócił się do kuchenki.

- Już się robi.

- Proszę się czuć jak u siebie. Oto mój paszport - mówił Bartlett. - Przepraszam na chwilę. -
Podszedł do biurka i kończył coś pisać dwoma palcami na maszynie.

Armstrong leniwie go obserwował. Bartlett miał jasne włosy i niebieskie oczy oraz sympatyczną twarz. W sportowej koszulce i džinsach wyglądał

schludnie. Armstrong wprawnie przejrzał paszport. Miejsce i data urodzenia: Los Angeles, 1 października 1922. Młodo wygląda jak na czterdziestkę, pomyślał. Taka sama wiza radziecka jak u Casey Tcholak, żadnych innych wizyt za Żelazną Kurtyną.

Wędrował wzrokiem po pomieszczeniu. Było obszerne, zajmowało całą szerokość kadłuba samolotu. Prowadził z niego maleńki korytarzyk do dwóch kabin i dwóch toalet. Za ostatnimi drzwiami najprawdopodobniej znajdowała się sypialnia.

Kabina została urządzona jak centrum komunikacyjne. Telefony międzyna-

rodowe, telepołączenia podłączone do maszyny do pisania. Podświetlany zegar z czasami na całym świecie. Katalogi, powielacz i zarzucone dokumentami biurko pokryte skórą. Półki z książkami. Księgi podatkowe, kilka kieszonkowych książeczek. Reszta to książki o wojnie, o dowódcach i pisane przez dowódców. Dziesiątki. Wellington, Napoleon, Patton, Eisenhowera *Europejska krucjata*, *Sztuka wojenna* Sun Tzu...

- Proszę bardzo, sir - Svensen przerwał oględziny Armstronga.

- Dziękuję panu. - Wziął kawę i nalał śmietanki.

Svensen postawił na biurku Bartletta nową puszkę zmrożonego piwa i zabrał pustą, a potem wrócił do kuchenki i zamknął za sobą drzwi. Bartlett napił się piwa prosto z puszki, przeczytał, to co napisał, i nacisnął na dzwonek. Natychmiast zjawił się Svensen.

- Powiedz kapitanowi, żeby poprosił więź o przesłanie tego. - Svensen skinął głową i wyszedł. Bartlett przeciągnął się i odwrócił na obrotowym krześle.

- Przepraszam, ale musiałem to załatwić.
- Nic się nie stało. Pańska prośba o pozostanie na noc została przyjęta.
- Dziękuję, bardzo dziękuję. Czy Svensen też może zostać? - Bartlett uśmiechnął się. - Słabo znam się na kuchni.
- Proszę bardzo. Jak długo zamierza pan trzymać tu samolot?
- To zależy od jutrzejszych spotkań. Mam nadzieję na zrobienie interesu ze Struanami. Jakiś tydzień, dziesięć dni.
- A więc jutro będzie panu potrzebne inne miejsce na parkowanie. Jutro o szesnastej przylatuje kolejna ważna osobistość. Powiedziałem kapitanowi Jannelli, żeby przed czternastą skontaktował się z kontrolą naziemną.
- Dziękuję. Czy dowódca CID w Koulunie zawsze zajmuje się tak przyziemnymi sprawami?

Armstrong uśmiechnął się.

- Lubię wiedzieć, co się dzieje na moim terenie. To nudny nawyk, ale przydatny. Nieczęsto mamy tu prywatne samoloty, również pan Czen nieczęsto wychodzi osobiście na lotnisko. Próbujemy, jeśli się da, iść ludziom na rękę.

Większa część lotniska należy do Struanów, a John jest moim dobrym znajomym. Pana też?

- Poznaliśmy się w Nowym Jorku, widzieliśmy się też w Los Angeles i bardzo mi przypadł do gustu. Panie nadinspektorze, mam tutaj.. - Zadzwoił

telefon. Bartlett odebrał. - O, cześć, Charlie, co nowego w Nowym Jorku?... Jezu, to wspaniale. Ile?... Okay... Jasne, od razu w poniedziałek rano, jak tylko otworzą giełdę. Przyślij potwierdzenie... - Bartlett odłożył słuchawkę i zwrócił

się do Armstronga: - Panie nadinspektorze, mam tutaj swoje centrum komunikacyjne i bez niego byłoby mi bardzo trudno. Czy gdy zaparkujemy tutaj na tydzień, to nic się nie stanie, jeśli będę tu przychodził?

- Obawiam się, że to nie będzie takie proste, panie Bartlett.
- To znaczy tak, nie czy być może?
- To znaczy, że będzie trudno. Przykro mi, ale tu chodzi o bezpieczeństwo Kai Tak.
- Z przyjemnością zapłacę, jeśli trzeba będzie zatrudnić dodatkowych ludzi.

- To sprawa bezpieczeństwa, panie Bartlett, nie pieniędzy. Zobacz pan, że telefony w Hongkongu działają doskonale. - I wywiadowi łatwiej będzie cię mieć na oku, dodał w myślach.

-Cóż, skoro tak... Armstrong

napił się kawy.

- Pan pierwszy raz w Hongkongu?

- Tak. W ogóle pierwszy raz w Azji. Najdalej w życiu dotarłem do Gu-adalcanal. W czterdziestym trzecim.

- Z wojskiem?

- Byłem sierżantem wojsk inżynieryjnych. Budowaliśmy różne rzeczy: hangary, mosty, obozy, wszystko. Wiele wtedy doświadczyłem. - Bartlett napił

się piwa. - Na pewno nie chce pan drinka?

- Nie, dziękuję. - Armstrong skończył kawę i zaczął wstawać.

- Mogę panu zadać pytanie?

- Oczywiście.

- Jaki jest ten Dunross? Ian Dunross. Szef Struanów.

- Tai-pan? - Armstrong lekko się uśmiechnął. - Zależy, kogo pan pyta, panie Bartlett. Jeszcze go pan nie poznał?

- Nie, dopiero jutro na lunchu. Dlaczego mówi pan na niego „tai-pan”?

- „Tai-pan” w dialekcie kantońskim znaczy „najwyższy wódz” - osoba o największej władzy. Dla Chińczyków tai-panami są Europejczycy stojący na czele starych kompanii handlowych. Ale Dunross jest tai-panem nawet wśród tai-panów. Kompanię Struanów nazywa się czasem Noble House albo Noble *Hong*, *hong* to kompania. Dzieje się tak już od początku handlu z Chinami, gdy powstawał

Hongkong. A założony został dwudziestego szóstego stycznia tysiąc osiemset czterdziestego pierwszego roku. Założyciel Struanów owiany jest legendami jeszcze do tej pory. . nazywał się Dirk Struan. Niektórzy mówią, że to pirat, inni, że książę. W każdym razie zbił fortunę na przemyśle indyjskiego opium do Chin, gdzie zamieniał srebro na herbatę i wysyłał ją do Anglii. Wśród kupców był

księciem, zasłużył na tytuł najwyższego z tai-panów. Od tej pory Struanowie zawsze starają się być pierwszymi.

- I udaje im się?

-No, kilka kompanii depta im po piętach, szczególnie Rothwell-Gornt, ale tak, można powiedzieć, że udaje im się. Z pewnością do każdej rzeczy sprowadzonej albo eksportowanej z Hongkongu, albo tu wyprodukowanej przyłożyli rękę Struanowie, Rothwell-Gornt, Asian Properties, Blacs - Bank Londynu i Chin - lub Victoria Bank.

- A sam Dunross? Jaki on jest?

Armstrong zastanawiał się chwilę, a potem zdecydowanie powiedział:

- To znów zależy od tego, kogo pan pyta, panie Bartlett. Ja go znam mało, spotykamy się czasem w

towarzystwie, na wyścigach, ale oficjalnie miałem z nim dwa spotkania. Jest z pewnością czarujący, zna się na swojej pracy. Myślę, że pasuje do niego określenie „błyskotliwy”.

- Do niego i do rodziny należy większość udziałów Struanów?

- Tego nie wiem na pewno. Wątpię, czy wie to ktokolwiek spoza rodziny. Ale posiada udziały nie tylko w Struanach. Tego jestem pewien na sto procent. - Nie spuszczał wzroku z Bartletta. - Niektórzy mówią, że Dunross to człowiek bezwzględny, mógłby nawet zabić. Nie chciałbym mieć w nim wroga.

Bartlett napił się piwa, a na jego twarzy pojawił się dziwny uśmieszek.

- Czasami wróg jest cenniejszy niż przyjaciel.

- Czasami. Mam nadzieję, że pański pobyt u nas okaże się owocny.

- Dziękuję. - Bartlett wstał. - Myślę, że się jeszcze spotkamy. - Otworzył

drzwi i wypuścił Armstronga oraz sierżanta Lee, a potem wyszedł z nimi na schody. Nabrał powietrza głęboko w płuca. Znow coś dziwnego uderzyło go w zapachu, nie był ani miły, ani nieprzyjemny, ani odór, ani zapach perfum. Po prostu dziwna woń, intensywna i niepokojąca.

- Czym tu czuć, panie nadinspektorze? Casey też to zauważyła. Jak tylko Sven otworzył drzwi.

Armstrong po chwili wahania uśmiechnął się.

- Pieniędźmi, panie Bartlett. Hongkong to osobliwe miejsce.

2 23:48

- Wszyscy bogowie ponoszą odpowiedzialność za mój dzisiejszy pech

- rzucił przez zęby Wu Cztery Palce i splunął na pokład. Siedział na rufie swojej dżonki przycumowanej wraz z wieloma innymi łodziami na przystani Aberdeen znajdującej się na południowym wybrzeżu wyspy Hongkong.

Noc była parna i gorąca, a Wu grał z trzema przyjaciółmi w *ma-dżong*.

Wszyscy byli tak samo starzy i ogorzali na twarzy jak on i wszyscy byli dowódcami na jego dżonkach. Pływali w jego flotyli i podlegali jego rozkazom. Właściwie nazywał się Wu Sang Farlg. Niskiego wzrostu, u lewej ręki brakowało mu kciuka, szerzył w uśmiechu prawie bezzębne dziąsła.

Jego dżonka była stara, poobijana i brzydka. On dowodził flotyllą przewożącą, a jego flaga - Srebrny Lotos - powiewała na czterech morzach.

Gdy znow przyszła kolej na niego, wyciągnął patyczek z kości słoniowej.

Popatrzył i, jakby ręka odmówiła mu posłuszeństwa, upuścił go, a potem znow splunął. Ślina rozprysnęła się po pokładzie. Miał na sobie, tak samo jak jego przyjaciele, stary, postrzępiony podkoszulek i czarne szerokie spodnie. Tylko w tej rozgrywce stracił dziesięć tysięcy dolarów.

- *Aiii ia* - zawodził Tang Czarna Ospa, spoglądając na dający mu niewielką wygraną patyczek, który właśnie wyciągnął. - Niech będą przeklęte wszystkie matki oprócz naszych, jeśli nie wygram! - Wyrzucił patyczek daleko od siebie.

- Niech będzie przeklęta twoja, jeśli wygrasz ty, a nie ja! - zaklął drugi i wszyscy roześmiali się.

38

- I niech będą przeklęte te obce diabły ze Złotych Gór, jeśli dzisiaj nie przybędą - powiedział Poon Ładna Pogoda.

- Przyjadą - zapewnił go konfidencjonalnie Wu Cztery Palce. - Obce diabły trzymają się rozkładu. Ale i tak dla pewności wysłałem na lotnisko Siódmego Syna. - Zaczął wyciągać patyczek, ale zatrzymał się i spojrzał

przez ramię. Patrzył uważnie na dżonkę rybacką sunącą powoli na koniec przystani między zacumowanymi przy brzegach łodziami. Miała włączone tylko latarnie burtowe. Pozornie dżonka płynęła na nocny połów, ale naprawdę należała do niego i została wysłana, aby odebrać z tajlandzkiego trawlera ładunek opium. Gdy bezpiecznie przepłynęła, znów skoncentrował

się na grze. Mimo niewielkiego odpływu, dokoła większości łodzi woda była dość głęboka. Z brzegu dolatywał odór gnijących wodorostów, muszli i ludzkich odchodów.

Większość sampanów i dżonek tonęła w ciemnościach, a ich mieszkańcy spali. Gdzieś palły się lampy naftowe. Łodzie różnych wielkości były ze sobą powiązane pozornie bez ładu, ale w rzeczywistości tworzyły coś w rodzaju pływającej wioski pociętej alejkami. Była ona domem dla ludów Tanka i Haklo, które tam spędzały prawie całe swe życie, ich członkowie tam rodzili się i umierali. Wiele z tych łodzi nigdy nigdzie nie odpływało, aż wreszcie tonęły, padały ofiarą tajfunu albo spalały się doszczętnie podczas jednego z tych widowiskowych pożarów spowodowanych przez nieuważne strącenie nogą lub ręką lampy naftowej albo przez dodanie do ognia czegoś łatwo palnego.

- Dziadku! - zawołał młodzieniec.

- Co jest? - zapytał Wu.

- Patrz na falochron! Siódmy Syn! - Dwunastoletni chłopiec wyciągał rękę w stronę brzegu.

Wu wraz z przyjaciółmi wstał i spoglądał na nabrzeże. Młody Chińczyk płacił za taksówkę. Miał na sobie dżinsy, luźną koszulkę i sportowe buty.

Taksówka stała obok zejścia do mieszczącej się na ogromnej łodzi restauracji przycumowanej do odległego o sto metrów falochronu. Lokal znajdował się w dwu-, trzy- i czteropiętrowych domkach błyszczących szkarłatem, zielenią i złotem wygiętych do góry chińskich dachów oraz wszelkiego rodzaju maszkaronów i smoków.

- Masz dobre oczy, Wnuku Numer Trzy. To dobrze. Wyjdź na spotkanie Siódmemu Synowi. - Dzieciak w jednej chwili wskoczył pewnie na rozchybotaną deskę łączącą ich dżonkę z sąsiednią. Cztery Palce obserwował

wystającą zza jednej z łodzi głowę Siódmego Syna. Gdy wysłany przewoź

nik zabrał go, odwrócił się plecami do brzegu i usiadł. - No, dalej, kończy my grę - zarządził ponuro.
- To moja ostatnia partia. Muszę dzisiaj zejść na ląd.

Jakiś czas grali, wyciągając patyczki i wyrzucając je. -*Aiii ia!* - krzyknął Tang Czarna Ospa na widok płytki podniesionej ze stołu, a potem odłożył ją do pozostałych trzynastu. - Patrzcie, na bogów! Wszyscy otworzyli na ten widok usta.

- Sram! - zawołał Wu. - Sram na całe twoje potomstwo, Tang Czarna Ospa!

Co za pech.

- Jeszcze jedną partię? Dwadzieścia tysięcy, Cztery Palce? - mówił Tang pewny siebie. Był przekonany, że stary demon Czi Kung, bóg hazardzistów, siedzi u jego boku.

Wu zaczął kręcić głową, ale w pewnej chwili przeleciał nad nim morski ptak i krzyknął przeraźliwie.

- Czterdzieści - powiedział, natychmiast zmieniając zdanie. Uznał krzyk ptaka za znak z niebios zwiastujący odwrócenie złego losu. - Czterdzieści tysięcy albo nic! Ale w kości, bo nie mam czasu.

- Na bogów, nie mam czterdziestu gotówką, ale do tych dwudziestu, co mi jesteś winien, dodam pożyczkę, jak jutro otworzą banki, dam w zastaw moją dzonkę.. i swój udział w następnym przewozie opium lub złota. Jeśli przegram.

Heya?

- Za dużo pieniędzy jak na jedną grę - rzekł z dezaprobatą Poon Ładna Pogoda. - Postradaliście zmysły.

- Jeden rzut o wszystko?

- Aj! Obydwaj powariowaliście! - mówił Poon. Jednak drżał z emocji podobnie jak inni. - Gdzie są kości?

Wu wyłożył je na stół. Były trzy.

- Rzucaj, Tang Czarna Ospa, niech twoja przyszłość będzie przeklęta.

Tang Czarna Ospa splunął w dłonie, odmówił cicho modlitwę i rzucił kości.

- Och, och, och! - krzyczał z gniewu. Cztery, trzy, znów cztery. - Jede naście!

Pozostali ciężko westchnęli.

Wu napluł na kości, przeklął je, pobłogosławił i rzucił. Sześć, dwa, trzy. -

Jedenaście! Na bogów, mało! Rzucaj jeszcze!

Na pokładzie panowało napięcie. Tang Czarna Ospa rzucił.

- Czternaście.

Wu skoncentrował się, rozluźnił i rzucił.

- *Aiii ia*! - wybuchnął podobnie jak wszyscy pozostali. Sześć, cztery, dwa.

- *Iiiiiii!* - Tyle tylko zdołał z siebie wyrzucić trzymający się za brzuch Tang Czarna Ospa. Dwaj inni gracze gratulowali mu i współczuli przegranemu.

Wu wzruszył ramionami. Serce stukało mu jak młot.

- Niech będą przeklęte wszystkie ptaki morskie latające nad moją głową!
- Ach, to dlatego zmieniłeś zdanie, co, Wu Cztery Palce?
- Tak, myślałem, że to znak. Ile morskich ptaków krzyczy, przelatując ci w nocy nad głową?
- Prawda, ja bym zrobił to samo.
- *Dżos!* ~ Wu rozpromienił się. - liii, to, co czujesz, jak grasz, jest ważniejsze od Chmur i Deszczu, *heya?*
- Nie w moim wieku.
- A ile ty masz lat, Tang Czarna Ospa?
- Sześćdziesiąt... może siedemdziesiąt. Prawie tyle co ty. - Narodzin Hakłów nie spisywano tak regularnie jak przyjscia na świat członków ludów mieszkających na lądzie. - Ale czuję się na trzydziestkę.
- Słyszałeś, że sklep z medykamentami w Aberdeen przyjął nową dostawę koreańskiego żeń-szenia? Część podobno pochodzi sprzed stu lat. Dodałby twojej kuście ognia! - zachęcał Poon Ładna Pogoda.
- Jego kuście nic nie brakuje! Znowu zrobił dzieciaka swojej trzeciej żonie. -

Wu pokazał w uśmiechu bezzębne dziąsła i wyciągnął gruby plik pięćsetdolarowych banknotów. W liczeniu ani trochę nie przeszkadzał mu brak kciuka. Stracił go w rzecznej walce z piratami podczas szmuglerskiej wyprawy.

Przestał liczyć, gdy na pokładzie pojawił się Siódmy Syn. Młodzieniec był wysoki jak na Chińczyka. Miał dwadzieścia sześć lat. Niewprawnie stąpał po pokładzie. Z

góry dobiegał ich zbliżający się warkot samolotu odrzutowego.

- Przybyli, Siódmy Synu?
- Tak, ojczu, przybyli.
- Znakomicie! - Cztery Palce na dobre odzyskał humor. - Możemy zaczynać.
- Ej, Cztery Palce - odezwał się siedzący w zamyśleniu Tang Czarna Ospa, patrząc nieruchomo na kości. - Sześć, cztery i dwa... razem dwanaście, inaczej trzy... magiczna liczba.
- Tak, tak, zauważyłem.

Tang Czarna Ospa wskazał palcem na północ i lekko na wschód, w stronę, gdzie za górami, po

drugiej stronie wyspy, sześć mil od przystani Aberdeen znajdowało się lotnisko Kai Tak.

- Może twój los się odwróci, *hey*?

5:16

W poranną szarówkę pod przejście numer 16 na wschodnim końcu terminalu, obok pasa startowego, na którym stał „Yankee 2”, zajechał dżip z dwoma ubranymi w kombinezony mechanikami. Pomost ze schodami nadal stał na swoim miejscu, a główne drzwi były lekko otwarte. Mechanicy, obydwaj Chińczycy, wysiedli, jeden z nich zajął się przeglądem samolotu od przodu, a drugi od tyłu.

Sprawdzali po kolei koła, opony, hamulce hydrauliczne i siedziska kół. Obydwaj świecili sobie latarkami. Jeden z mechaników wyjął płaski klucz i stanął na kole w celu dokładniejszej inspekcji. Głowę i tułów miał już w środku samolotu. Po chwili zawołał cicho w dialekcie kantońskim:

- *Aiii ia !* Hej, Lim, popatrz tutaj.

Drugi z Chińczyków podszedł i popatrzył do góry. Biały kombinezon miał poplamiony potem.

- Są czy nie? Stąd nie widzę.

- Bracie, wsadź sobie swą męskość do ust i tryśnij do gardła. Oczywiście, że są. Jesteśmy bogaci, nigdy nie zabraknie nam ryżu! Ale bądź cicho, bo obudzisz te śmierzące obce diabły! Trzymaj... - Mężczyzna podał na dół owinięty w płótno pakunek, a Lim natychmiast zabrał go w milczeniu do dżipa. Potem następny i następny. Pocili się z nerwów, działali szybko, ale bezszelestnie.

Jeszcze jeden pakunek i jeszcze jeden...

Nagle Lim zauważył wyjeżdżający zza rogu policyjny samochód i jednocześnie wysypującą się z przejścia numer 16 grupę umundurowanych mężczyzn, wśród których przeważali Europejczycy.

- Zdrada! - syknął, rzucając się w beznadziejną ucieczkę ku wolności.

Policyjny dżip dogonił go bez trudu, więc stanął, trzęsąc się ze strachu. Potem splunął, przeklął bogów i zaraz wszystko odwołał.

Drugi z mężczyzn natychmiast zeskoczył na dół i rzucił się na fotel kierowcy.

Zanim zdążył uruchomić silnik, został zatrzymany i zakuty w kajdanki.

- Dokąd to jedziemy? - wysyczał sierżant Lee.

- Nie wiem, panie władzo, to on, ten tam, ten syn dziwki, panie władzo, przysiągł, że mi gardło poderżnie, jak mu nie pomogę. Na grób mojej matki, ja nic nie wiem!

- Łżesz, łajdaku, nigdy nie miałeś matki. Jak nie zaczniesz gadać, trafisz do pudła na piętnaście lat!

- Przysięgam, panie władzo, na wszystkich bogów, że...

- Sram na twoje kłamstwa, dupku. Kto ci zapłacił za tę robotę? Armstrong bardzo wolno szedł po asfaltowej tafli lotniska. W ustach

czuł nieprzyjemny, słodkawy smak morderstwa.

- No i co tu się dzieje, sierzancie? - zapytał po angielsku. Całą noc czekali, byli zmęczeni i nie w humorze, zupełnie nie w nastroju, aby słu chać mechaników zapewniających o swej niewinności, więc odezwał się w doskonale opanowanym dialekcie kantońskim: -Jeszcze jedno małe, nie przemyślane słówko, dostawco gówna trędowatych, a każę ludziom sko czyć na twój Tajny Worek.

Mężczyzna zamarł w bezruchu.

- Dobrze. Jak się nazywasz?

- Tan Szu Ta, panie.

- Kłamstwo! Jak się nazywa twój przyjaciel?

- Lim Ta-czung, ale to nie jest mój przyjaciel, panie. Poznałem go dopiero nad ranem.

- Kłamstwo! Kto wam za to płaci?

- Nie wiem, kto płaci jemu, panie. On powiedział, że poderż...

- Kłamstwo! Twoje usta są tak pełne łajna, że sam musiałeś stać się demonem łajna. Co macie w tych pakunkach?

- Nie wiem. Przysięgam na groby moich przód...

- Kłamstwo! - Armstrong powiedział to automatycznie, bo wiedział, że tu kłamstwo jest nieuniknione.

- Chińczyk nie jest taki sam jak my - mawiał jego pierwszy nauczyciel w policji, fachowiec od spraw Chin. - Nie chodzi o to, że nie robi znaku krzyża czy coś w tym rodzaju. On po prostu jest inny. Kłamię ci w żywe oczy, a gdy go na tym przyłapiesz, będzie kłamał nadal, będzie kręcił jak kijem w kupie gówna. Są zupełnie inni. Weźmy na przykład ich imiona. Każdy Chińczyk ma cztery różne imiona: jedno, gdy się rodzi, drugie, gdy dojrze, trzecie, gdy jest dorosły, i czwarte, które wybiera sobie sam. Przy odrobinie wódki może jedno zapomnieć albo jakieś dodać. A te ich imiona! Boże kochany! Chińczycy nazywają je *lao-tsi-sing* ~ Sto Dawnych Imion. W całych Chinach istnieje tylko sto podstawowych imion, a w nich dwadzieścia Ju, osiem Jen, dziesięć Wu i Bóg wie ile Ping, Li, Lee, Czen, Czin, Czing, Wong, Fu, a każde z nich można wymawiać na pięć różnych sposobów, tak że Bóg jeden wie, kto jest kim.

- A więc bardzo trudno zidentyfikować podejrzanego, sir?

- To prawda, młodzieńcze, to prawda. Możesz mieć pięćdziesięciu Li, pięćdziesięciu Czangów i czterystu Wangów, a żaden nie będzie ze sobą spokrewniony. Boże kochany! Tu w Hongkongu to poważny problem.

Armstrong westchnął. Po osiemnastu latach personalia nadal stanowiły dla niego utrapienie. Co gorsza, każdy z nich miał jakiś pseudonim, pod którym był

zwykle lepiej znany.

- Jak się nazywasz? - zapytał i nie trując się czekaniem na odpowiedź, warknął: - Kłamstwo! Sierżancie! Proszę to rozwinąć! Zobaczmy, co my tu mamy.

Sierżant Lee odsłonił wszystkie warstwy materiału. W środku znajdował się amerykański pistolet automatyczny M14. Nowy i dobrze naoliwiony.

- Z czymś takim, kurwi podrzutku - krzyczał Armstrong - będziesz bła gał o piętnaście lat!

Mężczyzna patrzył na pistolet z niemądrą miną, a potem wymamrotał

matowym głosem:

- Niech mnie przeklną wszystkie demony, jeśli wiedziałem, że to broń!

- Ale teraz już wiesz! - wrzasnął Armstrong. - Sierżancie, proszę wrzucić go do radiowozu i zamknąć za przemyt broni.

Brutalnie odciągnięto mężczyznę. Jeden z młodszych chińskich policjantów zaczął rozwijać drugi pakunek. Mały i kanciasty.

- Stój! - ryknął Armstrong po angielsku. Policjant i wszyscy w pobliżu stanęli jak wryci. - W którymś może być pułapka. Wszyscy odsunąć się od dżipa! - Pocił

się, wydając rozkazy. - Sierżancie, zostawmy nasze bomby specjalistom. Teraz już nie ma pośpiechu.

- Tak jest! - Sierżant Lee ruszył do nadajnika w radiowozie. Armstrong wszedł

pod samolot. Nie zauważył nic szczególnego. Potem stanął na jednym z kół.

- Chryste! - westchnął. W ładowni zobaczył pięć półek, z których jedna była pusta, a pozostałe nadal zapełnione. Sądząc po wielkości pakunków, takimi samymi M14 oraz paczkami z amunicją lub granatami.

- Coś tam jest, sir? - zapytał inspektor Thomas, młody Anglik od trzech lat na służbie.

- Proszę spojrzeć! Ale niech pan niczego nie dotyka.

- Chryste! Wystarczyłoby dla całego oddziału!

- Tak. Ale czyja to sprawa?

- Komunistów?

- Albo nacjonalistów, albo bandytów. To...

- Co tam się, do diabła, dzieje na dole?

Armstrong rozpoznał głos Linca Bartletta. Zamilkł i zeskoczył na dół, Thomas poszedł w jego ślady. Staęli przy schodach.

-

Też byśmy się chcieli dowiedzieć, panie Bartlett! - zawołał.

Bartlett stał w głównym wejściu do samolotu, obok niego Svensen. Oby dwaj mieli na sobie pizamy i szlafroki. Wyglądali na zaspanych.

- Chciałbym, żeby rzucił pan na to okiem - Armstrong wskazał na pistolet wystający częściowo z dżipa.

Bartlett natychmiast zszedł na dół, a Svensen podążył za nim.

- Na co?

- Czy zechciałby pan, panie Svensen, poczekać w samolocie?

Svensen chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Spojrzał na Bartletta, który skinął mu głową.

- Zrobisz kawę, Sven?

- Jasne, Linc.

- O co chodzi, panie nadinspektorze?

- O to! - wskazał palcem Armstrong.

- M14 - Bartlett zmrużył oczy. - I co z tego?

- Wygląda na to, że w pańskim samolocie znajduje się więcej takiej broni.

- Niemożliwe.

- Właśnie aresztowaliśmy dwóch mężczyzn rozładowujących towar. Jeden stoi tam - wskazał na zakutego mechanika przy dżipie - a drugi jest w radiowozie.

Zechce pan zajrzeć do ładowni, sir?

- Oczywiście. Gdzie?

- Proszę stanąć na kole.

Bartlett postąpił zgodnie z poleceniem. Armstrong i inspektor Thomas uważnie patrzyli, gdzie kładzie ręce, aby potem zebrać odciski palców. Bartlett patrzył osłupiały na półki.

- A niech mnie! Jeśli jest tego więcej, to już potężny arsenał.

- Tak. Proszę niczego nie dotykać.

Bartlett przyjrzał się półkom, a potem zszedł na dół. Był już zupełnie rozbudzony.

- To nie jest zwykły przemyt. Te półki wykonał profesjonalista.

- Tak. Nie ma pan nic przeciwko przeszukaniu samolotu?

- Ależ skąd.

- Proszę zaczynać, inspektorze - polecił Armstrong. - Tylko bardzo uważnie i ostrożnie. A teraz poproszę pana o wyjaśnienia, panie Bartlett.

- Nie przemycam broni, panie nadinspektorze. Nie sądzę, żeby brał w tym udział mój kapitan ani O'Rourke. Ani Svensen.

- A panna Tcholak?

- Na miłość boską!

- To bardzo poważna sprawa, panie Bartlett - mówił chłodnym głosem Armstrong. - Pański samolot zostaje skonfiskowany i bez zgody policji, aż do dalszych poleceń, nie wolno ani panu, ani nikomu z pańskiej załogi opuszczać kolonii. A zatem... co z panną Tcholak?

- Niemożliwe, absolutnie wykluczone, żeby Casey miała cokolwiek wspólnego z bronią, przemytem broni... jakimkolwiek przemytem. Wy-48

kluczone. - Bartlett był zaniepokojony, ale zupełnie się nie bał. - To samo dotyczy reszty. - Nagle zaostrzył ton. - Mielicie jakieś doniesienie, prawda?

- Na jak długo wylądowaliście w Honolulu?

- Godzinę, dwie. Tylko tankowaliśmy. Dokładnie nie pamiętam. - Przez chwilę Bartlett zastanawiał się. - Jannelli wysiadł, ale zawsze to robi. Raczej niemożliwe, żeby te półki załadowano podczas tej godziny.

- Jest pan pewien?

- Nie, ale gotów jestem się założyć, że doszło do tego jeszcze przed opuszczeniem Stanów. Ale gdzie, kiedy, przez kogo i po co, nie mam pojęcia. A pan?

- Jeszcze nie. - Armstrong uważnie mu się przyglądał. - Chce pewnie pan wrócić do swojego biura. Możemy tam przyjąć od pana oświadczenie.

- Oczywiście. - Bartlett spojrział na zegarek. Była za siedemnaście szósta. -

Chodźmy od razu, potem muszę przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Nie przyłączyliśmy się jeszcze do waszych sieci. Jest tam lokalny telefon? - Wskazał

palcem na terminal.

- Tak. Wolelibyśmy jednak porozmawiać z kapitanem Jannelli i panem O'Rourke przed panem, jeśli

nie ma pan nic przeciwko temu. Gdzie się zatrzymali?

- W hotelu „Victoria and Albert”.

- Sierżancie Lee!

- Tak jest!

- Jedźcie do Komendy Głównej.

- Tak jest!

- Jeśli także to panu nie przeszkadza, wolałbym pierwszy porozmawiać również z panną Tcholak.

Bartlett wszedł na schody, a Armstrong podążył za nim. W połowie drogi Amerykanin powiedział:

- Dobrze. Ale zrobi to pan osobiście i nie przed siódmą czterdzieści pięć. Ona ciężko pracuje, a dzisiaj ma szczególnie trudny dzień. Nie chciał

bym jej niepotrzebnie niepokoić.

Weszli do samolotu. Sven ubrany i zdenerwowany czekał przed wejściem do apartamentu Bartletta. Wszędzie kręcili się umundurowani policjanci i wszystko dokładnie przeszukiwali.

- Co z kawą, Sven? - Bartlett wszedł do swojego biura. Wszystkie drzwi były pootwierane. Armstrong zajrzał do sypialni z wielkim łóżkiem. Inspektor Thomas przeglądał zawartość szuflad.

- Cholera - burknął Bartlett.

- Przykro mi - powiedział Armstrong - ale to konieczne.

- To nie znaczy, że musi mi się to podobać, nadinspektorze. Nigdy nie lubiłem, gdy obcy ładowali mi się do życia z butami.

- Ma pan rację. -Nadinspektor wezwał jednego z oficerów. - Sung!

- Tak jest!

- Możecie zająć się dołem?

- To nam oszczędzi trochę czasu - podkreślił Bartlett, odwracając się w stronę całego zespołu urządzeń elektronicznych. Włączył dwutaśmowy magnetofon. Mikrofon postawił na biurku. - Jedna taśma będzie dla pana, a druga dla mnie. Pańscy ludzie przepiszą to na maszynie, a jeśli będzie trzeba podpisać, jestem tutaj.

- Dziękuję.

- A więc zaczynamy.

Armstrong nagle poczuł się nieswojo.

- Mógłby pan mi powiedzieć, co pan wie na temat próby przemytu broni znajdującej się w ładowni pańskiego samolotu, panie Bartlett? Bartlett powtórzył, że nie ma pojęcia.

- Nie wierzę też, żeby ktoś z członków załogi lub którykolwiek z moich ludzi mógł mieć w tym jakikolwiek udział. Z tego co wiem, żaden nigdy nie wszedł w kolizję z prawem. A wiedziałbym o tym na pewno.

- Jak długo pracuje dla pana kapitan Jannelli?

- Cztery lata. A O'Rourke dwa. Svensen, odkąd tylko mam samolot, od pięćdziesiątego ósmego roku.

- A panna Tcholak?

- Sześć, prawie siedem lat - odparł Bartlett po przerwie.

- Jest pana zastępcą?

- O tak.

- To niecodzienne, prawda, panie Bartlett?

- Tak. Ale to nie ma nic do rzeczy.

- Pan jest właścicielem samolotu?

- Moja kompania. Par-Con Industries Incorporated.

- Czy ma pan wrogów? Kogoś, kto chciałby przysporzyć panu poważnych kłopotów?

Bartlett uśmiechnął się.

- Czy pies ma pchły? Nie prowadzi się wartej pół miliarda dolarów kompanii, zdobywając sobie jedynie przyjaciół.

- Ajakichś szczególnych wrogów?

- Pan mi o tym powie. Handel bronią to bardzo poważna operacja, z pewnością zajmowali się tym profesjonaliści.

- Kto wiedział o pana locie do Hongkongu?

- Wizyta została zaplanowana już przed kilkoma miesiącami. Wiedziała o niej cała moja rada nadzorcza. A także planiści. - Zmarszczył brwi. - Nie trzymałem tego wyjazdu w tajemnicy. Nie było powodów. Struanowie znali dokładną datę od jakichś dwóch tygodni. Ustaliliśmy ostateczną datę: dwu-50

nasty. Ja chciałem przyjechać wcześniej, ale Dunross powiedział, że bardziej mu pasuje poniedziałek, dziewiętnasty, a więc dzisiaj. Może jego powinien pan zapytać.

- Zrobię to, panie Bartlett. Dziękuję bardzo.

- Ja też chciałbym zadać kilka pytań, jeśli pan pozwoli, panie nadinspektorze.

Jaka kara grozi za przemyt broni?

- Dziesięć lat bez zawieszenia.

- Jaką wartość ma ten ładunek?

- Jest bezcenny. Zwłaszcza dla odpowiedniego kupca. U nas nikt, absolutnie nikt nie może posiadać broni.

- Kim jest odpowiedni kupiec?

- Każdy, kto chce wszczynać jakieś zamieszki, powstanie albo dokonać zbiorowego morderstwa, napadu na bank lub jakiejś innej zbrodni.

- Komuniści?

Armstrong uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Oni nie potrzebują do nas strzelać, żeby przejąć kolonię. Nie potrzebują szmuglować M14. Mają dość własnej broni.

- Nacjoniści? Ludzie Czang Kai-szeka?

- Oni są uzbrojeni lepiej niż dobrze przez rząd USA, prawda? Nie potrzebują przemycać broni w ten sposób.

- Może jakiś gang?

- Dobry Boże, panie Bartlett, nasze gangi nie strzelają do siebie. Nasze gangi, my nazywamy je triadami, mają zupełnie inne sposoby. Walczą na noże i siekiery, a czasami na anonimowe telefony na policję.

- Założę się, że maczali w tym palce Struanowie. Tam leży rozwiązanie zagadki.

- Być może - Armstrong uśmiechnął się osobliwie. - Być może. . A teraz wybaczy pan, ale...

- Oczywiście. - Bartlett wyłączył magnetofon, wyjął taśmy i jedną podał

Armstrongowi.

- Dziękuję.

- Ile jeszcze czasu zajmie rewizja?

- Zależy. Może z godzinę. Musimy sprowadzić kilku specjalistów. Postaramy się jak najmniej przeszkadzać.

- Ma pan jakieś plany przed lunchem?

-Nie.

- Jeśli zechce pan coś dodać, proszę się skontaktować z moim biurem. Numer osiemdziesiąt osiem, siedemdziesiąt siedem, trzydzieści trzy. Zawsze pełni służbę jakiś policjant. Zatrzyma się pan w hotelu „Victoria and Albert”?

- Tak. Wolno mi teraz iść do miasta i robić, na co mam ochotę?

- Tak. Tylko nie wolno panu opuszczać kolonii.

- O tym pamiętam. - Bartlett uśmiechnął się.

Armstrong wyszedł. Bartlett wziął prysznic, ubrał się i czekał, aż odejdą wszyscy policjanci z wyjątkiem jednego, który został przy schodach. Potem zamknął się w biurze. Został zupełnie sam, spojrzął na zegarek. Była siódma trzydzieści siedem. Podeszedł do centrum komunikacyjnego, przesunął dwa włączniki i nacisnął przycisk nadawania.

Po chwili trzasków odezwał się zaspany głos Casey.

- Tak, Linc?

- Geronimo - powiedział wyraźnie do mikrofonu. Pauza była nieznośnie długa.

- Przyjęłam - powiedziała. Głośnik wyłączył się.

9:40

Rolls opuścił prom przewożący samochody z Koulunu na wyspę Hongkong i skręcił na wschód na Connaught Road, wtapiając się w natężony ruch uliczny.

Ranek był ciepły i duszny, nawet najmniejsza chmurka nie osłaniała słońca.

Casey usadowiła się głębiej w fotelu. Spojrzała na zegarek, była coraz bardziej przejęta.

- Dużo czasu, panienko - uspokajał ją skośnooki szofer. - Noble House jest w dole, przy tej ulicy, wysoki budynek, jakieś dziesięć, piętnaście minut.

- Dobrze.

To jest życie, mówiła w duchu. Pewnego dnia będę miała rollsa na własność i sprawię sobie uprzejmego, cichego, chińskiego szofera, i nie będę się martwić o cenę benzyny. Ani trochę. Może nareszcie tutaj, po wielu latach, zdobędę swoje

„pieniądze na ustawienie”. Uśmiechnęła się do siebie. Linc pierwszy powiedział

jej o „pieniądzach na ustawienie”. Mówił, że trzeba je wycisnąć z kogoś lub z czegoś.

- Zdobywanie pieniędzy to najwspanialsza rzecz na świecie... ale i najbardziej kosztowna - zaznaczył. - Jeśli pracujesz dla mnie ze mną, ale dla mnie, będę ci pomagał w wyciskaniu pieniędzy. Ale nie wiem, Casey, czy chcesz zapłacić taką cenę.

- A jaka to cena?

- Nie wiem. Wiem tylko, że bywa różna i zawsze większa, niż człowiek jest gotów zapłacić.

- Ty też płaciłeś?

- O tak.

Dobrze, pomyślała, jak dotąd jeszcze nie była za wysoka. Ja zarabiam pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów na rok, moje wydatki nie są wygórowane, a praca rozwija mój umysł. Ale rząd zabiera za dużo i nie wystarcza na zebranie dużych pieniędzy.

- „Pieniądze na ustawienie” pochodzą z zabijania - ostrzegł Linc. - Nie z pomnażania gotówki.

Ile mi potrzeba?

Nigdy przedtem nie zadawała sobie tego pytania.

Pół miliona dolarów? Ulokowane na siedem procent przyniesie trzydzieści pięć tysięcy rocznie, ale podlega podatkowi. A co z gwarancjami rządu meksykańskiego na jedenaście procent minus jeden za fatygę dla nich? Także opodatkowane. Wolne od podatku są obligacje przynoszące jakieś cztery procent zysku, ale obligacje są niebezpieczne, a nie wolno ryzykować

„pieniędzmi na ustawienie”.

- To pierwsza zasada, Casey - mówił Linc. - Nie ryzykuj. Nigdy. -

Potem roześmiał się swoim wspaniałym śmiechem, który jak zwykle ją roz broił. - Nigdy nie ryzykuj tymi pieniędzmi, najwyżej raz, dwa razy.

Milion? Dwa? Trzy?

Przestań marzyć i przygotuj się do spotkania, przywołała się do porządku.

Niech się dzieje, co chce, ale moja cena wynosi dwa miliony dolarów. Wolnych od podatku. Tego właśnie pragnę. Dwa miliony ulokowane na pięć i jedną czwartą procent wolnych od podatku przyniosą sto pięć tysięcy na rok. A to sprawi, że i ja, i moja rodzina będziemy mieć dość pieniędzy do końca życia.

Ale jak zdobyć dwa miliony wolne od podatku?

Nie wiem. Ale coś mi mówi, że to jest właściwe miejsce.

Rolls zatrzymał się nagle, gdy masa pieszych zaczęła się przeciskać mię-

dzy rzędami gęsto ustawionych samochodów, dwupoziomowych autobusów, taksówek, ciężarówek, wozów, rowerów, ręcznych wózków i rikszy. Tysiące ludzi wysypały się z poboczy i chodników na jezdnię. Poranny ruch rozpoczął się. Popłynęły rzeki ludzkiego mrowia.

Casey wiele już się dowiedziała o Hongkongu, ale nadal nie była przygotowana na ogarniający ją wstrząs.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego, Linc - powiedziała rano, gdy przyszedł do hotelu tuż przed jej wyjściem. - Gdy jechałam tu z lotniska, minęła już dziesiąta, ale po ulicy wciąż chodziło wielu ludzi, także dzieci. I wszystkie restauracje, sklepy, wszystko było otwarte.

- Jak są ludzie, będą zyski. Po to tu jesteśmy.

- Jesteśmy tu po to, żeby przyjść Noble House z tajną pomocą i usunąć Judasza z Iskariotu, Johna Czena.

Roześmiali się.

53

- Poprawka. Mamy tu zrobić interes ze Struanami i rozejrzeć się.

- Zmieniły się plany?

- Taktycznie tak. Strategia pozostała ta sama.

- Skąd te zmiany?

- W nocy dzwonił Charlie. Kupiliśmy kolejnych dwieście tysięcy akcji.

- A więc sprawy ze Struanami są tylko maską dla rzeczywistego celu, czyli Rothwell-Gornt.

- Wciąż mamy trzy cele: Struanowie, Rothwell-Gornt i Asian Proper-ties.

Rozglądajmy się i czekajmy. Jeśli sprawy przybiorą korzystny obrót, zaatakujemy. Jeśli nie, zarobimy tego roku na interesach ze Struanami pięć, może nawet osiem milionów.

- Nie przyleciałeś tu po pięć, może osiem milionów. A więc dlaczego?

- Dla przyjemności.

Rolls przejechał kilka metrów i znów się zatrzymał. Gdy dojeżdżali do centrum, ruch uliczny jeszcze się nasilił. Ach, Linc, pomyślała, twoja przyjemność warta jest kilku łajdactw.

- Pani pierwszy raz w Hongkongu, panienko? - usłyszała zamyślona.

- Tak. Przyleciałam w nocy.

- Ach to bardzo dobrze. Zła pogoda, nic nie szkodzi. Bardzo śmierdzi i bardzo wilgotno. Latem tak zawsze. Pierwszy dzień ładny, *heya?*

Pierwszego dnia wyrwał ją ze snu gwar mieszkańców. 1 „Geronimo”.

Było to ich hasło oznaczające niebezpieczeństwo, ostrzeżenie. Wzięła prysznic i szybko się ubrała, nie wiedziała, skąd grozi im niebezpieczeństwo.

Wkładała właśnie szkła kontaktowe, gdy zadzwonił telefon.

- Mówi nadinspektor Armstrong. Przepraszam, że tak wcześnie panią niepokoję, ale chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

- Oczywiście, panie nadinspektorze. Możemy się spotkać za pięć minut w hotelowej restauracji?

Spotkali się, a on wypytywał ją, wyjaśniając tylko tyle, że w samolocie została przechwycona kontrabanda.

- Od jak dawna pracuje pani dla pana Bartletta?

- Od sześciu lat.

- Czy były wcześniej jakieś problemy z policją?

- Chodzi panu o mnie czy o niego?

- O niego. O panią też.

- Żadnych. Co zostało znalezione na pokładzie?

- Nie jest pani specjalnie przejęta.

- A niby dlaczego miałabym być? Nie zrobiłam nic nielegalnego, tak samo jak Linc. A co do załogi, to są oni wszyscy starannie dobranymi fa chowcami, więc wątpię, aby mieli coś wspólnego z przemytem. Chodzi o nar kotyki, tak? O jakie?

- Dlaczego miałyby to być narkotyki?

- Anie to ludzie najczęściej tutaj nielegalnie wwożą?

- To był sporej wielkości ładunek broni.

- Słucham?

Armstrong zadał jeszcze wiele pytań, na większość odpowiedziała, a potem sobie poszedł. Dokończyła kawę i po raz czwarty odmówiła uśmiechniętemu kelnerowi zjedzenia francuskich bułeczek. Przypomniały jej się te jedzone kiedyś przed laty we Francji.

Nicea, Cap D'Ail, prowansalskie wina. I Linc, myślała, wracając do pokoju.

Czekała na jego telefon.

- Casey? Posłuchaj...

- Ach, Linc, cieszę się, że dzwonisz - przerwała mu. - Kilka minut temu był u mnie nadinspektor Armstrong. I zapomniałam ci powiedzieć, że wczoraj wieczorem dzwonił Martin w sprawie akcji. -

„Martin” to również hasło. Oznaczało: „ta rozmowa może być podsłuchiwana”.

- Ja też o nim myślałem. To teraz nieważne. Powiedz mi dokładnie, jak to było.

Powiedziała. On streścił w kilku zdaniach, co się stało na lotnisku.

- Resztę zaraz opowiem, jak przyjdę do hotelu. Jak tam pokoje?

- Cudowne! Twój nazywa się „Wiosenna Woń”, mój przylega do twojego.

Wygląda na to, że tu do obsługi każdego pokoju przydzielony jest jeden chłopak.

Zamówiłam kawę, a zanim odłożyłam słuchawkę, już mi ją przyniesiono na srebrnej tacy. Łazienka jest tak wielka, że można by w niej urządzić przyjęcie na dwadzieścia osób z trzyosobową orkiestrą.

- Dobrze. Czekaj na mnie.

Usiadła na skórzanej sofie i czekała, rozkoszując się otaczającym ją luksusem.

Komoda pokryta przepiękną chińską laką, dobrze zaopatrzone barek w pełnej luster alkwie, dyskretne kompozycje kwiatowe oraz butelka szkockiej whisky z wygrawerowanymi życzeniami dyrektora hotelu dla Lincolna Bartletta. Jej sypialnia znajdowała się obok, za nie zamkniętymi na klucz drzwiami. Nigdy w życiu nie widziała tak ogromnych pokoi.

Kto i po co załadował broń na pokład samolotu?

Zatopiona w myślach wyglądała przez okno na Hongkong i wznoszący się ponad wszystkim najwyższy szczyt wyspy - Pik. Miasto nazywało się Victoria, od imienia królowej Wiktorii. Zaczynało się u wybrzeża i ciągnęło warstwowo aż do stóp stromej góry. Niemniej budynki mieszkalne usytuowane były także na zboczach Piku. Stamtąd to musi być widok, pomyślała mechanicznie.

Niebieska woda błyszczała w słońcu. W porcie panował ruch nie mniejszy niż na ulicach. Liniowce i frachtowce stały zakotwiczone lub przycumowane u nabrzeży Koulunu. Niektóre wpływały albo wypływały z portu, **55**

pozdrawiając się radośnie syrenami. W doku po stronie Hongkongu stał niszczyciel Królewskiej Marynarki Wojennej, a w pobliżu zakotwiczona fregata U.S.

Navy. Oprócz tego setki dżonek każdej wielkości i w każdym wieku, głównie rybackich. Niektóre napędzane silnikiem, inne z żaglami. Zatłoczone dwupoziomowe promy górowały nad nimi, przypominając latające smoki.

Wszechobecne sampany na wiosła lub silniki bez obaw wypływały na morskie szlaki.

Gdzie ci wszyscy ludzie mieszkają? - zadawała sobie pytanie. I w jaki sposób się utrzymują?

Chłopak hotelowy bez pukania otworzył drzwi i wpuścił Linca Bartletta.

- Wspaniale wyglądasz, Casey - pochwalił, zamykając za sobą drzwi.

- Ty też. Paskudna sprawa z tą bronią, nie?

- Nikogo nie ma? Jakiejś pokojówki?

- Jesteśmy sami, ale zdaje się, że chłopcy z obsługi wchodzą, kiedy im się spodoba.

- Ten miał w ręku klucze, zanim doszedłem do drzwi. - Linc opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się na lotnisku. Potem zniżył głos. - Co z Johnem Czenem?

- Nic. Prowadził bardzo nerwową, nic nie znaczącą konwersację. Nie nadawałby się na spikera radiowego. Zdaje się, że nie oswoił się jeszcze z faktem, że okazałam się kobietą. Odwiózł mnie do hotelu i powiedział, że piętnaście po dziewiątej wyśle samochód.

- A więc wszystko idzie zgodnie z planem?

- Jak najbardziej.

- To dobrze. Załatwiłaś już coś?

- Nie. Poinformowałam, że zostałam upoważniona do prowadzenia rozmów i zaproponowałam, że przedstawię wstępny zarys działania. Ale wyglądał na zaskoczonego i uprzedził, że porozmawia z tobą osobiście, odwożąc cię z lunchu.

Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

- Nie szkodzi. Za kilka minut przyjedzie po ciebie samochód. Zobaczymy się na lunchu.

- Mam wspomnieć u Struanów o broni? Może Dunrossowi?

- Nie. Poczekamy i zobaczymy, co się będzie dziać.

- Myślisz, że oni mogą mieć z tym coś wspólnego?

- Niewykluczone. Wiedzieli, kiedy przylatujemy i mieli motyw.

- Jakie?

- Żeby nas skompromitować.

- Ale po co?

- Może wydawało im się, że przejrżeli nasz plan ataku.

- Ale w takim razie rozsądniej z ich strony byłoby nic nie robić, tylko

poczekać, a potem nas załatwić.

- Możliwe. Jednak mogli chcieć wykonać otwarte posunięcie. Dzień pierwszy: Skoczek za laufra. Atak rozpoczęty.

- Tak, ale przez kogo... I jakimi my gramy, białymi czy czarnymi?

Zatrzymał na niej wzrok, z jego oczu zniknął przyjazny błysk.

- Dopóki wygrywamy, Casey, nic mnie to nie obchodzi.

Wyszedł.

Coś się dzieje, pomyślała, coś niebezpiecznego, o czym on nie chce mówić.

- Od zachowania tajemnicy zależy powodzenie planu - powiedział jej kiedyś.

- Napoleon, Cezar, Patton, wszyscy wielcy dowódcy, zawsze prawdziwe plany trzymali w tajemnicy przed swoim personelem. Żeby nie ugiął się pod ich ciężarem, a także żeby zmylić szpiegów. Jeśli kiedyś coś przed tobą zataję, Casey, to nie z braku zaufania. Tobie jednak nigdy nie wolno przede mną niczego kryć.

- To nieuczciwe.

- Życie jest nieuczciwe. Śmierć jest nieuczciwa. Wojna także. A wielkie interesy to wojna. Ja planuję je jak wojnę, którą zamierzam wygrać.

- Co zamierzasz w niej wygrać?

- Chcę, żeby Par-Con Industries stał się większy niż General Motors i Exxon razem wzięte.

- Po co?

- Dla przyjemności.

- A tak naprawdę?

- Ach, Casey, za to cię kocham. Umiesz słuchać.

- Ja ciebie też kocham, Jeździec.

Potem roześmiali się, wiedząc, że wcale się nawzajem nie kochają, przynajmniej nie w zwyczajnym tego słowa znaczeniu. Dawno temu, na początku ich znajomości, postanowili zamienić zwyczajność na nadzwyczajność. Było to siedem lat temu.

Casey wyjrzała przez okno na port i statki.

Trafić, zniszczyć i wygrać. Wielki biznes, najbardziej emocjonująca gra na świecie. A moim dowódcą jest Bartlett, mistrz w swoim fachu. Ale czas ucieka, Linc. W moje dwudzieste siódme urodziny, dwudziestego piątego listopada, minie siedem lat...

Do jej uszu dobiegło słabe pukanie, a potem szczełk klucza. Chciała powiedzieć

„proszę”, ale chłopak hotelowy był już w środku.

- Dzień dobry, miss. Jestem służącym numer jeden, nazywam się Dzien ny Czang. - Był siwowłosy i najwyraźniej chętny do pracy. - Podoba się pokój?

- Czy żaden z was nigdy nie czeka przed drzwiami na zaproszenie? -

zapytała ostro.

Czang wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem.

- Tak, miss?

- Nic nie szkodzi - powiedziała od niechcienia.

- Ładny dzień, *heya?* Najpierw pokój pana czy pani?

- Mój. Bartlett jeszcze w swoim nie był.

Czang uśmiechnął się szczerząc zęby. *Aiii ia*, a więc baraszkowaliście z panem w twoim pokoju, zanim wyszedł, tak? Ale od jego przyjscia do wyjścia minęło tylko czternaście minut. I pan opuścił pokój bez rumieńców na twarzy.

Aiii ia, na początku spodziewali się dwóch obcych diabłów mężczyzn, a tu okazuje się, że jeden z nich jest kobietą. Stwierdził to już Nocny Ng, który oczywiście przejrzał dokładnie jej bagaż i znalazł ewidentny dowód na to, że ona jest prawdziwą kobietą. Dowód ten potwierdziła rano Trzecia Toaletowa Fung.

Złote Łono! Co za ohyda!

I Złote Łono nie tylko nie jest żoną pana, ale nawet nie drugą żoną, i - *oh ko* -

najgorsze ze wszystkiego, że brak jej wystarczająco dobrych manier, aby udawać żonę i nie naruszać honoru hotelu i honoru jej samej.

Czang zachichotał. Ten hotel zawsze miał twarde zasady dotyczące kobiet w męskich pokojach - do czegoż bowiem, o bogowie, mogą służyć łóżka - a teraz kobieta otwarcie żyje w barbarzyńskim grzechu. Ach, ci barbarzyńcy! *Dew neh loh moh* na wszystkich barbarzyńców. Ale ta na pewno jest smokiem, ponieważ nie spuszczała wzroku przed Euroazjatą, zastępcą dyrektora, przed Euroazjatą, kierownikiem nocnej zmiany, a nawet przed samym starym dyrektorem naczelnym - Wielkim Wiatrem.

- Nie, nie, nie - powiedział do niej zawodzącym głosem, jak opowiadano Czangowi.

- Tak, tak, tak - odpowiedziała, nalegając, żeby zająć część apartamentu

„Wiosenna Woń”.

Właśnie wtedy Szlachetny Mong - główny portier i wódz triady, a przez to hotelowy szef, potrafiący rozwiązać to, co nierozwiązalne - wpadł na genialny pomysł.

- „Wiosenna Woń” ma trzy wejścia, *heya?* Po jednym do każdej sypialni i jedno do salonu. Dajmy jej część „Wiosennej Woni”, ale zamkniemy na klucz przejście do salonu i do sypialni pana. Klucz zostawimy pod ręką.

Jeśli ta uliczka otworzy drzwi sama. . Cóż będziemy mogli na to począć?

Wtedy nasz szlachetny dyrektor naczelny powie, że coś się poplątało w rezerwacjach, i wyprosi milionera z jego ładownicą z Kraju Złotej Góry. Trudno, mamy dosyć rezerwacji, a musimy zachować twarz.

I tak się stało.

Otworzono drzwi do części „Wiosennej Woni” i zaproszono Złote Łono.

Ośmieliłby się ktoś powiedzieć, że ona natychmiast wzięła klucz i otwo-

rzyła drzwi do salonu? I ja oczywiście nie wspomnę o tym nikomu, że teraz drzwi też są otwarte, moje usta są zalakowane i zapieczętowane. Jak zawsze.

Aiii ia. Drzwi wejściowe pozostają zamknięte i wszystko jest w najlepszym porządku. Mimo że drzwi do salonu są otwarte na oścież jak jej Nefrytowe Wrota, myślał w zadumie. *Dew neh loh moh*, ciekawe, czy ma takie wielkie Nefrytowe Wrota, że może w nich szaleć burza.

- Pościelić łóżko? - zapytał słodko po angielsku.

- Proszę bardzo.

O, doprawdy, ohydnie brzmi ten barbarzyński język. Ble! Dzienny Czang chętnie chrząknąłby i wypłuł demona z gardła, ale złamałby tym hotelowe zasady.

- *Heya*, Dzienny Czangu - przywitała go wesoło Trzecia Toaletowa Fung, wchodząc do sypialni po prawie niesłyszalnym pukaniu. - A, missy, przepraszam, missy - dodała po angielsku i znów zwróciła się do Czanga po kantońsku: - Jeszcze nie skończyłeś? Ma tak słodkie gówno, że chcesz się brzechtać w jej szufladach?

- *Dew neh loh moh* na ciebie, Siostrze. Trzymaj język za zębami, bo ci stary ojciec złośliwość.

- W jedynej rzeczy, jakiej twojej starej matce trzeba, nie możesz jej już pomóc. Chodź, zaścielimy szybko jej łóżko. Za pół godziny zaczyna się rozgrywka w *ma-dżong*. Szlachetny Mong wysłał mnie po ciebie.

- Dzięki ci, Siostrze. *Heya*, naprawdę widziałas jej łono?

- Nie mówiłam ci? Masz mnie za kłamczuchę? Ma łono czystozłote, jaśniejsze niż włosy na głowie. Kąpała się, a ja stałam w takiej odległości od niej, jak teraz od ciebie. I ma sutki różowe, a nie brązowe.

-liiii! Zmyślasz.

- Na własne oczy widziałam.

- To okropne!

- Czytałeś dzisiejszy „Commercial Daily”?

- Nie, Siostrze, jeszcze nie. A czemu pytasz?

- Ich astrolog przepowiedział, że ten tydzień będzie dla mnie pomyślny, a redaktor działu finansowego twierdzi, że zacznie się nowa hossza.

- *Dew neh loh moh*, nie mów.

- Nakazałam maklerowi, żeby kupił jeszcze tysiąc akcji Noble House, tyle samo Golden Ferry, czterdzieści Second Grand House i pięćdziesiąt (i ood Luck Properties. Moi bankierzy są szczodrzy, ale w Hongkongu nie ma już miejsca, gdzie pożyczyliby mi pieniądze.

- Iiii, pograżyłaś się, Siostrze. Ja wyszedłem na swoje. W zeszłym tygodniu pożyczyłem z banku pieniądze i kupiłem sześćset akcji Noble House. To był

wtorek. Zapłaciłem po 25,23!

-*Aiii ia*, szlachetny Czangu, wczoraj wieczorem były po 29,14 - Trzecia Toaletowa Fung przekalkulowała szybko w myślach. - Już jesteś 2.348 do przodu.

A mówi się, że Noble House chce złożyć ofertę na Good Luck Properties. Jeśli tak, to ich wrogowie wściekną się ze złości. Ha! Tai-pan Drugiego Domu będzie pierdział kurzem!

- Och, ale akcje wszystkich trzech polecą w górę. Ha! *Dew neh loh moh*, skąd wziąć więcej gotówki?

- Z wyścigów, Dzienny Czangu! Pożycz pięćset pod zastaw tego, co masz już wygrane, i postaw w niedzielę na dwa do jednego albo nawet cztery do jednego.

Moje szczęśliwe liczby to czwórka i piątka...

Casey, na którą obydwójce podnieśli wzrok, weszła do sypialni.

- Tak, miss? - zapytał po angielsku.

- W łazience jest bielizna do prania. Proszę ją zabrać, dobrze?

- Tak, tak, ja się tym zajmę. O szóstej ją przyniosą z powrotem. - Ależ głupie są te obce diabły, pomyślał refleksyjnie Czang. Czy to ja jestem od zbierania zasranych majtek? Oczywiście, jeśli jest brudna bielizna, to ją zabiorę.

- Dziękuję.

Obydwójce patrzyli zafascynowani, gdy Casey poprawiała sobie przed wyjściem makijaż.

- Jej piersi wcale nie zwisają, prawda, Siostrze? - zapytał Czang. - Różowe sutki, *heya?* Nadzwyczajne.

- Mówię, co widziałam. Uszy zamieniły ci się w muszle klozetowe?

- Tobie to bardziej grozi, Trzecia Toaletowa Fung.

- Dała ci już napiwek?

- Nie. Pan dał za dużo, a ona nic. Odrażające, *heya?*

- Tak. Ale co możesz na to poradzić? Ludzie ze Złotych Gór naprawdę są mało cywilizowani, no nie, Dzienny Czangu?

9:50

Tai-pan wjechał na wzgórze i pomknął swoim jaguarem na dół po Pik Road, kierując się w stronę

Magazine Gap. Na krętej jednopasmowej drodze znajdowało się tylko kilka miejsc, gdzie można było wyprzedzić, a za każdym rogiem straszył

stromy spadek. Tego dnia nawierzchnia była zupełnie sucha, więc Ian Dunross mijał zakręty z dużą szybkością. Nacisnął hamulec i z piskiem opon zatrzymał

się za stareńką, wolno posuwającą się

60

ciężarówką. Czekał cierpliwie, a potem w odpowiednim momencie zjechał na prawą stronę i tuż przed nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem wyprzedził

ciężarówkę i skręcił za rogiem.

Wyjechał na zupełnie pustą drogę. Wcisnął pedał gazu i minął kilka zakrętów.

Mając dla siebie całą szerokość jezdni, mknął środkiem. Każdą cząstką ciała odczuwał moc silnika i prędkość obracających się kół. Nagle przed nim znów pojawiła się ciężarówka i uczucie wolności prysnęło. Puścił pedał gazu, nacisnął na hamulec, a potem, żałując utraty miłego poczucia swobody, zjechał bardziej na lewą stronę. Ciężarówka załadowana była pasażerami. Przez pewien czas nie było miejsca do wyprzedzania. Nagle jedna z pasażerek zauważyła numer rejestracyjny, 1-1010, wskazała palcem i wszyscy spojrzeli w tę stronę. Rozpoczęły się wzajemne szepty, aż wreszcie ktoś zastukał do kabiny ciężarówki. Kierowca spojrział przez chude ramię na drogę, a potem zjechał na pobocze. Wyprzedzając, upewniwszy się, że jest bezpieczny, Dunross z uśmiechem pokiwał dłonią do pasażerów.

Duża liczba zakrętów, prędkość, wyprzedzanie, czekanie na wyprzedzanie, a także niebezpieczeństwo - wszystko to sprawiało mu przyjemność. Skręcił w lewo w Magazine Gap Road, skończyły się zakręty, ruch stał się większy.

Wyprzedził taksówkę i trzy inne samochody, a potem, widząc czekającą z przodu policję drogową na motocyklach, znacznie zwolnił. Zmienił bieg, a mijając policjantów pokiwał im. Odpowiedzieli mu tym samym gestem.

- Naprawdę powinieneś się trochę opanować - zwrócił mu kiedyś uwagę starszy nadinspektor policji drogowej, jego przyjaciel Henry Foxwell. - Naprawdę.

- Nigdy nie miałem wypadku, jak na razie. Ani nawet mandatu.

- Boże, Ian. Przecież na wyspie żaden gliniarz nie ośmieliłby ci się wlepić mandatu. Tobie? Tai-panowi? Dla swojego dobra powinieneś się zastanowić nad swoją jazdą. Zachowaj swoje zrywy i szaleństwa na rajd w Monaco albo Makau.

- Monaco jest dla profesjonalistów. Nie miałbym szans, tak szybko to ja nie jeżdżę.

- Ależ skąd, sześćdziesiąt siedem mil na godzinę w Wongnieczong to faktycznie niewiele, stary.

Zwłaszcza że o czwartej rano droga jest prawie pusta.

Tylko że tam jest ograniczenie do trzydziestu mil na godzinę.

- Po Hongkongu jeździ wiele takich jaguarów.

- Owszem, zgadzam się. Siedem. Ale szkarłatnych i ze specjalnym numerem rejestracyjnym? Z czarnym płóciennym dachem, rajdową kierownicą i takimiż oponami? W zeszły wtorek, stary. Był radar i te rzeczy. Wracałeś... od przyjaciół.

Zdaje się, że po Sinclair Road.

Dunross powstrzymywał wściekłość.

- Tak? - zapytał, siląc się na uśmiech. - We wtorek? Zdaje się, że byłem wtedy na kolacji u Johna Czena. W jego mieszkaniu w Sinclair Towers. Ale myślałem, że wróciłem do domu na długo przed czwartą.

- Ach, z pewnością. Konstabl na pewno pomylił kolor, numer rejestracyjny i wszystko inne. - Foxwell poklepał go przyjacielsko po plecach. - Jednak mógłbyś jeździć trochę wolniej. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdybyś zabił

się podczas mojej służby. Poczekaj, aż mnie przeniosą do oddziałów specjalnych albo do szkoły policyjnej, dobrze? A konstabl na pewno się pomylił.

Nie było żadnej pomyłki, pomyślał Dunross. Wiesz o tym dobrze, potwierdziłby to John Czen i Wei-wei.

A więc wasi chłopcy wiedzą o Wei-wei! Interesujące.

- Sledzicie mnie? - zapytał otwarcie.

- Na Boga, nie! - Foxwell był wstrząśnięty. - Wywiad Specjalny prowadził

obserwację pewnego przestępcy, który mieszka w Sinclair Towers. Tak się zdarzyło, że cię widzieli. Jesteś szychą, chyba nie masz wątpliwości. A ja dowiedziałem się naszymi tajnymi kanałami. Wiesz, jak to jest.

- Nie, nie wiem.

- Wystarczy, że szepną jedno słowo, a już wszystko wiadomo, stary.

- Faktycznie. Przekaż lepiej kolegom z wywiadu, żeby na przyszłość wykazywali się większą inteligencją.

- Na szczęście byli bardzo dyskretni.

- Mimo wszystko nie podoba mi się, gdy ktoś mnie śledzi.

- Na pewno nikt cię nie śledził.

- Już dobrze. Co za przestępca mieszka w Sinclair Towers?

- Jedna z naszych kapitalistycznych świń, ale podejrzana o tajne kontakty z komunistami. W sumie nudna sprawa, ale wywiad musi zarobić na chleb, no nie?

- Znam tego człowieka?

- Myślę, że znasz wszystkich.

- Z Szanghaju czy z Kantonu?

- Skąd ci przyszło na myśl, że może pochodzić tylko z tych dwóch miejsc?

- A więc to Europejczyk?

- To po prostu przestępca, Ian. Przykro mi, ale na razie musimy na ten temat milczeć.

- Daj spokój, do nas należy cała dzielnica. Powiedz, kto to? Nikomu nie powiem.

- Wiem. Przykro mi, stary, nie mogę. Ale chciałem przedstawić ci pewną hipotetyczną sytuację. Powiedzmy, że jakiś żonaty VIP ma przyjaciółczkę, której wujek okazuje się zakamuflowanym szefem nielegalnej tajnej policji Kuomintang w Hongkongu. Powiedzmy, że Kuomintang zechce, **62**

żeby nasz VIP przeszedł na ich stronę. Z pewnością owa przyjaciółczka będzie go do tego nakłaniać. Prawda?

- Tak - zgodził się Dunross. - Jeśli jest głupi. - Od razu pomyślał o wuj ku Wei-wei Dzenie, z którym spotkał się kilkakrotnie na prywatnych przyjęciach w Tajpej. Polubił go. Nic w tym złego, myślał, ponieważ Wei-wei nie jest moją kochanką ani nawet przyjaciółczką. Mimo swojej urody i atrakcyjności. I ponętności.

Uśmiechnął się do siebie i jechał dalej w gąszczu licznych samochodów, potem czekał na ruchu okrężnym i ruszył dalej Garden Road prowadzącą w kierunku znajdującego się o pół mili niżej centrum oraz do morza.

Widział pnący się w górę nowoczesny biurowiec należący do Struanów.

Wieżowiec miał dwadzieścia jeden pięter, zwrócony był frontem do morza, niemal na wprost dworca Golden Ferries, skąd regularnie kursowały promy mię-

dzy Koulunem i Hongkongiem. Jak zwykle widok ten sprawił mu przyjemność.

Manewrował między sunącymi po ulicy samochodami, po lewej stronie minął hotel „Hilton” i Cricket Ground, potem skręcił w Connaught Road z pełnymi pieszych chodnikami i zatrzymał się przed głównym wejściem do biurowca.

Dziś wielki dzień, pomyślał. Przyjechali Amerykanie.

Jeśli *dżos* dopisze, Bartlett będzie tą pętlą, która raz na zawsze zaciśnie się na gardle Quillana Gornta. Chryste, oby nam się udało!

- Dzień dobry, sir - odzwierny w liberii zasalutował żwawo.

- Dzień dobry, Tom. - Dunross wyszedł z niskiego samochodu i wbiegł na górę po marmurowych schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Znalazł

się przed szklanym wejściem. Drugi odzwierny odprowadził samochód do podziemnego parkingu, a jeszcze inny otworzył przed Dunros-sem drzwi.

Tai-pan zobaczył w odbiciu na szybie zatrzymującego się z tyłu rollsa.

Rozpoznał go i obejrzał się za siebie. Casey wysiadła, a on mimowolnie zagwizdał. Trzymała w ręce teczkę. Jedwabny strój w kolorze morskiej zieleni, mimo tradycyjnego i niewyszukanego kroju, nie ukrywał kształtów figury ani taneczności ruchów, a odcień zieleni kontrastował ze złotymi włosami.

Rozejrzała się, czując na sobie jego wzrok. Rozpoznała go od razu. Choć przypatrywali się sobie tylko chwilę, obojgu ten czas wydał się bardzo długi.

Długi i pozbawiony wszelkiego pośpiechu.

Ona poruszyła się pierwsza, idąc w jego stronę. Wyszedł po nią i spotkali się w połowie drogi.

- Dzień dobry, panie Dunross.

- Dzień dobry. Nigdy się jeszcze nie spotkaliśmy, prawda?

- Nie. Ale pana łatwo poznać, widziałam sporo pańskich zdjęć. Spodziewałam się, że dopiero później będę miała przyjemność pana spotkać.

Nazywam się Cas...

- Tak, tak - wszedł jej w słowo. - Wczoraj w nocy dzwonił do mnie zdezorientowany John Czen. Witam w Hongkongu, panno Tcholok. Panno, prawda?

- Tak. Mam nadzieję, że fakt, iż jestem kobietą, nie sprawi wielkiego problemu.

- Tak, postaramy się jakoś z tym uporać. Czy mogę zaprosić panią i pana Bartletta w sobotę na wyścigi? Łącznie z lunchem i innymi atrakcjami.

- Myślę, że byłoby cudownie. Ale muszę uzgodnić wszystko z Linkiem. Mogę dać odpowiedź po południu?

- Oczywiście. - Spojrzał na nią. Odzwierny nadal trzymał otwarte drzwi.

- No to wejdźmy do środka, panno Tcholok. I zaczynamy bitwę.

Zerknęła na niego.

- Dlaczego bitwę? Jesteśmy tu, aby prowadzić interesy.

- Tak, tak, oczywiście. Przepraszam, to tylko słowa Sama Ackroyda. Innym razem to pani wyjaśnię. - Przepuścił ją przodem i wskazał drogę do wind. Ku zakłopotaniu Casey ludzie stojący w kolejce do windy rozsunęli się i przepuścili ich do pierwszego nadjeżdżającego dźwigu.

- Dziękuję - powiedział Dunross, nie widząc w tym nic nadzwyczajnego.

Wcisnął najwyższy dwudziesty guzik. Bezwiednie zauważył, że dziewczyna nie pachnie żadnymi perfumami i nie ma żadnej biżuterii z wyjątkiem skromnego złotego łańcuszka na szyi.

- Dlaczego drzwi frontowe są nachylone pod pewnym kątem? - zapytała.

- Słucham?

- Drzwi wejściowe wydają się lekko spaczone, nie całkiem równe. Zastanawiam się dlaczego.

- Pani jest bardzo spostrzegawcza. Odpowiedź brzmi *fung sui*. Gdy stawialiśmy ten budynek cztery lata temu, z takich czy innych powodów nie skonsultowaliśmy się z człowiekiem zajmującym się *fung sui*. To ktoś w rodzaju astrologa, specjalista od nieba, ziemi, morskich prądów, demonów i tego typu rzeczy. Potrafi potwierdzić, że dom jest budowany na plecach Smoka Ziemi, a nie na głowie.

- Proszę?

- Tak, tak. Widzi pani, każdy dom w Chinach stoi na jakiejś części Smoka Ziemi. Na plecach znajduje się najlepsze miejsce, na głowie bardzo złe, a na oku okropne. W każdym razie, gdy w końcu zwróciliśmy się do specjalisty od *fung sui*, okazało się, że stoimy na plecach Smoka, dzięki Bogu, bo inaczej musielibyśmy się przenosić. Ale dowiedzieliśmy się także, że demony zagnieździły nam się

we drzwiach i stąd wynikają wszystkie nasze kłopoty.

Poradzono mi zmienić pozycję drzwi, tak oto według wskazówek skrzywiliśmy je i demony się wyniosły.

Roześmiała się.

- A jaki był prawdziwy powód?
- Właśnie *fung sui*. Mieliśmy tu naprawdę zły *dzos*, pecha, i to przez drzwi. - W jednej chwili stężyły jego rysy twarzy i przemknął po niej cień.
- Od chwili gdy zmieniliśmy ich położenie, znów wszystko jest w porządku.
- Pan w to naprawdę wierzy? W te demony i smoki?
- Nie, nie wierzę. Ale trzeba przyjąć do wiadomości ten trudny do zaakceptowania fakt, że będąc w Chinach, najlepiej jest w pewnym stopniu stać się Chińczykiem. Nie należy zapominać, że chociaż Hongkong należy do Wielkiej Brytanii, to nadal są tu Chiny.
- A pan przyjął...

Winda zatrzymała się i po otwarciu drzwi ich oczom ukazał się wyłożony boazerią korytarz, biurko i miła chińska sekretarka. Natychmiast oceniła strój i biżuterię Casey.

Potulna, pomyślała Casey, odwzajemniając się jej uśmiechem.

- Dzień dobry, tai-pan - powiedziała sekretarka.
- Mary, to jest panna K.C. Tcholak. Proszę ją zaprowadzić do sali.
- Ale... - Mary starała się ukryć zszokowanie. - Tam, tam czekają na...
- Podniosła słuchawkę telefonu, ale Dunross powstrzymał ją.
- Proszę po prostu zaprowadzić tam tę panią. Od razu. Bez zapowiedzi.
- Odwrócił się z uśmiechem do Casey. - Pani rozpoczyna atak. Wkrótce się spotkamy.
- Tak, dziękuję. Do zobaczenia.
- Proszę za mną, panno Tcholak - odezwała się Mary Li i ruszyła w głąb korytarza. Jej dopasowany *czong-sam* sięgał łydek, odsłaniając stopy w je-dwabnych pończochach. Casey przyglądała jej się chwilę. Z pewnością to nacięcie sprawia, że w jej chodzie jest tyle powabności, pomyślała rozbawiona. Spojrzała na Dunrossa i podniosła brwi.
- Uśmiechnął się.
- Do zobaczenia, panno Tcholak.
- Proszę do mnie mówić Casey.

- A może Kamalian Ciranoush?

Wybałuszyła oczy.

- Skąd pan zna moje imiona? Wątpię, czy nawet Linc je pamięta.

- Czasami przydaje się mieć wysoko postawionych przyjaciół, prawda?

podkreślił z uśmiechem.

- *A bientôt.*

- *Oui, merci* - odpowiedziała odruchowo.

Podszedł do drzwi w drugiej części korytarza i nacisnął guzik. Drzwi otworzyły się i w jednej chwili zamknęły za nim.

W zamyśleniu Casey ruszyła za Mary Li, która zatrzymała się i uważnie nadstawiała uszu.

W windzie Dunross włożył do zamka kluczyki, przekręcił je i zamknął drzwi.

Dopiero wtedy winda ruszyła. Obsługiwała tylko dwa piętra. Nacisnął niższy guzik.

Niewiele osób miało takie kluczyki: Sandra Ji, jego osobista sekretarka Klaudia Czen, zastępca oraz Lim Czu - Służący Numer Jeden.

Na dwudziestym piętrze znajdowały się prywatne biura Dunrossa, a także sala posiedzeń. Dwudzieste pierwsze piętro było osobistym apartamentem tai-pana. 1

tylko on miał klucz do prywatnej windy łączącej podziemny garaż z poddaszem.

- Ian - powiedział poprzedni tai-pan Alastair Struan, gdy wręczał mu ten klucz po wyjściu Phillipa Czena. - Prywatność to najcenniejsza rzecz, jaką posiadasz. Również to zapisał Dirk Struan w swojej legacji, a sam wiesz, jaki on był

mądry. Nie zapominaj nigdy, że prywatne windy nie są ani luksusem, ani przepychem, tak samo jak osobisty apartament tai-pana. One dają ci tak potrzebną intymność, a czasami po prostu stanowią miejsce ukrycia. Lepiej to zrozumiesz po przeczytaniu legacji i zaznajomieniu się z sejfem. Strzeż wszystkiego, co siew nim znajduje, jak oka w głowie. Nigdy za dużo ostrożności. Wiele, czasami myślę, że za wiele... w nim tajemnic, a niektóre wcale nie są przyjemne.

- Mam nadzieję, że niczemu nie uchybię - odparł grzecznie, mimo że nie cierpiał swojego kuzyna z tym całym jego wielkim oddaniem i zaangażowaniem, które stanowiło dla niego jedyne wynagrodzenie za ciężką pracę.

- Na pewno nie, nie ty - starszy człowiek mówił z napięciem. - Byłeś sprawdzany. Poza tym pragnąłeś tego stanowiska, jeszcze zanim nauczyłeś się myśleć, co?

- Tak - potwierdził Dunross. - Staralem się kształcić w tym kierunku. To prawda. Zaskoczyło mnie tylko, że dostałem je od ciebie.

- Dostałeś je nie z powodu swojego urodzenia. . ono uprawniałoby cię tylko do zasiadania w radzie, ale dlatego, że uważam cię za najlepszego następcę i od lat byłeś do tego przygotowywany. Wiesz o tym, prawda?

- Struanowie potrzebują zmian. Powiem więcej: Noble House popadł w kłopoty. Wina nie leży tylko po twojej stronie. Była wojna, potem Korea, Suez...

wiele lat miałeś zły *dżos*. Teraz wiele lat przejdzie, zanim odzyskamy świetność.

Jeśliby Quillan Gornt. . lub którykolwiek z naszych dwudziestu wrogów znał połowę prawdy o tym, jak bardzo jesteśmy przeceniani, w ciągu tygodnia utonęlibyśmy pod stertą naszego bezużytecznego papieru.

- Nasz papier jest jak najbardziej w porządku, nie jest beużyteczny. Jak zwykle przesadzasz.
- Wart dwadzieścia centów za dolara, bo nie posiadamy dostatecznej ilości kapitału, brakuje nam gotówki, żeby się podnieść z dołka, i znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.
- Bzdury!

- Czyżby? - Dunross po raz pierwszy odezwał się ostrzejszym tonem. -

Rothwell-Gornt połknąłby nas w miesiąc, gdyby znał wartość naszych żył i naszego zadłużenia.

Starszy człowiek patrzył na niego bez słowa komentarza, aż wreszcie po jakimś czasie stwierdził:

- To czasowa niedyspozycja. Przejściowa.

- Bzdury! Doskonale zdajesz sobie sprawę, że dostaję to stanowisko, bo tylko ja mogę wyciągnąć firmę z kłopotów, w które władowaliście ją ty, mój ojciec i jego brat.

- A tak, postawiliśmy na ciebie! - wybuchnął Alastair. - Zaryzykowaliśmy, to prawda. Masz w sobie wiele krwi Demona Struanów i będziesz z całych sił

służył swemu panu.

- Dziękuję. Przyznaję, że nie pozwolę, aby coś stanęło mi na drodze. A jeśli wszystko, co się dzieje tej nocy, jest prawdą, powiem ci, dlaczego zawsze mnie nienawidziliście, i ty, i mój własny ojciec.

- Czyżbyś wiedział?

- Owszem. Ponieważ ja przeżyłem wojnę, a twój syn nie. A twój bratanek Linbar, ostatni z rodu Struanów, to chłopiec miły, ale do niczego nie zdatny. Ja przeżyłem, ale mój brat zginął, i tego mój ojciec nie może znieść. Taka jest prawda, czy nie?

- Tak - potwierdził Alastair Struan. - Obawiam się, że tak.

- A ja się nie obawiam. Ja się nie boję niczego.

- *Heya, tai-pan* - zawołała wesoło Klaudia Czen, gdy otworzyły się drzwi windy. Miała ponad sześćdziesiąt lat, siwe włosy i pogodne usposobienie.

Była Euroazjatką. Siedziała za ogromnym biurkiem zajmującym większą część powierzchni foyer na dwudziestym piętrze. Od czterdziestu dwu lat pracowała dla Noble House, a bezpośrednio przy zmieniających się tai-panach od dwudziestu pięciu. - *Neh hoh mahl* Jak tam?

-*Ho ho*- odpowiedział bezmyślnie. Dobrze. Potem dodał po angielsku: -

Dzwonił Bartlett?

- Nie - zmarszczyła brwi. - Spodziewamy się go dopiero na lunchu. Mam go złapać?

- Nie, nie. Co z moim telefonem do Sydney, do Fostera?

- Jeszcze nie ma połączenia. Tak samo jak z Edynburgiem i panem Mac-Struanem. Co cię trapi, tai-

pan? - zapytała, natychmiast rozpoznając jego nastrój.

- Słucham? Ach nie, nic. - Rozluźnił się i minawszy jej biurko, wszedł do swojego biura z widokiem na port i usiadł w wygodnym fotelu przy telefonie.

Klaudia zamknęła drzwi i usiadła obok z notatnikiem gotowym do pisania.

- Przypomniał mi się mój dzień inwazji - powiedział. - Dzień, w którym przejąłem godność tai-pana.

- *Dżos*, tai-pan - powiedziała. -Tak.

- *Dżos* - powtórzyła - i dawno temu.

Zaśmiał się.

- Dawno? Dawno to czterdzieści pokoleń temu. A minęły dopiero trzy lata i cały świat się zmienił.. przyspieszył tempo. Co nam przyniosą kolejne lata?

- W większości to samo co poprzednie, tai-pan. Słyszałam, że w wejściu spotkałeś pannę Casey Tcholak.

- Kto ci powiedział? - zapytał gwałtownie.

- Stary, dobry Bóg, tai-pan. Nie mogę zdradzić, swoich źródeł. Ale słyszałam, że patrzyłeś na nią, a ona na ciebie. *Heya?*

- E tam! Kto ci powiedział, że to kobieta?

- Zeszłej nocy dzwoniłam do hotelu, żeby się zorientować, czy wszystko w porządku. Dyrektor mi powiedział. Wiesz, że ten głupiec był zgorszony?

Poradziłam mu, żeby się nie przejmował tym, że mieszkają razem, i tym, czy śpią ze sobą, czy nie. Mamy w końcu rok sześćdziesiąty trzeci, wiek nowoczesności i wyzwolenia. A poza tym zajmują apartament z trzema wejściami, oddzielnymi sypialniami, a co najważniejsze: są naszymi gośćmi.

Przypomniałam mu, kto jest kim... *Aiii ia*, władza to wspaniała zabawka.

- Mówiłaś młodemu Linbarowi i innym, że K.C. Tcholak to kobieta?

- Nie. Nikomu nie powiedziałam. Wiem, że ty wiesz. Barbara Czen mówiła, że Master John dzwonił do ciebie w sprawie Casey Tcholak. Jaka ona jest?

- Najbardziej pasuje do niej słowo „atrakcyjna” - stwierdził rozbawiony.

- No tak... ale co jeszcze?

Przez chwilę Dunross zastanawiał się.

- Jest bardzo ładna, świetnie ubrana, chociaż sędzę, że dzisiaj ze wzglę* du na nasze dobro założyła skromniejszy strój. Wzbudza zaufanie i jest bardzo spostrzegawcza. Zauważyła, że mamy wypaczone drzwi, i zapytała o nie. -

Podniósł nóż do papieru z kości słoniowej i zaczął się nim bawić. - Johnowi wcale się nie spodobała. Mówił, że może się założyć, iż jest z niej taka patetyczna Amerykanka przypominająca

kalifornijski owoc: na pozór dorodny i soczysty, ale zupełnie pozbawiony smaku.

- Biedny Master John. Lubi Amerykę, ale przedkłada, hm. . pewne aspekty Azji.

Dunross uśmiechnął się.

- Wkrótce się okaże, czy jest błyskotliwą rozmówczynią. Wywoła niezłe zamieszanie.

- Założę się o pięćdziesiąt dolarów hongkongijskich, że przynajmniej jeden z nich wie, że ona to ona.

- Oczywiście Phillip Czen, to szczwany lis, ale on nikomu nie piśnie.

Stawiam stówę, że nie wie ani Linbar, ani Jacques, ani Andrew Gavallan.

- Przyjmuję - oznajmiła uradowana Klaudia. - Możesz już teraz zapłacić, tai-pan. Rano dyskretnie sprawdziłam.

- Chyba nie zrobiłaś tego dla odrobiny gotówki - powiedział zawiedziony.

- Przykro mi - zatarta ręce. - Zakład to zakład, tai-pan.

Bez wahania dał jej czerwony banknot studolarowy.

- Dziękuję. A teraz stawiam stówę, że Casey Tcholak zapędzi w kozi róg i Master Linbara, i Master Jacques'a, i Andrew Gavallana.

- Skąd wiesz, co? - zapytał zaskoczony.

- Sto dolarów?

- W porządku.

- Świetnie! - westchnęła zadowolona i zmieniła temat. - A co z kolacją na cześć pana Bartletta? A mecz golfa i wycieczka do Tajpej? Mam je odwołać?

Przecież nie można zabrać na nie kobiety.

- Nie, porozmawiam najpierw z Bartlettem. On zrozumie. Zaprosiłem ją na sobotnie wyścigi, razem z nim.

- Och, to będzie o dwie osoby za dużo. Skreślę Pangów, oni się nic obrażą.

A przy stole sadzać ich razem?

- Posadź ją jako gościa honorowego przy moim stoliku, a jego koło Penelopy.

- Dobrze. Zadzwonię do pani Dunross i uprzedzę ją. O, dzwoniła Barbara, żona Master Johna... chciała z panem rozmawiać. - Klaudia westchnęła i utkwiała wzrok w swym granatowym *czong-sam*.
- Master John nie wrócił na noc. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale jest już dziesięć po dziesiątej i nadal go nie ma. Wygląda na to, że nie był na porannej modlitwie.

- Tak, wiem. W nocy zajmował się Bartlettem i dałem mu wolne. - Poranna modlitwa to żartobliwa nazwa codziennych, odbywających się o ósmej spotkań tai-pana ze wszystkimi dyrektorami Struanów. - Nie było potrzeby, żeby przychodził, do lunchu nie ma do zrobienia. - Wskazał palcem na przystań za oknem. - Najprawdopodobniej jest na jachcie. Wspaniały dzień do

żeglowania.

- Ale jego żona zawsze się strasznie gorączkuje.

Tak, wiem, biedaczka. Jeśli Johna nie ma na jachcie, może być w mieszkaniu Ming-li. Dzwoniłaś tam? Prychnęła ustami.

- Pana ojciec zwykł był mówić, że do zamkniętych ust nie wleci żadna mała bestia. Mimo to myślę, że już mogę panu zdradzić, że Ming-li jest od prawie dwóch miesięcy Dziewczyną Numer Dwa. Nowa faworytka nazywa się Wonny Kwiat i zajmuje jedno z „prywatnych mieszkań” przy Aberdeen Main Road.

- Jak zwykle obok jego miejsca cumowania!

- Tak. Naprawdę niezły z niej kwiatek. Upadły Kwiat z dancingu „Smok Szczęścia” w Wanczai. Ale ona też nie wie, gdzie jest Master John. Nie odwiedził

panny Upadły Kwiat, chociaż, z tego co mówiła, był z nią umówiony na dwunastą.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałas? - zapytał z pełnym uznaniem.

- Dzięki władzy, tai-pan. I sieci budowanej przez pięć pokoleń. Jak inaczej moglibyśmy przetrwać w takich warunkach, *heya?* - Chrząknęła. - Oczywiście mamy też pikantniejsze kawałki. Na przykład że John Czen nie wie, że ona nie była dziewicą, tylko ustaliła to z brokerem.

- Słucham?

- On zapłacił brokerowi... - Zadzwoił telefon, podniosła słuchawkę, powiedziała: „Proszę chwilę poczekać”, nacisnęła przycisk i mówiła dalej tym samym tonem - ...pięćset dolarów w gotówce, ale jej łyzy i... hm... ewidentne dowody były udawane. Biedaczysko z niego, prawda, tai-pan? Dlaczego mężczyzna w jego wieku, żeby zaznać *yang* potrzebuje dziewicy. .. on ma dopiero czterdzieści dwa lata, *heya?* - Nacisnęła przycisk z napisem „włączone”. - Tu biuro tai-pana, dzień dobry - powiedziała spokojnie.

Obserwował ją. Był rozbawiony i otumaniony. Jak zwykle zdumiała go informacja ze źródła Klaudii, a także ona sama. Zawsze doskonale znała wszystkie sekrety. I dzieliła się nimi. Jednak tylko z członkami ściśle zamkniętego klanu.

- Jedną chwileczkę. - Nacisnęła guzik. - Nadinspektor Armstrong chciałby się z panem spotkać. Jest na dole z nadinspektorem Kwokiem. Przeprasza, że przyszedł

bez uprzedzenia, ale nie ma ani chwili do stracenia.

- Ach, to ta broń. Nasza policja z dnia na dzień staje się sprawniejsza.

Uśmiechnął się lekko. - Spodziewałem się ich dopiero po lunchu.

O siódmej rano Dunross dostał szczegółowy raport od Phillipa Czena, do którego dzwonił pełniący służbę na lotnisku sierżant policji będący krewnym Czenów.

- Lepiej uruchom wszystkie nasze prywatne źródła i dowiedz się, kto i dlaczego to zrobił, Phillip - poradził wtedy bardzo zaniepokojony.

- Już zacząłem działać. To coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności, że broń znalazła się akurat na pokładzie u Bartletta.

- Gdyby się okazało, że mamy z tym jakiekolwiek powiązania, byłyby kłopoty.

- To prawda.

Spostrzegł, że Klaudia cierpliwie czeka.

- Poproś Armstronga, żeby dał mi dziesięć minut. A potem ich przypro wadź.

Rozważała to chwilę, a potem rzekła:

- Jeśli od razu przyszedł nadinspektor Kwok, sprawa wygląda poważniej, niżby się można było spodziewać, *heya*, tai-pan?

- Oddział Specjalny czy Wywiad Specjalny musi działać od razu. Założę się, że skontaktowano się już z CIA albo FBI. Brian Kwok działa logicznie, bo to stary kumpel Armstronga. Jeden z najlepszych ich pracowników.

- Tak - przyznała z dumą Klaudia. - Ech, jakim on byłby wspaniałym mężem!

- Pod warunkiem że ona pochodziłaby z Czenów. Wzmocniłby rodzinę, *heya?* ~ Powszechnie było wiadomo, że Brian Kwok ma zostać pierwszym chińskim pełnomocnikiem rządowym.

- Oczywiście, lepiej, żeby władza skupiała się w rodzinie. - Zadzwoił

telefon, odebrała. - Tak, powiem mu, dziękuję. - Rozdrażniona odłożyła słuchawkę. - Urzędnik gubernatora, dzwonił, żeby przypomnieć o dzisiejszym koktajlu o osiemnastej. Phi, jakbym ja mogła zapomnieć!

Dunross podniósł słuchawkę jednego z aparatów i wystukał numer.

- *Wiiil* - doleciał go zachrypnięty głos *amah*, chińskiej służącej.

- Czen *tai-tai* - powiedział do mikrofonu płynnym kantońskim. - Poproszę z panią Czen, mówi Dunross.

Czekał.

- O, Barbara, dzień dobry.

- Witaj, Ian. Masz już jakieś wieści na temat Johna? Przepraszam, że ci zawracam głowę - mówiła.

- Nie szkodzi. Nie, jeszcze nic. Ale za jakiś czas każę mu do ciebie zadzwonić. Mógł pójść popatrzeć na trening Złotej Damy. Kontaktowałaś się z klubem jeździeckim?

- Tak, ale nie przypominają sobie, żeby tam jadł śniadanie, a trening mają między piątą a szóstą. A niech go! Jest taki nierozważny. *Aiii ai!*

- Najprawdopodobniej wypłynął na swojej łodzi. Do lunchu nie ma dla niego żadnego zajęcia tutaj, a dzisiaj jest wyśmienity dzień do żeglugi. Znasz go... sprawdzałaś na przystani?

- Nie mogłam, Ian. Tam trzeba pojechać, bo nie mają telefonu. Miałam zamówioną wizytę u fryzjerki i w żaden sposób nie mogłam jej odwołać. Na waszym przyjęciu będzie dziś wieczorem cały Hongkong. Po prostu nie wystarczyło mi czasu, żeby jechać do Aberdeen.

- Wyślij jednego z szoferów - zaproponował bez emocji Dunross.

- Tang ma dzisiaj wolne, a Wu-czata ja potrzebuję. Nie mogę go wysłać do Aberdeen, to zajęłoby z godzinę, a ja od drugiej do czwartej gram w *ma-dżong*.
- W porze lunchu poproszę Johna, żeby do ciebie zadzwonił.
- Wrócę najwcześniej o piątej. Jak się z nim spotkam, będzie udawał, że nic się nie stało. Och, dziękuję ci. Przepraszam za kłopot. Cześć.

- Cześć - Dunross odłożył słuchawkę i westchnął. - Czuję się jak niańka.

- Porozmawiaj z ojcem Johna, tai-pan - zasugerowała Klaudia Czen.

- Tak zrobię. Od razu. I to wszystko. Wina leży nie tylko po stronie Johna.

Ta dama każdego potrafiłaby doprowadzić do pasji. - Uśmiechnął się. - Ale zgadzam się, że jest w gorącej wodzie kąpana. Tym razem będzie to kosztowało Johna pierścionek ze szmaragdem albo przynajmniej futro z norek.

Znów zadzwonił telefon. Klaudia odebrała.

- Halo? Tu biuro tai-pana. Tak? Och! - Zadowolenie ulotniło się z jej twarzy. - Chwileczkę. - Nacisnęła klawisz. - Osobista rozmowa z Hiro Todą z Jokohamy.

Dunross był świadom, jaki jest jej stosunek do Japończyków. Wiedział, że nienawidzi ich i potępia związki Noble House z nimi. Nigdy nie przebaczy Japończykom tego, co zrobili Azji podczas wojny. Co uczynili podbitym, bez-bronnym mężczyznom, kobietom i dzieciom. Niepotrzebnych morderstw i obozów pracy. Osobiście nigdy nie wdał się z nimi w żadną potyczkę. Ani razu.

Jego wojna toczyła się przeciwko Niemcom. Ale Klaudia była tu, w Hongkongu.

Ponieważ była Euroazjatką, nie zamknięto jej podczas okupacji japońskiej w więzieniu Stanleya, gdzie przebywali wszyscy europejscy obywatele. Razem z siostrą i bratem próbowała pomagać jeńcom wojennym, dostarczając jedzenia, leków i pieniędzy. Przemycali to wszystko do obozu. Złapała ją Kampeitai, japońska żandarmeria. I teraz nie może mieć dzieci.

- Mam powiedzieć, że pana nie ma? - zapytała.

- Nie. - Dwa lata temu Dunross powierzył przedsiębiorstwu Toda Ship-ping z Jokohamy ogromny kapitał na dwa gigantyczne statki, aby odbudować zdziesiątkowaną podczas wojny flotę Struanów. Wybrał tę japońską stocznię dlatego, że produkowali najlepsze statki, mieli najkorzystniejsze terminy, gwarantowali też dostawę i wiele rzeczy więcej niż Brytyjczycy, ale minęło dość czasu, aby o nich zapomnieć.

- Witam, Hiro - powiedział. Osobiście lubił tego człowieka. - Miło cię słyszeć. Jak tam w Japonii?

- Przepraszam, tai-pan, że przeszkadzam. Japonia miewa się świetnie, chociaż upał i wilgoć.

- Co z moimi statkami?

- Doskonale. Wszystko odbywa się zgodnie z umową. Chciałem tylko oznajmić, że w sobotę rano jadę w interesach do Hongkongu. Zostaję na weekend, a potem odjeżdżam do Singapuru i Sydney, następnie przyjadę do Hongkongu na nasze pożegnanie. Nadal masz zamiar zjawić się w Jokohamie

na wodowania?

- O tak, jak najbardziej. O której w sobotę przylecisz?

- O jedenastej dziesięć, liniami Japan Airlines.

- Wyślę po ciebie samochód. Może wybrałbyś się na wyścigi do Szcze-

śliwej Doliny? Możesz zjeść z nami lunch, później nasz samochód odwiezie cię do hotelu. Zatrzymasz się w „Victoria and Albert”?

- Nie, tym razem w „Hiltonie”, od strony Hongkongu. Przepraszam tai-pan, nie chciałbym sprawiać żadnego kłopotu.

- Nic nie szkodzi. Wyślę po ciebie swojego człowieka. Najprawdopodobniej Andrew Gavallana.

Och, to bardzo dobrze. Dziękuję, tai-pan. Cieszę się na nasze spotkanie, tak mi przykro, że cię kłopotczę.

Dunross odłożył słuchawkę. Ciekawe, dlaczego dzwonił. Dlaczego naprawdę dzwonił? - zastanawiał się. Hiro Toda, prezes najdynamiczniej rozwijającego się kompleksu stoczniowego w Japonii, nigdy niczego nie robił

nagle i przypadkowo, i bez przemyślenia.

Myślał też o finalizacji transakcji i trzech ratach po dwa miliony każda, które mają być spłacone pierwszego, jedenastego i piętnastego września. W

sumie dwanaście milionów, którymi chwilowo nie dysponował. Aby dostać pożyczkę bankową, musiał mieć podpisaną umowę na dostawę, ale jej także jeszcze nie miał.

- To nic - próbował się pocieszyć. - Wszystko będzie dobrze.

- Dla niego na pewno - odezwała się Klaudia. - Wie pan, że nie ufam im, tai-pan. Żadnemu.

- Nie wolno ich krzywdzić, Klaudio. Chcą ekonomicznie dokonać tego, co nie udało im się wojskowo.

- Podkupując każdego na światowym rynku.

- Ciężko pracują i ciągną z tego korzyści. Pogrzebią nas, jeśli im na to pozwolimy. - Zatrzymał na niej wzrok. - Poza tym, Klaudio, jeśli oskrobać z wierzchu Anglika albo Szkota, zostanie pirat. Jeśli jesteśmy tak głupi, żeby im na to pozwolić, to znaczy, że sobie zasłużyliśmy.

- Po co pomagać wrogowi?

- Oni byli wrogami - przyznał. - Ale dwadzieścia kilka lat temu, a nasze koneksje z nimi sięgają stu

lat wcześniej. Czy nie my jako pierwsi zaczęliśmy handlować z Japończykami? Czy to nie Hag Struan kupiła pierwszą akcję oferowaną w Jokohamie na sprzedaż w tysiąc osiemset sześćdziesiątym? Czy to nie ona poleciła, żeby ta akcja stała się kamieniem węgielnym Struanów pod trójkąt Chiny-Japonia-Hongkong?

- Tak, tai-pan, ale nie uważ...

- Nie, Klaudio. Z Todą, Kasigi, Toranagą robimy interesy od stu lat, a w tej chwili przedsiębiorstwo Tody ma dla nas ogromne znaczenie.

Znów zadzwonił telefon. Odebrała.

- Tak, oddzwonię - obiecała, a potem zwróciła się do Dunrossa. - To dostawcy żywności, chodzi o dzisiejsze przyjęcie.

- W czym problem?

- W niczym, tai-pan. Oni po prostu lamentują. Przecież dzisiaj dwudziesta rocznica ślubu tai-pana tai-panów. Zjawi się cały Hongkong i chcą wyrzucić jak najlepsze wrażenie. - Znów zadzwonił telefon. - O, bardzo dobrze! Proszę łączyć... To Bill Foster z Sydney.

Dunross wziął słuchawkę.

- Bill... nie, jesteś na pierwszym miejscu na liście. Skończyłeś już interes z Woolara Properties?... Co cię powstrzymuje?... To mnie nie obchodzi. - Spojrzał

na zegarek. - U was właśnie mija południe. Natychmiast do nich zadzwoń i zaproponuj pięćdziesiąt australijskich centów udziału więcej, jeśli dobijecie targu dzisiaj. . To nie nasza sprawa, zalegają już od trzydziestu dni. Chcę mieć tę kompanię pod kontrolą. Bez tego upadnie nasz interes z nowymi statkami przewozowymi i wszystko będzie trzeba zaczynać od początku. Zamów sobie lot na wtorek. Chcę, żebyś był na konferencji. - Odłożył słuchawkę. - Jak tylko skończy się spotkanie z Tcholak, proszę sprowadzić tutaj Linbara. I zarezerwować dla niego lot do Sydney na piątek rano.

- Tak, tai-pan. - Zapisała coś i wręczyła mu kartkę. - To rozkład pana spotkań na dzisiaj.

Spojrzał na długą listę. Cztery zebrania rad nadzorczych w mniejszych kompaniach: Golden Ferry o 10:30, Struan's Motor Imports o 11:00, Czong-Li Foods o 11:15 oraz Kowloon Investments o 11:30. Lunch z Lincolnem Bartle-tem i panną Casey Tcholak od 12:40 do 14:00. Dalsze spotkania rad nadzorczych po południu, z Peterem Marlowe'em o 16:00, z Phillipem Cze-nem o 16:20, o 18:00 koktajl z gubernatorem, o 20:00 zaczyna się przyjęcie rocznicowe. O jedenastej musi jeszcze zadzwonić do Alastaira Struana do Szkocji i przynajmniej do piętnastu osób w Azji.

- Marlowe? - zapytał.

- To pisarz. Mieszka w hotelu „Victoria”. Tydzień temu pisał z prośbą o spotkanie. Zbiera materiały do książki o Hongkongu.

- Tak? O dawnych lotnikach z RAF?

- Tak. Mam go skreślić?

- Nie. Niech wszystko idzie zgodnie z planem, Klaudio. - Wyjął z tylnej kieszeni czarny skórzany notes i podał jej kilka kartek pokrytych swoim odręcznym pismem. - Wyślij od razu te teleksy i telegramy, połącz mnie z Dzenem w Tajpej, później z Havergillem, a dalej według listy.

- Dobrze, tai-pan. Słyszałam, że Havergill odchodzi.

- Wyśmienicie. Kto zajmie jego miejsce?

- Jeszcze nie wiadomo.

- Miejmy nadzieję, że Johnjohn. Zmobilizuj swoich wywiadowców. Stawiam setkę, że dowiem się pierwszy od ciebie.

- Stoi.

- Świetnie. - Dunross wyciągnął rękę. - Już mi możesz zapłacić - powiedział

łagodnie. - To Johnjohn.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Ustaliliśmy to wczoraj wieczorem. Poprosiłem wszystkich dyrektorów, żeby nie mówili o tym nikomu do dzisiaj do jedenastej.

Z ociąganiem wyjęła studolarowy banknot i podała mu.

-*Aiii ia*, tak byłam do niego przywiązana.

- Dziękuję. - Dunross schował pieniądze do kieszeni. - Zwrócę na niego szczególną uwagę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Sandra Ji, osobista sekretarka.

- Przepraszam, tai-pan, ale rynek podskoczył o dwa punkty i Holdbrook czeka na drugiej linii. - Alan Holdbrook był szefem ich biura maklerskiego.

Dunross nacisnął guzik drugiej linii.

- Klaudio, jak skończę, proszę mi przysłać Armstronga. - Wyszła razem z Sandrą Ji.

- Tak, Alan?

- Dzień dobry, tai-pan. Po pierwsze: Pojawiły się plotki, że mamy się postarać o przejęcie kontroli nad Asian Properties.

- Pewnie Jason Plumm je puszcza, żeby zwiększyć swoje dochody przed rozliczeniem rocznym. Wiesz, jaki z niego krętacz.

- Cena naszych akcji wzrosła o dziesięć centów. Przypuszczalnie z tego właśnie powodu.

- Dobrze. Kup mi natychmiast dwadzieścia tysięcy.

- Na bazie marży?

- Oczywiście.

- W porządku. Druga plotka: zamknęliśmy wielomilionową transakcję z Par-Con Industries, to wielka ekspansja.

- Marzenie - oznajmił spokojnie Dunross, zastanawiając się, skąd pochodzą przecieki. Jedyne Phillip Czen, a także Alastair Struan w Edynburgu i stary Sean MacStruan wiedzieli o zabiegach, aby przejąć Asian Properties. A o ściśle tajnej transakcji z Par-Con wiedzieli tylko członkowie rady.

- Po trzecie: ktoś kupuje duży pakiet naszych akcji.

-Kto?

- Nie wiem. Ale coś tu brzydko pachnie, tai-pan. W dziwny sposób nasze akcje zwyżkowały w zeszłym miesiącu. Nie było powodów, a był lub byli kupujący. To samo z Rothwell-Gornt. Słyszałem, że ktoś kupił dwustutysięczny pakiet.

- Dowiedz się kto.

- Boże, jaka szkoda, że nie wiem. Rynek jest rozchwiany i bardzo nerwowy.

Krąży dużo chińskich pieniędzy. Zawiera się mnóstwo małych transakcji... kilka akcji tu, kilka akcji tam, ale mnożąc przez setki tysięcy... ceny mogą zacząć spadać albo... podnosić się...

- Dobrze. Zadzwoń przed zamknięciem giełdy. Dzięki, Alan. - Odłożył

słuchawkę, czując pot na plecach. - Cholera - zaklął. - O co tu, u diabła, chodzi?

W sekretariacie Klaudia Czen przeglądała jakieś dokumenty razem z Sandrą Ji -

bratanicą ze strony matki, bardzo inteligentną i ładną dwudziesto-siedmiolatką, która niewątpliwie miała w głowie liczydło. Starsza z kobiet spojrzała na zegarek i powiedziała po kantońsku:

- Nadinspektor Brian Kwok czeka na dole, Mała Siostró, zjedź i przyprowadź

go na górę za sześć minut.

- *Aiii ia*, dobrze, Starsza Siostró! - Sandra Ji pospieszenie poprawiła makijaż i wyszła. Klaudia uśmiechnęła się i pomyślała, że Sandra Ji byłaby świetną, naprawdę idealną partią dla Briana Kwoka. Zadowolona usiadła do biurka, aby wypisać na maszynie teleksy. No, zrobiłam wszystko, co miałam zrobić, powiedziała do siebie. Nie, tai-pan mówił jeszcze... Co to było? Ach tak!

Wystukała swój domowy numer.

- *Weiii?* ~ odebrała jej *amah*, Ah Sam.

- Słuchaj, Ah Sam - zapytała po kantońsku - czy twoja kuzynka Trzecia Toaletowa Fung z „Victorii” nie przeprowadzała się trzykrotnie?

- O tak, Matko - zwróciła się do niej w grzecznościowej formie, której używały służące wobec swoich pań. - Przeprowadzała się cztery razy. I jest z Fung-tatów, nie Fung-samów jak ja.

- Nic nie szkodzi, Ah Sam. Zadzwoń do niej i dowiedz się wszystkiego, co się da, o dwóch obcych diablach ze Złotej Góry. Są w apartamencie „Wiosenna Woń”. - Wolno wymówiła nazwę, a potem subtelnie dodała: Słyszałam, że mają jakieś szczególne nawyki.

- *Aiii ia*, jeśli ktokolwiek mógł się o tym dowiedzieć, to na pewno Trzecia Toaletowa Fung. Ha! Jakie szczególne nawyki?

- Dziwne, Ah Sam. Rusz głową. - Odłożyła słuchawkę.

Otworzyły się drzwi i Sandra Ji przepuściła dwóch oficerów policji, a potem pokornie odeszła.

Brian Kwok spoglądał za nią. Miał trzydzieści dziewięć lat, jak na Chińczyka był bardzo wysoki, mierzył ponad metr osiemdziesiąt, przystojny i miał granatowoczarne włosy. Obydwaj ubrani byli po cywilnemu. Klaudia wymieniła z nimi kilka grzecznościowych zdań, ale gdy zapaliło się światło, poprowadziła ich do drzwi i wpuściła do gabinetu tai-pana.

- Przepraszam za najście.

- Nie wysilaj się, Robert. Wyglądasz na zmęczonego.

- Miałem ciężką noc. Wszystko wina tego tałatajstwa napływającego do Hongkongu - zaczął już rozluźniony Armstrong. - Łajdacy się mnożą, a świętych krzyżują.

Dunross uśmiechnął się, a potem spojrział uważnie na Kwoka.

- A jak ciebie życie traktuje, Brian?

Brian Kwok odwzajemnił mu uśmiech.

- Bardzo dobrze, dziękuję, Ian. Giełda zwyżkuje, mam parę dolarów w banku, porche jeszcze się nie rozleciało, a kobiety... jak to kobiety.

- Bogu dzięki chociaż za to! Jedziesz w niedzielę w góry?

- Jeśli doprowadzę Lulu do porządku. Puściła złączka hydrauliczna. ; -

Pytałeś w naszym sklepie?

- Tak. Nic z tego, tai-pan. A ty jedziesz?

- To zależy. W niedzielę po południu muszę być w Tajpej. Jeśli będę miał czas, to pojedę. W każdym razie chciałbym. Jak tam Si?

Brian Kwok znów się uśmiechnął.

- Stara się utrzymać przy życiu. - Wywiad Specjalny był departamen tem zupełnie niezależnym w elitarnym, na wpół tajnym Oddziale Specjal nym. Odpowiadał za przeciwdziałanie i tropienie wszelkiej aktywności wy wrotowej w kolonii. Miał swoje własne, sekretne sposoby działania, własne fundusze i ogromną władzę. Podlegał bezpośrednio samemu gubernato rowi.

Dunross rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Czym się teraz zajmujecie? - zapytał.

- Na pewno wiesz - nie zamierzał udawać Armstrong. - Bronią z samolotu Bartletta.

- A tak, rano słyszałem - odparł Ian. - Jak mogę wam pomóc? Domyślcie się już, dla kogo była przeznaczona? I kto ją wysłał? Zatrzymaliście dwóch ludzi?

Armstrong westchnął.

- Tak. Zwykli mechanicy. Obydwaj należeli kiedyś do Narodowych Sił

Powietrznych. Nie notowani, choć podejrzani o przynależność do tajnych triad.

Obydwaj przebywają tutaj od czasu exodusu w czterdziestym dziewiątym. Czy mogłoby to zostać między nami trzema?

- A wasi zwierzchnicy?

- Ich też chciałbym wtajemniczyć, ale zachowaj to dla siebie.

- Dlaczego?

- Mamy powody przypuszczać, że karabiny były przeznaczone dla kogoś ze Struan i Spółki.

- Dla kogo? - zapytał ostro Dunross.

- Ale w zaufaniu?

- Tak. Dla kogo?
 - Jak dobrze znacie Lincolna Bartletta i Casey Tcholok?
 - Na jego temat mamy szczegółowe dossier. Jej nie. Chcielibyście je? Mogę dać wam kopię, ale poufnie.
 - Oczywiście. To nam bardzo pomoże. Dunross nacisnął guzik interkomu.
 - Tak, słucham? - odezwała się Klaudia.
 - Proszę zrobić kopię dossier Bartletta i dać ją przy wyjściu nadinspektorowi Armstrongowi. - Dunross wyłączył interkom.
 - Nie zabierzemy ci już wiele czasu - powiedział Armstrong. - Zawsze kompletujecie dossier swoich kontrahentów?
 - Nie. Ale lubimy wiedzieć, z kim prowadzimy interesy. Jeśli dojdzie do transakcji z Bartlettem, może to oznaczać miliony zysku, tysiące nowych miejsc pracy w Hongkongu, nowe fabryki, magazyny, duży rozwój i oczywiście ogromne ryzyko z naszej strony. Postawię pięćdziesiąt dolarów przeciwko złamanemu pensowi, że Bartlett również ma moje dossier.
 - Nie ma tam nic o jego powiązaniach ze światem przestępczym? Dunross zaniepokoił się.
 - Chodzi o mafię i te rzeczy? Na Boga, nie, nic takiego nie ma. Poza tym jeśli zamierzałyby tu wkraczać mafia, nie wysyłałaby dziesięciu zwykłych M14 z dwoma tysiącami naboju i paczką granatów.
 - Masz cholernie dobre informacje - przerwał Brian Kwok. - Za dobre.
- Dopiero godzinę temu rozpakowaliśmy to wszystko. Kto jest twoim informatorem?
- Wiesz, że w Hongkongu nie ma tajemnic.
 - W dzisiejszych czasach nie można nawet wierzyć własnym gliniarzom.
 - Mafia na pewno przysłałaby ładunek dwadzieścia razy większy i z pistoletami maszynowymi w amerykańskim stylu. Ale mafia, czymkolwiek by się tu zajęła, poniosłaby porażkę. Nigdy nie zastąpi naszych triad. Na pewno w tym przemyśle nie maczała palców mafia. To musiał być ktoś miejscowy. Kto wam doniósł o tym ładunku, Brian?
 - Straż lotniska z Tokio. Jeden z tamtejszych mechaników robił rutynowy przegląd, a wiesz, jacy oni są. Zawiadomił o tym swojego zwierzchnika, a ich policja poinformowała naszą i nam kazano się tym zająć.

- Trzeba się skontaktować z FBI i CIA, niech sprawdzą Honolulu i Los Angeles.

- Trasę lotu też znałeś?

- Oczywiście, to normalne. Dlaczego podejrzewacie kogoś ze Struan i Spółki?

- Obydwaj zatrzymani mówili... - Armstrong wyjął notatnik i zajrzał do środka. - My zapytaliśmy: „Gdzie mieliście zawieźć ładunek?”, oby-78

dwaj zeznali: „Do bazy piętnastej, mieliśmy położyć pakunki za siódmym boksem”. - Spojrzał na Dunrossa.

- To o niczym nie świadczy. Mamy największy teren przy Kai Tak. Tylko to, że mieli zanieść towar do jednej z naszych baz, nie dowodzi niczego z wyjątkiem tego, że wykazali się przebiegłością. Tam przewija się tak wielu kupców, że łatwo byłoby wywieźć obcy towar. - Dunross zastanowił się chwilę. - Piętnastka znajduje się na prawo od wyjazdu, doskonałe miejsce. -

Sięgnął do telefonu. - Wyślę tam kogoś z ochrony, od razu...

- Możesz się na chwilę wstrzymać?

- Dlaczego?

- Na nasze drugie pytanie - kontynuował Armstrong - „Kto was zatrudnił?”, podali oczywiście fałszywe nazwiska i rysopisy i wszystkiemu za-przeczają, ale wkrótce staną się chętniejsi do współpracy. - Uśmiechnął się szeroko. - Jednak jeden z nich, gdy sierżant wykręcił mu ucho, powiedział

coś dającego do myślenia. - Spojrzał do notatek. - Zawołał: „Zostaw mnie, mam ważnych przyjaciół!”. Na to sierżant: „Na tym świecie nie masz już przyjaciół”. A on: „Możliwe, ale szlachetny Tsu-ian ma i Czen z Noble House także”.

Zapanowała długa, ciężka cisza. Czekali.

Przeklęta broń, myślał zdenerwowany Dunross. Twarz jednak miał spokojną.

- Pracuje dla nas ponad stu Czenów, spokrewnionych i nie. To tak po-wszechne nazwisko jak Smith.

- A Tsu-ian? - przypomniał Brian Kwok. Dunross wzruszył ramionami.

- Jest dyrektorem w Struan i Spółka, ale także dyrektorem Blacs, Victo-ria Bank i czterdziestu innych kompanii. To jeden z najbogatszych ludzi w Hongkongu i jego nazwisko każdy w Azji może sobie wziąć po prostu z sufitu. Tak samo zresztą jak Czenów z Noble House...

- Wiesz, że on jest podejrzewany o zajmowanie wysokiego stanowiska w hierarchii triady... zwłaszcza Zielonej Pang? - zapytał Brian Kwok.

- W równej mierze podejrzewany jest każdy szanghajczyk. Jezu, Brian, Czang Kai-szeka podejrzewano parę lat temu o to, że oddał Szanghaj we władanie Zielonej Pang w zamian za poparcie w kampanii przeciwko do-wódcom wojskowym. Czy Zielona Pang nie jest nadal w pewien sposób tajną organizacją nacjonalistyczną?

- Ian, wiesz, gdzie Tsu-ian zarobił swoje pierwsze pieniądze?

- Nie wiem. Powiedz, Brian.

- Podczas koreańskiej wojny szmugłował penicylinę, leki i ropę, głównie jednak penicylinę, za granicę komunistyczną. Przed Koreą miał jedynie połatany płaszcz i rozklekotaną riksę.

- Brian, to tylko pogłoski.

- Struan i Spółka także zbiła fortunę.

- Tak. Ale to bardzo nierozsądnie sugerować, że dorobiliśmy się na przemyśle. I publicznie, i prywatnie - zaproponował spokojnie Dunross. - Naprawdę bardzo nierozsądnie.

-A było inaczej?

- Struan i Spółka zaczynała, jak wieść niesie, od małego przemytu przed stu dwudziestu laty, ale wtedy było to szacowne zajęcie i nigdy nie kolidowało z brytyjskim prawem. Jesteśmy uczciwymi kapitalistami, chińskimi przemysłowcami i to z wieloletnią tradycją.

Brian Kwok nie uśmiechnął się.

- Inne plotki głoszą, że miał niedobłą, wręcz bardzo niedobłą penicylinę.

- Jeśli to była.. jeśli to jest prawda, to proszę, Brian, zabierajcie go -

powiedział chłodnym tonem Dunross. - Osobiście uważam, że to kolejne oszczerstwo sfabrykowane przez zazdrosnych konkurentów. Gdyby to była prawda, gniłby teraz w morzu z innymi takimi śmiałkami albo poniósłby taką samą karę jak Wong Zły Proszek. - Wspomniał o przemytniku z Hongkongu, który sprzedawał ogromne ilości sfałszowanej penicyliny za granicę podczas wojny koreańskiej i inwestował zyski w giełdę oraz ziemię w Hongkongu. Po siedmiu latach stał się bardzo, bardzo bogaty. Wtedy pewna triada z Hongkongu postanowiła wyrównać z nim rachunki. Co tydzień ginął albo umierał ktoś z jego rodziny. Przez utopienie, uduszenie, w wypadku samochodowym, od trucizny lub noża. Aż w końcu został tylko on i imbecyłowaty wnuk następcy. Wegetują do dzisiaj, bez przerwy zamknięci w tym samym wielkim mieszkaniu z jednym służącym i jednym kucharzem. Żyją w ciągłym strachu, pilnowani w dzień i w nocy, nigdzie nie wychodzą, wiedząc, że najlepsza obstawa ani żadne pieniądze nie uchronią ich od wyroku opublikowanego w lokalnej gazecie. Ukazało się kiedyś małe ogłoszenie w ramce: „Wong Zły Proszek poniesie karę, on i cała jego rodzina”.

- Kiedyś z Robertem przesłuchiwałem tego łajdaka ~ przypomniał

Kwok.

-I co?

- Jest zastraszony. Wszystkie drzwi mają po dwa zamki i łańcuch, każde okno jest zabite deskami, zostały tylko pojedyncze dziury. Nie wychodził

z domu, odkąd zaczęły się te morderstwa. To miejsce śmierdzi, i to jeszcze jak! Zajmuje się jedynie grą z wnukiem i oglądaniem telewizji.

-I czekaniem - dodał Armstrong. - Pewnego dnia przyjdą po nich. Wnuk ma teraz ze szczęść, siedem

lat.

- Zdaje się, że udowadniamie moją teorię. Tsu-ian nie jest i nigdy nie był do niego podobny. I czy to możliwe, żeby Tsu-ian przemycał kilka M14?

Gdyby zechciał, mógłby zebrać pół armii nacjonalistycznej razem z bata lionem czołgów.

- Na Tajwanie, ale nie w Hongkongu.

- Czy Tsu-ian miał kiedyś styczność z Bartlettem? - zapytał Armstrong.

- Podczas waszych negocjacji.

- Tak. Był w naszym imieniu w Nowym Jorku i Los Angeles. Za każdym razem z Johnem Czenem. Zainicjowali porozumienie między Struanami a Par-Con Industries, które teraz zostanie sfinalizowane albo zerwane.

Oni też formalnie zaprosili w moim imieniu Bartletta do Hongkongu.

Armstrong spojrział na swojego chińskiego współpracownika.

- Kiedy to było? - zapytał.

- Cztery miesiące temu. Tyle czasu zajęło stronom ustalenie szczegółów.

- John Czen, co? - mówił Armstrong. - On mógłby pasować do tego Czena z Noble House.

- Wiesz, że John by się do tego nie nadawał - zaprotestował Dunross. - Nie znam powodu, dla którego miałby się zaplatać w taką sprawę. To po prostu zbieg okoliczności.

- Mamy jeszcze jeden dziwny zbieg okoliczności - zauważył Brian Kwok.

- Zarówno John Czen, jak i Tsu-ian znają Amerykanina zwanego Banastasio, a w każdym razie obydwoj byli widziani w jego towarzystwie. Czy to nazwisko coś ci mówi?

-Nie. Kto to jest?

- Długoletni hazardzista i aferzysta. Podejrzany także o bliskie kontakty zjedną z rodzin Cosa Nostra. Vincenzo Banastasio.

Dunross zmrużył oczy.

- Powiedziałaś „widziani w jego towarzystwie”. Kto ich widział?

-FBI.

Zapadło milczenie.

Armstrong sięgnął do kieszeni po papierosa.

Dunross podsunął mu srebrną papierośnicę.

- Och nie, dziękuję. . nie miałem zamiaru. Rzuciłem kilka tygodni temu.

To trucizna. - A potem, chcąc zapomnieć o pokusie, powiedział: - FBI prze słało nam tę wiadomość, bo wiedzą, że Tsu-ian i John Czen są tutaj ważny mi osobistościami. Prosil, żebyśmy mieli na nich oko.

Dunross przypomniał sobie nagle uwagę Foxwella o prominentnym kapitaliście będącym tajnym komunistą, którego śledzono w Sinclair Towers. Boże, pomyślał, Tsu-ian ma tam mieszkanie, John Czen również. Niemożliwe, żeby któregoś z nich łączyło coś z komunistami.

- Heroina to z pewnością świetny interes - powiedział Armstrong swoim silnym głosem.

- Co masz na myśli, Robert?

- Obrót narkotykami wymaga ogromnych nakładów finansowych. Takie wielkie pieniądze mogą pochodzić tylko z banków lub od bankierów.

Oczywiście potajemnie. Tsu-ian należy do zarządów wielu banków, podobnie jak pan Czen.

- Robert, lepiej powstrzymaj się od takich pochopnych uwag - przerwał

Dunross. - Wyciągasz bardzo niebezpieczne wnioski, nie mając żadnych dowodów.

One mogłyby wywołać poważne konsekwencje, a ja bym tego nie chciał.

- Masz rację, przepraszam. Mimo wszystko handel narkotykami to dochodowy interes. Zamierzam dowiedzieć się, kto u nas ma brudne ręce.

- To ci się chwali. Ze strony Struan i Spółki i z mojej otrzymasz wszelką pomoc.

Ja też nienawidzę handlarzy narkotyków.

- O, ja ich nie darzę nienawiścią, tai-pan. To tylko biznes, nielegalny, ale biznes.

Takie jest życie. Postanowiłem dowiedzieć się, kto jest tam tai-pa-nem. To sprawa zawodowego honoru.

- Jeśli potrzebujesz pomocy, mów.

- Dziękuję. - Armstrong podniósł się. - Zanim odejdziemy, mamy dla ciebie jeszcze dwa zbiegi okoliczności. Kiedy zatrzymany wymienił dzisiaj rano imiona Tsu-iana i Czena z Noble House, chcieliśmy od razu z nimi porozmawiać, ale gdy tylko przechwyciliśmy broń, Tsu-ian odleciał porannym samolotem do Tajpej.

Dziwne, co?

- Cały czas tam lata - podkreślił Dunross, z trudem nad sobą panując. Tsu-ian miał być wieczorem na przyjęciu. Jeśli się nie pokaże, będzie to naprawdę niepokojące.

Armstrong pokiwał głową.

- Wszystko wskazuje na to, że decyzję podjął w ostatniej chwili. Nie miał ani rezerwacji, ani biletu, ani bagażu. Położył kilka dodatkowych dola rów na kontuarze i kogoś wykreślono, a wpisano jego. Miał ze sobą tylko walizeczkę. Zastanawiające, co?

- Ekstradycja z Tajwanu jest niemożliwa - odezwał się Brian Kwok.

Dunross spojrział na niego, potem odwrócił się z powrotem do Armstronga.

Tai-pan mierzył nadinspektora lodowatym wzrokiem.

- Mówiłeś o dwóch zbiegach okoliczności. Co z tym drugim?

- Nie możemy znaleźć Johna Czena.

- O czym ty mówisz?

- Nie ma go w domu ani u kochanki, ani tam, gdzie zwykle bywa. Od kilku miesięcy, nawet zanim dostaliśmy wiadomość z FBI, śledziliśmy Tsu-iana i Johna.

Wszyscy milczeli.

- Sprawdzaliście na jachcie? - zapytał po chwili Dunross, nie wątpiąc, że to zrobili.

- Stoi na przystani, nie było go na niej od wczoraj. Chłopiec pokładowy zeznał, że też go nie widział.

- A na polu golfowym?

- Nie ma go - ciągnął Armstrong - ani na torze wyścigowym. Nie było go na treningu, chociaż się zapowiadał, jak mówił trener. Zginął, rozpłynął się, przepadł

jak kamień w wodę.

6 11:15

W sali posiedzeń panowała głucha cisza.

- O co chodzi? - zapytała Casey. - Liczby mówią same za siebie - dodała.

Wpatrywało się w nią czterech mężczyzn siedzących wokół stołu. Andrew Gavallan, Linbar Struan, Jacques deVille i Phillip Czen - wszyscy członkowie rady Struanów.

Andrew Gavallan był szczupły i wysoki, miał czterdzieści siedem lat. Spojrzał

na leżące przed nim dokumenty. *Dew neh loh moh* na wszystkie kobiety w biznesie, pomyślał poirytowany.

- Może powinniśmy porozumieć się z panem Bartlettem? - zaproponował

nieśmiało, zaskoczony widokiem kobiety, z którą ma prowadzić pertraktacje.

- Mówiłam już panom, że mam pełnomocnictwa na podejmowanie decyzji we wszystkich kwestiach - wyjaśniała, siląc się na cierpliwość. - Zajmuję się finansami i jestem wiceprezesem Par-Con Industries. Mam też polecenie negocjowania z wami. W zeszłym miesiącu ustaliliśmy to i spisaliśmy.

- Casey z trudem powstrzymywała złość. Zebranie toczyło się bardzo wolno. Z powodu początkowego wstrząsu, jakiego doznali na widok, że jest kobietą, a potem za sprawą niezręcznej grzeczności, czekali, aż ona usiadzie, aż coś powie, nie siadali, dopóki ona nie poprosiła, zagadywali ją, nie chcąc przejść do interesów, nie chcieli z nią negocjować. Mówili za to, że ich żony byłyby zachwycone, gdyby wybrała się z nimi po zakupy, a potem otwierali ze zdziwienia usta, ponieważ okazało się, że ona zna poufne szczegóły projektowanego przedsięwzięcia. Zazwyczaj bardzo sprawnie prowadziła negocjacje. Ale nie dzisiaj. Jezu, myślała, muszę się z nimi porozumieć. Musi mi się udać.

- To naprawdę całkiem proste - zaznaczyła na początku, chcąc swoim tradycyjnym zagajeniem wyzwolić ich z niezręcznej sytuacji. - Proszę zwyczajnie zapomnieć, że jestem kobietą, i oceniać moje umiejętności. A żalem: na porządku dziennym mamy trzy tematy... fabryki poliestru, przedstawicielstwo leasingu komputerów i wreszcie przedstawicielstwo w Azji

na nasze produkty petrochemiczne, nawozy, farmaceutyki i towary sportowe.

Najpierw zajmijmy się fabrykami poliestru, zaopatrzeniem w produkty do produkcji mieszanki i projektem terminów finansowania. - Od razu wręczyła im wykresy i przygotowane dokumenty, streszczenie, obliczenia procentowe, udziały banku i dochody, jasno, prosto, tak że najopomieszy umysł potrafiłby ogarnąć projekt. Niemo się w nią wpatrywali. Ciszę przerwał Andrew Gavallan.

- To... To robi spore wrażenie, moja droga.

- W tej chwili nie jestem „moją drogą” - podkreśliła z uśmiechem. - Moja kompania, jeśli się da, lubi podawać wszystko jak na dłoni.

- *Mademoiselle* - powiedział Jacques deVille ze swoim galijskim wdziękiem

- pani dłoń jest naprawdę piękna.

- *Merci, monsieur* - odpowiedziała natychmiast i dodała płynnie po francusku:

- ale wolałabym, żebyśmy zostawili moją dłoń w spokoju i zajęli się interesami.

Nie wydaje się panom, że nie należy mieszać tych dwóch rzeczy?

Ponowne milczenie.

- Napije się pani kawy? - zaproponował Linbar Struan.

- Nie, dziękuję, panie Struan. - Starła się dostosować do ich zwyczaju niemówienia sobie za wcześniej po imieniu. - Możemy się skoncentrować na tej propozycji? Wysłaliśmy ją panom miesiąc temu. . Staralam się jak najlepiej rozwiązać i nasze, i panów problemy.

Znów zaległa cisza. Trzydziestoczteroletni Linbar Struan, przystojny, o jasnych włosach i niebieskich oczach, patrząc na nią, natarczywie nalegał:

- Na pewno nie chce pani kawy? Może herbaty?

- Nie, dziękuję. A zatem przyjmujecie naszą propozycję w takiej for mie?

Phillip Czen odchrząknął.

- Zasadniczo chcemy współpracować z Par-Con w kilku dziedzinach.

Mówi o tym nasze porozumienie. A co do fabryk poliestru...

Słuchała jego ogólników, a potem znów chciała przejść do szczegółów -

jedyne celu tego spotkania. Wszystko szło jednak bardzo opornie i czuła, że się przed nią zamykają. To najgorsze, co się mogło zdarzyć. Być może dzieje się tak dlatego, że oni są Anglikami, a ona jeszcze nigdy nie przeprowadzała z nimi transakcji.

- Czy jakiś szczegół wymaga wyjaśnienia? - zapytała. - Jeśli czegoś panowie nie rozumieją...

- Wszystko rozumiemy doskonale - zapewnił Gavallan. - Jednak w pani ujęciu nie jesteśmy równymi partnerami. Wy zapewniacie maszyny, ale ich koszt amortyzujemy przez trzy lata, co pochłonie wszelki dopływ gotówki i oznacza brak jakichkolwiek zysków przez co najmniej pięć lat.

- Powiedziano mi, że w Hongkongu jest taki zwyczaj, że pełny koszt budowy amortyzuje się w okresie trzech lat - odpowiedziała równie ostrym tonem, zadowolona, że wreszcie zaczęło się coś dziać. - Nasza propozycja wynika z waszych zwyczajów. Jeśli chcecie pięciu czy dziesięciu lat, nie ma sprawy.

- Nie płaciecie za maszyny, są wydzierżawione za dość sporą miesięczną kwotę.

- Jaka jest obecnie stopa pierwszorzędna w panów banku, panie Gavallan?

Skonsultowali się i powiedzieli jej. Wyjęła kieszonkowy suwak logarytmiczny i liczyła kilka sekund.

- Przy obecnej stopie - powiedziała - moglibyście zaoszczędzić się demnaście tysięcy hongkongijskich dolarów tygodniowo na jednej maszy nie i końcowy zysk... - znów szybka kalkulacja - ...przekroczyłby trzy dziesiąt dwa procent. A mówimy o milionach dolarów.

Patrzyli na nią w milczeniu.

Andrew Gavallan przepytывał ją z liczb, ale ona ani razu nie zająknęła się.

Nie podobał im się jej pośpiech.

Cisza.

Była pewna, że otumaniła ich lawina liczb. Co mam jeszcze powiedzieć, żeby ich przekonać? - myślała. Coraz bardziej się niepokoiła. Struanowie zarobiliby mnóstwo pieniędzy, gdyby zechciało im się ruszyć tyłki, my też zbilibyśmy majątek, a ja miałabym nareszcie swoje „pieniądze na ustawienie”.

Sama tylko produkcja poliestru wzbogaciłaby Struan i Spółkę oraz Par-Con o prawie osiemdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie przez następne dziesięć lat, a z Linkiem umówiła się na pewną część z zysków.

- Ile chcesz? - zapytał przed odlotem do Stanów.

- Jeśli pytasz, pięćdziesiąt jeden procent - powiedziała ze śmiechem. Trzy procent.

- Daj spokój, Linc, potrzebuję „pieniądzy na ustawienie”.

- Dostaniesz opcję na sto tysięcy akcji Par-Con po cztery dolary poniżej ceny giełdowej i tam ulokujesz zysk.

- Twoje górą. Ale chcę też pieniędzy z produkcji pianki - oświadczyła, wstrzymując oddech. - Ja ją zaczęłam i chcę zysków. Pięćdziesiąt jeden procent dla mnie.

- W zamian za co?

- Za Struanów.

- Załatwione.

Na zewnątrz Casey zachowywała spokój.

- A zatem zgadzacie się, panowie, na naszą propozycję? Dzielimy się pół na pół, co możemy lepszego zaproponować?

- Nadal uważam, że nie finansujecie przedsięwzięcia w pięćdziesięciu procentach - ostro odpowiedział Andrew Gavallan. - Zapewniacie maszyny i materiały z dzierżawy, więc wasze ryzyko nie jest takie jak nasze.

- Ale tu chodzi o zmniejszenie podatków i mniejszy nakład gotówki.

Potwierdzają to liczby, panowie. Płacimy gotówką, a zarówno w Stanach, jak i tutaj możemy liczyć na różne ulgi i rabaty. - Nieświadomie coraz bardziej grzęzła.

- My finansujemy przedsięwzięcie w Stanach, gdzie mamy dobre rozeznanie, a panowie w Hongkongu, gdzie jesteście ekspertami.

Quillan Gornt odwrócił się tyłem do okna w swoim gabinecie.

- Powtarzam, my możemy zapewnić o wiele lepsze warunki niż Struan i Spółka, panie Bartlett. Pod każdym względem.

- Operujecie gotówką?

- Oczywiście. - Anglik z powrotem zasiadł za pustym biurkiem. Znajdował się na wprost Bartletta. Rozmawiali na najwyższym piętrze Rothwell-Gornt Building, stojącego również frontem do Connaught Road i morza. Gornt był przysadzistym, brodatym mężczyzną z twarzą pełną stanowczego spokoju, mierzył prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, miał piwne oczy, szpakowate włosy i bujne siwe brwi. - Nie jest żadną tajemnicą, że nasze kompanie poważnie ze sobą rywalizują, ale zapewniam pana, że my możemy ich przelicytować. Z naszej strony sprawy finansowe możemy sfinalizować w ciągu tygodnia. Uda nam się stworzyć naprawdę dochodową spółkę. Sugerowałbym, żeby podpisać umowę według prawa Hongkongu, tutaj są całkiem rozsądne podatki: piętnaście procent od wszystkiego, co zarobione w Hongkongu, a dochody spoza kraju są całkowicie zwolnione od podatków. - Gornt uśmiechnął się. - Lepiej niż w USA.

- O wiele lepiej - przyznał Bartlett. Uśmiechał się, siedząc w skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

- Dlatego zainteresował się pan Hongkongiem?

- Między innymi.

- Dlaczego jeszcze?

- Jak dotąd nie ma tu żadnej tak dużej jak moja amerykańskiej firmy, a powinna być. Możecie na tym skorzystać. Mamy wiele doświadczenia, zwłaszcza na rynku amerykańskim. Z drugiej strony Rothwell-Gornt oraz Struanowie mają lepsze rozeznanie w rynkach azjatyckich, czego nam brakuje.

- W jaki sposób możemy wzmocnić nasze stosunki?

- Po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, na czym zależy Struanom?

Rozpocząłem z nimi negocjacje, a nie lubię zawracać w połowie drogi.

- Na czym zależy Struanom, mogę powiedzieć od razu: chcą zysku dla siebie i posłać do diabła wszystkich pozostałych. - Gornt uśmiechnął się gorzko.

- Transakcja, o której rozmawialiśmy, wygląda bardzo uczciwie.
 - Od dawna są mistrzami w stwarzaniu pozorów uczciwości i dzieleniu zysków po połowie. Potem wyprzedają większość udziałów, jednak nadal stale zachowują kontrolę.
 - W naszym wypadku to by się nie udało.
 - Zajmują się tym prawie półtora wieku. Nauczyli się kilku sztuczek.
 - Wy też.
 - Oczywiście. Struanowie są jednak zupełnie inni od nas. My posiadamy kompanie na własność, oni są udziałowcami. W większości przedsiębiorstw mają niewiele ponad pięć procent udziałów, ale zachowują absolutną kontrolę ze względu na specjalnie uprzywilejowane głosy albo dlatego, że ich tai-pan jest tai-panem wszystkich tai-panów.
 - To sprytne!
 - Istotnie. Ale my jesteśmy lepsi i potężniejsi. Nasze wpływy i kontakty w Chinach oraz na wybrzeżu Pacyfiku z wyjątkiem USA i Kanady są wiele silniejsze, a z dnia na dzień ciągle rosną.
 - Dlaczego?
 - Bo nasza kompania pochodzi z Szanghaju, największego miasta w Azji, gdzie zdobyliśmy dominację. Struanowie koncentrowali się zawsze na Hongkongu, który aż do niedawna był prowincjonalnym portem.
 - Ale odkąd komuniści zamknęli stały ląd, Szanghaj praktycznie zamiera.
- Cały handel zagraniczny odbywa się teraz nie w Szanghaju, tylko w Kantonie.
- Owszem, jednak to szanghajczycy wyjeżdżają z Chin na południe z pieniędzmi, rozumem i odwagą, to oni uczynili z Hongkongu to, czym jest teraz i czym będzie w przyszłości: największą metropolię całego Pacyfiku.
 - Większą niż Singapur?
 - Naturalnie.
 - Manila?
 - Oczywiście.
 - Tokio?

- Ono jest wyłącznie dla Japończyków. - Zmarszczył brwi, w jego oczach pojawiły się błyski. -
Hongkong to największe miasto w Azji, panie Bartlett. -

Ktokolwiek obejmie rządy w Azji... Mam na myśli oczywiście handel, finanse, duży biznes i przemysł stoczniowy.

- A jak się do tego mają czerwone Chiny?

- Wydaje nam się, że rozwój Hongkongu jest na rękę ChRL, czyli Chiń-

skiej Republice Ludowej. Jesteśmy dla nich kontrolowanym „oknem na świat”. Hongkong i Rothwell-Gornt reprezentują przeszłość.

- Dlaczego?

- Ponieważ odkąd Szanghaj stał się centrum chińskiego przemysłu i biznesu, szanghajczycy są siłą napędową Chin, zawsze tak było i zawsze tak **87**

będzie. A teraz najlepsze miejsce dla nas znajduje się tutaj. Wkrótce dostrzeże pan różnicę pomiędzy Szanghajem a Hongkongiem. Przekona się pan, że szanghajczycy są przedsiębiorcami, przemysłowcami i kosmopolitami. Tutaj nie ma wielkiego przemysłu tekstylnego ani stoczniowego. Kan-tończycy prowadzą rodzinne interesy, oni są samotnikami, panie Bartlett. Za to szanghajczycy rozumieją, co znaczy partnerstwo, korporacja, a przede wszystkim bankowość i finanse. - Gornt zapalił następnego papierosa. - W tym leży nasza siła, dlatego jesteśmy lepsi od Struanów. I dlatego w końcu staniemy się numerem pierwszym.

Linc Bartlett przyglądał się siedzącemu po przeciwnej stronie biurka człowiekowi. Z przygotowanego przez Casey dossier wiedział, że Gornt urodził

się w Szanghaju, jego rodzice byli Brytyjczykami, że ma czterdzieści osiem lat, jest wdowcem z dwójką dorosłych dzieci, że w latach 1942-45 służył jako kapitan australijskiej piechoty morskiej. Wiedział także, że od ośmiu lat, czyli od rezygnacji ojca, skutecznie, choć samotnie, prowadzi Rothwell-Gornt.

Bartlett zmienił pozycję w głębokim skórzanym fotelu.

- Skoro Struan i Spółka jest dla pana rywalem, a pan ma pewność, że stanie się numerem pierwszym, to na co pan czeka? Dlaczego nie przejmie pan ich od razu?

Gornt patrzył na niego niewzruszony.

- Niczego na świecie bardziej nie pragnę. Ale nie mogę. Jeszcze nie teraz.

Prawie mi się udało trzy lata temu, prawie ich przejąłem... poprzedniego tai-pana opuścił *dżos*.

- *Dżos?*

- Tak. To chińskie słowo oznaczające szczęście, los, ale i coś więcej. -Gornt przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Jesteśmy tutaj przesądni. *Dźos* jest równie ważny jak wyczucie chwili. *Dźos* opuścił Alastaira Struana albo odwrócił się od niego. Ostatni rok był dla niego tak fatalny, że aż musiał zdesperowany przekazać interesy łanowi Dunrossowi. Prawie udało mi się ich przejąć, ale Dunross powstrzymał spadek cen akcji i ustabilizował rynek.

- W jaki sposób?

- Że tak powiem... udało mu się wykorzystać nadzwyczajne wpływy w pewnych kręgach bankowych.

- Gornt przypomniał sobie furję, która ogarnęła go, gdy Havergill, wbrew ich osobistej, tajnej umowie, nie odrzucił prośby Struanów o nadzwyczajny kredyt.

Nigdy nie zapomni, jak ze złością krzyczał na Havergilla:

- Dlaczegoś to, do diabła, zrobił? Sto milionów dolarów nadzwyczajne go kredytu? Na rany Chrystusa, przecież ich tym uratowałeś! A już ich mie liśmy. Dlaczego?

Havergill odpowiedział, że Dunross zgromadził odpowiednią liczbę głosów w radzie, a on nie miał nic do gadania.

Tak, myślał Gornt, patrząc na Amerykanina. Straciłem trochę czasu, ale ty jesteś moim zapalnikiem z dwudziestoczworokaratowego złota... zapalnikiem bomby, która raz na zawsze wykurzy Struanów z Azji.

- Dunross postawił wtedy wszystko na jedną kartę. Zdobył kilku śmiertelnych wrogów. Ale teraz jesteśmy tak samo silni. Można to nazwać patem.

My nie możemy przejąć ich, a oni nas.

- Aż do chwili, gdy oni popełnią błąd.

- Albo my. - Gornt wypuścił kółko z dymu i przyglądał się uważnie, jak unosi się i rozwiewa w powietrzu. W końcu z powrotem przeniósł wzrok na Bartletta. - My ostatecznie wygramy. W Azji czas płynie trochę inaczej niż w Stanach.

- Słyszałem o tym.

- Wierzy pan?

- Zasady przetrwania są takie same tutaj, tam i wszędzie indziej. Zmieniają się tylko szanse.

Gornt spojrział na kłęby dymu pod sufitem. Jego gabinet był obszerny, na ścianach wisiały obrazy olejne, a wokół unosił się zapach pokrywającej meble skóry i dymu przednich cygar. Zrobione z twardego dębu, rzeźbione i pokryte czerwonym pluszem krzesło Gornta wygląda na funkcjonalne i solidne, myślał

Bartlett, tak samo jak właściciel.

- Możemy przelicytować Struanów i czas pracuje na nasz rachunek, i tu, i tam, i wszędzie - powiedział Gornt.

Bartlett zaśmiał się.

Gornt mu zawtórował, ale Bartlett dostrzegł, że jego oczy pozostały chłodne.

- Proszę się rozejrzeć po Hongkongu, panie Bartlett. Popytać o nas i o nich.

A potem podejmie pan decyzję.

- Tak, tak właśnie zrobię.

- Słyszałem, że skonfiskowano pański samolot.

Faktycznie, to prawda. Policja znalazła na pokładzie broń.

Słyszałem. Dziwne. Jeśli będzie panu potrzebna pomoc, jestem do pana usług.

Pomógłby mi pan, mówiąc, kto i dlaczego to zrobił.

- Nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że ktoś od Struanów może coś wiedzieć.

- Dlaczego?

- Znali dokładnie trasę waszego lotu.

- Pan też.

- Tak, ale wasze przybycie nie miało ze mną nic wspólnego.

- Kto wiedział, że mamy się tu spotkać, panie Gornt?

- Pan i ja. Tak jak ustaliliśmy. Ja nikomu nie puściłem pary z ust, panie Bartlett. Po naszym osobistym spotkaniu w Nowym Jorku wszystko załatwialiśmy telefonicznie, nie wchodził w grę nawet teleks. Zaaprobowałem pana ostrożność, tajemniczość i konieczność negocjacji w cztery oczy. A kto o naszych... interesach wiedział z pana strony?

- Nikt prócz mnie.

- Nawet dama będąca u pana wiceprezesem? - zapytał z nie skrywanym zaskoczeniem Gornt.

- Nawet ona. Kiedy się pan dowiedział, że Casey jest kobietą?

- Już w Nowym Jorku. Poza tym przecież to normalne, że prowadząc ze sobą negocjacje, musimy wiele o sobie wiedzieć.

- To dobrze, zaoszczędzimy trochę czasu.

- Dziwne, że obsadził ją pan na tak ważnym stanowisku.

- Jest moją prawą i lewą ręką. Najlepszy z niej współpracownik, jakiego kiedykolwiek miałem.

- A więc dlaczego nie wie o naszym spotkaniu?

- Pierwsza z zasad przetrwania mówi, żeby nie zamykać sobie dróg odwrotu.

- Co to oznacza?

- To oznacza, że w interesach nie toleruję podejmowania zbiorowych decyzji.

Poza tym lubię działać na bieżąco i zatrzymywać niektóre posunięcia w tajemnicy.

- Na chwilę Bartlett zamyślił się, a potem dodał: - Nie chodzi tu o brak zaufania.

Po prostu robię to dla jej dobra. Jeśli ktoś od Struanów dowie się o naszym tutaj spotkaniu i zapyta ją, jej zaskoczenie będzie jak najbardziej naturalne.

- Rzadko się spotyka kogoś - odezwał się po chwili przerwy Gornt - komu można w pełni zaufać. Bardzo rzadko.

- Do czego komuś mogą być w Hongkongu potrzebne karabiny M14 i granaty? I dlaczego przemytnicy wybrali akurat mój samolot?

- Nie wiem, ale dowiem się. - Gornt strząsnął popiół z papierosa. Po-pielniczka była porcelanowa i pochodziła z czasów dynastii Sung. - Zna pan Tsu-iana?

- Kilka razy go spotkałem. A dlaczego?

- Mimo że jest dyrektorem u Struanów, to bardzo uczciwy człowiek.

- Szanghajczyk?

- Tak. Jeden z najlepszych. - Gornt podniósł wzrok. - Możliwe, że z naszej transakcji może wyniknąć jeszcze jeden dodatkowy zysk, panie Bartlett.

Słyszałem, że Struanowie już mają się nie za dobrze. Dunross bardzo ryzykuje.

Zamówił w Japonii dwa ogromne statki handlowe. Pierwsza rata ma być spłacona za tydzień czy jakoś tak. Poza tym rozchodzą się plotki, że złożył w Asian Properties ofertę kupna. Słyszał pan coś o tej kompanii?

- Zajmuje się nieruchomościami w Hongkongu.
- Tak. Są najwięksi. Więksi nawet niż jego Kowloon Investments.
- K.I. należy do Struanów? Myślałem, że działają niezależnie.
- Na pozór tak. Ale Dunross jest ich tai-panem. Zawsze mają tego samego.
- Zawsze?

- Tak. To ich naczelną zasadą. Ale Ian przesadził. Noble House może się wkrótce zhańbić, bo mają bardzo mało gotówki.

Bartlett zastanawiał się chwilę.

- Dlaczego nie wejdzie pan w spółkę z jakąś kompanią, na przykład Asian Properties, i nie przejmie pan Struanów? W Stanach, gdy nie mogę poradzić sobie sam, tak właśnie robię.
- Tutaj też by pan tak chciał, panie Bartlett? - zapytał Gornt, udając szok. -

Chciałby pan przejąć Struanów?

- A to możliwe?

Gornt, zanim odpowiedział, uważnie popatrzył w sufit.

- Tak. Ale musiałby pan mieć partnera. Może Asian Properties, ale raczej wątpię. Jasonowi Plumowskiemu, ich tai-panowi, brakuje ikry. Pan potrzebuje nas. My mamy perspektywę, plany, umiejętności i pragnienia. Niemniej musiałby pan zaryzykować spore pieniądze.

-Ile?

Gornt roześmiał się.

- Zastanowię się. Najpierw musiałby mi pan powiedzieć, czy poważnie zamierza pan to uczynić.
- A chciałby pan, żeby tak?

- Po pierwsze, musiałbym się upewnić, czy naprawdę myśli pan serio. Nie jest tajemnicą, że nienawidzę Struanów i Dunrossa i chcę ich zniszczyć. Moje plany długoterminowe pan zna. Ja pańskich jeszcze nie.

- Czy opłacałoby się przejąć Struanów?

- O tak. O tak, panie Bartlett. Na pewno - powiedział jowialnie, a potem dodał chłodnym tonem: -

Jednak nadal nie wiem, czy istotnie chce pan to przeprowadzić.

- Powiem panu po spotkaniu z Dunrossem.

- Zamierza mu pan zasugerować, że razem moglibyście wchłonąć Rothwell-Gornt?

- Panie Gornt, ja przyjechałem tu po to, aby umiędzynarodowić Par-Con.

Jakieś trzydzieści milionów pozwoliłoby mi pokryć koszty fabryk i magazynów. Jeszcze do niedawna nie słyszałem ani o Struanach, ani o Rothwell-Gornt. Ani o waszej rywalizacji.

- Dobrze, panie Bartlett. Odłóżmy to. Bardzo mnie interesują pana posunięcia. Ciekawe, czy potrafi pan trzymać nóż...

Bartlett popatrzył, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Tak mówią chińscy kucharze. Umie pan gotować?

-Nie.

- To moje hobby. Chińczycy sądzą, że to ważne, jak się trzyma nóż. Jeśli się nie umie, można się pokaleczyć. Prawda?

Bartlett uśmiechnął się.

- Trzymać nóż, tak? Zapamiętam to. Nie umiem gotować i nigdy nie próbowałem się nauczyć. Casey też gotuje paskudnie.

- Chińczycy twierdzą, że udoskonalili trzy sztuki, w których żadna inna cywilizacja nie może się z nimi równać: literatura, malarstwo i gotowanie. Ja skłonny byłbym się z tym zgodzić. Lubi pan dobrze zjeść?

- Tak, najlepiej jadłem w Casale, to zaraz za Rzymem na Via Flaminia.

- Mamy coś wspólnego. Ja także najbardziej lubię jeść w Casale.

- Kiedyś Casey mnie tam zabrała na *spaghetti alla matriciana al dente* i *buscetti*. Do tego dobrze schłodzone piwo, potem *piccata* i znów piwo. Nigdy tego nie zapomnę.

Gornt uśmiechnął się.

- Może kiedyś zaproszę pana na kolację. Potrafię już konkurować z *alla matriciana*. Mam dokładny przepis.

- Z przyjemnością przyjmę zaproszenie.

- Do tego Valpolicella albo jakieś wino tokańskie.

- Osobiście lubię spaghetti z piwem. Oziębionym amerykańskim piwem z puszki.

- Jak długo zamierza pan pozostać w Hongkongu?

- Ile będzie trzeba - odparł od razu Bartlett.

- Dobrze. Może więc umówimy się na przyszły tydzień? We wtorek albo we środę?

- We wtorek. Mogę zabrać ze sobą Casey?

- Oczywiście. Do tego czasu może się pan zdecydować, co zamierza robić.

Bartlett zachichotał.

- Do tego czasu zobaczy pan, jak trzymam nóż.

- Być może. Proszę tylko pamiętać o jednym. Jeśli kiedykolwiek połączymy siły, żeby zaatakować Struanów, nie będzie już możliwości wycofania się bez poniesienia jakichś kosztów. Na pewno. Chcę, żeby to było jasne. Poza tym gdyby coś... pan może zawsze wsiąść w samolot i wracać do Stanów, ja zostanę tutaj. Nasze ryzyko nie będzie jednakowe.

- Łupy też będą nierówne. Pan zyska coś, co dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Tytuł Noble House.

- Tak - potwierdził z błyskiem w oczach Gornt. Nachylił się po kolejnego papierosa i w tej samej chwili przycisnął lewą stopą ukryty na podłodze za biurkiem przycisk.

Zabrzączał interkom.

- Przepraszam, panie Gornt. Chce pan, aby przesunąć zebranie rady? -

zapytała sekretarka.

- Nie. Mogą poczekać.

- Tak, sir. Jest tu panna Ramos. Poświęci jej pan kilka minut? ; Gornt udał zaskoczenie.

- Chwileczkę. - Spojrzał na Bartletta. - Na czym poprzestajemy?

- Wszystko ustalimy we wtorek - odparł natychmiast Bartlett. Zwrócił się do wyjścia, ale Gornt powstrzymał go.

- Chwileczkę. Chciałbym, żeby pan kogoś poznał.

Otworzyły się drzwi i do środka weszła dziewczyna. Miała dwadzieścia pięć lat, krótkie czarne włosy i duże oczy. Była Euroazjatką ubraną w sprane amerykańskie dżinsy i koszulę.

- Cześć, Quillan - powiedziała z uśmiechem, który ocieplił atmosferę. Jej angielski naznaczony był amerykańskim akcentem. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie wróciłam z Bangkoku i chciałam się przywitać.

- Miło mi cię widzieć, Orlando - Gornt uśmiechnął się do wpatrzonego w nią Bartletta. - To pan Linc Bartlett, z Ameryki. Orlanda Ramos.

- Cześć - powiedział Bartlett.

- Cześć... O, Linc Bartlett? Amerykański milioner, przemytnik broni? -

zapytała z uśmiechem.

- Słucham?

- Proszę nie udawać takiego wstrząśniętego, panie Bartlett. W Hongkongu już wszyscy o tym wiedzą, to w gruncie rzeczy zwykła wieść.

- Poważnie? Skąd pani się dowiedziała?

- Przeczytałam w porannej gazecie.

- Niemożliwe! Całe zajście miało miejsce o wpół do szóstej.

- W „Fai Pao”. To chińska gazeta, a Chińczycy wiedzą o wszystkim, co się dzieje. Nie ma się co

przejmować, angielskie gazety opiszczą całą sprawę dopiero w popołudniowych wydaniach, ale niedługo zawita u pana ktoś z prasy.

- Dziękuję. - Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to depcząca po piętach prasa, pomyślał.

- Proszę się nie obawiać, panie Bartlett, nie poproszę pana o wywiad, mimo że jestem reporterką chińskiej gazety. Naprawdę potrafię zachować dyskrecję, prawda Quillan?

- Oczywiście, ręczę za to - przyznał Gornt. - Orlanda jest godna abso-lutnego zaufania.

- Naturalnie, jeśli pan sam zaproponuje mi wywiad, zgodzę się. Jutro.

- Pomyślę o tym.

- Gwarantuję, że przedstawię pana jako poszkodowanego.

- Chińczycy naprawdę wiedzą wszystko, co się tu dzieje?

93

- Jak najbardziej - odpowiedziała bez wahania. - Ale chińskich gazet nie czytają *quai loh*, obcokrajowcy. Z wyjątkiem tych, którzy mieszkają tu tak długo jak Quillan.

- A także cały Wywiad Specjalny, Oddział Specjalny i w ogóle policja -mówił

Gornt.

- Oraz Ian Dunross - powiedziała, dotykając zębów koniuszkiem języka.

- Jest aż taki ostry? - zapytał Bartlett.

- O tak. Płynie w nim krew Demona Struanów.

- Nie rozumiem.

- Zrozumie pan po jakimś czasie pobytu tutaj. Bartlett zastanawiał się chwilę, marszcząc brwi.

- Pan także wiedział o broni, panie Gornt?

- Tylko tyle, że minionej nocy policja przechwyciła przesyłkę z bronią umieszczoną na pokładzie prywatnego samolotu należącego do amerykańskiego milionera. Również z chińskiej gazety. Z „Sing Pao”. To coś w rodzaju kantońskiego „Timesa”. Jednak w przeciwieństwie do Orlandy za skoczony jestem, że nie nachodzili pana jeszcze angielscy dziennikarze.

W gruncie rzeczy są bardzo aktywni, wcale nie tacy, jak przedstawia ich Orlanda.

Bartlett poczuł zapach jej perfum.

- Dziwi mnie niezmiernie, że nie wspomniał pan o tym ani słowem, panie Gornt.

- A po kiego czorta? Co mają karabiny do naszych przyszłych związków? -

Gornt odchrząknął. - Jeśli dojdzie do najgorszego, odwiedzimy pana w więzieniu. Razem z Orlandą.

- Ależ oczywiście - zapewniła go rozbawiona.

- Wielkie dzięki! - Znów doleciał go zapach jej perfum. Postanowił zmienić temat i całkowicie skoncentrował się na dziewczynie. - Ramos... to hiszpańskie nazwisko?

- Portugalskie. Pochodzę z Makau. Mój ojciec pracował w Szanghaju dla Rothwell-Gornt, a matka pochodziła z Szanghaju. Mieszkałam w tym mieście do czterdziestego dziewiątego roku, a potem przeprowadziłam się na kilka lat do Stanów. W San Francisco chodziłam do szkoły.

- Tak? Ja pochodzę z Los Angeles. Do szkoły chodziłem w Valley.

- Uwielbiam Kalifornię - rozmarzyła się. - Jak się panu podoba Hongkong?

- Dopiero przyjechałem. Zdaje się, że miałem huczne wejście.

Roześmiała się. Błysnęły śliczne białe zęby.

- Hongkong to przyjemne miejsce, pod warunkiem że można je opuścić po kilku miesiącach. Musi pan koniecznie zobaczyć Makau, to tylko czterdzieści mil stąd, doskonałe miejsce na weekend. Jest zupełnie inne niż Hong-94

kong. - Odwróciła się do Gornta. - Jeszcze raz przepraszam, że przeszkodziłam w spotkaniu, Quillan, chciałam się tylko przywitać... - Skierowała się do wyjścia.

- Nic się nie stało - zapewnił Bartlett. - Już wychodziłem. - Jeszcze raz dziękuję, panie Gornt. Do zobaczenia we wtorek, jeśli nie wcześniej... Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, panno Ramos.

- Tak, byłoby mi bardzo przyjemnie. Oto moja wizytówka. Jeśli udzieli mi pan wywiadu, będzie pan miał dobrą prasę. - Wyciągnęła rękę, a on, dotykając jej, poczuł ciepło.

Gornt odprowadził go do drzwi, potem je zamknął, wrócił do biurka i wziął

papierosa. Dziewczyna podała mu ogień, zgasiła zapałkę i usiadła na miejscu, które dotąd zajmował Bartlett.

- Przystojny - oceniła.

- Tak. Ale jak to Amerykanie, naiwny i buńczuczny. Może będzie mu trzeba przytrzeć nosa.

- O to ci właśnie chodzi?

- Być może. Przeglądałaś jego dossier?
 - Tak. Bardzo ciekawe. - Orlanda uśmiechnęła się.
 - Tylko nie pytaj go o pieniądze - rzucił ostro Gornt.
 - *Aiii ia*, Quillan, myślisz, że jestem aż tak głupia? - **udała obrażoną**.
 - No, już dobrze.
 - Po co miałyby przemycać do Hongkongu broń?
 - No właśnie, po co? Może ktoś go wykorzystał.
 - Najprawdopodobniej. Gdybym ja miała tyle forsy, nie pakowałabym się w takie sprawy.
 - Właśnie.
 - A podobał ci się mój pomysł z reporterką? Uważam, że mi się udało.
 - Tak, tylko nie lekceważ tego faceta. Nie jest głupcem. Bywa poryw-czy. I to bardzo. - Opowiedział jej o Casale. - To coś więcej niż zbieg okoliczności.
- Z pewnością ma też moje dossier. I to szczegółowe. Niewiele osób wie o tym, że lubię to miejsce.
- Może ja też jestem w tym dossier?
 - Może. Lepiej, żeby się nie dowiedział, że tylko udawałaś dziennikarkę.
 - Coś ty, Quillan. Kto prócz ciebie i Dunrossa czyta chińskie gazety... a nawet wy nie czytacie wszystkich. Zresztą naprawdę prowadziłam kolumnę „Korespondencji specjalnych”. Jeśli udzieli mi wywiadu, będę potrafiła go napisać. - Podsunęła mu popielniczkę. - A tak ogólnie wszystko z Bartlettem poszło dobrze, co?
 - Doskonale. Dobrze się wczułaś w rolę. Powinnaś występować w filmie.
 - No właśnie. Porozmawiaj o tym ze swoim przyjacielem, proszę cię, Quillan. Charlie Wang wiele ci zawdzięcza, a jest najpotężniejszym produ-95 centem filmowym w Hongkongu. Robi tak dużo filmów... a ja potrzebuję tylko jednej szansy... Zostałabym gwiazdą! Dobrze, Quillan?
 - Czemu nie? - powiedział beznamiętnie. - Ale chyba nie jesteś w jego typie.
 - Mogę się dostosować. Tak jak z Bartlettem. Źle się ubrałam? Idealnie w amerykańskim stylu.
 - Dobrze, już dobrze. - Gornt spojrzał na nią i dodał łagodnie: - Idealnie do niego pasujesz.

Pomyślałem sobie też, że może przydałoby ci się coś bardziej stałego niż przelotny romans...

Zdwoiła swoją uwagę.

- Słucham?

- Pasujecie do siebie jak ulał. Masz odpowiedni wiek, jesteś wesoła, piękna, inteligentna, wykształcona, doskonała w łóżku i wystarczy ci amerykańskiego obycia, aby czuł się przy tobie swobodnie. - Zaciągnął się dymem. - I ze wszystkich kobiet, jakie znam, tylko ty naprawdę potrafisz wydawać pieniądze.

Tak, doskonale do siebie pasujecie... On byłby dobry dla ciebie, a ty wprowadziłabyś do jego życia wiele radości. Co ty na to?

- Tak - odpowiedziała bez wahania. - Chciałabym. - Uśmiechnęła się, a potem zmarszczyła brwi. - A co z tą kobietą, która z nim przyjechała? Mieszkają w jednym apartamencie. Słyszałam, że jest bardzo piękna. Co ty na to, Quillan?

Wydął usta.

- Informatorzy donoszą, że nie śpią ze sobą, choć są dla siebie czymś więcej niż przyjaciółmi.

- Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku, co?

Gornt roześmiał się szczerze i głęboko.

- Nie zrobiłbym ci tego, Orlanda! Na pewno wszystko z nim w porządku.

Wdał się tylko w taki dziwny związek z Casey.

- Na czym on polega?

Gornt wzruszył ramionami.

- Jak mam się do niej odnosić? - zapytała po chwili.

- Jeśli stoi ci na drodze, pozbądź się jej. Masz ostre pazury.

- Jesteś... Czasami wcale cię nie lubię.

- Obydwoje jesteśmy przecież realistami, prawda? - powiedział spokojnym tonem.

Wyczuła w nim podskórną potężną moc. Nagle wstała, przechyliła się przez biurko i pocałowała go.

- Ty diable - mruknęła. - To za stare dobre czasy.

Sięgnął dłonią do jej piersi i westchnął, czując pod delikatnym materiałem ciepłe ciało.

- *Aiii ia*, Orlanda! To były naprawdę piękne czasy, prawda?

Została jego kochanką w wieku siedemnastu lat. Był jej pierwszym męż-

czyną, utrzymywał ją pięć lat i utrzymywałby dalej, gdyby nie uciekła kiedyś podczas jego nieobecności do Makau z młodym człowiekiem. Na tym się skończyło. Mimo że mieli wtedy ze sobą roczną córkę.

- Orlanda - powiedział do niej, gdy wróciła, prosząc o wybaczenie. -

Nie muszę ci niczego wybaczać. Wiele razy powtarzałem, że młodzi ciągną do siebie i nadejdzie dzień, że... Otrzyj łzy, wyjdź za tego chłopaka, a ja zapewnię ci posag i błogosławieństwo... - A potem, słuchając jej łkań, za pewnił: - Nadal pozostaniemy przyjaciółmi. Zawsze, gdy będziesz potrzebowała, ja zaopiekuję się tobą...

Następnego dnia całą swoją złość obrócił przeciwko młodzieńcowi -

niższemu urzędnikowi w Asian Properties - i po miesiącu wyrzucił go.

- To sprawa honoru - wyjaśnił jej spokojnie.

- Tak, wiem, wszystko rozumiem, ale... co ja mam teraz zrobić? - szlochała.

- On jutro odlatuje do Anglii i chce, żebym z nim jechała i poślubiła go. Ale ja nie mogę tego zrobić, on nie ma pieniędzy, przyszłości ani nawet pracy...

- Otrzyj łzy i jedź na zakupy.

- Proszę?

- Tak. Tu masz prezent. - Dał jej bilet w obie strony pierwszej klasy, na ten sam lot, którym chłopak leciał w klasie turystycznej, oraz tysiąc funtów w nowiuteńkich banknotach. - Kup sobie trochę ubrań i idź do teatru. Masz rezerwację na jedenaście dni w „Connaught”, a potem podpisz rachunek i mo-

żesz wracać. Baw się dobrze, a później wracaj świeża, wypoczęta i bez kłopotów.

- Dziękuję, Quillan, dziękuję... Tak mi przykro. Przebaczyłeś mi?

- Nie muszę ci niczego wybaczać. Ale jeśli jeszcze raz będziesz z nim rozmawiać, jeśli spotkasz się z nim potajemnie... wtedy nic będę okazywał już przyjaźni ani tobie, ani twojej rodzinie.

Z oczami pełnymi łez dziękowała mu, stokrotnie przeklinając swoją głupotę. Następnego dnia młodzieniec próbował porozmawiać z nią na lotnisku, potem w samolocie i w Londynie, ale ona nie dopuszczała go do siebie.

Wiedziała, gdzie stoi miska z ryżem. W dzień po jej odlocie z Londynu chłopak popełnił samobójstwo.

Gdy Gornt dowiedział się o tym, zapalił doskonale cygaro i zaprosił

Orlandę na kolację do restauracji na ostatnim piętrze hotelu „Victoria and Albert”. Były świece, znakomita obsługa, srebra. Kiedy on dopił swoje brandy, a ona *creme de menthe*, wysłał ją samą do wciąż wynajmowanego dla niej mieszkania. Sam natomiast został w restauracji, zamówił kolejne brandy i spoglądając przez okno na światła przystani oraz Pik, rozkoszował się uczuciem zemsty, pięknem życia i odzyskanym honorem.

-*Aiii ia*, to były czasy - westchnął z rozmarzeniem. Nadal budziła w nim namiętność, ale nie spał z nią, odkąd uciekła do Makau.

- Quillan... - szepnęła, ona także czuła ciepło jego dłoni.

-Nie.

Spojrzała na zamknięte drzwi.

- Błagam. Od trzech lat nikogo nie miałam...

- Dziękuję, nie. - Odsunął ją od siebie, przesunął dłoń na ramię i niezbyt mocno uściśnął. - Co było między nami najpiękniejsze, już minęło -

zawyrokował tonem konesera. - Drugi raz się to nie powtórzy.

Usiadła na brzegu biurka i patrzyła na niego ponurym wzrokiem.

- Zawsze masz, czego chcesz.

- W dniu kiedy zostaniesz kochanką Bartletta, podaruję ci prezent -

powiedział spokojnym głosem. - Jeśli zabierze cię do Makau i zostaniesz jawnie przy nim przez trzy dni, kupię ci nowego jaguara. Jeśli poprosi cię o rękę, dostaniesz umeblowane mieszkanie, a w prezencie ślubnym możesz się spodziewać domu w Kalifornii.

Otworzyła ze zdziwienia usta, a potem uśmiechnęła się triumfalnie.

- Jaguara XK-E, czarnego. Och, Quillan, będzie wspaniale! Dlaczego on jest taki ważny? Dlaczego ci tak na nim zależy?

Tylko na nią patrzył.

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Nie powinnam była pytać.

- - W zadumie sięgnęła po papierosa, zapaliła go i podała Gorntowi.

- Dziękuję - powiedział, z rozkoszą spoglądając na zarys jej piersi. Trochę mu było smutno, że i takie piękne rzeczy przemijają. - A tak przy okazji. Nie chciałbym, żeby Bartlett wiedział o naszej umowie.

- Ani ja - westchnęła i zmusiła się do uśmiechu. Potem wstała i wzruszyła ramionami. - *Aiii ia*, między nami i tak by się popsulo. Niezależnie od tego Makau.

Ty byś się znudził. Mężczyźni tacy już są.

Poprawiła makijaż, koszulę, przesłała mu pocałunek i wyszła. On popatrzył na zamknięte drzwi, uśmiechnął się i wygasił papierosa. Ani razu nie pociągnął, nie chciał poczuć smaku jej ust. Zapalił nowego i zanucił jakąś melodię.

Doskonale, pomyślał uszczęśliwiony. Teraz zobaczymy, ty cholerny, napuszony, jankeski kapusiu. Teraz zobaczymy, panie Bartlett, jak pan podniesie rękawicę. Ma pan twardy orzech do zgryzienia!

Nagle poczuł powiew perfum Orlandy i naszły go wspomnienia chwil spędzonych z nią w łóżku. Przypominał sobie, jaka była młoda. Dzięki Bogu, myślał, i młodość, i uroda są dość łatwo dostępne. Wystarczy telefon lub studolarowy banknot.

Sięgnął po słuchawkę i wykręcił prywatny numer Havergilla. Cieszył się, że Orlanda ma więcej chińskiej niż europejskiej krwi. Chińczycy są bardziej praktyczni.

Zamilkł sygnał i w słuchawce rozległ się zachrypły głos Paula Havergilla.

- Tak, słucham?

- Cześć, Paul, mówi Quillan. Jak leci?

- Cześć. Chyba wiesz, że Johnjohn przejmuje w listopadzie bank.

- Tak. Przykro mi z tego powodu.

- Do cholery z tym wszystkim! Myślałem, że moja kandydatura będzie zatwierdzona, a tu rada wybrała Johnjohna. Zeszłej nocy został oficjalnie nominowany. Wszystko to robota Dunrossa, jego kliki i tych jego przeklętych akcji. A jak z twoim spotkaniem?

- Tak jak mówiłem, nasz Amerykanin połknął haczyk. - Gornt, starając się opanować drzenie głosu, głęboko zaciągnął się dymem. - Chciałbyś przed odejściem zorganizować małą akcję specjalną?

- Co masz na myśli?

- Odchodzisz pod koniec listopada?

- Tak. Po dwudziestu trzech latach. Właściwie nie będzie mi aż tak przykro.

Ani mnie, pomyślał z zadowoleniem Gornt. Niedzisiejszy jesteś i cholernie konserwatywny. Jedyne, co w tobie dobre, to to, że nienawidzisz Dunrossa.

- Jeszcze prawie cztery miesiące. Zostało nam więc sporo czasu. Tobie, mnie i naszemu amerykańskiemu koledze.

- O co ci chodzi?

- Pamiętasz hipotetyczny plan gry, którą nazwałem „Konkurencja”?

Havergill zastanawiał się chwilę.

- Chodziło o to, jak przejąć lub wyeliminować konkurencyjny bank, tak? A dlaczego?

- Powiedzmy, że ktoś odkurzył te plany, dokonał kilku zmian i wcisnął guzik z napisem „start”. . dwa dni temu. Powiedzmy, że ten ktoś słyszał, że Dunross oraz kilku innych głosowało za zwolnieniem cię, i zapragnął rewanzu. „Konkurencja”

zadziała idealnie.

- Nie rozumiem dlaczego. Jaki ma cel atakowanie Blacs? - Bank Londynu, Kantonu i Szanghaju stanowił główną konkurencję banku Victoria. - Jaki to ma sens?

- No, powiedzmy, że ten ktoś zmienił sobie obiekt ataku... Paul?

- -Na jaki?

- Przyjadę o trzeciej, to ci wyjaśnię.

- -Na jaki?

- Richard. - Richard Kwang kierował bankiem Ho-Pak, jednym z największych pośród wielu chińskich banków w Hongkongu.

- Dobry Boże! Ale to... - Nastąpiła długa przerwa. - Quillan, ty naprawdę rozpocząłeś „Konkurencję”?

- Tak, i prócz mnie i ciebie nikt o tym nie wie.

- No ale w jaki sposób to może zaszkodzić Dunrossowi?

- Później ci wyjaśnię. Czy Ian szuka udziałowców do swoich statków?

Gornt zwrócił uwagę na chwilą milczenia.

- Tak - usłyszał Havergilla.

- Tak, ale co?

- Ale z pewnością mu się uda.

- A jaki mu się może inny kłopot przytrafić?

- Przykro mi, ale to byłoby nieetyczne.

- Oczywiście - przyznał Gornt. - Ujmę to inaczej. Powiedzmy, że ich łódź

lekko się zakołysała.

Nastąpiła dłuższa przerwa.

- I w odpowiednim momencie może ją zatopić nawet najmniejsza fala.

Lub jakakolwiek kompania. Nawet twoja.

- Ale nie bank Victoria.

-Nie.

- No właśnie. Do zobaczenia o trzeciej. - Gornt odłożył słuchawkę i pyk-nął

dymem, napięcie rosło. Zgasił papierosa, przeprowadził małe obliczenia, zapalił

drugiego papierosa, a potem wybrał numer.

- Charles? *Tu* Quillan. Jesteś zajęty?

- Nie. W czym ci mogę pomóc?

- Potrzebuję zestawienia bilansu. - Zestawienie bilansu to prywatne hasło dla notariusza, żeby zadzwonić do ośmiu pełnomocników, którzy mieli sprzedać lub kupić akcje na giełdzie w imieniu Gornta, w tajemnicy, aby uniknąć prowadzących do niego śladów. Wszystkie akcje i pieniądze przechodziły jedynie przez ręce notariusza, toteż ani pełnomocnicy, ani brokerzy nie wiedzieli, kto faktycznie zawiera transakcje.

- Dobrze, przygotuję. Jakiego rodzaju, Quillan?

- Chodzi o krótką sprzedaż. - Krótka sprzedaż oznaczała sprzedaż akcji, których nie posiadał, z

założeniem, że ich cena spadnie. Potem, gdy je musiał z powrotem odkupić - w Hongkongu maksymalny czas na to wynosi dwa tygodnie -

jeśli kursy naprawdę spadły, różnica w cenach zostawała w jego kieszeni.

Oczywiście, jeśli źle wykalkulował i ceny akcji wzrosły, musiał wyrównać ceny własnymi pieniędzmi.

- Jakie akcje i ile?

- Sto tysięcy akcji Ho-Pak...

- Chryste...

- . . .tyle samo jutro, gdy tylko giełda zostanie otwarta, i kolejnych dwie ście w ciągu dnia. Następne polecenia wydam potem.

W słuchawce panowała głucha cisza.

- Mówiłeś... Ho-Pak?

-Tak.

- Trochę czasu zajmie kupienie tego wszystkiego. Dobry Boże, Quillan, czterysta tysięcy?

ino

- No, weź jeszcze sto tysięcy. Będzie okrągłe pół miliona.

- Ale... Ale akcje Ho-Pak to taki sam „niebieski żeton” jak nasze. Nie spadną przez wiele lat.

-Tak.

- Słyszałeś o czymś?

- Tylko plotki - oznajmił spokojnie i stanowczo.

- Zjadłbyś wczesny lunch? W klubie?

- Dobrze, będę.

Gornt odłożył słuchawkę, a za moment dzwonił pod kolejny prywatny numer. -

Tak?

- To ja - powiedział Gornt. - Jesteś sam?

- Tak, a co?

- Jankes zaproponował najazd.

- *A iii ia. I?*

-1 Paul na to idzie - odpowiedział. Bez trudu przyszła mu lekka przesada. -

Oczywiście wszystko w absolutnej tajemnicy. Właśnie z nim rozmawiałem.

- W takim razie ja też wchodzę. Jeśli dostanę kontrolę nad statkami Struanów, ich nieruchomościami w Hongkongu i czterdzieści procent udziałów w Tajlandii i Singapurze.

- Chyba żartujesz!

- To nie za wiele za ich wykończenie. Nie, staruszk?

Gornt usłyszał w słuchawce piskliwy śmiech, za który nienawidził Jaso-na Plumma.

- Tak samo go nie znosisz jak ja - przypomniał.

- No ale ty potrzebujesz mnie i moich przyjaciół. Czy Paul się przyłączy, czy nie, razem z tym Jankesem nic beze mnie nie zdiełacie.

- W przeciwnym razie nie dzwoniłbym do ciebie.

- Pamiętaj, że nie interesował mnie żaden udział w tych interesach z Amerykaninem.

- A co to ma do rzeczy? - Gornt nie podniósł głosu.

- Już ja cię znam. Jak zły szeląg, staruszk.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Mało ci będzie zniszczyć naszego „przyjaciela”, będziesz chciał zagarnąć całą zdobycz.

- Skąd wiesz?

- Za długo pragniesz wejść na amerykański rynek.

- A ty nie chcesz?

-Nie. My wiemy, gdzie nasze miejsce. My jesteśmy zadowoleni ze swoich interesów. Jesteśmy zadowoleni z Azji. Nie pragniemy nigdzie więcej być wielcy.

101

- Czyżby?

- Tak. Umowa stoi?

- Nie - odparł Gornt.

- Rezygnuję ze statków. W zamian wezmę Kowloon Investments, Kai Tak i czterdzieści procent udziałów w Tajlandii i Singapurze. Także dwadzieścia pięć procent Par-Con i trzy miejsca w radzie.

- Zwariowałeś!

- Propozycja jest ważna do poniedziałku.

- Którego poniedziałku?

- Następnego.

- *Dew neh loh moh* na wszystkie twoje poniedziałki!

- I twoje! Moja ostatnia propozycja: Całe Kowloon Investments i Kai Tak, trzydzieści pięć procent udziałów w Tajlandii i Singapurze, dziesięć procent z interesów z Jankesem i trzy miejsca w radzie.

- To wszystko?

- Tak. Nadal propozycja jest ważna do poniedziałku. I nie myśl sobie, że nas okantujesz w trakcie działania.

- Ty chyba oszalałeś!

- Mówiłem ci, znam cię. Umowa stoi?

-Nie.

Znów wysoki, złowieszczy śmiech.

- Do poniedziałku. Do następnego poniedziałku. Wystarczy czasu, żeby zmienić zdanie.

- Zobaczymy się dzisiaj na przyjęciu u lana? - zapytał Gornt.

- Ty chyba postradałeś zmysły! Nie poszedłbym nawet, gdyby. . Boże, Quillan, naprawdę przyjąłeś zaproszenie?!

- Miałem nie iść, ale teraz chyba pójdę. Nie chciałbym stracić może ostatniego wielkiego przyjęcia ostatniego tai-pana Struanów...

12:01

W sali posiedzeń nadal nic się nie zmieniło. Nie przyjęto żadnego z warunków proponowanych przez Casey. Cały czas narastał w niej niepokój, a teraz - czekając na decyzję - czuła nieodpartą falę napływającego strachu.

Phillip Czen kreślił na kartce jakieś gryzmoły. Linbar przerzucał dokumenty, a Jacques deVille w

zamyśleniu przyglądał się Casey. Andrew Ga-vallan skończył

sprawdzać podane przez nią kwoty.

102

- Z pewnością musimy wspólnie finansować tę operację - powiedział

ostrym głosem. Napięcie na sali gwałtownie wzrosło, Casey z trudem opanowała drżenie, gdy on kontynuował: - Na jaką kwotę jest przygotowany Par-Con? Mam na myśli całą współpracę.

- W tym roku powinno wystarczyć osiemnaście milionów dolarów amerykańskich - odpowiedziała natychmiast. Z radością zauważyła, że wszyscy powstrzymywali się od głośnego okazania zdziwienia.

Zeszłoroczny kapitał akcyjny Struanów wynosił oficjalnie prawie dwadzieścia osiem milionów, a Bartlett i Casey postanowili dostosować swoją ofertę do tej sumy.

- Na początku zaproponuj dwadzieścia milionów - instruował Linc Casey.

- Możesz podbić do dwudziestu pięciu. Trzeba wspólnie sfinansować to przedsięwzięcie, ale sugestia musi wyjść od nich.

- Najpierw spójrz na ich zestawienie bilansu, Linc. Trudno powiedzieć, czy na pewno tyle wynosi ich kapitał akcyjny. Tu może być różnica dziesię-

ciu milionów w jedną albo w drugą stronę, a może nawet większa. Tak naprawdę nie znamy ich siły... albo słabości. Spójrz na tę notkę: „czternaście milionów siedemset tysięcy zaangażowane w przedsiębiorstwa podległe”. Co za przedsiębiorstwa? Jakie? Gdzie? O, tu następna: „siedem milionów czterysta tysięcy przelewem do”...

- I co z tego, Casey? Zamiast dwudziestu pięciu możemy dać trzydzieści.

Nasze plany nic na tym nie ucierpią.

- Tak... Ale te ich bankowe procedury... Boże, Linc, gdybyśmy mieli z tego jeden procent w Stanach, zabrałyby się za nas SEC i dostalibyśmy po piętnaście lat pudła.

- Może. Ale to nie jest wbrew ich prawu. I to główny powód, dla którego przyjechaliśmy do Hongkongu.

- Dwadzieścia to za dużo na początek.

- Rób, co chcesz, Casey. Pamiętaj tylko, że w Hongkongu gramy według ich zasad. Działamy legalnie. Chcę się z nimi pobawić.

- Dlaczego? Tylko nie mów mi, że dla swojej przyjemności.

Linc roześmiał się.

- Okay, więc dla twojej przyjemności. Doprowadź do transakcji ze Struanami.

Na sali posiedzeń rósł zaduch. Chciała sięgnąć po swoje papiery, ale pragnąc okazać jak największy spokój, zostawiła je na stole. Milczenie przerwał

Gavallan.

- Kiedy pan Bartlett mógłby potwierdzić ofertę osiemnastu milionów?

Jeśli się zgodzimy, rzecz jasna.

- To już potwierdzone - zapewniła słodko, przechodząc do natarcia. - Mam pełnomocnictwo na zaangażowanie w to przedsięwzięcie dwudziestu 103

milionów bez konsultacji z Linkiem czy radą. - A potem dodała niewinnie: -

Zatem to już ustalone? Dobrze. - Przełożyła kilka dokumentów. - W drugiej kolejności chciałabym...

- Chwileczkę - przerwał Gavallan. - Ja... eeee, osiemnaście... W każdym razie musimy przedstawić tę propozycję tai-panowi.

- Ach, tak? - udała zdziwienie. - Myślałam, że prowadzimy negocjacje jak równy z równym, że wy, czterej dżentelmeni, macie tyle samo pełnomocnictw co ja. W przyszłości chyba lepiej zwrócę się wprost do pana Dunrossa.

Andrew Gavallan poczerwieniał.

- Ostateczna decyzja należy do tai-pana. We wszystkim.

- Doskonale to rozumiem, panie Gavallan. Ja też mogę decydować tylko do dwudziestu milionów.

- Uśmiechnęła się do wszystkich. - No dobrze, proszę to przedstawić tai-panowi. A na razie możemy ustalić terminy.

Znów cisza.

- Co pani sugeruje? - Gavallan czuł się osaczony.

- Ile czasu zajmie wam przygotowanie się? Przecież nie wiem, jak szybko pracujecie - mówiła Casey.

- Andrew - odezwał się Phillip Czen. - Może odpowiedzi na to pytanie udzielimy po lunchu, dobrze?

- Świetny pomysł.

- Ja się zgadzam - powiedziała Casey. Zrobiłam, co do mnie należało, pomyślała. Mimo że oni są

mężczyznami i ekspertami i że uważają mnie za naiwną, skończyłam na dwudziestu milionach, chociaż mogłam dojść do trzydziestu. Ale mam już swoje „pieniądze na ustawienie”. Dobry Boże, niech ten interes dojdzie do skutku, bo wtedy będę wolna na wieki.

I co będę robiła?

Daj spokój, przywoływała się w duchu do porządku, później o tym pomyślisz.

- Możemy teraz ustalić szczegóły - usłyszała swój głos - w jaki sposób te osiemnaście milionów...

- Osiemnaście milionów może nie wystarczyć - przerwał Phillip Czen, kłamstwo gładko przeszło mu przez usta. - Trzeba uwzględnić jeszcze pewne dodatkowe koszty...

Casey doskonale poprowadziła negocjacje, pozwalając im podbić do dwudziestu milionów, i wtedy z widoczną niechęcią wyznała:

- Panowie, jesteście wyjątkowymi biznesmenami. Zgoda, dwadzieścia milionów.

Widziała ich skrywane uśmiechy i pogratulowała sobie.

- Dobrze - zgodził się usatysfakcjonowany Gavallan.

104

- A więc - chciała jeszcze zwiększyć napięcie - w jaki sposób chcieliby panowie zawiązać naszą *spółkę joint venture*? Oczywiście ta sprawa także wymaga akceptacji waszego tai-pana... och, przepraszam, tai-pana tai-pa-nów - poprawiła się z udawaną unізonością.

Patrząc na nią, Gavallan żałował, że nie ma do czynienia z mężczyzną.

Wtedy mógłbym powiedzieć „odwal się” albo „pilnij swego nosa” i po-

śmialibyśmy się, bo wiadomo, że zawsze każdy musi porozumieć się z jakimś swoim tai-panem, czy to Dunrossem, czy Bartlettem, czy radą, czy nawet żoną. Tak... gdybyś była mężczyzną, nie myślelibyśmy też w sali posiedzeń o seksie, tu naprawdę nie miejsce na to. Może gdybyś była starą babą, nie miałyby to znaczenia, ale taki kociak...

Co tym Amerykankom odbiło? Dlaczego, na miłość boską, nie siedzą na swoim miejscu i nie cieszą się, że tam mogą być wielkie? Niemądrze postępują!

Ona głupio i szybko prowadzi negocjacje, bez potrzeby oddaje dwa dodatkowe miliony, podczas gdy zgodzilibyśmy się na dziesięć. Gdybyś była bardziej cierpliwa, moja droga, zrobiłabyś na pewno lepszy interes! Taki już z wami, Amerykanami, kłopot, brak wam przebiegłości, cierpliwości, dobrego stylu i zupełnie nie rozumiecie sztuki negocjacji. A ty, moja droga, w niecierpliwości przesłaś samą siebie. Już ja wiem, jak się z tobą obchodzić.

Spojrzał na Linbara Struana skrycie obserwującego Casey w oczekiwaniu, że Phillip albo Jacques

zabierze głos. Oj, ty mój młody Linbar, gdybym ja był tai-panem, zniszczyłbym cię, zniszczył albo zrobił z ciebie człowieka.

Musisz wreszcie samodzielnie zabrać się do życia. Myśleć sam za siebie i nie liczyć tylko na nazwisko oraz należną część dziedzictwa. Tak, przy odrobinie trudu wyciągnąłbyś trochę z jądra swojej *yang*, im szybciej drugi raz się ożenisz, tym lepiej.

Przeniósł wzrok na Jacques'a deVille'a, a ten uśmiechnął się do niego.

Ach, Jacques, pomyślał bez żalu, ty jesteś moim głównym przeciwnikiem.

Zachowujesz się jak zawsze: mało mówisz, wszystko bacznie śledzisz, dużo myślisz, jasno, niedwuznacznie i skutecznie. Ale co sądzisz o tej transakcji?

Przeoczyłem coś? Co podpowiada twój nieokrzesany paryski rozum? Ach tak, przestał pracować, gdy dziewczyna odparowała twój żart z dłonią, co?

Ja też bym się z nią przespał, pomyślał odruchowo, zdawał sobie sprawę, że Linbar i Jacques już wcześniej doszli do tego wniosku. No pewnie, kto by jej nie chciał do łóżka?

A ty, Phillipie Czen?

Nie. Ty na pewno nie. Jeśli prawdę mówią plotki krążące na twój temat, to wolisz o wiele, wiele młodsze, *heya?*

105

Z powrotem przeniósł wzrok na Casey. Widział, że się niecierpliwi. Nie wyglądasz na lesbijkę, pomyślał i zaśmiał się w duchu. A może masz jakieś inne słabości? Boże, jakaż to by była strata!

- Spółka powinna być zawarta według prawa Hongkongu - zaznaczył.

- Tak, oczywiście. To...

- Sims, Dawson i Dick doradzą nam, jak to zrobić. Umówię nas na jutro albo na pojutrze.

- Nie ma takiej potrzeby, panie Gavallan. Już mam ich wstępne propozycje, hipotetyczne i poufne. Oczywiście przy założeniu, że doszliśmy do porozumienia.

- Słucham? - Pootwierali ze zdziwienia usta, podczas gdy ona wyjęła pięć kopii zwięzłego kontraktu i wręczyła każdemu po jednej.

- Dowiedziałam się, że to wasi prawnicy - opowiadała swobodnie. - Poprosiłam swoich ludzi, żeby ich sprawdzili, i powiedziano mi, że oni są najlepsi, więc będą nam pasować. zaproponowałam, żeby rozważyli nasze wspólne, hipotetyczne potrzeby. . tak samo wasze, jak i nasze. Czy coś w tym złego?

- Nie - orzekł Gavallan. Ogarnęła go furia, że ich własna firma nie doniosła o zleceniu Par-Con. Zaczął w myślach układać odpowiednie pismo ze skargą.

Dew neh loh moh na Casey, czy jak tam się ona nazywa, myślał Phillip Czen, wściekły z powodu utraty twarzy. Przeklęta dziewczyno, przez ten twój brak manier i zupełnie inne, niekobiece zachowanie, twoja Złota Zatoka może wyschnąć i pokryć się pyłem!

Boże, uchron nas od Amerykanek!

Aiii ia, trochę to będzie kosztowało Lincolna Bartletta, że ośmielił się wysłać do nas tę... tę kreaturę, pocieszał się. Jak on mógł?!

Niemniej zaczął już rozmyślać o korzyściach z oferowanego kontraktu. Przez następne kilka lat przedsięwzięcie może przynosić potencjalnie około stu milionów dolarów amerykańskich, szybko przeliczał. To zapewniłoby Noble House tak potrzebną stabilizację.

Cóż za szczęśliwy dzień, triumfował. I przedsięwzięcie finansowane wspólnie. Nie do wiary! Głupio postąpiła, zgadzając się tak łatwo. Mogła wytargować od nas jakieś dodatkowe obietnice. Ale czegoż innego można się spodziewać po kobiecie?! *Aiii ia*, całe wybrzeże Pacyfiku zostanie zarzucone poliestrowymi wyrobami naszej produkcji. Jedną fabrykę postawimy tutaj, jedną w Tajwanie, jedną w Singapurze, jedną w Kuala Lumpur i w końcu, przynajmniej jedną, w Dżakarcie. Zarobimy miliony, dziesiątki milionów. Co do agencji pośrednictwa leasingu komputerów, jeśli zaproponują 10 procent mniej niż IBM, przy naszym udziale 7,5 procent - po targowaniu się możemy opuścić do 5 -

mogę jedną sprzedać tutaj, trzy w Singapurze, jedną w Kuala Lumpur, jedną temu piratowi w Indonezji i zyskać na

106

czysto 67 500 dolarów z każdego, czyli 405 000 za sześć rozmów telefonicznych. A co do Chin...

A co do Chin...

O bogowie, wielcy, mali i bardzo mali. Jeśli dojdzie do tego przedsię-

wzięcia, zafunduję nową świątynię i katedrę w Tai-ping-Szan, obiecywał w zapale. Jeśli Chińczycy złagodzą trochę przepisy albo chociaż tylko kilka z nich, będziemy mogli wtedy użyć pola w prowincji Kwantung, a potem w całych Chinach i za dwanaście lat przedsięwzięcie zacznie przynosić miliardy dolarów, amerykańskich, a nie hongkongijskich!

Myśl o takich zyskach złagodziła częściowo jego złość.

- Sądzę, że ta propozycja może stanowić podstawę do dalszej dyskusji -

stwierdził, kończąc czytanie. - Prawda, Andrew?

- Tak. - Gavallan odłożył kartkę. - Zadzwoń do nich po lunchu. Kiedy panu Bartlettowi... no i oczywiście pani będzie najwygodniej się spotkać?

- Dzisiaj po południu, im szybciej, tym lepiej, albo jutro... obojętnie, o której godzinie, ale Linc nie przyjdzie. Ja znam wszystkie szczegóły, na tym polega moja praca - Casey mówiła zdecydowanym tonem. - On formalnie podpisze ostateczny dokument po ustaleniu przeze mnie szczegółów. To obowiązek asystentki, prawda? - Skłoniła im się lekko.

- Zaaranżuję spotkanie i zostawię wiadomość w hotelu - powiedział

Gavallan.

- A może moglibyśmy teraz kontynuować, co nam stoi na przeszkodzie?

Gavallan spojrział na zegarek. Już prawie lunch, dzięki Bogu.

- Jacques, jak stoisz jutro z czasem?

- Wolałbym rano niż po południu.

- John chyba też - powiedział Phillip Czen. Gavallan podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Mary? Zadzwoń do pana Dawsona i przygotuj spotkanie jutro o jedenastej. Będzie pan deVille, pan John Czen i panna Casey. - Odłożył słuchawkę. - Jacques i John Czen wystąpią w imieniu naszej korporacji. Daw-son jest ekspertem, a John zajmuje się sprawami amerykańskimi. O wpół do jedenastej wyślę po panią samochód.

- Dziękuję, ale nie ma potrzeby.

- Jak sobie pani życzy - odparł grzecznie. - Chyba najwyższa pora na lunch.

- Mamy jeszcze piętnaście minut - oświadczyła Casey. - Możemy zacząć rozmowę o tym, w jaki sposób zamierzacie finansować to przedsięwzięcie?

Albo możemy posłać po kanapki i zjeść, nie przerywając pracy?

Patrzyli na nią zaskoczeni.

- Pracować podczas lunchu?

- Czemu nie? To stary amerykański zwyczaj.

107

- Dzięki Bogu, my tu nie mamy takich zwyczajów - powiedział Ga-vallan.

- Tak - przyznał Phillip Czen.

Czuła, jak ich niesmak opada na nią niczym kir żałobny, ale nie przejmowała się tym. A niech was jasna cholera, myślała poirytowana, musiała się powstrzymywać, żeby nie dać po sobie poznać, co o nich myśli. Nie daj się tym sukinsynom, idiotko! Uśmiechnęła się przymilnie.

- Jeśli chcecie panowie przerwać spotkanie na lunch, ja nie mam nic przeciwko temu.

- Dobrze - rzekł Gavallan, a wszyscy pozostali w jednej chwili odetchnęli z ulgą. - U nas lunch zaczyna się za dwadzieścia pierwsza. Pani na pewno zechce przypudrować sobie nos.

- Tak, dziękuję - potwierdziła, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że chcą, aby wyszła, żeby mogli o niej porozmawiać. Najpierw o niej, a potem o przedsięwzięciu. Kolejność powinna być odwrotna, pomyślała, ale nie mam na to wpływu. Będzie to co zwykle: zaczną się zakładać, który pierwszy się ze mną prześni. Ale żadnemu się nie uda, bo w tej chwili, myślała, nie chcę żadnego z was. Mimo że jesteście na swój sposób bardzo atrakcyjni. Oni nie różnią się niczym od wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek poznałam: nie pragną miłości, lecz seksu.

Wyjątek stanowi Linc.

Nie myśl teraz o Lincu, o tym, że go kochasz, o tych straconych latach.

Straconych i wspaniałych.

Pamiętaj o obietnicy.

Nie łącz Linca z miłością.

Niech tak pozostanie aż do urodzin za dziewięćdziesiąt osiem dni. Dziewięćdziesiąt osiem dni wieńczące siedem lat. Zdobędę swoje „pieniądze na ustawienie” i staniemy się sobie równi, i, z Bożą pomocą, Noble House będzie nasz. To będzie mój prezent ślubny dla niego? Czyjego dla mnie?

A może prezent na do widzenia?

- Gdzie jest damska toaleta? - zapytała. Wszyscy z wyjątkiem Phillipa Czena powstali, a Gavallan wskazał jej odpowiedni kierunek.

Linbar Struan otworzył, a potem zamknął za nią drzwi. Uśmiechnął się szeroko.

- Stawiam tysiąc, że ci się nie uda, Jacques.

- Drugi tysiąc - powiedział Gavallan. - I kolejne dziesięć, że tobie też, Linbar.

- Przyjmuję - odparł Linbar. - Ale pod warunkiem że zostanie tutaj przez miesiąc.

- Powolny jesteś, staruszkę, co? - zażartował Gavallan i zwrócił się do Jacques'a: - Stoi?

Francuz uśmiechnął się.

- Dwadzieścia, że ty, Andrew, nigdy byś nie uwiódł takiej damy. A co do ciebie, mój biedny Linbar, to postawię pięćdziesiąt przeciwko twojemu ko-niowi wyścigowemu.

- Za bardzo lubię swoją źrebicę. Noble Star ma dużą szansę na zwycięstwo. Jest najlepsza w naszej stajni.

- Pięćdziesiąt.

- Sto i zastanowię się.

- Żadnego innego konia tak nie pragnąłem. - Jacques uśmiechnął się do Phillipa Czena. - Co o tym sądzisz, Phillip?

Phillip Czen wstał z miejsca.

- Sądzę, że pójdę do domu na lunch i zostawię was z tymi brudnymi marzeniami. Ciekawe, że wszyscy chcecie się zakładać o to, że się nie uda, a nie o to, że się uda.

Roześmiali się.

- Głupia, że dała nam dodatkowo dwa miliony, no nie? - skomentował

Gavallan.

- Świetny interes! - rzekł Linbar. - Chryste, wujku Phillipie, fantastyczny!

- Jak jej *derriere* - wtrącił deVille z miną konesera. - No nie, Phillip?

Phillip Czen pokiwał dobrodusznie głową i wyszedł, ale gdy zobaczył

znikającą w damskiej toalecie Casey, pomyślał: *Aiii ia*, kto to widział takie płuca.

W toalecie Casey rozejrzała się dokoła siebie z przerażeniem. Było czysto, lecz śmierdziało starymi odchodami, w kącie stały poustawiane jedno na drugim wiadra, niektóre z nich wypełnione wodą. Podłoga, mimo że wyłożona kafelkami, pochłapana wodą i zabrudzona. Słyszałam, że Anglicy nie grzeszą czystością, myślała zdegustowana, ale w Noble House? Dziwne!

Weszła do kabiny z mokrą i śliską podłogą, a gdy skończyła, pociągnęła za łańcuszek spłuczki i... i nic się nie stało. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze, ale bezskutecznie. Zakłęła i zdjęła pokrywę z pojemnika na wodę. Suche ścianki pokrywała rdza. Zezłoszczona otworzyła drzwi, podeszła do umywalki, odkręciła kurek, ale z kranu nic nie poleciało.

Co tu się dzieje? Założę się, że te łajdaki specjalnie mnie tu przysłały!

Na szczęście wisały czyste, suche ręczniki, więc niezgrabnie wylała do zlewu wodę z kubła, umyła i wytarła ręce. Ze złością zauważyła, że pochlapała sobie buty. Nie zastanawiając się długo, wodę z drugiego kubła wylała do sedesu, a potem wodą z następnego jeszcze raz umyła ręce. Wychodząc nadal jednak czuła się nieświeżo.

Na pewno pękła gdzieś jakaś cholerna rura, a hydraulicy nie zjawią się aż do jutra. Niech diabli porwą wszystkie wodociągi! Uspokój się, myślała, bo zaczniesz popełniać błędy.

109

W korytarzu leżał piękny chiński dywan, a ściany pokrywały olejne obrazy przedstawiające statki i chińskie krajobrazy. Zbliżając się do sali posiedzeń, coraz wyraźniej słyszała dochodzące ze środka stłumione głosy i śmiechy, takie same jak te rozlegające się po opowiedzeniu dowcipu lub zrobieniu kąśliwej uwagi. Wiedziała, że w chwili gdy otworzy drzwi, pryśnie dobry humor oraz przyjacielska atmosfera i z powrotem zapadnie niezręczne milczenie.

Otworzyła drzwi, wszyscy wstali.

- Macie problemy z wodociągami? - zapytała, tłumiąc złość.

- Nie, chyba nie - powiedział zaskoczony Gavallan.

- Hm, nie ma wody. Nie wiedzieliście?

- Oczywiście, że nie ma... Ach! - Zawahał się. - Ach tak, pani zatrzymała się w „Victorii”, więc. . . Nikt pani nie powiedział o przydziałach wody?

Naraz wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, lecz głos Gavallana górował nad innymi.

- „Victoria” ma swoje zapasy wody, podobnie jak kilka innych hoteli, ale reszta z nas jest skazana na cztery godziny wody co czwarty dzień, a więc używamy kubłów. Nie przyszło mi do głowy, że może pani nie wiedzieć. Przepraszam.

- Jak to możliwe? Co czwarty dzień?

- Tak. Przez cztery godziny. Od szóstej do ósmej rano i od piątej do siódmej wieczorem. Brzmi strasznie, ale robimy sobie czterodniowe zapasy. W wiadrach, w wannach, w czym się da. Dzisiaj mamy już niewiele, woda będzie jutro.

Boże, chyba wystarczyło dla pani?

- Tak, ale. . . To znaczy że przez cztery dni nigdzie nie dochodzi woda? -pytała z niedowierzaniem.

- Tak - tłumaczył cierpliwie Gavallan. - Z wyjątkiem tych czterech godzin. Ale w „Victorii” nie ma takich problemów. Oni codziennie uzupełniają zapasy.

Oczywiście słono za to płacą.

- Nie możecie się kąpać ani spuszczać wody?

Linbar Struan roześmiał się.

- Trzy dni w takiej gorączce trochę doskwierają, to prawda. A co do..

Wszyscy korzystamy z tego samego kanału ściekowego, więc przechodzimy swoistą szkołę przetrwania. Zawsze musimy przed wyjściem upewnić się, czy zostawiamy za sobą pełen kubek.

- Nie miałam pojęcia - powiedziała zawstydzona, że zmarnowała aż trzy wiadra wody.

- Mamy puste rezerwuary - wyjaśniał Gavallan. - W tym roku prawie wcale nie padał deszcz, a w zeszłym też opady były za małe. Niby drobiazg, ale tak to już jest. Taki *dżos*.

- A zatem skąd pochodzi woda?

no

Patrzyli na nią z politowaniem.

- Oczywiście z Chin. Albo rurami przez granicę do Nowego Terytorium, albo tankowcem z Rzeki Perłowej. Rząd już wynajął dziesięć tan kowców, które będą za zgodą Pekinu przywozić wodę z rzeki. Przywiozą około dziesięciu milionów galonów dziennie. W tym roku koszty takiej operacji przekroczą dwadzieścia pięć milionów. W sobotnich gazetach donoszą, że nasze zużycie wody spada do trzydziestu milionów galonów dziennie przypadających *na trzy i pół miliona mieszkańców, łącznie z przemysłem*.

W pani kraju, podobno, jedna osoba zużywa dziennie sto pięćdziesiąt galonów.

-1 dla wszystkich po równo? Cztery godziny co czwarty dzień?

- Nawet w Wielkim Domu używają wiader. - Gavallan wzruszył ramionami. - Ale tai-pan ma swoje miejsce przy Shek-O i własną studnię. Tam się załatwiamy, gdy jesteśmy zaproszeni.

Znów pomyślała o zużytych trzech kubkach. Jezu, czy wylałam wszystko?

Nie pamiętam, czy coś zostało.

- Chyba muszę się jeszcze dużo nauczyć. O tak,

pomyśleli wszyscy. Cholernie dużo.

- Tai-pan?

- Tak, Klaudio? - odezwał się do interkomu Dunross.

- W zebraniu z Casey właśnie trwa przerwa na lunch. Master Andrew na linii czwartej. Master

Linbar idzie na górę.

- Poproś go, żeby przyszedł po lunchu. Coś się posunęło w sprawie Tsu-iana?

- Nie. Samolot wylądował o ósmej czterdzieści zgodnie z rozkładem.

Tsu-iana nie ma w biurze w Tajpej ani w domu. Oczywiście cały czas próbuję się dodzwonić. I jeszcze jedno, tai-pan, miałam interesujący telefon.

Wygląda na to, że pan Bartlett był rano w RorhweJJ-Gornt na prywatnym spotkaniu z panem Gomtem.

- Na pewno? - zapytał, czując ucisk w brzuchu.

- Tak, niestety.

Łajdak, pomyślał Dunross. Ciekawe, czy chciał, żebym się dowiedział.

- Dziękuję. - Odsunął na chwilę dalsze pytania, ale cieszył się, że dostał

tę wiadomość. - W niedzielę stawiam w twoim imieniu tysiąc dolarów na obojętnie którego konia.

- Dziękuję, tai-pan.

- Wracaj do pracy, Klaudio! - Nacisnął klawisz z numerem cztery. -

Andrew? Jak idzie?

Gavallan przedstawił mu najważniejsze kwestie.

- Dwadzieścia milionów w gotówce? - zapytał z niedowierzaniem Dun ross.

111

- We wspaniałej, cudownej, amerykańskiej gotówce! A gdy zapytałem, kiedy Bartlett może potwierdzić tę sumę, ona na to: „O, to już potwierdzone, jestem upoważniona do negocjowania sumy nie przekraczającej dwudziestu milionów bez niczyjej konsultacji”. Myślisz, że to możliwe?

- Nie wiem... - Dunross czuł, że mu drżą kolana. - W każdej chwili może przyjść Bartlett, zapytam.

- Ech, tai-pan, jeśli to przedsięwzięcie dojdzie do skutku...

Ale Dunross nie był w stanie słuchać przesadnych zachwyków i uniesień Gavallana. Niewiarygodna oferta, powtarzał w duchu.

Za dobra. Gdzieś tu musi być jakiś haczyk.

Przecież odkąd został tai-panem, musiał o wiele częściej, niż się spodziewał, uciekać się do

manipulacji, kłamstw, pochlebstw, a nawet grózb, jak to miało miejsce w wypadku banku Havergilla, aby chronić się przed nieszczęściami przejętymi w spadku po poprzednikach, a także przed tymi groźącymi ze strony natury oraz polityki, na których zdaje się opierać cały świat. Nawet sprzedaż części akcji nie przyniosła mu dostatecznego kapitału, na który liczył, ponieważ światowy krach rozniósł giełdy na kawałki. A poprzedniego roku w sierpniu przeszedł tajfun Wanda, zostawiając po sobie spustoszenie, setki ofiar śmiertelnych i setki tysięcy bezdomnych. Zatopił pięćset łodzi rybackich, dwadzieścia statków, z których jeden o wyporności trzech tysięcy ton wpadł na ląd, zniszczeniu uległo ogromne, do połowy wyposażone nabrzeże i wszelkie plany budowlane odwlekiły się o pół roku. Kolejny krach nastąpił po kryzysie kubańskim.

Wiosną de Gaulle głosował za wstąpieniem Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku, następny krach. Nieporozumienie między Rosją i Chinami, jeszcze jeden...

A teraz prawie mamy dwadzieścia milionów dolarów amerykańskich, ale chyba w jakiś sposób zostaliśmy wplątani w przemysł broni. Tsu-ian najwyraźniej ucieka, a John Czen przepadł Bóg wie gdzie!

- Jezu Chryste! - krzyknął rozgniewany.

- Słucham? - Gavallan zawahał się. - Co się stało?

- Och nic, nic, Andrew. To nie ma nic wspólnego z tobą. Opowiedz, jaka ona jest.

- Budzi zaufanie, dobra w liczeniu, szybka, ale niecierpliwa. 1 najładniejszy z niej kociak, jakiego widziałem w ostatnich latach. A piersi, ach, nie ma takich drugich w tym mieście. - Gavallan opowiedział o zakładach. - Linbar chyba ruszy w konkury.

- Zamierzam zwolnić Fostera, a do Sydney wysłać Linbara. Przez pół roku odpocznie od tutejszych spraw.

- Świetny pomysł! - Gavallan roześmiał się. - Przestanie pierdzieć w kościele.

Chociaż podobno w Australii kobiety łatwo się przyzwyczajają.

- Jak myślisz, dojdzie do zawarcia tej umowy?

112

- Tak. Phillip bardzo się zapalił. Ale to prawda, że z kobietą bardzo trudno się prowadzi rozmowy o interesach. Nie dałoby się jej ominąć i prowadzić rozmowy bezpośrednio z nim?

- Nie. Podczas korespondencji jasno dał do zrozumienia, że negocjacje poprowadzi w jego imieniu K.C. Tcholak.

- No tak... pogwałcenie ustaleń i tak dalej! Czego się nie robi dla Noble House!

- Zauważyłeś jakiś jej słaby punkt?

- Niecierpliwość. Poza tym chce „pasować”, być jednym z mężczyzn.

Powiedziałbym, że jej piętą achillesową jest desperackie pragnienie akceptacji w świecie mężczyzn.

- Nic w tym złego... jak w poszukiwaniach Świętego Graala. Spotkanie z Dawsonem umówione na jutro na jedenastą?

-Tak.

- Powiedz Dawsonowi, żeby odwołał, ale nie wcześniej niż jutro o dziewiątej. Niech przeprosi i umówi się na środę.

- Niezła myśl. To ją wytrąci z równowagi, co?

- Powiedz Jacques'owi, że osobiście poprowadzę to zebranie.

- Tak jest, tai-pan. Co z Johnem Czenem? Też ma przyjść?

- Tak - powiedział po przerwie Dunross. - Już się z nim widziałeś?

- Nie. Ma przyjść na lunch. Mam go przytrzymać?

- Nie. Gdzie Phillip?

- Pojechał do domu. Wróci o wpół do trzeciej.

To dobrze, pomyślał Dunross, do tej pory można odłożyć sprawę Johna.

- Posłuchaj... - Zaterkotał brzęczyk interkomu. - Chwileczkę. - Nacisnął guzik. - Tak, Klaudio?

- Przepraszam, że przerywam, tai-pan, ale na drugiej linii mam już pana Dzen z Tajpej, a na dole jest pan Bartlett.

- Przyślij go, jak tylko skończę z Dzenem. - Przełączył na czwartą. -

Andrew, może się chwilę spóźnić. Daj gościom drinka i zastąp mnie przez jakiś czas. Bartletta sam przyprowadzę.

- W porządku.

Dunross przełączył na dwójkę.

- *Tsaw an* - powiedział w dialekcie mandaryńskim. - Co nowego? Cieszę się, że cię słyszę - mówił do wuja Wei-wei, generała Dzen Tang-wa, szefa nielegalnej tajnej policji Kuomintang.

- *Szei-szei* - a potem po angielsku: - Co słychać, tai-pan?

- Chyba powinieneś wiedzieć... - Dunross opowiedział w skrócie o broni, Bartlecie, udziale policji, ale słowem nie wspomniał o Tsu-ianie i Johnie Czenie.

-Aiii ia\ Naprawdę bardzo dziwne.

113

- Tak. Też tak sędzę, bardzo dziwne.

- Masz pewność, że to nie Bartlett?

- Tak. Wygląda na to, że nie miał powodów. Żadnych. Niemądrze byłoby przewozić broń we własnym samolocie. A Bartlett nie jest głupi. Kto mógł

potrzebować takiego uzbrojenia?

Milczenie.

- Element przestępczy.

- Triady?

- Nie wszystkie triady to element przestępczy.

- To prawda - przyznał Dunross.

-Zobaczę, czego mogę się dowiedzieć. Z pewnością to nie ma nic wspólnego z wami. Nadal zamierzasz przyjechać w niedzielę? -Tak.

- To dobrze. Postaram się czegoś dowiedzieć. Napijemy się razem o szóstej po południu?

- Może lepiej będzie o ósmej. Widziałeś się już z Tsu-ianem?

- Wydawało mi się, że aż do weekendu jest wolny. Zdaje się, że w poniedziałek miał towarzyszyć tym Amerykanom.

- Tak. Ale słyszałem, że odleciał dzisiaj rano - Dunross starał się mówić rzeczowym tonem.

- Na pewno się odezwie. Ma zadzwonić?

- Tak. Obojętnie o jakiej porze. Nic ważnego. Do niedzieli o ósmej.

- Tak. I dziękuję za informację. Jeśli czegoś się dowiem, natychmiast dam znać. Do widzenia.

Dunross odłożył słuchawkę. Uważnie wsłuchiwał się w słowa Dżena, ale nie usłyszał nic godnego uwagi. Gdzie, do diabła, jest ten Tsu-ian? Pukanie do drzwi.

- Proszę. - Wstał i wyszedł Bartlettowi na spotkanie. - Witam. -

Uśmiechnął się i uściśnął mu dłoń. - Nazywam się Ian Dunross.

- Linc Bartlett - potrząsnęli dłońmi. - Przyszedłem za wcześnie?

- Nie, w sam raz. Z pewnością dowiedział się pan, że lubię punktualność. -

Dunross uśmiechnął się. - Słyszałem, że spotkanie się udało.

- Tak - odparł Bartlett, zastanawiając się, czy Dunross ma na myśli spotkanie z Gorntem. - Casey doskonale potrafi się wywiązywać ze swoich zadań.

- Moi przyjaciele są pod jej wrażeniem. Powiedziała, że może sama sfinalizować przedsięwzięcie. To prawda, panie Bartlett?

- Tak. Do kwoty dwudziestu milionów. A dlaczego pan pyta?

- Chciałem tylko to usłyszeć od pana. Proszę usiąść, mamy jeszcze kilka minut. Lunch zacznie się o dwunastej czterdzieści. Wygląda na to, że przed nami dochodowe przedsięwzięcie.

114

- Mam nadzieję, że tak. Może, jak **tylko porozumiem się z Casey**, spo tkalibyśmy się we dwóch?

Dunross spojrział do kalendarza.

- Jutro o dziesiątej. Tutaj?

- Zgoda.

- Pali pan?

- Nie, dziękuję. Rzuciłem kilka lat temu.

- Ja też, chociaż nadal mam czasem ochotę na papierosa. - Dunross rozsiadł się wygodnie w krześle.

- Przed lunchem chciałbym poruszyć kilka mniej ważnych spraw, panie Bartlett. W niedzielę po południu jadę do Tajpej, a wracam we wtorek na obiad. Chciałbym, żeby pan pojechał ze mną.

Zamierzam przedstawić pana kilku ludziom, może zainteresuje pana też mecz w golfa. Będziemy mogli spokojnie pogawędzić, zobaczy pan ewentualne tereny pod fabryki. To może być ważne. Ja przygotowuję wszystko, ale panna Tcholak nie może z nami pojechać.

Bartlett, marszcząc brwi, zastanawiał się, czy wybór wtorku to tylko zbieg okoliczności.

- Według słów nadinspektora Armstronga nie wolno mi opuszczać Hongkongu.

- To się z pewnością da jakoś załatwić.

- A więc pan też już wie o broni? - powiedział Bartlett i przeklął swoją nierozwagę. Udało mu się

nie poruszyć oczami.

- Tak. Czy ktoś jeszcze zawracał panu tym głowę? - Dunross zapytał, uważnie obserwując swojego rozmówcę.

- Policja przesłuchiwała nawet Casey! Jezu! Mój samolot skonfiskowany, my wszyscy podejrzani, a ja nie mam najmniejszego pojęcia o jakichś cholernych karabinach.

- Nie ma powodów do obaw, panie Bartlett. Mamy bardzo dobrą policję.

- Ja się nie obawiam. Ja się czuję osaczony.

- Rozumiem pana - rzekł Dunross zadowolony, że spotkanie z Armstrongiem miało poufny charakter.

Chryste, myślał, gdyby okazało się, że Tsu-ian i John Czen są w tę sprawę wplątani, wtedy dopiero Bartlett poczułby się osaczony, my zaś stracilibyśmy świetny interes, a on zrobiłby go z Gorntem i wtedy...

- Jak się pan dowiedział o tej broni?

- Rano dostaliśmy informację z naszego biura w Kai Tak.

- Nic takiego się przedtem nie zdarzało?

- Nie. Ale przecież w samym przemyśle czy handlu bronią nie ma **nic** złego. My też się tym zajmujemy.

- Gdzie?

115

- Tam, gdzie zapragnie rząd Jej Wysokości. - Dunross roześmiał się. -

Tu wszyscy jesteśmy piratami, panie Bartlett, a przynajmniej outsiderami.

- Przerwał na chwilę. - Przypuśćmy, że uda mi się załatwić wszystko z po licją, wtedy pan pojedzie do Tajpej?

- Casey potrafi trzymać język za zębami - zapewnił Bartlett. - Nie sugeruję, że nie można jej ufać.

- Po prostu nie jest zaproszona?

- Niektóre z naszych zwyczajów różnią się trochę od waszych. W większości miejsc jest mile widziana, ale czasami... W każdym razie uniknęlibyśmy wielu niezręczności.

- Casey jest pod tym względem tolerancyjna.

- Nie chodziło mi o niezręczność wobec niej. Przepraszam, że to mówię, ale na dłuższą metę tak na pewno będzie rozsądniej.

- A jeśli się nie dostosuję?

- Cóż, chyba nie będzie pan mógł odbyć bardzo interesująco się zapowiadającej wycieczki. To byłaby wielka szkoda, zwłaszcza jeśli liczy pan na długotrwałe kontakty z Azją.

- Przemyślę to.

- Przykro mi, ale muszę otrzymać jednoznaczną odpowiedź.

- Naprawdę? -Tak.

- A niech pana... Dunross

uśmiechnął się.

- Dobrze. Tak czy nie?

- Jeśli tak pan to ujmuje, jadę do Tajpej.

- Dobrze. Oczywiście, gdy wyjedziemy, moja żona zaopiekuje się panną Tcholak. Nie dozna żadnego uszczerbku na swej opinii.

- Dziękuję, ale nie ma potrzeby martwić się o Casey. Jak pan zamierza ustawić Armstronga?

- Nie zamierzam go ustawiać, tylko poprosić komisarza, żeby pozwolił mi wziąć na siebie odpowiedzialność za pana aż do powrotu.

- Zaręczy pan za mnie?

-Tak.

- Skąd pan wie, że nie ucieknę? Może naprawdę jestem handlarzem bronią.

Dunross nie spuszczał z niego wzroku.

- Może i tak. Może i pan będzie uciekał. Ale mogę dostarczyć pana, jak to mówią w filmach, żywego lub martwego. Hongkong i Tajpej leżą na moim obszarze.

- Żywego lub martwego?

- Oczywiście hipotetycznie.

- Ilu w życiu zabił pan ludzi?

Atmosfera w biurze zmieniła się i obydwaj dotkliwie to odczuli. Nie przekroczyliśmy jeszcze linii bezpieczeństwa, myślał Dunross, jeszcze nie.

- Dwunastu - odpowiedział. Panował nad sobą, choć pytanie zaskoczyło go. - Co do dwunastu jestem pewien. Podczas wojny byłem pilotem myśliwca Spitfire.

Straciłem dwa jednoosobowe myśliwce, Storcha i dwa bombowce Dornier 17, każdy po czterech członków załogi. Dwunastu jestem pewien, panie Bartlett. Oczywiście ostrzeliwaliśmy także pociągi, konwoje, zgrupowania piechoty. Dlaczego pan pyta?

- Słyszałem, że był pan lotnikiem. Ja chyba nikogo nie zabiłem. Budowałem obozy, bazy na Pacyfiku i tego typu rzeczy. Nigdy w nerwach nie strzelałem z karabinu.

- Ale lubi pan polowania?

- Tak. W pięćdziesiątym dziewiątym byłem na safari w Kenii. Zastrzeliłem słonia, antylopę kudu i bardzo mi się podobało.

- Ja strzelałem - podjął po chwili przerwy Dunross - chyba raczej do samolotów, pociągów i okrętów. Ludzie na wojnie znajdują się przypadkiem. Nie sądzi pan?

- Z pewnością. Wtedy gdy władca wysyła generała na pole bitwy.

- Zna pan *Sztukę wojny* Sun Tzu?

- To najlepsza książka o wojnie, jaką kiedykolwiek czytałem - wyznał z entuzjazmem Bartlett. - Mimo że powstała w pięćsetnym roku, lepsza od Clausewitza i Liddell Harta.

- Naprawdę? - Dunross zmienił pozycję na krześle. Był zadowolony, że udało mu się odejść od niezręcznego tematu rozmowy. Od wielu lat nie wspominałem zabijania, myślał. To nieuczciwe wobec tamtych ludzi.

- A wie pan, że książka Sun Tzu została we Francji opublikowana w tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku? Można przypuszczać, że Napoleon miał

swój egzemplarz.

- Wyszła również w języku rosyjskim. Także Mao zawsze nosił przy sobie bardzo już zużytą jej kopię.

- Czytał pan?

- Ojciec ją we mnie wpoił. Musiałem czytać oryginał, po chińsku. A on potem mnie bardzo surowo przepytował.

Mucha z zacięciem prowadziła swą wojnę z okienną framugą.

- Pański ojciec chciał, aby pan został żołnierzem?

- Nie. Sun Tzu, podobnie jak Machiavelli, pisze raczej o życiu niż o śmierci i raczej o przetrwaniu niż o walce.. - Dunross spojrział w stronę okna, wstał, podszedł tam i ze swego rodzaju kontrolowanym okrucieństwem, będącym dla Bartletta istotnym sygnałem, rozgniółł muchę.

117

Powrócił za biurko.

- Mój ojciec uważał, że powinienem umieć dawać sobie radę w trudnych warunkach i kierować dużymi grupami ludzi. Pragnął, żebym pewnego dnia został tai-panem, choć nie miał pewności, że tak się stanie. -Uśmiechnął się.

- On także był tai-panem?

- Tak. I to bardzo dobrym. Na początku.

- Co się stało?

Dunross zaśmiał się sarkastycznie.

- Nie za wcześnie na zwierzenia, panie Bartlett? No cóż, najkrócej mó więc, istniały między naszymi poglądami istotne różnice. W końcu przeka zał władzę mojemu poprzednikowi, Alastairowi Struanowi.

-On jeszcze żyje? -Tak.

- Czy umniejszanie swoich zasług dla Wielkiej Brytanii oznacza, że z nim pan prowadził wojnę?

- Sun Tzu szczególną uwagę przykładła do tej kwestii. Mówi, że bardzo niedobrze jest prowadzić wojnę, dopóki nie ma takiej potrzeby. Dokładnie:

„Nadzwyczajna doskonałość dowodzenia zawiera się w złamaniu oporu wroga bez walki”.

- Udało się to panu?

- Jak przystało na rozsądnego człowieka, ojciec sam usunął się z pola walki.

Bartlett przyglądał się zastygłym rysom twarzy Dunrossa. Obydwaj wiedzieli, że pomiędzy nimi także zaczyna toczyć się bitwa.

- Cieszę się, że przyjechałem do Hongkongu - powiedział Amerykanin. -

Cieszę się też, że poznałem pana.

- Dziękuję. Pewnie za jakiś czas zmieni pan zdanie. -

- Może. - Bartlett wzruszył ramionami. - Tymczasem musimy nasze przedsięwzięcie przygotować jak wyśmienite danie. Tak, aby smakowało i wam, i nam. - Uśmiechnął się, wspominając Gornta i kuchenny nóż. - Tak.

Naprawdę cieszę się, że przyjechałem do Hongkongu.

- Czy pan oraz Casey zechcą mnie zaszczyścić swoją obecnością dziś wieczorem na przyjęciu? Około wpół do dziewiątej.

- W oficjalnych strojach?

- O, wystarczy w wieczorowych. A więc zgoda?

- Zgoda. Casey mówiła, że lubi pan smokingi i czarne muszki. - Bartlett spostrzegł obraz na ścianie: olejny portret pięknej Chinki z malutkim angielskim chłopcem uczesany w kitkę. - Czy to Quance? Arystoteles Quance?

- Tak, rzeczywiście - Dunross z trudem krył zaskoczenie.

Bartlett podszedł bliżej ściany i wpatrywał się z bliska w portret.

118

- Oryginał?

- Tak. Zna się pan na sztuce?

- Nie, ale Casey opowiadała mi przed wyjazdem o twórczości Quance'a.

Mówiła, że malował z fotograficzną dokładnością, był prawdziwym portrecistą historii.

- To prawda.

- O ile pamiętam, tutaj wisi domniemany portret dziewczyny zwanej Mei-mei. Mei-mei T'Czung, a ojcem dziecka jest Dirk Struan?

Dunross w milczeniu patrzył na plecy Bartletta. Bartlett jeszcze bliżej przysunął się do obrazu.

- Oczy ledwie widać. A więc ten chłopiec to Gordon Czen? Sir Gordon Czen?

- Odwrócił się do Dunrossa.

- Nic pewnego. To stare dzieje.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Obydwaj byli dobrze zbudowani, Dunross trochę wyższy, lecz Bartlett szerszy w ramionach. Obydwaj mieli niebieskie oczy, szeroko otwarte, świadczące o pochłanianiu życia.

- A więc jest pan tai-panem Noble House?

- Jestem.

- Nie wiem, na czym polega władza tai-pana. Ja w Par-Con mogę zwalniać i zatrudniać, kogo chcę, i zlikwidować wszystko, kiedy tego zapragnę.

- Więc i pan jest tai-panem.

- Bardzo się z tego cieszę. Ja chcę wkroczyć do Azji, pan do Stanów. Razem możemy zawładnąć całym wybrzeżem Pacyfiku.

Chyba że władza przypadnie jednemu z nas, pomyślał Dunross. Mimo że Bartiett był niebezpieczny, podobał się Dunrossowi.

- Ja mam to, co jest panu potrzebne, i odwrotnie.

- Tak - zgodził się Dunross. - A teraz nam obu potrzebny jest lunch.

Skierowali się do wyjścia. Bartiett szedł pierwszy. Nie od razu otworzył drzwi.

- Wiem, że u was nie ma takiego zwyczaju, ale skoro mamy razem jechać do Tajpej, możemy mówić sobie po imieniu. I zacząć się zastanawiać, o co rozegramy mecz golfa. Na pewno wiesz, że mój handicap wynosi trzystaście. Twój dziesięć.

Na wszelki wypadek możemy sobie odjąć po jednym uderzeniu.

- Czemu nie - natychmiast odparł Dunross. - Ale zwykle nie zakładamy się tutaj o pieniądze, lecz o piłki.

- Na dobrą sprawę nigdy nie robiłem zakładów w golfa.

- Na wszystko przychodzi czas. Zwykle stawiamy pół tuzina piłek.

- Zakłady pieniężne to zły, brytyjski zwyczaj?

- Nie. Możemy postawić po pięćset dolarów, zwycięzca zabiera wszystko.

- Dolarów amerykańskich czy hongkongijskich?

119

- Hongkongijskich. Na początku między przyjaciółmi tak musi być.

Lunch podawano na dziewiętnastym piętrze w prywatnej sali jadalnej prezesa. Pomieszczenie znajdowało się w rogu budynku i miało kształt litery L, wysoki sufit, niebieskie zasłony, wzorzyste,

niebieskie chińskie dywany oraz ogromne okna, przez które widać było startujące i lądujące na Kai Tak samoloty, a w oddali wyspy Stonecutters i Tsing Ji, a także część Nowych Terytoriów.

Pośrodku stał zastawiony pięknymi srebrami i najdoskonalszymi kryształami Waterforda wielki, antyczny, dębowy stół, bez trudu mieszczący dwadzieścia osób. Sześciu gości obsługiwało czterech doskonale ułożonych kelnerów w czarnych spodniach i białych tunikach z naszytymi emblematami Struanów.

Koktajle podano jeszcze przed przybyciem Bartletta i Dunrossa. Casey, podobnie jak inni - z wyjątkiem Gavallana, który zamówił podwójny różowy gin -

piła wódkę z wytrawnym martini. Bartlettowi bez pytania podano na srebrnej tacy zmrożoną puszkę Anweisera.

- Skąd wiedzieliście? - zapytał mile zaskoczony.

- Z najlepszymi życzeniami od Struanów - powiedział Dunross. - Słyszeliśmy, że to lubisz. - Przedstawił mu Gavallana, deVille'a, Linbara Stru-ana, przyjął kieliszek zimnego Chablis, a potem uśmiechnął się do Casey.

- Jak się pani miewa?

- Dziękuję, wyśmienicie.

- Proszę mi wybaczyć - zwrócił się do wszystkich Bartlett - ale chciałbym, zanim zapomnę, powiedzieć coś Casey. Mogłabyś zadzwonić do Johnsona do Waszyngtonu i dowiedzieć się, z kim najlepiej się skontaktować w tutejszym konsulacie?

- Oczywiście. Jeśli go nie zastanę, zapytam Tima Dillera.

Nazwisko Johnsona stanowiło umówione hasło. Oznaczało pytanie: jak postępują negocjacje? Jeśli w odpowiedzi znalazło się nazwisko Diller, oznaczało, że dobrze, jeśli Tim Diller - bardzo dobrze, Jones - źle, a George Jones -

bardzo źle.

- Świetny pomysł - pochwalił Bartlett. - Piękne miejsce - zwrócił się do Dunrossa.

-A więc pasuje.

Casey uśmiechnęła się, pojmując aluzję.

- Zebranie przebiegło pomyślnie, panie Dunross - odezwała się. - Wy stąpiliśmy z propozycją, która zostanie panu przekazana pod rozwagę.

Jak ci Amerykanie tak mogą - żadnej subtelności! Nie wie, że interesy załatwia się po lunchu, a nie przed.

- Tak, Andrew mi mówił. Napije się pani jeszcze?

- Nie, dziękuję. Myślę, że w propozycji jest wszystko zawarte, sir. Czy któreś punkty mam wyjaśnić dokładniej?

120

- W odpowiednim czasie. - W duchu czuł się rozbawiony jak zwykle, gdy ktoś zwracał się do niego sir, tytułem tym Amerykanki potrafią często bezwiednie obdarzać nawet kelnerów. - Zwróć się do pani, jak tylko prze-studiuję dokładnie dokument. Piwo dla pana Bartletta - dodał, jeszcze raz chcąc przesunąć interesy na później. - *Ca va!* - zwrócił się do Jacques'a.

- *Oui, mer ci. A rien.* Jeszcze nic.

- Nie martw się - pocieszył go Dunross. Poprzedniego dnia ukochana córka Jacques'a i jej mąż mieli we Francji, gdzie przebywali na wakacjach, niebezpieczny wypadek samochodowy. Nadal czekano na informacje o ich stanie. - Nic się nie martw.

- Uhm - mruknął, starając się nie pokazać, jak mało jest obecny duchem.

Jacques był najbliższym kuzynem Dunrossa, zaczął pracować dla Struanów w 1945 roku. Podczas wojny wiele przeszedł. W 1940 wysłał żonę i dwoje dzieci do Anglii, a sam pozostał we Francji. Walczył w partyzantce, dostał się do więzienia, uciekł, znów wrócił do partyzantki. Teraz miał pięćdziesiąt cztery lata, był człowiekiem silnym i spokojnym, lecz sprowokowany

- potrafił być okrutny. Miał brązowe oczy, pulchne dłonie i wiele, wiele blizn.

- Ale w ogólnym zarysie przedsięwzięcie wygląda zadowolająco? - za pytała Casey.

Dunross westchnął mimowolnie i w pełni skoncentrował się na rozmowie z nią.

- W kilku mniej istotnych punktach będę miał kontrpropozycje. Ale tymczasem, generalnie, może pani uważać propozycję za przyjętą.

- Doskonale - powiedziała uszczęśliwiona Casey.

- Świetnie. - Bartlett z nic mniejszym zadowoleniem wzniosł puszkę piwa.

- Za szczęśliwe zakończenie i duże zyski, i dla was, i dla nas.

Spełniono toast. Ci, którzy lepiej znali Dunrossa, widzieli niebezpieczne oznaki we wzmiance o kontrpropozycjach w mniej istotnych punktach.

- Dużo czasu zajmie wam sfinalizowanie przedsięwzięcia, lan? - zapytał

Bartlett. Wszyscy usłyszeli to „lan”. Linbar Struan skrzywił się otwarcie.

- Nie - odpowiedział Dunross ku ich zdziwieniu, ponieważ taka bezpo-

średniość mogła być uznana za spoufalanie się. - Nie sądzę, żeby prawnicy mogli doszukać się czegoś nie do przeskoczenia.

- Pan deVille, John Czen i ja spotykamy się z nimi jutro o jedenastej -

powiedziała Casey. - Już... trochę na zapas poradziliśmy się ich... Nie ma żadnych przeszkód.

- Dawson jest naprawdę dobry. Szczególnie w kwestii amerykańskiego prawa podatkowego.

- Casey, a może i my powinniśmy sprowadzić z Nowego Jorku naszego specjalistę od podatków - zaproponował Bartlett.

121

- Pewnie. I Forrestera. To szef naszej grupy ekspertów. - Z ostatnim zdaniem zwróciła się do Dunrossa.

- No dobrze. Koniec już z tymi targami przed lunchem - rzekł tai-pan. - Zasadą naszej firmy, panno Casey, jest niemieszanie posiłków z interesami. To źle wpływa na trawienie. - Skinął na Lima. - Nie będziemy czekać na Master Johna.

Nagle kelnerzy wyrosli jak spod ziemi, wysunięto krzesła, przy każdym miejscu znajdowała się wizytówka z nazwiskiem, umieszczona na srebrnej podstawce. Rozlano zupę.

Zgodnie z menu do zupy podano sherry; Chablis zaś do ryby, chyba że ktoś wybrał w zamian bords do rostbefu z puddingiem Yorkshire. Jako dodatki gotowane strąki fasoli, ziemniaki i marchewka. Na deser biszkopt w wiśniowym winie z kremem. Do serów pito portwajn.

- Jak długo zamierza pan u nas zostać, panie Bartlett? - zapytał Ga-vallan.

- He będzie trzeba. Ale, panie Gavallan, ponieważ wszystko wskazuje na to, że interesy będziemy prowadzić długo, proponuję pozbyć się tego „pan i panno”

i mówić do nas Linc i Casey.

Gavallan wbił wzrok w Bartletta. Chciał powiedzieć, że owszem, będziemy ze sobą pracować, ale my tutaj przejście na ty uważamy za swego rodzaju potwierdzenie bliskiej przyjaźni. Imię *to* dla nas rzecz prywatna. Lecz skoro tai-pan nie zgłaszał zastrzeżeń, to nic się na to nie poradzi.

- Czemu nie, panie Bartlett? - powiedział przymilnie. - Możemy daro wać sobie takie ceremonie, prawda?

Jacques deVille, Struan i Dunross zachichotali w duchu, słysząc „panie Bartlett” i widząc, w jaki sposób nie chciana zgoda w rękach Gavallana zamienia się w potwarz niezrozumiałą dla żadnego Amerykanina.

- Dziękuję, Andrew - powiedział Bartlett. - Ian, czy mogę złamać zasadę i zadać przy lunchu jeszcze jedno pytanie? Czy podejmiesz ostateczną decyzję do wtorku?

W całej sali natychmiast zmienił się nastrój. Lim i pozostali kelnerzy wstrząśnięci nie wiedzieli, co robić. Wszystkie oczy skierowały się na Dunrossa.

Bartlett poczuł, że się zapędził, a Casey była tego pewna. Ona także wpatrywała się w Dunrossa. Jego rysy twarzy nie zmieniły się, ale oczy tak. Każdy wiedział, że tai-pan znany jest z pokerowego spokoju. Wchodź albo pasuj. Do wtorku.

Czekali. Cisza zaczynała doskwierać. Coraz bardziej.

Przerwał ją Dunross.

- Powiem ci jutro - rzekł spokojnym głosem. Wszyscy odetchnęli, a kelnerzy kontynuowali swoją pracę. Każdy się rozluźnił. Z wyjątkiem Linbara.

Jemu nadal pociły się ręce, ponieważ on jeden wiedział o pewnej drobnost-

ce przechodzącej z pokolenia na pokolenie od Dirka Struana - o niezwykle, niemal pierwotnym, nagłym przyпыwie gniewu - i teraz prawie zobaczył to na własne oczy; prawie, ale niezupełnie. Tym razem złość minęła. Ale świadomość jej bliskiej obecności przerażała go.

On sam pochodził w prostej linii od Robba Struana, przyrodniego brata i współnika Dirka Struana, a więc w jego żyłach nie płynęła krew Dirka.

Żałował tego i tym bardziej nienawidził Dunrossa, aż do bólu.

Niech cię porwie Hag Struan, cholerny lanie Dunrossie, ciebie i całe twoje potomstwo, pomyślał i odruchowo wzdrygnął się na myśl o tamtej kobiecie.

- Co ci jest, Linbar? - zapytał Dunross.

- Och, nic, nic, tai-pan - mówił, niemal podskakując na krześle. - Za-myśliłem się trochę, przepraszam.

- O czym?

- Pomyślałem o Hag Struan.

Dunross zatrzymał wędrującą do ust łyżeczkę, wszyscy na niego spojrzeli.

- Nie najlepiej to wpływa na trawienie.

- To prawda.

Bartlett popatrzył na Linbara, a potem przeniósł wzrok na Dunrossa.

- Kto to jest Hag Struan? - zapytał.

- Czarna owca - powiedział Ian z wymuszonym uśmiechem. - Wiele ich w naszej rodzinie.

- Jak w każdej - odezwała się Casey.

- Hag Struan zawsze była, i jest nadal, postrachem naszych dzieci.

- Teraz już nie, tai-pan - sprostował Gavallan.

! - Nie żyje już prawie pięćdziesiąt lat.

- Może pamięć o niej umrze wraz ze mną, Linbarem i Kathy, z całym naszym pokoleniem, ale i w to wątpię. - Dunross dziwnie spojrzał na Linbara.

- Hag Struan wstanie dzisiaj z trumny i będzie nas w nocy nawiedzać?

- Przysięgam na Boga, tai-pan, że nie lubię nawet żartów na jej temat.

- Niech ją kiła zeżre - z zacięciem rzekł Dunross. - Gdyby żyła, powiedziałbym jej to prosto w oczy.

- Nie wątpię - Gavallan nagle roześmiał się. - Chciałbym to zobaczyć.

- Ja też - Dunross zawtórował mu śmiechem, a potem spostrzegł minę Casey. - Ach, Casey, to by była odwaga. Jeśli wierzyć legendom, Hag Struan pochodziła od diabła. Była żoną Culuma Struana, syna Dirka Struana, syna naszego założyciela. Jej panięskie nazwisko brzmiało Brock, Tess Brock, była córką znenawidzonego wroga Dirka, Tylera Brocka. Culum i Tess uciekli razem w 1841 roku i tak się wszystko zaczęło. Ona była słod-123

ką, piękną szesnastolatką, a on dziedzicem Noble House. Zupełnie tak samo jak Romeo i Julia, z tą różnicą, że oni żyli. I wcale nie miało to wpływu na krwawą wojnę Dirka i Tylera, czy raczej Struanów i Brocków. To tylko komplikowało i zaostrzało całą sprawę. Ona urodziła się jako Tess Brock w 1825, a zmarła jako Hag Struan w 1917, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat -bezzębna, łysa, głupawa, okrutna i straszliwa aż do ostatnich dni. Życie jest dziwne, *heya?*

- Tak. Czasami aż niewiarygodne - powiedziała w zamyśleniu Casey. -

Dlaczego ludzie tak bardzo zmieniają się z wiekiem? Dlaczego stają się tacy zgorzkniali i źli? Szczególnie kobiety.

Z powodu urody, chciał natychmiast odpowiedzieć Dunross, i dlatego, że kobiety inaczej się starzeją. To niesprawiedliwe, ale to niezaprzeczalny fakt.

Kobieta widzi swoje zmarszczki, wiotczenie kiedyś jędrnej skóry, podczas gdy jej mężczyzna ciągle trzyma się świetnie, a potem ona widzi młode dziewczyny i paraliżuje ją myśl, że straci mężczyznę, i w końcu traci go, ponieważ jego zaczyna nudzić jej rozkład, jej własnoręcznie podsycana agonia, jej samookaleczenia, a także ponieważ on ma w sobie silny, niekontrolowany pociąg ku młodości...

„*Aiii ia*, nie ma na świecie lepszego afrodyzjaku nad młodość” - powtarzał

zawsze Czen-Czen, ojciec Phillipa Czena, doradcy lana. „Żadnego, mój młody lanie, żadnego. I jeszcze raz żadnego. Posłuchaj mnie. *Yang* wymaga soków *yin*, ale soków świeżych, o tak, tak, muszą być świeże. One przedłużą twoje życie i wykarwią twoją *yang*! Zapamiętaj sobie, im starsza twoja męskość, tym bardziej potrzebuje młodości, zmian, entuzjazmu, zabawy! Ale pamiętaj także, że tej kwintesencji kobiecości znajdującej się między ich udami, tak wspaniałej, delikatnej, słodkiej, nieziemskiej i tak zadowolającej, należy się strzec! Ha! To również pułapka, sidła, sala tortur i twoja trumna!”. A potem starzec zanosił się śmiechem, aż podskakiwał mu brzuch i łzy płynęły po twarzy. „Na bogów, jakież to cudowne, prawda? Zapewniają nam raj na ziemi, a potem, gdy twój Jednooki Mnich nie może już podnieść głowy, aby wkroczyć do Edenu, zamieniają życie w piekło. *Dżos*, moje dziecko! Taki nasz *dżos*: pragnąć Chciwej Otchłani, dopóki nas nie zagarnie, ale ooo...”.

Kobietom, a zwłaszcza Amerykankom, musi być bardzo trudno pogodzić się z nadchodzącą starością, zjawiającą się niespodziewanie i niewiarygodnie wcześnie, za wcześnie. W Ameryce trudniej to przeżyć niż gdziekolwiek indziej.

Po co mam ci powtarzać prawdy, które z pewnością sama znasz, pytał się w duchu Dunross. Albo pouczać, że amerykański styl życia wymaga od ciebie wiecznej młodości, której nie może ci podarować ani Bóg, ani Szatan. Nie możesz mieć dwudziestu pięciu lat, gdy masz trzydzieści pięć, ani 124

młodości trzydziestopięciolatki w wieku czterdziestu pięciu lat, ani czterdziestu pięciu, gdy masz pięćdziesiąt pięć. Przykro mi, wiem, że to niesprawiedliwe, ale to fakt.

Aiii ia, pomyślał, dzięki Bogu -jeśli Bóg istnieje - dzięki wszystkim małym i dużym bogom, że jestem mężczyzną, nie kobietą. Szkoda mi was, amerykańskie damy, o pięknych imionach.

Lecz odpowiedź Dunrossa była prostsza.

- Pewnie dlatego, że nasze życie nie jest usłane różami, a podczas dora-stania karmią nas papką złych wartości. W przeciwieństwie do Chińczyków, którzy są tacy rozsądni, Chryste, niewiarygodnie rozsądni. W wypadku Hag Struan zaważyła prawdopodobnie także zepsuta krew Brocków. Taki był jej *dżos*, los, szczęście lub pech. Mieli z Culumem siedmioro dzieci, czterech synów i trzy córki. Wszyscy czterej synowie zginęli tragicznie. Dwaj z nich tutaj w Hongkongu na zarazę, jeden został zasztyletowany w Szanghaju, a ostatni utopił się w Ayr w Szkocji, gdzie znajdują się nasze rodowe ziemie.

To by wystarczyło, żeby każda matka się załamała, to i nienawiść oraz złość wisząca przez całe życie nad Hag i Culumem. A gdy dodać do tego jeszcze wszystkie problemy związane z życiem w Azji, przejście Noble House w ręce cudzych synów... sama rozumiesz. - Dunross zastanawiał się moment, a potem dodał: - Legenda głosi, że rządziła Culumem Struanem aż do dnia śmierci, tyranizując Noble House, wszystkich tai-pa-nów, synowe, zięciów i oczywiście wszystkie dzieci. Po śmierci zresztą także. Pamiętam, jak moja angielska niania, niech się smaży w piekle, mówiła do mnie: „Lepiej się dobrze zachowuj, Master lan, bo zawołam Hag Struan i ona cię zje”...

Miałem nie więcej niż pięć czy sześć lat.

- Straszne - przejęła się Casey. Dunross wzruszył ramionami.

- Nianie już takie są.

- Dzięki Bogu nie wszystkie - odezwał się Gavallan.

- Ja nigdy nie miałem dobrej. Ani złej *gan sun*.

- Kto to jest *gan sun*? - zapytała Casey.

- Dosłownie to znaczy „ktoś, kto stoi koło ciebie”. Przed czterdziestym dziewiątym rokiem bogatsze rodziny w Chinach, także europejskie, i mieszane rodziny mieszkające tutaj zatrudniały *gan sun* do opieki nad dziećmi.

Często *gan sun* całe życie spędzała u boku takiej rodziny. Większość składała specjalne śluby. Łatwo je rozpoznać po długich, opadających na plecy warkoczach. *Moja gan sun* nazywała się Ah Tat. Teraz już jest bardzo stara, ale ciągle jest z nami - wyjaśnił Dunross.

- Moja - odezwał się Gavallan - była bardziej matczyna niż prawdziwa matka.

- A więc Hag Struan była pańską prababką? - Casey zwróciła się do Linbara.

125

- Nie, na Boga! Nie, ja nie pochodzę z linii Dirka Struana - odpowie dział, a dziewczyna zauważyła na jego czole kropelki potu, czego zupełnie nie umiała sobie wyjaśnić. - Ja pochodzę od jego przyrodniego brata Robba. On był współnikiem Dirka. Tai-pan pochodzi w prostej linii od Dirka, ale mimo to... żaden z nas nie jest potomkiem Hag.

-A więc wszyscy jesteście spokrewnieni? - Pytając Casey czuła dziwne napięcie w sali. Zauważyła, że Linbar z wahaniem spogląda na Dunrossa.

- Tak - przyznał. - Andrew poślubił moją siostrę, Kathy. Jacques jest kuzynem, a Linbar... Linbar nosi nasze nazwisko. - Dunross roześmiał się. - W

Hongkongu wielu ludzi pamięta jeszcze Hag. Zawsze ubierała się w czarną suknię z czarnym fartuchem i śmieszny kapelusz z szerokim, nad-jedzonym przez mole rondem. Podpierała się czarną laską ze srebrną rączką. Wszystko dawno niemodne. Zwykle pojawiała się na ulicach w noszonej przez cztery osoby lektyce.

Miała niecałe metr pięćdziesiąt wzrostu, garbiła się i była łykowata jak noga kulisa.

Chińczycy też się jej bali. Przezywali ją „Złooką i Smoczozębą Starą Matką Obcego Diabła”.

- Zgadza się - zaśmiał się krótko Gavallan. - Mój ojciec i babka znali ją.

Prowadzili tutaj i w Szanghaju kompanię handlową, ale podczas wielkiej wojny splajtowali i w dziewiętnastym roku połączyli się ze Struanami. Ojciec opowiadał

mi, jak jako mały chłopiec razem z kolegami biegał za nią po ulicach, rozwścieczając ją do tego stopnia, że rzucała w nich sztuczną szczęką. Mieli z niej wielki ubaw. Ojciec przysięgał, że zęby miały sześćdziesiąt centymetrów długości, a dzięki jakiejś sprężynie szczęką samoczynnie kłapała na rozbawionych chłopców!

- O, Andrew, zapomniałem - przerwał z uśmiechem Linbar. - Moja garc *sun*, stara Ah Fu, też dobrze znała Hag Struan i zawsze gdy ktoś wspominał o niej, Ah Fu podnosiła wzrok do nieba i prosiła bogów, by chronili ją przed złym okiem i magicznymi zębami. Razem z moim bratem Kyle... - przerwał i dokończył

zupełnie innym tonem: - ..straszyliśmy tak Ah Fu.

- W Wielkim Domu - Dunross zwrócił się do Casey - wisi jej portret, a nawet dwa. Jeśli cię to ciekawi, kiedyś ci je pokażę.

- Tak, bardzo chętnie. Jest tam też portret Dirka Struana? - 1 to nie jeden. Także jego przyrodniego brata Robba.

- Z radością je obejrzę.

- Ja też - odezwał się Bartlett. - Ja, do diabła, nie widziałem nawet zdjęcia moich dziadków, a co dopiero prapradziadka. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o moich przodkach, jacy byli, skąd przybyli. Wiem tylko, że mój dziad prowadził prawdopodobnie przedsiębiorstwo przewozowe w jakimś Jerrico. Warto wiedzieć, skąd się pochodzi. Macie szczęście. - Siedział na krześle, starając się wyczuć podskórne prądy i odsuwając chwilę decyzji: Dunross czy Gornt. Jeśli Dunross, Andrew Gavallan będzie musiał odejść.

126

Młody Struan nienawidzi Dunrossa, Francuz to jedna wielka enigma, a sam Dunross przypomina nitroglicerynę i jest równie jak ona niebezpieczny. -Już sama opowieść o Hag Struan brzmi fantastycznie - oświadczył. - Dirk Struan także musiał być wielką postacią.

- Teraz żyje po nim legenda będąca majstersztykiem interpretacji - stwierdził deVille, mrużąc ciemne oczy. - Był największym piratem Azji! Pocze-kajcie, aż zobaczycie jego portret i znajdziecie rodzinne podobieństwo. Nasz tai-pan to wykapany Dirk, odziedziczył wszystkie najgorsze cechy.

- Przestań, Jacques - upomniał go dobrotliwie Dunross. - To nieprawda -

zwrócił się do Casey. - Jacques jak zwykle mnie oczernia. Jestem zupełnie inny.

- Ale jesteś jego potomkiem?

- Tak. Moja prababka nazywała się Winifred. Była jedyną uznaną córką Dirka. Poślubiła Lechiego

Struana Dunrossa. Także członka klanu. Mieli jednego syna - mojego dziadka. Z tego co wiadomo, rodzina Dunrossow jako jedyna pochodzi w prostej linii od Dirka Struana.

- Mówiłeś... uznaną córką?

Dunross uśmiechnął się.

- Dirk miał też inne dzieci. Jednego syna, Gordona Czena, z damą nazwiskiem Czen. Od niego pochodzi linia Czenów. Istnieje także linia T'Czung - od Duncana T'Czung i Kate T'Czung, syna i córki ze sławną Mei-mei T'Czung. Tak głosi legenda. Przyjmuje się ją, choć nikt nie potrafi jej obalić ani udowodnić. Nasi przodkowie czuli się w Hongkongu, hm, swojsko, a chińskie damy były, podobnie jak teraz, bardzo piękne. Jednak rzadko je poślubiali, a sprawy miłości należą do intymnych, więc często nie wiadomo, kogo z kim łączą więzy krwi. Nie rozprawiamy o tym publicznie, na brytyjską modłę, udajemy, że coś takiego nie istnieje, choć wiemy, że jest inaczej, i dzięki temu nikt nie traci twarzy. W Hongkongu rodziny euro-azjatyckie przejęły przeważnie nazwisko matek, a w Szanghaju ojców.

Wygląda na to, że wszyscy się do tego przyzwyczailiśmy.

- Nikt się tym nie przejmuje - wtrącił Gavallan.

- Przeważnie - dodał Dunross.

- Zatem John Czen też jest waszym krewnym? - zapytała Casey.

- Jeśli sięgać do rajów, to chyba wszyscy jesteśmy tą samą rodziną - zauważył Dunross, patrząc w pustą przestrzeń. Ucieczka nie pasuje do Johna, pomyślał z ciężkim sercem, nie jest też kimś, kto mógłby się wplątać w przemyt broni. Ani nie jest tak głupi, żeby dać się złapać. A Tsu-ian? Cóż, to szanghajczyk i łatwo mógł wpaść w panikę, jeśli ma z tym coś wspólnego.

Bez trudu ustalono, że rano nie było Johna w żadnym samolocie, a więc nie uciekł tą drogą. Pozostaje jacht... jeśli w ogóle uciekał. Ale dokąd jachtem?

Do Makau. Nie, to spalony teren. Na statek? Z łatwością, pomyślał, 127

jeśli zaplanował wszystko wcześniej, a nawet jeśli nie, mógł załatwić wszystko w ciągu godziny. Każdego dnia w roku do każdego zakątka świata wy-pływa trzydzieści do czterdziestu statków, nie licząc tysięcy rejestrów-nych dżonek. Za kilka dolarów można wywieźć i wwieźć wszystko. Męż-

czyn, kobiety, dzieci, narkotyki, wszystko. Chociaż nie ma sensu niczego...

z wyjątkiem ludzi, narkotyków, broni, alkoholu, papierosów i paliwa, bo na nic innego nie obowiązuje cło.

Nie licząc złota.

Dunross uśmiechnął się. Można sprowadzać złoto legalnie, mając koncesję na przewóz do Makau, a to, co się z nim dalej dzieje, nikogo nie obchodzi, a przynosi zysk. Tak, pomyślał, po południu przyżywa nasz statek kompanii Nelson Trade. To dobrze, ten interes zawsze będzie się opłacał.

Nakładając rybę ze srebrnej tacy, zauważył, że Casey uważnie mu się przygląda.

- Tak? - zagadnął ją.

- Ach, zastanawiałam się, skąd znasz moje imiona. - Zwróciła się do Bartletta: - Linc, tai-pan zaskoczył mnie. Zanim zostaliśmy sobie przedstawieni, już wiedział, że nazywam się Kamalian Ciranoush, zupełnie jakby to było Mary Jane.

- To perskie imiona? - zapytał Gavallan.

- Ormiańskie.

- Karna... hly... arn Cirrrraannooooosssh - Jacques specjalnie przeciągał

sylaby. - *Tresjolie, mademoiselle. Ils ne sont pas difficiles sauf pour les cretins.*

- Jak angielski - powiedział Dunross i wszyscy się roześmiali.

- Skąd wiedziałaś, tai-pan? - Casey łatwiej przechodziło przez gardło tai-pan niż Ian. Ian jeszcze mi do niego nie pasuje, myślała, zwłaszcza że wiedziała tyle o jego przeszłości i o Hag Struan i ciągle próbowała zgłębić otaczającą go aurę tajemnicy.

- Zapytałem waszego radcę prawnego.

- Jak to?

- John Czen zadzwonił do mnie wczoraj około północy. Nie powiedziałaś mu, co to za skrót K.C., a ja chciałem wiedzieć. Za wcześnie było dzwonić do biura w Los Angeles, ósma rano... więc zadzwoniłem do radcy w Nowym Jorku. Mój ojciec mówił: Kto wątpi, niech pyta.

- Zastałeś w sobotę Seymoura Steiglera III? - zapytał zdziwiony Bartlett.

- Tak. W domu w White Plains.

- Ale on ma zastrzeżony numer domowy!

- Wiem. Zadzwoniłem do swojego przyjaciela, Chińczyka z ONZ. A on zdobył dla mnie ten numer. Zgodnie z prawdą powiedziałem panu Steigle-rowi, że imiona potrzebne są do zaproszeń. Trzeba być dokładnym, prawda?

- Tak - przyznała Casey z podziwem. - Trzeba.

- Wiedziałaś... Już w nocy wiedziałaś... że Casey jest kobietą? - zapytał

Gavallan.

- Tak. Właściwie wiedziałem już kilka miesięcy temu. A o co chodzi?

- O nic, tai-pan. Casey, mówiłaś o Armenii. Twoja rodzina wyemigrowała po wojnie do Stanów?

- Po pierwszej wojnie światowej w 1918 - Casey rozpoczęła często opowiadaną historię. - Dawniej moje nazwisko brzmiało Tcholakian. Gdy moi dziadkowie przybyli do Nowego Jorku, odrzucili „ian”, aby ułatwić Amerykanom wymowę. Niemniej moje imiona to Kamalian Ciranoush. Jak wiecie, Armenia leży w południowej części Kaukazu, na północ od Iranu i Turcji, na południe od Gruzji. Kiedyś byliśmy suwerennym narodem, ale obecnie wchłonęły nas sowiecka Rosja i Turcja. Moja babcia pochodziła z Gruzji, wtedy takie mieszane małżeństwa nie należały do rzadkości. Po całym Imperium Otomańskim było rozrzuconych dwa miliony moich rodaków, ale po masakrach, zwłaszcza w piętnastym i szesnastym roku... - Casey wzdrygnęła się. - To naprawdę okrutne. Pięćset tysięcy rozjechało się po całym świecie.

Wśród Ormian tradycyjnie przeważali kupcy, artyści, malarze, jubilerzy, pisarze, także wojownicy. W armii tureckiej służyło pięćdziesiąt tysięcy Ormian i podczas pierwszej wojny światowej zostali rozbrojeni, zdegradowani i rozstrzelani przez Turków zarówno generałowie, jak i oficerzy i szeregowi. Od wieków stanowili elitarną mniejszość.

- Dlatego Turcy ich nienawidzili? - zapytał deVillc.

- Ormianie byli bardzo ze sobą związani, ciężko pracowali i odnosili sukcesy w handlu. Kontrolowali większość przemysłu i biznesu. Mój dziadek mówił, że handel mamy we krwi. Ale najważniejszy powód to chyba to, że Ormianie byli chrześcijanami... pierwszą chrześcijańską prowincją w czasach starożytnych Rzymian, a Turcy mahometanami. Turcja podbiła Armenię w szesnastym wieku, a potem cały czas trwały przygraniczne walki między chrześcijańską carską Rosją i „niewiernymi” Turkami. Aż do siedemnastego roku carska Rosja sprawowała nad nami protektorat... Turcy to dziwny naród, dziwny i okrutny.

- Ale twoja rodzina uciekła, zanim zaczęły się kłopoty?

- Nie. Mój dziadek był dość bogaty i jak wielu ludzi myślał, że nic mu nie grozi. Uciekł z żoną, dwoma synami i córką tuż przed przybyciem żołnierzy.

Zdążyli zabrać tylko to, co mogłoby być im potrzebne do ucieczki na wolność.

Reszcie rodziny nie udało się. Dziadek przedostał się do Istambułu na rybackiej łódce, a babcia na Cypr, i jakoś udało im się zdobyć wizy do Stanów. Mieli niewiele pieniędzy, trochę biżuterii i wiele talentu. Babcia jeszcze żyje...

Jeszcze potrafi się świetnie targować.

- Dziadek był kupcem, więc stąd twoje zainteresowanie biznesem? -

-Wpojono je we mnie, gdy tylko zaczęłam samodzielnie myśleć. Dziadek założył w Providence przedsiębiorstwo optyczne wytwarzające obiektywy i mikroskopy oraz kompanię importowo-eksportową zajmującą się handlem, głównie dywanami i perfumami, a także w niewielkim stopniu złotem i szlachetnymi kamieniami. Mój ojciec zajmował się sprzedażą i wytwarzaniem biżuterii. Teraz już nie żyje, ale miał w Providence swój zakład. Jego brat, wujek Bghos, pracował z dziadkiem. Po śmierci dziadka wujek zajął się kompanią eksportowo-importową. Jest niewielka, ale stabilna. Ja i moja siostra dorastałyśmy wśród targów, negocjacji i ciągłej troski o zysk. Dla nas była to wspaniała zabawa i wiele się nauczyłyśmy.

- Gdzie... och, jeszcze biskopta, Casey?

- Nie, dziękuję.

- Gdzie uczyłaś się biznesu?

- Chyba wszędzie - odpowiedziała. - Po szkole średniej zapisałam się na dwuletni kurs w Providence: pisanie na maszynie, kalkulacja, księgowość, a także kilka podstawowych zasad biznesu. Ale nawet wtedy wieczorami, podczas weekendów i wakacji, pomagałam dziadkowi. Dowiedziałam się, jak myśleć planowo, obmyślać i wdrażać plany, a więc najwięcej nauczyłam się w praktyce.

Oczywiście po szkole ukończyłam jeszcze wiele specjalistycznych kursów, przeważnie wieczorowo.

- Roześmiała się. -W zeszłym roku chodziłam nawet do Szkoły Biznesu w Harvardzie, na niektórych wykładach robiłam wrażenie nie mniejsze niż bomba wodorowa, chociaż teraz już kobietom o wiele łatwiej tam się dostać.

- Jak trafiłaś na szczyt w Par-Con? - zapytał Dunross.

- Przez wyrachowanie - powiedziała i wszyscy się uśmiechnęli.

- Casey praca pali się w rękach - nie szczędził pochwał Bartlett. - Potrafi tak szybko czytać, że pracuje za dwóch. Umie wyczuć niebezpieczeństwo, nie obawia się podejmowania decyzji i nie rumieni się ze wstydu.

- To moja najmocniejsza strona - potwierdziła Casey. - Dziękuję, Linc.

- A nie jest ci za ciężko, Casey? - zapytał Gavallan. - Nie podejmujesz się za ciężkich zadań? Niełatwo ci przecież wykonywać męski zawód.

- Nie zastanawiam się, czy wykonuję męski zawód - odparowała natychmiast.

- Kobiety mają taki sam rozum i te same zdolności co mężczyźni.

Gavallan i Linbar uśmiechnęli się drwiąco, a Dunross powiedział:

- Jeszcze o tym porozmawiamy. Ale, Casey, jak się dostałaś do Par-Con?

Mam mu opowiedzieć, jak było naprawdę. . Ian przypomina trochę Dirka Struana - największego pirata Azji, czy mam opowiedzieć to, co zmieniło się w legendę, zastanawiała się w duchu.

Potem usłyszała głos Bartletta i wiedziała, że może się całkowicie zdać na niego, bo setki razy słyszała jego wersję: częściowo prawdziwą, częściowo-130

wo fałszywą, a częściowo taką, w jaką on chciał wierzyć. A ile z waszych legend jest prawdą? O Hag Struan? O Dirku? A jak ty naprawdę zostałeś tai-panem? Napiła się porto, rozkoszując się słodkim smakiem, i dała się ponieść myślom.

Tu coś wisi w powietrzu. Czuję się dziwnie. Coś nie jest tak z tym Dunrossem.

Ale co?

- Pierwszy raz spotkałem Casey w Los Angeles, jakieś siedem lat temu -

zaczął Bartlett. - Dostałem list od Casey Tcholak, dyrektor Hed-Opticals z Providence, która chciała przedyskutować możliwość fuzji. W tym czasie zajmowałem się wieloma rzeczami w Los Angeles: budowałem rezydencje, supermarkety, biurowce. Mieliśmy obrót ponad trzy miliony i właśnie wchodziłem na giełdę, choć do wielkiej tablicy miałem jeszcze daleko.

- To znaczy na nowojorską giełdę papierów wartościowych?

- Tak. W każdym razie Casey przyszła do mnie wyglansowana jak nowa ćwierćdolarówka i powiedziała, że chce, abym połączył się z Hed-Opticals, mającym według niej w poprzednim roku dwieście siedemdziesiąt siedem tysięcy pięćset dolarów obrotu, żeby potem wspólnie przejąć Randolph Opticals, największy zakład w tej branży. Notowany na wielkiej tablicy, cena rynkowa pięćdziesiąt trzy miliony. Ogromne udziały w handlu obiektami, mnóstwo gotówki w banku. Powiedziałem, że chyba zwariowała, i zapytałem, dlaczego chce tego Randolfa. Odparła, że po pierwsze dlatego, że jest pierwszą posiadaczką akcji Bartlett Constructions, kupiła dziesięć jednodolarowych udziałów, wyemitowałem milion akcji i sprzedałem pięćset tysięcy po cenie parytetowej... i uważa, że korzystne będzie dla Bartlett Constructions przejęcie na własność Randolph Opticals. A po drugie: „Ten skurwysyn George Toffer, który prowadzi Randolph Opticals, to kłamca, spi-skowiec, złodziej i próbował wykopać mnie z interesu”.

Bartlett uśmiechnął się i przerwał, aby zaczerpnąć tchu, a Dunross skorzystał i zapytał:

- To prawda, Casey?

- No tak. Powiedziałam, że George Toffer to złodziej, kłamca i skurwysyn.

Dotąd nic się nie zmienił. - Uśmiechnęła się bez wesołości. -1 faktycznie próbował wykopać mnie z interesu.

- Dlaczego?

- Bo powiedziałam mu, żeby się wypchał.

- Z jakiego powodu?

- Właśnie odziedziczyłam Hed-Opticals. Mój dziadek umarł poprzednie go roku, więc ja i wujek Bghos rzucaliśmy monetą, kto i co po nim przejmie... . Mnie przypadło Hed-Opticals. Już rok wcześniej dostaliśmy od Randolf propozycję wykupienia, ale nie skorzystaliśmy. Mieliśmy zgrany zespół, duży 131

potencjał, dobrych techników, wielu Ormian, a także jakieś tam udziały w rynku obiektywami. Brakowało nam kapitału i pola do manewru, ale rozwijaliśmy się i osiągnęliśmy naprawdę wysoką jakość wyrobów. Gdy tylko odziedziczyłam przedsiębiorstwo, George Toffer „wpadł do mnie przypadkiem”. Wdzięczył się, a był w tym mistrzem. Uważał się za bohatera amerykańskiej armii, ale wiem, że to nieprawda. W każdym razie złożył mi kolejną śmieszna ofertę wykupienia Hed-Opticals... Biedna dziewczynka powinna zająć się kuchnią, a potem „zjedźmy u mnie kolację, a później zabawimy się, bo czuję się taki samotny”...

Odmówiłam i wytrąciłam go z równowagi, ale powiedział „dobrze” i wrócił do interesów. Zaproponował, że zamiast wykupywania moglibyśmy realizować niektóre jego kontrakty. Złożył uczciwą ofertę i po krótkich negocjacjach doszliśmy do porozumienia. Obiecał, że jeśli się wywiążemy, podwoimy liczbę zamówień. W następnym miesiącu wykonaliśmy pracę tak dobrze i tanio, że jemu nigdy by się to nie udało, a miał z tego duży zysk. Wtedy złamał ustną umowę i potrafił... ukradł.. ponad dwadzieścia tysięcy dolarów. Następnego dnia straciliśmy na korzyść Randolf pięciu najlepszych odbiorców, a w następnym tygodniu jeszcze siedmiu, zaproponowali im ceny niższe od kosztów. Po dwóch tygodniach Toffer zadzwonił i mówi, śmiejąc się jak głupi do sera: „Cześć, kochanie, jadę samotnie na Martha Vineyard”. To taka mała wyspa na wschodnim wybrzeżu. „Może przyjedziesz. Zabawimy się, pogadamy o przyszłości, o interesach”. Zapytałam o swoje pieniądze, a on roześmiał się i uznał, że powinnam wydorosnąć, i lepiej, żebyśmy rozpatrzyła jego propozycję, bo z takimi zyskami wkrótce nie będzie już Hed-Opticals.

Przekląłam go, a jak się wścieknę, to mi dobrze idzie, i wykrzyczałam mu w trzech językach, dokąd ma się udać. Przez następne cztery tygodnie straciłam wszystkich odbiorców. Jeszcze miesiąc i musiałabym szukać nowej pracy. Wtedy pomyślałam o Kalifornii. Wcale nie zależało mi na pozostawaniu na wschodzie. -

Uśmiechnęła się przebiegle. - Musiałam uratować honor, jeśli w ogóle wiedziałam wtedy, co to jest honor. Postanowiłam wziąć sobie kilka tygodni wolnego, żeby przemyśleć, co dalej. Któregoś dnia chodziłam sobie bez celu po targach w Sacramento i spotkałam Linca. Sprzedawał w budce akcje Bartlett Constructions, więc kupiłam...

- Co robił? - zapytał Dunross.

- Tak - potwierdził Bartlett. - Rozprowadziłem w ten sposób dwadzieścia tysięcy akcji. Sprzedawałem na targach, za zaliczeniem pocztowym, w supermarketach, w biurach maklerskich, w bankach także. To prawda.

Opowiadaj dalej, Casey.

- Przeczytałam prospekt, popatrzyłam na Linca i pomyślałam sobie, że mu się powiedzie. Bilans i prognozy rozwoju wyglądały zachęcająco, poza tym doszłam do wniosku, że każdy, kto sam sprzedaje własne akcje, na 132

pewno ma przyszłość. Kupiłam dziesięć udziałów, napisałam do niego i spotkaliśmy się. To tyle.

- Coś ty, Casey, mów, co było dalej - nalegał Gavallan.

- Ty opowiedz, Linc - poprosiła. -No

dobrze...

j - Może jeszcze porto, panie... przepraszam, Linc?

- Nie, dziękuję, ale może jeszcze piwo, dobrze? - Przyniesiono natychmiast. - A zatem Casey przyszła do mnie na spotkanie. Opowiedziała wszystko mniej więcej tak jak teraz, a ja spytałem tylko o jedno:

- Tak, Casey, w zeszłym roku zysk Hed-Opticals wyniósł niecałe trzysta tysięcy. A jaki będzie w tym?

- Żaden - powiedziała z uśmiechem. - W gruncie rzeczy całe aktywa Hed-Opticals to ja.

- Więc jaki mogę mieć pożytek z fuzji z niedochodowym przedsiębiorstwem? Kłopotów i tak mi nie brakuje.

- Wiem, jak puścić Randolph Optical z torbami.

- Jak?

- Dwadzieścia dwa procent udziałów Randolph znajduje się w rękach trzech ludzi... wszyscy nie znoszą Toffera. Dwadzieścia dwa procent to pakiet kontrolny. Wiem, jak zdobyć ich głosy, a co najważniejsze, znam słabości Toffera.

- Jakie?

- Próżność, megalomania i głupota.

- Nie może być głupi, skoro prowadzi takie przedsiębiorstwo.

- Kiedyś może nie był, ale teraz jest. Aż się prosi, żeby go przejąć.

- A co ty za to chcesz, Casey?

- Głowy Toffera. Chcę, żeby został zwolniony.

- Co jeszcze?

- Jeśli uda mi się cię przekonać... Jeśli uda nam się przejąć Randolph Optical, powiedzmy za pół roku, chciałabym... Chciałabym pracować przez rok u ciebie. Jako zastępca dyrektora. I występować nie jako kobieta, ale jako osoba równa tobie. Oczywiście szefem jesteś ty, ale ja jestem równa tobie, jak mężczyzna... Jeśli podołam.

Bartlett uśmiechnął się i napił piwa.

- Powiedziałem: okay, umowa stoi. Pomyślałem sobie, że nic mam nic do stracenia. Moje trzy czwarte miliona i jej zero przeciwko Randolph Optical to prawie kradzież. Uścisnęliśmy sobie ręce jak mężczyzna z kobietą. -

Znow się roześmiał. - Pierwszy raz zawierałem umowę z kobietą... I nigdy tego nie pożałowałem.

- Dziękuję, Linc - powiedziała łagodnie.

Dunross i pozostali zastanawiali się, co się dalej działo po wyrzuceniu Toffera.

133

- Łatwo poszło to przejęcie? - zapytał Bartletta.

- Nie, ale wiele się wtedy nauczyłem, nauczyliśmy. Po pięciu miesiącach przejęliśmy kontrolę. Razem z Casey podbiliśmy pięćdziesiąt trzy razy większą od naszej kompanię. Przed godziną zero miałem cztery miliony długu w banku i groźbę więzienia, ale za godzinę już byli nasi. Boże, co to była za bitwa. W ciągu półtora miesiąca przeprowadziliśmy reorganizację, a teraz Par-Con Randolph Division przynosi sto pięćdziesiąt milionów zysku i cena akcji rośnie. To był prawdziwy blitzkrieg i zapoczątkował Par-Con Industries.

- A co z tym Tofferem, Casey? Jak go wylaliście?

Casey przeniosła wzrok z Linca na Dunrossa, a on pomyślał: Boże, jak bardzo chciałbym cię posiadać.

- Kiedy już przejęliśmy panowanie.. - zaczęła i zaraz przerwała, bo zadzwonił telefon i w pokoju nagle zapanowała pełna napięcia cisza. Wszyscy, z wyjątkiem Bartletta, nawet kelnerzy, w jednej chwili zwrócili wzrok na aparat. Z twarzy Gavallana i deVille'a odpłynęła krew.

- Co się stało? - zapytała.

Milczenie przerwał Dunross:

- Jedna z zasad domu zabrania dzwonienia podczas posiłków, chyba że niebezpieczeństwo grozi któremuś z nas.

Patrzyli, jak Lim odstawia tacę z kawą. Wydawało się, że minął wiek, zanim przeszedł przez salę do aparatu. Wszyscy mieli żony, rodziny, dzieci i zastanawiali się, kto umarł, prosząc Boga, żeby telefon był do kogoś innego.

Ostatnim razem telefon zadzwonił dwa dni temu. Do Jacques'a. Poprzedni, miesiąc temu, był do Gavallana, gdy umarła mu matka. Przez kilka lat bywały telefony do wszystkich. Zawsze ze złą wiadomością.

Andrew Gavallan był pewien, że to do niego. Jego żona, siostra Dunrossa, Kathy, poszła do szpitala po wyniki badań, od jakiegoś czasu, bez wyraźnego powodu, czuła się źle. Jezu, pomyślał, panuj nad sobą, pamiętaj, że patrzą na ciebie.

- *Weiii?* - Lim chwilę słuchał. Odwracając się wyciągnął rękę ze słu chawką. - Do pana, tai-pan.

Inni odetchnęli i obserwowali Dunrossa. Spokojnym krokiem podszedł do telefonu.

- Halo? O... Co?... Nie... Nie, zaraz tam będę.

Gdy odłożył słuchawkę, w sali panowała cisza. Po chwili Dunross odezwał

się:

- Andrew, poproś Klaudię, żeby odwołała mój udział w popołudniowym zebraniu. Ty i Jacques prowadźcie dalej rozmowy z Casey. Dzwonił Phillip. Zdaje się, że biedny John Czen został uprowadzony.

Wyszedł.

14:35

Dunross wysiadł z samochodu i spieszonym krokiem wszedł do przestronnej, urządzonej w chińskim stylu rezydencji na górze zwanej Panoramą Strua-nów.

Minał służącą, która zamknęła za nim drzwi, i wszedł do salonu. W ja-skrawym, przepelnionym niestarannie wykonanymi meblami pomieszczeniu, noszącym znamiona stylu wiktoriańskiego, stało mnóstwo bibelotów.

- Cześć, Phillip - powitał go Dunross. Tak mi przykro. Biedny John. Gdzie list?

- Proszę. - Phillip podał kartkę, podnosząc się z sofy. Ale najpierw spójrz na to. - Wskazał na stojące przy kominku pomięte kartonowe pudełko po butach.

Przechodząc przez salon, Dunross spostrzegł siedzącą w fotelu w odległym kącie żonę Phillipa.

O, cześć, Diana. Przykro mi - powtórzył.

Wzruszyła ramionami.

- *Dzos*, tai-pan.

Ta pięćdziesięciodwuletnia Euroazjatka była drugą żoną Phillipa - atrakcyjniejszą kobietą. Miała na sobie ciemnobrązowy *czong-sam*, bezcenny naszyjnik nefrytowy i pierścionek z czterokaratowym brylantem - pośród innych pierścionków.

- Tak, *dzos* - szepnęła.

Dunross kiwnął głową. Czuł do niej niechęć większą niż zwykle. Nie dotykając pudełka, zajrzał do środka. Na pogniecionej gazecie zobaczył

wieczne pióro Johna Czena, prawo jazdy, klucze na kółku i list adresowany do Johna na Sinclair Towers 14A, a także foliową torebkę ze szmatką w środku.

Wyjął z kieszeni długopis i otworzył prawo jazdy. Należało do Johna.

- Otwórz torebkę foliową- poprosił Phillip.

- Nie, mógłbym zetrzeć odciski palców. - Mówiąc to, Dunross czuł się dziwnie, ale wiedział, że musi to powiedzieć.

- Och, zapomniałem. Do licha. Oczywiście, odciski palców. Moje na pewno... Ja otwierałem. Na pewno są na wszystkim.

- Co jest w środku?

Zanim Dunross zdążył powstrzymać Phillipa, ten, nie dotykając torebki, wyciągnął szmatkę.

- Na materiale nie zostają odciski, no nie? Zobacz!

W zawiniątku znajdowało się równo odcięte, bez postrzępień, ludzkie ucho.

Dunross zaklął.

- Skąd się wzięło tutaj to pudło? - zapytał.

- Dostarczyli pod drzwi. - Phillip Czen trzęsącą się ręką z powrotem zawinął ucho i odłożył do pudełka. - Ja... ja po prostu otworzyłem przesyłkę.

Każdy by tak postąpił na moim miejscu. Dostałem ją jakieś pół godziny temu.

- Ale od kogo?

- Nie wiadomo. Służąca widziała tylko, że to był młodzieniec na skute-rze. Nie poznała go ani nie zapisała numerów. Dostajemy wiele przesyłek.

Nie widziała w tym nic nadzwyczajnego... jedynie rzadko stosowany napis na wierzchu: „Phillip Czen, sprawa wielkiej wagi, do rąk własnych”, ale nie zauważyła go od razu. Gdy otworzyłem i przeczytałem list... Po prostu młody człowiek, który powiedział, że ma przesyłkę dla pana Phillipa Czena, i odjechał.

- Dzwoniłeś na policję?

- Nie, tai-pan, mówiłeś, żeby nic nie robić.

Dunross podszedł do telefonu.

- Powiadomiłeś już żonę Johna?

- A dlaczego Phillip ma jej przekazywać złe wiadomości? Ona ma taki temperament, że kiedyś eksploduje. Dzwonisz do Barbary? Lepiej nie, tai-pan. .. Najpierw na policję. Niech oni jej powiedzą. To ich sprawa.

Niechęć Dunrossa jeszcze wzrosła.

- Lepiej, żebyście Barbarę tutaj szybko sprowadzili.

Wykręcił numer komisariatu policji i poprosił Armstronga. Nie było go.

Podał swoje nazwisko z prośbą o przekazanie Armstrongowi, że dzwonił, i poprosił Briana Kwoka.

- Tak, tai-pan?

- Brian, możesz natychmiast przyjechać? Jestem w domu Phillipa Czena na Panoramic Struanów. Porwano Johna Czena. - Opowiedział o zawartości pudełka.

Odpowiedź Briana Kwoka poprzedziła długa cisza.

- Zaraz tam będę. Nie dotykaj niczego i nie pozwól nikomu.

., _ w porządku.

Dunross odłożył słuchawkę.

- A teraz pokaż list, Phillip.

Wziął ostrożnie, trzymając za brzegi. Chińskie wyraźne znaki pisała niezbyt wykształcona osoba. Czytał wolno, bez trudu.

Panie Phillipie Czen, zwracam się z informacją, że znalazłem się w potrzebie 500 000 w walucie hongkongskiej i poniższym chciałem tę sprawę skonsultować. Pan jest bogaty i dla pana to jak jeden wiosek z całej krowy.

Obawiałem się pana odmowy, więc nie miałem wyboru i musiałem zatrzymać pana syna jako zakładnika. Po tym nie boję się, że pan odmówi. Mam 136

nadzieję, że pan weźmie to pod dokładną rozważką. Od pana zależy, czy doniesie pan o tym na policję, czy nie. Przekazuję niniejszym kilka rzeczy, które pana syn używa codziennie, na dowód, że mam pana syna. I przesyłam jeszcze kawałek jego ucha. Musi pan sobie zdawać sprawę, że moje działanie jest bezlitosne i stanowcze. Jeśli bez szemrania zapłaci pan pieniądze, bezpieczeństwo pana syna będzie zapewnione. Podpisano: Wilkołak.

Dunross podszedł do pudełka.

- Przepraszam, ale czy rozpoznaliście to u... to?

Phillip Czen i jego żona zaśmiali się nerwowo.

- A ty, Ian? Znałeś Johna całe życie. To... Jak **można coś takiego rozpoznać, heya?**

- Czy ktoś jeszcze wie o tym wszystkim?

- Nie. Z wyjątkiem służących, Szitii TCzunga i **kilku** przyjaciół, którzy byli na lunchu. Byli, gdy przysła przesyłka. Tak. Wyszli przed twoim przyj-

ściem.

Dianne Czen zmieniła pozycję na fotelu i powiedziała na głos to, o czym Dunross pomyślał.

- A więc do wieczora dowie się o tym cały Hongkong!

- Tak. A rano rozpiszą się gazety. - Dunross starał się uporządkować pytania i odpowiedzi huczące mu w głowie. - Najwięcej o uchu i Wilkołaku.

- Tak. To prawda. - Phillip Czen przypomniał sobie, co powiedział Szitii T'Czung w chwili, gdy wspólnie czytali list. „Nic płąć okupu przez tydzień, a staniesz się sławny na cały świat! *Aiii ia*, zabawne, kawałek ucha i Wilkołak.

Światowa sława". - Może to nie jego ucho i to tylko taki chwyt - łudził się Phillip.

- Może. - Jeśli to ucho Johna, myślał, i jeśli wysłali je pierwszego dnia bez żadnych negocjacji, to biedak już nie żyje. - Nie mieli powodu, żeby tak go okaleczać. Oczywiście musisz zapłacić.

- Jasne. Dobrze, że to nie Singapur, no nie?

- Tak. - Według prawa Singapuru od momentu zgłoszenia uprowadzenia wszystkie konta bankowe rodziny zostają zablokowane, żeby nikt nie mógł

zapłacić okupu. Kidnapping stał się tam wręcz popularny, a policja niemal nikogo nie aresztuje. Chińczycy wolą płacić szybko i po cichu, bez wzywania policji. - Co za łajdak! Biedny John.

- Napijesz się herbaty, a może coś mocniejszego? Zjesz coś?

- Nie, dziękuję. Poczekam na Briana Kwoka i muszę jechać.

Spojrzał do pudełka na klucze. Wiele razy widział ten pęk.

- Brakuje kluczyka do sejfu depozytowego - zauważył.

137

- Jakiego kluczyka? - zapytała Dianne Czen.

- John zawsze nosił na kółku kluczyk do sejfu depozytowego. Nie ruszyła się z fotela.

-1 nie ma go? -Nie.

- Może coś ci się pomyliło? Może nie zawsze wisiał na kółku.

Dunross popatrzył najpierw na nią, a potem na Phillipa. Obydwoje od-wzajemnili jego spojrzenie. Cóż, pomyślał, jeśli nie wziął go porywacz, mają go teraz Dianne i Phillip. Na ich miejscu zrobiłbym to samo.

- Herbaty, tai-pan? - zapytała i w jej oczach zobaczył cień uśmiechu.

- Tak, chyba tak - powiedział, nabrawszy pewności, że mają kluczyk.

Wstała, zamówiła herbatę i z powrotem usiadła.

- Mogliby się pośpieszyć... policja.

- Mogłoby popadać - powiedział Phillip, spoglądając przez okno na wysuszony ogród.

- Ciekawe, ile nas będzie kosztować wykupienie Johna - mruknęła.

- To ma znaczenie? - zapytał Dunross po chwiii przerwy.

- Oczywiście - odpowiedziała natychmiast Dianne. - Naprawdę, tai-pan.

- Tak - zawtórował Phillip Czen. - Pięćset tysięcy! *Aiii ia*. To cały majątek.

Cholerne triady! Woła pięćset.. jakoś ustalę na sto pięćdziesiąt. Dobrze, że nie żądają miliona! - Zmarszczył brwi. - *Dew neh loh moh* na wszystkich porywaczy! Powinni zawisnąć na stryczku. Wszyscy.

- Pewnie - dodała Dianne. - Francowate triady! Policja powinna być rozsądniejsza! Postępować ostrzej i mądrzej, żeby nas lepiej chronić.

- Nie wolno być niesprawiedliwym - ostro przerwał Dunross. - Od kilku lat nie mieliśmy już w Hongkongu poważniejszych porwań. A w Singapurze dochodzi do nich co miesiąc! U nas przestępczość jest nieprawdopodobnie niska.

A policja wykonuje naprawdę dobrą robotę.

- Phi!... Są skorumpowani. Po co zostawać policjantem, jeżeli nie dla pieniędzy? Ja tam im nie wierzę. . Już my ich znamy, oj, znamy. A co do kidnapingu, to ostatni zdarzył się sześć lat temu. Porwano mojego kuzyna Fu San Sunga, rodzina musiała zapłacić sześćset tysięcy dolarów, aby bezpiecznie wrócił... Prawie zbankrutowali.

- Co? - zaprotestował Phillip. - Koliber Sung i bankructwo? To nie możliwe! - Koliber Sung należał do bardzo zamożnych szanghajczyków, był właścicielem statków, miał pięćdziesiąt lat i bardzo długi -jak na Chiń czyka - nos. Przezywano go Koliber Sung, bo przemieszczał się z dancingu na dancinę w Singapurze, Tajpej, Hongkongu i Bangkoku, niczym ptak z kwiatka na kwiatek. I wszędzie zapuszczał swoją męskość w setki kobie cych pąków, choć plotka głosiła, że wcale nie chodziło tu o ową męskość, gdyż wolał miłość francuską.

138

- Jeśli dobrze pamiętam, policja odzyskała większość skradzionych pieniędzy, a porywaczy wsadzono na dwadzieścia lat do więzienia.

- Tak, tai-pan, ale zajęło to wiele, wiele miesięcy. I nie dałabym sobie głowy uciąć, że żaden z policjantów nie wiedział więcej, niż mówił.

- Bzdura! - oburzył się Dunross. - Nie ma żadnego powodu, żeby coś takiego twierdzić. Żadnego.

- Masz rację - powiedział Phillip Czen. - Przecież ich złapali, Dianne. -

Zmierzyła go wzrokiem. Od razu zmienił ton. - Oczywiście, moja droga, niektórzy policjanci mogą być skorumpowani, ale my mamy to szczęście, że u nas tak nie jest. Myślę, że nie musimy się o to martwić, ani o Johna. W grę wchodzi tylko okup, a jako rodzina jesteśmy szczęśliwi... To znaczy... To znaczy... z wyjątkiem tego. - Z odrazą podszedł do pudełka. -Przerażające!

Jak u dzikusów!

- Tak - przytaknął Dunross, zastanawiając się, do kogo, jeśli nie do Johna Czena, może należeć to

ucho. Skąd wziąć ucho? Prawie rozśmieszyło go to pytanie. Potem zaczął próbować kojarzyć wprowadzenie z Tsu-ianem, karabinami i Bartlettem. Kaleczenie zakładnika nie należy do chińskich zwyczajów. Kidnapping to starożytna chińska sztuka z jasnymi zasadami: pła cicho, siedzisz cicho - nie ma problemów; targujesz się, rozmawiasz - rodzą się problemy.

Popatrzył przez okno na ogród, rozciągającą się panoramę miasta i na morze. Po lazurowej wodzie pływały statki, dżonki i sampany. Bezchmurne niebo nie zwiastowało deszczu, od południowego zachodu wiał spokojny, letni monsun. Dunross bezwiednie zaczął się zastanawiać, jak w dawnych czasach wyglądały płynące lub zmagające się z wiatrem klipry. Na tej górze Dirk Struan miał swoje sekretne stanowisko obserwacyjne. Widać stąd i wschód, i zachód, i południe, a także kanał Szeung Sz Mun, przez który prowadzi jedyna droga z domu, z Anglii. Z Panoramy Struanów można było bez trudu obserwować nadpływające statki pocztowe oraz wysyłane z dołu sygnały.

Wtedy tai-pan wyprawiał w stronę statku pocztowego szybki kuter, aby pierwszy przeczytać przesyłki i mieć nad rywalami kilka godzin przewagi. Kilka godzin przesądzających nieraz o bankructwie lub zdobyciu fortuny. To nie to co dzisiejsza komunikacja, pomyślał Dunross. Mamy szczęście, że nie musimy tak jak Dirk dwa lata czekać na odpowiedź. Boże, to musiał być człowiek.

Muszę wykorzystać szansę, jaką daje mi umowa z Bartlettem. Zdobędę te dwadzieścia milionów.

- Interesy wyglądają nieźle, tai-pan - odezwał się Phillip Czen, jakby czytał w jego myślach.

- Tak. Rzeczywiście.

- Jeśli naprawdę dostarczą gotówkę, zbijemy fortunę i będzie to dla Noble I louse *h'eungyau* - dodał z lekkim ukłonem.

139

Dunross uśmiechnął się sarkastycznie. *H'eungyau* znaczy „aromatyczny smar” i zwykle odnosi się do pieniędzy - okupu lub haraczu - płaconych triadom lub podobnym organizacjom na całym świecie przez wszystkie chińskie restauracje, większość przedsiębiorstw, dancingi, damy lekkich obyczajów.

- Zawsze mnie to dziwi, że gdy tylko Chińczyk jest w biznesie, płaci się *h'eung yau*.

- Trzeba, tai-pan - Dianne przemawiała do niego jak do dziecka. - Czy jakkolwiek interes może się obejść bez protekcji? Gdy się wie, że trzeba zapłacić, to taka opłata nie wadzi. Każdy daje *h'eungyau*, a na pewno jakąś jego formę.

Gdy odwróciła się na fotelu, zadźwięczał na jej szyi naszyjnik z nefrytów.

Ciemne oczy kontrastowały z bladą, tak cenioną przez Chińczyków, twarzą. - Ale co z Bartlettem? Jak myślisz, tai-pan, dojdzie do tego przedsięwzięcia?

Dunross spojrzał na nią uważnie. Ach, Dianne, mówił w duchu, znasz każdy ważny szczegół z moich i Phillipa interesów. Gdyby wiedział o tym, wpadłby we wściekłość. A więc dotarło do ciebie, że Struan i Spółka popadnie w poważne kłopoty, jeśli nie dojdzie do umowy z Bartlettem. Ale jeśli

dojdzie, nasze akcje pójdą w górę i znów staniemy się bogaci, ty także, jeśli zdążysz je wystarczająco wcześnie kupić.

Tak.

Znam was, chińskie damy z Hongkongu, lepiej niż biedny Phillip, bo nie płynie we mnie ani kropla chińskiej krwi. Wiem, że jeśli chodzi o pieniądze, jesteście najostrzejszymi kobietami na świecie, lub może najbardziej praktycznymi. I wiem też, moja droga Dianne, o *co* ci chodzi. John Czen nie jest twoim synem. Jeśli zostanie wyeliminowany, pierwsze miejsce w kolejce do spadku zajmą twoi synowie, a ściśle mówiąc: starszy Kevin. Więc modlisz się najgorliwiej, jak potrafisz, aby John zniknął na zawsze. Cieszysz się. John został uprowadzony i prawdopodobnie zamordowany, ale co ci do interesu z Bartlettem?

- Kobiety są takie praktyczne - oznajmił.

- Jak to, tai-pan? - zapytała, mrużąc oczy.

- Potrafią patrzeć perspektywicznie.

- Czasami wcale cię nie rozumiem, tai-pan - odpowiedziała zajadle. - Co możemy jeszcze zrobić w sprawie Johna? Nic. Uczyniliśmy wszystko, co się dało.

Wynegocjujemy i zapłacimy okup. A przedsięwzięcie z Bartlettem jest bardzo, bardzo ważne, niezależnie od tego, co się stanie, *heya? Moh ching, moh meng*, bez pieniędzy nie ma życia.

- Racja, tai-pan. - Phillip spojrział na pudełko i wzdrygnął się. - Chyba w takich okolicznościach, wybaczysz nam, tai-pan, że dziś wieczorem... Nie sądzę...

140

- Nie, Phillipie - wtrąciła stanowczo Dianne. - Nie. Musimy iść. To sprawa honoru całego Noble House. Pójdziemy, jak planowaliśmy. Będzie nam trudno, ale pójdziemy.

- Jak uważasz.

- Pójdziemy.

Oczywiście, że tak, myślała, wyobrażając sobie, jak wstrząsające wrażenie wywoła ich pojawienie się po tak dramatycznych przeżyciach. Wieczorem będziemy na ustach całego Hongkongu. Oczywiście weźmiemy ze sobą Kevina. Prawdopodobnie stał się już spadkobiercą. *Aiii ai!* Z kim się powinien ożenić? Muszę pomyśleć o jego nowej przyszłości. Dwadzieścia dwa lata to doskonały wiek. Tak, potrzebuje żony. Tylko kto nią będzie? Skoro teraz stał

się spadkobiercą, muszę sama jak najszybciej poszukać odpowiedniej dziewczyny, żeby nie ubiegła mnie jakaś dzierlatka z ogniem między nogami i przebiegłą matką. *A iii ia*, uchronicie mnie przed tym, o bogowie!

- Tak, w sprawie Johna nie już nie działamy - powiedziała - możemy tylko czekać. - Dotknęła chusteczką kącika oka, jakby znajdowała się tam łza. -

Czekać i kontynuować pracę dla dobra Noble House. - Spojrzała na Dunrossa, jej oczy błyszczały. - Kontrakt z Bartlettem rozwiązałby wszystko, prawda?

- Tak. - Obydwoje macie rację, pomyślał Dunross. W tej chwili nie ma już nic do zrobienia. Chińczycy są bardzo mądrzy i praktyczni.

A więc zajmijcie się czymś ważniejszym, powiedział w myślach. Czymś ważniejszym. Zaryzykować? Pomyślmy. Gdzie znajdę lepsze miejsce i porę na rozpoczęcie realizacji planu niż tutaj?

Nigdzie.

- Słuchajcie - powiedział podjąwszy decyzję, obejrzał się na drzwi pro wadzące do pomieszczeń dla służby, aby upewnić się, że są sami. Zniżył

głos do konspiracyjnego szeptu, a Phillip wraz z żoną pochylili się, żeby lepiej słyszeć. - Spotkałem się z Bartlettem osobiście, jeszcze przed lunchem. Zawarliśmy umowę. Dokonam tylko kilku mało istotnych zmian, ale formalnie podpisujemy umowę we wtorek. Dwadzieścia milionów teraz i dwadzieścia w przyszłym roku.

Phillip Czen nisko się uklonił.

- Gratuluję.

- Nie tak głośno, Phillip - syknęła Dianne. - Służba ma takie uszy, że sięgnęłyby na Jawę. O, tai-pan, to wspaniała nowina.

- Ale niech zostanie w rodzinie - zaznaczył łagodnie Dunross. - Po południu wydam dyspozycje brokerom, żeby potajemnie zaczęli kupować akcje Struanów, wydamy wszystkie pieniądze. Zróbcie to samo, w niewielkich ilościach jednorazowo, przez różnych brokerów i po różnych cenach, jak zwykle.

- Tak, tak.

141

- Rano kupiłem **na własne** nazwisko czterdzieści tysięcy.

- O ile podskoczą akcje? - zapytała Dianne.

- Dwukrotnie!

- Kiedy?

- Za trzydzieści dni.

- lili, pomyślimy.

- Tak - powiedział ugodowo Dunross. - Pomyślcie! I powiedzcie o tym tylko najbliższemu krewnym, których i tak jest dużo, a oni także niech powiedzą tylko swoim najbliższemu krewnym, a tych już będzie całe mnóstwo. I kupujcie, bo tu nie ma żadnego ryzyka, a wzrost napędzi całą giełdę. Gdy rozejdzie się wiadomość, że kupuje rodzina, cena podskoczy, potem jeszcze bardziej, gdy ogłoszę formalne podpisanie umowy z Par-Con, a gdy ogłoszę gotowość przejęcia Asian Properties, na akcje rzuci się cały Hongkong. Wtedy w odpowiednim momencie pozbędę się Asian Properties i ruszę na rzeczywisty cel.

- Ile kupić akcji, tai-pan? - zapytał Phillip Czen, umysł miał zajęty własną kalkulacją możliwych zysków.

- Ile się da. Ale muszą zostać w rodzinie. Nasze akcje wywołają boom. Dianne otworzyła usta z wrażenia.

- A więc będzie boom?

- Tak. My go spowodujemy. Teraz jest stosowny czas. Wszyscy w Hong kongu są gotowi. My go napędzimy, my będziemy pierwsi, a rozsądne po sunięcia to tu, to tam, i dojdzie do hossy.

Zapanowała cisza. Dunross widział chciwość wymalowaną na twarzy Dianne.

Zobaczył wpatrującego się w pustą przestrzeń Phillipa i wiedział, że część myśli doradcy skupia się na podpisanych wspólnie w imieniu Strua-nów umowach z terminami płatności od trzynastu do trzydziestu dni: dwanaście milionów dolarów amerykańskich dla Toda Shipping Industries z Jokohamy za dwa frachtowce, sześć milionów osiemset tysięcy dla Orlin International Merchant Bank i siedemset pięćdziesiąt tysięcy dla Tsu-iana, który przysporzył swoją osobą jeszcze jednego problemu. Ale większa część myśli Phillipa dotyczyła dwudziestu milionów od Bartletta i wzrostu ceny akcji -dwukrotnego, co wykalkulował osobiście.

Dwukrotnego?

Nie ma mowy, a skąd, nie ma szans...

Chyba że nastąpi boom. Chyba że nastąpi boom!

Dunross poczuł, że serce zabiło mu szybciej.

- Jeśli nastąpi boom... Boże, Phillipie, uda nam się!

- Tak, tak, zgoda, Hongkong jest gotowy. O tak. - **Miał rozbiegane** oczy i przebierał palcami. - Ile akcji kupić, tai-pan?

-Za ostatniego...

Ekscytacja Dianne przeszła oczekiwania Dunrossa.

- Phillip, w zeszłym tygodniu astrolog mi mówił, że przed nami ważny miesiąc! Boom! Na pewno to miał na myśli.

- Prawda, pamiętam, że mi mówiłaś. Ile akcji, tai-pan?

- Za ostatniego centa! To będzie wielka rzecz. Ale rodzina niech kupuje tylko do piątku. Wyłącznie do piątku. Potem, po zamknięciu giełdy, powiem o planowanej umowie z Bartlettem...

- Iiiii - syknęła Dianne.

- Przez weekend pozostawię sprawę bez komentarza, ciebie to oczywiście nie dotyczy, a w poniedziałek rano wszyscy będą błagać o informacje, ale nadal będę milczał, a akcje kupię już otwarcie. Po zamknięciu giełdy ogłoszę, że z Bartlettem wszystko już ustalone. We wtorek...

- Nastąpi boom!

-Tak!

- Dzień radości. I każdy służący, biznesmen, kulis uzna, że *dios* mu sprzyja, wyciągnie swoje oszczędności, wszystko się ożywi, wszystkie akcje pójdą w górę. Szkoda, że jutro nie ma gazet... chociaż może nawet le piej ... poprosimy Stuletniego Fonga albo... - Niemal skakała z przejęcia. -

Co sądzisz o astrologu, Phillipie?

Spojrzał na nią poruszony.

- Może Stary Ślepy Tung?

- Czemu nie? Damy mu w łapę *h'eungyau*... albo obiecamy kilka akcji.

Heya?

-Cóż...

- Zostaw to mnie. Stary Ślepy Tung prosił mnie już nieraz o przysługę.

Wysłałam mu sporo klientek! Tak. A on nie jest aż tak kiepski, żeby nie dostać znaku z niebios o największym boomie w historii Hongkongu, no nie?

17:25

Lekarz sądowy doktor Meng poprawił ostrość mikroskopu i przyglądał się cząstce ciała odciętej od ucha. Obserwował go zniecierpliwiony Brian Kwok.

Lekarz, niski, pedantyczny kantończyk, miał grube okulary nasunięte na czoło. Gdy podniósł głowę,

spadły natychmiast na nos.

- No, Brian, możliwe, że zostało odcięte żywej osobie, a nie trupowi...

możliwe. Możliwe, że w ostatnich ośmiu lub dziesięciu godzinach. Siniak...

spójrz... według mnie świadczy o tym, że ten ktoś żył podczas ucinania.

143

- Skąd siniak? Co go spowodowało? Uderzenie?

- Może ktoś mocno złapał za ucho - doktor Meng mówił spokojnym głosem

- podczas odcinania.

- Czym? Nożem, brzytwą, scyzorykiem, może nożem kuchennym?

- Oстрыm narzędziem.

Brian Kwok westchnął.

- Czy wstrząs mógł doprowadzić do śmierci kogoś takiego jak John Czen?

Meng rozłożył ręce.

- Możliwe, że tak. Możliwe, że nie. Chorował kiedykolwiek na serce?

- Ojciec mówi, że nie. Lekarza nie pytałem, wyjechał na wakacje. Ale John zawsze był zdrowy jak ryba.

- Taka amputacja nie zabiłaby prawdopodobnie człowieka zdrowego, ale od tygodnia czy dwóch John Czen nie czuł się najlepiej.

- O Jezu! Masz jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

- Jestem lekarzem sądowym, a nie prorokiem.

- A możesz powiedzieć, czy to ucho Euroazjaty, czy zwykłego Chińczyka?

- Nie. Tego nie da się określić. Ale na pewno nie należało do białego, Indianina ani Murzyna. - Doktor Meng zdjął okulary i patrzył na wysokiego nadinspektora wzrokiem krótkowidza. - Narobiło się w Domu Czenów, *heya?*

- Tak. W Noble House też. - Brian Kwok zamyślił się. - Czy twoim zdaniem ten Wilkołak, ten maniak to Chińczyk?

- Wygląda na to, że list pisała cywilizowana osoba. Ale równie dobrze mógł to być *quai loh* udający

cywilizowaną osobę. Ale jeśli to nawet była cywilizowana osoba, to nie znaczy jeszcze, że ona dokonała porwania.

- Wiem. Możliwe, że John Czen umarł?

- Od amputacji?

- Na podstawie tego, że Wilkołak albo, bardziej prawdopodobne, Wilkołaki wysłały ucho przed rozpoczęciem negocjacji.

Mały człowieczek uśmiechnął się i powiedział bez emocji:

- Masz na myśli maksymę Sun Tzu: „Zabij jednego na postrach dziesięciu tysięcy”? Nie wiem. Za mało danych na przewidywanie. Mogę snuć prognozy na temat wyścigów konnych, giełdy, ale tu. . Jak tam Złota Dama Johna Czena?

- Ma w niedzielę duże szanse. Z całą pewnością. Ale jest jeszcze Noble Star Struanów, Pilot Fish Gornta, a przede wszystkim Butterscotch Lass Richarda Kwanga. Będzie faworytką, założę się. Ale Złota Dama ma chyba największe szanse. Zaczyna od trzy do jednego. Jest szybka i będzie dobra, na suchym. Jak popada, już po niej.

- Zapowiadają deszcz?

144

- Podobno sztorm się zbliża. Liczy się nawet mały deszczyk.

- Więc lepiej, żeby do niedzieli nie padało, *heya*?

- W tym miesiącu nie będzie już opadów, chyba że mamy pecha.

- Ech, będzie deszcz, dobrze. Nie będzie, też dobrze. Co za różnica. Idzie zima, wtedy przejdzie ta cholerna wilgoć. - Meng spojrział na zegar ścienny.

Mijała 17:35. - Może po jednym przed pójściem do domu?

- Nie, dziękuję. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. To cholernie delikatna sprawa.

- Jutro zobaczę, co przyniesie zbadanie szmaty, gazety i innych rzeczy.

Może przydadzą się odciski palców.

- Nie wiem. Cała ta sprawa jakoś śmierdzi. Nawet bardzo.

Doktor Meng pokiwał głową, a jego głos stracił swą łagodność.

- Wszystko, co dotyczy Noble House i marionetkowego Domu Czenów, śmierdzi. No nie?

Brian Kwang przeszedł na *sei yap*, jeden z wielu dialektów prowincji Kuantung, znany wielu kantończykom z Hongkongu.

- Ech, bracie, nie chcesz chyba powiedzieć, że śmierdzą wszyscy kapitaliści, spośród których Noble House i Dom Czenów są najważniejsze? -

zażartował.

- Ach, bracie, jeszcze nie wiesz, że na ziemi wieją wiatry zmian? I że Chiny pod nieśmiertelnym przewodnictwem Mao i myśli maoistowskiej dążą do...

- Możesz sobie darować nawracanie - powiedział chłodno Brian Kwok, przechodząc z powrotem na angielski. - Większość myśli Mao pochodzi prosto z pism Sun Tzu, Konfucjusza, Lao Tsu i innych. Wiem, że jest poetą, i to dobrym, ale zawładnął Chinami i pozbawił ich wolności.

- Wolności? - zapytał wyzywająco mały człowieczek. - Czym jest wolność wobec kilku lat, kiedy pod przewodnictwem Mao Chiny znów staną się Chinami i odzyskają swoją pozycję w świecie?! Teraz boją się zgniłych kapitalistów! A nawet rosyjskich rewizjonistów!

- Tak, zgadzam się. Za to mu dzięki. A na razie jak ci się tutaj nie podoba, wracaj do Kantonu i grzejdź dupę w swoim komunistycznym raju. *Dew neh loh moh* na wszystkich komunistów... i ich podróżujących koleśków!

- Powinieneś tam pojechać i zobaczyć wszystko na własne oczy. To tylko propaganda, że komunizm jest zły dla Chin. Nie czytasz gazet? Nie ma już głodujących.

- A co z dwudziestoma milionami zamordowanych po przejęciu władzy?

A co z drenażem mózgu?

- Też propaganda! To, że uczyłeś się w Anglii i w Kanadzie i mówisz jak te kapitalistyczne świny, nie znaczy, że stałeś się jednym z nich. Pamiętaj o swoich przodkach.

145

- Pamiętam. I to bardzo dobrze.

- Twój ojciec popełnił błąd, wysyłając cię za granicę!

Było powszechnie wiadomo, że Brian Kwok urodził się w Kantonie i w wieku sześciu lat został wysłany do szkoły w Hongkongu. Uczył się tak dobrze, że w 1937 roku, gdy miał dwanaście lat, wygrał stypendium w publicznej szkole w Anglii i wyjechał tam, a z nadejściem drugiej wojny światowej cała szkoła została ewakuowana do Kanady. W 1942 roku, w wieku osiemnastu lat, ukończył ostatnią klasę i wstąpił do Królewskiej Konnej Policji Kanadyjskiej do oddziału patrolującego wielką chińską dzielnicę w Vancouver. Mówił po kantońsku, mandaryńsku, w *sei yap* i doskonale wywiązywał się ze swoich obowiązków. W

1945 roku dostał przeniesienie do Królewskiej Policji Hongkongu. Po niechętniej zgodzie Kanadyjczyków chcieli, żeby został u nich, powrócił. - Marnujesz się, pracując dla nich, Brian - ciągnął doktor Meng. - Powinieneś służyć masom i pracować dla partii!

- W czterdziestym trzecim partia zamordowała mi ojca, matkę i większość rodziny.

- Nie ma na to żadnych dowodów! To tylko pogłoski. Może to sprawa diabłów Kuomintang. . w Kantonie panował bałagan. Byłem tam i widziałem. A może odpowiedzialność za to ponoszą japońskie świnie, kto wie? Nie masz żadnej pewności.

-Mam.

- Są świadkowie? Nie ma! Sam mi to mówiłeś! - Meng prawie się za-krztusił. -

Aiii ia, jesteś Chińczykiem, pomóż swoim wykształceniem Chinom, masom, a nie kapitalistom.

- Wypchaj się!

Doktor Meng roześmiał się, a okulary zsunęły mu się na czubek nosa.

- Poczekaj, nadinspektorze Kar-szun Kwok. Pewnego dnia przejrzysz na oczy.

Pewnego dnia poznasz prawdziwe piękno!

- A na razie przygotuj dla mnie te ekspertyzy!

Brian Kwok wyszedł z laboratorium i ruszył do windy, koszula przykleiła mu się do pleców. Mogłoby popadać, pomyślał.

Doszedł do windy. Mijający go policjant zsalutował mu, a on odpowiedział tym samym. Wsiadł na trzecim piętrze i poszedł do swojego gabinetu. Armstrong czekał na niego, czytając chińską gazetę.

- Cześć, Robert - zawołał z radością na jego widok.

- Co nowego?

-Nic. A u ciebie?

Brian Kwok zdał mu relację z opinii Menga.

- Ech, ten kurdupel i to jego „możliwe"! Na pewno potrafi tylko stwierdzić zgon, a i wtedy sprawdza parę razy.

146

- No i opowiadać o przewodniczącym Mao.

- Znów stara śpiewka?

- Tak. - Brian Kwok uśmiechnął się. - Poradziłem mu, żeby sobie wracał do Chin.

- Nigdy stąd nie wyjedzie.

- Wiem. - Brian spojrział na biurko i westchnął, widząc stertę papierów.

- U nas nie ma zwyczaju ucinać uszu i w dodatku tak szybko.

- Racja, jeśli w ogóle mamy do czynienia z rzeczywistym porwaniem.

- Co takiego?

- Tu może chodzić o jakieś animozje, a uprowadzenie dla okupu to tylko zmyłka - rzucił Armstrong. Rysy jego wypięgniętej twarzy stężały.

- Zgadzam się z tobą i Dunrossem. Chyba go kropnęli.

- Ale dlaczego?

- Może John próbował uciekać, chciał dostać się do samolotu, spanikował

albo oni spanikowali i zabili go. Nożem albo czymś tępym. - Westchnął i przeciągnął się. - W każdym razie, kolego, Wielki Biały Ojciec życzy sobie, żebyśmy szybko to wyświetlili. Zaszczycił mnie dzisiaj telefonem i uprzedził, że osobiście dzwonił do niego gubernator, aby przyspieszyć działania.

Brian Kwok zaklął pod nosem.

- Złe wieści szybko się roznoszą! Jest już coś w prasie?

- Nie, ale huczy o tym cały Hongkong. Jutro rano zaczną nas przypierać do muru. Obawiam się, że wielmożny pan Wilkołak i nieskora do współpracy prasa dadzą nam popalić. Nie zaznamy spokoju, dopóki nie złapiemy łajdaka.

Albo łajdaków.

- Ale złapiemy go. Nie ma szans!

- Tak. Może piwa? Albo lepiej duży gin z tonikiem? Ja już jeden wypilem.

- Świetny pomysł. Z żołądkiem już wszystko w porządku?

- Tak. Mary mówi, że to dzięki pozytywnym myślom. - Obydwaj roze-

śmiali się i ruszyli do drzwi. Gdy znaleźli się na korytarzu, zadzwonił telefon.

- Daj sobie spokój z tym cholerstwem, nie odbieraj. Na pewno nowe kłopoty - zawyrokował Armstrong. Wiedział, że Brian Kwok, tak samo /resztą jak i on, nie potraktuje tych słów poważnie.

Brian odebrał telefon i zamarł w bezruchu.

Dzwonił Roger Crosse, starszy nadinspektor, dowódca Wywiadu Specjalnego.

- Tak, sir?

- Brian, proszę, żebyś wszedł do mnie na górę. Teraz, od razu.

- Tak jest, sir.

- Armstrong jest u ciebie?

147

- Tak jest, sir.

- Niech także przyjdzie. - Połączenie zostało przerwane.

- Tak jest, sir - powiedział, odkładając słuchawkę na widełki. Na plecach czuł pot. - Mamy iść na górę, obydwaj.

Armstrongowi serce podeszło do gardła.

- Co? Ja też? - Szli razem do windy. - A po kiego diabła? Już nie jestem w SI.

- Nie nam pytać o powody. My mamy sikać na jego zawołanie. - Brian nacisnął guzik ze strzałką do góry. - O co mu może chodzić?

- O coś ważnego. Może o Chiny?

- Pewnie Czou En-lai wygryzł Mao i do władzy doszły umiarkowane siły.

- Marzyciel! Mao umrze na swoim stanowisku Boskiego Przywódcy Chin.

- Jedyne, co można powiedzieć o Mao, to to, że jest Chińczykiem i komunistą. Cholernym komuchem!

- E, Brian, a może Rosjanie znów naruszyli granicę?

- Może. Będzie wojna. Oj, będzie. Między Rosją i Chinami. W tym też Mao ma rację.

- Sowieci nie są tacy głupi.

- Lepiej nie zakładaj się o to, kolego. Powtarzałem to i będę powtarzał.

Sowieci są wrogiem całego świata. Jeśli wybuchnie wojna, płacisz mi tysiąc dolców, Robert.

- Chyba nie przyjmuję tego zakładu. Zabijanie to wstrętna rzecz.

- Tak. Ale to niczego nie zmienia. Znów Mao ma rację. Dojdzie do rzeczy ohydnych, ale nie do katastrofy. - Jeszcze raz nerwowo nacisnął guzik windy.

Spojrzał na górę. - Nie sądzisz, że mogła się wreszcie rozpocząć inwazja z Tajwanu?

- Fantazje. Daj spokój, Brian, Czang Kai-szek nigdy się stamtąd nie ruszy.

- Jeśli tak, to cały świat jest wielką kupą gnoju. Jeżeli Mao umocni swoją pozycję, to za trzydzieści lat...

Boże, ty nie masz o tym pojęcia. Miliard robotów? Czang słusznie zrobił, że wystąpił przeciwko tym komunistycznym skurwielom. To prawdziwi wrogowie Chin. To zaraza. Boże, za jakiś czas będą oddawać wszystkie dzieci Pawłowowi.

- Jakby cię ktoś posłuchał, pomyślałby, że jesteś nacjonalistą - powie dział spokojnie Armstrong. - Młodym, nieokrzesanym, dla którego wszyst ko teraz na świecie jest be, ale kiedyś będzie lepiej. Ale ty możesz iść sobie w sobotę na wyścigi, w niedzielę w góry, a tam pełno kociaków czeka tyl ko, żeby je poderwać. No nie?

148

- Przepraszam. - Weszli do windy. - Ten cholerny Meng wytrącił mnie z równowagi - usprawiedliwiał się Brian, naciskając najwyższy przycisk.

Winda zatrzymała się. Wyszli na korytarz. Przed drzwiami przygotowali się do wejścia. Brian lekko zapukał.

- Proszę.

Roger Crosse ukończył pięćdziesiąt lat, był wysoki, zadbany, miał niebieskie oczy, gładko zaczesane włosy i małe dłonie o długich palcach. Na biurku panował nieskazitelny porządek. Wyposażenie biura zostało ograniczone do minimum. Wskazał ręką krzesła. Usiedli, a on dalej czytał akta. Po jakimś czasie zamknął je ostrożnie i położył przed sobą. Teczka niczym nie różniła się od innych używanych w biurach.

- Amerykański milioner przylatuje z przemycaną bronią, były handlarz narkotykami, poważnie podejrzany szanghajski milioner, ucieka do Tajwa nu, a teraz, uchron nas Boże, Wilkołaki uprowadzają VIP-a i ucinają mu ucho. Wszystko to w ostatnich dziewiętnastu godzinach. Jaki tu widzicie związek?

Ciszę przerwał Armstrong.

- A powinien być jakiś, sir? - zapytał.

- Czy powinien?

- Przykro mi, sir, ale niewiele jeszcze wiemy. Na razie.

- To staje się nudne, Robercie, doprawdy nudne.

- Tak jest, sir.

- A ty, Brian, piastujesz wysokie stanowisko. Nie sądzisz, że mógłbyś odłożyć na bok wyścigi konne, wyścigi samochodowe i użyć swoich niewątpliwych talentów do rozwiązania tej zagadki?

- Tak jest, sir.

- Zrób to. Od razu. Zostajesz razem z Robertem przydzielony do śledztwa.

W najbliższych dniach może być potrzebne twoje doświadczenie. Chcę mieć to wszystko jak najszybciej z głowy, bo przed nami naprawdę trudna sprawa.

W nocy zadzwonił do mnie prywatnie jeden z amerykańskich przyjaciół z konsulatu. - Wskazał palcem na teczkę. - A oto rezultat. Dostaliśmy oryginał, tutaj mamy kopie tych akt, trzeba je było oczywiście zwrócić. - Zawahał się, dobierając odpowiednie słowo. - Kurier, na marginesie mówiąc, amator, bezpiecznie wyjechał. W tej teczce znajduje się raport, a raczej wiele notatek o różnych nagłówkach. Naprawdę interesujących. Jeden na przykład: „KGB

w Azji". W notatce mowa o głęboko zakonspirowanej szajce szpiegowskiej.

Nigdy o niej nie słyszałem, działa pod kryptonimem Sevrin. Mają wtyczki na wysokich stanowiskach w rządzie, policji, w sferach biznesmenów na poziomie tai-panów i to w całej Południowo-Wschodniej Azji, a zwłaszcza w Hongkongu.

Brian Kwok syknął z niepokojem.

149

- Właśnie - przytaknął Crosse. - Jeśli to prawda.

- Tak pan uważa, sir? - zapytał Armstrong.

- Doprawdy, Robercie, zdaje się, że ze względu na stan zdrowia - rozmiękczenie mózgu, powinieneś przejść w stan spoczynku. Uważasz, że gdybym nie był zaniepokojony, zdobyłbym się na wątpliwą przyjemność proszenia o współpracę CID z Koulunu?

- Nie, sir. Przepraszam.

Crosse odwrócił teczką w ich kierunku, otworzył ją, a oni, widząc tytułową stronę, oniemieli. Napis brzmiał: „Informacje poufne. Do użytku wyłącznie lana Dunrossa. Zapis odręczny, raport 3/1963. Jedyne egzemplarz”.

- Tak - ciągnął Crosse. - Tak. Pierwszy raz mamy ewidentny dowód na istnienie własnego wywiadu

Struanów. - Uśmiechnął się, a ich przeszedł dreszcz. -

Oczywiście chciałbym się dowiedzieć, jak przemysłowcy zdobywają informacje, które my powinniśmy mieć na długo przed nimi.

- Tak jest, sir.

- Raport najwyraźniej jest jednym z całej serii. Ten w imieniu Komitetu Badań Struanów podpisał pewien A.M. Grant. Trzy dni temu w Londynie.

- Grant? - Brian Kwok znów wyraził zdziwienie. - Czy tu może chodzić o tego Alana Medforda Granta, współpracownika Instytutu Strategicznego Planowania w Londynie?

- Piątka, Brian. Tak. Sam pan AMG, doradca rządu Jej Wysokości do spraw tajnych, naprawdę zna się na rzeczy. Zostaliście sobie przedstawieni, Brian?

- W zeszłym roku, gdy byłem w Londynie na kursie dla wyższych oficerów, spotkałem go parę razy. Wydawał broszurę na temat strategicznej roli Dalekiego Wschodu. Błyskotliwa. Naprawdę.

- Na szczęście to Anglik i stoi po naszej stronie. A jednak... - Crosse znów westchnął. - Oczywiście mam nadzieję, że tym razem się myli i nie ugrzęźliśmy w błocie głębiej, niż mi się wydaje. Wygląda na to, że niektóre z naszych tajemnic przestały być tajemnicami. I jeszcze to. - Dotknął palcem teczki. - Naprawdę jestem wstrząśnięty.

- Czy oryginał został doręczony, sir? - zapytał Armstrong.

- Tak. Do rąk własnych Dunrossa dzisiaj o czwartej osiemnaście. - Jego głos stał

się jedwabisty. - Na szczęście mam doskonałe stosunki z naszymi kuzynami zza wielkiej wody. Tak jak ty, Robert. I w przeciwieństwie do Briana. Nigdy nie podobała ci się Ameryka, Brian?

- Nigdy, sir.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Amerykanie za dużo mówią, sir, nie można im powierzyć żadnej tajemnicy.

Są głośni i niezbyt mądrzy.

Crosse uśmiechnął się samymi ustami.

150

- To nie powód, żeby nie utrzymywać z nimi dobrych stosunków. Może to ty jesteś niezbyt mądry.

- Tak jest, sir.

- Nie wszyscy oni są tacy, nie wszyscy. - Zamknął teczkę. Obydwaj patrzyli na nią jak zahipnotyzowani.

- Amerykanie mówili, jak się dowiedzieli o istnieniu teczki? - bez większego namysłu palnął Armstrong.

- Robert, naprawdę zaczynam przypuszczać, że praca w Koulunie przeciążyła ci umysł. Mam cię skierować na badania lekarskie?

- Nie, sir, dziękuję.

- Czy my wyjawilibyśmy im nasze źródła?

- Nie, sir.

- Czy oni powiedzieliby, gdybym był tak głupi, żeby pytać?

- Nie, sir.

- To bardzo delikatna sprawa i grozi utratą twarzy. Mojej. Zgadzasz się ze mną, Robert?

- Tak jest, sir.

- Dobrze, to już coś. - Rozparł się na krześle, aż zatrzeszczało. Świdrował ich oczami. Oni zastanawiali się, kim mógł być informator Crosse'a.

Raczej nikt z CIA, rozmyślał Brian Kwok. Oni sami przechwyciliby teczkę, nie potrzebują mieszać SI do swoich ciemnych sprawek. A jeśli nie oni, to kto?

No kto?

Z pewnością ktoś z wywiadu, ale ktoś nie mogący zająć się tą sprawą osobiście, ktoś, kto pozostaje w dobrej komitywie z Crosse'em. Pracownik konsulatu? Możliwe. Johny Mishauer z wywiadu morskiego? Jego nie interesują takie sprawy. Więc kto? Pozostaje niewielu... O, człowiek z FBI, protegowany Crosse'a! Ed Langan. To on. Tylko skąd Langan mógł uzyskać te akta? Dostał z Londynu? Niewykluczone, ale tam nie ma biura FBI. Gdybyteczka nadeszła z Londynu, MI-5 lub MI-6 wiedziałyby o niej pierwsze, postaraliby się zebrać materiały u źródła i przesłaliby je teleksem do nas z pretensjami, że nie wiemy, co się dzieje na naszym terenie. Może samolot kurierski wylądował w Libanie? O ile sobie przypominam, FBI kogoś tam ma. Ale jeśli teczka nie nadeszła z Londynu ani Libanu, musiała zostać przywieziona liniowym samolotem. Przez życzliwego informatora, który zajrzał do środka? Przez kogoś z załogi? *Aiii ai!* Z linii TWA czy Pan-Am?

FBI utrzymuje stosunki, bliskie stosunki, z wieloma gałęziami biznesu. Tak.

Czy w niedzielę był jakiś lot? Tak. Pan-Arnu - ETA 20:30. Za późno na dostarczenie przesyłki przed pójściem do hotelu. Doskonale.

- Dziwne, że kurier przyleciał liniami Pan-Amu, a nie BOAC, to o wie le lepszy lot - powiedział zadowolony z działania swojego umysłu.

151

- Tak. Też o tym myślałem - zgodził się Crosse.

- Zupełnie nie w brytyjskim stylu. Pan-Am wylądowuje zawsze nie wiadomo kiedy, a stare, dobre BOAC ostatnio... - Kiwnął do Briana głową. - Znów piątka. Awans na klasowego prymusa.

- Dziękuję, sir.

- Co jeszcze wydedukowałeś?

- W zamian za informację - podjął po chwili Kwok - zgodził się pan oddać Langanowi w całości oryginał.

-1 co dalej?

-1 żałuje pan, że trzeba było dotrzymać słowa.

Crosse westchnął.

- Dlaczego?

- Tego dowiem się po przeczytaniu akt.

- Brian, doprawdy przechodzisz dzisiaj sam siebie. Dobrze. - Crosse bezwiednie stukał palcami w teczkę. Obydwaj siedzący naprzeciw niego policjanci wiedzieli, że ich kokietuje, ale żaden z nich nie miał pojęcia dlaczego. - Mamy tu jeszcze kilka innych zbiegów okoliczności. Nazwisko Vincenza Banastasia... Miejsce spotkań w Sinclair Towers... Mówi wam coś nazwa Nelson Trading?

Obydwaj pokręcili głowami.

- Wszystko to bardzo dziwne. Komuniści na prawo, komuniści na lewo... -

Jego wzrok stał się jeszcze bardziej przenikliwy. - Zdaje się, że mamy brudy nawet w naszych szeregach, prawdopodobnie na poziomie nadinspektorów.

- Niemożliwe! - wyrwało się Armstrongowi.

- Ile czasu pracowałeś dla SI, chłopcze?

Armstrong drgnął.

- Dwie misje, prawie pięć lat.

- Niemożliwe było też ze szpiegiem Sorge'em, niemożliwe było z Ki-mem Philbym. Dobry Boże,

Philby! - Całym zachodnim światem wstrząsnęło w styczniu tego roku przejście na stronę Sowietów Anglika, byłego agenta MI-6 - brytyjskiego wywiadu wojskowego - zwłaszcza że do nie dawna sprawował on funkcję sekretarza w ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie i był odpowiedzialny za związki z amerykańskim ministerstwem obrony oraz CIA, prowadząc wszystkie najważniejsze sprawy dotyczące obronności. - Niemożliwe, na litość boską, aby udało się tyle lat być sowietem i nie zostać odkrytym, co, Robert?

- Tak jest, sir.

- A jednak on był szpiegiem. I miał dostęp do naszych najgłębszych tajemnic od wielu lat. A na pewno od czterdziestego drugiego do pięćdziesiątego ósmego. A wiesz, gdzie zaczął? Boże, miej nas w opiece, w Cambridge 152

w trzydziestym pierwszym. Do partii zwerbował go koleżdy z uczelni, Burgess i Maclean. Obydwaj świętują sobie teraz w tym cholernym piekle na ziemi. Kilka lat temu ci dwaj wysoko postawieni dyplomaci... byli podczas wojny w wywiadzie, uknęli brytyjskiemu kontrwywiadowi do Rosji, wywołując skandal w Wielkiej Brytanii i całym NATO. Kogo jeszcze mogli zwerbować?

- Nie wiem, sir - powiedział ostrożnie Armstrong.

- Ale założę się, że wszyscy są wysoko postawionymi osobistościami w rządzie, dyplomacji, szkolnictwie, mediach, zwłaszcza w mediach. I wszyscy, jak Philby, są głęboko zakonspirowani.

- Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Nigdy. Ludzie naprawdę potrafią być okrutni. - Crosse westchnął.

- Tak. Ale pracować dla SI to zaszczyt, prawda Robert?

- Tak jest, sir.

- Wybrali cię sami, prawda? Nie można się zgłaszać na ochotnika.

- Nie, sir.

- Chyba nigdy nie pytałem cię, dlaczego rozstałeś się z nami?

- Tak jest, sir.

- A zatem?

Armstrong uśmiechnął się w duchu i głęboko zaczerpnął tchu.

- To dlatego, że odpowiada mi praca w policji, sir. Nie lubię być trybikiem w maszynie. W CID podoba mi się. Lubię wysilać umysł, aby wytropić przestępcę, złapać go i postawić przed sądem, aby został skazany zgodnie z literą prawa, sir.

- A w SI jest inaczej? Nie obchodzą nas sądy ani prawa, dla nas liczą się rezultaty, co?

- Wywiad Specjalny i Oddział Specjalny rządzą się innymi zasadami, sir.

Ale bez nich kolonia by upadła.

- Tak. To prawda. Ludzie bywają okrutni i fanatyczni jak robaki w pa-dlinie. Z ciebie dobry człowiek. Wydaje mi się, że nadszedł czas, abyś odpłacił

się za lata praktyki zdobytej na koszt Jej Wysokości.

Serce Armstronga zamarło na chwilę, ale wstrzymał oddech i nic nie powiedział, dziękując Bogu, że nawet Crosse wbrew jego woli nie może go przenieść z CID do SI. Nienawidził swoich misji wywiadowczych. Na początku ekscytował się wyborem i zaufaniem, jakim go obdarzono, ale wkrótce jego entuzjazm osłabiły metody, których nie akceptował, zatrzymywanie przestępców bez troski o dowody, a potem szybka deportacja na wniosek gubernatora do granicy albo dżonką do Tajwanu, bez możliwości powrotu.

Zawsze tak samo.

- To nie w brytyjskim stylu, Brian - zawsze powtarzał przyjacielowi. -

Ja się nadaję tylko do uczciwych gier.

153

- O co ci chodzi? Bądź realistą, Robert. Wiesz, że wszystkie te łajdaki są winne, są naszymi wrogami. Agentami komunistycznymi przeinaczającymi nasze prawo, żeby tu zostać i zniszczyć nas i nasze społeczeństwo celowo i przy współpracy kilku cholernych prawników, którzy dla trzydziestu srebrników zrobią wszystko. W Kanadzie jest tak samo. Chryste, co my z nimi mieliśmy, nasi prawnicy i politycy byli wrogami. To samo socjalistyczne związki zawodowe, które zawsze stały na czele wszelkiej agitacji. Co za różnica, w jaki sposób pozbywasz się pasożyta.

- Ja uważam, że jest. Nie wszyscy są komunistami. Wielu z nich to nacjonaści, chcący...

- Nacjonaści chcą się pozbyć z Hongkongu komunistów, to wszystko.

- Bzdura! Czang Kai-szek chciał po wojnie zająć kolonię. Po wyzwoleniu przez Amerykanów jedynie marynarka brytyjska go powstrzymała. On nadal chce przejąć nad nami zwierzchnictwo. Pod tym względem nie różni się od Mao Tse-tunga!

- Jeśli SI nie miałyby takich samych możliwości jak nasi wrogowie, jak mógłby nas bronić?

- Brian, przecież mówię, że to ja nie chcę pracować dla SI. Może ciebie to bawi. Ja wolę być gliniarzem niż jakimś cholernym Bondem.

Tak, myślał z przekonaniem Armstrong, tylko gliniarzem. W CID, aż do przeniesienia do starej dobrej Anglii. Boże, dosyć mam kłopotów z tymi cholernymi Wilkołakami. Spojrzał na Crosse'a z nieprzyjazną miną i czekał.

Crosse popatrzył na niego jeszcze chwilę i puknął palcem w teczkę.

- Według tego siedzimy w błocie głębiej, niż sobie wyobrażałem. Poło żenie krytyczne. O tak. Poprzednie raporty trafiły do Dunrossa. Oczywiście chciałbym je dostać. Szybko i po cichu.

Armstrong łypnął na Briana Kwoka.

- Może przez Klaudię Czen?

- Nie. Nie ma najmniejszych szans.

- Więc co proponujesz, Brian? - zapytał Crosse. - Przypuszczam, że mój amerykański znajomy wpadł na ten sam pomysł.. A jeśli przekaże kopię tych akt szefowi tutejszego CIA... Naprawdę będzie mi przykro, jeśli znów oni będą pierwsi.

Brian Kwok zastanowił się.

- Moglibyśmy wysłać specjalną grupę do biura i do pomieszczeń pry watnych, ale to zajęłoby trochę czasu. Nie wiemy po prostu, gdzie szukać.

I trzeba by działać nocą. To ryzykowne. Inne raporty, jeśli istnieją, mogą być schowane do sejfu w Wielkim Domu albo u Dunrossa na Shek-O, a na wet w prywatnym mieszkaniu na Sinclair Towers albo gdzieś, gdzie nie mamy pojęcia.

154

- Nieciekawie - przyznał Crosse. - Nasz wywiad nawet o sobie mało wie.

Szkoda. Gdybyśmy byli Chińczykami, wiedzielibyśmy wszystko, prawda Brian?

- Niestety nie, sir.

- Cóż, skoro nie wiadomo, gdzie szukać, trzeba zapytać.

- Proszę?

- Zapytać. Dunross zawsze chętnie z nami współpracował. Poza tym to wasz znajomy. Zapytajcie o raporty.

- A jeśli odmówi odpowiedzi albo powie, że zostały zniszczone?

- Ruszysz głową. Trochę mu pokadzisz, zachęcisz. Możesz też się potargować.

- Mamy czym, sir?

- Nelson Trading.

- Słucham?

- Jest o tym w raporcie. I jeszcze kilka informacji, później wam podeślę.

- Tak jest. Dziękuję, sir.

- Robert, co zrobiłeś w sprawie Johna Czena i Wilkołaka czy Wilkołaków?

- Cały CID jest na nogach, sir. Mamy numer samochodu Czena, dziesięć dziewięćdziesiąt osiem. Przesłuchaliśmy między innymi jego żonę Barbarę, histeryzowała, ale jest czysta.

- Słucham?

- No, ona... rozumie pan.

-Tak.

- Mówiła, że mężowi często zdarzało się późno wracać, że miewał przeciągające się konferencje, że lubił chodzić na tor wyścigowy albo popływać jachtem. Jestem pewien, iż ona myślała, że mąż jest gdzieś w mieście. Poszliśmy jego śladem aż do drugiej w nocy. O dziesiątej trzydzieści podwiózł

Casey Tcholak do hotelu...

- Widział się wtedy z Bartlettem?

- Nie, sir. Bartlett został w samolocie na lotnisku.

- John Czen rozmawiał z nim?

- Nie, chyba że istnieje jakiś sposób połączenia się telefonicznie z samolotu z miastem. Samolot mieliśmy na oku aż do rana.

- Proszę dalej.

-Po odwiezieniu panny Tcholak... mówiąc na marginesie, rollsem ojca...

pojechał do prywatnego chińskiego klubu przy Queen's Road i odesłał szofera z samochodem... - Armstrong wyjął notatnik. - Klub nazywa się „Tong Lau”.

Tam spotkał się z przyjacielem Wo Sang Czi i zaczęli grać w *ma-tlżong*.

Około północy przerwali grę. Potem Wo Sang Czi i dwaj inni znajomi gracze, dziennikarz Ta Pan Fat i makler Po Cza Sik, złapali taksówkę.

155

Czytając raport, Armstrong poczuł, że wpada w swojski, policyjny ton, co sprawiło mu przyjemność i pozwoliło zapomnieć o teczce i jej tajnej zawartości, a także o palącej potrzebie szybkiego zdobycia pieniędzy. Prosiłem Boga, żeby zostać zwykłym policjantem, myślał, dając wyraz swej niechęci do Wywiadu Specjalnego.

- Jako pierwszy z taksówki wysiadł Ta Pan Fat koło domu przy Queen's Road, potem Wo Sang Czi kawałek dalej. John Czen i Po Cza Sik. . prawdopodobnie ma jakieś koneksje z triadą, sprawdzamy go szczegółowo. . pojechali do garażu na Sunning Road po samochód Johna Czena, jaguara tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt. -

Chcąc być dokładny, znów spojrział do notatnika, bo jak zawsze, nawet po tylu latach, bał się przekreślić chińskie nazwisko. -Stróż w garażu, Tong Ta Wei, potwierdził to. Później John odwiózł przyjaciela do domu przy Village Street siedemnaście w Szczęśliwej Dolinie, gdzie zostawił samochód. W tym samym czasie Wo Sang Czi, prowadzący przedsiębiorstwo Struanów mające monopol na wwóz i wywóz towarów na lotnisko, wybrał się do restauracji „Sap Wah” przy Fleming Road. Zeznał, że po trzydziestu minutach dołączył do niego John Czen i razem pojechali samochodem Czena zabrać z ulicy jakieś dziewczyny, żeby zjeść z nimi kolację. .

- Nie mogli po prostu iść na dancing i tam wynająć dziewczyny? - zapytał w zamyśleniu Crosse. - Ile wynosi stawka, Brian?

- O tej porze nocy sześćdziesiąt dolarów hongkongijskich, sir.

- Wiem, że Phillip Czen ma reputację sknery, ale czy John Czen wdał się w niego?

- O tej godzinie, sir - wyjaśniał Brian Kwok - większość dziewczyn, chcąc jeszcze złapać klienta, wychodzi z dancingów. Przyjęło się, że samochody krążą po ulicach. Nie chodzi tu o sześćdziesiąt dolarów. Dziewczyny chodzą dwójkami lub trójkami, więc i tak trzeba płacić dodatkowo za dwie czy trzy kolacje.

- Ty też, Brian, krążysz tak czasem samochodem?

- Nie, sir. Nie czuję takiej potrzeby.

Crosse westchnął i zwrócił się do Armstronga:

- Kontynuuj, Robert.

- Cóż, nie udało im się zabrać żadnych dziewcząt, więc pojechali na kolację do nocnego klubu „Copacabana” w hotelu „Sap Czuk”. Była pierwsza. Po czterdziestu pięciu minutach wyszli i Wo Sang Czi twierdzi, że widział Johna Czena wsiadającego do swojego samochodu, ale nie zauważył, kiedy odjechał. Sam poszedł do domu pieszo, bo mieszka w pobliżu. Mówił, że John nie był pijany, w złym humorze ani nic w tym rodzaju. Wyglądał na zadowolonego, choć w klubie

„Tong Lau” sprawiał wrażenie poirytowanego i wcześniej skończył grę. To tyle.

Johna Czena nie widział potem nikt ze znajomych ani rodziny.

- Czy John zwierzył się Wo Sang Czi, dokąd jedzie?

- Nie. Wo Sang Czi najpierw utrzymywał, że wydawało mu się, że John wybiera się do domu, ale potem dodał: „Może wpadł do swojej dziewczyny”.

Zapytaliśmy, kto nią jest, ale powiedział, że nie wie. Przycisnęliśmy go i przypomniał sobie imię, Wonny Kwiat, ale bez adresu i telefonu. To tyle.

- Wonny Kwiat? W nocy całe mnóstwo kobiet może się tak nazywać.

- Tak jest.

Na chwilę Crosse zagłębił się w myślach.

- Czy Dunross mógł z jakichś powodów chcieć zlikwidować Johna Czena?

if Obydwaj policjanci ze zdziwieniem wbili wzrok w zwierzchnika.

- Pomyśl, Brian.

- Tak... ale nie ma takich powodów. John Czen nie zagrażałby Dunrossowi, nawet gdyby został jego doradcą. W Noble House cała władza należy do tai-pana.

- Tak?

- Absolutnie cała. - Brian Kwok zawahał się, znów został wytrącony z równowagi. - No, chciałem... To znaczy tak jest w Noble House.

Crosse zwrócił się do Armstronga.

- Co ty o tym sądzisz?

- Nie znam takich powodów. Przynajmniej na razie.

- Zastanów się.

Crosse zapalił papierosa, a w Armstrongu wzmógł się nikotynowy głód.

Nigdy nie dotrzymam przyrzeczenia, myślał. Cholerny łajdak Crosse. Co on sobie wyobraża? Widział przed sobą wyciągniętą w geście zachęty paczkę papierosów, które zwykle palił. Nie wygłupiaj się, myślał, które nadal palisz.

- Nie, dziękuję, sir - usłyszał swój głos. Ssanie w brzuchu rozlało się bólem po całym ciele.

- Nie palisz, Robert?

- Nie, sir. Rzuciłem... A właściwie próbuję rzucić.

- Godne podziwu! Dlaczego Bartlett mógłby chcieć pozbyć się Johna Czena?

Znów obydwaj policjanci popatrzyli na niego ze zdumieniem.

- A pan wie, sir? - zapytał ze ściśniętym gardłem Armstrong.

- Gdybym wiedział, tobym nie pytał. Wy się macie tego dowiedzieć.

Gdzieś tu musi istnieć jakiś związek. Zbyt wiele zbiegów okoliczności i coś tu śmierdzi. Wyraźnie KGB macza w tym paluchy, a powiem szczerze, zawsze mnie to irytuje.

- Tak jest.

- A węch mam dobry. Miejcie oko na żonę Phillipa Czena. Może być zamieszana. Dla niej stawka jest wysoka. Za dzień, dwa załatwi też Phillipa Czena.

157

- Już wykonane. Obydwoje są pod obserwacją. Phillipa nie podejrzewam, ale sądzę, że obydwójce będą się zachowywać jak to zwykle w takich wypadkach: odmawiać współpracy, milczeć, prowadzić tajne negocjacje, po cichu płacić, a na koniec wydadzą westchnienie ulgi.

- Rzeczywiście. Dlaczego tacy bądź co bądź wykształceni ludzie uważają się za mądrzejszych od nas i nie pomagają w pracy, za którą dostajemy pieniądze?

Brian Kwok czuł na sobie przenikliwy wzrok, strużka potu spłynęła mu po plecach. Panuj nad sobą, powtarzał w duchu. Ten łajdak to zwykły obcy diabeł, niecywilizowany, gównojad, obładowany łajnem, pochodzący nie od matki, wywołujący *dew neh loh moh*, potomek małpy, obcy diabeł...

- Na pewno słyszał pan, sir, o tym starym chińskim zwyczaju - powiedział

grzecznie. - Nie ufają policji ani rządowym urzędnikom i mają w tym doświadczenie od czterech tysięcy lat.

- Podzielim ich podejrzenia, ale nie mogą one dotyczyć administracji brytyjskiej. Udowodniliśmy ponad wszelką wątpliwość, że zasługujemy na zaufanie. Potrafimy rządzić, a nasz aparat administracyjny jest nieprzekupny.

- Tak jest.

Crosse wydmuchnął dym.

- Robert, wiesz, o czym panna Tcholak rozmawiała z Johnem Czenem?

- Nie, sir. Jeszcze jej nie przesłuchiwalismy. Cały dzień jest u Struanów. Czy to może być ważne?

- Idziesz wieczorem na przyjęcie do Dunrossa?

- Nie, sir.

- A ty, Brian?

- Idę, sir.

- Dobrze. Dunross nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zabiorę cię ze sobą, Robert. Zadzwoń do mnie o ósmej. Przyjdzie tam każdy, kto się liczy w Hongkongu. Będziesz miał oczy i uszy otwarte i wszędzie wepchniesz swój nos. -

Zareagował chichotem na ten żart, ale nie zwrócił uwagi, że policjanci nie zawtórowali mu. - A teraz przeczytajcie raport. Ja zaraz wrócę. I, Brian, nie zawiedź wieczorem.

- Tak jest.

Crosse wyszedł.

- Gdy widzę tego palanta, jestem jak sparaliżowany - wyznał Brian Kwok, gdy zostali sami.

- Ja też, stary. Za każdym razem.

- Myślisz, że naprawdę wysłałby grupę specjalną do Struanów? - zapytał z niedowierzaniem Kwok. - Do samego serca Noble House?

- Oczywiście. Sam by poszedł. Pierwszy raz współpracujesz z SI, to go nie znasz tak jak ja. Ten cwaniak poszedłby z grupą specjalną do samego 158

piekła, gdyby uznał, że to ważna sprawa. Założę się, że o tej teczce nikomu ani pisał. Boże, znajomy agent mówił mi, że Crosse dwa razy przeszedł przez chińską granicę. I to sam. Wyobrażasz sobie?

- Gubernator wie?

- Nie sądzę. Dostałby zawału. A gdyby dowiedział się MI-6, on byłby spalony, a Crosse wylądowałby w londyńskiej Tower. Zna za wiele tajemnic, żeby podejmować takie ryzyko. Ale to Crosse i nic się nie da zrobić.

- Kto był tym agentem?

- Nasz człowiek w Kantonie.

- Wu Fong Fong?

- Nie, ten nowy. W każdym razie wtedy był nowy. W wojsku.

- Kapitan Ta Quo Sa?

- Nie pamiętam. Armstrong wzruszył ramionami.

- W porządku. - Kwok uśmiechnął się.

- Crosse ciągle przekracza granicę. Ma gdzieś prawo.

- Boże, ty nie możesz nawet jechać do Makau, bo parę lat temu byłeś w SI, a on sobie chodzi za granicę. Głupio z jego strony.

- Racja. - Armstrong zaczął naśladować Crosse'a. - I jak ci przemysłowcy dowiadują się o wszystkim przed nami? Cholernie łatwo - odpowiedział sobie i zaczął mówić normalnie. - Wydają pieniądze. Dużo cholernych pieniędzy, a my mamy skromniutki budżet. On to wie i wie to cały świat. Ajak działa FBI, CIA, KGB albo koreańskie CIA? Wydają pieniądze! Dunross bez trudu mógł zatrudnić Alana Medforda Granta. Na wszystkie raporty wydał dziesięć tysięcy funtów, a może nawet mniej. A ile my dostajemy? Dwa tysiące funtów rocznie za trzysta sześćdziesiąt pięć dni dwudziestoczterogodzinnej pracy, a zwykli policjanci czterysta funtów. Co by się z nami stało, gdybyśmy musieli zapłacić jednemu człowiekowi dziesięć tysięcy za informację? A czym byłyby FBI, CIA czy cholerne KGB bez nieograniczonych funduszy? Boże, nam by z pół roku zajęło zebranie pieniędzy, które Dunross i pięćdziesięciu innych przeznacza na drobne wydatki. -

Armstrong siedział zgarbiony na krześle, pod przekrwionymi oczami miał ciemne sińce, a padające z góry światło wyostrzało jego kości policzkowe. Spojrzał na teczkę, ale nie dotknął jej, zastanawiając się tylko, jakie złe wieści musi zawierać.

- Łatwo wszystkim Dunrossom na świecie.

Brian Kwok pokiwał głową, rozłożył ręce i wyjął chusteczkę.

- Podobno Dunross ma specjalny fundusz, założony przez Dirka Struana.

Korzysta z niego tylko tai-pan i przeznacza go na takie rzeczy jak *h 'eung yau*, haracze. . może nawet drobne morderstwa. Podobno w grę wchodzi miliony.

- Też o tym słyszałem. Chciałbym.. Ech. - Armstrong sięgnął po teczkę, ale zawahał się, wstał i podszedł do telefonu. - Wszystko po kolei -

159

powiedział z sarkastycznym uśmiechem do chińskiego przyjaciela. - Ruszymy kilku ważniaków. - Wybrał numer Komendy Głównej Policji w Koulu-nie. - Tu Armstrong, dajcie mi sierżanta Tang-po.

- Dobry wieczór, sir - głos Tang-po brzmiał ciepło i przyjaźnie.

- Dobry wieczór, Majorze - zwrócił się łagodnie w formie grzecznościowej do sierżanta Tang-po. - Potrzebuję informacji. O tym, dla kogo były przeznaczone karabiny. O tym, kto uprowadził Johna Czena. Chcę też samego Johna Czena albo jego ciało, najpóźniej za trzy dni. I Wilkołaka czy Wilkołaki.

W słuchawce kilka sekund trwała cisza.

- Tak jest.

- Rozpuść wieści, że Wielki Biały Ojciec naprawdę się wścieka. Gdy część jego wściekłości przejdzie na nadinspektorów, starczy także dla innych komendantów, inspektorów, a nawet sierżantów. Niektórzy nawet spadną do konstabli i zostaną odesłani za granicę. Posypią się degradacje, deportacje albo i areszty. Jasne?

Tym razem cisza w słuchawce trwała jeszcze dłużej.

- Tak jest.

- A gdy on się złości, mądrzy ludzie, jeśli mogą, uciekają, zanim urząd antykorupcyjny udowodni im winę. Nawet jeśli są niewinni.

Znów milczenie.

- Tak jest. Rozgłoszę wieści natychmiast. Natychmiast.

- Dziękuję, Majorze. A Wielki Biały Ojciec naprawdę się złości. - Jego głos stał się łagodniejszy. - Może poprosiłbyś swoich braci sierżantów o pomoc. Na pewno zrozumieją. Mamy wspólne kłopoty.

- Przeszedł na kan-toński: - „Gdy Smoki czkną, cały Hongkong pierze brudy”. *Heya?*

Dłuższa przerwa.

- Zajmę się tym, sir.

- Dziękuję. - Armstrong odłożył słuchawkę. Brian

Kwok uśmiechnął się.

- To pobudzi do pracy kilka mięśni sercowych.

Anglik przytaknął, usiadł na miejscu, ale surowość z jego twarzy nie zniknęła.

- Nie lubię w taki sposób wydawać poleceń, dopiero drugi raz mi się to zdarzyło, ale nie mam wyboru. Teraz wszystko jest jasne. Tobie radzę zrobić to samo.

- Jasne. „Gdy Smoki czkną”. . Miałeś na myśli legendarnych Pięć Smoków?

-Tak.

Stężały rysy przystojnej, niemal pozbawionej zarostu twarzy Briana Kwoka.

- Tang-po należy do nich?

160

- Nie wiem, nie jestem pewien. Zawsze wydawało mi się, że tak, choć nie ma na to żadnych dowodów. Po prostu nie jestem pewien, Brian. A należy?

- Nie mam pojęcia.

- No ale to nieważne. Jestem przekonany, że wieść dotrze przynajmniej do jednego z nich. Osobiście jestem pewien, że istnieje Pięć Smoków, a jest nimi pięciu chińskich sierżantów prowadzących nielegalny hazard na ulicach Hongkongu. Prawdopodobnie także pobierają haracz od dancingów i dziewcząt. Pięciu z jedenastu możliwych sierżantów.

- Ja też sądzę, że Pięć Smoków istnieje, Robert. Może jest ich mniej, może więcej, ale hazard uliczny prowadzą policjanci.

- Prawdopodobnie tak... lecz chińscy funkcjonariusze Policji Królewskiej -

poprawił go Armstrong. - Jak dotąd nie mamy dowodu. Żadnego. A tropimy ich już od lat. Wątpię, żeby w ogóle można im było coś udowodnić. -

Uśmiechnął się. - Może tobie się uda, jak zostaniesz komisarzem.

- Daj spokój, Robert.

-No co! Masz trzydzieści dziewięć lat, przeszedłeś specjalne kursy, a już jesteś nadinspektorem. Sto do dziesięciu, że na tym nie skończysz.

- Stoi.

- Powinienem postawić sto tysięcy. Wtedy nie miałbyś wyboru.

- Spróbuj.

- Nie. Nie mogę sobie pozwolić na stratę takiej sumy. Możesz za rok zginąć albo zrezygnować ze służby. Ale jeśli nic się nie stanie, przed emeryturą będziesz grubą rybą. Na pewno tego chcesz.

- Obydwaj chcemy.

- Ja nie. Ja jestem zbyt angielski. - Armstrong serdecznie poklepał przyjaciela po plecach. - To będzie wielki dzień. Ale i tak nie dasz rady zamknąć Smoków, nawet jeśli będziesz miał dowody. W co wątpię.

- Nie zamknę ich?

- Nie. Ja tam się nie przejmuję tym hazardem. Chińczycy uwielbiają grę, a jeśli kilku chińskich policjantów macza palce w ulicznym hazardzie, to dzięki temu ten proceder staje się czystszy i uczciwszy, chociaż nielegalny. Gdyby nie oni, ich miejsce zajęłyby triady. A potem małe grupy łajdaków, które udaje nam się trzymać w rozproszeniu, połączyłyby się ze sobą w *tong* i wtedy zrodziłby się problem. Znasz mnie, wiesz, że ja nie lubię przełamywać lodów. Dlatego nie zostanę komisarzem. Ja lubię *status quo*.

Smoki prowadzą hazard, my trzymamy triady w rozproszeniu, a póki poli-cjajest jednością,

stanowimy najsilniejszą triadę w Hongkongu. Dzięki temu mamy spokój na ulicach, zorganizowane społeczeństwo, nie notujemy po ważniejszych zbrodni.

Brian Kwok przyglądał mu się uważnie.

- Naprawdę w to wierzysz, prawda?

161

- Tak. Zabawnym trafem w tej chwili Smoki są naszym najsilniejszym filarem. Spójrzmy prawdzie w oczy, Brian, tylko Chińczycy mogą rządzić Chińczykami. *Status quo* to dla nich też dobre rozwiązanie, oni także nie lubią ciężkich zbrodni. A my korzystamy czasem z ich pomocy, ponieważ obce diabły nie ze wszystkim potrafią dać sobie radę. Nie jestem za korupcją czy łamaniem prawa ani za pertraktacjami z przestępcami. Ale jak policja mogłaby egzystować bez brudnych rąk informatorów? Smoki są więc, jak mi się wydaje, odpowiedzią na tutejsze potrzeby. Hongkong to Chiny, a Chiny to przypadek szczególny.

Dopóki chodzi tylko o nielegalny hazard, mnie głowa nie boli. Gdyby to ode mnie zależało, jeszcze dzisiaj bym go zalegalizował. Ale za pobieranie haraczu od dancinów, dziewczyn i za temu podobne rzeczy, zamykałbym bez żadnej litości.

Wiesz, że nie znoszę stręczycielstwa. Hazard to inna sprawa. Jak można powstrzymać Chińczyków od robienia zakładów, co? Za żadne skarby się nie da.

A więc należy je zalegalizować i wszyscy będą zadowoleni. Od jak wielu lat radzi się to naszej policji? Z tego co pamiętam, co najmniej od dwudziestu. I dlaczego nic z tego nie wychodzi? To proste. Makau! Stare portugalskie Makau żyje z nielegalnego hazardu i przemytu złota, a przecież my, Zjednoczone Królestwo, nie możemy pozwolić na upadek naszego sąsiada.

- Robert Armstrong na premiera!

- Spadaj! Ale mam rację. Przejęcie hazardu podreperowałoby nasz budżet.

Mnóstwo pieniędzy wydajemy na informatorów. A jak inaczej szybko zdobyć pieniądze? Liczyć na łaskawość rządu? Nie rozśmieszaj mnie! Z podwyższenia podatków od ludzi, których ochraniaamy?

- Może masz rację, a może nie. W ten sposób kiedyś może dojść do paradoksu. Weźmy taki haracz. . to także ogromne pieniądze, które mogłyby trafiać do policyjnej kieszeni. No nie?

- Tak, ale nie za moją sprawą, ja jestem temu przeciwny, podobnie zdecydowana większość. Zarówno Brytyjczyków, jak i Chińczyków. Martwmy się raczej o to, jak trzystu dwudziestu siedmiu biednych obcych diabłów, oficerów policji, ma panować nad ośmioma tysiącami cywilizowanych niższych urzędników i policjantów i następnymi trzema i pół milionami cywilizowanych łajdaków, którzy z nienawiści wypraliby nam flaki.

Brian Kwok wybuchnął zaraźliwym śmiechem, więc Armstrong mu za-wtórował i burknął:

- Przestań mnie podpuszczać.

- Wzajemnie. Kto pierwszy czyta, ja czy ty?

Armstrong spojrział na trzymaną w rękę teczkę. Była dość gruba, zawierała dwanaście gęsto zapisanych stron maszynopisu oraz o wiele więcej krótkich notatek z różnymi tytułami. Według spisu treści na maszynopis składały się: Część pierwsza - Prognozy dla polityki i biznesu Zjednoczonego

Królestwa. Część druga - KGB w Azji. Część trzecia - Złoto. Część czwarta -
Rozwój CIA.

Armstrong położył nogi na biurku i rozsiadł się wygodnie na krześle.

Potem zmienił zdanie i odłożył teczkę.

- Masz, ty czytaj. Po pierwsze robisz to szybciej, a po drugie mnie męczy czytanie o nieszczęściach.

Brian Kwok wziął teczkę. Serce mu waliło jak młot. Otworzył i zatopił się w lekturze.

Armstrong obserwował go. Widział, jak przyjacielowi rzadnie mina i krew odpływa z twarzy. Stropił się, bo wiedział, że niełatwo zaszokować Briana Kwoka. Widział, jak czyta od początku do końca, a potem przebiega jeszcze raz wzrokiem, żeby gdzieś powtórnie spojrzeć na jakiś akapit. Powoli zamknął teczkę.

- Aż tak źle? - zapytał Armstrong.

- Jeszcze gorzej. Część z tego... Gdyby nie podpisał tego A. Medford Grant, powiedziałbym, że autor postradał zmysły. Uważa, że CIA utrzymuje poważne kontakty z mafią, że zaplanowali zabicie Castro, że w Wietnamie stają się coraz potężniejsi, że zamieszani są w handel narkotykami i Bóg wie co jeszcze... Masz, sam zobacz.

- A co z wtyczkami?

- Nawet u nas są. - Brian ponownie otworzył teczkę i znalazł odpowiedni akapit. - Posłuchaj: *Nie ma wątpliwości, że w obecnym czasie w policji Hongkongu działa wysoko postawiony agent komunistyczny. Ze ściśle tajnych dokumentów dostarczonych przez generała Hansa Richtera - zastępcę komendanta Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Wschodnich Niemiec - który przeszedł na naszą stronę w marcu bieżącego roku, jasno wynika, że agent o kryptonimie Nasz Przyjaciel działa od przynajmniej dziesięciu, a możliwe, że od jedenastu lat. Kontakt utrzymuje prawdopodobnie z oficerem KGB występującym jako biznesmen lub bankier z Żelaznej Kurtyny, a może dziennikarz lub marynarz na jednym z sowieckich statków, które przyplývają do Hongkongu do naprawy. Z informacji zawartych w innych dokumentach wiemy już, że Nasz Przyjaciel dostarczył wrogom, oprócz zastrzeżonych częstotliwości radiowych, również zastrzeżony numer telefonu gubernatora, szefa policji, najwyższych urzędników rządu Hongkongu, a także bardzo prywatne dossier większości z nich...*

- Dossier? - przerwał Armstrong. - Są załączone? -Nie.

- Cholera. Czytaj dalej, Brian.

- ...większości z nich. Również policyjne plany zapobiegania prowokowanym przez komunistów zamieszkom w Koulunie. Poza tym: kopie dossier wszystkich oficerów policji powyżej rangi inspektora, nazwiska sześciu głów-163

nych agentów nacjonalistycznych Kuomintangu działających w Hongkongu i podlegających generałowi Dzen Tang-wa (załącznik A), szczegółową listę agentów Wywiadu Specjalnego Hongkongu w Kwantung pod dowództwem agenta Wu Fong Fonga (załącznik B).

- Jezu! - Armstrong westchnął. - Powinniśmy jak najszybciej wycofać naszego Fong Fonga i jego kolegów.

- Racja.

- Czy jest na liście Wu Tat-sing?

Kwok przejrzał załącznik.

- Tak. Posłuchaj zakończenia: *Według konkluzji naszego komitetu, do póki zdrajca nie zostanie wyeliminowany, bezpieczeństwo wewnętrzne Hong kongu jest zagrożone. Dlaczego informacje te nie trafiły jeszcze do rąk po licji, nie wiemy. Przypuszczalnie agenci sowieccy infiltrujący administrację Zjednoczonego Królestwa na wszystkich jej poziomach, przykładem działalności Philby 'ego, przechwytyują takie informacje i niszczą je lub fałszywie interpretują (o czym w materiałach 4/1962). Sugerujemy, aby ten raport albo jego część trafiła do gubernatora lub komisarza policji Hongkongu, jeśli uważa ich pan za godnych zaufania.* - Brian Kwok podniósł wzrok, myśli szalały mu w głowie. - Jest jeszcze kilka kawałków o sytuacji politycznej Zjednoczonego Królestwa, o Sevrin... Przeczytaj sobie. - Pokręcił bez radnie głową. - Boże, jeśli to prawda... siedzimy po uszy w błocie. Boże drogi!

Armstrong cicho chrząknął.

- Kto? Kto może być szpiegiem? I to tak wysoko postawionym? Kto?

Wreszcie Brian przerwał to długie milczenie.

- Jedynym człowiekiem... Jedynym człowiekiem, który mógł to wszystko wiedzieć, jest sam Crosse.

- Daj spokój, na miłość boską!

- Pomyśl tylko, Robert. On znał Philby'ego. Przecież też chodził do Cambridge. Obydwaj mają podobną przeszłość, należą do tej samej grupy wiekowej, obydwoj podczas wojny byli w wywiadzie, jak Burgess i Maclean. Jeśli Philby mógł się kryć tak długo, to mógł i Crosse.

- Niemożliwe!

- A kto jeszcze wchodzi w grę? Przecież on całe życie pracuje dla MI-6.

Czy nie on przyjechał tu z misją na początku lat pięćdziesiątych, a potem został tu przysłany do tworzenia SI jako oddzielnego oddziału SB? Nie był

szefem od samego początku?

- To niczego nie dowodzi.

- Czyżby?

Zapadła długa cisza. Armstrong obserwował przyjaciela. Znał go zbyt dobrze, żeby nie wiedzieć, że mówi poważnie.

- Dlaczego miałby to robić? - zapytał z trudem.

164

- Powiedzmy, że Crosse jest homoseksualistą.

- Odbiło ci! - wybuchnął Armstrong. - Ma żonę... a może nawet cholernego syna, a nigdy nie było najmniejszych przesłanek mówiących o tym, że...

- Owszem jest żonaty, ale dzieci nie ma. Żona cały czas przebywa w Anglii, a kiedy przyjeżdża tutaj, mieszkają w oddzielnych pokojach.

- Skąd wiesz?

- *Amah* wie, więc i mnie było łatwo się dowiedzieć.

- To także niczego nie dowodzi. Wielu ludzi mieszka w oddzielnych pokojach. Nie masz racji co do Crosse'a.

- A powiedzmy, że mam dowód.

- Jaki?

- Dokąd on najczęściej wyjeżdża? Na Malaje. Załóżmy, że ma tam przyjaciela, młodego Malajczyka, znanego dewianta.

- Musiałbym zobaczyć zdjęcie, a obydwaj wiemy, jak je łatwo podrobić -

powiedział Armstrong ochryłym głosem. - Musiałbym przesłuchać taśmy, a też można je spreparować. Że młody? To też o niczym nie świadczy. Stary numer z książek z fałszywymi zeznaniami lub podstawionymi świadkami.

Nigdy nie będzie... A nawet jeśli jest pedalem, to też nic nie znaczy. Nie wszyscy zboczeńcy to

zdrajcy.

- Nie. Ale wszystkim dewiantom grozi szantaż. A skoro on jest homoseksualistą, to jest podejrzany. Wysoce podejrzany. Mam rację?

Armstrong rozejrzał się niespokojnie.

- Nie chcę nawet o tym tutaj mówić. Może mieć włączony magnetofon.

- No to co?

-Jeśli ma i jeśli masz rację, to może nas załatwić, zanim się obejrzymy.

Zresztą i tak nas może załatwić.

- Przypuszczalnie tak. Ale jeśli jest zdrajcą, wie, że go podejrzewamy, a jeśli nie, będzie się śmiał, a ja wylecę z SI. W każdym razie nie może załatwić każdego Chińczyka.

Armstrong przyjrzał mu się uważniej.

- Co masz na myśli?

- Prawdopodobnie istnieją jakieś jego akta. Przypuszczalnie czytał je każdy Chińczyk w stopniu wyższym od kaprała.

-Co?

- Daj spokój, przecież wiesz, że Chińczycy są bardzo ze sobą zintegrowani. Możliwe, że istnieją akta każ...

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy jesteście zorganizowani w bractwo? W

tong, w tajne stowarzyszenie? Triadę w policji?

- Powiedziałem prawdopodobnie. To tylko domysły, Robert. Mówię prawdopodobnie i być może.

- Kto jest Wielkim Smokiem? Ty?

165

- Nigdy nie twierdziłem, że istnieje takie ugrupowanie. Mówiłem: prawdopodobnie.

- A co z innymi aktami? Na przykład moimi?

- Może istnieją?

-I?

- I jeśli istnieją, to masz w nich opinię dobrego policjanta, nieprzekupnego, który grał na giełdzie i nie wyszło mu, i pilnie potrzebuje dwudziestu tysięcy na pokrycie terminowego długu. I kilka innych rzeczy.

- Jakich innych rzeczy?

- To Chiny, staruszk. Wiemy prawie wszystko, co dotyczy *quai loh*.

Musimy, żeby przetrwać, no nie?

Armstrong patrzył obcym wzrokiem.

- Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałeś?

- Teraz też ci niczego nie powiedziałem. Absolutnie niczego. Powtarzam tylko: prawdopodobnie i być może. Ale jeśli to wszystko prawda... -Odłożył

teczkę i starł pot znad górnej wargi. - Sam przeczytaj. Jeśli to prawda, siedzimy w niezłym gównie i musimy działać bardzo szybko. Ja snułem tylko domysły. Ale nie, jeśli chodzi o Crosse'a. Posłuchaj, Robert, założę się tysiąc do jednego, że to kapuś.

10 19:43

Dunross skończył po raz trzeci czytać raport z niebieskiej teczki. Najpierw, jak zawsze, przeczytał zaraz po doręczeniu, a potem jeszcze raz w drodze do pałacu gubernatora. Zamknął akta i chwilę trzymając je na kolanach, próbował zebrać myśli. Znajdował się w swoim gabinecie na pierwszym piętrze Wielkiego Domu, stojącego wysoko na zboczu Piku, z oknami wychodzącymi na oświetlony ogród i oddalone miasto oraz port.

Antyczny zegar dziadka wybił za kwadrans ósmą.

Piętnaście minut do wyjścia, pomyślał. Zaraz zjadą się goście, zaczniesz przyjęcie i wszyscy weźmiemy udział w nowej maskaradzie. Albo będziemy kontynuować cały czas tę samą.

Pokój był wysoki, wyłożony starą dębową boazerią, na oknach wisały zielone aksamitne zasłony, a na ścianach chińskie jedwabne kilimy. Było to pomieszczenie wygodne, stare, skromnie umeblowane i bardzo przytulne. Dunross słyszał z dołu podniesione głosy służących. Nadjechał jakiś samochód, ale nie zatrzymał się przed domem.

166

Zadzwonił telefon.

- Tak, słucham. O, cześć, Klaudia.

- Jeszcze nie złapałam Tsu-iana, tai-pan. Nie przyszedł **do biura**. **Dzwonił** może?

- Nie. Jeszcze nie. Próbuje cały czas.

- Dobrze. Do zobaczenia.

Ubrany w wieczorową marynarkę, ale jeszcze rozpiętą, siedział w głę-

bokim fotelu. Bezmyślnie wyglądał przez okna, za którymi jak zwykle było pięknie. Głowę zaprzętały mu doniesienia o Sevrin, o zdrajcy i o innych nieprzyjemnych sprawach poruszanych w raporcie.

Co robić?

- Śmiać się i walczyć - powiedział na głos.

Wstał i miękkiem krokiem podszedł do wiszącego nad kominkiem olejnego portretu Dirka Struana. Stara rama, z której gdzieniegdzie odchodziły złocenia, w tajemniczy sposób odchylała się na jedną stronę. Dunross zdjął obraz ze ściany i otworzył sejf. W środku znajdowało się wiele dokumentów, niektóre związane tasiemkami, jedne stare, inne nowsze, kilka małych pude-

łek, naoliwiony i załadowany mauzer w futerale, pojemnik z nabojami, duża Biblia z herbem Struanów ręcznie tłoczonym na starej skórzanej okładce oraz siedem niebieskich teczek podobnych do tej, którą trzymał w dłoni.

W zamyśleniu postawił ją na swoim miejscu. Gdy zamykał sejf, rzucił

okiem na zabytkowy egzemplarz Biblii i zmienił zamiar. Dotknął księgi palcami, potem chwycił ją i otworzył. Do wstążki starej woskowej pieczęci przy-mocowane były dwie brązowe połówki nierówno przełamanych chińskich monet. Dawno temu istniały cztery takie przełamane na pół monety, teraz pozostały dwie, a brakujące połówki znajdowały się nie wiadomo gdzie. Pieczęć z monetami była przytwierdzona do odręcznie zapisanej karty. „Przysię-

gam na Boga Pana, że ktokolwiek przedstawi mi brakującą połówkę monety, spełnię jego każdą prośbę". Podpisane przez Dirka Struana 23 lutego 1841 ro-ku, a niżej przez Culuma Struana i następnich tai-panów aż do lana Dunrossa.

Obok miejsca, gdzie dawniej znajdowała się jedna z monet, zanotowano:

„Wu Fang Czoj, zapłacone częściowo 29 marca roku pańskiego 1841", znów podpis Dirka Struana i obok Culuma Struana z datą 18 czerwca 1845 roku i dopisek „zapłata pełna". Obok drugiego miejsca: „Sun Czen-iat, zapłata pełna, 10 października 1911" i podpis grubymi literami: Hag Struan.

Ech, westchnął rozbawiony Dunross, co za wspaniała przebiegłość: być ostrożną do tego stopnia, żeby z myślą o przyszłych pokoleniach podpisać się Hag, a nie Tess Struan.

Ile jeszcze pokoleń? - zadawał sobie pytanie. Ile jeszcze tai-panów będzie podpisywać to i w ciemno przysięgać, że wypełni zobowiązania człowieka, który prawie od półtora wieku już nie żyje?

W zamyśleniu przesunął palec po nierównych brzegach połówek monet. Po chwili ostrożnie zamknął Biblię, odłożył ją na miejsce, dotknął ostatni raz na szczęście i zamknął sejf. Z powrotem powiesił obraz. Stojąc z rękami głęboko w kieszeniach przed kominkiem tuż obok chińskiego ekranu osłaniającego palenisko, podziwiał portret Dirka Struana.

Był to ulubiony obraz Dunrossa przedstawiający wielkiego przodka. Gdy został tai-panem, zabrał go z Wielkiej Galerii i umieścił na honorowym miejscu zamiast Hag Struan, która wisiała nad kominkiem w gabinecie tai-pana od czasów powstania Wielkiego Domu. Autorem obydwu był Arystoteles Quance.

Na tym obrazie Dirk Struan stał na tle kar-mazynowej zasłony w aroganckiej pozie, na sobie miał czarny płaszcz, kamizelkę i bufiastą koszulę zawiązaną halsztukiem. Wysoko podniesione brwi, masywny nos, rudawe włosy, bujne bokobrody i oczy świdrujące oglądającego obraz.

Dunross uśmiechnął się, nie czuł strachu ani niepokoju. Widok przodka uspokajał go. Zdawał sobie sprawę, że jest opętany przez Dirka Struana. Podniósł

kieliszek szampana i jak wiele razy przedtem powiedział do postaci na obrazie:

- Na zdrowie!

Oczy patrzyły na niego. Co ty byś zrobił, Dirk, zastanawiał się Dunross. Ty, silny i mądry.

- Na pewno kazałbyś złapać zdrajcę i zabić - powiedział na głos. - I chyba miałbyś rację.

Sprawa zdrajcy nie wstrząsnęła nim tak bardzo, jak wiadomości o szajce szpiegowskiej Sevrin i jej związkach z USA oraz zadziwiające, tajne działania komunistów w Wielkiej Brytanii. Jak ten Grant zdobywa te informacje? - setki razy zadawał sobie to pytanie.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Alan Medford Grant był niski, łysy, podobny do elfa, miał duże oczy i duże zęby, nosił frak oraz melonik. Dunross od razu go polubił.

- Proszę się nie martwić, panie Dunross - zapewnił Grant, gdy Dunross zatrudnił go w 1960 roku zaraz po mianowaniu na tai-pana. - Zapewniam pana, że gdy będę prowadził komitet badań nad sprawami, o których mówi liśmy i jeszcze pomówimy, nie będzie istnieć konflikt interesów rządu Jej Wysokości i pana. Będę dostarczał panu, oczywiście poufnie, w żadnym razie do publicznej wiadomości, jedynie takie materiały, które według mojej opinii nie będą sprzeczne z dobrem narodowym. Mimo wszystko nasze interesy są zbieżne, nieprawdaż?

- Sądzę, że tak.

- Mogę zapytać, jak się pan o mnie dowiedział?

168

- Mamy przyjaciół w wielu miejscach, panie Grant. W pewnych kręgach pańskie nazwisko otoczone jest sławą. Przypuszczalnie mógłby pana zarekomendować nawet sekretarz stanu - dodał.

- Ach tak.

- Czy tryb współpracy zadowala pana?

- Tak. Najpierw rok, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeszcze pięć lat. A po pięciu?

- Kolejne pięć - zasugerował Dunross. - Jeśli osiągniemy zadowalające wyniki, chciałbym zatrudnić pana na dłużej.

- Jest pan szczodry. Mogę zapytać, dlaczego jest pan tak hojny, czy może lepiej będzie pasować słowo „ekscentryczny” w tym wypadku?

- Sun Tzu mówi: „Mądryemu suwerenowi i dobremu dowódcy w celu zdobycia rzeczy znajdujących się poza zasięgiem zwykłego człowieka potrzeba wczesnej informacji. A uzyskać ją można jedynie dzięki wywiadowcom. Dla państwa nic nie jest ważniejsze niż kwalifikacje wywiadowców. Po tysiącokrotnie taniej utrzymać godziwie najlepszych wywiadowców niż nawet najmniejszą armię”.

Alan Medford Grant uklonił się.

- Święta prawda! Moje osiem i pół tysiąca rocznie to godziwe wynagrodzenie, panie Dunross.

- Sądzi pan, że mógłbym dokonać lepszej inwestycji?

- Nie, jeśli będę odpowiednio postępował. I gdy zdobędę wszystko, co najlepsze. Wtedy trzydzieści tysięcy funtów ze stutysięcznego funduszu przeznaczonego na... informacje i informatorów oraz inne tajne wydatki...

cóż, sądzę, że będzie pan usatysfakcjonowany.

- Jeśli naprawdę jest pan najlepszy, podniosę jeszcze wynagrodzenie. I mam nadzieję, że tak się stanie - podkreślił.

- Oczywiście, zrobię wszystko, co w mojej mocy. A teraz proszę mi powiedzieć, jakich dokładnie informacji pan oczekuje.

- Wszystkich. Handlowych, politycznych, takich, które pomogłyby w planowaniu działalności Struanów, zwłaszcza na wybrzeżu Pacyfiku, Rosji, Stanów, Japonii. O Chinach chyba sami wiemy więcej. Lepiej, żeby informacji było za dużo niż za mało. W tej chwili wszystko będzie istotne, ponieważ chcę oderwać Struanów od przemysłu chińskiego, a dokładniej mó-

więc, chcę, abyśmy stali się kompanią międzynarodową i uniezależnili się od Chin.

- Doskonale. Po pierwsze: nie chcę powierzać swoich raportów poczcie.

- Ja zorganizuję kurierów.

- Dziękuję. Po drugie: muszę mieć wolną rękę w wybieraniu i pozbywaniu się członków komitetu

oraz w wydawaniu pieniędzy.

- Zgoda.

169

- Wystarczy pięciu członków.

- Ile chce pan im zapłacić?

- Pięć tysięcy funtów rocznie przy możliwości zatrudnienia się gdzie indziej na pewno ich zadowolą. Zdobędę najlepszych ludzi. Nasze kontakty będą nas wiązać z zagranicą, zwłaszcza Szwajcarią. Moglibyśmy tam odbierać pieniądze?

- Powiedzmy, że pełną sumę będę wysyłał kwartalnie na szwajcarskie konto.

Pan będzie nią dysponował według własnego uznania.

- Nie chcę też, żeby pieniądze dostawały się na konta imienne.

- W porządku - powiedział po chwili przerwy Dunross.

- Dziękuję. Chyba zdołamy się porozumieć. Może pan podać mi przykład tego, czego pan oczekuje?

- Tak. Nie chciałbym się dać zaskoczyć tak jak mój poprzednik z Suezem.

- A! Ma pan na myśli porażkę z pięćdziesiątego szóstego roku. Eisenhower jeszcze raz zdradził nas i zablokował brytyjsko-francusko-izraelski atak na Egipt, bo Naser znacjonalizował kanał?

- Tak. Nas to kosztowało fortunę. Pokrzyżowało interesy na Bliskim Wschodzie i prawie zrujnowało. Gdyby poprzedni tai-pan wiedział o tych wydarzeniach, zbilibyśmy majątek na przewozach... Albo gdybyśmy podejrzewali, że Eisenhower może wystąpić po stronie sowieckiej Rosji przeciwko nam, na pewno zminimalizowalibyśmy nasze straty.

Mały człowieczek uśmiechnął się smutno.

- Wie pan, że on zagroził, iż zamrozi wszystkie brytyjskie, francuskie i izraelskie aktywa w Stanach, jeśli natychmiast nie wycofamy się z Egiptu, podczas gdy my niemal już osiągnęliśmy zwycięstwo? Uważam, że wszystkie nasze kłopoty na Bliskim Wschodzie są następstwem tamtych posunięć Stanów. Tak. Oni nieumyślnie aprobują piractwo międzynarodowe i przy gotowują grunt dla przyszłych piratów. Nacjonalizacja. Dobry żart! Lepsze słowo to kradzież albo piractwo. Tak. Eisenhower miał złych doradców.

A złe doradztwo prowadzi do takich politycznych błędów, jak ugoda w Jał

cie, pozwalająca zagarnąć Stalinowi większość Europy, podczas gdy z roz mieszczenia militarnego jasno wynikało nawet dla durnego polityka czy bezradnego generała, że wycofywanie się jest wbrew

narodowemu interesowi naszemu i Stanów Zjednoczonych. Sądzą, że Roosevelt nienawidził

Imperium Brytyjskiego.

Mały człowieczek skłonił się i podniósł palec.

- Obawiam się, że w zatrudnieniu mnie jest jeden poważny szkopuł.

Otóż moje przekonania są całkowicie probrytyjskie i antykomunistyczne, a szczególnie jestem przeciwnikiem KGB, będącego głównym instrumentem sowieckiej polityki zagranicznej otwarcie dążącej do naszej destrukcji.

A więc część z moich prognoz powinien pan odkładać. Jestem przeciwny 170

lewicowej dominacji laburzystów i mogę przypominać kogoś, kto podsłuchał, że hymnem Partii Pracy jest „Czerwona Flaga”. - Alan Medford Grant uśmiechnął się szelmowsko.

- Dobrze od początku wiedzieć, na czym się stoi. Jestem rojalistą, lojalistą i wierzę w brytyjską drogę parlamentaryzmu. Ale nigdy z rozmysłem nie prześlę panu informacji przeznaczonej, zniekształconej moimi poglądami.

Mogę zapytać o pańskie przekonania polityczne?

- My w Hongkongu nie mamy poglądów politycznych, panie Grant. Nie głosujemy. Nie ma wyborów, jesteśmy kolonią, wolnym portem kolonialnym, a nie krajem demokratycznym. Tu panuje Korona. A właściwie gubernator w imieniu Korony. Ma radę legislacyjną, ale to tylko marionetkowa rada, utrzymywana ze względu na tradycję. Sam załatwia wszystkie sprawy.

Słucha środowiska biznesmenów, ostrożnie przeprowadza zmiany socjalne sprowadzające się do pozwalania ludziom na robienie lub nierobienie pieniędzy, na budowanie się, rozrastanie, na wjeżdżanie i wyjeżdżanie, na marzenia lub jawę, na życie lub śmierć, najlepsze, na jakie kogo stać. Podatki maksymalne wynoszą tylko piętnaście procent i dotyczą wyłącznie pieniędzy zarobionych w Hongkongu. Nie mamy polityków i nie chcemy ich, Chiny także ich tu nie chcą. Oni też są za *status quo*. A moje osobiste poglądy?

Jestem rojalistą, jestem za wolnością, wolnym rynkiem i wolnym przemysłem. Jestem Szkotem, jestem za Struanami, za *laissez-faire* i za wolnością na całym świecie.

- Dobrze. Myślę, że się porozumiemy. Nigdy przedtem nie pracowałem dla osoby prywatnej. Tylko dla rządu. To będzie dla mnie nowe doświadczenie. Mam nadzieję, że sprostam pańskim wymaganiom. - Grant przerwał

na dłuższą chwilę. - Coś takiego jak Suez pięćdziesiąt sześć? - Zmarszczył

brwi. - No cóż, może pan zaplanować, że Ameryka straci Kanał Pa-namski.

- Śmieszne.

- Nie aż tak bardzo, panie Dunross! To proste. Dziesięć albo i piętnaście lat wrogiej propagandy, mnóstwo przemówień liberałów, działania dobroczyńców wierzących w dobro ludzkiej natury plus skromna agitacja panam-ska, studenci, jak zwykle oni, podsycani po mistrzowsku przez wyszkolonych, cierpliwych, zawodowych agitatorów plus tajne działania KGB, długoterminowy plan i wszystko razem składa się na utratę kanału na rzecz wroga.

- Amerykanie nigdy na to nie pójda.

- Jak nie pójda, to przystaną. Co może podczas wojny czy nawet kryzysu bardziej zaszkodzić największemu kapitalistycznemu wrogowi, jak nie przejęcie Kanału Panamskiego albo podsypywanie go kamieniami? Jeden statek zatoni albo zdarzy się katastrofa przy wpływie i można kanał zamknąć na wiele lat.

171

Dunross pamiętał, że przygotował wtedy dwa kolejne drinki i dopiero wtedy zadał pytanie:

- Pan naprawdę sugeruje, że powinniśmy uwzględnić to wydarzenie w naszych planach?

- Tak - potwierdził mały człowieczek nadzwyczaj cierpliwie. - Ja poważnie podchodzę do swojej pracy, panie Dunross. Sam ją sobie wybrałem.

Polega na szukaniu, odkrywaniu i ocenianiu posunięć wroga. Nie jestem nastawiony antyrosyjsko czy antychińsko. Wprost przeciwnie, chciałbym pomóc tym krajom. Uważam, że znajdujemy się w stanie wojny ze wszystkimi członkami partii komunistycznej, obojętnie, czy w Anglii, Rosji, Chinach, Ameryce, Irlandii czy na Węgrzech. Wszyscy w taki czy inny sposób są ze sobą związani. A w środku tej pajęczyny, czy im się to podoba, czy nie, siedzi KGB. - Napił się drinka. - Wyśmienita whisky, panie Dunross.

- To Loch Vey, pochodzi z małej gorzelnii w pobliżu moich dóbr rodowych w Ayr. Należy do Struanów.

- Wyśmienita! - Napił się jeszcze, a Dunross obiecał sobie wysłać mu całą skrzynkę na Gwiazdkę, jeśli pierwszy raport okaże się interesujący.

- Nie jestem fanatykiem, panie Dunross, ani mącicielem. Raczej reporterem i planistą. Niektórzy kolekcjonują znaczki, ja zbieram sekrety...

Światła samochodu mijającego zakręt przed domem Dunrossa wyrwały go z zamyślenia. Wyrwał przez okno i patrzył, aż samochód zniknie, ciesząc się dźwiękiem pracującego na wysokich obrotach silnika. Znowu usiadł w głębokim fotelu i dał się ponieść myślom. Tak, panie Grant, naprawdę kolekcjonuje pan tajemnice, myślał jak zawsze oszołomiony ogromem wiedzy tego małego człowieczka.

Sevrin... Boże wszechmogący! Jeśli to nie pomyłka...

Na ile prawdziwa jest ta wiadomość? Czy i tym razem mogę uwierzyć?

Jak dotychczas dwie prognozy z poprzednich raportów Granta spełniły się. Na rok wcześniej przepowiedział, że de Gaulle przeciwstawi się brytyjskim wysiłkom dołączenia do EWG, że francuski generał przyjmie postawę antybrytyjską, antyamerykańską i prosowiecką i że de Gaulle pod wpływem nacisków zewnętrznych oraz jednego z najbliższych doradców - głęboko zakonspirowanego agenta KGB - przeprowadzi długoterminowy atak na amerykańską gospodarkę, polegający na spekulacjach złotem. Dunross zlek-cewał tę wiadomość i stracił potencjalny majątek.

Sześć miesięcy wcześniej Grant przepowiedział nagły kryzys na Kubie oraz to, że Kennedy rzuci rękawicę, blokując Kubę, i nie przestraszy się wysłanych przez Chruszczowa statków. Tym razem Dunross wykorzystał

informację - choć nagły kryzys na Kubie wydawał się wysoce nieprawdo-podobny - i zarobił dla Struanów pół miliona funtów na kontraktach terminowych przy zakupie cukru na Hawajach, sześćset tysięcy na giełdzie, a ko-172

lejne sześćset tysięcy przeznaczył na tajny fundusz tai-pana. Utwierdził się również w przekonaniu o opłacalności długoterminowego planu inwestowania w hawajskie plantacje cukru, gdy tylko zdobędzie na to finansowe środki. I już je masz, pogratulował sobie spokojnie. Par-Con.

- Prawie masz - poprawił się.

Na ile mogę wierzyć w te doniesienia? Na tyle, ile środków pochłonęła ogromna inwestycja w komitet Granta. Tak. Ale to prawie tak samo, jak mieć swojego astrologa. Kilka trafnych przepowiedni nie oznacza, że wszystkie się spełnią. Hitler też miał swojego astrologa. Podobnie Juliusz Cezar. Bądź

uważny, bądź rozsądny, powtarzał.

Co robić? Decyzję trzeba podjąć teraz albo nigdy.

Sevrin. Alan Medford Grant napisał:

Dostarczone nam dokumenty, potwierdzone przez francuskiego agenta Marie d'Orleans, wskazują na to, że Departament V KGB (Dezinformacja na Dalekim Wschodzie) ma na całym Dalekim Wschodzie głęboko zakonspirowaną siatkę szpiegowską o kryptonimie Sevrin. Cel działania Sevrin jasno wynika ze znalezionych dokumentów:

„ Cel: Paraliżowanie chińskich rewizjonistów - oficjalnie uznanych przez Komitet Centralny ZSRR za głównego, tuż po amerykańskich kapitalistach, wroga.

Procedura: Doszczętne niszczenie Hongkongu jako dalekowschodniego bastionu kapitalizmu i głównego źródła dopływu obcej waluty oraz technologii do Chin.

Metoda: Długoterminowa, kontrolowana przez Centrum, zgodnie ze specjalistycznymi procedurami w Azji, infiltracja prasy i innych mediów, rządu, policji, sfer biznesu oraz edukacji.

Data rozpoczęcia: Natychmiast.

Czas trwania operacji: Około trzydziestu lat. Data docelowa: 1980-83.

Klasyfikacja: Czerwień.

Fundusze: Maksymalne.

Zatwierdzono: L.B., 14 marca 1950".

Warto zauważyć - kontynuował Grant - że dokument został podpisany w 1950

roku przez L.B., przypuszczalnie Ławrentija Berię, gdy sowiecka Rosja była sprzymierzeńcem komunistycznych Chin, a także że już wtedy Chiny uważane były za wroga numer dwa. (Poprzedni raport 3/1962, Rosja kontra Chiny).

Chiny od wieków są i zawsze będą łupem pożądanym przez imperialistyczną i hegemoniczną Rosję. Chęć zagarnięcia Chin lub ich części nieprzerwanie dominuje w polityce zagranicznej Rosji. Na pierwszym miejscu stoi oczywiście wymazanie z mapy Europy Zachodniej, a potem wchłonięcie Chin.

173

Dokumenty wskazują na to, że hongkongska komórka Sevrin składa się z mieszkającego na stałe koordynatora o kryptonimie Arthur oraz sześciu innych agentów. O Arthurze nie wiemy nic, z wyjątkiem tego, że został zwerbowany do KGB w latach trzydziestych na terenie Anglii (nie wiadomo, czy tu się urodził ani czyjego rodzice byli Anglikami, ale prawdopodobnie ma teraz około pięćdziesięciu lat). Oczywiście prowadzona przez niego misja ma charakter ściśle tajny.

Oto tłumaczenie dokumentów wykradzonych z czechosłowackiego STB, datowanych 6 kwietnia 1959 roku: „ (...) pomiędzy rokiem 1946 a 1959 koordynator Arthur zwerbował sześciu agentów: po jednym w biurze kolonialnym Hongkongu (kryptonim Charles), ministerstwie skarbu (Mason), bazie marynarki (John), Banku Londynu i Chin (Vincent), przedsiębiorstwie łącznościowym (William) oraz w przedsiębiorstwie Struan i Spółka (Frederick).

Zgodnie z procedurą jedynie koordynator Arthur zna prawdziwe personalia całej szóstki. Zainstalowano sześć bezpiecznych domów. Między innymi w Sinclair Towers na wyspie Hongkong i w hotelu „ Dziewięć Smoków ” w Koulunie. W Nowym Jorku Sevrin kontaktuje się z agentem o kryptonimie Guillio. Jest on dla nas bardzo ważny ze względu na swoje koneksje z mafią i CIA ”.

Dalej Grant donosił, że Guillio przypuszczalnie nazywa się Yincenzo Banastasio i jest znanym aferzystą, a także obecnym donem rodziny Salla-pione. Sprawdzamy to właśnie w USA. Nie wiemy, czy głęboko zakonspirowany agent wroga w policji należy do Sevrin, ale przypuszczalnie tak.

Wedle naszej opinii Chiny, po wyrzuceniu w 1960 roku wszystkich sowieckich inżynierów, chcą powstałą pustkę i chaos wypełnić dla równowagi kontaktami z Zachodem. Wojsko chińskie pilnie wymaga modernizacji.

Tegoroczne plony okazały się niskie. Tak więc powstał otwarty rynek na wszelkie formy sprzętu wojskowego i strategicznych materiałów. Planuje się długoletnie zamówienia na ryż do Ameryki.

Z całym szacunkiem, uniżony sługa AMG. Londyn, 15 sierpnia 1963 roku.

Odrzutowce, czołgi, amunicja, karabiny, rakiety, silniki, ciężarówki, paliwo, opony, sprzęt elektroniczny, żywność, myślał Dunross. Nieograniczony rynek zbytu, niezbyt oddalony, bez kłopotów z transportem, a nic nie przynosi takiego dochodu jak armia. Jednakże, pomimo słów Granta, Chiny, choć w potrzebie, niczego nie kupują.

Kim może być Arthur?

I kto szpieguje u Struanów? Jezu Chryste, najpierw John Czen i Tsu-ian wplątują się w przemyt broni, a teraz agent KGB. Kto? Może...

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę - odrzekł, rozpoznając pukanie żony.

174

- Prawie ósma, Ian.- To rzeczywiście była Penelopa. - Wolałam ci przy pomnieć. Wiesz, jaki jesteś.

-Tak.

- Jak ci dzisiaj poszło? Straszna sprawa z Johnem, prawda? Chyba czytałeś gazety? Schodzisz na dół?

- Tak. Szampana?

- Chętnie.

Nalał jej złocistego płynu do kieliszka i dolał także sobie.

- O, przy okazji, Penn, zaprosiłem kolegę. Peter Marlowe z RAF. Był u mnie po południu.

- Lotnik?

- Tak. Ale na Hurricanach i Spitfierach. Nowa sukienka? -Tak.

- Pięknie w niej wyglądasz.

- Dziękuję, ale chyba nie. Czuję się tak staro. - Usiadła w drugim fotelu, używała perfum równie delikatnych jak jej figura.

- Mówiłeś, Peter Marlowe?

- Tak. Został złapany w czterdziestym drugim. Trzy i pół roku był na Jawie jeńcem wojennym.

- Biedak. Został zestrzelony?

- Nie. Japończycy ostrzelali go, zanim zapuścił silnik. Miał szczęście.

Postrzelili dwie maszyny na ziemi i dwie ledwie unoszące się. W tych drugich piloci spłonęli. Zdaje się, że te cztery Hurricany były smętną resztką naszej obrony powietrznej na Dalekim Wschodzie. Musiała być niezła zadyma!

- Okropieństwo!

- Tak. Dzięki Bogu podczas wojny byliśmy w Europie. Mówił, że rok siedział na Jawie, a potem Japończycy przenieśli go na roboty do Singapuru.

... - Do Changi? - zapytała zmienionym głosem. a -

Tak! j - O!

- Był tam dwa i pół roku.

Changi po malajsku znaczy gęsta winorośl i tak też nazywało się więzienie, w którym Japończycy urządzili podczas drugiej wojny światowej okryty złą sławą obóz jeniecki.

Zastanawiała się moment, a potem trochę nerwowo zapytała:

- Znał Robina? - Robin Grey był jej bratem i jedynym żyjącym krewnym, rodzice zginęli podczas nalotu na Londyn w 1943 roku, na krótko przed jej ślubem z Dunrossem.

- Marlowe mówi, że tak. Zdaje się, że go pamięta, ale wyraźnie nie chce rozmawiać o tamtych czasach, więc dałem spokój.

175

- Wyobrażam sobie. Powiedziałeś mu, że Robin jest moim bratem? -Nie.

- Kiedy Robin ma tu wrócić?

- Dokładnie nie wiem. Za kilka dni. Po południu gubernator mówił mi, że delegacja właśnie przebywa w Pekinie.

Pekin zaprosił do siebie na dyskusję o związkach zawodowych delegację złożoną z członków parlamentu brytyjskiego - przedstawicieli trzech partii: Konserwatywnej, Liberalnej i Pracy. Delegacja przybyła dwa tygodnie temu do Hongkongu, skąd ruszyła już bezpośrednio do Kantonu, gdzie odbywały się wszystkie negocjacje. Bardzo rzadko zdarzały się takie zaproszenia, a jeszcze rzadziej do samego Pekinu. Robin Grey reprezentował w parlamencie Partię Pracy.

- Penn, kochanie, nie sądzisz, że powinniśmy skontaktować się z Robinem?

Zaprosić go do nas. Mimo wszystko od lat go nie widzieliśmy, a on po raz pierwszy od długiego czasu jest w Azji. Nie czas już zakopać topór wojenny i zawrzeć pokój?

- Jego noga nie postanie w moim domu. W żadnym z moich domów.

- Co było, minęło. Może warto dać spokój waśniom.

- Nie. Ja go znam, a ty nie. Robin ma swoje życie i my mamy swoje. I on, i my zgadzamy się na taki stan rzeczy od lat. Nie, nie mam ochoty spotykać się z nim. On jest zły, niebezpieczny, nudny... i do tego kłamca.

Dunross roześmiał się.

- Zgadzam się, że jest trochę nieznośny i nie podzielam jego przekonań politycznych, ale jest tylko jednym z sześciu parlamentarzystów. To ważna delegacja. Powinienem coś dla nich zrobić, Penn.

- Ależ proszę bardzo, Ian. Ale nie tutaj. Albo przynajmniej uprzedź wcześniej, żebym mogła się wynieść i zadbać, żeby dzieci zrobiły to samo. - Potrząsnęła głową, jakby w ten sposób chciała pozbyć się złego humoru. - Nie pozwólmy, aby Robin popsuł nam wieczór. Co ten Marlowe porabia w Hongkongu?

- Jest pisarzem. Mówi, że chce napisać książkę o Hongkongu. Teraz mieszka w Ameryce. Stamtąd pochodzi jego żona. O, *a propos*, zaprosiłem także dwoje Amerykanów, Linca Bartletta i Casey Tcholok.

- O! - Penelopa Dunross uśmiechnęła się. - Cóż, czterech czy czterdziestu dodatkowych gości. Nie ma żadnej różnicy. Większości z nich i tak wolałabym nie znać. A Klaudia jak zwykle sprawnie wszystko zorganizuje. - Uniosła brwi. -

A więc będziemy mieli przemytników broni między piratami. Jedni warci drugich.

- Myślisz, że on jest przemytnikiem?

- Wszyscy tak mówią. Czytałeś tę notkę w popołudniowym „Mirror”? Ah Tat jest przekonana, że Amerykanin przywiózł zły *dżos*, powiadomiła o tym całą służbę, dzieci i mnie, a więc to oficjalna wiadomość. O, Tat po-176

informowała też Adryon, że jej astrolog nalegał, aby cię ostrzegła przed złym wpływem ze Wschodu. Tat jest przekonana, że chodzi o Jankesów. Jeszcze ci o tym nie mówiła? -Nie.

- Boże, szkoda, że nie paplam tak po kantońsku jak ty i dzieci. Powiedziałabym tej starej klempie, żeby trzymała swoje przepowiednie i opinie dla siebie. To ona ma zły wpływ.

- Całe swoje życie poświęca dla dzieci.

- Wiem, wiem, była twoją *gan sun*, wychowywała cię i jest zdania, że niebo ją zesłało Dunrossom. Ale mimo to uważam, że jest kłótniwą, wstrętną staruchą i nie znoszę jej. - Uśmiechnęła się. -

Słyszałam, że ta Amerykanka jest bardzo piękna.

- Atrakcyjna, owszem, ale nie piękna. Utarła nosa Andrew.

- Wyobrażam sobie. Kobieta w biznesie! Jak my sprawujemy się w waszym wielkim świecie? Dobra jest?

- Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Bardzo inteligentna. Ale prowadzi sprawy trochę niezgrabnie.

- Widziałeś się z Adryon?

- Nie, a co? - zapytał, wyczuwając w tonie żony, że coś jest nie tak.

- Znowu była w mojej garderobie. Połowa moich pończoch zginęła, reszta dziurawa, wszystkie chustki porzucane, przepadła moja nowa bluzka, zginął nowy pasek... to dziecko mnie wykończy!

- Dziewiętnastolatka to już nie dziecko - stwierdził spokojnie.

- I tak mnie wykończy! Rozmawiałam z nią setki razy.

- Ja z nią pomówię.

- Nic nie pomoże.

- Wiem.

Oboje się roześmiali.

- Proszę - wręczył jej małe pudełeczko. - Na dwudziestą rocznicę.

- Dziękuję, Ian. Prezent dla ciebie mam na dole. Będziesz... - Przerwała i otworzyła pudełko. W środku znajdowała się srebrna bransoletka wysadzana nefrytami, delikatna, piękna, stara - gratka dla konesera. - O, cudowna, dziękuję, Ian. - Założyła bransoletkę na rękę obok złotego łańcuszka. Nie słyszał w jej głosie ani prawdziwej radości, ani niezadowolenia. - Wspaniała

- powiedziała i pocałowała go w policzek. - Jeszcze raz dziękuję. Gdzie taką dostałeś? W Tajwanie?

- Nie, tutaj. Na Cat Street. U Wong Czun Kita, on zbie...

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła dziewczyna. Była wysoka, smukła i ładna.

- Chyba w porządku - mówiła zasapana - że umówiłam się na randkę.

Dryndał, że się spóźni, ale będzie okay. To łośbski koleś. 1 całkiem wdechowy.

- Na miłość boską, Adryon - skarcił ją łagodnie Dunross. - Ile razy mam ci powtarzać, że masz pukać przed wejściem i mówić poprawnie po angielsku?

Co to znaczy wdechowy?

- Dobry, mądry, no... taki w dechę. Przykro mi, tato, ale jesteś trochę staroświecki. Takie słowa jak łąbski czy wdechowy już się przyjęły. Nawet tu, w Hongkongu. Do zobaczonka, pa, bawcie się dobrze. Po przyjęciu wychodzę, późno wrócę, więc nie...

- Czekaj...

- To moja bluzka, moja nowa bluzka! - wybuchnęła Penelopa. - Adryon, oddaj ją w tej chwili! Setki razy mówiłam ci, żebyś trzymała się z daleka od mojej garderoby.

- O, mama - odpowiedziała ostro Adryon - ty jej teraz nie potrzebujesz, nie mogę pożyczyć sobie na wieczór? - Zmieniła ton. - Proszę... Tak bardzo proszę!

Tata, powiedz mamie. - Przeszła na płynny kantoński. - Szanowny Ojciec...

wstaw się za swą Córką Numer Jeden, aby osiągnęła to, co nieosiągalne. W

przeciwnym razie rozplączę się i będę szlochać, szlochać, szlochać... -1 znów po angielsku jednym tchem. - Mam, niepotrzebna ci, a ja naprawdę będę uważać. Proszę.

-Nie.

- No coś ty, proszę cię. Będę uważać, obiecuję. -

Nie.

- Mam! -Cóż, jeśli

obie...

- Dziękuję. - Dziewczyna ukloniła się, odwróciła na pięcie, wyszła i zatrzasnęła drzwi.

- Jezu Chryste -jęknął Dunross - dlaczego za nią zawsze trzaskają drzwi?

- Przynajmniej nie robi tego umyślnie. - Penelopa westchnęła. - Boże, nie wiem, jak dam radę jeszcze raz przez to przejść.

- Ja też. Na szczęście Glenna jest rozsądna.

- Tylko na razie, Ian.Ona wdała się w tatusia. Tak samo jak Adryon.

- Też coś! Ja nie mam kłótniowego charakteru. A skoro już przy tym jesteśmy, mam nadzieję, że tym razem Adryon umówiła się z kimś odpowiednim, a nie jak zwykle. Kto po nią przyjedzie?

- Nie mam pojęcia, Ian. Też pierwszy raz o tym słyszę.

- Oni są zawsze tacy dziwni! Jeżeli chodzi o mężczyzn, to ma fatalny gust.

Pamiętasz tego knypka z głową jak melon i rękami jak u neandertalczyka? Była w nim zakochana do szaleństwa. Jezu, miała piętnaście lat...

- Prawie szesnaście.

- Jak on się nazywał? Byron, tak, Byron. Boże drogi!

- Naprawdę, nie powinieneś tak się tego czepiać, Ian. To była szczenięca miłość.

178

- Chyba goryla miłość. Podobny był do małpy... A pamiętasz tego drugiego, tego, co był przed tym Byronem, taki psychiczny... jak on się nazywał?

- Victor. Tak, Victor Hopper. To ten... Tak, pamiętam go. Przyszedł i zapytał, czy nic się nie stanie, jak się prześpi z Adryon.

-Co?!

- No tak. - Uśmiechnęła się niewinnie. - Nie mówiłam ci wtedy... I do brzo zrobiłam.

-O co pytał?!

- Spokojnie, Ian, wszystko w porządku. To było ze cztery lata temu.

Powiedziałam mu, że nie, jeszcze nie teraz, że Adryon ma dopiero czternaście lat, ale gdy będzie miała dwadzieścia jeden... Ta miłość też wygasła.

- Jezu Chryste! Zapytał cię, czy mo...

- Przynajmniej zapytał! To już coś. Teraz to zwyczajna rzecz. - Wstała i dołała szampana. - Jeszcze tylko z dziesięć lat takiego mętliku i zostaniesz dziadkiem. - Uśmiechnęła się i trącili się kieliszkami.

- Znow masz rację - przyznał. Już tyle lat, tyle wspaniałych lat. Miałem szczęście, pomyślał. Błogosławię ten pierwszy dzień. Działo się to w jed-nostce RAF w Biggin Hill, był ciepły, słoneczny sierpniowy poranek czterdziestego roku w czasie trwania Bitwy o Anglię, właśnie tam przydzielono Penelopę jako ochotniczkę WAAF. Zaczynał się ósmy dzień walk, on miał

trzecią misję i po raz pierwszy zestrzelił samolot wroga. Spitfire Dunrossa podziurawiły kule, miał uszkodzone skrzydło i kadłub. Według wszelkich zasad dzosy powinien zginąć, ale przeżył, a Messerschmitt wraz z pilotem przepadli na zawsze. On, Dunross, siedział bezpiecznie w domu pełen strachu, ulgi i wstydu, że wrócił, a młodzieniec, wróg, którego widział w kabinie, z krzykiem spłonął

w nurkującym samolocie.

- Dzień dobry, sir - powiedziała Penelopa Grey.

- Witamy w domu, sir. Proszę. - Podała mu kubek gorącej, słodkiej herbaty. Nie powiedziała nic więcej, chociaż powinna od razu wypytać o lot. Nie mówiła nic, tylko uśmiechnęła się i dała mu czas na powrót z przestworzy na ziemię. Nie podziękował jej, wypił herbatę i smakowała mu jak nigdy w życiu.

- Zestrzeliłem Messerschmitta - wyjąkał, gdy odzyskał mowę, głosem drżącym tak samo jak kolana. Nie pamiętał, jak odpinał pas, jak wychodził z kabiny ani jak znalazł się w ciężarówce z innymi, którzy przeżyli. - Numer 109.

- Tak, dowódca szwadronu Miller już potwierdził zestrzelenie i prosił, żeby był pan gotów do następnego lotu. Tym razem na Poppa Mikę Kilo.

Dziękuję, sir, jednego diabła mniej... Och, jak ja bym chciała polecieć pomóc panu w zabijaniu tych potworów...

179

Nie było żadnych potworów, myślał, przynajmniej nie w tym samolocie, który zestrzeliłem. Nie potwór, tylko taki sam młody chłopak jak ja, z pewnością w tym samym wieku. Umarł, krzycząc w płonącym samolocie. Po południu albo jutro, albo kiedy indziej nadejdzie moja kolej. Za dużo wrogów, za mało nas.

- Wrócił Tommy, Tom Lane?

- Nie, sir, przykro mi. . Dowódca szwadronu wspominał, że porucznik Lane wyskoczył nad Dover.

- Na mnie też przyjdzie czas - rzucił.

- Nie, sir, na pana nie. Nie zestrzelą pana. Ja to wiem. Na pewno, nie pana.

Nigdy pana nie dostaną, nigdy, nigdy, przenigdy - powtarzała. Miała jasnoniebieskie oczy, jedwabiste włosy i śliczną twarz. Nie skończyła jeszcze osiemnastu lat, ale wyglądała na silną i godną zaufania.

Zaufał więc, a jej wiara pomagała mu przez następne cztery miesiące -

czasami pięć lotów dziennie. Gdy został trafiony, myślał, że się pomyliła, ale przeżył i skończyło się na poparzeniu. A potem, kiedy już wyszedł ze szpitala, pobrali się.

- Trudno uwierzyć, że to już dwadzieścia lat - powiedział, nie pokazując po sobie radości.

- I jeszcze dwa - dodała, również skrywając szczęście.

-1 dwa wcz...

Otworzyły się drzwi. Penelopa westchnęła, gdy do pokoju wkroczyła Ah Tat, mówiąc po kantońsku z niewiarygodną szybkością:

-*Aiii ia*, mój Synu, jeszcze niegotowy, a nasi szlachetni goście mogą się zjawić w każdej chwili. Krawat jeszcze nie zawiązany. Zupełnie niepotrzebnie została zatrudniona do gotowania ta obca... wygląda jak tania ulicznica z północnego Kwantung, gdzie najlepsi złodzieje i najgorsze ladacznice podają się za kucharzy. Rozniosą naszą kuchnię i zmącą nasz spokój. - Drobna, stara kobieta paplała bez ustanku, a jej ręce odruchowo zabrały się do wiązania krawata. - Ale to nie koniec. Córka Numer Dwa... Córka Numer Dwa nie chce założyć sukienki przygotowanej przez Szlachetną Pierwszą Małżonkę i robi rechwach aż do Jawy! Ech, ta rodzina! Proszę, Synu. - Wręczyła mu kopertę z telegramem. - Jeszcze jedna przesyłka z gratulacjami z okazji tego szczęśliwego dnia, a biedna Matka sama musiała wnieść ją na górę po schodach na swoich starych nogach, bo te nicponie służący do niczego się nie nadają... -

przerwała, żeby zaczerpnąć tchu.

- Dziękuję, Matko - powiedział grzecznie.

- Za czasów Szlachetnego Ojca to służący pracowali i wiedzieli, co mają robić, a stara Matka nie musiała brać na siebie wszystkich ciężkich prac w naszym Wielkim Domu. - Wyszła, złorzecząc pod nosem. -1 nie spóźnij się, Synu, bo... - Mówiła dalej jeszcze po zamknięciu drzwi.

180

- Czego chciała? - zapytała Penelopa.

- Narzeka na kucharzy. Nie lubi obcych, znasz ją. - Otworzył kopertę.

- Co ona mówiła o Glennie? - zapytała, ponieważ wyłowiła tylko *yii-czat*

- Druga Córka. Prawie wcale nie rozumiała kantońskiego.

- Że nie chce założyć sukienki, której przygotowałaś.

- A to dlaczego?

- Tego Tat nie powiedziała. Penn, a może Glenna powinna pójść do łóż-

ka, właściwie na nią już czas...

- Marzyciel! Nie ma szans. Nawet Hag Struan nie odebrałaby jej, jak to nazwała, pierwszego dorosłego przyjęcia! To ty się zgodziłeś, Ian. Nie ja, tylko ty!

- Tak, ale nie sądzisz...

- Nie. Jest już wystarczająco duża. Przecież skończyła trzynaście lat. -

Penelopa dopiła szampana. - Ale i tak porozmawiam z tą naszą młodą damą.

- Wstała bez pośpiechu. Zobaczyła twarz Dunrossa. Wpatrywał się w tele gram. - Co się stało?

-Zginąłjeden z naszych ludzi. W Londynie. Grant. Alan Medford Grant.

- Chyba go nie znałam, co?

- Zdaje się, że widziałaś go kiedyś w Ayr. Taki niski o wyglądzie inte-lektualisty. Był kiedyś u nas na przyjęciu w Avisyard, niedługo przed wyjazdem.

- Nie pamiętam. - Wzięła od Dunrossa telegram i przeczytała: - „Z przykrością donoszę, że A.M. Grant zginął dziś rano w wypadku samochodowym. O szczegółach poinformuję, gdy je poznam. Kiernan". Kto to jest Kiernan?

- Jego asystent.

- Czy ten Grant... czy był przyjacielem?

- W pewnym sensie.

- Był kimś ważnym? -

Tak.

- Przykro mi.

Dunross zmusił się do wzruszenia ramionami i starał się nie zmienić tonu swego głosu, ale w myślach klął siarczyście.

- *Dżos.* Mówi się trudno.

Chciała mu współczuć. Natychmiast zauważyła, że Dunross jest wstrzą-

śnięty. I że z trudem udaje mu się to ukryć. Miała ochotę od razu zapytać, kim był ten nie znany jej człowiek, ale powstrzymała się.

Taka moja rola, pomyślała. Nie zadawać pytań, zachowywać spokój i być na miejscu, pomagać, lecz tylko gdy mi wolno.

- Schodzisz na dół?

- Za chwilę.

- Tylko nie za długo, łan.

- Dobrze.

- Jeszcze raz dziękuję za bransoletkę. - Bardzo jej się podobała.

- Nie ma za co - odparł, ale wiedziała, że wcale jej nie słucha. Już stał przy telefonie, prosząc o zamiejscową rozmowę. Zamknąwszy po cichu drzwi, wyszła na korytarz prowadzący do wschodniego i zachodniego skrzydła.

Przystanąła bezradnie, serce jej waliło jak młot. Precz z tymi wszystkimi telegramami, telefonami, precz ze Struanami, Hongkongiem, ach, jakbym chciała wyjechać stąd na zawsze, zapomnieć o Hongkongu, o pracy, o Noble House, wielkim biznesie, wybrzeżu Pacyfiku, giełdzie i wszystkich tych przeklętych...

- Maaamooooo!

Usłyszała głos Glenny dobiegający z pokoju za rogiem we wschodnim skrzydle i natychmiast zebrała się w sobie. Ponieważ w krzyku Glenny pobrzmiewał gniew, a nie strach, nie spieszyła się, tylko odpowiedziała:

- Już idę... Co ci jest, Glenna?

- Gdzie jesteeeeeś?

- Idę, kochanie - zawołała, zapominając o ważnych sprawach. Glenna ślicznie wygląda w tej sukience, myślała. Wiem, co jej pomoże. Pożyczę jej sznur pereł.

Będzie piękna.

Przyspieszyła kroku.

W Koulunie, naprzeciw portu, sierżant CID Tang-po, Wielki Smok, wspiął się po schodach i wszedł do pokoju. W środku czekała już rada tajnej triady.

- Wbijcie sobie to w tę kość, którą macie między uszami: Smoki chcą, aby znalazł się Czen z Noble House i żeby te francowate gównojady Wilkołaki zostały złapane, zanim bogowie zdążą mrugnąć okiem!

- Tak, Panie - odpowiedział mu chór przerażonych głosów.

Znajdowali siew małym, należącym do Tang-po, trzypokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze, nad skromnymi sklepikami, przy tej samej zakurzonej ulicy, na której trzy przecznice dalej, także naprzeciw portu i widocznego na samym końcu półwyspu Koulun szczytu Pik, znajdowała się Komenda Policji dla dzielnicy Tsim Sza Tsui. Było ich dziewięciu: jeden sierżant, dwóch kaprali, a pozostali to konstable - wszyscy cywilni śledczy z CID, wszyscy kantonczycy, wszyscy zobowiązani pod przysięgą do lojalności i ochrony tajności organizacji aż do ostatniej kropli krwi. Wchodzili w

skład tongu lub Bractwa Tang-po sprawującego kontrolę nad ulicznym hazardem w całej dzielnicy Tsim Sza Tsui.

- Wszędzie zaglądale, wszystkich pytacie. Mamy trzy dni - mówił

Tang-po, dobrze zbudowany pięćdziesięcioletni z gęstymi brwiami, szpakowatymi włosami i najwyższym stopniem podoficerskim. - To, moi Bracia Smoki, rozkaz mój i Wielkiego Jęgo. W przeciwnym razie Wielka 182

Góra Łajna obiecał, że nas zdegradowa albo wyśle za granicę lub do innych miejsc. Pierwszy raz słyzałem, żeby w taki sposób przedstawiał sprawę.

Wszyscy bogowie sikają z wysokości na wszystkie obce diabły, a szczególnie na te bękartę bez matek, które nie godzą się ze swoim pochodzeniem i nie chcą zachowywać się jak ludzie cywilizowani!

- Amen! - krzyknął w ferworze sierżant Lee. Czasami bywał katolikiem, bo w młodości chodził do katolickiej szkoły.

- Wielka Góra Łajna powiedział jasno: albo konkretne wyniki, albo wynocha za granicę. A tam przez dwadzieścia mil nie ma żywej duszy. *Aiii ia*, sprawcie, o bogowie, żeby nam się udało!

- Tak - zapisując coś w księdze, powiedział do wszystkich kapral Ho. Był

inteligentnym człowiekiem, studiował wieczorowo, aby dostać awans.

Prowadził księgę ze sprawozdaniami ze zgromadzeń Bractwa.

- Starszy Bracie - zaczął grzecznie sierżant Lee. - Czy została ustalona nagroda, którą moglibyśmy zaproponować naszym informatorom?

- Tak - odrzekł Tang-po - Wielki Smok powiedział sto tysięcy dolarów hongkongijskich... -w pokoju zapanowała cisza- ...po połowie za znalezienie w ciągu trzech dni Czena z Noble House i porywaczy. I dodatkowe dziesięć tysięcy dla Brata, którego informator dostarczy wiadomości o nim lub o nich.

I awans.

- Dziesięć tysięcy za Czena i dziesięć za porywaczy? - upewnił się skrupulatny kapral. O bogowie, obym to ja dostał nagrodę, modlił się jak wszyscy pozostali.

- Czy tak, Starszy Bracie?

- *Dew neh loh moh*, przecież powiedziałem. - Tang-po wypuścił z płuc dym papierosowy. - Uszy ci się zatkały?

- Nie, Szlachetny Panie. Przepraszam. Proszę o wybaczenie.

Myśli wszystkich skupiały się na nagrodzie. Iiiii, myślał sierżant Lee, dziesięć tysięcy i jeszcze awans w trzy dni! Ach, trzy dni, a potem nadejdzie dzień wyścigów... O bogowie wielcy i mali, pobłogosławcie mnie teraz, a potem w drugiej gonitwie w sobotę.

Tang-po przejrzał swoje notatki.

- Teraz druga sprawa. Ze względu na współpracę z Dziennym Czangiem i Szlachetnym Songiem Bractwo może korzystać w hotelu „Victoria” z pryszniców codziennie między ósmą a dziewiątą, a nie jak do tej pory między siód-mą a ósmą. Żony i konkubiny według listy. Znajdziecie ją u kaprała Ho.

- Hej, Szlachetny Panie - odezwał się jeden z młodszych śledczych -
słyszałeś o Złotym Łonie?

-Co?

Młodzieniec opowiedział, co usłyszał rano od Dziennego Czanga, gdy był w hotelowej kuchni po śniadanie. Wszyscy zachichotali rubasznie.

183

-*Aiii ia*, wyobrażacie sobie? Szczere złoto, *heya*?

- Szlachetny Panie, spałeś kiedyś z obcą diabolicą?

- Nie, nigdy. Nie. *Aiii ia*, zastana... hm.

- Ja spałem - wyznał ze śmiechem Lee - tylko żeby zobaczyć, jak to jest.

Wszyscy uśmiechnęli się.

- Nefrytowa Świątynia to Nefrytowa Świątynia. Ale podobno niektóre obce diabllice mają krzywe! - rzucił któryś.

- Ja słyszałem, że mają z boku!

- Szlachetny Panie, jest jeszcze jedna rzecz - powiedział młody śledczy, gdy ucichły śmiechy. - Dzienny Czang prosił, żebym powtórzył, że Złote Łono ma miniaturowy nadajnik-odbior-nik. Najlepszy, jaki widział, lepszy od naszych, nawet tych w Oddziale Specjalnym. Zawsze nosi go ze sobą.

Tang-po przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Dziwne - zawahał się. - Po co obcej diabllicy taka rzecz?

- Może to ma coś wspólnego z bronią - podpowiedział Lee.

- Nie wiem, Młodszy Bracie. Kobieta z nadajnikiem? Interesujące. Nie było go, gdy nasi ludzie przeszukiwali w nocy jej bagaże. Musiała go mieć w torebce.

Dobrze, bardzo dobrze. Kapralu Ho, po spotkaniu proszę przygotować prezent dla Dziennego Czanga. Kilka czerwoców. - Miał na myśli studolarówki hongkongijskie. - Oczywiście chciałbym też wiedzieć, dla kogo były przeznaczone te karabiny - dodał. - Upewnijcie naszych informatorów, że to także bardzo mnie interesuje.

- Może karabiny mają coś wspólnego z Noble House i tymi dwoma obcymi diabłami - powiedział Lee.

- Chyba tak, Młodszy Bracie. Tak sądzę. I jeszcze jedna dziwna sprawa.

Wysyłanie ucha to niecywilizowany zwyczaj. W każdym razie takie szybkie wysyłanie. Ani trochę.

- Sądzi Pan, że Wilkołakami są obce diabły? Albo bękarty półludzie? A może Portugalczycy?

- Nie wiem - powiedział kwaśno Tang-po. - Ale to się zdarzyło w naszej dzielnicy, więc to sprawa zachowania naszej twarzy. Wielka Góra Łajna też się denerwuje. Jego twarz także jest w niebezpieczeństwie.

- Iiiii, ten psubrat ma szalony temperament - powiedział Lee.

- To prawda. Może informacja o nadajniku trochę go udobrucha. Chyba poproszę wszystkich Braci, żeby w śledztwie zwrócili szczególną uwagę na tę Złote Łono i tego przemytnika. I następna sprawa..

- Tang-po znów zajrzał do notatek. - Ach tak, dlaczego nasz dochód z nocnego klubu „Szczęśliwa Hostessa” spadł o trzydzieści procent?

- Klub przejął nowy właściciel, Szlachetny Panie - wyjaśnił zajmujący się dancingami sierżant Lee. - Jednooki Pok sprzedał go szanghajskiemu 184

łajdakowi Wangowi... Szczęśliwemu Wangowi. A ten mówi, że Wonny Smar jest za wysoki, a interesy idą kiepsko, bardzo kiepsko.

- *Dew neh loh moh* na wszystkich szanghajczyków. Prawda to?

- Faktycznie trochę gorzej, ale nie bardzo.

- Zgadza się, Szlachetny Panie - potwierdził kapral Ho. - Byłem tam w nocy wziąć z góry za ten tydzień i klub był w połowie prawie pełen.

- A obce diabły?

- Może dwa albo trzy. Nikt ważny.

- Przekaż Szczęśliwemu Wangowi wiadomość ode mnie: Ma trzy tygodnie na rozkręcenie interesów. Potem zastanowimy się. Kapralu Ho, proszę powiedzieć kilku dziewczynom z Nowego Wspaniałego

Orientu, żeby przez jakiś miesiąc proponowały „Szczęśliwą Hostessę”. One mają wielu klientów, obce diabły... A Wangowi proszę powiedzieć, że pojutrze przyflywa lotniskowiec na WiR... - Wszyscy zrozumieli, że chodzi o skrót używany na wojnie koreańskiej - wypoczynek i rekreacja. - Zapytam Braci Smoków z Wanczai i dzielnicy portowej, czy Wang wysłał tam swoje wizytówki. Jakiś tyśiączek od barbarzyńców ze Złotego Kraju byłby tu pomocny! Zostaje osiem dni.

- Wykonam zadanie dziś wieczorem - obiecał Ho.

- Przyjaciele z policji morskiej mówili, że w najbliższym czasie będzie wiele zagranicznych wizyt. Siódma Flota Amerykańska rozrasta się. Podobno będzie podwojona. Słychać z Państwa Środka, że żołnierze amerykańscy zbroją się w Wietnamie. W każdym razie ich triada CIA.

- liii, to poprawi interesy! My będziemy musieli reperować ich statki. I zabawiać ich ludzi. Dobrze! Dla nas bardzo dobrze!

- Tak, tak. Ale dla nich nierozsądnie. Szlachetny Czou En-lai kilka miesięcy temu wysłał im grzeczne ostrzeżenie, że Chiny ich tam nie chcą. Dlaczego nie posłuchali? Wietnam nie należy do strefy barbarzyńców. Głupio zapuszczać się w dżunglę i walczyć z Wietnamczykami. Skoro Chinom od wieków nie udaje im się ich podbić, to jak by się miało udać barbarzyńcom? -

Tang-po uśmiechnął się i zapalił kolejnego papierosa. - Dokąd pojechał

Jednooki Pok?

- Szczwany lis wystarał się o stałą wizę i odleciał do San Francisco.

Razem z żoną i ósemką dzieci.

Tang-po natężył uwagę.

- Był nam winien jakieś pieniądze? - zwrócił się do skarbnika.

- Nie, Szlachetny Panie. Sierżant Lee dopilnował, żeby zapłacił wszystko na czas.

- Ile go kosztowała wiza?

- Na początek musiał zapłacić trzy tysiące dolarów hongkongijskich za prezent dla kaprała Sek Pun So z Wydziału Imigracyjnego. Zapłacił też nam 185

procent za rekomendację. Pomogliśmy mu znaleźć bogatego handlarza brylantami, żeby zamienił cały jego majątek na najlepsze kamyczki. - Zajrzał do księgi. -

Nasz udział, dwa procent, wyniósł osiem tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy.

- Stary Jednooki Po sobie dogodził. Co wpisał na wniosku w rubryce

„zawód”?

- Kucharz. Chce założyć restaurację w chińskiej dzielnicy. Próbowałem jego wyrobów. Ohyda.

- Zatrudni kogoś innego, a sam zajmie się czymś, na czym się zna: hazardem, nocnym klubem. Iiii, co za dżosl

- Ale ile kosztowała go wiza?

- Ach, złoty bilet do raju! Słyszałem, że pięć tysięcy zapłacił za przeskoczenie na pierwsze miejsce na liście.

- Aiii ia, więcej niż zwykle. Dlaczego?

- Zdaje się, że obiecano mu amerykański paszport po pięciu latach i przymknięcie oczu na jego język. Wiecie, że miał kłopoty z angielskim.

- Ci tam w tym Złotym Kraju są zupełnie niezorganizowani. Całkowicie brak im stylu. - powiedział Tang-po. - Jedna wiza w tę czy w tamtą. Każdy wie, że jak się ma pieniądze i pociągnie za odpowiedni sznurek, można sobie wszystko załatwić. Dlaczego nie ustalą tego cywilizowaną drogą? Dwadzieścia, nawet czterdzieści wiz na miesiąc i spokój. Te wszystkie obce diabły mają złe w głowach.

- *Dew neh loh moh*, ale ma Pan rację - przyznał sierżant Lee. Myślał o tym, jakie pieniądze mógłby zarobić, gdyby był wicekonsulem w departamencie wizowym w amerykańskim konsulacie. - Iiiii.

- Gdyby zajęła się tym cywilizowana osoba, niewiele czasu by minęło i żylibyśmy jak mandaryni, a działali jak policja San Francisco - powiedział Tang-po, czym wywołał gromki śmiech. - Powinni przynajmniej mieć mężczyznę, a nie kogoś, kto lubi mieć Tryskający Pałak w Upiornym Wąwozie.

Śmiali się jeszcze bardziej.

- Hej - zawołał któryś. - Słyszałem, że jego partnerem jest obcy diabeł

Cuchnący Chudy Brzuch z Robót Publicznych, wiecie, ten, co sprzedaje lewe pozwolenia na budowę.

- Stare wieści, Czan, bardzo stare. Obydwaj już mają to za sobą. Ostatnie plotki głoszą, że nasz wicekonsul jest związany z młodym... synem ważnego księgowego, który też jest prominentnym komunistą.

- Iiii, to niedobrze - zaniepokoił się sierżant Lee, od razu wiedząc, o kogo chodzi.

- Niedobrze - zgodził się Tang-po. - Zwłaszcza że słyszałem, iż ten młodzieniec ma mieszkanie tu za rogiem. W mojej dzielnicy! A w mojej dzielnicy zdarza się najmniej przestępstw.

- No właśnie - potwierdzili wszyscy z dumą.

- Trzeba z nim porozmawiać, Starszy Bracie? - zapytał Lee.

- Nie, ale trzeba go mieć na oku. Chcę o tej dwójce wiedzieć wszystko.

Wszystko. Nawet kiedy czkną. - Tang-po westchnął. Dał sierżantowi Lee adres. - Skoro jesteście tu dzisiaj wszyscy, postanowiłem przyspieszyć dzień wypłaty. - Otworzył dużą torbę pełną banknotów. Każdy z obecnych dostał

równowartość pensji policjanta plus zwrot kosztów własnych.

Trzysta dolarów hongkongijskich miesięcznie bez żadnych dodatków nie wystarczało konstablowi na utrzymanie nawet małej rodziny czy opłacenie skromnego mieszkania, ani choćby kawalerki bez łazienki, ani na posyłanie dzieci do szkoły. A przecież to nie wszystko: trzeba było regularnie wysyłać jakąś sumkę do rodzinnej wioski w Kwantung dla ojców, dziadków, matek, wujków i wielu innych, którzy narażając życie, wysłali swego krewniaka do Hongkongu.

Tang-po także był jednym z nich. Szczycił się tym, że jako sześciolatek samotnie przeżył podróż, odnalazł krewnych, a potem jako osiemnastoletni młodzieniec wstąpił do policji - trzydzieści sześć lat temu. Dobrze służył

królowej. W policji sprawował się bez zarzutu, podczas okupacji nie miał nic wspólnego z Japończykami, a teraz pełnił służbę w strategicznym oddziale policji w kolonii Hongkong. Był szanowany, bogaty, jeden syn w college[^] w San Francisco, drugi prowadził z kimś do spółki restaurację w Van-couver w Kanadzie, on utrzymywał rodzinę w Kwantung i co najważniejsze, jego jednostka miała na koncie najwięcej złapanych złodziei i innych przestępców, w jego dzielnicy zanotowano najmniej walk między triadami i tylko trzy morderstwa przez ostatnie cztery lata, we wszystkich wypadkach winnych - w tym jednego obcego diabła marynarza, który zabił kolegę - złapano i skazano.

Rzadko zdarzały się drobne kradzieże, a turystów nie napastowali żebracy ani kieszonkowcy. W tym największym okręgu turystycznym trzeba było chronić trzysta tysięcy cywilizowanych ludzi przed złoczyńcami i przed nimi samymi.

Aiii ia, pomyślał Tang-po, gdyby nie my, ci wieśniacy rzuciliby się sobie do gardeł, zaczęłyby się morderstwa, gwałty, rabunki, a wkrótce rozległby się krzyk mafii: Zabić obce diabły! I próbowaliby to zrobić, i zaczęłyby się zamieszki.

- Spotkamy się za trzy dni - zarządził. - Zamówiłem u Czanga dziesięć-

ciodaniowy posiłek. Od tej pory zaglądamy w każdą dziurę i o wszystkim mi donoście. Chcę dostać te Wilkołaki i chcę Johna Czena. Sierżancie Lee, proszę na moment zostać. Kapralu Ho, sprawozdanie proszę przynieść do podpisu jutro o piątej.

- Tak, Szlachetny Panie.

Wszyscy wyszli. Tang-po zapalił kolejnego papierosa. Sierżant Lee również. Tang-po zakasłał.

- Powinieneś rzucić palenie, Starszy Bracie.

- Ty też - Tang-po wzruszył ramionami. - *Dżos!* Co ma być, to będzie!

Dżos. Ale dla świętego spokoju obiecałem Pierwszej Żonie, że rzucę. Gderała i gderała.

- Która nie gdera? A jeśli się taka znajdzie, to się potem okaże, że to facet z Upiornym Wąwozem.

Zaśmiali się.

- To prawda. W zeszłym tygodniu kazała mi iść do lekarza i wiesz, co ten psubrat powiedział? „Lepiej rzuć palenie, przyjacielu, bo zanim minie dwadzieścia księżyców, będziesz jak ten nie dopalony po pożarze pień w lesie, a wtedy twoja Pierwsza Żona wszystkie twoje pieniądze wyda na młodych chłopców, a konkubina przeczuci się na inny owoc”.

- Świnia! Co za świnia!

- Tak. Ale mnie naprawdę przestraszył. Puściłem jego słowa mimo uszu, ale może miał rację. - Wyjął chusteczkę, wytarł nos, głośno chrząknął i splunął. - Posłuchaj, Młodszy Bracie, nasz Wielki Smok mówi, że przyszedł

czas, aby zająć się Szmuglerem Yuenem, Białym Proszkiem Lee i jego kuzynem Wu Cztery Palce.

Sierżant Lee patrzył wstrząśnięty. Ci trzej uważani byli za wielkie Ty-grysy przemysłu opiumowego w Hongkongu. Importowali i eksportowali.

Na rynek wewnętrzny i jak głośno plotka, na eksport do Złotego Kraju.

Potajemnie sprowadzali opium, przerabiali na morfinę, a potem na heroinę.

- To źle. Bardzo źle. Nigdy nie mieliśmy z tym handlem nic wspólnego.

- To prawda - odezwał się łagodnie Tang-po.

- Mogłoby być bardzo niebezpiecznie. Oddział do walki z narkotykami traktuje ich niezwykle poważnie. Nawet sam Wielka Góra Łajna nie na żarty myśli o złapaniu ich.

Tang-po patrzył w sufit.

- Wielki Smok tłumaczy to w ten sposób: Tona opium w Złotym Trójką cie kosztuje sześćdziesiąt siedem tysięcy dolarów amerykańskich. Gdy za mienić je w morfinę, a potem w heroinę, zmniejsza się wagę do pięciu procent, a w przeliczeniu na ceny z ulic Złotego Kraju jej wartość wzrasta do sześciuset osiemdziesięciu milionów dolarów amerykańskich. I to z jednej tony opium. - Odchrząknął i zapalił papierosa.

Pot oblał plecy Lee.

- Ile ton może przechodzić przez ręce tej trójki?

- Nie wiemy. Ale mówi się o trzystu osiemdziesięciu tonach zbiorów w Złotym Trójkącie - Yunnan, Birma, Laos, Tajlandia, a większość trafia tutaj.

Wielki Smok jest pewien, że co najmniej pięćdziesiąt ton.

- *Oh ko!*

188

- Tak. - Tang-po też czuł ogromne napięcie. - Nasz Wielki Smok podpowiada, że powinniśmy teraz inwestować w przemysł. Cały czas się rozrasta.

Ma plan, żeby działała z nami marynarka...

- *Dew neh loh moh*, nie można ufać tym morskim łajdakom.

- Tłumaczyłem mu to, ale on przekonywał, że potrzebujemy ich i powinniśmy zaufać kilku wybranym, którzy mogliby złapać statek, aby zainkasować dwadzieścia albo nawet pięćdziesiąt procent, żeby w odpowiedniej chwili uciszyć nawet samego Górę Łajna. - Tang-po znów splunął. - Jeśli dogadamy się z marynarką, oddziałem do walki z narkotykami i Gangiem Trzech, nasz dotychczasowy *h'eungyau* będzie znaczył tyle co siki dziecka w przystani.

W pokoju zapadła martwa cisza.

- Moglibyśmy kilku zwerbować, ale to zawsze niebezpieczne.

^Tak.

Lee sięgnął po dzbanek i nalał sobie jaśminowej herbaty. Strużka potu spłynęła mu po plecach, powietrze coraz bardziej nasycalo się dymem. Czekał.

- O czym myślisz, Młodszy Bracie?

Nie byli ze sobą spokrewnieni, ale zwracali się do siebie w chińskiej formie grzecznościowej, ponieważ już od piętnastu lat mieli do siebie zaufanie. Podczas zamieszek w 1956 roku Lee uratował życie swojemu zwierzchnikowi. Teraz miał trzydzieści pięć lat, a za bohaterstwo podczas rozruchów został odznaczony policyjnym medalem. Służył od szesnastu lat i jego cała pensja miesięczna wynosiła 843 dolary hongkongskie. Jeździł do pracy tramwajem. Gdyby nie dodatki z Bractwa, przeważającą część dnia, tak jak większości ludzi, zajmowałoby mu dotarcie do pracy pieszo lub rowerem.

Jazda tramwajem trwała dwie godziny.

- Wydaje mi się, że sam pomysł jest zły - wyznał. - Narkotyki, wszystkie narkotyki są złe. Opium także, chociaż jest dobre dla ludzi starszych. Heroina i kokaina również, ale nie tak bardzo jak zastrzyki śmierci. Zły *dżos* zajmować się nimi.

- To samo mu powiedziałem.

- Zamierzasz go posłuchać?

- To co dobre dla jednego Brata, powinno być dobre dla wszystkich -

uchylając się od odpowiedzi, rzekł Tang-po w zamyśleniu.

Lee znów czekał. Nie wiedział, w jaki sposób Smok jest wybierany ani ilu ich dokładnie jest, ani kim jest Wielki Smok. Wiedział tylko, że jego Smokiem jest Tang-po - człowiek mądry, rozważny, znający ich problemy.

- Mówił też, że jeden czy dwa obce diabły spośród naszych przełożonych biorą łapówki pochodzące z hazardu.

Lee splunął z niesmakiem.

189

- A co te psubraty robią w zamian? Nic. Tylko przymykają swoje łaj dackie oczy. Z wyjątkiem Węża.

Tak przezywano inspektora głównego Donalda CC. Smytha, który w swojej dzielnicy, wschodniej Aberdeen, otwarcie brał pieniądze za przysługi i ochronę.

- A, wiem. Powinien niedługo zwinąć żagle. Wkrótce ten, co jest nad nim, nie będzie chciał go dłużej kryć. A wtedy nam przypadną jego dochody.

- Trzyma się już parę lat - odrzekł Lee. - Pewnie ma haka na tych waż-

niaków i spokojnie sobie wyjedzie. Podobno ma wysoko postawionych przyjaciół.

- A więc co mi radzisz? - zapytał Tang-

po.

Lee westchnął.

- Starszy Bracie, radzę być ostrożnym, nie robić nic, jeśli nie będzie trzeba. Jeśli będzie... - Wzruszył ramionami. - *Dżos*. To już postanowio-ne?

- Nie, jeszcze nie. Wspominał tylko na cotygodniowym zebraniu. Da-wał nam to pod rozwagę.

- Ma jakieś dojścia do Gangu Trzech?

- Zdaje się, że Lee Biały Proszek sam się zgłosił. Wygląda na to, że wszyscy trzej połączą się ze sobą.

- Przysięgą krwi?

- Na to się zanosi.

- I będą razem działać? To diabły.

- Tak mówili. Założę się, że Wielkim Tygrysem będzie Wu Cztery Palce.

- *Aiii ia*, on? Mówią, że sam zamordował piętnastu ludzi. - Lee wzdrygnął się na myśl o niebezpieczeństwie. - Opłacają chyba ze trzysta statków.

Wolałbym, żeby cała trójka już nie żyła. Albo siedziała za kratkami.

- Tak. Ale na razie Lee Biały Proszek twierdzi, że są gotowi do rozwoju,

a za odrobinę współpracy z naszej strony zagwarantują ogromne zyski. -

Tang-po potarł brwi, zakasłał i zapalił papierosa. - Posłuchaj, Młodszy Bra cie. Przysiągł, że zaoferowano im ogromną ilość amerykańskich pieniędzy w gotówce i na kontach bankowych i bardzo duży udział w zyskach z towarów dostarczanych do miejsca nazywanego Manhattanem.

Lee poczuł, że pot spływa mu na czoło.

- Zysk stamtąd, *aiii ia*, oznacza miliony. Zagwarantują nam dochód?

- Tak. Za niewielki udział z naszej strony. Tylko przymknięcie oczu i upewnienie się, że marynarka i oddział do walki z narkotykami będą kontrolować wyłącznie odpowiednie statki, a jeśli zaczną coś podejrzewać, przymknięcie także ich oczu. Czyż stare księgi nie uczą: „Jeśli nie zmrużysz oczu, blask cię oślepi”?

Znów zapadło milczenie.

- Kiedy zostanie podjęta decyzja?

- W przyszłym tygodniu. Jeśli to będzie zgoda, organizacja całego przedsięwzięcia zajmie kilka miesięcy, może nawet rok. - Tang-po spojrział na zegar i wstał. - Czas na prysznic. Nocny Song przygotowuje nam potem kolację.

- Iiiii, doskonale. - Lee wyłączył światło. - A jeśli odpowiedź będzie odmowna?

Tang-po zgasił papierosa i zakasłał.

- Jeśli odmowna.. - Wzruszył ramionami. - Raz się żyje, naszym zadaniem jest służyć rodzinie. Jeden z moich krewnych jest kapitanem u Wu Cztery Palce...

11 20:30

- Witaj, Brian - powiedział Dunross.

- Dobry wieczór, tai-pan. Moje gratulacje. Wspaniała noc na przyjęcie -

przywitał się Brian Kwok. Jak spod ziemi wyłonił się kelner w liberii i podsunął

tacę z szampanem w kryształowych kieliszkach. - Dziękuję za zaproszenie.

- Bardzo mi miło, że je przyjąłeś. - Dunross stał przy drzwiach sali balowej w Wielkim Domu, kilka kroków dalej Penelopa z uśmiechem witała gości. Z do połowy zapełnionej sali balowej można było wyjść na oświetlone lampionami tarasy i ogrody, gdzie siedziała przy stolikach lub stała w grupkach większość wspaniale ubranych dam oraz mężczyzn w wieczorowych strojach. Wiał

chłodny, wieczorny zefirek.

- Penelopo, kochanie, pamiętasz nadinspektora Briana Kwoka?

- Ależ oczywiście - podeszła do nich z promiennym uśmiechem, mimo że zupełnie nie miała pojęcia, o kogo chodzi. - Jak się pan miewa?

- Dziękuję, wspaniale. Moje gratulacje.

- Dziękuję. Proszę się czuć jak u siebie w domu. Kolacja zaczyna się kwadrans po dziewiątej. Jeśli nie ma pan przy sobie zaproszenia, lista miejsc jest u Klaudii.

Och, przepraszam na moment... - Odwróciła się, aby przyjąć innych gości.

Rozglądała się wszędzie, aby widzieć, czy wszystko jest w najlepszym porządku i czy nikt nie stoi samotnie. Z całego serca była przekonana, że na przyjęciu nikt nie powinien się smucić.

- Masz szczęście, Ian - szepnął Brian Kwok. - Ona z każdym rokiem wygląda młodziej.

191

- Tak, to prawda.

- A więc za następne dwadzieścia lat. Na zdrowie. - Stuknęli się kieliszkami.

Zaprzyjaźnili się na początku lat pięćdziesiątych podczas zawodów wjeżdżie po górach. Byli wtedy rywalami. Potem spotkali się też w hong-kongijskim klubie sportów samochodowych.

- A co z tobą, Brian? Przyszedłeś sam, bez dziewczyny?

- Gram na zwłokę. - Brian zniżył głos. - Stawiam na samotność.

- Marzyciel! Jesteś w kwiecie wieku. Jedna z najlepszych partii w Hongkongu.

Nawet Klaudia ma na ciebie oko. Może cię ustrzelić.

- Chryste Panie! - Potem już bez kpiny w głosie zapytał: - Posłuchaj, tai-pan, możemy jeszcze dzisiaj porozmawiać kilka minut na osobności?

- Coś z Johnem Czenem? - natychmiast zapytał Dunross.

- Nie. Postawiliśmy wszystkich na nogi, ale jeszcze nie ma wyników.

Chodzi o coś innego.

- Biznes? -Tak.

- Na ile osobisty?

- Całkowicie.

- Dobrze. Odszukam cię po kolacji. A mo...

Odwrócili się w stronę, skąd dobiegł ich wybuch śmiechu. Tuż za wysokimi szklanymi drzwiami prowadzącymi na taras stała grupa mężczyzn -między innymi Linbar Struan, Andrew Gavallan, Jacques deVille - a pośrodku nich królowała panna Casey Tcholak.

- No, no - mruknął Brian.

- Tak, tak. - Dunross uśmiechnął się.

Dziewczyna miała na sobie zwiewną, sięgającą do ziemi suknię ze szma-ragdowego jedwabiu.

- Ciekawe.

- Co takiego?
- Czy ma coś pod spodem?
- Szukaj, a znajdziesz.
- Chciałbym. Wygląda oszłamiająco.
- Też tak uważam - zgodził się Dunross. - Chociaż z pewnością sto procent obecnych tu kobiet jest odmiennego zdania.
- Ma doskonałe piersi. To widać.
- Wcale nie. To tylko twoja wyobraźnia.
- Założę się, że w całym Hongkongu nie ma ładniejszych.
- Pięćdziesiąt dolarów przeciwko złamanemu miedziakowi, że nie masz racji.

Jeśli weźmiemy pod uwagę także Euroazjatki.

- Jak stwierdzimy, kto wygrał?
- Nie stwierdzimy. Ja tam patrzę na kostki.

192

- Proszę?
- Stary Wuj Czen-Czen mawiał: „Najpierw patrz na kostki, mój synu, powiedzą ci wszystko o jej manierach, zachowaniu, prowadzeniu... jak u źre-bicy. Ale pamiętaj, wszystkie wrony są czarne!”.

Uśmiechnęli się, a Dunross pomachał komuś po przyjacielsku. Po drugiej stronie sali wysoki mężczyzna z twarzą pełną życia odpowiedział takim samym kiwnięciem. Obok niego stała nadzwyczaj piękna kobieta, wysoka, zgrabna, niebieskooka. Także radośnie pomachała.

- O, a tutaj angielska piękność w całej swej krasie.
- Kto? A, Fleur Marlowe? Tak, rzeczywiście. Nie wiedziałem, że ich znasz, tai-pan.
- Nic dziwnego. Poznałem go dzisiaj po południu. A ty długo go znasz?
- Kilka miesięcy. Jest z nami zaprzyjaźniony.
- Czyżby?
- Tak. Pokazujemy mu nasze metody działania.

- Tak? Dlaczego?

- Kilka miesięcy temu napisał do komisarza, że przyjeżdża do Hongkongu zbierać materiały do książki i prosi nas o pomoc. Zdaje się, że stary czytał

jego pierwszą powieść i widział kilka filmów. Oczywiście sprawdziliśmy go i jest w porządku. - Oczy Briana z powrotem powędrowały w stronę Casey. -

Stary doszedł do wniosku, że możemy w taki sposób poprawić swój image, więc napisał do Petera, że zgadza się mu pomóc, oczywiście w pewnych granicach. - Znow popatrzył na Dunrossa i lekko się uśmiechnął. - Dlaczego?

Trudno powiedzieć.

- Jaka była ta pierwsza książka?

- *Changi*, o czasach jenieckich. Tam umarł brat starego, więc chyba to go ruszyło.

- A ty czytałeś?

- Nie. Za wiele mam gór do pokonania! Przejrzałem tylko kilka stron.

Peter mówi, że wszystko zmyślił, ale ja mu nie wierzę. - Brian roześmiał się. -

Ale piwa to może wypić. Robert zabrał go parę razy na Sto Puch i ten go wykończył. - Sto Puch to policyjne święto, na które oficerowie kupują pojemnik ze stu piwami. Zabawa kończy się razem z piwem.

Oczy Briana znów powędrowały w stronę Casey, a Dunross po raz setny zastanawiał się, dlaczego Azjaci wolą białe kobiety i na odwrót.

- Z czego się śmiejesz, tai-pan?

- Bez powodu. Ale Casey jest niezła, prawda?

- Stawiam pięćdziesiąt dolarów, że jest *bat jam gai, heya?*

Dunross wnikliwie rozważał zakład. *Bat jam gai* znaczy dosłownie „mię-

so białego kurczaka". W taki sposób kantończycy określają damy golące swoje włosy łonowe.

193

- Przyjmują! Nie masz racji, Brian, ona jest *seeyau gai*. - Czyli kurczak w sosie sojowym. - Albo, w jej wypadku, w czerwonym, delikatnym i przyjemnie przyprawionym. Stwierdzam to autorytatywnie.

Brian roześmiał się.

- Przedstaw mnie.
- Sam się przedstaw. Skończyłeś już dwadzieścia jeden lat.
- Dam ci fory w niedzielnych zawodach.
- Marzyciel! Stawiam tysiąc dolarów, że i tak przegrasz.
- Masz zamiar dać mi jakąś przewagę?
- Chyba żartujesz.
- Nie zaszkodzi zapytać. O wspinaczkę bym chętnie przeczytał jakąś książkę. Gdzie ten szczęściarz Bartlett?
- Chyba w ogrodzie. Poprosiłem Adryon, żeby się nim zajęła. Przepraszam na moment... - Dunross odwrócił się i podszedł do kogoś, kogo Brian Kwok nie znał.

Przybyło już prawie stu pięćdziesięciu gości, a wszystkich witano osobiście. Na kolacji spodziewano się dwustu siedemnastu osób i wszystkim zgodnie ze zwyczajem przydzielono odpowiednie miejsce przy już rozstawionych okrągłych stołach ze świecznikami. Kelnerzy w liberiach roznosili wędzonego łososia na srebrnych tacach, kawior w srebrnych wazach i szampana w kieliszkach z ciętego kryształu.

Na podeście przygrywał niewielki zespół muzyków. Między smokingami Brian dostrzegł kilka mundurów amerykańskiej i brytyjskiej piechoty oraz marynarki, a także lotnictwa. Nie było zaskoczeniem, że wśród gości przeważają Europejczycy. Przyjęcie przeznaczone było dla brytyjskich kręgów rządzących w centralnym okręgu i stanowiących siłę napędową kolonii. Zaproszono też kilku Euroazjatów, Chińczyków i Hindusów. Brian Kwok znał większość przybyłych: Paul Havergill z banku Victoria, stary Sir Samuel Samuels, multimilioner, tai-pan dwudziestu przedsiębiorstw, banków, biur maklerskich; Christian Toxe, wydawca „China Guardian” rozmawiał z Richardem Kwangiem, członkiem rady nadzorczej Banku Ho-Pak; multimilioner, właściciel stoczni V.K. Lam, zajęty był rozmową z Phillipem i Dianne Czen oraz ich synem Kevinem; Amerykanin Zeb Cooper, spadkobierca najstarszej kompanii handlowej w Ameryce - Cooper-Tillman, nadstawiał ucha Sir Dunstanowi Barre, tai-panowi Hongkong and Lan Tao Farm's. Briana zaskoczył widok człowieka z FBI - Eda Langana.

Nie wiedział, że Langan i rozmawiający z nim Stanley Rosemont, zastępca dyrektora oddziału CIA do spraw Chin, przyjaźnili się z Dunrossem.

Są wszyscy, myślał Brian, spoglądając na zgromadzonych, każdy tai-pan z wyjątkiem Gornta i Plumma, wszyscy piraci... zgodnie jak jeden mąż przybyli, aby z niechęcią złożyć hołd tai-panowi tai-panów.

Kto z nich jest szpiegiem, zdrajcą, Arthurem, koordynatorem Sevrin?

Na pewno Europejczyk.

Założę się, że przybył tu dzisiaj. I złapię go. O tak. A teraz, gdy już o nim wiem, potrwa to niedługo. Wyłapiemy ich wszystkich, myślał. Dla dobra publicznego ukróćmy ich postępkę.

- Szampana, Szlachetny Panie? - z szerokim uśmiechem zapytał po kantońsku kelner.

Brian wziął kieliszek.

- Dziękuję.

Kelner nachylił się, żeby nie było widać jego ust.

- Tai-pan ma dostarczoną dzisiaj w nocy niebieską teczkę - wyszeptał szybko.

- Jest tu gdzieś sejf? Jakaś skrytka? - Brian zapytał równie ostrożnie w tym samym dialekcie.

- Służący mówią, że w gabinecie tai-pana na pierwszym piętrze - powiedział Chińczyk. Nazywał się Kelner Do Wina Feng i należał do tajnej siatki agentów SI. Jako kelner bywał na najważniejszych przyjęciach w Hongkongu i tym samym przedstawiał sobą ogromną wartość. - Prawdopodobnie za obrazem... - W jednej chwili przerwał i przeszedł na łamany angielski. - Szampana, *missel* — zapytał z uśmiechem, podsuwając srebrną tacę starszej Euroazjatce, która właśnie do nich podeszła. - Bardzo, bardzo dobry.

- Nie mów do mnie *misse*, młody impertynencki lalusiu - głośno skarciła go po kantońsku.

- Tak, Szlachetna Ciociu, przepraszam, Szlachetna Ciociu. - Ukłonił się i odszedł.

- Jak tam, młody Brianie Kwok? zapytała starsza dama. Sara Czen, ciotka Phillipa, liczyła osiemdziesiąt osiem lat. Była drobna, przypominała ptaka, miała bladą skórę i skośne oczy spoglądające nieustannie to w jedną, to w drugą stronę. I choć wyglądała staro, trzymała się świetnie i wykazywała ogromną siłę ducha. - Cieszę się, że cię widzę. Gdzie jest John Czen?

Gdzie mój biedny chłopak?

- Nie wiem, Wielka Damo - grzecznie odpowiedział Brian.

- Kiedy go znajdziecie?

- Niedługo. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

- To dobrze. Nie przeszkadzaj młodemu Phillipowi, gdy zechce zapłacić okup za Johna. Rozumiesz?

- Tak. Zrobię, co tylko będę mógł. Przyszła żona Johna?

- He? Kto? Mów głośniej, chłopcze!

- Czy jest tu Barbara Czen?

- Nie. Była wcześniej, ale jak tylko przyszła ta kobieta, rozboleła ją głowa i poszła. Wcale jej się nie dziwię! - Skierowała wzrok na Dianne Czen stojącą po drugiej stronie sali. - Co za hetera! Widziałeś jej wejście?

195

- Nie, Wielka Damo.

- Ha, jak sama Nellie Melba. Szlochała z chusteczką przy oczach, pod rękę prowadził ją starszy syn Kevin... nie podoba mi się ten chłopak... a za nimi włókł

się jak kuchcik mój biedny Phillip. Dianne Czen naprawdę płakała tylko raz, gdy w pięćdziesiątym szóstym spadły jej akcje i straciła majątek. Ha, patrz na nią teraz, jak się mizdrzy! Udaje zrozpaczoną, a wszyscy wiedzą, że to gra! Ja bym jej utarła nosa! Obrzydliwość! - Znow spojrzła na Briana Kwoka. - Znajdź mojego biednego Johna. Nie chcę, żeby jej synalek został loh-panem naszego domu.

- On może być tai-panem?

Roześmiali się. Niewielu Europejczyków wie, że choć „tai-pan” znaczy „wielki przywódca”, w dawnych czasach w Chinach tai-pan był kolokwialnym tytułem mężczyzny zatrudnionego w domach rozpusty albo publicznych toaletach. Toteż żaden Chińczyk nigdy nie nazywa siebie tai-panem, tylko loh-panem, co również znaczy „wielki przywódca” albo „główny przywódca”. Chińczycy i Euroazjaci śmieją się z tego, że Europejczycy cieszą się, gdy nazywa się ich tai-pan, nie wiedząc, co właściwie ten tytuł znaczy.

- Może. Jeśli to naprawdę pan - podkreśliła starsza dama i obydwójce zachichotali. - Znajdź mojego Johna, młody Brianie Kwok!

- Tak. Odszukamy go.

- Dobrze. A jak oceniasz sobotnie szanse Złotej Damy?

- Jeśli będzie sucho, może mieć dużo do powiedzenia. Warto postawić nawet trzy do jednego. Godna uwagi jest też Noble Star.

- Odszukaj mnie po kolacji. Chcę z tobą pomówić.

- Tak, Wielka Damo. - Uśmiechnął się i popatrzył, jak odchodzi. Wiedział, że po kolacji będzie chciała go wyswatać z jakąś miłą damą. *Aiii ia*, niedługo będę musiał coś z tym zrobić, pomyślał.

Popatrzył na Casey. Niechętne spojrzenia wszystkich kobiet i pełna podziwu uwaga całej otaczającej ją eskorty dodawały jej blasku. Casey spojrzła na niego z drugiego końca sali i krótką chwilę

przyglądała się z równie otwartym zainteresowaniem.

Dew neh loh moh, pomyślał niespokojnie, czując się zdemaskowany.

Chciałbym ją posiąść. Wtedy zauważył Rogera Crosse'a i Armstronga. Zebrał myśli i podszedł do nich.

- Dobry wieczór, sir.

- Dobry wieczór, Brian. Wyglądasz szalenie elegancko.

- Dziękuję, sir. - Wiedział, że lepiej nie rewanżować się żadnym komplementem. - Po kolacji będę rozmawiał z tai-panem.

- To dobrze. Zaraz potem odszukaj mnie. - Tak jest.

- Uważasz, że ta Amerykanka wygląda oszłamiająco?

196

- Tak, sir. - Brian westchnął. Zapomniał, że Crosse potrafi czytać z ust po angielsku, francusku i trochę po arabsku - żadnego chińskiego dialektu nie znał - a przy tym ma wyjątkowy wzrok.

- To widać od razu - orzekł Crosse.

- Tak jest. - Widział, że Crosse koncentruje się na jej ustach i z drugiego końca sali wie, o czym ona mówi. Wyrzucał sobie, że nie zdobył tej umiejętności.

- Zdaje się, że pasjonują ją komputery. - Crosse odwrócił od niej wzrok. -

Dziwne, nie?

- Tak jest.

- Co mówił Kelner Do Wina Feng?

Brian powiedział.

- Dobrze. Feng dostanie premię. Nie spodziewałem się tutaj Langana i Rosemonta.

- Może to przypadek, sir - zasugerował Brian Kwok. - Obydwaj znają się na koniach. Bywają w łoży tai-pana.

- Nie wierzę w przypadki - prychnął Crosse. - Zwłaszcza gdy dotyczą Langana. Oczywiście nic nie wiecie.

-Tak jest.

- Dobrze. Może lepiej zajmijcie się swoimi sprawami.

- Tak jest. - Z ulgą gotowali się do odejścia, ale zatrzymali się, słysząc nagłe szmery z całej sali. Oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom wej-

ściowym. Stał w nich, świadom, że go wszyscy zauważyli, czarnobrody Quillan Gornt. Po chwili goście powrócili do rozmów i odwrócili wzrok, ale z uwagą nasłuchiwali, co się dalej będzie działo.

Crosse cicho gwizdnął pod nosem.

- Skąd on się tu wziął?

- Piętnaście do jednego, że to nie wróży nic dobrego - powiedział równie zdziwiony Brian Kwok.

Patrzyli, jak Gornt idzie przez salę i wyciąga dłoń w stronę Dunrossa i Penelopy. Stojąca opodal Klaudia wpadła w panikę, zastanawiając się, jak w tak krótkim czasie zdoła znaleźć dla Gornta odpowiednie miejsce przy stole, ponieważ oczywiście nie pomyślała o tym wcześniej.

- Chyba nic się nie stało, że w ostatniej chwili zmieniłem decyzję? -spytał

Gornt z uśmiechem.

- Bynajmniej - odparł także uśmiechnięty Dunross.

- Dobry wieczór, Penelopo. Pomyślałem, że powinienem osobiście zło-

żyć ci gratulacje.

- O, dziękuję - rzekła. Uśmiechała się, ale jej serce zaczęło bić ze zdwojoną prędkością. - Tak mi przykro, słyszałam o twojej żonie.

197

- Dziękuję. - Emelda Gornt cierpiała na artretyzm, a od wielu lat siedziała przykuta do wózka inwalidzkiego. Na początku roku dostała zapalenia płuc i umarła. - Była nieszczęśliwa - powiedział Gornt. Popatrzył na Dunrossa. - Zły *dżos* dotknął też Johna Czena.

- Bardzo zły.

- Czytaliście popołudniową „Gazette”?

Dunross przytaknął.

- Wystarczy, żeby oszaleć ze strachu - głos Penelopy załamywał się. -

Wszystkie popołudniowe gazety zamieściły na pierwszych stronach wielkie nagłówki mówiące o odciętym uchu i Wilkołakach.

Na krótko zrobiło się cicho. Penelopa postanowiła przerwać milczenie.

- Jak tam twoje dzieci?

- Dziękuję, dobrze. Annagrey we wrześniu zaczyna studia na Uniwersytecie Kalifornijskim, a Michael przyjechał na wakacje. Obydwoje mają się świetnie. A wasze?

- Też dobrze. Chociaż szkoda, że Adryon nie wstąpiła na uniwersytet. W

dzisiejszych czasach trudno jest z dziećmi, prawda?

- Chyba zawsze tak było - Gornt uśmiechnął się. - Mój ojciec zawsze mi mówił, że jestem niezdolny.
- Spojrzał na Dunrossa.

- Właśnie. A co u twojego ojca?

- Cały i zdrowy. Mówi, że służy mu angielski klimat. Przyjedzie na Boże Narodzenie. - Gornt przyjął lampkę szampana. Kelner przestraszył się jego wzroku i odszedł. Gornt uniósł kieliszek. - Za wasze szczęśliwe życie.

Dunross, nadal zdziwiony jego przybyciem, także uniósł kieliszek. Z

grzeczności i pro forma wysyłano zaproszenia zarówno Gorntowi, jak i innym wrogom. Za każdym razem spodziewano się grzecznej odmowy i tak też dotychczas postępował Gornt.

Dlaczego dzisiaj przybył?

Przyszedł tu napawać swoje oczy, myślał Dunross. Jak jego cholerny ojciec.

Musi być jakiś powód. Ale jaki? Co za świństwo nam tym razem zrobił? Czy Bartlett ma z tym coś wspólnego?

- Wspaniała sala - mówił Gornt. - Ma takie doskonałe proporcje. Jak zresztą cały dom. Zawsze go podziwiałem.

Tak, łajdaku, wiem o tym, myślał Dunross, przypominając sobie ostatnie odwiedziny Gornta w Wielkim Domu w 1953 roku, gdy tai-panem był jeszcze Colin Dunross, ojciec Iana, podczas tradycyjnie największego przyjęcia w roku z okazji Bożego Narodzenia. Wtedy też Quillan Gornt przyszedł niespodziewanie, z ojcem Williamem - tai-panem Rothwell-Gornt. Po kolacji w sali bilardowej w obecności kilkunastu mężczyzn doszło do publicznej sprzeczki między tai-panami.

W tamtym czasie Gornt wraz z szan-ghajskimi przyjaciółmi zablokował przejęcie linii lotniczych South Orient,

które były właśnie do wzięcia, ponieważ Państwo Środka zajęli komuniści.

Linie te miały monopol na połączenia między Szanghajem a Hongkongiem, Singapurem, Tajpej, Tokio i Bangkokiem, a gdyby je połączyć z Air Struan, Struanowie zyskaliby monopol na całym Dalekim Wschodzie. Obydwaj oskarżali się wtedy o nieuczciwe praktyki. I obydwoj mieli rację.

Tak, mówił w duchu Dunross, wtedy obydwoj skakali sobie do oczu.

William Gornt na wszelkie sposoby chciał po ogromnych stratach w Szanghaju wzmocnić swoją pozycję w Hongkongu. A gdy Colin Dunross dowiedział się, że Struanowie nie zwyciężą, aby sprzątnąć South Orient sprzed nosa Williamowi Gorntowi, pomógł w przejęciu linii neutralnej spółce kantońskiej.

- I co, Colinie Dunross. Wpadłeś w sidła i już nie uda ci się nas powstrzymać - mówił z triumfem William Gornt. - Zostaniemy tutaj. I wygryziemy was z Azji, was i ten przeklęty Noble House. South Orient to tylko początek. Zwyciężyliśmy!

- A idź do diabła! Spółka Yan-Wong-Sun jest z nami. Mamy kontrakt.

- Unieważniony - William Gornt skinął na Quillana, starszego syna i spadkobiercę. Ten wyjął kopię porozumienia. - Oto kontrakt między spółką Yan-Wong-Sun, zaproponowaną przez spółkę Tso-Wa-Feng, którą zaproponowała spółka Ta-Weng-Sab, która sprzedała pakiet kontrolny South Original Rothwell-Gornt za jednego dolara więcej niż cena pierwotna. -

Ojuillan Gornt z uśmiechem położył kontrakt na stole bilardowym. - South Orient należą do nas!

- Nie wierzę!

- Wolno ci. Wesołych świąt! - William Gornt roześmiał się i wyszedł.

Quillan również ze śmiechem odłożył swój kij bilardowy, Ian Dunross stał przy drzwiach.

- Któregoś dnia ten dom będzie mój - syknął do niego Quillan, a potem zwrócił się do pozostałych: - Jeśli będziecie szukać pracy, to zapraszam. A wkrótce będziecie szukać. Wasz Noble House straci swoją nobliwość. -W

pokoju był między innymi Andrew Gavallan, Jacques deVille, Aiastairs Struan, Lechie i David MacStruan, Phillip Czen, a nawet John Czen.

Dunross pamiętał gniew i złość ojca. Obwinił zdrajców, pełnomocników i zły *dżos*. A on sam nieraz ostrzegał ojca, ale ostrzeżenia nie skutkowały.

Chryste, co za utrata twarzy! Śmiał się z nas cały Hongkong! Noble House wystawiony do wiatru

przez Gornta i jego kolegów z Szanghaju.

Tak, ale tamten wieczór przesądził o upadku Colina Dunrossa. Wtedy zdecydowałem, że on musi odejść, inaczej Noble House przepadnie na wieki. Wykorzystałem Alastaira Struana. Pomogłem mu odsunąć mojego ojca i Alastaira Struana wybrano tai-panem. Azja stałem się na tyle mądry i silny, aby odsunąć jego.

199

Czy i teraz jestem dość mądry?

Nie wiem, myślał, starając się skoncentrować na obecnym Quillanie Gorncie. Słuchał jego komplementów i swoich równie eleganckich odpowiedzi, myśląc cały czas: nie zapomniałem o South Orient. Musieliśmy po-

łączyć nasze linie z twoimi i po zaniżonej cenie sprzedać pakiet kontrolny, a w rezultacie utracić panowanie nad nowo powstałymi liniami Ali Asia. Nic nie zostało zapomniane. Wtedy straciliśmy, ale tym razem wygramy. Na Boga, wygramy wszystko.

Casey zafascynowana patrzyła na obydwu mężczyzn. Od pierwszej chwili zauważyła Quillana Gornta, poznała go dzięki fotografii z dossier. Nawet z drugiego końca sali wyczuwała jego siłę i moc. Przyglądając się im dwóm, dostrzegła niemal namacalne napięcie, jak między dwoma stojącymi do walki bykami.

Andrew Gavallan natychmiast wyjaśnił jej, kim jest Gornt. Sama zapytała tylko, dlaczego wszystkich tak zaszokowało jego wejście. A wtedy oni, stojąc w trójkę-Gavallan, deVillei Linbar Struan - opowiedzieli jej o „We-sołych świętach” i „Któregoś dnia ten dom będzie mój”.

- I co tai-pan... I co Ian wtedy zrobił? - zapytała.

- Popatrzył tylko na Gornta - opowiadał Gavallan. - Wiesz, gdyby miał

nóż, pistolet albo pałkę, nie zawahałby się ich użyć, ale ponieważ był bez broni, wydawało się, że użyje rąk albo zębów... Ale stał tylko twardy jak skała i patrzył, jak Gornt cofa się o krok przed jego niedostępnością. Ale ten cholerny Gornt pozbierał się jakoś w sobie i przez chwilę patrzył łanowi prosto w oczy. A potem bez słowa, nie spuszczać wzroku z łana, obszedł

go dokoła i wyszedł.

- Czego ten łajdak dzisiaj tu chce? - mruknął Linbar.

- Na pewno sprowadza go ważna sprawa - wywnioskował Gavallan.

- Tylko która? - zapytał Linbar.

Casey obróciła się, aby kątem oka spojrzeć na Gornta, ale zobaczyła, że deVille pokręcił ostrzegawczo głową, więc znów popatrzyła na Linbara i Gavallana.

- Co on tu robi? - zapytała.

- Nie wiem - powiedział Gavallan i uwierzyła mu.

- Spotykali się od czasu tamtych świąt?

- Tak, wiele razy, często się widują- mówił Gavallan. - Oczywiście nie towarzysko. Zasiadają w tych samych radach nadzorczych, komitetach.

Ale... cóż, jestem pewien, że obydwaj wyczekują.

Zobaczyła, że oczy jej rozmówców wędrują w stronę zaciętych antago-nistów, i podążyła wzrokiem w tym samym kierunku. Serce waliło jej jak młot. Widzieli, jak Penelopa oddała się, aby powiedzieć coś Klaudii. W

pewnej chwili Dunross spojrzął na nich. Wiedziała, że jest to jakiś znak dla 200

Gavallana. Uwaga Dunrossa skupiła się na Casey. Gornt poszedł jego śladem.

Czuła ich magnetyzm. Odurzał ją. Siedzący w niej demon kazał jej ruszyć w ich stronę. Teraz była zadowolona, że ubrała się w ten sposób -bardziej prowokująco niż początkowo planowała. Linc mówił, że tego wieczoru nie powinna wyglądać zbyt oficjalnie.

Idąc przed siebie czuła, jak jedwab ociera się o jej ciało, jak twardnieją jej sutki. Widziała ich obnażający ją wzrok, ale nie przeszkadzało jej to. Stawiane kroki stawały się coraz bardziej kocie.

- Witaj, tai-pan - powiedziała niewinnie. - Mogę się przyłączyć?

- Oczywiście - odpowiedział natychmiast. - Chyba już się znacie. Z

uśmiechem pokręciła głową, nie zauważając zastawionej pułapki.

- Nie. Jeszcze się nie spotkaliśmy. Ale oczywiście wiem, kim jest pan Gornt. Andrew mi mówił.

- A więc pozwól, że dokonam oficjalnej prezentacji. Pan Quillan Gornt, tai-pan Rothwell-Gornt. Panna Tcholak, Ciranoush Tcholak z Ameryki.

Wyciągnęła rękę, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa wchodzenia między tych mężczyzn. Część jej duszy bagatelizowała złe przecucia, a druga część krzyczała: Jezu, co ja tu robię?

- Wiele o panu słyszałam, panie Gornt - oznajmiła, zadowolona, że udało jej się zapanować nad głosem. Zadowolona także z zupełnie innego niż Dunrossa uścisku dłoni, miękkiego i nie tak silnego.

- Zdaje się, że wasze firmy rywalizują ze sobą od pokoleń.

- Tylko od trzech. Mój dziadek pierwszy odczuł na własnej skórze, że Struanowie nie są delikatni ani litościwi - powiedział lekko Gornt. - Z radością przedstawię pani kiedyś naszą wersję legendy.

- Może powinniście wypalić fajkę pokoju? - zaproponowała. - Z pewnością Azja pomieści was obydwu.

- Całego świata byłoby za mało - rzekł uprzejmie Dunross.

- To prawda - przyznał Gornt. I gdyby nie znała prawdziwej historii, pomyślałaby, że ma do czynienia z zaprzyjaźnionymi konkurentami.

- U nas w Stanach mamy wiele ogromnych kompanii i spokojnie sobie istnieją obok siebie. Mimo konkurencji.

- Ale tu nie Ameryka - zauważył chłodno Gornt. - Jak długo zostaniecie u nas, panno Tcholak?

- To zależy od Linca, od Linca Bartletta. Przyjechałam tu w sprawach Par-Con Industries.

- Tak, tak, wiem. Linc nie mówił pani, że we wtorek zjemy razem kolację?

Poczula niepokój.

- We wtorek?

- Tak. Umówiliśmy się dzisiaj rano. Na spotkaniu. Nie wspominał pani o tym?

201

-Nie - odparła poruszona. Obydwaj patrzyli na nią z uwagą, a ona żałowała, że nie może wycofać się na pięć minut i wrócić z poukładanymi myślami.

Chryste, mówiła w duchu, starając się utrzymać równowagę, choć wszystko dokoła ją z niej wytrącało. - Nie - powtórzyła. - Linc nic nie mówił o żadnym spotkaniu. Co planujecie?

Gornt spojrzał na Dunrossa cały czas przysłuchującego się rozmowie bez okazywania cienia jakichkolwiek emocji.

- Tylko kolację w przyszły wtorek. Jeśli jest pani wolna, również zapraszam.

- Miło z pana strony, dziękuję.

- Gdzie teraz jest ten pani Bartlett? - zapytał.

- Chyba w ogrodzie.

Ostatni raz widziałem go na tarasie - odezwał się Dunross. - Był z Ad-ryon.

A dlaczego pytasz?

Gornt wyjął z kieszeni złotą papierośnicę i poczęstował Casey.

- Nie, dziękuję.

- Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli ja zapalę?

Pokręciła głową.

Gornt zapalił papierosa i zwrócił się do Dunrossa.

- Chciałem go zobaczyć przed odejściem - wyjaśnił. - Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, że za kilka minut sobie pójdę. Wybacz, że nie zostanę na kolacji. Mam do załatwienia ważny interes... Sam rozumiesz.

- Ależ oczywiście. Szkoda, że nie możesz zostać.

Żaden z mężczyzn nic nie dawał po sobie poznać. Jedyne oczy zdradzały ich wzajemną nienawiść i gniew, których rozmiary przerażały Casey.

- Proszę poprosić łana, żeby oprowadził panią po galerii - zwrócił się do niej Gornt. - Słyszałem, że jest tam kilka interesujących portretów. Ja ich nigdy nie widziałem, byłem tylko w sali bilardowej. - Poczula dreszcze na plecach, gdy Gornt znów odwrócił się do Dunrossa.

- Kiedy umówiliście się na to poranne spotkanie? - zapytała Casey, czując, że rozsądnie będzie pomówić o tym otwarciu przy Dunrossie.

- Jakies trzy tygodnie temu. - Gornt się zawahał. - Myślałem, że pani jest zastępcą. Zaskoczyło mnie, że pan Bartlett nic pani nie powiedział.

- Linc jest naszym tai-panem, panie Gornt. Ja dla niego pracuję. Nie musi mi o wszystkim mówić. - Była już o wiele spokojniejsza. - A powinien mi być

powiedzieć? To znaczy czy to było ważne spotkanie?

- Możliwe, że tak. Potwierdziłem oficjalnie, że możemy złożyć korzystniejszą ofertę niż Struanowie. - Gornt spojrział na tai-pana. Dalej mówił tym samym tonem. - Chciałem cię osobiście poinformować, łan, że rywalizujemy ze sobą.

- Dlatego przyszedłeś?

202

- To jeden z powodów.

- A inne?

- Dla przyjemności.

- Od jak dawna znasz pana Bartletta?

- Mniej więcej sześć miesięcy, a co?

Dunross wzruszył ramionami, a potem spojrzał na Casey, ale z jej głosu, wyrazu twarzy i zachowania nie wyczytał nic innego, jak tylko przyjazne nastawienie.

- Nie wiedziałaś o żadnych negocjacjach z Rothwell-Gornt?

Zadziwiona przebiegłością planów Bartletta pokręciła przekonywająco głową.

- Nie. Czy negocjacje są zaawansowane, panie Gornt?

- Powiedzmy, że tak - rzekł z uśmiechem.

- Jeszcze zobaczymy, prawda? - powiedział Dunross. - Zobaczymy, kto dokona najlepszej transakcji. Dziękuję, że osobiście mnie poinformowałaś, chociaż nie było takiej potrzeby. Wiedziałem oczywiście o tym, że też jesteś zainteresowany. Nie ma sensu tego ukrywać.

- Jest jeszcze inny, bardzo istotny powód moich odwiedzin - zarcpliko-wał ostro Gornt. - Ani pan Bartlett, ani ta dama nie zdają sobie sprawy, jak wiele znaczy dla ciebie Par-Con. Czuję się zobligowany osobiście ich o tym poinformować. No a tobie chciałem złożyć gratulacje.

- Dlaczego ta transakcja tak wiele znaczy? - zapytała Casey.

- Bez Par-Con i waszej gotówki Struanowie stoczyliby się w ciągu kilku miesięcy na dno.

Dunross roześmiał się, a ci, którzy otwarcie przysłuchiwali się rozmowie, wzdrygnęli się i zaczęli głośniejsz konwersować onieśmieleni myślą o upadku Struanów. Jednocześnie zastanawiali się, o jaką transakcję może chodzić? Par-Con? Sprzedawać akcje czy kupować? Struanów czy Rothwell-Gornt?

- Nie ma na to szans. - Dunross nie tracił zimnej krwi. - Najmniejszych.

- Mnie się wydaje, że są - Gornt zmienił ton głosu. - W każdym razie, tak jak mówiłaś, jeszcze zobaczymy.

- Tak, zobaczymy... A tymczasem... - Dunross przerwał, widząc szybko zbliżającą się Klaudię.

- Przepraszam, tai-pan - wtrąciła. - Pilna rozmowa z Londynem.

- Dziękuję. - Dunross odwrócił się i skinął na Penelopę. Podeszła natychmiast. - Penelo, mogłabyś przez chwilę towarzyszyć Quillanowi i pannie Tcholak? Mam telefon. Quillan nie zostaje na kolacji, ma naglące interesy. - Kiwnął ręką i odszedł. Casey dostrzegła w jego krokach jakąś zwierzęcą grację.

- Naprawdę nie zostajesz na kolacji? - zapytała Penelopa ze starannie ukrywaną ulgą.

- Nie. Przepraszam za moje zachowanie, najpierw przychodzi niespodziewanie, mimo że nie przyjąłem zaproszenia, a teraz, pech chciał, nie mogę zostać.

- Och. A zatem... Przepraszam na momencik, wracam za sekundę.

- Nie musisz się o nas martwić - powiedział grzecznie. - Damy sobie radę.

Jeszcze raz przepraszam za swoje zachowanie. Wspaniale wyglądasz, Penelopo.

Wcale się nie zmieniłaś. - Podziękowała i odeszła. Zbliżyła się do czekającej na nią Klaudii Czen.

- Dziwny pan jest - zauważyła Casey. - W jednej chwili prowadzi pan wojnę, a zaraz potem jest pan wielce szarmancki.

- My, Anglicy, mamy swoje zasady i na wojnie, i podczas pokoju. Nie ma powodu przeklinać kogoś, pluć mu w twarz, obrażać jego żonę tylko dlatego, że jest przeciwnikiem. - Gornt uśmiechnął się. - Możemy teraz poszukać pani Bartletta? Potem naprawdę muszę iść.

- Dlaczego pan to robi? Dlaczego wszczyna pan wojnę z tai-panem?

Mówienie o „dużym znaczeniu tej transakcji” to wyzwanie, prawda? I to publiczne.

- Życie to gra - westchnął. - Całe życie jest grą, a my gramy według innych zasad niż Amerykanie. Tak, życie jest po to, żeby się nim cieszyć. Ciranoush to przepiękne imię. Mogę tak się do pani zwracać?

- Tak - odparła po chwili milczenia. - Ale dlaczego zaczyna pan bitwę właśnie teraz?

- To odpowiednia chwila. Nie przesadzałem, że jesteście ważni dla Stru-anów.

Możemy poszukać nareszcie tego pani Bartletta?

Już trzeci raz mówi „pani Bartlett”, pomyślała. Sprawdza mnie?

- Oczywiście, czemu nie. - Ruszyła w stronę ogrodu, świadoma ukrytych i otwartych spojrzeń innych gości. - Zawsze ma pan takie dramatyczne wejścia?

Uśmiechnął się.

- Nie, przepraszam za obcesowość, Ciranoush.

- Wspominał pan o prywatnym spotkaniu z Linkiem. Postąpił rozsądnie, nie mówiąc mi o rozmowach z opozycją. Dzięki temu rano miałam więcej swobody działania.

- A więc nie gniewa się pani, że nie zaufał pani?

- Rzecz nie w zaufaniu. Ja też czekam z informowaniem Linca na odpowiednią chwilę, tym samym

chronię go. Najwidoczniej on w taki sam sposób postąpił ze mną. Doskonale się rozumiemy. W każdym razie mnie się wydaje, że go rozumiem.

- Więc proszę mi powiedzieć, jak zostanie sfinalizowane to przedsięwzięcie?

- Najpierw muszę wiedzieć, czego pan chce. Oprócz głowy Dunrossa.

204

- Nie pragnę ani jego głowy, ani śmierci, ani niczego w tym rodzaju.

Jedynie upadku ich Noble House. Gdy Struanowie odejdą, my zajmiemy ich miejsce. - Rysy jego twarzy stężały. - Wtedy wszystkie duchy będą spać spokojnie.

- Proszę mi coś więcej o tym opowiedzieć.

- Nie teraz, Ciranoush. Za dużo tu wrogich uszu. A to informacje tylko dla pani.

Znaleźli się w ogrodzie, wiał wieczorny wiatr, niebo było pełne gwiazd.

Na tarasie nie widzieli Linca, więc po szerokich kamiennych stopniach zeszli niżej i wmieszali się w gości chodzących po ścieżkach wytyczonych między trawnikami. Zatrzymali się.

- Witaj, Quillan, co za miła niespodzianka.

- Dobry wieczór, Paul. Panno Tcholak, przedstawiam pani Paula Havergilla. Pracuje obecnie dla banku Victoria.

- Obawiam się, że tylko czasowo, panno Tcholak. I tylko dlatego, że dyrektor musiał odejść ze względu na chorobę. Zostałem zatrudniony na kilka miesięcy.

- Ku naszej żałości - podkreślił Gornt i przedstawił Casey reszcie grupy: lady Joannie Temple-Smith, wysokiej, pięćdziesięcioletniej kobiecie z pomarszczoną twarzą, Richardowi Kwangowi i jego żonie Mai-ling. - Richard Kwang zasiada w radzie Ho-Pak, jednego z naszych najlepszych chińskich banków.

- My w bankowości przyjaźnie ze sobą konkurujemy, panno... Z wyjątkiem oczywiście Blacs - dodał Havergill.

- Proszę?

- Ach, Blacs? To skrót od Bank Londynu, Kantonu i Szanghaju. Są więksi i starsi od nas, ale my jesteśmy tu najlepsi, panno...

- Blacs mnie obsługuje - powiedział do Casey Gornt. - Jestem zadowolony. To pierwszorzędny bank.

- Drugorzędny, Quillan.

- Mówi się u nas, że w Blacs dżentelmeni próbują być bankierami, a w Victorii bankierzy próbują być dżentelmenami.

Casey roześmiała się. Reszta jej z grzeczności zawtórowała.

- Wszyscy ze sobą przyjaźnie konkurujecie, panie Kwang? - zapytała.

- Tak. Nie ośmielilibyśmy się stawić czoła Blacs czy Victorii - powiedział uprzejmie Kwang. Był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, niskim, przysadzistym, o szpakowatych włosach i miłym uśmiechu. Doskonale mówił po angielsku. - Słyszałem, że Par-Con zamierza inwestować w Hongkongu, panno Tchelek.

- Na razie rozglądamy się. Jeszcze nic nie zostało ustalone.

Nie zwróciła uwagi na przekręcenie nazwiska.

205

- Mówiąc między nami - Gornt zniżył głos - oficjalnie poinformowałem pana Bartletta i pannę Tcholak, że mogę złożyć o wiele lepszą ofertę niż Struanowie.

Blacs skredytuje mnie w stu procentach. A i w innych miejscach mam zaprzyjaźnionych bankierów. Myślę, że Par-Con rozważy wszystkie możliwości przed podjęciem decyzji.

- Jestem pewien, że decyzja będzie rozsądna - zawyrokował Havergill. -

Struanowie to nasz najlepszy klient.

- W każdym razie, panno Tchelek - mówił Richard Kwang - dobrze będzie mieć na naszym terenie taką wielką amerykańską kompanię jak Par-Con. Dobrze dla nas i dla was. Miejmy nadzieję, że zostanie wynegocjowana transakcja odpowiadająca Par-Con. Jeśli pan Bartlett będzie potrzebował jakiegoś wsparcia... -

Bankier podał swoją wizytówkę. Casey otworzyła jedwabną torebkę i równie zręcznie zaproponowała swoją wizytówkę. Była na to przygotowana, ponieważ wiedziała, że w Azji natychmiastowa wymiana wizytówek należy do dobrego tonu.

Chiński bankier spojrzał na karteczkę i zmrużył oczy.

- Przepraszam, ale tego tam nie ma - powiedziała. - W Stanach obsługuje nas bank First Central z Nowego Jorku oraz Kalifornijski Bank Kupiecki - mówiła z dumą, gdyż obydwa te bankowe giganty miały sześćo-miliardowe rezerwy. -

Byłabym... - przerwała, widząc nagłe zmieszanie. - Coś nie tak?

- I tak, i nie - odpowiedział po chwili Gornt. - Chodzi o to, że First Central z Nowego Jorku nie jest tutaj zbyt popularny.

- Dlaczego?

- Okazali się „ulewą”, to znaczy po angielsku przynieśli zły los. First Central prowadził tutaj interesy już przed wojną. W latach czterdziestych, gdy my i większość brytyjskich instytucji dopiero stawaliśmy na nogi, oni burzliwie się rozwijali. W czterdziestym dziewiątym, gdy Mao wygonił Czang Kai-szeka z kontynentu na Tajwan, maoistowscy żołnierze naruszyli naszą północną granicę i wkroczyli kilka mil w głąb Nowych Terytoriów. Zapanował chaos, wszystkich ogarnął strach, ponieważ nie było wiadomo, czy hordy pójdą dalej i zajmą kolonię, czy nie. Wielu ludzi uciekło, spośród nas oczywiście nikt, ale wszyscy Chińczycy, którzy mogli, wyjechali. First Central z Nowego Jorku bez ostrzeżenia wstrzymał

kredyty, spłacił wierzycieli, zamknął drzwi i uciekł. Wszystko w ciągu jednego tygodnia.

- Nie wiedziałam - zdumiała się Casey.

- Okazali się, zechce pani wybaczyć wyrażenie, bandą żółtych psubratów -

powiedziała z pogardą lady Joanna. - Oczywiście byli jedynym bankiem, który zdezerterował. Ale potem... Czego się po nich teraz można spodziewać?

206

- Chyba czegoś lepszego, lady Joanno - odparła zdenerwowana, że nikt z doradców jej nie uprzedził.
- Może istniały jakieś okoliczności łagodzące. Czy te kredyty były duże, panie Havergill?

- Jak na tamten czas, tak. Ten bank zrujnował wielu ludzi i wiele przedsiębiorstw, nie mówiąc już o stratach moralnych. Jednak - dodał z uśmiechem

- ich odejście wyszło nam na dobre. Kilka lat temu mieli czelność ponownie starać się o koncesję!

- A to jedyna koncesja - dodał jowialnie Richard Kwang - która nigdy nie zostanie odnowiona! Wszystkie obce banki, panno Tchelek, działają u nas na podstawie co roku odnawianej koncesji. Naturalnie doskonale sobie bez niego radzimy, tak samo jak i bez innych amerykańskich banków. Z nimi... Cóż, z pewnością i Victoria, i Blacs, i Ho-Pak sprostają wymogom Par-Con. Jeśli pani i pan Bartlett zechcą zamienić...

- Miło mi będzie złożyć panu wizytę, panie Kwang. Może jutro? Na początek przedstawię większość naszych wymogów wobec banków. Odpowiada panu rano?

- Tak, oczywiście. Zobaczy pani, że mamy dostateczne kwalifikacje -

zapewnił bez wahania Kwang. - O dziesiątej?

- Świetnie. Zatrzymaliśmy się w hotelu „Victoria and Albert”. Jeśli coś się zmieni, proszę dać mi znać - poprosiła. - Cieszę się, że także pana poznałam osobiście, panie Havergill. Mam nadzieję, że z naszym jutrzejszym spotkaniem nic się nie zmieniło?

- Oczywiście. O czwartej, prawda? Nie mogę się doczekać rozmów z panem Bartlettem... I naturalnie z panią. - Był wysoki, przystojny, zauważyła, że oderwał wzrok od rozcięcia jej sukni. Opanowała swoją pierwotną niechęć. On i jego bank mogą mi się na coś przydać.
- Dziękuję - powiedziała z dużą dozą szacunku i zwróciła się z komple-mentem do lady Joanny: - Piękna sukienka, lady Joanno. - Zarówno suknia, jak i sznur pereł na szyi tej kobiety wydawały jej się obrzydliwe.
- O, dziękuję ci, moja droga. Twoja także jest z Paryża?
- Nie wprost. Od Balmaina, ale kupowana w Nowym Jorku. -Uśmiechnęła się do żony Richarda Kwanga, masywnej, dobrze trzymającej się kan-tońskiej damy z wyszukaną fryzurą, bardzo bladą skórą i skośnymi oczami. Mai-ling przypięła nefrytową broszkę, a na palcu błyszczał pierścień z sied-miokaratowym brylantem. - Miło mi było panią poznać, pani Kwang - oznajmiła, trochę przestraszona bogactwem widocznym w biżuterii. - Szukamy Linca Bartletta. Nie widzieliście go?
- Teraz nie - rzekł Havergill. - Zdaje się, że poszedł do wschodniego skrzydła. Tam chyba jest bar. Szedł z Adryon, córką Dunrossa.
- Adryon wyrosła na piękną dziewczynę - stwierdziła lady Joanna. -Pasują do siebie. Czarujący mężczyzna z tego pana Bartletta. Jest żonaty?

207

- A więc masz szczęście.
- Tak, wiem o tym. - Przyjrzała mu się uważniej. - Ile masz lat, Linc?
- Dużo - odłożył kij na miejsce. Pierwszy raz w życiu nie chciał się przyznać, ile ma lat. A niech to, myślał, dziwnie się czuję. W czym problem?
- W niczym. Nie ma żadnego problemu. A może?
- Ja mam dziewiętnaście - oświadczyła.
- Kiedy obchodzisz urodziny?
- Dwudziestego siódmego października. Jestem spod Skorpiona. A ty?
- Ja pierwszego października.
- Naprawdę? Powiedz szczerze!
- Niech skonam, jeśli kłamię.
- Z radością klasnęła w dłonie.

- Niesamowite! Mój tata urodził się dziesiątego. Niesamowite. Dobry omen.

- Dlaczego?

- Zobaczysz. - Otworzyła torebkę i wyciągnęła pogniecioną paczkę papierosów i złotą zapalniczkę. Próbowała ją zapalić, ale bezskutecznie. Ani za drugim, ani za trzecim razem.

- Cholerna zapalniczka - mruknęła. - Nigdy nie działa jak trzeba, ale dostałam ją od taty. Bardzo mi się podoba. Już kilka razy napelniałam.

Przyglądał jej się chwilę z wahaniem.

- Nie powinnaś palić - zauważył.

- Tato też zawsze to powtarza.

- Ma rację.

- Tak. Aleja lubię palić. Ile masz lat, Linc?

- Czterdzieści.

- O! - spostrzegł jej zaskoczenie. - Jesteś w tym samym wieku co tata! No, prawie. On ma czterdzieści jeden.

- Obydwaj sporo już mamy na karku - powiedział bez emocji. Cokolwiek sobie wyobrażasz, Adryon, myślał, mógłbym być twoim ojcem.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Zabawne, nie wyglądacie jak rówieśnicy. Ja za dwa lata kończę dwa dzieci a jeden i dla mnie to już koniec. Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy stuknie mi dwadzieścia pięć lat, nie mówiąc już o trzydziestce czy czterdziestce... Boże, chyba będę już wachać kwiatki od spodu...

- Dwadzieścia jeden lat to poważny wiek, madame, ale nie starość -

uspokoił ją. Dawno już nie rozmawiałeś z taką młodą osobą, pomyślał.

Uważaj na siebie. Ona jest jak dynamit. Udało mu się uruchomić zapalniczkę. - No i co ty na to?

210

- Dzięki - powiedziała, zapalając papierosa. - Nie palisz?

- Nie, już nie. Kiedyś paliłem, ale Casey bez przerwy przynosiła mi kolorowe ulotki o nowotworach i paleniu, aż wreszcie to do mnie dotarło. Gdy rzuciłem, nie przeżyłem tego tak bardzo. Dzięki temu poprawiłem się w golfie, tenisie i... - uśmiechnął się. - I w innych sportach.

- Casey jest wspianiała. Naprawdę jest zastępcą prezesa?

-Tak.

- Musi być jej bardzo trudno. Nasi panowie nie bardzo chcieli z nią negocjować.

- W Stanach to samo. Ale ludzie przyzwyczajają się. Budujemy Par-Con już sześć lat. Casey potrafi pertraktować z najlepszymi i zawsze wychodzi zwycięsko.

> - Jest twoją kochanką? Napił

się piwa.

- Wszystkie Angielki są tak bezpośrednie?

- Nie. - Roześmiała się. - Ale to dziwne. Wielu przypuszcza, że ona jest.

- Naprawdę?

- Tak. Jesteście na językach całej hongkongijskiej śmietanki towarzyskiej.

Dzisiaj też będziecie ośrodkiem zainteresowania. Mieliście niezły początek, przylot prywatnym odrzutowcem, przemycana broń, Casey jako ostatnia biała widziała Johna Czena, przynajmniej tak piszą gazety. Podobał mi się wywiad z tobą.

- E, te łaj... ci dziennikarze czekali na mnie na schodach. Staralem się załatwić wszystko szybko i możliwie zwięźle.

- Par-Con naprawdę ma wartość pół miliarda dolarów?

- Nie, trzysta milionów, ale wkrótce staniemy się miliardową kompanią.

Tak, całkiem niedługo.

Dziewczyna patrzyła na niego swoimi szczerymi zielonymi oczami, dorosłymi, a zarazem młodzieńczymi.

- Z pana bardzo interesujący człowiek, panie Bartlett. Lubię z tobą rozmawiać. Ciebie też. Na początku było inaczej. Zdenerwowałam się, gdy tata kazał mi towarzyszyć ci i przedstawiać innym. Chyba kiepsko się spisałam, co?

- Było super.

- Daj spokój - uśmiechnęła się. - Zatrzymałam cię tylko dla siebie.

- Nieprawda. Poznałem wydawcę Christiana Toxe'a, Richarda Kwanga i tych dwóch Amerykanów z konsulatu. Lannana, tak?

- Langana, Edwarda Langana. Miły. Nie zapamiętałam, jak się nazywa ten drugi. Tak naprawdę wcale ich nie znam, tylko z wyścigów. Christian też jest fajny, a jego żona wręcz super. Chinka, więc nie przyszła dzisiaj.

Bartlett zdziwił się.

211

- Dlatego, że jest Chinką?

- Została zaproszona, ale nie mogła przyjść. Aby mąż mógł zachować twarz. Szlachta nie akceptuje mieszanych małżeństw.

- Małżeństw z tubylcami?

- Coś w tym rodzaju. - Wzruszyła ramionami. - Lepiej przedstawię cię innym, bo potem dostanę burę.

- A jaki jest ten bankier Havergill?

- Ojciec uważa go za głupca.

- Na pewno dwudziestoczekaratowego!

- No. - Obydwoje roześmiali się.

- Linc?

Obejrzeni się za siebie i zobaczyli stojące w drzwiach dwie postacie.

Rozpoznał głos i kształty Casey, ale nie miał pojęcia, kim jest mężczyzna.

Przy takim świetle, z miejsca w którym stali, nie dało się dojrzeć.

- Cześć, Casey! Co słychać?

Delikatnie wziął Adryon pod ramię i ruszyli w stronę drzwi.

- Uczyłem Adryon podstaw bilardu.

Adryon roześmiała się.

- Jest w tym świetny. Odkrycie roku.

- To prawda. Linc, Quillan Gornt chciał ci przed odejściem powiedzieć cześć.

Adryon gwałtownie stanęła i momentalnie zbladła. Linc zatrzymał się z utkwionym w nią wzrokiem.

- Co się stało? - zapytał.

- Dobry wieczór, panie Bartlett - powiedział Gornt, ruszając w ich stronę. - Witaj, Adryon.

- Co pan tutaj robi? - zapytała słabym głosem.

- Wpadłem na kilka minut - odparł Gornt.

- Widział się pan z ojcem?

-Tak.

- To proszę już iść. Iść i zostawić ten dom w spokoju - mówiła tym samym cichym głosem.

- O co tu chodzi? - zapytał Bartlett.

- Długa historia - odparł beznamiętnie Gornt. - Poczekam z nią do jutra albo do przyszłego tygodnia. Chciałem potwierdzić naszą kolację w przyszły wtorek. A jeśli ma pan wolny weekend, może oboje wpadlibyście do mnie na jacht? W niedzielę, jeśli będzie pogoda.

- Dziękuję, moglibyśmy potwierdzić to jeszcze jutro? - zapytał Bartlett, cały czas zakłopotany reakcją Adryon.

- Adryon - przemówił łagodnie Gornt. - Annagrey wyjeżdża w przyszłym tygodniu, prosiła o telefon.

- Adryon nic nie odpowiedziała, wpatry-212

wała się tylko w niego. Gornt wyjaśnił Casey i Bartlettowi: - Annagrey to moja córka. Przyjaźnią się. Prawie całe życie chodziły do tych samych szkół.

Annagrey jedzie do Kalifornii na studia.

- O, jeśli w jakiś sposób moglibyśmy jej pomóc... - zaproponowała Casey.

- To bardzo miło z waszej strony - podziękował. - Poznacie ją we wtorek.

Może wtedy o tym porozmawiamy. Będę już się że...

Drzwi po drugiej stronie sali bilardowej otworzyły się i stanął w nich Dunross.

Gornt uśmiechnął się i zwrócił ich uwagę z powrotem na siebie.

- Dobranoc, panie Bartlett, panno Ciranoush. Do zobaczenia we wtorek. Dobranoc, Adryon. - Ukłonił się lekko, przeszedł przez salę, zatrzymał

się. Dobranoc, Ian. Dziękuję za gościnę.

-

Dobranoc - odpowiedział grzecznie Ian i zmusił się do słabego uśmiechu.

Obserwował, jak Gornt wychodzi frontowymi drzwiami, a potem odwrócił się do swoich gości i córki.

- Już prawie kolacja. - Jego głos był spokojny, ciepły. - Pewnie zgłodnieliście. Ja na pewno.

- Czego... Czego on chciał? - zapytała roztrzęsiona Adryon.

Dunross podszedł do niej i uśmiechnął się.

- Nic, złotko, nic ważnego. Złagodniał na starość.

- Na pewno?

- Na pewno. - Objął ją ramieniem. - Nie ma się co martwić, kwiatuszku.

- Poszedł już?

. - Tak.

Bartlett chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się, widząc zza głowy Adryon porozumiewawczy znak Dunrossa.

- Tak, wszystko już w porządku, kochanie - mówił Dunross, przyciskając ją do siebie. Bartlett widział, jak dziewczyna odzyskuje równowagę. - Nie ma się czym przejmować.

- Linc pokazywał mi, jak się gra w bilard i wtedy... To się stało tak nagle.

Pojawił się jak zjawą.

- Ty też powinnaś pukać, gdy do mnie wchodzisz, a nie wyrastać spod ziemi jak zły duszek. - Dunross roześmiał się, a potem zwrócił się do Bartletta i Casey: - Quillan lubi dramaty. - I do samego Bartletta: - Musimy po kolacji porozmawiać.

- Dobrze - odparł Bartlett, widząc, że w oczach Dunrossa nie ma ani iskiereczki serdeczności.

Rozległ się gong wzywający na kolację.

- Och, Bogu dzięki! - ucieszył się Dunross. - Casey, ty siedzisz przy moim stoliku. - Cały czas trzymając Adryon, ruszył do przodu.

Casey i Bartlett podążyli za nim.

Gornt zasiadł w fotelu dla kierowcy w zaparkowanym przed samym Wielkim Domem rollsem Silver Cloud. Noc była przyjemna, choć robiło się coraz wilgotniej. Gornt był z siebie zadowolony. Teraz na kolację do Johna Plumma, myślał. Dunross już jest skończony i niedługo ten dom, Struan i Spółka,

i cały ten kram będą należeć do mnie!

Nie mogło się lepiej złożyć: wszystko przed nosem Casey i Iana. Potem Havergill i Richard Kwang razem. Do tego Bartlett w sali bilardowej, a potem znów sam Ian.

Doskonale!

Teraz Ian się zastanawia, Bartlett się zastanawia, to samo Casey, Havergill, Richard Kwang i nawet Plumm. Ha! Gdybyż oni wiedzieli!

Wszystko idealnie. Z wyjątkiem Adryon. Szkoda jej, szkoda, że dzieci muszą cierpieć za grzechy ojców. Ale takie jest życie. *Dżos*. Szkoda, że nie może wyjechać z Hongkongu w świat jak Annagrey - chociaż na ten czas, gdy będę załatwiał z Ianem ostateczne porachunki, lepiej, żeby nie widziała jego upadku - to samo Penelopa. *Dżos*, że są, *dżos*, gdyby ich nie było. Mam nadzieję, że on tu będzie, gdy obejmę w posiadanie jego łóżę na wyścigach, przejmę stałe miejsce w radach, płatne stanowiska, pełnomocnictwa. Ach, niedługo wszystko to będzie moje. Cała Azja mi pozazdrości.

Roześmiał się. Tak, tak. Już wkrótce. Potem wszystkie duchy będą mogły usnąć. Przeklnij, Boże, wszystkie duchy!

Zapalił silnik, rozkoszując się tapicerką z prawdziwej skóry i wykończeniami z drewna, pachniało bogactwem. Ruszył i minawszy parking ze wszystkimi samochodami, wyjechał na aleję ciągnącą się aż do bramy z herbem Struanów.

Zatrzymał się, aby przepuścić jadące pojazdy, i przez wsteczne lusterko spojrzął na Wielki Dom. Wysoki, przestronny, z błyszczącymi oknami.

Wkrótce będę cię miał, pomyślał. Wyprawę przyjęcie, jakiego Azja nigdy jeszcze nie widziała i nigdy więcej nie zobaczy. Chyba przydałaby mi się kochanka.

Może ta Amerykanka?

Chrząknął.

- Ach, Ciranoush, cóż za piękne imię - powiedział na głos z tą samą szarmancją, którą prezentował poprzednio. Łatwo by z nią poszło, dodał w duchu. Wystarczy staroświecki urok, dobre wino, lekkie, wykwintne jedzenie, odrobina cierpliwości, plus pochodzące prosto z angielskich wyższych sfer męskie sofizmaty, żadnych przysiąg, i już ją mam. Potem w odpowiednim momencie przejść na uliczny angielski, odrobina szorstkości i wszystkie jej żądze zostaną wyzwolone.

Jeśli się nie mylę, dość pilnie potrzeba jej kogoś do łóżka. Widocznie Bartlett jej nie wystarcza albo, jak donoszą raporty, oni naprawdę nie są kochankami.

Interesujące.

Ale czy ja jej naprawdę pragnę? Chyba jako zabawki. Na pewno jako narzędzia. Ale nie jako kochanki, za łatwa.

Drogę miał przed sobą pustą, więc szybko dojechał do najbliższego skrzyżowania, skręcił w lewo i po niedługim czasie jechał już Pik Road w stronę Magazine Gap do mieszkania Plumma. Miał zjeść z nim kolację, a potem jechać do Wanczai, do jednego ze swoich prywatnych apartamentów, aby uścisnąć na przywitanie Monę Leung. Serce było mu szybciej na myśl o ostrej miłości z nią, ojej skrywanej nienawiści do niego, nienawiści pozostającej w konflikcie z zamiłowaniem do luksusu i przyzwyczajeniem do mieszkania oraz wypłacanych miesięcznie drobnych sum.

- Nigdy nie dawaj im za dużo pieniędzy - radził mu kiedyś ojciec. - Stroje, biżuteria, wakacje, w porządku. Ale pieniędzy nie za wiele. Panuj nad nimi dolarami. I nigdy się nie łudź, że kochają cię. Nie. One kochają twoje pieniądze, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Jeśli się głębiej zastanowisz, to całkiem uczciwy układ. Nie jesteśmy Chińczykami i nigdy nimi nie będziemy.

- Nie ma żadnych wyjątków?

- Nie sądzę. Nie dla *quai loh*, synu. Nie sądzę. Mnie się to nigdy nie zdarzyło, a miałem w życiu kilka kobiet. Odda ci swoje ciało, swoje dzieci, nawet swoje życie, ale zawsze będzie cię nienawidzić. Musi, bo ona jest Chinką, a my *quai loh*

Aiii ia, pomyślał Gornt. Ta prawda sprawdza się za każdym razem. I oszczędza mi wiele nerwów. Dobrze by było spotkać się ze staruszką. W tym roku sprawię mu na Gwiazdkę pierwszorzędną prezent: Struanów.

Ostrożnie jechał lewą stroną wijącej się po zboczu wzgórza drogi, nawierzchnia była w doskonałym stanie, niewielki ruch. Normalnie woził go szofer, ale dzisiaj nie chciał, aby ktokolwiek wiedział o spotkaniu z Plummem.

Nie, myślał. I nie chcę też żadnych świadków na spotkaniu z Wu Cztery Palce.

Czego ten pirat może, u diabła, chcieć? Na pewno niczego dobrego. Na granicach robi się niebezpiecznie. Tak. Ale podczas wojny koreańskiej Wu wyświadczył ci wielką przysługę i być może nadszedł czas, aby za nią odpłacić. Wcześniej czy później zawsze do tego dochodzi. To bardzo uczciwe chińskie prawo. Dostajesz prezent, sam dajesz w zamian trochę cenniejszy. Wyświadczone ci przysługę...

Gdy w 1950 roku chińska armia komunistyczna posuwała się po trupach na południe od rzeki Jalu, ponosili ogromne straty, brakowało im wszelkich zapasów i dobrze płacili tym, którzy im ich dostarczali, nie bacząc na blokady. W tym czasie Rothwell-Gornt również niesłychanie ucierpieli z powodu wkroczenia w poprzednim roku Mao do Szanghaju. Toteż w grudniu pięćdziesiątego roku razem z ojcem bez wymaganej licencji eksportowej

Wszystko to przemycili na statku z zaufaną załogą i wysłali do Wampoa, niewielkiej wyspy na Rzece Perłowej w pobliżu Kantonu.

Mieli dostać zapłatę w złocie, ale po drodze wpadli w ręce piratów rzecznych trzymających stronę Czang Kai-szeka, którzy zażądali od nich okupu. Gorntowie nie mieli z czego zapłacić, a gdy nacjonaści dowiedzieli się, że ładunek przeznaczony jest dla zniechędzonych komunistów, przyszłość Rothwell-Gornt zaczęła się malować w czarnych kolorach.

Wtedy udało im się doprowadzić do spotkania w Aberdeen prawdopodobnie z największym przemytnikiem na Rzece Perłowej, Wu Cztery Palce.

- Gdzie tera ten statek'? - zapytał łamaną angielszczyzną Wu Cztery Palce.

Gornt wytłumaczył mu jak najlepiej potrafił po angielsku, bo nie znał

haklo - dialektu Wu.

- Może tak, może nie! - Wu Cztery Palce uśmiechnął się. - Dzwonię trzy dni. Hasło *nee czoh wah*. Trzy dni, *heya?*

Trzeciego dnia zadzwonił.

- Dobrze, źle, nie wiem. Spotkamy się za dwa dni w Aberdeen. O Go dzinie Małpy. - Chodziło o dziesiątą wieczorem. Chińczycy dzielą dzień na dwanaście dwugodzinnych części, z których każda ma swoją nazwę: od czwartej do szóstej rano Koguta, potem Psa, a dalej Wołu, Tygrysa, Króli ka, Smoka, Węża, Małpy, Konia i Owcy.

Dwa dni później na dzonce Wu w Aberdeen o Godzinie Małpy dostał za statek pełną zapłatę w złocie minus czterdzieści procent. Razem pięćset procent zysku.

Wu Cztery Palce uśmiechnął się.

- Zrobimy dobry interes z *quai loh*. Dwadzieścia osiem tysięcy taeli zło-ta. - Tael ważył trochę mniej niż uncja. - Następny raz na moim statku. Tak?

- Tak.

- Wy kupujecie, mój statek, ja sprzedaję, czterdzieści procent ceny sprzedaży moje.

- Tak - potwierdził Gornt, próbując jeszcze zwiększyć swój zysk, ale Wu się nie zgodził.

- Tylko czterdzieści procent ceny sprzedaży. - Ale Gornt zrozumiał

wtedy, że ma wobec tego przemytnika dług wdzięczności.

Złoto podzielone było na pięciotaelowe sztabki. Oficjalnie jego wartość wynosiła 35 dolarów amerykańskich za uncję. Lecz na czarnym rynku w Indonezji, Indiach albo z powrotem w Chinach

można było osiągnąć cenę dwu-, trzykrotnie wyższą, a czasami nawet jeszcze więcej. Na tej dostawie Gornto-216

wie zarobili półtora miliona dolarów amerykańskich i byli na najlepszej drodze do odbudowania swojej kompanii.

Potem jeszcze trzykrotnie zorganizowali z pomocą Wu Cztery Palce wyprawy i z każdej wynieśli równie wysokie zyski. Potem wojna się skoń-

czyła, podobnie jak kontakty z największym przemytnikiem z Rzeki Perłowej.

Od tej pory nie zamienili ze sobą ani słowa. Aż do dzisiejszego telefonu.

- O, Stary Przyjaciel, zobaczymy się? Dzisiaj wieczorem? - zaproponował

Wu Cztery Palce. - Możemy? Czekam cały czas. To samo miejsce co dawniej, tak?

A więc nadeszła pora zrewanżowania się za przysługę. To dobrze.

Gornt włączył radio. Popłynęła muzyka Szopena. Prowadził samochód automatycznie, myślami błądził już wokół czekających go spotkań. Silnik pracował niemal bezszelestnie. Zwolnił przed wyminięciem ciężarówki, a potem dodał gazu, aby wyprzedzić jeszcze wlokącą się taksówkę. Jadąc szybko, ostro zahamował, by w odpowiednim momencie zakręcić, gdy nagle coś zgrzytnęło we wnętrzu silnika. Dotknął stopą podłogi, ale wszedł w ostry zakręt z nadmierną prędkością.

Raz za razem naciskał w panice pedał hamulca, ale nic się nie działo, ręce drżały mu na kierownicy. Po zakręcie wjechał na nieodpowiednią stronę jezdni, ale na szczęście nic nie jechało z naprzeciwka. Pędząc z dużą szybkością, zjechał na odpowiedni pas, ale zaraz pojawił się kolejny zakręt i musiał skręcać tym razem w węższą uliczkę. Pociągnął za hamulec ręczny, ale zwolnił niewiele, a przed nim pojawił się kolejny skręt, zza którego wyłoniły się oślepiające reflektory.

Przestraszony kierowca taksówki szarpnął za kierownicę i udało mu się minąć rollsa o kilka centymetrów, podczas gdy Gornt wszedł w zakręt. Dalej na prostym odcinku zdołał włączyć najniższy bieg. Silnik zawył przeraźliwie.

Gdyby nie zapięty pas, Gornt na skutek nagłego zmniejszenia prędkości, rozbiłby sobie głowę o przednią szybę. Dłonie niemal przyrosły mu do kierownicy. Jeszcze raz udało mu się zakręcić, dosłownie o milimetry minął

nadjeżdżający z przeciwka pojazd. Jechał blisko wznoszącej się po lewej stronie skały, zbyt duża prędkość wyrzucała go na zakrętach na prawo.

Kierowca wyłaniającej się zza wzgórza ogromnej ciężarówki był bezsilny.

Gornt ze strachem skręcił kierownicę w lewo i cudem uniknął zderzenia czołowego z ciężarówką. Próbował bezskutecznie wrzucić wsteczny bieg.

Dzwignia odmawiała posłuszeństwa. Z przerażeniem zobaczył, że obydwie pasy przed nim są zajęte, a dalej droga niknie za kolejnym zakrętem. Czuł, że już po nim, więc skręcił jak najbliżej wzgórza, aby zjechać z drogi i w ten sposób zatrzymać się.

217

Rozległ się szcęk metalu, wyleciała tylna szyba. Nadjeżdżający z przeciwka samochód głośno trąbił. Gornt zamknął oczy, zdając się na los. Odleciał przedni zderzak. Koło wpadło w rów, samochód zarył w pobocze i zatrzymał się.

Gornt padł wycieńczony na kierownicę. Samochód był przechylony na prawo.

Pot lał się z Gornta strugami, serce waliło mu jak młot. Z trudem przychodziło mu oddychanie i myślenie. Nadjeżdżające z obydwu stron pojazdy zatrzymywały się.

Słyszał zniecierpliwione klaksony, a potem zbliżające się pośpiesznie kroki.

- Nic ci nie jest, chłopie? - zapytał obcy człowiek.

- Nie, chyba nic. Hamulce mi wysiadły. - Gornt starł pot z czoła, starał

się zebrać myśli. Dotknął klatki piersiowej, potem poruszył stopą, ale nie czuł

żadnego bólu. - Ja... Hamulce puściły... Skręcałem... I wszystko...

- Hamulce, co? Rzadka sprawa w rollsach. Myślałem, że udaje pan rajdowca.

Miał pan szczęście. Na pana miejscu wyłączyłbym silnik.

- Proszę? - Wtedy Gornt zdał sobie sprawę, że silnik nadal lekko pracuje, a radio gra. Natychmiast przekręcił i wyjął ze stacyjki kluczyk.

- Ładny wozik - cmoknął obcy - ale to już chyba jego koniec. Zawsze mi się takie podobały. Sześćdziesiątka dwójka, prawda?

- Tak, tak.

- Chce pan, żebym zadzwonił po policję?

Gornt z wysiłkiem zebrał myśli, w uszach czuł pulsowanie krwi. Odpiął pas.

- Nie. Zaraz za wzgórzem jest posterunek. Może by mógł mnie pan tam podrzucić.

- Proszę bardzo. - Obcy był niski i krępy. Rozejrzał się po stojących samochodach i ciężarówkach, widział chińskich kierowców i chińskich pasażerów wyglądających z ciekawością przez okno. - Cholerni ludzie - mruknął pod nosem. -

Można umrzeć na drodze, a oni by tylko człowieka stratowali. - Otworzył drzwi i pomógł Gorntowi wyjść.

- Dziękuję. - Gornt czuł, jak mu się trzęsą kolana. Przez moment nie potrafił opanować drżenia i oparł się o samochód.

- Na pewno nic panu nie jest?

- Nie, nic. To tylko. . Śmiertelnie się przestraszyłem! - Spojrzał na wrak. Przód zabrudzony ziemią i chwastami. Po prawej stronie starte płachty lakieru. -

Cholerna sprawa!

-I tak miał pan szczęście, że to dobry samochód! - Obcy zamknął drzwi. -

Fachowa robota. Teraz może go pan tak zostawić. Nikt go nie ukradnie. -

Roześmiał się i ruszył w stronę zaparkowanego nie opodal samochodu. -Hop, do środka. Za chwilę będziemy na miejscu.

218

Gornt przypomniał sobie półuśmiezek na ustach Dunrossa, który wtedy wziął za zuchwałość. Błysnęła mu pewna myśl. Czy Dunross miał dość czasu, aby... Z jego znajomością silników... Oczywiście nie...

- Sukinsyn - mruknął.

- Proszę się nie martwić, staruszkule - pocieszał obcy, kiwając na wrak. -Policja się tym zajmie.

- Tak - powiedział Gornt. - Ma pan rację.

13

22:25

- Wspaniała kolacja, Ian, lepsza niż w zeszłym roku - wylewnie zapewnił zza stołu Sir Dunstan Barre.

- Dziękuję. - Dunross podniósł kieliszek i napił się koniaku.

Barre dopił porto i dolał sobie do bardziej wzorzystego niż zwykle kieliszka.

- Na Boga, Phillip, dlaczego tak mało jesz?

- Tak... ach tak... rzeczywiście - bąkał Phillip Czen.

- Nic ci nie jest?

- Nie, nie... Tylko... Nie.

Dunross zmarszczył brwi, a potem, nie słuchając dalszej rozmowy, zaczął wodzić wzrokiem po pozostałych stolikach.

Zostali we trzech przy stoliku mogącym bez trudu pomieścić dwanaście osób.

Pozostałe stoły porozstawiane były na tarasach i trawnikach. Mężczyźni raczyli się koniakiem, porto, cygarami, inni rozmawiali w małych grupkach, podczas gdy wszystkie kobiety weszły do środka. Dunross zauważył Bartletta przy stole, który jeszcze przed godziną ugiął się pod pieczonymi udźcami baraniami, sałatkami, smacznymi kąskami wieprzowiny, pieczonymi ziemniakami, stekami i najrozmaitszymi warzywami oraz ciastami i lodami. Mała armia służących zbierała naczynia. Bartlett prowadził konwersację z komendantem Rogerem Crosse'em i Amerykaninem Edem Langanem. Za chwilę z nim porozmawiam, pomyślał. Ale najpierw Brian Kwok. Rozejrzał się dokoła. Briana nie było na swoim miejscu przy stoliku z Adryon ani w żadnym innym miejscu, więc Dunross siedział spokojnie i dając się ponieść myślom, popijał koniak.

Tajne akta, MI-6, Wywiad Specjalny, Bartlett, Casey, Gornt, nie ma Tsu-iana, teraz jeszcze nagła śmierć Alana Medforda Granta. Przed kolacją dwójka z Londynu wstrząśnięty Kiernan - współpracownik Medforda.

219

- To się stało dzisiaj rano, panie Dunross - mówił Kiernan. - Padał deszcz, było ślisko, a on, wie pan, pasjonował się motocyklami. Jak zwykle jechał do miasta. Z tego co wiemy, nie znaleźli się żadni świadkowie. Człowiek, który go znalazł, zeznał tylko, że jechał sobie wiejską drogą w pobliżu Esher i autostrady A3, gdy zobaczył na poboczu przewrócony motocykl i człowieka.

Twierdzi, że gdy do niego podszedł, już nie żył. Wezwał policję, a oni rozpoczęli dochodzenie... Co mogę jeszcze dodać? Wielka strata dla nas wszystkich.

- Tak. Miał jakąś rodzinę?

- Z tego co wiem, nie, sir. Oczywiście natychmiast poinformowałem MI-6.

-O!

- Tak, sir.

- Dlaczego?

W słuchawce słychać było szumy.

- Alan zostawił mi polecenie. Jeśli coś mu się przydarzy, miałem na tychmiast zadzwonić pod dwa numery telefonu oraz zatelegrafować do pana.

Nie wiedziałem, czyje są tamte numery. Wykręciłem pierwszy i jak się oka zało należał do wysoko postawionego urzędnika MI-6. Przyjechał ze swoimi ludźmi za pół godziny, przejrzyli biurko Alana i zabrali większość dokumentów. Gdy urzędnik zobaczył kopię ostatniego raportu skierowane go do pana, podskoczył prawie do samego sufitu. Zapytał o pozostałe, więc powiedziałem mu, że zgodnie z instrukcjami Medforda niszczyliśmy je, gdy tylko dostawaliśmy wiadomość, że dotarły do pana. Dostał niemal palpita cji serca. Wygląda na to, że Alan Medford tak naprawdę nie miał pozwolenia od rządu Jej Wysokości na pracę dla pana.

- Aleja mam pisemne zapewnienie Granta, że rząd Jej Wysokości obiecał

takie pozwolenie.

- Tak. Nie robił pan nic nielegalnego, ale ci z MI-6 są stuknięci.

- Kim był ten urzędnik? Jak się nazywał?

- Nie wymieniali żadnych nazwisk. Ten był bardzo napuszony i mruknął

coś o Biurze Akt Tajnych.

- Wspominał pan o dwóch numerach.

- Tak. Drugi był do Szwajcarii. Odebrała kobieta, a gdy ją poinformowałem, co się stało, powiedziała tylko, że jej przykro, i odłożyła słuchawkę.

Nie była Angielką. Alan Medford w swoim ostatnim poleceniu zakazał też właścicieli jednego numeru telefonu informować o drugim numerze, ale mówiąc szczerze, w złości wygadałem się temu dżentelmenowi z MI-6. Zadzwonił natychmiast, ale długi czas było zajęte, a potem dla odmiany głos mówił, że abonent został czasowo wyłączony. Tamtego zalała krew.

- Interesował się pan raportami Alana Medforda?

220

- Nie bardzo, sir. Ja tylko porządkowałem zbierane przez niego informacje, przepisywałem raporty, płaciłem rachunki, a gdy wyjeżdżał, odbierałem telefony. Wiele czasu spędzał na kontynencie, ale nigdy nie opowiadał, gdzie był i co robił. On... On był raczej zamknięty. Nie wiem, skąd czerpał wiadomości, nie znam nawet jego telefonu w Whitehall. Jak mówi łem, był trochę tajemniczy...

Dunross westchnął i napił się koniaku. Co za wstyd, myślał. Chodzi o morderstwo czy wypadek? Ciekawe, kiedy MI-6 się za mnie weźmie. Konto w Szwajcarii? Nic niezgodnego z prawem, to sprawa tylko między Medfordem i mną.

Co robić? Gdzieś musi być jakieś rozwiązanie. • Wypadek?

Zabójstwo? i - Słucham? - zapytał, nie dosłyszawszy słów Dunstana Barre'a.

- Mówiłem, że było zabawnie, gdy Casey nie chciała odejść, a ty ją odpra wiłeś. - Potężny mężczyzna wybuchnął śmiechem. - Masz jaja, staruszk.

Pod koniec kolacji, przed porto, koniakami i cygarami, Penelopa wstała od stołu, gdzie Linc Bartiett rozmawiał z Havcrgillem, i zaraz wszystkie damy poszły w jej ślady, potem wstała Adryon wraz ze swymi sąsiadkami przy stole, a później pozostałe kobiety. Zajmująca miejsce na prawo od Dunrossa lady Joanna uniosła się i zaproponowała:

- Chodźmy, dziewczęta, czas poprawić makijaż.

Wszystkie kobiety odeszły, a mężczyźni grzecznie nie okazywali ulgi z powodu damskiego „exodusu”.

- Chodź, moja droga - powtórzyła lady Joanna do Casey, która nie miała najmniejszego zamiaru wstawać z miejsca.

- Nie, nie, ja nie potrzebuję.

- Na pewno ci się przyda, no chodź.

Casey zauważyła, że wszyscy im się przyglądają.

- Coś się stało? - zapytała.

- Nie, nic, moja droga - bez zniecierpliwienia rzekła lady Joanna. -

Istnieje taki zwyczaj, że damy opuszczają panów na czas porto i cygar.

Chodźmy.

Casey spojrzała na nią bez krzty zrozumienia.

- To znaczy że jesteśmy odsyłane na czas męskich rozmów o polityce i cenie herbaty w Chinach? - zapytała.

- To należy do dobrych manier, moja droga. Kiedy w Rzymie... - Lady Joanna spoglądała z pogardliwym uśmiechem i bawiła się kłopotliwym mil-czeniem i zszokowanymi spojrzeniami większości mężczyzn. Wszyscy wpatrywali się w Amerykanke.

- Chyba pani nie mówi poważnie. Ten zwyczaj przestał obowiązywać jeszcze przed wojną secesyjną - oburzyła się Casey.

- W Ameryce. Tutaj jest inaczej. My należymy do Anglii. Przestrzegamy obyczajów. Chodźmy zatem.

- Dobrze - powiedziała słodko Casey. - Zaraz przyjdę.

Joanna westchnęła, uniosła w zdziwieniu brwi, spojrzała na Dunrossa i odeszła do innych kobiet. Przy stole panowała cisza.

- Tai-pan, nie masz nic przeciwko temu, abym została, prawda? - zapytała z uśmiechem Casey.

- Przykro mi, Casey, ale mam - sprostował łagodnie. - U nas panuje taki zwyczaj, to nic ważnego. W gruncie rzeczy chodzi o to, aby damy jako pierwsze skorzystały z toalety i misek z wodą.

Uśmiech zniknął z jej ust, zadrżał jej podbródek.

- A jeśli zdecyduję się nie skorzystać?

- Ciranoush, to jest nasz zwyczaj. W Ameryce na przykład panuje zwyczaj mówienia sobie po imieniu już przy pierwszym spotkaniu, a u nas nie. Mimo to...

- Dunross patrzył na nią nieugięty. - Nie ma w tym nic z utraty twarzy.

- Ja uważam, że jest.

- Przykro mi, ale zapewniam cię, że się mylisz.

Pozostali patrzyli na nią z przerażeniem, bawiąc się jednocześnie konfrontacją tych dwojga. Tylko Ed Langan postanowił całą sprawę obrócić w żart.

- Do diabła, Casey. Głową muru nie przebijesz.

- Całe życie będę próbowała - odparowała ostro, z widoczną złością. A potem nagle uśmiechnęła się zwycięsko. Puknęła palcami w stół i wstała.

- Wybaczcie, panowie dżentelmeni. . - powiedziała z wdziękiem i odeszła.

- Trudno to nazwać odprawieniem - zauważył Dunross.

- I tak było zabawnie - mówił Barre. - Ciekawe, dlaczego zmieniła zdanie.

Jak myślisz, Phillip?

- Proszę? - zapytał nieobecny duchem Phillip Czen.

- W pewnej chwili myślałem, że udusi biednego lana, a ty? Ale jakoś zmieniła zdanie. Jak myślisz, dlaczego?

- Założę się, że z jakiegoś niecnego powodu. - Dunross uśmiechnął się.

- Ona jest wrażliwa jak kieszeń pełna skorpionów.

- Ale przebojowa - dodał Barre.

Roześmiali się. Tylko Phillipowi Czenowi nie udzielił się dobry humor.

Dunross martwił się o niego coraz bardziej. Cały wieczór starał się dodać mu animuszu, ale nic nie potrafiło zburzyć wyrosłej przed Phillipem ściany. Całą kolację siedział smętnie, odpowiadał monosylabami. Barre z czknięciem wstał

od stołu.

- Skoro zrobiło się miejsce, chyba pójdę na stronę. - Ruszył w kierunku ogrodu.

222

- Tylko nie posikaj kamieni - przestrzegł go bezwiednie Dunross i gdy zostali sami, zwrócił się do Phillipa. - Nie martw się. Niedługo znajdą Johna.

- Tak, z pewnością- powiedział osowiały Phillip Czen. W rzeczywistości nie przejmował się tak bardzo porwaniem syna, lecz tym, co po południu znalazł w sejfie depozytowym Johna. Otworzył sejf kluczem wyjętym z pu-dełka po butach.

- Dalej, Phillip, bierz go, nie bądź głupi - ponaglała szeptem żona Dian-ne.

- Bierz. Nie weźmiesz ty, weźmie tai-pan.

- Tak, wiem o tym. - I dzięki bogom, że wziąłem, myślał. Nadal był

wstrząśnięty, gdy przypominał sobie, czego się dowiedział, przeglądając zawartość sejfu. W środku znajdowały się różnej wielkości koperty, w większości podpisane, oraz notatnik z adresami i telefonami. Koperta z napisem

„długi" zawierała kwit z bieżącym długiem 97 000 dolarów hongkongij-skich wobec działającego nielegalnie bukmachera. Potwierdzenie pożyczki 30 000

dolarów na trzy procent miesięcznie u Biednego Singa, znanego lichwiarza.

Upomnienie o zwrot 20 000 dolarów amerykańskich do banku Ho-Pak, a także list z minionego tygodnia od Richarda Kwanga, który pisał, że jeśli John Czen nie stawi się na jakieś spotkanie, on będzie musiał porozmawiać z ojcem. Potem jeszcze kilka listów świadczących o szczerzej przyjaźni między Johnem a amerykańskim hazardzistą Vincenzem Bana-stasio, który zapewnia, że zaciągnięte u niego długi nie są aż tak naglące: „(...) nie śpiesz się, John, mam do ciebie zaufanie, masz czas do końca roku", plus dołączona fotokopia notarialnie poświadczonego zobowiązania z podpisem syna i spadkobiercy Phillipa do zapłacenia 485 000 dolarów amerykańskich powiększonych o odsetki.

Dureń, dureń i jeszcze raz dureń, przeklinał Phillip, wiedząc, że jego syn nie ma nawet piątej części takich pieniędzy, a więc w końcu i tak on sam musiałby spłacić te długi.

Następnie jego uwagę przykuła koperta z napisem „Par-Con”.

Znajdował się w niej podpisany trzy miesiące temu przez K.C. Tcholok kontrakt zatrudniający Johna Czena na stanowisku prywatnego konsultanta Par-Con za „100 000 dolarów amerykańskich zaliczki (z czego 50 000 już zostało wypłacone), a reszta po podpisaniu satysfakcjonującej umowy między Par-Con a Struanami, Rothwell-Gornt lub jakąkolwiek inną kompanią z Hongkongu wybraną przez Par-Con. Milion dolarów płatne w ratach przez następne pięć lat oraz w trzydzieści dni od podpisania umowy rozpoczęcie spłacania długu 485 000 dolarów wobec pana Vincenza Banastasio, Orchard Road 85, Las Vegas, Nevada, zaczynając od 200 000 plus pięćdziesiąt tysięcy odsetek”.

- W zamian za co? - Phillip Czen westchnął bezsilnie w bankowym podziemi.

223

Ale dalej nie znalazł nic ponad to, że John Czen będzie „prywatnym konsultantem w Azji”. Do kontraktu nie zostały załączone żadne dodatkowe dokumenty.

Jeszcze raz nerwowo przejrzał zawartość koperty, na wypadek gdyby coś przeoczył, ale nie znalazł już nic. Równie bezowocne było także prze-wertowanie pozostałych kopert. Dopiero po jakimś czasie zauważył jedną kopertę wsuniętą w drugą. Ta w środku została podpisana „Par-Con II”. W środku znajdowały się fotokopie odręcznych notatek od jego syna do Linca Bartletta.

Pierwsza z nich datowana sześć miesięcy temu głosiła, że John Czen mógłby dostarczyć Par-Con najtajniejsze informacje na temat wszystkich kompanii należących do Struanów. „(...) oczywiście musiałyby być one zatrzymane w głębokiej tajemnicy. Jeśli zobaczy pan na przykład załączony bilans za lata 1954-61 (wtedy Struanowie wypuścili akcje), przekona się pan, że to, co radzę, jest całkowicie wykonalne. Jeśli przejrzy pan plan struktur Struanów, listę ich największych akcjonariuszy wraz z ich firmami, włączając także mojego ojca, przejęcie Par-Con nie powinno sprawić żadnego kłopotu. Można do fotokopii tych dokumentów dodać pewną rzecz, o której wspominałem - przysięgam na Boga, że może mi pan wierzyć - będącą gwarancją powodzenia. Narażam swoje życie, ale jeśli zapłaci mi pan pięćdziesiąt tysięcy od razu, dam wam tę rzecz na czas pobytu tutaj, lecz natychmiast po podpisaniu umowy muszę ją mieć z powrotem, chyba że użyjecie jej przeciwko Struanom. Gwarantuję, że Dunross będzie musiał zrobić to, czego pan od niego zażąda. Proszę o odpowiedź na ten sam adres co zwykle i -

zgodnie z umową - o zniszczenie tego listu”.

- Tę rzecz, czyli co? - mruknął pod nosem Phillip Czen. Ręce mu się trzęsły, gdy czytał następny list z datą sprzed dwóch tygodni.

„Drogi panie Bartlett. Oto potwierdzenie pana przyjazdu. Wszystko gotowe.

Cieszę się, że znów się spotkamy i że poznam pana K.C. Tcholoka. Dziękuję za pieniądze, dotarły bezpiecznie. Na przyszłość proszę wysyłać na konto w Zurychu. Gdy się zobaczymy, podam panu numer konta. Dziękuję też za zgodę na przekazanie mi trzech procent akcji nowego azjatyckiego Par-Con w zamian za usługi, do których się zobowiązałem.

Załączam jeszcze kilka interesujących informacji: pismo świadczące o tym (podpisane między innymi przez mojego ojca), że Struanowie muszą zapłacić firmie Toda Shipping należność za supernowoczesne statki towarowe 1, 11 i 15

września, a pieniędzy tych nie ma.

W odpowiedzi na pytanie pana Tcholoka o pozycję, jaką zająłby mój ojciec podczas przejęcia, informuję, że jego można unieszkodliwić. Załączone fotokopie to tylko część tych, jakie posiadam. Te ujawniają bliskie związki od początku lat pięćdziesiątych z Lee Białym Proszkiem oraz jego ku-224

zynem Wu Sang Fangiem, znanym też jako Wu Cztery Palce. Do dziś posiadają tajną kompanię przewozową oraz prowadzą interesy w Bangkoku.

Chociaż dwaj wymienieni Chińczycy obecnie są szacownymi biznesmenami i milionerami, w opinii publicznej uchodzą za piratów i przemytników.

Poważne plotki w kręgach chińskich głoszą, że są też Wielkimi Smokami handlu narkotykami. Jeśli wyszłyby na jaw związki mojego ojca z nimi, na zawsze straciłby twarz, zerwane zostałyby więzy łączące go ze Struanami, wszystkie istniejące obecnie *hongs*, a co najważniejsze, przepadłyby jego szanse na uzyskanie szlachectwa, którego pragnie nade wszystko. Same te wiadomości wystarczą, aby go odpowiednio nastawić, nawet uczynić sprzymierzeńcem. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że przedstawiane dokumenty wymagają przed podaniem do sądu silniejszych dowodów, ale już je posiadam, dobrze ukryte w sejfie (...)"

Phillip przypominał sobie, z jakim zdenerwowaniem przeglądał resztę zawartości sejfu. Wydawało mu się niemożliwe, aby jego syn mógł znać tak wiele sekretów, nieprawdopodobne, żeby miał bilans Struanów z okresu przed wejściem na giełdę. Nie ma mowy, aby wiedział o Wu Cztery Palce i tym podobnych rzeczach.

O bogowie, Dianne nie ma pojęcia nawet o połowie tego! O czym jeszcze wie John? Co przekazał temu Amerykaninowi?

Gwałtownie przeszukiwał pozostałe koperty, ale nie znalazł już nic więcej.

- Na pewno ma gdzieś jeszcze jedną skrytkę - mruknął, nie mając sił na zastanawianie się.

W nadziei, że przeglądając wszystko bardziej szczegółowo, znajdzie odpowiedź na nurtujące pytania, zabrał koperty i notatnik do teczki i zamknął

sejf. Nagle coś mu przyszło do głowy i otworzył go z powrotem. Wyciągnął

tackę i odwrócił ją do góry nogami. Pod spodem były przyklejone taśmą dwa klucze. Jeden do skrytki depozytowej. Widok drugiego sparaliżował Phillipa.

Rozpoznał go natychmiast. Pasował do jego własnego sejfu domowego. Dałby sobie głowę uciąć, że jedyne istniejące kluczyki zawsze wisi na jego szyi, zawsze, odkąd ojciec szesnaście lat temu przekazał mu go na łożu śmierci.

- *Oh ko* - powiedział na głos w nagłym przypiływie gniewu.

- Nic ci nie jest? - zapytał Dunross. - Może lampkę koniaku?

- Nie, dziękuję - rzekł roztrzęsiony Phillip Czen, wracając do rzeczywistości. Z dużym wysiłkiem zebrał myśli i popatrzył na tai-pana. Wiedział, że powinien mu o wszystkim powiedzieć, ale nie miał odwagi. I nie ośmieli się, nie wiedząc, ile jeszcze tajemnic zostało wykradzonych. A nawet wtedy byłoby mu trudno. Wiele przeprowadzonych transakcji władze mogłyby źle zinterpretować, inne przyniosłyby dużo wstydu i doprowadziłyby do najrozmaitszych procesów sądowych w sprawach cywilnych, a nawet kry-225

minalnych. Głupie angielskie prawo, myślał, głupie, bo jedno dla wszystkich, i dla robotników, i niewolników, i dla biednych, i dla bogatych... to przez to prawo i biedni, i robotnicy, i niewolnicy, a nawet hazardziści mogą się bogacić.

Do wielu rzeczy powinien się przyznać Dunrossowi, jak chociażby do sprawy wieloletniego tajnego zbierania dokumentów Struanów, czym zajmował się już ojciec Phillipa - zbierali zestawienia bilansów, nazwiska akcjonariuszy i inne tajemnice, bardzo prywatne, a także dane dotyczące przemytu, łapówek - a wiedział, że nie byłoby dobrze tłumaczyć się, że gromadził je dla obrony, ponieważ tai-pan słusznie mógłby zarzucić, że chodzi o obronę Domu Czenów, a nie Noble House. I słusznie tai-pan odwróciłby się od niego, kierując przeciwko niemu i wszystkim potomkom całą swą złość. A w walce ze Struanami zostałyby zerwane wszystkie więzy i zaprzepaszczony cały dorobek stu pięćdziesięciu lat.

Dzięki bogom, nie wszystko było schowane w sejfie, myślał. Dzięki bogom, niektóre rzeczy są głęboko zakopane.

Nagle stanęły mu przed oczami słowa z pierwszego listu Johna: „Można do fotokopii tych dokumentów dodać pewną rzecz, o której wspominałem”. .

Zbladł i zerwał się na równe nogi.

- Wybacz, tai-pan.. Eeee. Pożegnaj się już. Poszukam Dianne i.. dzię kuję, dobranoc. - Szybkim krokiem wyszedł z domu.

Poruszony Dunross patrzył za nim.

- O, Casey - powiedziała Penelopa - przedstawiam ci Kathren Gaval-lan.

Siostrę lana.

- Cześć - Casey uśmiechnęła się. Od razu jej się spodobała. Stały w przed-pokoju razem z innymi kobietami poprawiającymi makijaż, rozmawiającymi lub czekającymi w kolejce do toalety. Przedpokój był duży, umeblowany i wyłożony lustrami. - Macie takie same oczy. Wszędzie bym zauważyła takie podobieństwo. Dobry z niego człowiek, prawda?

- Chyba tak - potwierdziła pogodnie. Miała trzydzieści osiem lat, mówiła ze szkockim akcentem, w

długiej jedwabnej sukni wyglądała atrakcyjnie. -

Straszne są te przydziały wody.

- Tak. Trudno tu żyć z dziećmi, prawda?

- Nie, *cherie*, dzieci uwielbiają taką sytuację - odezwała się Susan de-Ville.

Zbliżała się do pięćdziesiątki, mówiła z nieznacznym francuskim akcentem. -

Nie mam argumentów, by je nakłonić do codziennych kąpeli.

- Z moimi jest to samo - uśmiechnęła się Kathren. - Rodzicom jest ciężko, ale im ani trochę. Niełatwo tylko prowadzić dom.

- Boże - jęknęła Penelopa. - Jak ja tego nienawidzę! Masz dzisiaj szczęście.

Normalnie pot by nas zalewał. - Poprawiła przed lustrem makijaż. - Nie mogę się doczekać przyszłego miesiąca. Mówiłam ci, Kathren, że na 226

kilka tygodni wyjeżdżamy do domu? W każdym razie ja jadę. Ian obiecał, że też, ale z nim nigdy nic nie wiadomo.

- Przydałby mu się urlop - stwierdziła Kathren, a Casey zauważyła ma-skowane kosmetykami cienie pod jej oczami. - Jedzicie do Ayr?

- Tak, i na tydzień do Londynu.

- Szczęściara. Casey, jak długo zostajecie w Hongkongu?

- Nie wiem. To zależy od interesów Par-Con.

- Rozumiem. Andrew mówił, że miał dzisiaj zebranie z tobą.

- Zdaje się, że nie bardzo lubią prowadzić interesy z kobietami.

- Nie do końca - powiedziała ze śmiechem Susanne deWle, chowając dół

bluzki w spódnicę. - Naturalnie mój Jacques jest na pół Francuzem i rozumie, że kobiety także zajmują się biznesem. Ale Anglicy... - Zmarszczyła brwi.

- Tai-panowi nie przeszkadzało. Chociaż właściwie jeszcze nie negocjowałam z nim.

- Ale pertraktowałam z Quillanem Gorntem - rzuciła Kathren, a Casey, mając się na baczności nawet między kobietami, wyczuła w jej głosie jakiś podtekst.

- Nie - zaprzeczyła. - Poznałam go dopiero teraz. Mój szef z nim rozmawiał.

Przed samą kolacją zdążyła opowiedzieć Bartlettowi historię ojca Gornta i Colina Dunrossa.

- Jezu! Nic dziwnego, że Adryon tak się przeraziła - pojął Bartlett. - Na dodatek byliśmy w tej samej sali bilardowej. -Zastanowił się chwilę i wzruszył ramionami. - Z tego wynika, że Dunross znajduje się pod jeszcze więk-szą presją.

- Możliwe. Jeszcze nigdy nie widziałam tak silnej wrogości jak u nich.

- Ja na razie nic nie zauważyłem. Gornt zachowywał się tak otwarcie, jak przystało na prawdziwego generała. Gdybyśmy nie mieli wcześniej informacji od Johna Czena, słowa Gornta wiele by dla nas znaczyły. A tak nie ma pojęcia, że go wyprzedzamy. I sam stara się narzucać tempo. My jeszcze nawet nie wyjęliśmy broni ciężkiego kalibru, a on już się do nas przystawia.

- Zdecydowałeś, z którym podpiszemy kontrakt?

- Nie. A co ty sugerujesz?

-Nic. Przynajmniej na razie. Obydwaj są straszni. Linc, myślisz, że John Czen został porwany dlatego, że przekazywał nam informacje?

- Nie wiem, a co?

- Zanim przyszedł Gornt, nadinspektor Armstrong wypytywał mnie o to, co John Czen mówił zeszłej nocy, o czym rozmawialiśmy, o dokładne słowa.

Powiedziałam wszystko, co pamiętam. Nie przyznałam się tylko, że miałam wziąć „to”. Zresztą do tej pory nie wiem, czym to „to” jest.

- Nic trefnego.

227

- Chcę wiedzieć. To... to przekracza granice moich możliwości. Broń, brutalne porwanie, natarczywość policji...

- Mówię ci, że to nic trefnego. I na tym poprzestańmy. Czy Armstrong wspominał o jakichś związkach pomiędzy tymi wydarzeniami?

- Nie. To twardy, małomówny angielski dżentelmen, policjant przebiegły i dobrze wyuczony jak z filmu. Z pewnością wie, że coś ukrywam. -Zawahała się. -

Linc, co John Czen miał takiego ważnego dla nas?

Nigdy nie zapomni, jak ją świdrował przenikliwym wzrokiem, aż wreszcie zaśmiał się.

- Monetę - oświadczył już spokojnie.

- Co takiego? - zapytała zdziwiona.

- Monetę, a właściwie pół monety.

- Ależ Linc, co jakaś moneta moż...

- To na razie tyle, Casey. Powiedz, czy Armstrong podejrzewa, że istnieje jakiś związek między porwaniem Czena a przemytem broni?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Chyba nie. Zresztą na pewno bym go nie przejrzała. On jest za sprytny. - Znow się zawahała. - Linc, doszedłeś z Gorntem do jakichś konkretów?

- Nie. Nic nie ustaliliśmy. Gornt pragnie tylko pozbycia się Struanów z Azji i chce, żebyśmy się do tego przyłączyli. Przedyskutujemy wszystko we wtorek.

Po kolacji.

- A co powiesz dzisiaj po kolacji tai-panowi?

- Zależy, o co zapyta. Dowie się, że wypróbowanie defensywy przeciwnika to dobra strategia.

Casey zaczęła się zastanawiać, kto naprawdę jest wrogiem. Nawet między tymi kobietami czuła się wyobcowana. Wydawało jej się, że wszystkie niechętnie się do niej odnoszą, z wyjątkiem Kathren i Penelopy, i tej kobiety spotkanej w kolejce do toalety.

- Cześć - powiedziała łagodnie tamta. - Usłyszałam, że też jesteś tu obca.

- Tak, faktycznie - odparła Casey, będąc pod wrażeniem urody rozmówczyni.

- Nazywam się Fleur Marlowe. Peter Marlowe to mój mąż. Jest pisarzem.

Wspaniale wyglądasz.

- Dziękuję, ty także. Również dopiero przyjechaliście?

- Nie. Jesteśmy tu już trzy miesiące i dwa dni, ale po raz pierwszy widzimy prawdziwe angielskie przyjęcie - odpowiedziała Fleur. Jej angielski nie był tak mlaskający jak innych. - Większość czasu spędzamy z Chińczykami albo ze sobą.

Mamy apartament domowy w starej części „Victoria and Albert”. Boże - spojrzała na drzwi toalety. - Mogłaby się pośpieszyć, bo nie wytrzymam.

228

- My też zatrzymaliśmy się w „Victoria and Albert”.

- Tak, wiem. Jesteście dość sławni. - Fleur Marlowe roześmiała się.

- Chyba niesławni! Nie wiedziałam, że w tym hotelu są apartamenty domowe.
- Właściwie to nie jest apartament domowy. Dwie sypialnie i salon. I ma-leńka kuchenka. Mimo to jak w domu. - Fleur Marlowe miała duże, niebieskie oczy, długie włosy i Casey wydawało się, że jest w jej wieku.
- Twój mąż jest dziennikarzem?
- Pisarzem. Na razie jednej książki. Głównie pisze scenariusze i reżyseruje filmy w Hollywood. To lepiej płatne.
- Dlaczego spotykacie się głównie z Chińczykami?
- A, Peter się nimi interesuje. - Fleur Marlowe uśmiechnęła się i szepnęła konfidentycznie, rozglądając się po innych kobietach. - Są trochę przepu-drowane, nie? Bardziej angielskie niż Angielki. Stara szkoła i inne bzdury.
- Ty też jesteś Angielką?
- I tak, i nie. Jestem Angielką, ale pochodzę z Vancouver. Mieszkamy z dziećmi w starym, dobrym Hollywood, w Kalifornii. Naprawdę nie wiem, za kogo się uważać. W połowie jestem tym, a w drugiej tantym.
- Ja i Linc też mieszkamy w Los Angeles.
- Słyszałam, że jest bardzo mądry. Masz szczęście.
- Duże macie dzieci?
- Jedno cztero-, a drugie ośmioletnie. Dzięki Bogu, że u nas nie ma przydziałów wody.
- Jak ci się podoba Hongkong?
- Jest fascynujący, Casey. Peter zbiera materiały do książki, więc zachwyca się tym miejscem. Mój Boże, jeśli choć połowa z tutejszych legend to prawda... Struanowie, Dunrossowie i ten twój Quillan Gornt.
- On nie jest mój. Poznałam go dopiero dzisiaj wieczorem.
- Ale tym swoim przejściem przez salę wywołaliście prawdziwe trzęsienie ziemi. - Fleur uśmiechnęła się. - Jeśli zamierzasz zostać tu dłużej, musisz porozmawiać z Peterem. Wprowadzi cię we wszystkie tajniki tutejszych skandali. - Skinęła na pudrującą nos przy lustrze Dianne Czen. - To macocha Johna Czena, żona Phillipa Czena. Żona Numer Dwa. Pierwsza umarła. Jest Euroazjatką i prawie wszystkich nienawidzi, ale jest jedną z najmiłszych osób, jakie tu poznałam.
- Dlaczego tak wszystkich nienawidzi?

-Większość z nich zazdrości jej. Mimo wszystko jest żoną honorowego doradcy Noble House. Gdy spotkaliśmy ją po raz pierwszy, trochę mnie nastraszyła. Kobiecie bardzo trudno żyć w Hongkongu, zwłaszcza kobiecie wyobcowanej. Nie wiem dlaczego, ale zaczęła nas traktować jak rodzinę. Jest wspaniała.

229

- To Euroazjatka? Wygląda na Chinkę.

- Czasami trudno odróżnić. Jej panięskie nazwisko brzmi T' Czung, a Peter mówi, że jej matką jest Sung. T' Czungowie pochodzą w prostej linii od jednej z kochanek Dirka Struana, a Sung pochodzi od także nie uznanej linii potomków sławnego malarza Arystotelesa Quance'a. Słyszałaś o nim?

-Tak.

- Wiele... hm... najślawniejsze rodziny Hongkongu... cóż, Arystoteles Quance spłodził wiele dzieci...

W tej chwili otworzyły się drzwi do toalety, jakaś kobieta wyszła, a Fleur powiedziała:

- Dzięki Bogu!

Czekając na swoją kolej, Casey jednym uchem słuchała rozmów innych.

Dotyczyły cały czas tego samego: ubrań, upału, przydziałów wody, skarg na *amah* i innych służących, drożyny, dzieci i ich szkół. Potem nadeszła jej kolej, a gdy wyszła, nie widziała już nigdzie Fleur Marlowe.

Podeszła do niej Penelopa.

- Och, słyszałam, że nie chciałaś odejść od stołu. Nie przejmuj się Joanną-

poradziła cichutko. - Zawsze truje i zawsze będzie truła.

- To była moja wina. Nie przywykłam jeszcze do waszych zwyczajów.

- Wszystkie są raczej niemądre, ale na dłuższą metę lepiej zostawiać mężczyzn samych. Osobiście z radością odchodzę od stołu. Ich rozmowy przeważnie są strasznie nudne.

- Tak, czasami faktycznie. Ale mnie chodziło o zasadę. Powinniśmy być traktowane jak równe mężczyznom.

- Nigdy tak nie będzie, moja droga. Nie tutaj. Jesteśmy w królewskiej kolonii Hongkong.

- Wszyscy mi to powtarzają. Jak długo mamy trzymać się na uboczu?

- Z pół godziny. Nie ma określonego czasu. Długo znasz Quillana Gornta?

- Poznałam go dzisiaj wieczorem.

- On... On nie jest zbyt mile widziany w tym domu.

- Tak, wiem. Słyszałam o tamtym Bożym Narodzeniu.

- A co dokładnie?

Opowiedziała. Chwilę milczały.

-Niedobrze, że obcy są wplątywani w rodzinne kłótnie, prawda? - stwierdziła Penelopa.

- Tak. Ale gdzie nie ma rodzinnych kłótni? My, ja i Linc, przyjechaliśmy tutaj, aby zacząć prowadzić interesy, i mamy nadzieję związać się z jakąś dużą kompanią. Nie bardzo jesteśmy zorientowani w tutejszych stosunkach, więc rozglądamy się w poszukiwaniu odpowiedniego wspólnika.

- Cóż, moja droga, mam nadzieję, że dokonacie właściwego wyboru. Bądź

cierpliwa i uważna. Mam rację, Kathren? - zapytała swojej szwagierki.

230

- Tak, Penelopo, masz rację. - Kathren popatrzyła na Casey w taki sposób jak Dunross. - Mam nadzieję, że dobrze wybieriecie. Tutaj wszyscy są mściwi.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że jesteśmy bardzo małą społecznością, ściśle ze sobą powiązaną, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Tajemnic nie ma tu prawie wcale. Po drugie dlatego, że tutaj nienawiść przechodzi z pokolenia na pokolenie. A jak już nienawidzisz, to z całego serca. Po trzecie dlatego, że wszyscy pochodzimy od piratów, a u nich łatwo o wszystkie rodzaje zemsty.

Oj tak, tak. Po czwarte zawsze chodzi o wysoką stawkę i nikt nie przyjeżdża do Hongkongu na stałe. Nawet Chińczycy zarabiają tylko pieniądze i wyjeżdżają. To najdziwniejsze miejsce na ziemi.

- Ale Struanowie, Dunrossowie i Gorntowie trwają tu od pokoleń - przypomniała Casey.

- Tak, ale tylko z jednego, jedyne powodu: pieniędzy. Tu pieniądze są naszym bóstwem. A gdy już je masz, wyjeżdżasz, do Europy, Ameryki i oczywiście do Chin.

- Przesadzasz, Kathy - powstrzymała ją Penelopa.

- Trochę. Ale mam rację. Ludzie są mściwi jeszcze dlatego, że żyjemy cią-

gle pod groźbą katastrofy - pożary, zarazy, powodzie, obsunięcia ziemi, zamieszki. Połowa mieszkańców to komuniści, reszta nacjonaliści. A nienawidzą się w taki sposób, że biały człowiek nigdy nie będzie w stanie tego zrozumieć.

I te Chiny... W każdej chwili mogą nas pochłoniąć. Żyje się z dnia na dzień, zagarnia ile się da, bo kto wie, co będzie jutro. Ludzie są szorstcy, ponieważ tu naprawdę wszystko jest niebezpieczne. I nie ma w Hongkongu rzeczy trwałych.

- Z wyjątkiem Piku - zastrzegła Penelopa. - I Chińczyków.

- Nawet oni chcą się szybko wzbogacić i uciec. Bardziej tego pragną niż inni. Poczekaj, Casey, sama zobaczysz. Hongkong oczaruje cię lub przerazi, zależy, jak na niego spojrzysz. Dla biznesmenów to najbardziej ekscytujące miejsce na ziemi, wkrótce poczujesz się jak w pępku świata. Ta dzikość działa na mężczyzn, oni czują się wspaniale, ale my? Dla nas to straszne miejsce i każda kobieta, każda żona zaciekle nienawidzi Hongkongu, choćby nie wiem jak udawała, że jest inaczej.

- Daj spokój, Kathren - wtrąciła Penelopa. - Znow przesadzasz.

- Nie. Wcale nie. Wszystkie jesteśmy poszkodowane, wiesz o tym doskonale, Penny! My, kobiety, toczymy z góry przegraną bitwę... - Przerwała i zmusiła się do uśmiechu. - Przepraszam, jestem trochę przepracowana. Penn, chyba poszukam Andrew. Jeśli chce, niech zostanie, ja już pójdę.

- Źle się czujesz?

- Nie, trochę tylko jestem zmęczona. Mały daje mi w kość, ale w przyszłym roku wyjedzie już do szkoły.

231

- A co z badaniami?

- Wszystko w porządku. - Kathy uśmiechnęła się do Casey. - Jeśli będziesz chciała, zadzwoń. Jestem w książce. I nie wybierajcie Gornta. To byłby fatalny błąd. Pa, kochanie - kiwnęła do Penelopy i odeszła.

- Jest taka miła - powiedziała Penelopa. - Ale zadręcza się.

- Czujesz się poszkodowana?

- Jestem bardzo zadowolona z dzieci i męża.

- Penelopo, Casey pytała, czy czujesz się poszkodowana. - Wtrąciła się Susanne deVille, pudrując nos i studiując swe lustrzane odbicie.

- Nie, czasami ogarnia mnie przygnębienie. Ale nie. . Nie czuję się bardziej poszkodowana niż ty.

- Ach, *cheñe*, ale ja jestem paryżanką, jak ja się mogę czuć poszkodowana?

Byłaś w Paryżu, *mademoiselle*!

- Tak - potwierdziła Casey. - Piękny.

- To cały świat - podkreśliła Susanne z galijską skromnością. - No, wyglądam najwyżej na trzydzieści sześć.

- Nonsens, Susanne. - Penelopa spojrzała na zegarek. - Myślę, że możemy już wracać. Przepraszam na sekundkę...

Susanne patrzyła za nią, a potem zwróciła swą uwagę znów na Casey.

- Przyjechaliśmy z Jakiem do Hongkongu w czterdziestym szóstym.

- Także należycie do rodziny?

- Ojciec Jacques'a wzenił się w Dunrossów podczas pierwszej wojny światowej. Ciotka tai-pana została jego żoną. - Nachyliła się do lustra i delikatnie strząsnęła zbędny puder. U Struanów to ważne, żeby należeć do rodziny.

Oczywiście zgadzam się z tobą, że to bzdura, aby damy musiały wychodzić po obiedzie. Na pewno razem z nami odchodzi dobry nastrój.

- Chyba tak - Casey uśmiechnęła się. - Dlaczego Kathren powiedziała, że czuje się poszkodowana? Przez kogo poszkodowana?

- Przez młodość, naturalnie, że przez młodość! Tutaj można znaleźć setki młodych, zmysłowych, pięknych Chinek z długimi czarnymi włosami i ślicznych *derrieres*, o złotej skórze, które naprawdę rozumieją mężczyzn i traktują seks tak, jak na to zasługuje: jak towar, często na wymianę. Angielski purytanizm zniekształcił umysły dam. Bogu dzięki, ja się urodziłam we Francji! Biedna Kathy!

- Ach... - Casey od razu zrozumiała, o co chodzi. - Dowiedziała się, że Andrew ma romans?

Susanne uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała. Patrzyła tylko w swe odbicie.

- Mój Jacques... - odezwała się wreszcie - ...oczywiście także miewa romanse, jak wszyscy mężczyźni, my tak samo, jeśli jesteśmy rozsądne. Ale my, Francuzki, rozumiemy, że takie urozmaicenie nie powinno rozbijać

małżeństwa. Przykładamy do romansów tylko tyle wagi, ile na to zasługują, *non?* - Zmrużyła lekko oczy. - *Oui*

- Ale kobiecie trudno z tym żyć.

- Kobiecie ze wszystkim trudno żyć, *cherie*, ponieważ mężczyźni to *cretins*. - Susanne de Ville skropiła się perfumami za uszami i między pier-siami. - Przepadniesz tutaj, jeśli będziesz chciała grać zgodnie z męskimi, a nie damskimi zasadami. Jeśli jesteś kobietą, *mademoiselle*, masz tu marne szanse. I pamiętaj, że wszyscy Gorntowie są zdradliwi. Uważaj na swojego Linca Bartletta, Ciranoush. Już znalazły się damy, które chciałyby go owinąć wokół palca, a ciebie się pozbyć.

Z długiego, zacienionego balkonu na pierwszym piętrze wyłonił się mężczyzna i przez otwarte okno wszedł do pogrążonego w ciemności gabinetu Dunrossa. Zawahał się, nadstawił ucha, czarne ubranie czyniło go niemal niewidocznym. Z dołu dobiegały odgłosy przyjęcia. Włączył małą latarkę.

Światło padło na obraz nad kominkiem. Mężczyzna podszedł bliżej.

Zdawało się, że Dirk Struan obserwuje go z sarkastycznym uśmiechem.

Światło latarki padło na ramę. Mężczyzna wyciągnął rękę i delikatnie pociągnął najpierw jeden, a potem drugi róg portretu. W absolutnej ciszy zdjął obraz ze ściany.

Odetchnął.

Przyjrzał się z bliska zamknięciu, a potem wyjął wianuszek kluczy. Wybrał jeden, spróbował przekręcić, ale nie udało się. Spróbował z drugim, potem z jeszcze jednym, następnym i następnym. Za którymś razem usłyszał kliknięcie, lecz klucz nie przekręcił się do końca. Pozostałe również nie pasowały.

Zdenerwowany próbował otworzyć zamek wytrychem, jednak również bezskutecznie.

Fachowo przesunął palcami po brzegu drzwiczek sejfu w poszukiwaniu tajnego przycisku lub zapadni, lecz nic nie znalazł. Ponownie chciał przekręcić wytrych, najpierw delikatnie, potem mocno, ale nie udało się.

Znów się zawahał. Po chwili powiesił obraz z powrotem na miejsce.

Bolały go oczy. Podszedł do biurka, na którym stały dwa telefony. Podniósł

słuchawkę aparatu, będącego jedyną w domu końcówką tego numeru, i wybrał kombinację cyfr.

233

Sygnal buczał monotennie. Po chwili usłyszał w słuchawce głos mężczyzny: -

Tak?

- Z panem Lop-sing, proszę - wypowiedział hasło.

- Nie ma pana Lop-ting. Przykro mi, ale to pomyłka. Taki był

właśnie odzew.

- Chciałbym zostawić wiadomość.

- Niestety, to pomyłka. Proszę poszukać w książce telefonicznej. Znów poprawna odpowiedź.

- Mówi Lim - wyszeptał swój pseudonim. - Poproszę z Arthurem. Sprawa pilna.

- Chwileczkę.

Usłyszał, że ktoś podchodzi do telefonu, i od razu rozpoznał surowy głos.

- Tak, Lim? Znalazłeś sejf?

- Znalazłem - potwierdził. - Za obrazem nad kominkiem, ale żaden klucz nie pasuje. Potrzebuję specjalnego sprzętu... - Przerwał nagle. Usłyszał zbliżające się głosy. Delikatnie odłożył słuchawkę. Gwałtownie, nerwowo sprawdził, czy wszystko leży na swoim miejscu, i szybko wyskoczył na balkon po północnej stronie domu. Był to Kelner Do Wina Feng. Czarna liberia kelnera niemal zupełnie rozplynęła się w mroku.

Otworzyły się drzwi. Dunross przepuścił przodem Briana Kwoka. Włączył światło. W gabinecie zrobiło się miło i przytulnie.

- Tu nam nikt nie będzie przeszkadzał - zapowiedział. - Czuj się jak u siebie.

- Dziękuję. - Brian po raz pierwszy został zaproszony na górę.

Obydwaj z kieliszkami brandy podeszli do okien, gdzie było chłodniej.

Lekki wiatr poruszał zasłonami. Usiedli naprzeciw siebie w głębokich fotelach.

Brian Kwok patrzył na doskonale podświetlony obraz.

- Wspaniały portret.

- Tak. - Dunross podniósł wzrok i zamarł. Obraz nie wisiał dokładnie na tym samym miejscu. Tylko Ian mógł to dostrzec.

- Coś się stało, Ian?

- Nie. Nie. - Instynktownie wszystkie jego zmysły się wyostrzyły. Spoglądał

na pokój w poszukiwaniu śladów czyjejś obecności. Po chwili całą uwagę zwrócił na chińskiego nadinspektora, ale w głębi duszy zastanawiał się, kto mógł

dotykać obrazu. - O co ci chodzi?

- O dwie rzeczy. Po pierwsze o wasz frachtowiec „Wschodnia Chmura”.

Dunross był zaskoczony.

- O! - Frachtowiec był jednym z należących do Struanów statków pływających po całej Azji w sprawach handlowych. „Wschodnia Chmura” miała dziesięć tysięcy ton wyporności i obsługiwała

wysoce intratną trasę między 234

Hongkongiem, Bangkokiem, Singapurem, Kalkutą, Madrasem, Bombajem, czasami zatrzymywała się też w Birmie w Rangunie. Przewoziła towary wy-twarzane w Hongkongu, na Malajach, w Tajlandii i Binnie -jedwab, perły, jutę, żywność. Sześć miesięcy temu skonfiskowały go władze hinduskie w Kalkucie po nagłej rewizji, podczas której znaleziono w jednej z ładowni 36 000 taeli przemycanego złota. Ponad tonę.

- Złoto, Wasza Ekscelencjo, to jedna rzecz, my z nią nie mamy nic wspólnego - mówił Dunross do konsula generalnego Indii w Hongkongu - ale konfiskata naszego statku to coś zupełnie innego!

- Ach, tak mi przykro, panie Dunross. Prawo jest prawem, a przemyt złota traktujemy w Indiach bardzo surowo. Prawo stanowi, że statek, na którym przemyca się złoto, może być skonfiskowany i sprzedany.

- Tak, Ekscelencjo, może! Ale w tym wypadku mógłby pan wpłynąć na władze... - Ale żadne odwołania, ani w Indiach, ani w Londynie nie przynosiły skutku i całą sprawę odkładano na później. Ani policja hinduska, ani hongkongska nie postawiły żadnych zarzutów załodze, a mimo to „Wschodnia Chmura” nadal stała przycumowana w porcie w Kalkucie.

- Co ze „Wschodnią Chmurą”?

- Chyba możemy przekonać władze hinduskie, żeby wypuściły wasz frachtowiec.

- W zamian za co? - zapytał podejrzliwie Dunross. Brian Kwok roześmiał się.

- Za nic. Nie wiemy, kto przemycał złoto, ale wiemy, kto złożył donos. -

Kto?

- Siedem miesięcy temu zmieniliście załogi waszej floty. Do tamtej pory dla Struanów pływali kantończycy, a potem z jakichś powodów przerwaliście się na Szanghaj czy kó w. Zgadza się?

- Tak. - Dunross pamiętał, że Tsu-ian, także szanghajczyk, zaproponował tę zmianę. Mówił, że Struanowie zrobiliby wiele dobrego, pomagając uchodźcom z Północy.

- Poza tym, tai-pan, to po prostu doskonali marynarze - przekonywał Tsu-ian. - A ich żądania płacowe są bardzo konkurencyjne.

- A więc Struanowie podpisali kontrakt z szanghajczykami na „Wschodnią Chmurę”, to był zdaje się pierwszy statek, a kantończycy stracili w ten sposób twarz i zwrócili się do przywódcy swojej triady Czerwonego Pręta, który...

- Na litość boską, przecież na naszych statkach nie było triad!

- Wiele razy powtarzałem, że Chińczycy są ze sobą bardzo związani, lan.

Dobrze, powiedzmy, że Czerwony Pręt wystąpił w imieniu związków zawodowych, chociaż wiem, że nie chcesz mieć u siebie żadnych związków.

W każdym razie ten ich szef powiedział mniej więcej tak: „*Oh ko*, 235

naprawdę przez tych północnych psubratów straciliśmy twarz, już ja ich urządzę". I zwerbował hinduskiego informatora, który za część nagrody zgodził

się złożyć doniesienie w hinduskim konsulacie.

- Co proszę?

- Tak - skinął Brian Kwok. - Tak. Nagroda została podzielona między Hindusa i byłych członków załogi „Wschodnia Chmura”. Kantończycy odzyskali twarz, a znieawidzeni północni szanghajczycy znaleźli się śmierdzącej hinduskiej norze i stracili twarz.

- Boże! -Tak.

- Masz na to dowód?

- Ależ oczywiście! Ale powiedzmy tylko, że nasz hinduski przyjaciel pomaga nam w śledztwie w zamian za... hm, pewne przysługi, więc wolałbym nie wymieniać jego nazwiska. Wasz „przewodniczący związku”, jedno z jego nazwisk to Tuk Wielkie Usta, był magazynierem na „Wschodniej Chmurze” przez trzy lata.

Był i niestety już go nie zobaczymy. Złapaliśmy Czerwonego Pręta w zeszłym tygodniu z insygniami starszego członka triady 14K. Doniósł o nim szanghajski informator, którego brat znalazł się w tej hinduskiej norze.

- Został deportowany?

- Tak, i to szybko. Naprawdę walczymy z tymi triadami. To gangi wkręcające się w każdą działalność. Został odwieziony na Tajwan, gdzie chyba niezbyt miło go przyjęli, zwłaszcza że szanghajska triada Zielona Pang bez przerwy walczy o wpływy w Hongkongu z kantońską 14K. Tuk Wielkie Usta był czterysta dwudziesty szósty...

- Co to znaczy?

- Och, myślałem, że wiesz. Wszyscy wyżsi członkowie triad obok symbolicznych imion mają swoje numery. Liczbę utworzoną z cyfr numeru zawsze można podzielić przez magiczne trzy. Lider to czterysta osiemdziesiąt dziewięć, tutaj dodane do siebie cyfry dadzą dwadzieścia jeden, a znowu te, zsumowane, dadzą trzy. Poza tym dwadzieścia jeden to także wielokrotność trzech, czyli stworzenia. Natomiast siedem symbolizuje śmierć. Razem oznacza ponowne narodziny. Drugi stopniem Biały Fan to czterysta trzydzieści osiem, a Czerwony Pręt czterysta dwadzieścia sześć. Najniższy natomiast czterdzieści dziewięć.

- Przecież czterdzieści dziewięć nie dzieli się przez trzy, na litość boską!

- Nie. Ale cztery razy dziewięć daje trzydzieści sześć, a to liczba przysięgi na krew. - Brian wzruszył ramionami. - Wiesz, jaką wagę my, Chińczycy, przywiązujemy do numerologii. A więc to Czerwony Pręt, czterysta dwadzieścia sześć. Złapaliśmy go. Jednak triada istnieje, a raczej istniała na waszych statkach. Prawda?

236

- Na to wygląda - powiedział Dunross, wyrzucając sobie, że nie przewi-dział oczywistego faktu, że utrata kantońskiej albo szanghajskiej twarzy zawsze oznacza kłopoty. I rozumiał, że teraz znajduje się w kolejnej pułapce.

Miał siedem statków z szanghajska załogą przeciwko pięćdziesięciu kantończykom.

- Chryste, nie mogę zwolnić tych Szanghaj czy kó w, których zatrudniłem, bo wtedy oni stracą twarz. Jak wyjść z tego impasu?

- Pozostawić szanghaj czy kó w, ale po skonsultowaniu się z Czerwonym Prętem czterysta dwadzieścia sześć... przepraszam, „przedstawicielem”. No i oczywiście po konsultacji ze znanym wróżbitą, który przepowie, że taka sytuacja to wspaniały *dżos* dla obydwu stron. Co myślisz o Starym Ślepym Tungu?

- Stary Ślepy Tung? - Dunross roześmiał się. - Doskonale! Jesteś genialny, Brian! Też ci dam dobrą radę. Ale tylko do twojej wiadomości.

- W porządku.

- Na sto procent?

- Jasne.

- Pierwsze, co powinieneś jutro zrobić, to kupić akcje Struanów.

- Ile?

- Ile zdołasz.

- Jak długo będę je musiał trzymać?

- A jak bardzo jesteś zachłanny?

Brian gwizdnął przeciągle.

- Dziękuję. - Zamyślił się, ale za moment wrócił do tematu. - A co do

„Wschodniej Chmury”. Teraz przejdziemy do rzeczy bardziej interesujących.

Trzydzieści sześć tysięcy taeli złota warte jest oficjalnie milion pięćset czternaście tysięcy pięćset

dwadzieścia dolarów amerykańskich. Ale przeznaczone na sprzedaż w Kalkucie pięciotaelowe sztabki zyskują na wartości dwu-, a nawet trzykrotnie. Powiedzmy, że dochodzą do czterech i pół miliona. Prawda?

- Dokładnie nie wiem.

- Ale ja wiem. Stracony zysk - trzy miliony, stracona inwestycja - półtora miliona.

-No i?

-Wszyscy wiemy, że szanghajczycy są tak samo zamknięci i tajemniczy jak kantończycy czy Czu Czu albo Fukense, czy każda inna chińska organizacja. A zatem przemytu musiała dokonywać szanghajska załoga, musiała, Ian, chociaż nie mamy na to jeszcze dowodów. Można się zatem założyć o ostatniego dolara, że szanghajczycy przemycali także na „Wschodniej Chmurze” złoto z Makau do Hongkongu i że zostało za pieniądze szanghajczyków, przy prawdopodobnie dużym wkładzie Zielonej Pang, kupione w Makau.

237

- Wcale jedno z drugiego nie wynika.

- Masz już jakieś wieści od Tsu-iana?

Dunross baczniej mu się przyjrzał.

- Nie, a ty?

- Też nie, ale prowadzimy poszukiwania. Po pierwsze, Zielona Pang poniosła dotkliwą szkodę, a kryminaliści nie lubią tracić swoich ciężko zarobionych pieniędzy, więc jeśli nie zlikwidujecie problemu w zarodku, Struano-wie będą mieć wiele kłopotów.

- Nie wszyscy z Zielonej Pang są kryminalistami.

- Różne są na ten temat opinie, Ian. Po drugie, wiadomość poufna, jesteśmy pewni, że Tsu-ian jest zamieszany w przemyt złota. Na koniec, po trzecie, jeśli jakaś kompania nie chce, żeby jej statki konfiskowano za przemyt złota, łatwo mogłaby ograniczyć to ryzyko, zmniejszając swój import złota do Makau.

- Możesz to powtórzyć? - powiedział Dunross, mile zaskoczony, że udało mu się nie podnieść głosu. Zastanawiał się, ile rzeczywiście Wywiad Specjalny wie, a ile zgaduje.

Brian Kwok westchnął i zaczął dalej wyciągać jak z rękawa informacje przekazane przez Rogera Crosse'a.

- Nelson Trading.

Z wielkim wysiłkiem udało się Dunrossowi zachować spokój na twarzy.

- Nelson Trading?

- Tak. Jak wiesz, mają oni wyłączną koncesję gubernatora Hongkongu na skupowanie złota w sztabkach na światowych rynkach dla hongkongij-skich jubilerów, a co ważniejsze, taki sam monopol na wwóz sztabek złota do Hongkongu w celu sprzedania go w Makau cały czas tej samej mniejszej kompanii Saul Feinheimer. Nelson Trading i Feinheimer mają wiele wspólnego. Na przykład kilku dyrektorów, kilku radców prawnych...

-Tak?

- Tak. Zdaje się, że ty także jesteś w radzie?

- Zasiadam w radzie prawie siedemdziesięciu kompanii.

- Wiem, a niektóre z nich nawet częściowo nie należą do Struanów. Oczywiście niektóre mogą należeć poprzez pełnomocników, sekretnie, prawda?

- Tak, oczywiście.

- Na szczęście u nas w Hongkongu nie trzeba prowadzić list dyrektorów.

- Do czego zmierzasz, Brian?

-1 jeszcze jeden zbieg okoliczności: główne biuro Nelson Trading w Londynie znajduje się w tym samym budynku co filia Struan London Limited.

- Brian, przecież to ogromny budynek. I najlepsza lokalizacja w mieście. Tam się mieści pewnie ze sto kompanii.

238

- Kilka tysięcy, jeśli liczyć, że na kompanie składają się holdingi kilku innych kompanii, które nie chcą się z jakichś powodów ujawniać.

- A zatem? - Dunross całkiem trzeźwo rozumował, zastanawiając się, skąd Brian ma te wszystkie informacje i dokąd to wszystko prowadzi. Nelson Trading została założona w 1953 roku i od samego początku prowadzili ją pełnomocnicy. Zajmowała się głównie handlem złotem w Makau, jedynym państwie w Azji, w którym import złota nie był nielegalny.

- A tak na marginesie, Ian, czy jest ci znany ten portugalski geniusz z Makau, signor Lando Mata?

- Tak, znam. Uroczy człowiek.

- Rzeczywiście. I ma wiele kontaktów. Wieść niesie, że jakieś piętnaście lat temu przekonał władze Makau do stworzenia monopolu na import złota, a potem sprzedanie monopolu jemu oraz garstce jego

przyjaciół w zamian za skromny roczny podatek: jeden dolar od uncji. To ten sam człowiek, który przekonał władze Makau do zalegalizowania hazardu... I co dziwniejsze, także do sprzedania tego monopolu jemu i jego przyjaciołom. Wygodnicki, co? Dunross nie odpowiadał.

- Kilka lat wszystko szło gładko - mówił dalej Brian. - Wtedy w pięć dziesiątym czwartym przyszedł do niego jakiś entuzjasta złota z Hongkon gu, wtedy właśnie zmieniło się nasze prawo dotyczące złota, i zapropono wał na razie legalną transakcję: ich kompania kupuje złoto na światowych rynkach w imieniu syndykatu Makau za oficjalne trzydzieści pięć dolarów za uncję i jawnie na statku lub samolocie wwozi je do Hongkongu. Po przywozie nasze służby eskortują transport z lotniska albo doku aż do promu lub statku płynącego do Makau. W Makau tamtejsze służby przerzucają złoto w czterystuuncjowych sztabkach do samochodów i transportują je do ban ku. Do małego, brzydkiego budynku, nie będącego zwykłym bankiem, nie mającym znanych klientów... do banku obsługującego jedynie syndykaty.

Przyjmuje tylko złoto i wcale nie lubi klientów. Zgadnij, do kogo należy?

Do Maty i jego syndykatu. Gdzieś w tym banku złoto znika! - Brian Kwok ukłonił się jak iluzjonista po wykonaniu arcytrudnej sztuki. - W tym roku trzydzieści trzy tony. W zeszłym czterdzieści osiem! Tyle samo wiatach poprzednich.

- Sporo tego złota - odezwał się Dunross.

- Tak, tak. Bardzo dziwne, że władze Makau nie zainteresowały się nigdy tym, że coś do banku przychodzi, a nie wychodzi. Słuchasz mnie jeszcze?

-Tak.

- Naturalnie w tym banku złoto nie zostaje, lecz jest przetwarzane ze sztabek cztery stuuncj owych na mniejsze dwu- lub częściej pięciotaelowe, które 239

są poręczniejsze i łatwiejsze do przemycenia. I teraz dopiero dochodzimy do jedyne go nielegalnego ogniwa tego zadziwiającego łańcucha. Oczywiście nielegalny nie jest ich wywóz z Makau, ale wwóz do Hongkongu. Ale obydwaj wiemy, że stosunkowo prosto przemycić coś do Hongkongu. A najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że tutaj, w jakikolwiek sposób złoto się dostało, każdy może mieć je legalnie i nie stawia mu się żadnych pytań. W przeciwieństwie do Stanów i Wielkiej Brytanii, gdzie obywatelom w ogóle nie wolno posiadać złota w sztabkach. A skoro posiadanie jest legalne, legalny jest też eksport.

- Do czego to wszystko ma prowadzić, Brian? - Dunross napił się brandy.

Brian Kwok wdychał stary aromatyczny trunek i przeciągał milczenie.

Po dłuższej chwili odezwał się:

- Potrzebujemy pomocy.

- My? To znaczy Wywiad Specjalny? - zdziwił się Dunross. -Tak.

- A kto dokładnie? Ty? Brian

Kwok zawahał się.

- Sam Crosse.

- O jaką pomoc chodzi?

- On chciałby przeczytać wszystkie raporty od Alana Medforda Granta.

- Możesz powtórzyć? - powiedział Dunross. Zupełnie się tego nie spodziewał i potrzebował chwili do namysłu.

Brian Kwok wyjął pierwszą i ostatnią stronę raportu i podał Ianowi.

- Mamy kopię całości. - Dunross spojrział na fotokopie. Były bez wątpienia autentyczne. - Chcielibyśmy rzucić okiem na pozostałe raporty.

- Nie rozumiem.

- Nie przyniosłem całego raportu, bo byłoby mi niewygodnie, ale jeśli chcesz, mogę ci dostarczyć jutro - zaproponował Brian, nie spuszczać Dunrossa z oka.

- Prosimy... Pan Crosse prosi o pomoc.

Niezwykłość prośby sparaliżowała Dunrossa na moment.

- Ten raport, także pozostałe, jeśli istnieją, są prywatne - usłyszał swój ostrożny głos. - W każdym razie informacje w nich zawarte są skierowane do mnie, nie do rządu. Z pewnością tych samych rzeczy możecie dowiedzieć się swoimi kanałami.

- Tak. A tymczasem Crosse prosi o umożliwienie wglądu w te raporty.

Dunross łyknął brandy, był wytrącony z równowagi. Mógł łatwo zaprzeczyć, że istnieją inne raporty, i schować je, zakopać lub nawet pozostawić na miejscu, ale nie chciał odmawiać pomocy Wywiadowi Specjalnemu. Jego obowiązkiem było współpracować z nimi. Wywiad Specjalny był ważną częścią Oddziału Specjalnego i obronności kolonii, bez działalności tej or-240

ganizacji - był o tym przekonany - ich pozycja w Azji byłaby zagrożona. A bez skutecznego wywiadu, jeśli dwadzieścia raportów Granta jest prawdziwych, dni ich wszystkich już byłyby policzone.

Jezu Chryste, jeśli wpadłyby w nieodpowiednie ręce...

Poczuł klucie w piersiach. Z ostatniego raportu wynikało, że w policji działa zdrajca. Potem przypomniał sobie, że Kiernan twierdził, iż wszystkie inne kopie zostały zniszczone. Ile z tych informacji mógł znać brytyjski wywiad? Dlaczego Grant nie dostał pozwolenia? Boże, a może źle postąpi-

łem, zbierając to wszystko? Gdyby informacje te dostały się w niepowołane ręce, w ręce wroga, większość z nich zamieniłaby się w śmiertelnościaną broń.

Siłą woli uspokoił myśli.

- Rozważę, co mówiłeś, i jutro porozmawiamy.

- Przykro mi, ale mam dać ci do zrozumienia, że to pilna sprawa.

- Chcesz powiedzieć, że masz wyrzucić na mnie presję?

- Niestety tak. Chcemy prosić cię o współpracę. To oficjalna prośba.

- A „Wschodnią Chmurę” i Nelson Trading dostanę w dowód wdzięczności?

- „Wschodnia Chmura” to prezent. Tak samo jak informacje. Nelson Trading w ogóle nas nie interesuje, tylko przelotnie. Wszystko, co tu powiedziałem, to informacje ściśle poufne. Wiem o nich tylko ja. Nie ma żadnych dokumentów ani zapisków na ten temat.

Dunross patrzył na przyjaciela, na interesującą i sympatyczną twarz ze skośnymi oczami i czarnymi brwiami.

- Brian, czytałeś ten raport? -

Tak.

- A więc rozumiesz mój dylemat - powiedział na próbę.

- Chodzi ci o tego zdrajcę w policji?

- Między innymi.

- Masz rację, że jesteś ostrożny. Zupełnie słusznie. Obawiasz się ze względu na wzmiankę o zdrajcy na poziomie nadinspektorów?

- Tak. Wiesz, o kogo chodzi?

- Nie. Jeszcze nie.

- A podejrzewasz kogoś?

- Tak. Jest teraz sprawdzany. O to nie musisz się martwić, łan, wszystkie raporty wrócą do ciebie natychmiast, gdy ja i Crosse je obejrzymy. Będą pod ścisłą ochroną.

- Chwileczkę, Brian. Jeszcze nie powiedziałem, że one istnieją- wszedł

mu w słowo Dunross, udając irytację, i w jednej chwili zobaczył u przyjaciela w oczach błysk, mogący być oznaką zarówno złości, jak i niezadowolenia. Twarz pozostała nieruchoma. - Postaw się

w mojej pozycji. Musiałbym być skończonym głupcem, żeby cały czas trzymać takie informa-241
cje, no nie? Rozsądniej je zniszczyć po zaznajomieniu się z istotnymi frag-mentami, prawda? -Tak.

- Zostawmy to tak na noc. Spotkamy się jutro, powiedzmy o dziesiątej.

Brian Kwok zawahał się. Potem rysy jego twarzy stężały.

- To nie zabawa, Ian. Tu nie chodzi o kilka ton złota czy wstrząs na giełdzie lub inne niejasne interesy. To sprawa na śmierć i życie milionów ludzi. Grozi nam komunistyczna zaraza. Sevrin to zła wiadomość, ta o KGB

także. W błąd mogli być wprowadzeni także nasi znajomi z CIA i KMT.

Lepiej w nocy dobrze pilnuj tych teczek.

Dunross patrzył niewzruszony.

- A więc oficjalnie uważacie, że te wiadomości są wiarygodne?

- Crosse twierdzi, że prawdopodobnie tak. Może na wszelki wypadek dobrze będzie, jeśli zostawimy tu swojego człowieka, nie sądzisz?

- Proszę bardzo, Brian.

- Może też w Shek-O?

- Proszę.

-Nie jesteś skory do współpracy, prawda?

- Mylisz się, staruszk - zareagował ostro. - Kiedy i w jaki sposób do staliście tę kopię?

Brian zawahał się.

- Nie mam pojęcia. A nawet gdybym wiedział, nie jestem pewien, czy bym ci powiedział.

Dunross wstał.

- No dobrze, chodźmy poszukać Crosse'a.

- Peter, ale dlaczego Gorntowie i Rothwellowie tak bardzo nienawidzą Struanów i Dunrossów? - zapytała Casey. Ona, Bartlett i Peter Marlowe z żoną Fleur przechadzali się po pięknych ogrodach.

- Jeszcze nie znam wszystkich powodów - mówił Anglik, trzydziesto-dziewięcioletni wysoki mężczyzna z ładnymi włosami, akcentem świadczącym o dobrym pochodzeniu i ogromną siłą bijącą z niebieskich oczu. - Plotki głoszą, że cała sprawa sięga Brocków, podobno Gorntowie są w jakiś sposób spokrewnieni z Brockami. Być może z samym Tylerem Brockiem. Słyszeliście o nim?

- Jasne - potwierdził Bartlett. - Jak się zaczęła ta wojna?

- We wczesnej młodości Dirk Struan służył jako chłopiec okrętowy na jednym z kliprów Tylera Brocka. Wtedy życie na morzu, jak wszędzie zresztą, było bardzo brutalne. . W każdym razie Tyler Brock wychłostał młodego Struana za jakieś wymyślone przez siebie przewinienie i zostawił go samego gdzieś na chińskim wybrzeżu. Dirk Struan miał wtedy czternaście lat

242

i poprzysiął na Boga i diabła, że gdy dorośnie, zmiecie z powierzchni ziemi Dom Brocka i Synów oraz wychłosta Tylera. Z tego co wiem, nigdy mu się to nie udało, ale mówi się, że zatłukł jego najstarszego syna na śmierć chińskim żelazem.

- Co to takiego? - zapytała Casey.

- Coś w rodzaju maczugi. Trzy lub cztery krótkie metalowe linki z kol-czastą kulką z jednej strony i rękojeścią z drugiej.

- Zabił go z zemsty za ojca? - zapytała wstrząśnięta.

- Kolejna rzecz, której jeszcze nie wiem, ale założę się, że na pewno miał

ważny powód. - Peter Marlowe dziwnie się uśmiechnął. - Dirk Struan, stary Tyler i inni, którzy podbijali Indie i otwierali Chiny na świat, byli prawdziwymi tytanami. Wspominałem, że Tyler miał tylko jedno oko? Drugie podczas sztormu w tysiąc osiemset trzydziestym wybił mu fał. Podązał

wtedy swym trzymasztowym kliprem „Biała Wiedźma” z ładunkiem opium za Struanem. Ten na swojej „Chińskiej Chmurze” wyprzedzał go o jeden dzień, płynął z brytyjskich pól opiumowych w Indiach do Chin. Podobno Tyler lał w siebie litry brandy i kłął swoich marynarzy, żeby podnosili coraz więcej żagli. - Peter na chwilę przerwał, ale zaraz mówił dalej: - Dirk zginął

w Szczęśliwej Dolinie podczas tajfunu w tysiąc osiemset czterdziestym pierwszym, a Tyler zbankrutował i bez grosza przy duszy umarł w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim.

- Dlaczego nie miał pieniędzy? - zapytała Casey.

- Legenda mówi, że jego najstarsza córka Tess, znana też jako Hag Struan, przez wiele lat knuła przeciwko ojcu intrygę i doprowadziła go do upadku. Wiecie, że wyszła za jedyne go syna Dirka, Culuma? Hag Struan potajemnie zmówiła się z założonym przez Tylera w tysiąc osiemset czterdziestym bankiem Victoria oraz z amerykańskimi partnerami Tylera, Cooperem i Tillmanem. Zapędzili go w pułapkę i doprowadzili wielki Dom Brocka i Synów do gigantycznego bankructwa. Tyler stracił wszystko: statki, opium, posiadłości, magazyny, towary, wszystko. Był skończony.

- Co się właściwie stało?

- Nie wiem, nikt nie wie na pewno, jednak wieść niesie, że tej nocy -

trzydziestego pierwszego października tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku, stary Tyler poszedł do Aberdeen, wioski na przystani po drugiej stronie Hongkongu, razem z dwudziestodwuletnim wnukiem oraz sześcioma marynarzami, aby napaść na oceaniczną lorszę, to taki statek z europejskim kadłubem i chińskim ożaglowaniem, i wypłynąć w morze. Za pasem miał pistolety, a w dłoni kord. Aby zająć statek, zabili czterech ludzi. Tyler zawiesił na stendze banderę Brocków. U wyjścia z przystani dopędził ich kuter, ale zatopili go strzałem z armaty. Wtedy prawie wszystkie statki były uzbrojone w działa, ponieważ na tych morzach od niepamiętnych czasów 243 grasowało mnóstwo piratów. Tak więc stary Tyler wypłynął w morze, wiał wiatr ze wschodu, nadchodził sztorm. Zaraz za Aberdeen zaczęli zbaczać z kursu.

Tyler przeklinał Hag Struan, przeklinał wyspę, zdradziecki bank Victoria, kompanię Cooper-Tillman, ale najbardziej przeklinał nieżyjącego od ponad dwudziestu lat tai-pana. Przysięgł się zemścić. Podobno krzyczał, że zamierza płynąć na północ, dokonać grabieży i zacząć wszystko od nowa.

Jeszcze raz zamierzał zbudować swój Dom, a wtedy... „Wróć, na Boga, wróć... Wróć, zemszczę się i stanę się Noble House, na Boga... Wróć...”.

Bartlett i Casey czuli, jak im dreszcze przebiegają po plecach, gdy Peter Marlowe zniżył głos:

- Tyler popłynął na północ i słuch o nim zaginął, nie znaleziono ani śladu po nim, ani po lorszcy, ani po załodze. Mimo to nadal jest tutaj obecny.

Tak samo jak Dirk Struan. Negocjując z Noble House, pamiętajcie, że negocjujecie także z tą dwójką, a właściwie ich duchami. Tej nocy, kiedy Dunross stał się tai-panem, Struanowie utracili swój największy frachtowiec,

„Spokojną Chmurę”. Ponieśli ogromne straty. Znalaziono ją nieopodal Taj wanu. Przetrwał tylko jeden młody Anglik. Przysięgał, że przed zatonięciem stał na mostku i widać było fałszywe światło, dlatego statek wpadł na skały, a potem, gdy już tonęli, słyszał maniackalny śmiech.

Casey drgnęła mimowolnie.

Bartlett zauważył to i objął ją ramieniem.

- Peter - powiedział - ludzie tutaj rozmawiają o zmarłych przed ponad stu laty, jakby ci byli właśnie w sąsiednim pokoju.

- To stary, chiński zwyczaj - natychmiast odparł Peter Marlowe. - Chińczycy wierzą, że przeszłość panuje nad przyszłością i wyjaśnia teraźniejszość.

Oczywiście Hongkong ma dopiero sto dwadzieścia lat, więc dzisiejsi osiemdziesięciolatekowie... Weźmy na przykład Phillipa Czena, obecnego honorowego doradcę. Ma sześćdziesiąt pięć lat, jego dziadkiem zaś był sławny Sir Gordon Czen - syn Dirka Struana z nieprawego łoża - który zmarł w tysiąc dziewięćset siódmym w wieku osiemdziesięciu sześciu lat. Phillip Czen miał

wtedy dziewięć lat. Bystry dziewięciolatek pamięta opowieści dziadka o jego ojcu, o tai-panie i Mei-mei, najsławniejszej metresie. Podobno Sir Gordon Czen piekielny charakter odziedziczył po ojcu. Miał też dwie oficjalne żony i osiem konkubin w różnym wieku. Dał rodzinie Czenów bogactwo i potęgę. Poproście Dunrossa, żeby wam pokazał jego portret. Ja widziałem tylko reprodukcję, ale i z niej widać, że był przystojny. Jeszcze teraz żyją dziesiątki ludzi, którzy go znali.

A Hag Struan, mój Boże, przecież zmarła dopiero czterdzieści sześć lat temu.

Popatrzcie tam... - Wskazał głową małego, pomarszczonego człowieczka.

Chudego, ale i mocnego jak kij bambusowy. Rozprawiał z młodą kobietą. - To Yincen McGore, tai-244

pan piątego pod względem wielkości hongu, International Asian Trading.

Wiele lat pracował dla Sir Gordona Czena i Noble House. - Nagle Peter uśmiechnął się. - Według legendy był kochankiem Hag Struan, gdy miał

osiemnaście lat i właśnie zszedł ze statku przewożącego bydło z Bliskiego Wschodu. Nie jest Szkotem.

- Och, Peter - odezwała się Fleur. - Trochę koloryzujesz.

- Tak sądzisz? - Uśmiech nie zniknął z jego ust. - Miała wtedy dopiero siedemdziesiąt pięć lat.

Wszyscy roześmiali się.

- Czy te historie są prawdziwe? - zapytała Casey.

- A któż to wie, Casey, co jest prawdą, a co fikcją? W każdym razie ja tak słyszałem.

- Ja nie wierzę - powiedziała Fleur. - Peter lubi dramatyzować.

- Skąd to wszystko wiesz, Peter? - zapytał Bartlett.

- Kilka wiadomości wyczytałem w starych egzemplarzach gazet w bi-bliotece. Jest też *Historia sądu w Hongkongu*. Jeśli się kiedyś zainteresujesz Hongkongiem, to polecam ci tę książkę. Boże, jakie tu rzeczy wyprawiali tak zwani sędziowie, gubernatorzy, policjanci, tai-panowie i wszyscy inni wysoko i nisko urodzeni. Łapówkarstwo, morderstwa, korupcja, fałszerstwa, piractwo...

wszystko.

Poza tym rozpytuje ludzi. Wielu Chińczyków uwielbia wspominać stare dobre czasy, a któż wie o Azji więcej od nich? Wielu ludzi nosi się z nienawiścią i zazdrością i tylko czekają, żeby móc komuś o dobrej lub złej reputacji przypiąć łatkę. Oczywiście trzeba potem odsiewać prawdę od fałszu, a to trudne zadanie. Czasami nawet niemożliwe do wykonania. ; Casey zadumała się.

- Peter - odezwała się po chwili. - Jak było w Changi? Jak było naprawdę?

Jego twarz pozostała nieruchoma, ale zmienił się wyraz oczu.

- Changi to genesis, miejsce ponownego początku - powiedział to takim głosem, że wszyscy poczuli ciarki na plecach. Casey zauważyła, że Fleur wzięła go za rękę, i w tym momencie powrócił do rzeczywistości. - Nic, nic, kochanie - uspokajał ją. Dalej szli ogrodowymi alejkami w milczeniu i zakłopotaniu.

- Casey, może powinniśmy się napić, co? - zaproponował Marlowe i wszystko wróciło do normy.

- Tak, świetna myśl, Peter.

- Linc - powiedział Marlowe - tutaj z pokolenia na pokolenie na tych piratów przechodzi wielkie okrucieństwo. Tacy już są. Tu jest szczególnie miejsce i w szczególny sposób kształtuje ludzi. - Po chwili dodał w zamy-

śleniu: - Rozumiem, że chcesz prowadzić tu interesy. Na twoim miejscu byłbym bardzo, bardzo ostrożny.

245

15

23:05

Dunross w towarzystwie Briana Kwoka szedł tarasem w stronę Rogera Crosse'a, szefa Wywiadu Specjalnego, zajętego rozmową z Armstrongiem i trzema Amerykanami: Edem Langanem, komandorem Johnem Mishauerem w mundurze marynarki i Stanleyem Rosemontem, wysokim pięćdziesięcioletkiem.

Dunross nie miał pojęcia, że Langan pracuje dla FBI ani że Mishauer jest w amerykańskim wywiadzie morskim. Uważał ich za konsultantów. Wiedział

natomiast o współpracy Rosemonta z CIA. Kobiety nadal schodziły się do stolików, zatrzymując się w ogrodzie lub na tarasie. Mężczyźni rozglądali się za drinkami i przyjęcie, podobnie jak noc, zaczynało się na dobre. Kilka par, między innymi Adryon, tańczyło do taktu słodkiej, wolnej muzyki w sali balowej.

Dunross zauważył Penelopę słuchającą ze stoickim spokojem Havergilla. Także Casey i Bartletta, pogrążonych w rozmowie z Peterem i Fleur Marlowe. Ian wiele by dał, aby dowiedzieć się, o czym rozprawiają. Ten Marlowe może narobić nieprzyjemności, przeleciało mu przez głowę. Już i tak zna wiele sekretów, a jeśli czytał naszą książkę... Niemożliwe. Za żadne skarby! To jedyna książka, jakiej nigdy nie przeczyta. Jak ten Alastair mógł postąpić tak nierozsądnie?

Kilka lat temu Alastair Struan wynajął znanego pisarza, aby napisał mu na sto dwudziestą piątą rocznicę powstania Noble House historię Struanów, a ten przejrzał stare księgi i sterty pożółkłych

dokumentów, o których istnieniu nawet nie powinni wiedzieć. Po roku przyniósł udokumentowany spis wydarzeń i transakcji, które już dawno należało wymazać z pamięci. Wstrząśnięty Alastair zapłacił mu zawiązką i jedyne dwa egzemplarze znalazły się w sejfie tai-pana.

Dunross rozważał kiedyś zniszczenie ich, ale pomyślał, że życie to życie, *dżos to dżos* i póki tylko myją znamy, nic złego się nie stanie.

- Witaj, Roger - zagadnął wesoło. - Możemy się dosiąść?

- Oczywiście, tai-pan - zaprosił go Crosse. - Czuj się jak u siebie.

Amerykanie zaśmiali się z żartu. Chwilkę gawędzili o błahostkach i sobotnich wyścigach, a potem Langan, Rosemont i Mishauer, czując, że pozostali chcą zostać sami, przeprosili grzecznie i odeszli. Brian Kwok przekazał odpowiedź Dunrossa.

- Naprawdę prosimy o pomoc, Ian - naciskał Crosse, świdrując go przez-nikliwymi oczami. - Brian ma rację, że to trochę niebezpieczne, jeśli naturalnie istnieją raporty Alana Medforda. Nawet jeśli takowych nigdy nie było, ktoś nieodpowiedni może zechcieć przeprowadzić śledztwo.

- Kiedy i w jaki sposób dostaliście ostatni raport?

246

- A dlaczego pytasz?

- Sami go zdobyliście czy dostaliście od kogoś?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- To ważne - nalegał twardo Dunross.

Tai-pan zmierzył ich władcym wzrokiem i wszyscy trzej poczuli siłę jego osobowości. Jednak Crosse był równie dociekliwy jak on.

- Mogę częściowo odpowiedzieć na twoje pytanie - zaznaczył chłodno -

jeżeli ty odpowiesz na moje.

- Dobrze.

- Kopię twojego raportu dostaliśmy dzisiaj rano. Agent wywiadu, przypuszczalnie w Anglii, doniósł przyjacielowi z Hongkongu nie związanemu z branżą, że kurier wiezie coś, co mogłoby nas zainteresować. Tutejszy człowiek zapytał, czy za odpowiednią opłatą bylibyśmy zainteresowani przej-rzeniem dokumentów. - Crosse mówił tak przekonująco, że dwaj policjanci pamiętający prawdziwą historię oniemieli z wrażenia. - Dzisiaj rano Chińczyk, którego nigdy nie widziałem, przyniósł mi fotokopię do domu.

Dałem mu pieniądze. Rozumiesz chyba, że nie należy w takich sprawach pytać o nazwiska. A teraz, dlaczego chciałeś to wiedzieć?

- Rano o której?

- Dokładnie o szóstej zero cztery. Ale dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Ponieważ Alan Medford Gr...

- Przepraszam, że ci przerywam, tato. - Adryon przyprowadziła ze sobą zasapanego, wysokiego, przystojnego mężczyznę w wygniecionej marynarce, przekrzywionym krawacie i brązowo-czarnych butach, zupełnie nie pasujących do otaczającej go zewsząd elegancji. - Przepraszam, że ci przerywam, ale czy nie mógłbyś coś zrobić z tą muzyką?

Dunross spojrział na młodego człowieka. Znał Martina Haply'ego i wiedział, jaką cieszył się sławą. Wykształcony w Anglii kanadyjski dziennikarz miał dwadzieścia pięć lat i zajmował się w kolonii nękaniami środowiska biznesmenów. Gorzki sarkazm oraz głęboka penetracja personaliów i działań - tolerowane jedynie w Hongkongu jak nigdzie w zachodnim świecie - w kręgach biznesu budziły ciągłą irytację.

- Ta muzyka, tato - powtórzyła Adryon - jest za nudna. Mama mówi ła, że mam porozmawiać z tobą. Mogę im powiedzieć, żeby zagrali coś in nego?

- Dobrze, ale nie zamień mojego przyjęcia w potańcówkę.

Uśmiechnęła się, a Dunross z powrotem skupił swoją uwagę na Martinie Haplym.

- Dobry wieczór.

- Doby wieczór, tai-pan - powiedział z prowokującym uśmiechem. -

Adryon mnie zaprosiła. Chyba nic się nie stało, że przyszedłem po kolacji?

247

- Oczywiście. Baw się dobrze - odparł Dunross, a potem dodał sucho: -

Dużo tu twoich przyjaciół.

Haply uśmiechnął się.

- Nie, przyszedłem na kolację, bo coś zwęszyłem.

-Tak?

- Tak. Wygląda na to, że jakieś przedsiębiorstwa wraz z pewnym wielkim bankiem rozpuszczają

plotki o niewypłacalności innego, chińskiego banku.

- Masz na myśli Ho-Pak?

- To tylko plotki. Same bzdury. Jeszcze raz hongkongijskie rozgrywki.

- Tak? - Cały dzień do Dunrossa docierały plotki o tym, że Ho-Pak Richarda Kwanga udzielił za dużo kredytów. - Masz pewność?

- Proszę przeczytać artykuł w jutrzejszym wydaniu „Guardian”. A jeśli już mowa o Ho-Pak, słyszał pan, że prawie sto osób wypłaciło pieniądze dziś po południu z ich filii w Aberdeen? Czy to może oznaczać początek...

- Przepraszam, tato... chodź, Martin, nie widzisz, że tata jest zajęty?

Pocałowała Dunrossa, a on odruchowo ją przytulił.

- Baw się dobrze, kochanie. - Patrzył, jak w pośpiechu idzie za Haplym.

Napuszony łajdak, pomyślał bezwiednie, chciałbym już dzisiaj zobaczyć ten artykuł. Wiedział, że Haply jest bezwzględny, dociekliwy i bardzo dobrze wykonuje swoją pracę. Możliwe, że Richard udzielił za dużo kredytów?

- Zacząłeś mówić coś o Alanie Medfordzie, Ian - przerwano mu spekulacje na temat Kwanga.

- Ach tak, przepraszam. - Dunross wrócił natychmiast myślami do Kwanga. - Alan Medford nie żyje - oznajmił cicho.

Trzej policjanci wytrzeszczyli oczy.

- Co takiego?

- Minutę przed ósmą dostałem telegram, a jedenaście po dziewiątej rozmawiałem z jego asystentem w Londynie. Chciałem wiedzieć, kiedy dostali-

ście kopię, bo od tego zależy, czy agent KGB, jeśli istnieje, zdążył zadzwonić do Londynu i zlecić zamordowanie biednego Medforda, czy nie. Zgadza się?

- Tak - powiedział Crosse. - O której zginął?

Dunross przytoczył całą rozmowę z Kiernanem, pomijając tylko telefon do Szwajcarii. Intuicja podpowiedziała mu, żeby tego nie robił.

- Teraz pozostaje kwestia, czy był to wypadek i zbieg okoliczności, czy morderstwo.

- Nie wiem - mruknął Crosse. - Ale nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- Ani ja.

- Chryste - rzucił przez zaciśnięte zęby Armstrong. - Jeśli Medford nie miał pozwolenia... Bóg jeden wie, co było w tych raportach. Bóg i ty, łan.

248

Jeśli masz jedyne istniejące egzemplarze, to teraz zmieniły się w prawdziwy materiał wybuchowy.

- Jeśli one w ogóle istnieją- dodał Dunross.

- A istnieją?

- Powiem wam jutro. O dziesiątej. - Wstał. - A teraz przepraszam -

powiedział uprzejmie. - Muszę zająć się także innymi gośćmi. A, i jeszcze jedno. Co ze „Wschodnią Chmurą”?

- Jutro zostanie wypuszczona — obiecał Roger Crosse.

- Obojętnie, jak postąpię?

- Dobry Boże - Crosse udawał wstrząśniętego.

- Tai-pan, my nie zajmujemy się przekupstwem! Brian, mówiłeś, że chcemy mu tylko pomóc?

-Tak jest.

- Przyjaciele powinni sobie pomagać, prawda tai-pan?

- Z całą pewnością tak. Dziękuję. Patrzyli, jak

odchodzi, aż zniknął im z oczu.

- Tak czy nie? - bąknął Brian Kwok.

- Czy istnieją? Założę się, że tak - rzekł Armstrong.

- Oczywiście, że istnieją- stwierdził poirytowany Crosse. - Tylko gdzie? -

Zamyślił się na chwilę, a potem dodał niemal z gniewem, aż obydwu policjantom zamarły serca: - Brian, gdy rozmawiałeś z łanem, Kelner Od Wina Feng powiedział mi, że żaden klucz nie pasuje.

- To niedobrze, sir - powiedział ostrożnie Brian.

- Tak. Z sejfem nie pójdzie łatwo.

- Może powinniśmy na wszelki wypadek spróbować również w Shek-O, sir - zaproponował Armstrong.

- Trzymałbyś tam takie dokumenty?

- Nie wiem, sir. Ale Dunross jest nieobliczalny. Może są w jego prywatnym apartamencie w budynku Struanów. To byłoby najbezpieczniejsze miejsce.

- Byłeś tam kiedyś?

- Nie, sir.

- A ty, Brian?

- Nie, sir.

- Ja też nie. - Pokręcił głową. - Cholerna sprawa.

- Możemy tylko wysłać w nocy specjalną brygadę, sir. Dojeżdża tam specjalna winda, ale trzeba by mieć klucz. Zdaje się, że jest jeszcze bezpo-

średnia winda z garażu.

- Rozgardiasz w tym Londynie - wściekał się Crosse. - Nie wiem, dlaczego nie robią, co do nich należy. I dlaczego ten Medford nie poprosił o pozwolenie.

249

- Może nie chciał, aby wiadano, że pracuje dla osoby prywatnej?

- Jeśli zdarzyła się jedna taka osoba prywatna, prawdopodobnie jest ich więcej. -

Crosse westchnął i pogrążony w myślach zapalił papierosa. Dym wyzwolił w Armstrongu papierosowy głód. Napił się brandy, ale to nic nie pomogło.

- Langan zrobił jakieś kopie, sir?

- Tak. Dla Rosemonta i dla Kwatery Głównej FBI w Waszyngtonie.

- Boże - zmartwiał Kwok. - Do rana dowie się cały Hongkong.

- Rosemont zapewnił mnie, że nie. - Crosse uśmiechnął się smutno. - Ale bądźmy na to przygotowani.

- Może Ian chętniej by współpracował, gdyby o tym wiedział, sir.

- Nie, lepiej zachowajmy to dla siebie.

- A może poprosić nadinspektora Foxwella, żeby z nim porozmawiał -

zapropował Armstrong. - Są starymi przyjaciółmi.

- Jeśli Brian go nie przekonał, nikomu się nie uda.

- A gubernator, sir? Crosse

pokręcił głową.

- Nie ma potrzeby go niepokoić. Brian, ty się zajmij Shek-O.

- Mają znaleźć i przeszukać jego sejf?

- Nie. Niech tylko zbiorą grupę i pilnują, żeby nikt inny się nie dostał.

Robert, jedź na komendę i zadzwoń do Londynu. Do Pensely'ego z MI-5

i Sindera z MI-6. Dowiedz się szczegółów o Medfordzie, co się tylko da, sprawdź, to co mówił tai-pan. Dowiedz się wszystkiego, może istnieją inne kopie. Potem przyślij tutaj trzech agentów do pilnowania Dunrossa, oczy wiście bez jego wiedzy. Za godzinę spotkam się ze starym na skrzyżowaniu Pik Road i Culum's Way, macie dość czasu. Następna grupa niech pilnuje budynku Struanów. Jednego człowieka, na wszelki wypadek, postaw też w garażu. Robert, zostaw mi swój samochód. Spotkamy się za półtorej go dziny w moim gabinecie. Do roboty.

Brian Kwok i Armstrong pożegnali gospodarzy, podziękowali i odjechali samochodem Briana. Jadąc porche w dół Pik Road, Armstrong wypowiedział na głos to, o czym obydwaj myśleli:

- Jeśli szpiegiem jest Crosse, miał mnóstwo czasu, żeby zadzwonić do Londynu, skontaktować się z Sevrin, KGB czy Bóg wie kim jeszcze.

-Tak.

- Wyszliśmy z jego gabinetu dziesięć po szóstej, czyli o jedenastej rano w Londynie, więc to nie mógł być żaden z nas, za mało mieliśmy czasu. -Armstrong poprawił sobie oparcie fotela. - Cholera, zapaliłbym.

- W schowku jest paczka, weź sobie.

- Jutro. Jutro zapalę. Jak alkoholik, cholera jasna, albo narkoman jakiś! -

Armstrong roześmiał się, ale nie był to wesoły śmiech. Spojrzał na przyja-250

cielą. - Dowiedz się po cichu, kto jeszcze oprócz Crosse'a czytał dzisiaj raport Medforda. W miarę szybko.

- Już o tym pomyślałem.

- Jeśli tylko on czytał.. To mamy kolejną poszlakę. Jeszcze nie dowód, ale i na to przyjdzie czas. -

Ziewnął szeroko, był zmęczony. - A jeśli to on, to naprawdę siedzimy po uszy w błocie.

Brian jechał szybko i kierował niezwykle pewnie.

- Mówił, kiedy dał kopie Langanowi?

- Tak. W południe. Jedli razem lunch.

- Od nich mógł popłynąć przeciek, z konsulatu. Takie miejsca są jak sito.

- Możliwe, ale jak na mój nos, nie. Rosemont jest w porządku, Langan też. To zawodowcy.

- Ja im nie ufam.

- Ty nikomu nie ufasz. Obydwaj poprosili swoje kwatery główne o sprawdzenie kontaktów Bartletta i Casey z Moskwą.

- To dobrze. Chyba wyślę też teleks do znajomego w Ottawie. Może tam o nich coś wiedzą. A ta Casey to kociak nad kociakami, co? Myślisz, że miała coś pod tymi swoimi jedwabiami?

- Dziesięć dolarów, że się nigdy nie dowiesz.

- Stoi.

Gdy skręcili za róg, Armstrong spojrział z góry na miasto i port, w doku, po stronie Hongkongu, stał amerykański krążownik.

- W dawnych czasach mieliśmy tu z pół tuzina własnych okrętów wojennych -

powiedział smutno. - Stara, dobra Marynarka Królewska! - Podczas wojny służył na niszczycielach, walczył pod Dunkierką, a potem podczas inwazji Normandii.

- Tak, szkoda marynarki, ale cóż, czasy się zmieniają. Szkoda, że całe cholerne Imperium oddaliśmy w zastaw. Przedtem było lepiej. Wszystko zepsuła ta wojna!

Pieprzona wojna! Pieprzeni Niemcy! Pieprzone Japonce...

- Tak. *A propos* marynarki, jaki jest ten Mishauer?

- Ten z amerykańskiego wywiadu morskiego? Porządny gość - stwierdził

Armstrong. - Dużo gada. Szepnął staremu, że Stany zwiększą dwukrotnie Siódmą Flotę. A to taka poufna wiadomość, że nie powinien wierzyć nawet telefonowi. W

Wietnamie zanoszą się na wielką operację lądową.

- Wariaci, dostaną baty jak Francuzi. Poczytaliby sobie gazety, nie mówiąc już o raportach wywiadu.

- Mówił też, że ich transportowiec nuklearny przypląwa pojutrze na osiem dni.

Jeszcze jedna ściśle tajna wiadomość. Prosił, żebyśmy zdwoili ostrożność i dobrze przyjęli Jankesów.

- Znowu kłopoty.

251

- Tak. Szczególnie że Stary mówił, że ma przypląnąć także sowiecki frachtowiec z jakąś usterką.

- O Boże! - Brian lekko skręcił kierownicę.

- Też tak myślę. Rosemont solennie przysięgał zwiększenie czujności, a Mishauer prawie dostał choroby wieńcowej. Stary zapewnił ich, że żaden Rosjanin, jak zwykle, nie zejdzie na ląd bez specjalnego pozwolenia, a my, jak zwykle, będziemy skąpić pozwoleń. Ale zawsze kilku będzie potrzebowało lekarza albo uda im się uciec.

- Tak - przyznał Brian, a po chwili przerwy dodał: - Mam nadzieję, Robert, że dostaniemy te raporty Medforda. Sevrin to nóż w brzuchu Chin.

-Tak.

Jakiś czas jechali w milczeniu.

- Przegrywamy naszą bitwę, no nie? - odezwał się Armstrong.

-Tak.

16

23:25

Rosyjski frachtowiec przycumował w zbudowanych po wschodniej stronie Koulunu dokach Wampo. Padało na niego światło reflektorów. Miał dwadzieścia tysięcy ton wyporności i w rejs do Azji wypłynął z portu we Władywostoku. Na pokładzie znajdowało się mnóstwo radarów i nowoczesnych urządzeń technicznych. Przy schodniach na rufie i prawej burcie siedzieli rosyjscy żołnierze.

Obydwie schodnie uważnie obserwował umundurowany policjant, młody Chińczyk w drelichowej koszuli koloru khaki, przepasanej czarnym paskiem, i w krótkich spodniach, długich skarpetach oraz czarnych butach. Paszport schodzącego na ląd marynarza sprawdził najpierw kolega ze statku, potem konstabl. Gdy doszedł do bramy doku, z cienia wyłoniło się dwóch Chińczyków w cywilnych ubraniach i jawnie ruszyło jego śladem.

Po schodni zszedł następny marynarz. Sprawdzono jego dokumenty i zaraz ruszył za nim, o wiele dyskretniej, chiński policjant po cywilnemu.

Przez nikogo nie zauważona łódź wiosłowa wyłoniła się zza dziobu statku i wpłynęła w cień rzucany przez nabrzeże. Bezgłośnie skierowała się wzdłuż muru w stronę oddalonych o pięćdziesiąt metrów schodzących do morza schodków. Na łódce płynęło dwóch mężczyzn. Kiedy byli już przy schodach, obydwaj zaczęli uważnie nasłuchiwać.

Ze schodni zszedł na ląd zataczający się marynarz. Na dole został zatrzymany, sprawdzono jego paszport i wywiązała się sprzeczka. Straż na-252

brzeża odmówiła udzielenia pozwolenia na zejście na ląd, a że był zupełnie pijany, przeklinając rzucił się na jednego ze strażników, ale ten zdążył się odsunąć i wymierzył mu cios. Rosjanin za moment zrewanżował się. Wszyscy policjanci skierowali na nich całą uwagę. Siedzący na wiosłowej łódce potargany mężczyzna wbiegł po schodach, przemierzył oświetlone nabrzeże, tory kolejowe i nie zauważony przez nikogo zniknął w portowej uliczce.

Łódka powoli ruszyła tą samą drogą, którą przyплыnęła, a po chwili bójka skończyła się. Bezbronny pijak został wniesiony na pokład.

Tymczasem potargany mężczyzna szedł spokojnym krokiem, od czasu do czasu oglądając się prawie niedostrzegalnie i ostrożnie sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi. Miał na sobie ciemne ubranie i buty z gumową podeszwą.

Zgodnie z dokumentami nazywał się Igor Worański i był marynarzem Radzieckiej Floty Handlowej.

Przeszedł przez bramę portową i minął policjanta, który zajrzał do dokumentów, potem ruszył wzdłuż stujardowego muru do wyjścia. Znalazł się w Tai-wan Szan, gdzie w budach z porzewiałej blachy, kartonu i sklejki urzędowali różnego rodzaju paserzy. Przyspieszył kroku. Wkrótce doszedł do zatłoczonej ulicy pełnej oświetlonych sklepów. W tłumie doszedł do ulicy Czatham Road. Tam zatrzymał taksówkę.

- Mong Kok, najszybciej jak możesz - powiedział po angielsku. - Do promu Yaumati.

Kierowca patrzył na niego bezradnie. - Hę?

- *Aiii ia* - syknął Worański i dodał płynnie po kantońsku: - Mong Kok!

Głuchy jesteś? Wciągnąłeś Biały Proszek? Masz mnie za obcego diabła, turystę ze Złotej Góry? *Aiii ia* Prom Yaumati na drugą stronę Koulunu.

Pokazać ci gdzie? Przyjechałeś z Mongolii? Jesteś nowy, co?

Kierowca nachmurzony zdjął chorągiewkę i ruszył naprzód, kierując się najpierw na południe, a potem na zachód. Mężczyzna na tylnym siedzeniu obserwował ulicę za samochodem. Nikt za nimi nie jechał, ale on jeszcze się nie rozluźnił.

Oni są tu bardzo przebiegli, pomyślał. Bądź ostrożny, człowieku!

Na przystani promu Yaumati zapłacił za kurs, dał kierowcy odpowiedni napiwek, zmieszał się z

tłumem i za moment zatrzymał następną taksówkę.

- Do Golden Ferry, proszę.

Kierowca pokiwał ospale głową, ziewnął i pojechał na południe.

Przy promie zapłacił prawie przed zatrzymaniem się samochodu, wszedł

pośród ludzi spieszących na kursujący bez przerwy prom, ale zamiast przejść do pomieszczenia dla mężczyzn otworzył drzwi do budki telefonicznej i wszedł do środka. Pewien, że nikt go nie śledzi, uspokoił się trochę.

253

Wrzucił monetę i wykręcił numer.

- Tak? - odpowiedział męski głos po angielsku.

- Proszę z panem Lop-sing.

- Nie znam tego nazwiska. Tu nie ma pana Lop-ting. To pomyłka.

- Chciałbym zostawić wiadomość.

- Niestety, to pomyłka. Proszę zajrzeć do książki telefonicznej. Serce Worańskiego zaczęło bić równym rytmem.

- Chciałbym rozmawiać z Arthurem. - Doskonale mówił po angielsku.

- Przykro mi, ale nie ma go.

- Miał być i czekać na mój telefon - powiedział z wyrzutem. - Skąd ta zmiana?

- Przepraszam, kto mówi?

- Brown - podał swój pseudonim. Poczł się trochę lepiej, gdy usłyszał w słuchawce inny głos.

- Ach, pan Brown, witamy znów w Hongkongu. Arthur dzwonił i mówił, że będzie pan dzwonił. Prosił, żebym przekazał, że na jutrzejsze spotkanie wszystko gotowe.

- Kiedy się go spodziewacie?

- Lada moment.

Worański zaklął bezgłośnie, ponieważ za godzinę miał się zameldować telefonicznie na statku. Nie lubił nagłych zmian w żadnych planach.

- Dobrze - odparł. - Niech zadzwoni do mnie na trzydzieści dwa. - Była to zaszyfrowana nazwa

bezpiecznego domu w Sinclair Towers. - Ameryka nin już przyjechał?

-Tak.

- To dobrze. W towarzystwie? -Tak.

- Dobrze. Jeszcze coś?

- Arthur już nic mi nie przekazał.

- Spotkaliście się już z nią? -Nie.

-A Arthur?

- Nie wiem.

- Podpisano już jakiś kontrakt?

- Niestety, nie wiem. Arthur mi nie mówił.

- A co z tai-panem?

- Wszystko przygotowane.

- Dobrze. Ile czasu zajmie wam dotarcie do trzydzieści dwa, jeśli zajdzie taka potrzeba?

- Dziesięć do piętnastu minut. Chce pan, żebyśmy tam się spotkali?

- Później zadecyduję.

254

- Och, panie Brown, Arthur uznał, że po takiej podróży przyda się panu towarzystwo. Ona nazywa się Koh, Maureen Kon.

- Bardzo miło z jego strony, bardzo miło.

- Jej numer telefonu leży obok aparatu w trzydzieści dwa. Wystarczy zadzwonić, a ona przyjedzie za pół godziny. Arthur chciał się też dowiedzieć, czy pański przełożony również przyjdzie na noc i czy także będzie potrzebował towarzystwa.

- Nie. Zgodnie z planem dołączy do nas jutro, bo spodziewa się kontroli.

Dobranoc. - Z arogancją odłożył słuchawkę, zdając sobie sprawę ze swojego wyższego stopnia w KGB. W tej samej chwili jakiś Chińczyk otworzył drzwi do budki i wszedł do środka, a drugi przytrzymał drzwi. - Co, do...

Umarł, nie dokończywszy zdania. Sztylet był długi i wąski. Wysuwał się łatwo. Chińczyk poczekał,

aż ciało osunie się na podłogę. Chwilkę popatrzył na nieruchome zwłoki, a potem schował sztylet do pochwy w rękawie. Uśmiechnął się do grubego kolegi za drzwiami, a potem wrzucił monetę i wybrał numer.

Po trzecim sygnale usłyszał grzeczny głos:

- Posterunek Policji Tsim Sza Tsui, dobry wieczór.

Mężczyzna uśmiechnął się sarkastycznie i zapytał:

- Mówisz po szanghaj sku?

Po chwili wahania rozległo się kliknięcie, a potem ze słuchawki ktoś przemówił po szanghajsku:

- Tu sierżant Tang-Po. O co chodzi?

- Sowiecka świnią wykiwała waszych psubratów bez matki, gładko jak po gównie, ale teraz dołączyła do swoich przodków. Czy my z 14K musimy odwalać za was zasraną robotę?

- Co za sow...

- Zamknij się i słuchaj! Ten zasrany przez żółwia truposzczak leży w budce telefonicznej przy Golden Ferry, po stronie Koulunu. Powiedz swoim bękartom przełożonym, żeby mieli oko na wrogów Chin, a nie tylko na swoje śmierdzące dupy!

Odwiesił słuchawkę i natychmiast wyszedł z budki. Odwrócił się przez ramię, splunął na trupa, zamknął drzwi i razem z kompanem włączyli się w strumień pasażerów podążających na prom do Hongkongu.

Nie zauważyli śledzącego ich człowieka. Był niski, tęgi, ubrany jak wszyscy amerykańscy turyści, z nieodłącznym aparatem fotograficznym na szyi.

Podczas gdy prom płynął na wyspę Hongkong, on doskonale zmieszany /

tłumem kierował obiektyw to w jedną, to w drugą stronę i robił zdjęcia.

Jednak w przeciwieństwie do innych turystów miał specjalny film, specjalny obiektyw i specjalny aparat.

- Cześć, kolego - zagadnął go inny turysta. - Bawisz się dobrze?

- Jasne. Hongkong to wspaniałe miejsce, nie?

255

- No pewnie. - Odwrócił się, aby podziwiać krajobraz. - Widok jak w Minneapolis.

Pierwszy z turystów też się odwrócił, ale kątem oka nadal obserwował dwóch Chińczyków.

- Mamy problemy - powiedział zniżonym głosem.

- Zgubiliśmy go? - zapytał drugi. - Nie mógł się wymknąć, Tom, na pewno.

Obstawiałem obydwu wyjścia. Myślałem, że załatwiłeś go w budce.

- Możesz się założyć, że został załatwiony. Obejrzyj się za siebie, tam w środku siedzi taki Chińczyk w białej koszuli, a obok jego kumpel. Ci dwaj skurwiele zasztyletowali go.

- Jezu! - Marty Povitz, jeden z grupy agentów CIA przydzielonych do obstawy „Radzieckiego Iwanowa”, powstrzymał się od krzyku. Ostrożnie spojrzął na Chińczyków. - Nacjoniści? Komuniści? Czy Kuomintang?

- Nie wiem, do cholery. Ale trup ciągle leży w budce. Gdzie Rosemont?

- Po... - Povitz przerwał i gdy pasażerowie zaczęli się tłoczyć przy wyjściu, zaczął pisać z zachwytem jak typowy egzaltowany turysta. - Patrz tam - wskazał na zbocze Pik. Budynki z apartamentami były wysokie i oświetlone, tak samo jak rozsiane po zboczach domy jednorodzinne, zwłaszcza jeden, bardzo wysoki.

Błyszczał i mienił się jak klejnot. - Ten, kto tam mieszka, musi się czuć jak na czubku świata, nie?

Wyższy rangą Tom Connochie westchnął.

- Na pewno dom tai-pana. - W zamyśleniu zapalił papierosa i rzucił zapalniczkę do czarnej wody. Potem, jak każdy turysta, zrobił zdjęcie i aby skończyć film, sfotografował dwóch Chińczyków. Przewinął film i podał kasetę współnikowi.

Prawie nie poruszając ustami, powiedział: - Jak tylko przycumujemy, zadzwoń do Rosemonta, przekaż, że mamy kłopoty, a potem idź wywołać te zdjęcia.

Zadzwonię, gdy odprowadzę ich do miasta.

- Zwariowałeś? Nie możesz sam ich śledzić.

- Muszę, Marty, ten film może się okazać ważny. Nie wolno ryzykować. -Nie.

- Marty, do cholery, ja jestem tai-panem w tej akcji.

- Zgodnie z rozkazem...

- Pieprz rozkazy! - syknął Connochie. - Zadzwoń do Rosemonta i nie zgub filmu. - Potem głośno dodał: - Piękna noc do żeglugi, nie?

- Jasne.

Kiwnął głową w kierunku oświetlonego zbocza Pik, a potem skierował w tamtą stronę superdługooogniskowy obiektyw.

- Chciałbyś tam mieszkać, co?

W Wielkiej Galerii, na szczycie schodów, Dunross i Bartlett stali naprzeciw siebie. Byli sami.

256

- Podpisałeś kontrakt z Gorntem? - zapytał Dunross.

- Nie - odparł Bartlett. - Jeszcze nie. - Mówił krótko i zwięźle jak Dunross.

-ACasey?

- Też nie.

- Ale rozważacie taką możliwość?

- Zajmujemy się biznesem dla pieniędzy, Ian. Tak jak ty.

- Tak. Ale chodzi o etykę.

- Hongkongijską?

- Mogę zapytać, od jak dawna pertraktujecie z Gorntem?

- Jakies sześć miesięcy. Zgodzisz się na naszą propozycję dzisiaj?

Dunross starał się zwalczyć zmęczenie. Nie chciał dzisiaj negocjować z Bartlettem, ale okazało się to konieczne. Czuł na sobie spojrzenia ze wszystkich portretów na ścianach.

- Mówiłeś o wtorku i zgodziłem się.

- A więc do tego czasu mogę prowadzić rozmowy z Gorntem i każdym innym, mam do tego prawo. Jeśli przyjmiesz naszą ofertę teraz, to umowa stoi. Powiedziano mi, że wy, Noble House, jesteście najlepsi, więc wolał

bym prowadzić interesy z wami niż z nim. Pod warunkiem jednak, że będę miał odpowiednie zabezpieczenia. Ty znasz Azję, ja nie. Ja mam gotówkę, ty nic. Więc powinniśmy dojść do porozumienia.

Tak, myślał Bartlett, starając się nie słuchać, co podpowiadała mu intuicja, choć był zadowolony, że poranna rozmowa z Gorntem tak szybko zaowocowała zapędzeniem oponenta w kozi róg. Tak, Ian, teraz jesteś moim oponentem i zostanie tak aż do sfinalizowania umowy, jeśli do niego dojdzie.

Czy czas już zaczynać blitzkrieg?

Cały wieczór przyglądał się Dunrossowi, fascynował go tak samo, jak wszelkie podskórne prądy płynące w Hongkongu i wszystko inne w tym miejscu tak różnym od tych, które widział do tej pory. Nowa dżungla, nowe reguły, nowe zagrożenia. Oczywiście, zarówno Gornt, jak i Dunross są niebezpieczni jak jaskinia pełna grzechotników, ale trudno ich jeszcze jedno-znacznie oceniać. Muszę być ostrożniejszy niż zwykle.

Świadom spojrzeń postaci ze ścian czuł rosnące napięcie. Jak daleko uda mi się cię podbić, Ian? Jak bardzo ryzykuję? Potencjalny zysk jest ogromny, jest o co walczyć, ale wystarczy jeden niewielki błąd i połkniesz nas. I Casey, i mnie. Jesteś człowiekiem bardzo bliskim mojemu sercu, a jednak nadal pozostajesz przeciwnikiem i nadal rządzą tobą duchy. O tak, Peter Marlowe, choć nie we wszystkim, w tym miał na pewno rację.

Jezu! Duchy i coraz większa nienawiść! Dunross, Gornt, Penelopa, młody Struan, Adryon... Mimo wszystko Adryon wykazuje dużą odwagę.

257

Znów spojrzał w lustrujące go zimne, niebieskie oczy. Co ja bym zrobił, Ian, gdybym był na twoim miejscu, z całym tym twoim cholernym dziedzictwem, tak wyraźnie tutaj właśnie widocznym?

Nie wiem. Ale znam siebie i wiem, co powiedział Sun Tzu na temat pól bitewnych: doprowadź przeciwnika do walki w miejscu i o czasie, które sam wybierzesz. Cóż, wybrane - tu i teraz.

- Ian, zanim podejmiemy decyzję, powiedz, w jaki sposób zamierzasz spłacić trzy wrześniowe raty Toda Shipping.

Dunross był wstrząśnięty.

- Słucham?

- Nie masz jeszcze przewoźnika, a bank bez niego nie wypłaci pieniędzy, prawda?

- Bank... Z bankiem nie będzie problemu.

- Ale już przekroczyłeś limit kredytowy o dwadzieścia procent. Czy to nie oznacza, że będziesz musiał znaleźć nowego kredytodawcę?

- W razie potrzeby mogę go mieć - powiedział Dunross, ledwie panując nad głosem, a Bartlett już wiedział, że jest górą.

- Dwanaście milionów dla Toda to dużo pieniędzy, a gdy dodać do tego jeszcze inne zobowiązania...

- Jakie zobowiązania?

- Ustalona na ósmy września rata sześciu milionów ośmiuset tysięcy dolarów z trzydziestu milionów pożyczki dla Orlin International Banking. Pokrycie czterech milionów dwustu tysięcy łącznego tegorocznego deficytu z planowanych w zeszłym roku siedmiu i pół miliona dolarów zysku.

Dwanaście milionów strat z powodu utraty „Wschodniej Chmury” i przewożonych silników.

Dunross zbladł.

- Wygląda na to, że masz szczegółowe informacje.
- Tak. Sun Tzu uprzedzał, że trzeba doskonale znać swego sprzymierzeńca.

Na czole Dunrossa pulsowała mała żyłka.

- Chyba wroga.
- Sprzymierzeńcy czasami stają się wrogami, łan.
- Tak. Sun Tzu wiele też mówił o wywiadowcach. Twój szpieg może być tylko jednym z siedmiu ludzi z rady.
- Po co mi szpieg? - obruszył się Bartlett. - Takie informacje można uzyskać w banku, wystarczy trochę poszperać. Bank Tody to Narodowy Bank Japoński w Jokohamie, a oni mają powiązania z Orlin, zresztą my też.
- Ktokolwiek jest twoim szpiegiem, myli się. Orlin przedłuży okres spłaty.

Zawsze to robi.

258

- Tym razem nie byłbym taki pewien. Te łajdaki jak tylko zwęszą upadek, dobiorą ci się do skóry i nie będziesz nawet wiedział, o co chodzi.
- Upadek Struanów? - Dunross roześmiał się sardonicznie. - Do tego nie doprowadzi ani Orlin, ani żaden inny przeklęty bank.
- Może Gornt z nimi coś szykuje?
- Jezu Chryste... - Z wysiłkiem opanował wybuch gniewu. - Szykuje czy nie?
- Zapytaj go.
- Zapytam. Ale jeśli cokolwiek wiesz, mów natychmiast!
- Twoi wrogowie mogą działać wszędzie.
- Twoi też.
- Tak. Czy to znaczy, że będziemy dobrymi wspólnikami, czy złymi? -

Bartlett spojrział na Dunrossa. Potem jego wzrok padł na obraz po drugiej stronie galerii. Ze ściany

patrzył na niego Ian Dunross. W tle częściowo widoczny był trzymasztowy kliper.

- Czy to... Jezu, to musi być Dirk Struan!

Dunross odwrócił się i zerknął na obraz.

-Tak.

Bartlett podszedł bliżej, by lepiej się przyjrzeć postaci na płótnie. Teraz widział, że kapitan z obrazu to nie Dunross, ale podobieństwo było zadziwiające.

- Jacques miał rację.

- Nieprawda.

- Tak, tak. - Bartlett odwrócił się, aby porównać Dunrossa do Dirka Struana. Po dłuższej chwili dodał: - Taki sam kształt podbródka, przenikliwy wzrok oraz oczy mówiące: „Lepiej uwierz, że, jak zechcę, w każdej chwili mogę cię skopać na śmierć”.

Dunross uśmiechnął się.

- Teraz też? -Tak.

- Z kredytami nie będzie problemów.

- Ja myślę, że będą.

- Victoria należy do nas, mamy duży pakiet akcji.

- Jak duży?

Jeśli będzie trzeba, możemy znaleźć też inne źródła. Ale z Victorii dostaniemy wszystko, co będziemy chcieć. Oni mają dużo pieniędzy.

- Richard Kwang jest innego zdania. Dunross

gwałtownie oderwał wzrok od obrazu.

- Skąd wiesz?

- Nie mówił wprost. Nie wspomniał o tym, ale Casey zna się na bankie rach i z jego słów odczytała, że on tak właśnie uważa. Nie wiem, czy z rozmowy z Havergillem nie wywnioskowała podobnych rzeczy.

259

-1 co takiego ona jeszcze wykoncypowała? - zapytał po chwili przerwy Dunross.

- Że może powinniśmy raczej podpisać kontrakt z Gorntem.
- Proszę bardzo. Baw się dobrze.
- Dziękuję. A co z Tajpej? - zapytał Bartlett, chcąc wytrącić Dunrossa z równowagi.
- Jak to co?
- Nadal jestem zaproszony?
- Tak, oczywiście. Przypomniało mi się. Możesz wyjechać, ale tylko pod moją opieką. Będziesz musiał podpisać jakiś papierek, że zobowiązujesz się wrócić razem ze mną.
- Dziękuję, że to załatwiłeś. Casey nadal nie jest zaproszona?
- Myślałem, że już rano to ustaliliśmy.
- Tylko pytam. Co z moim samolotem? Dunross zmarszczył brwi.
- Chyba ciągle zarekwirowany. Chciałbyś nim polecieć do Tajpej?
- Byłoby wygodnie, prawda? Poza tym nie musielibyśmy trzymać się rozkładów.
- Zobaczę, co się da zrobić. A twoja oferta jest ważna do wtorku?
- Tak. Tak jak Casey mówiła. Do końca dnia pracy we wtorek.
- O północy we wtorek - poprawił Dunross.
- Czy ty o wszystko musisz się targować?
- A ty nie?
- Dobrze, do północy we wtorek. Ale minutę później wszystkie zobowiązania i przyjaźń ulegają anulowaniu. — Bartlett musiał wywierać presję na Dunrossa, potrzebował kontroferty teraz, a nie we wtorek, aby wykorzystać ją przeciwko Gorntowi albo razem z Gorntem. - Jak się nazywa ten facet z Blacs?
- Compton Southerby.
- O właśnie. Rozmawiałem z nim po kolacji. Twierdził, że cały czas stoją za Gorntem. Sugerował, że Gornt także potrzebuje mieć na każde zawołanie wiele eurodolarów. - Bartlett znów zauważył, że informacja chwyciła. - A więc nadal nie wiem, jak zamierzasz spłacić Toda Shipping.

Dunross nie odpowiedział od razu. Cały czas starał się uporządkować panujący w głowie mętlik. Za każdym razem zaczynał od początku: szpiegiem musi być Gavallan, deVille, Linbar Struan, Phillip

Czen, Alastair Struan, David MacStruan albo jego ojciec Colin Dunross. Niektóre z informacji, które przytacza Bartlett, znajabanki, ale skąd mogłyby się dowiedzieć o łącznym deficycie na ten rok? . . Wstrząsające. Bartlett podawał zbyt dokładne liczby. I do tego „planowanych w zeszłym roku siedmiu i pół miliona dolarów zysku”...

260

Czując, że wpada w pułapkę bez możliwości manewru, patrzył na Amerykanina, zastanawiając się, jak wiele ich spraw wewnętrznych on jeszcze zna.

Nie zapominał jednak, że nie może się poddawać, bo straci wszystko.

Co robić?

Spojrzał na Dirka Struana i zobaczył jego uśmiezek i spojrzenie mówiące: Ryzykuj stary, gdzie masz jaja?

Dobrze.

- O Struanów nie musisz się martwić. Jeśli postanowisz się do nas przyłączyć, chcę mieć dwuletni kontrakt. W przyszłym roku kolejne dwadzieścia milionów - powiedział mocnym, zdecydowanym głosem, idąc jak zwykłe na całego. - Chcę też siedmiu milionów przy podpisywaniu umowy.

Bartlett starał się nie okazać rozbawienia.

- Okay, na dwuletni kontrakt zgadzam się. A co do sposobu płatności, to Casey zaproponowała dwa miliony na początek, a potem po półtora każdego pierwszego dnia miesiąca. Gavallan przyjął ten projekt.

- Nie. Ja chcę siedem z góry, a resztę w miesięcznych ratach.

- Jeśli miałbym się zgodzić, to chcę w zastaw nowe statki Toda Ship-ping.

Miałbym gwarancję.

- A po cholere ci gwarancje? - zapytał Dunross. - W całym tym interesie chodzi przecież tylko o to, że będziemy współnikami. Wspólnikami w za-wojowaniu Azji.

- Tak. Ale nasze siedem milionów pokryje wrześniowe raty dla Tody, uspokoi Orlin, a my nic nie będziemy mieć w zamian.

- Dlaczego mam ci składać jakieś obietnice? Przecież mogę na konto naszego kontraktu bez kłopotu dostać osiemnaście milionów pożyczki.

Tak, możesz, pomyślał Bartlett, ale dopiero kiedy go podpiszemy. A przedtem masz związane ręce.

- Ilan, zgadzam się na zaliczkę, ale chcę coś w zamian. - Niechęć spojrział

na wiszący naprzeciw portret, ale wcale go nie widział, ponieważ całą uwagę koncentrował na Dunrossie. Wiedział, że zbliżają się do końca. Zastaw z wielkich statków Tody zmniejszyłoby do minimum ponoszone w przedsięwzięciu z Dunrossem ryzyko.

- Nie zapominaj - dodał - że wasz dwudziestojednoprocentowy udział w Victoria Bank już jest zablokowany na pokrycie waszych długów wobec nich.

Jeśli nie spłacicie Tody albo Orlin, pan Havergill rzuci akcje na giełdę. Ja bym tak zrobił.

Dunross wiedział, że przegrał. Jeśli Bartlett zna dokładnie ich udziały w bankach, tajne udziały Czenów oraz wszystkie jawne konta, żadną siłą nie da mu rady.

- W porządku - zgodził się. - Daję ci statki w zastaw na trzy miesiące,

po pierwsze musisz mi zagwarantować, że zostanie to w sekrecie między 261

nami dwoma, po drugie, że umowę podpiszemy w ciągu siedmiu dni, licząc od dzisiaj, po trzecie zgodzisz się na mój harmonogram płatności i na koniec obiecasz, że nie będzie na ten temat najmniejszego przecieku, aż do chwili, gdy ja to ogłoszę.

- A kiedy zamierzasz to zrobić?

- Między piątkiem a poniedziałkiem.

- Chciałbym wcześniej o tym wiedzieć.

- Oczywiście. Na dwadzieścia cztery godziny.

- Chcę statki na sześć miesięcy i dziesięć dni na podpisanie kontraktu. -

Nie.

- Więc nici z transakcji.

- Trudno - odparł natychmiast Dunross. - Wracajmy na przyjęcie. -

Odwrócił się i spokojnie ruszył w stronę schodów.

Bartletta zaskoczyło nagłe zerwanie negocjacji.

- Poczekaj! - powstrzymał go. Serce tłukło mu się w piersiach jak osza lała.

Dunross stanął i odwrócił się, nie podnosząc ręki z poręczy. Bartlett starał

się wyczytać coś z jego twarzy. Ujrzał w jego oczach nieodwołalność decyzji.

- W porządku, zastaw statków do pierwszego stycznia to niecałe cztery miesiące. Wszystko pozostaje w tajemnicy między tobą, mną i Casey. Kontrakt podpisujemy we wtorek, moim prawnikom powinno

wystarczyć tyle czasu, a twój projekt terminów płatności... O której mamy jutro zebranie?

- O dziesiątej. Możemy przesunąć na jedenastą?

- Jasne. Umowa stoi, projekt przedyskutujemy jutro o jedenastej.

- Nie. Nie potrzebujesz więcej czasu. Ja tak, ale ty nie. - Ian uśmiechnął

się. - Tak czy nie?

Bartlett zawahał się, instynkt mu podpowiadał, że już prawie doszli do celu i ma wszystko, czego chciał, ale co z Casey?

- To interes Casey. Ona ma pełnomocnictwa do dwudziestu milionów.

Możesz się z nią jutro potargować?

- Tai-pan dogaduje z tai-panem interes do końca, to stary chiński zwyczaj. Ona jest tai-panem Par-Con?

- Nie, ja.

- To dobrze - powiedział Dunross, podszedł bliżej i wyciągnął rękę. -

Umowa stoi?

Bartlett spojrział na otwartą dłoń, a potem w niebieskie oczy, serce mu łomotało.

- Obietnica to obietnica, Ian. Casey przykłada do tego dużą wagę. Obiecałem jej, że może prowadzić interes do dwudziestu milionów. - Zobaczył, że Dunross zaczyna się odwracać, i dodał: - Ian, przecież nie mogę wybie-

rać między dotrzymaniem obietnicy a zawarciem porozumienia. Te dwie rzeczy ze sobą nie kolidują. W żaden sposób. Uważ... - Przerwał. Obydwaj odwrócili głowę w stronę odległego, pogrążonego w cieniu kąta za-stawionego ławami i krzesłami, skąd doleciał podejrzany hałas. W jednej chwili Dunross zwinnie jak kot ruszył do ataku. Bartlett zareagował prawie tak samo szybko. Pospieszył z pomocą.

Dunross zatrzymał się przy zasłanej zielonym aksamitem ławie. Odetchnął. To tylko jego trzynastoletnia córka Glenna zasnęła ze zmęczenia. W

balowej sukience ze *sznurem* pereł na szyi wyglądała jak aniołek.

Bartlett uspokoił się i szepnął:

- Boże, przez chwilę myślałem... Boże, śliczna dziewczynka.

- A ty masz dzieci?

- Syna i dwie córki. Brett ma szesnaście lat, Jenny czternaście, a Mary trzynaście. Na nieszczęście rzadko je widuję. - Bartlett odetchnął głęboko i mówił dalej: - Mieszkają na Wschodnim Wybrzeżu. Obawiam się, że nie-specjalnie za mną przepadają. Ich matka... rozeszliśmy się siedem lat temu.

Ponownie wyszła za mąż... - wzruszył ramionami, a potem znów spojrzął na dziecko. - Jak laleczka. Masz szczęście.

Dunross pochylił się i ostrożnie podniósł córkę. Spała twardo i tylko westchnąwszy przez sen, przytuliła się mocno do niego. Spojrzął w zamy-

śleniu na Amerykanina.

- Przyjdź za dziesięć minut z Casey. Zrobię, o co prosisz, choć niechęć nie, żebyś mógł dotrzymać obietnicy. - Odszedł pewnym krokiem w stronę wschodniego skrzydła, gdzie znajdowała się sypialnia Glenny.

Po pewnym czasie Bartlett spojrzął na Dirka Struana. Spróbował naśladować jego uśmiezek.

- Odchrzań się! - mruknął, czując, że Dunross w jakiś sposób go wyko-
łował. - E, do diabła! Twój chłopak nieźle się spisuje, staruszk!

Ruszył w stronę schodów. Nagle w ledwie widocznej niszy zauważył nie oświetlony obraz. Zatrzymał się. Olejny portret przedstawiał siwobrodego kapitana z jednym okiem, haczykowatym nosem i aroganckim wyrazem twarzy, na stoliku obok niego leżał nóż myśliwski.

Bartlett otworzył ze zdziwienia usta, widząc, że ktoś w serce namalowanej postaci wbił krótki nóż.

Casey wpatrywała się w nóż. Starła się ukryć poruszenie. Czekwała w galerii samotnie. Z dołu dolatywała muzyka rhythm'n'bluesowa. Lekki powiew wiatru przedostał się przez firankę i zmierzwił Casey włosy.

Zabrzączał moskit.

- To Tyler Brock.

Odwróciła się w jednej chwili. Zobaczyła Dunrossa.

263

- Och, nie słyszałam, jak szedłeś.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nic się nie stało.

Z powrotem popatrzyła na portret.

- Peter Marlowe nam o nim opowiadał.

- Tak, Peter wiele wie o Hongkongu, ale nie wszystko. I niektóre jego informacje nie są dokładne. Niektóre nawet nieprawdziwe.

- Czy... - zaczęła po chwili przerwy. - Czy to trochę nie za bardzo melodramatyczne? Ten nóż w sercu.

- To dzieło Hag Struan. Rozkazała, żeby nóż tak został.

- Dlaczego?

- Bo tak jej się podobało. Była tai-panem.

- A poważnie, dlaczego?

- Mówię całkiem serio. - Wzruszył ramionami. - Nienawidziła swojego ojca i chciała, żebyśmy wszyscy pamiętali o przeszłości.

Casey zwróciła wzrok na portret na ścianie po przeciwnej stronie.

- To ona? - zapytała.

- Tak. Zaraz po ślubie. - Dziewczyna z obrazu miała około siedemnastu lat, niebieskie oczy i ładne włosy. Ubrana była w suknię balową z głębokim dekoltem i rozłożystym dołem. Na szyi miała zielony naszyjnik.

Chwilę w milczeniu patrzyli na portret. Ani na obrazie, ani na ramie Casey nie widziała podpisu, jedynie datę 1824-1917.

- Ma pospolitą twarz, ładną, ale niczym się nie wyróżniającą. Tylko te usta - zauważyła. - Są wąskie, ściśnięte i pełne niezadowolenia. Malarz uchwycił na nich wiele zaciętości. To Quance?

- Nie. Nie wiadomo, kto go malował. Prawdopodobnie był to jej ulubiony portret. W apartamencie w budynku Struanów mam jej wizerunek pędzla Quance'a. Ona tam wygląda zupełnie inaczej, a mimo to bardzo podobnie.

- A portretowała się jeszcze później?

- Trzykrotnie. Za każdym razem, gdy obraz był skończony, niszczyła go.

- A zostały po niej jakieś zdjęcia?

- Ja nic o tym nie wiem. Nienawidziła aparatów fotograficznych. Ani jednego nie było w domu. - Dunross roześmiał się, a Casey zauważyła jego zmęczenie. - Kiedyś przed samą pierwszą wojną

światową sfotografował ją dziennikarz z „China Guardian”. Za godzinę wysłała uzbrojoną załogę jednego z naszych statków, żeby spalili redakcję, jeśli nie wydadzą negatywu i wszystkich odbitek i jeśli redaktor naczelny nie przyrzeknie „unikać nękania i oczerniania jej”. Przyrzekł.

- Nie wolno przecież bezkarnie robić takich rzeczy!

264

- Oczywiście, że nie. Chyba że jest się tai-panem Noble House. Poza tym każdy wiedział, że Hag Struan nie życzy sobie fotografowania, a ten pyskаты pajac złamał regułę. Hag była jak Chinka. Wierzyła, że za każdym razem, gdy dajesz się sfotografować, oddajesz część duszy.

Casey wskazała naszyjnik.

- Nefrytowy?

- Nie, szmaragdowy.

- Kosztował pewnie majątek.

- Dostała go od Dirka Struana, nie mógł nigdy opuścić Azji. Miał należeć do żony każdego kolejnego tai-pana Noble House. - Uśmiechnął się smutno. -

Hag Struan zatrzymała go na całe życie. A przed śmiercią przykazała, aby ją w nim pochowano.

- Jezu! I tak się stało? -Tak.

- Wielka strata.

Dunross spojrział na portret.

- Nie - zaprzeczył zmienionym głosem. - Ona prawie siedemdziesiąt lat utrzymała Struanów jako Noble House. Była prawdziwym tai-panem tai-panów, choć tytuły piastowali inni. Umiała stawić czoło wrogom i katastrofom, przestrzegała legacji Dirka, walczyła z Brockami i robiła wszystko, co było trzeba. Co więc znaczy jakiś naszyjnik, który na początku prawdopo dołnie nic nie kosztował? Na pewno zrabowano go jakiemuś mandarynowi, który ukradł go innemu, a za stratę poniesioną przez swego pana zapła cili krwawym potem wieśniacy.

Wpatrywał się w twarz Hag, przenosząc się niemal w inny wymiar.

- Mam tylko nadzieję, że dokonam tego samego - wymamrotał, całko wicie nieobecny duchem. Casey wydawało się, że mówi to nie do niej, lecz do dziewczyny na obrazie. Przeniosła wzrok z twarzy Dunrossa na portret Dirka Struana i zobaczyła zadziwiające podobieństwo. Pewne charakterystyczne rysy rodzinne można było zauważyć na wszystkich portretach -

dziewięciu mężczyzn i jednej dziewczyny - malowanych na tle Hongkon gu, Szanghaju i morza oraz wspaniałych statków. Pod każdym portretem wisiała tabliczka z nazwiskiem i latami życia danego

tai-pana: „Dirk Dun ross, 4. tai-pan, 1852-1894, zginął na Oceanie Indyjskim na «Zachodzącej Chmurze»" ... „Sir Lochlin Struan, 3. tai-pan, 1841-1915" ... „Alastair Struan, 9. tai-pan 1900-" ... „Dirk Struan, 1797-1841" ... „Ross Lechie Struan, 6. tai-pan, 1887-1915, kapitan Królewskiego Regimentu Szkockiego, zginął pod Iprem" ...

- Kawał historii - westchnęła i dopiero potem zorientowała się, że wytrąca go z zamyślenia.

- Tak. Rzeczywiście.

265

- Jesteś dziesiątym tai-panem? - Tak.

- Masz już swój portret? - Nie.

- Ale będziesz musiał mieć, no nie?

- Tak, obowiązkowo. Na razie nie ma pośpiechu.

- Jak się zostaje tai-panem?

- Musi cię wybrać poprzednik. Decyzja należy do niego.

- A ty już wybrałeś swojego następcę?

- Nie - odpowiedział, ale Casey sądziła, że nie mówi prawdy. A niby dlaczego miałyby mi mówić, pomyślała. I dlaczego zadajesz tyle pytań?

Odwróciła głowę. Jej uwagę przykuł mały portret.

- A to kto? - zapytała. Obraz przedstawiał nieproporcjonalnego mężczyznę, garbatego karła o dziwnych oczach i sarkastycznym uśmiechu. - Też tai-pan?

- Nie, To Stride Orłów, główny kapitan Dirka. Gdy tai-pan zginął podczas tajfunu i władzę przejął Culum, Stride Orłów został mianowany dowódcą naszej floty. Legenda głosi, że był wielkim żeglarzem.

- Przykro mi - stwierdziła po chwili - ale jest w nim coś, co przyprawia mnie o dreszcz. - Orłów stał na tle klipra, za pas miał wetknięte pistolety. - Ma straszną twarz.

- Wszyscy tak na niego reagowali. Z wyjątkiem tai-pana i Hag Struan.

Podobno nawet Culum nienawidził go. - Dunross odwrócił się do Casey i czuła, że poddaje ją jakiejś próbie. Zrobiło jej się gorąco i nieprzyjemnie.

- A dlaczego ona go lubiła?

- Zgodnie z opowieściami zaraz po wielkim tajfunie, gdy wszyscy zbierali rozbite resztki, Culum także, diabeł Tyler zaczął przejmowanie Noble House.

Wydawał rozkazy, obejmował panowanie, Culuma i Tess traktował jak dzieci. .

wysłał Tess na pokład swojego statku „Biała Wiedźma” i kazał Culumowi przyjść na statek po zachodzie słońca. Według Tylera tytuł Noble House przypadał teraz Brockom-Struanom, a on był tai-panem! Tak czy inaczej Culum... nikt nie wie, skąd znalazł w sobie tyle odwagi, miał dopiero dwadzieścia jeden lat, a Tess szesnaście... wysłał na „Białą Wiedźmę” Orłowa, aby odbił jego żonę. Orłów natychmiast poszedł samotnie na statek... Tyler w tym czasie był jeszcze na lądzie. Orłów przyniósł Tess, a na pokładzie zostawił jednego trupa i sześciu ludzi z rozbitymi głowami lub innymi obrażeniami. - Casey spojrzała na Dunrossa i ujrzała w nim ten sam trochę kpiarski, trochę okrutny i trochę demoniczny uśmiech co na twarzy pierwszego tai-pana. - Zawsze potem Tess, a właściwie Hag Struan, uwielbiała go. Dopóki nie zniknął, dobrze kierował naszą flotą. Mimo brzydoty był dobrym człowiekiem i wielkim żeglarzem.

266

- Jak to zniknął? Zginął na morzu?

- Nie. Hag Struan opowiadała, że któregoś dnia zszedł w Singapurze na ląd i już się nigdy nie pokazał. Zawsze pragnął wyjechać i wrócić do rodzinnej Norwegii. Więc być może uciekł do domu. Albo został zabity. Kto wie, Azja to okrutne miejsce, chociaż Hag przysięgała, że żaden mężczyzna nie dałby rady zabić Stride'a Orłowa, więc musiałyby to chyba zrobić kobieta. Być może to Tyler zastawił na niego pułapkę. Kto wie...

Mimowolnie przeniosła wzrok na portret Tylera Brocka. Intrygowało ją jego oblicze i znaczenie wbitego w serce noża.

- Dlaczego tak postąpiła z podobizną swojego ojca?

- Opowiem ci kiedyś, a na dzisiaj wystarczy, gdy się dowiesz, że wbiła ten nóż kijem do krykieta mojego dziadka i przeklęła każdego, kto ośmieli się wyciągnąć jej nóż z jej ściany. - Uśmiechnął się do Casey, a ona znów zauważyła na jego twarzy ogromne zmęczenie. Poczula się lepiej, bo sama też czuła się wyczerpana, a nie chciała popełnić żadnego błędu. - Teraz musimy zająć się interesami.

- Nie - zaprotestowała Casey. - Przykro mi, ale muszę odwołać tę rozmowę.

- Jak to? - Uśmiech zniknął z jego ust.

- Tak. Linc powiedział mi, jakich chcesz zmian. W grę wchodzi dwuletni kontrakt, więc sprawa nie leży w mojej gestii.

-No...

- Tak - ciągnęła dalej tym samym rzeczowym, ale miłym tonem. - Przykro mi, ale ja miałam

pertraktować tylko do dwudziestu milionów, więc musisz sfinalizować sprawę z Linkiem. Czeka przy barze.

Z jego twarzy zniknęło na moment zrozumienie - i ulga, jak jej się zdawało - ale zaraz się uspokoił.

- Teraz? - upewnił się łagodnie.

- Tak. - Poczula, jak ogarnia ją fala gorąca, zaczęły ją piec policzki i zastanawiała się, czy już zaczynają się rumienić.

- A więc my nie możemy się potargować? Musi być Linc Bartlett?

Zmusiła się, aby nie odwrócić oczu.

- Tai-pan powinien pertraktować z tai-panem.

- To podstawowa zasada. W Ameryce też? Mówił miękkiem i delikatnym głosem.

-Tak.

- To jego pomysł czy twój?

- A co za różnica?

- Ogromna.

- Jeśli powiem, że on, straci twarz. **Jeśli powiem, że ja, też straci, tylko** w inny sposób.

267

Dunross lekko pokręcił głową i uśmiechnął się. Ciepło tego gestu zwiększyło jeszcze jej wewnętrzny ogień. Mimo że panowała nad sobą, czuła, że nie bez wpływu na nią pozostaje jego męski urok.

- Tak czy inaczej troska o twarz trzyma nas w ryzach, prawda? - powie dział.

Nie podchwyciła jego żartobliwego tonu, lecz grając na zwłokę, odwró-

ciła głowę. Utkwiła oczy w portrecie dziewczyny. Jak doszło do tego, że taka niewinna istota zamieniła się w Hag, zastanawiała się. To straszliwe mieć stare ciało i młode, pełne wigoru serce. niesprawiedliwe wobec kobiety. Czy ja też stanę się znana jako Hag Tcholak? Albo „lesbijka Tcholak”, jeśli nie wyjdę za męża i pozostanę w świecie biznesu, w świecie męż-

czyn, pracując cały czas, by osiągnąć te same najważniejsze wartości: ukształtować osobowość, zdobyć władzę i pieniądze; i będę nienawidzona za to, że jestem tak samo dobra, a może nawet lepsza niż oni. Nie będę się tym przejmowała, dopóki razem z Linkiem nie wygramy. Graj dalej tę rolę, którą sobie wyznaczyłaś na dziś wieczór, i podziękuj tej francuskiej damie za dobre rady. „Pamiętaj, dziecko”, powtarzał zawsze ojciec, „pamiętaj, że dobra rada może nadejść nie wiadomo

kiedy i nie wiadomo skąd". Tak, Casey pomyślała zadowolona, ale zgodnie z udzieloną mi przez Susanne radą o zachowaniu się dam wśród mężczyzn nie powinnam wygłaszać przy lanie poglądów na temat zachowania twarzy. Ale nie pomyśl się, lanie Struanie Dunross. W tej transakcji ja jestem tai-panem Par-Con.

Poczuła radość i wstąpiły w nią nowe siły. Nigdy dotąd nie nazwała tak dosłownie swojej pozycji w Par-Con. Tak, myślała z satysfakcją, jestem tai-panem.

Jeszcze raz spojrzała na portret dziewczyny krytycznym okiem i zrozumiała, jak bardzo myliła się przedtem. Ta dziewczyna nie wygląda ani zwyczajnie, ani pospolicie. Czy już wtedy żył w niej zarodek tai-pana?

- Jesteś bardzo wrażliwa - zwrócił się do niej Dunross, przerywając jej zamyślenie.

- Nie - zachnęła się. Odwróciła się do niego i pomyślała: Jeśli chcesz znać prawdę, tai-pan, nie jestem w najmniejszym stopniu wrażliwa. Udaję skromność, słodycz i delikatność, żebyś czuł się swobodnie. Nie uraczyła go tą prawdą o sobie, lecz spuściła wzrok i powiedziała miękko: - To ty jesteś wrażliwy.

Ujął jej dłoń, nachylił się i pocałował ją ze staromodną galanterią. Starowała się ukryć zdziwienie. Nikt dotąd tak się względem niej nie zachował.

- Ach, Ciranoush - zaczął z żartobliwym patosem. - Gdy będziesz po trzebowała rycerza, przyślij po mnie. - Potem uśmiechnął się. - Pewnie się nie nadam, ale nic nie szkodzi.

268

Uśmiechnęła się i zniknęło napięcie. Bardzo jej się podobał.

- Masz jeszcze interesy.

Ostrożnie objął ją w talii i delikatnie przycisnął do siebie. Ruszyli w kierunku schodów. Jego dotknięcia są bardzo, bardzo miłe, myślała. Bądź ostrożna. On nie jest dzieckiem.

17

23:58

Rolls Phillipa Czerna zatrzymał się na podjeździe przed domem. Kipiący gniewem Phillip i zdenerwowana Dianne gorączkowo wysiedli z samochodu.

Panowała ciemna noc, od strony miasta i morza widać było błyski światła.

- Zamknij bramę i wchodź do środka! - krzyknął Phillip do szofera i podążył w stronę drzwi wejściowych. - Pośpiesz się, Dianne - ponaglał ją, wkładając klucz do zamka.

- Phillip, co cię ugryzło? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Dla...

- Cicho! - huknął na nią, aż zatrzymała się w pół drogi. - Siedź cicho i rób, co ci każe! - Otworzył drzwi na oścież. - Zawołaj służących!

-Ależ Phill... -AhSun!

AhTak!

Dwie zaspane służące powoli wyszły z kuchni i zdziwione jego gniewem wybałuszyły oczy.

- Tak, Ojczy? Tak, Matko? - powiedziały chórem po kantońsku. - Co, w imię bogów...

- Spokój! - zagrział, twarz jeszcze bardziej mu poczerwieniała. - Marsz do pokoju i czekać, aż pozwolę wyjść. - Otworzył drzwi do sali jadalnej, skąd okna wychodziły na północ na drogę. - Wszyscy macie tu czekać, aż przyjdę i was wypuszczę. Jeden niepotrzebny ruch, jedno spojrzenie przez okno i... Już ja znajdę jakichś przyjaciół, żeby was doprowadzili do samego portu!

Obydwie *amah* zaczęły lamentować, ale wszyscy pośpiesznie wypełnili jego polecenie, a on zatrzaskał za nimi drzwi.

- Przestańcie! - skarciła obydwie *amah* Dianne, a potem uderzyła jedną w policzek. To powstrzymało starą kobietę od płaczu.

- Co się wszystkim stało? Co się stało Ojcu? Och, och, och, jego gniew sięga Jawy... och, och, och...

- Cicho, Ah Tak! - burknęła Dianne, sama wpadając w furję. Co w imię bogów mu się stało? Nie ufa mi - mnie, swej jedynej, prawdziwej żonie 269

i miłości swojego życia... Ja zawsze... I wyciągnął mnie z przyjęcia tai-pana, gdy wszystko szło tak dobrze. Cały Hongkong zachwycał się moim Kevinem i wszyscy byli zgodni co do tego, że John Czen z pewnością nie przeżył szoku przy ucinaniu ucha. Nikt by nie przeżył! Nawet ja.

Wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby być jeszcze raz porwana i mieć odcinane ucho tak jak w popołudniowym śnie, po którym obudziła się zlaną zimnym potem.

- *Aiii ia* - mruknęła pod nosem. - Czy on zwariował?

- Tak, Matko. - Szofer skwapliwie kiwał głową. - Chyba tak. Z powodu tego porwania. Nie widziałem Ojca w takim stanie od kiedy...

- Kto cię pyta? - warknęła. - Wszystko twoja wina! Gdybyś przywiózł biednego Johna prosto do domu zamiast do tych ladacznic, nic by mu się nie stało!

Dwie *amah* znów zaczęły lamentować, a Dianne całą swą złość zwróciła ku nim. A co do was dwóch, to póki pamiętam, chcę wam powiedzieć, że obsługa w tym domu pozostawia wiele do życzenia. Zapytałyście, czy nie trzeba mi aspiryny albo innego leku? Albo herbaty? Albo zimnego okładu?

- Matko - zreflektowała się jedna z nich. - Nie możemy zrobić herbaty, ale może napiłabyś się brandy?

- Co? O tak, bardzo chętnie, Ah Tak.

Stara kobieta w jednej chwili rzuciła się do szafki, otworzyła ją, wyjęła koniak, o którym wiedziała, że jej pani go lubi, i nalała do szklaneczki.

- Biedna Matko, żeby Ojciec wpadał w taki gniew! Straszne! Co go opętało, dlaczego nie pozwala nam wyglądać przez okno?

Bo nie chce, żebyście, wy, złodziejskie nasienie, zobaczyły, jak zakopuje swoją tajną skrzynkę w ogrodzie, pomyślała Dianne. Nie chce nawet, żebym ja widziała. Popijając doskonały trunek, uśmiechnęła się do siebie, uspokajając się świadomością, że ona wie, gdzie leży zakopana żelazna kasetka. Chodzi o to, że ona musi go ochraniać, więc podejrzała kiedyś, gdzie zakopuje skrzynkę, na wypadek gdyby, Boże uchronaj, zdarzyło się, że bogowie zabiorą go z tego świata, zanim zdąży wyznać jej, gdzie ma swoją skrytkę. Pewnej nocy podczas okupacji japońskiej czuła się w obowiązku złamać obietnicę niepodglądania go, gdy chował

wszystkie rodowe kosztowności.

Nie wiedziała, co teraz jest w tej skrzynce. I nie obchodziło jej to. Kasetka była wiele razy otwierana, zawsze potajemnie, ale Dianne nie przejmowała się jej zawartością, dopóki wiedziała, co się dzieje z jej mężem i gdzie przechowuje kluczyki do skrytek depozytowych.

Beze mnie po jego śmierci Dom Czenów upadnie, pomyślała.

- Przestań beczeć, Ah Sun! - Wstała i zaciągnęła zasłony. Za oknem panowała noc i nie było nic widać prócz żelaznej bramy i kawałka drogi.

270

- Jeszcze koniaku, Matko? - zaproponowała stara *amah*.

- Nie, dziękuję, złotko - odpowiedziała tklawie, ponieważ trunek ostudził jej złość. - Możesz rozmasować mi kark. Głowa mnie boli. A wy dwoje siedźcie i ani słowa, dopóki nie wróci Ojciec!

Z łopatą w jednej dłoni i latarką w drugiej Phillip Czeń szybkim krokiem maszerował ogrodową ścieżką wijącą się między starannie utrzyma-nymi drzewami i krzewami. Zatrzymał się, aby określić dokładnie, gdzie się znajduje i gdzie jest miejsce, którego szuka. Zawahał się i obejrzał za siebie, chociaż wiedział, że z domu nikt nie może go zobaczyć. Upewniwszy się, że nie jest obserwowany, włączył latarkę. Strumień światła przesuwawał się po trawie, aż - obok drzewa - zatrzymał się. Miejsce wyglądało na nie tknięte. Ostrożnie podniósł mech, a gdy zobaczył, że ziemia pod nim jest naruszona, siarczyście zaklął.

- Co za świni... Mój własny syn! - Zebrawszy się w sobie, z trudem rozpoczął kopanie. Ziemia była miękka.

Od momentu gdy wyszedł z przyjęcia, usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odkopywał skrzynkę. Teraz miał już pewność, że wiosną, gdy potrzebował dokumentów własności domów w Wanczai, które sprzedał po pięćdziesięciokrotnie zawyżonej cenie Donaldowi McBride'owi, chcącemu w tym miejscu rozpocząć jakieś wielkie przedsięwzięcie.

- Co wtedy robił John? - mruzczał. - Był w domu?

Kopiąc, starał się przypomnieć sobie, ale bezskutecznie. Nigdy nie szedł do skrytki, gdy groziło niebezpieczeństwo odkrycia tajemnicy ani gdy w domu przebywali obcy, ani jeśli miał jakiegokolwiek podejrzenia. Ani przez chwilę bym nie przypuszczał... John musiał mnie śledzić.

Łopata uderzyła o metal. Ostrożnie odgarnął resztki ziemi, zdjął

ochronną osłonę, drżącymi rękami otworzył kasetkę i poświecił latarką do środka. Wyglądało na to, że wszystkie dokumenty leżą na swoim miejscu, ale wiedział, że co do jednego zostały przeczytane i być może skopiowane.

Niektóre informacje syna mogły pochodzić tylko i wyłącznie stąd.

Również na miejscu były małe i duże pudełka z klejnotami. Nerwowo odszukał to, w którym powinna być połówka monety, i otworzył je.

Połówka monety i opisujący ją dokument zniknęły.

Po policzkach spłynęły mu łzy gniewu. Czuł walenie serca i był

pewien, że gdyby teraz znajdował się tu jego syn, bez wahania ukręciłby mu głowę.

- Och, synu, mój synu... Niech cię przeklną wszyscy bogowie!

Kolana zrobiły mu się miękkie. Usiadł roztrzęsiony na kamieniu i pró-

bował zebrać myśli. Słyszał ostrzeżenia swojego ojca wypowiedziane na łożu śmierci:

- Nigdy nie utracić monety, synu, to nasz klucz do ostatecznego przetrwania i panowania nad Noble House.

271

Działo się to w 1937 roku i wtedy Phillip po raz pierwszy został wtajemniczony w rodowe sekrety Domu Czenów: ten, kto zostaje doradcą, staje się jednocześnie dowódcą hongkongijskiej Hung Mun - wielkiej, tajnej, chińskiej triady, która za czasów Sun Jat-sena nazywała się 14K, a uformowana została do szerzenia chińskiego powstania przeciwko zniechęconym Mandżurom.

Doradca jest głównym ogniwem spajającym chiński odłam na wyspie z 14K na lądzie. Od czasów Czen-tse Żin Arna, znanego jako Żin-kua, legendarnego dowódcy kupców Ko-Hong posiadającego monopol Imperium na handel z obcymi, Dom Czenów na stałe został połączony z Noble House

więzami własności oraz krwi.

- Słuchaj uważnie, mój synu - szeptał umierający ojciec. - Tai-pana, Dirka Struana, stworzył Żin-kua, tak samo jak Noble House. Żin-kua go wymyślił i zbudował. . Tai-pan miał dwie konkubiny. Pierwszą Kai-sung, jedną z córek Żin-kua z piątą żoną. Ich syn nazywał się Gordon Czen, był moim ojcem i twoim dziadem. Druga konkubina tai-pana nazywała się T'Czung Żin Mei-mei, była jego kochanką sześć lat i przed samym tajfunem, który zabił ich oboje, potajemnie ją poślubił. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat i była ulubioną wnuczką Żin-kua. Sprzedał ją tai-panowi, gdy miała siedemnaście lat, żeby uczyła go cywilizowanych manier w taki sposób, aby tego nie odkrył. Z tego związku zrodzili się Duncan i Kate, nosząca także imię T'Czung. Została zabrana do domu mojego ojca. On wydał Kate za szanghajskiego handlowca Petera Gavallana. . Andrew Gavallan także jest naszym kuzynem, choć nie ma o tym pojęcia... Jeszcze tyle zostało do opowiedzenia, a czasu brak. Nie szkodzi, całe drzewo rodowe znajduje się w sejfie. Wielu nas jest. . Wszyscy jesteśmy spokrewnieni, Wu, Kwang, Sung, Kau, Kwok, Ng, wszystkie stare rodziny.

Korzystaj z tej wiedzy ostrożnie. Oto klucz do sejfu.

I jeszcze jedna tajemnica, Phillipie, mój synu. Pochodzimy w prostej linii od drugiej żony mojego ojca. Ojciec poślubił ją, gdy miał pięćdziesiąt trzy lata, a ona szesnaście. Była córką Johna Juana, syna wielkiego amerykańskiego kupca Jeffa Coopera i Euroazjatki Isobel Jau z nieprawego łoża. Isobel natomiast była nie uznaną córką Robba Struana, a więc płynie w nas krew obydwu linii Struanów. Alastair Struan jest kuzynem i Collin Dunross też. MacStruan nie.

Jego dzieje znajdziesz w dziennikach dziadka. Synu mój, szkoccy i angielscy barbarzyńcy zjeżdżali do Chin i nigdy nie poślubiali kobiet, w których się kochali, i najczęściej porzucali je, zanim wrócili na szarą, zamgloną wyspę z wiecznie padającym deszczem. Boże, jak ja nienawidzę tej angielskiej pogody i naszej przeszłości.

Tak, Phillipie, jakkolwiek na to patrzeć, jesteśmy Euroazjatami. Ja się nigdy nie potrafiłem z tym pogodzić. To nasze przekleństwo i udręka, ale do nas należy zamiana tego na błogosławieństwo. Przekazuję ci nasz Dom, 272

jak zyczył sobie tego Żin-kua. Przekaż go swojemu synowi i każ mu zrobić to samo. W pewien sposób Żin-kua nas stworzył. Dał nam bogactwo, tajemną wiedzę i władzę. I dał nam jedną z monet. Proszę, Phillipie, przeczytaj.

Na zwoju pożółkłego ze starości papieru było wykaligrafowane: „Dziewiętnastego dnia drugiego miesiąca 1841 roku kalendarza barbarzyńców, ja, Czen-tse Zin Arn z Kantonu, dowódca kupców Ko-Hongu, pożyczyłem Zielonookiemu Diabłu, tai-panowi Noble-House, największemu piratowi obcych diabłów, który wypowiedział wojnę Niebiańskiemu Królestwu i ukradł nam wyspę Hongkong, czterdzieści lak srebra... Ich milion szter-lingów... i te sztabki pomogły mu obronić się przed przejściem przez Jed-nookiego, jego arcywroga i rywala. W zamian tai-pan zapewnił nam specjalne przywileje handlowe na dwadzieścia lat, obiecał, że ktoś z Domu Czenów zawsze będzie pełnił funkcje honorowego doradcy Noble House, i przysiągł, że jego potomni będą respektować zaciągnięte przezeń długi oraz te monety.

Były cztery. Wręczyłem tai-panowi cztery połówki. Kiedy któraś z pozostałych połówek zostanie mu pokazana, on lub następni tai-panowie spełnią dołączoną do niej prośbę... obojętne, czy zgodną z ich i naszym prawem, czy nie.

Jedną połówkę monety zachowałem dla siebie, jedną dałem mojemu kuzynowi, ziemianinowi Wu Fang Czoj, jedną dam swojemu synowi Gor-donowi Czenowi, a gdzie się znajduje ostatnia, pozostanie tajemnicą. Lecz ty, który czytasz to pismo, musisz pamiętać, że nie wolno pochopnie korzystać z tych monet. Tai-pan Noble House musi bowiem spełnić prośbę tylko jeden raz. I pamiętaj, że chociaż sam Zielonooki Diabeł miał honor i jego przysięga przejdzie na potomnych, nadal pozostaje on psubratem barbarzyńcą, przebiegłym jak francowaci Mandżurowie, bo przeszedł naszą edukację i niebezpieczny jest jak gniazdo żmij".

Phillip Czen drgnął mimowolnie, przypomniawszy sobie, jak groźne i nie-oczekiwane są napady wściekłości Dunrossa. Naprawdę pochodzi od Zielonookiego Diabła. Tak samo jak jego ojciec.

Cholerny John! Co go opętało? I co on knuje z Linkiem Bartlettem? Czy moneta znajduje się teraz u Bartletta? A może ma ją jeszcze John, a właściwie porywacze?

Gdy w zmęczonym umyśle próbował rozważać różne wersje losów monety, ręce bezwiednie powędrowały do jednego z pudełek na klejnoty. Do największego. Otwierał je ze ściśniętym gardłem, jednak naszyjnik znajdował

się na swoim miejscu. Odetchnął z ulgą. Błysk szmaragdów w świetle latarki sprawił mu wielką przyjemność i ukoił trochę nerwy. Bardzo głupio ze strony Hag Struan, że kazała się pochować z naszyjnikiem. Jakże straszna, niepowetowana byłaby to strata! I jak mądrze postąpił ojciec, zabierając go z trumny przed spaleniem.

273

Niechętnie odłożył naszyjnik i zaczął zamykać kasetkę. Jaki przyjąć sposób działania? Przyzwyczailem się już do myśli, że tai-pan odda nam większość akcji i władzy. Tak. Ale postanowiłem dać mu czas na wykazanie się, a mija już trzeci rok i nic, a choć transakcja z Amerykanami to wielka rzecz, nadal pozostaje nie sfinalizowana. Atu zginęła moneta!

Jęknął głośno, prostując plecy. Poniżej znajdowało się miasto, statki zacumowane przy Glessing Point. Równie mocno rozświetlony był Koulun, Phillip Czen widział jeden odrzutowiec podrywający się z Kai Tak i drugi przygotowujący się do lądowania.

Co zrobić? - zastanawiał się. Czy Bartlett ma monetę? Czy John? A może Wilkołaki?

Jeśli znajdzie się w nieodpowiednich rękach, może zniszczyć nas wszystkich.

Wtorek

00:36

- Jason - mówił Gornt - to na pewno Dunross uszkodził mi hamulce!

- Daj spokój, na litość boską! Kładłby się pod samochód, mając w domu przyjęcie na dwieście osób? Ian nie jest taki głupi.

Rozmawiali w położonym nad Szczęśliwą Doliną apartamencie Jasona Plumma. Chociaż wilgotność stale rosła, nocne powietrze nadal było bardzo przyjemne. Plumm wstał, zgasił resztkę cygara i zapalił nowe. Tai-pan Asian Properties, trzeciego pod względem wielkości hongu, przewyższał Gomta wzrostem, dobiegał pięćdziesiątki, miał pociągłą twarz. Ubrany był w elegancką marynarkę z czerwonego aksamitu.

- Nawet cholerny Dunross nie robiłby z siebie takiego durnia!

- Mylisz się. Szkocka porywczosć każe mu czasem działać z zaskoczenia, bez planu, i to go zgubi! Tak myślę.

Plumm w zamyśleniu pstrykał palcami.

- Co na to policja?

- Powiedziałem tylko, że zawiodły hamulce. Nic ma co mieszać tych pajaców, przynajmniej na razie. Ale hamulce rollsa po prostu nie mogą same się zepsuć, na miłość boską! No dobrze, trudno. Jutro postaram się, aby Tom Nikklin dostarczył mi odpowiedź, ostateczną odpowiedź, jeśli taka istnieje.

Wtedy przyjdzie czas na policję.

- Racja. - Plumm uśmiechnął się nieznacznie. - Nie potrzebujemy, aby policja prała za nas nasze brudy, prawda?

- Tak. - Obydwaj roześmiali się.

- Masz dużo szczęścia. Trudno jechać bez hamulców po Pik Road.

Musiało być nieprzyjemnie.

- Tylko przez chwilę, Jason, ale potem, gdy minął pierwszy szok, już spokojnie. - Gornt naciągnął trochę prawdę. Napił się whisky z wodą sodową.

Na tarasie wychodzącym na Szczęśliwą Dolinę, tor wyścigowy i morze zjedli tylko we dwóch wytworną kolację, ponieważ żona Plumma wyjechała na wakacje do Anglii, a dorosłe dzieci nie mieszkały już w Hongkongu. Teraz z cygarami siedzieli w luksusowym, choć urządzonym ze smakiem i bez przepychu, podobnie jak pozostałych dziesięć pomieszczeń apartamentu, gabinecie Plumma.

- Jeśli ktokolwiek potrafi powiedzieć, czy mój samochód został uszkodzony, to na pewno Tom Nikklin - dodał na koniec.

277

- Tak. - Plumm napił się wody mineralnej. - Chcesz jeszcze raz przycisnąć młodego Nikklina za Makau?

- Ja? Chyba żartujesz!

- Nie. Bynajmniej - mówił Plumm z drwiącym uśmiechem. - Czy trzy lata temu silnik Dunrossa nie wybuchnął podczas wyścigu i prawie go nie zabił?

- Samochody wyścigowe często się psują.

- Tak, rzeczywiście, chociaż nie zawsze pomaga im w tym konkurencja. -

Plumm nie mógł darować sobie zgryźliwości.

- Nie rozumiem.

- Nic nie szkodzi, mój drogi, to tylko plotki. - Starszy mężczyzna dołał

Gorntowi whisky, a potem wody sodowej z syfonu. - Podobno jakiś chiński mechanik za niewielkim wynagrodzeniem, eee.. powiedzmy, że w szczególny sposób dokręcił małą śrubkę.

- Wątpię, żeby to była prawda.

- Ja wątpię, czy dałoby się ją udowodnić. Tak czy inaczej to niesmaczne, ale wielu ludzi dla paru centów zrobi wszystko.

- Tak. Na szczęście my obracamy dużymi sumami.

- Otóż to, mój drogi. - Plumm strząsnął popiół z cygara. - Jaki masz plan?

- Bardzo prosty: zakładając, że Bartlett nie podpisał jeszcze umowy ze Struanami, za dziesięć dni możemy ustrzelić Noble House jak kaczkę.

- Niejeden już tak mówił, a Struanowie nadal mają tytuł Noble House.

- Tak, ale w tej chwili są bardzo osłabieni.

- A to jakim sposobem?

- Muszą spłacić Toda Shipping i Orlin.

- Nieprawda. Struanowie mają duże możliwości kredytowe, no, może trochę nadszarpnięte, ale nie bardziej niż ktoś inny. Mogą po prostu zaciągnąć kolejne kredyty, Ian pójdzie do Richarda Kwanga

albo do Blacs.

- Blacs nie pomoże, a Richard Kwang będzie unieszkodliwiony. Zostaje tylko Victoria.

- Wtedy Dunross poprosi o kredyt i będziemy musieli mu go udzielić. Paul Havergill podda wniosek pod głosowanie rady. Wszyscy wiedzą, że nie uda nam się przegłosować bloku Struanów, więc będziemy musieli się z nim zgodzić i jak zwykle udawać, że z radością służyjemy pomocą.

- Tak, ale tym razem z radością mogę oświadczyć, że Richard Kwang będzie głosował przeciwko Struanom. To przechyli szalę, wniosek o kredyt zostanie oddalony, a Dunross nie zdoła spłacić długów i leży.

- Na litość boską, postradałeś zmysły? Richard Kwang nie jest w radzie sam!

Gornt pyknął dymem.

278

- Zapomniałeś o mojej grze strategicznej. O „Konkurencji”. Rozpocząłem ją kilka dni temu.

- Przeciwko Richardowi? -Tak.

- Biedny Richard!

- Tak. Ale będzie miał decydujący głos. A Dunross nie spodziewa się ataku z tej strony.

- Richard i Dunross przyjaźnią się.

- Ale Richard ma kłopoty. Zaczęła się nagonka na Ho-Pak. Zrobi wszystko, żeby ocalić siebie.

- Rozumiem. Ile postawiłeś na krótką sprzedaż akcji Ho-Pak?

- Dużo.

- Jesteś pewien, że Richard nie znajdzie sposobu, żeby zatrzymać spadek cen akcji? Może ma jakieś nadzwyczajne fundusze?

- Jeśli tak, zawsze możemy się wycofać.

- Tak, możemy. W istocie. - Jason Plumm obserwował wijący się dymek z cygara. - Ale fakt, że Dunross nie ureguluje tych płatności, nie oznacza jeszcze, że jest skończony.

- Zgoda. Ale po podaniu w wątpliwość wiarygodności Ho-Pak, wiadomość o niewywiązaniu się Struanów spowoduje nagły spadek ich akcji. Giełda stanie się bardzo nerwowa, pojawią się wszelkie oznaki krachu, a my to jeszcze rozognimy wyprzedają akcje. Przez najbliższych kilka tygodni nie ma w planie zebrania rady i tylko Paul Havergill mógłby zwołać zebranie nadzwyczajne. Ale nie robi tego. No bo niby z jakiej racji? On niczego na świecie tak nie pragnie, jak

powiększenia swojego pakietu akcji. Wszystko będzie więc załatwiane od ręki. Paul ustali zasady pomocy Richardowi Kwangowi i jedną z nich będzie głosowanie zgodnie z wolą Paula. A zatem rada przytrzyma lana kilka dni i zaproponuje zwiększenie kredytów w zamian za akcje banku będące w rękach Struanów, a w każdym razie zażąda akcji jako gwarancji.

- Dunross nigdy się na to nie zgodzi. Ani Phillip Czen, ani Tsu-ian.

- Będą mieli do wyboru albo taką możliwość, albo upadek Struanów, zakładając, że ty niepodzielnie i nieugięte zapanujesz nad głosami. A kiedy już bank dostanie ich udziały... Kiedy przejmiesz kontrolę nad radą, a tym samym nad Victorią, wtedy już po Dunrossie.

- No tak, ale powiedzmy, że zdobędzie nowe linie kredytowe.

- Wtedy jeszcze bardziej się pograży... Jason, tak czy owak, możemy go zniszczyć. Wiesz, że to tylko kwestia wyboru odpowiedniej chwili.

- A Bartlett?

- Bartlett i Par-Con już należą do mnie. Nigdy nie zwiążą się z rozchybotanymi Struanami. Już ja się o to zatroszczę.

279

- To możliwe - po chwili milczenia powiedział Plumm. - Tak, to możliwe.

- A zatem zgadzasz się?

- Tyle Struanowie, a jak zamierzasz pochłonąć Par-Con?

- Ja nie, ale my możemy. - Gornt wyrzucił niedopałek cygara. - Ale to wymaga długotrwałego wysiłku i zupełnie innego podejścia i wypracowania tej kwestii. Najpierw Struanowie. Zgoda?

- Jeśli otrzymam część własności hongkongijskich Struanów, trzydzieści pięć procent ich posiadłości w Tajlandii i Singapurze oraz połowę udziałów w Kai Tak.

- W porządku, z wyjątkiem Kai Tak. Potrzebne mi będzie przy rozwoju linii lotniczych Ali Asia. Na pewno to zrozumiesz. Ale masz w zamian miejsce w radzie nowej kompanii, dziesięć procent akcji po cenie parytetowej i oczywiście miejsca w radzie Struanów ze wszystkimi ich przywilejami.

- Piętnaście procent i prezesura Struanów na zmianę, co roku, z tobą.

- Zgoda, aleja pierwszy. - Gornt zapalił papierosa. Czemu nie? - pomy-

ślał. W przyszłym roku Struanowie zostaną podzieleni na części, więc twoja prezesura będzie tylko tytułarna, mój Jasonie. - A zatem wszystko gra? Jeśli chcesz, możemy spisać umowę, tylko w dwóch egzemplarzach.

Plumm pokręcił z uśmiechem głową.

- Nie trzeba umowy, to nam wystarczy. - Wyciągnął rękę. - Zgoda.

Mocno uścisnęli sobie dłonie.

- Naprzód na Noble House!

Obaj roześmiali się, zadowoleni z zawartej umowy. Przejęcie posiadłości Struanów uczyniłoby z Asian Properties największą kompanię w Hongkongu. Gornt uzyskałby niemal całkowity monopol na przewozy powietrzne z i do Hongkongu, przewozy morskie oraz pozycję czołowego przewoźnika w Azji.

Dobrze, pomyślał Gornt. Teraz Wu Cztery Palce.

- Będę wdzięczny, jeśli wezwiesz taksówkę.

- Weź mój samochód, razem z szoferem.

- Nie, nie, dziękuję. Wezmę taksówkę. W każdym razie naprawdę ci dziękuję.

Plumm zadzwonił na dół do portierni dwudziestopiętrowego budynku należącego do Asian Properties. Czekał na taksówkę, wznieśli toast za zgładzenie Struanów i przyszłe zyski. W sąsiednim pokoju zadzwonił

telefon.

- Przepraszam na moment - powiedział Plumm i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Znalazł się w prywatnej sypialni, gdzie zostawał czasem, gdy pracował do późnej nocy. Był to mały dźwiękoszczelny pokój, urządzony jak kabina statku z koją, głośnikami oraz sprzętem Hi-Fi i lodówką.

Po drugiej stronie stały rozbudowane, skomplikowane urządzenia krótko-falarskie, które od dzieciństwa były hobby Plumma.

280

Podniósł słuchawkę. -Tak?

- Proszę z panem Lop-sing - odezwał się damski głos.

- Nie ma pana Lop-ting - odrzekł. - Przykro mi, ale to pomyłka.

- Chcę zostawić wiadomość.

- To pomyłka. Proszę sprawdzić w książce telefonicznej.

- Pilna wiadomość dla Arthura: Centrum przekazało drogą radiową, że spotkanie zostaje przełożone na pojutrze. Gotowość do przyjęcia pilnych instrukcji o szóstej zero zero. - Połączenie zostało przerwane.

Plumm zmarszczył brwi i odłożył słuchawkę.

Ze swojej dżonki na palach Wu Cztery Palce razem z Poonem Ładna Pogoda obserwował, jak Gornt wsiada do wysłanego po niego sampana.

- Nic się nie zmienił przez cały ten czas, prawda? - powiedział z błyskiem w skośnych oczach Wu.

- Dla mnie wszystkie obce diabły wyglądają tak samo. Ile to już lat?

Dziesięć? - zapytał Poon, drapiąc się po brodzie.

- Nie. Prawie dwanaście. Stare dobre czasy, *heya* - rozmarzył się Wu. -

Duże zyski. Bardzo dobra droga do Kantonu, nie pilnowana przez obce diabły ani ich lokajczyków. Ludzie przewodniczącego Mao witali nas z otwartymi ramionami. Tak, tak. Wszędzie nasi, żadnych obcych diabłów, żadni urzędnicy nie żądali pachnącego smaru. Można było bez kłopotu odwiedzić całą rodzinę i znajomych, *heya'*? Nie tak jak teraz, *heya'*?

- Czerwoni trzymają się mocno, są przebiegli i twardzi. Gorszi od mandarynów.

Wu odwrócił się, gdy Siódmy Syn wyszedł na dwór. Młodzieniec miał na sobie białą koszulę, szare spodnie i mocne buty.

- Bądź ostrożny - zawołał szorstko Wu. - Na pewno wiesz, co masz robić?

- Tak, Ojczy.

- To dobrze - odparł, ukrywając dumę. - Nie chcę żadnych pomyłek.

Patrzył, jak syn niezgrabnie idzie po prowizorycznym podeście z desek przerzuconych między ich a sąsiednią dżonką.

- Czy Siódmy Syn już coś wie? - zapytał Poon.

- Nie, jeszcze nie - odpowiedział Wu. - Te psubraty przechwyciły moje karabiny! A bez nich cała nasza robota na nic.

- Dobry wieczór, panie Gornt. Nazywam się Paul Czoj. Wujek Wu wysłał

mnie, żebym pokazał panu drogę - odezwał się czystą angielszczyzną młodzieniec, powtarzając kłamstwo, które już uznał za prawdę.

Gornt stanął zaskoczony i zaraz ruszył dalej po rozklekotanych schodach.

- Dobry wieczór - powiedział. - Pan jest Amerykaninem? Czy tylko studiował pan w Ameryce, panie Czoj?

-1 jedno, i drugie. - Uśmiechnął się. - Wie pan, jak to jest. Proszę uważać, ślisko tu jak diabli. - Odwrócił się i zaczął prowadzić. Naprawdę nazywał się Wu Fang Czoj i był siódmym synem Wu Cztery Palce z trzecią żoną, ale zaraz po urodzeniu ojciec wyrobił mu w Hongkongu świadectwo urodzenia, co się wśród mieszkańców łódek rzadko zdarza, podał nazwisko panięskie matki, dodał imię Paul, a jako ojca wpisał jednego ze swych kuzynów.

- Posłuchaj, synu - zwrócił się do niego Wu Cztery Palce, gdy Paul był na tyle duży, by zrozumieć. - Kiedy mówisz w haklo na mojej dżonce, możesz nazywać mnie Ojcem, ale przed obcymi diabłami nigdy. Nawet w haklo. W innych miejscach nazywaj mnie Wujkiem, tak jak wszystkich innych wujów. Rozumiesz?

- Tak. Ale dlaczego, Ojczy? Czy zrobiłem coś złego? Przepraszam, jeśli zawiniłem.

- W niczym nie zawiniłeś. Jesteś dobrym synem i ciężko pracujesz. Dla rodziny i dla siebie lepiej, żebyś nazywał mnie inaczej.

- Ale dlaczego, Ojczy?

- Dowiesz się, gdy przyjdzie czas. - Potem, gdy Paul skończył dwanaście lat i dowiódł swojej wartości, ojciec wysłał go do Stanów. - Teraz nauczysz się manier obcych diabłów. Musisz mówić tak jak oni, spać jak oni i stać się na zewnątrz taki jak oni. Ale nigdy nie wolno ci zapomnieć, kim jesteś, kim są twoi rodacy, ani tego, że obce diabły są ograniczone, trudno ich nazwać ludzkimi istotami i nie są cywilizowani.

Paul uśmiechnął się do siebie. Gdyby Amerykanie wiedzieli, i Brytyjczycy, Irańczycy, Niemcy, Rosjanie, i inni... gdyby tylko wiedzieli, co myśli o nich najniższy kulis, dostaliby zawału, powtarzał sobie w duchu setki razy. Wcale nie jest tak, że Chińczycy nienawidzą wszystkich obcych, oni po prostu nie uważają, żeby obcy zasługiwali na jakiekolwiek zainteresowanie. Oczywiście, nie mamy racji, myślał Paul. Obcy są istotami ludzkimi, niektórzy nawet zasługują na miano cywilizowanych, na swój sposób, i wyprzedzają nas myślą techniczną. Ale my jesteśmy lepsi...

- Dlaczego pan się śmieje? - zapytał Gornt, schylając się pod liną i starając się nie spaść z desek.

- Ach, pomyślałem sobie, że to życie jest takie zwariowane. W zeszłym miesiącu żeglowałem na Malibu. Aberdeen to zupełnie coś innego, prawda?

- Chodzi panu o ten zapach...

- Jasne.

- Ma pan rację.

- Podczas przyływu nie jest lepiej. Tylko ja czuję stęchliznę.

282

- Kiedy był pan tu ostatni raz?

- Kilka lat temu, chyba dziesięć, po zdobyciu bakalaureatu w szkole biznesu, ale nigdy nie mogłem się do tego zapachu przyzwycząić. - Czoj uśmiechnął się. - W Nowej Anglii nie ma go.

- Gdzie pan chodził do szkoły?

- Najpierw w Seattle. Potem studiowałem też w Seattle na Uniwersytecie Waszyngtona. A później w Harvardzie. W Harvardzkiej Szkole Biznesu.

- W Harvardzie? - Gornt zatrzymał się.

- Tak, zostałem nawet asystentem.

- Bardzo ładnie. Kiedy pan skończył?

- W czerwcu w zeszłym roku. Czuję się, jakbym wyszedł z więzienia.

Boże, u nich tam naprawdę jesteś niczym, jeśli nie skończyłeś tego Harvar-du.

Dwa lata piekła. Jak już skończyłem, pojechałem z kumplem do Kalifornii zarobić na surfing i ochłonać trochę po ciągłym poceniu się w szkole. A potem... - Czoj uśmiechnął się. - Potem odnalazł mnie Wujek Wu i przypomniał, że czas wracać do pracy, no i jestem. Mimo wszystko to on płacił za moją edukację! Moi rodzice od wielu lat nie żyją.

- Który stopień uzyskał pan w Harvardzie?

- Trzeci.

- Nieźle.

- Dziękuję. Już niedaleko. Ta ostatnia dżonka.

Chwiejąc się na prowizorycznym pomoście, Gornt zauważył podejrzenie cichych mieszkańców łódek, przechodzących z domu do domu, gotujących, jedzących lub grających w *ma-dżong*, niektórzy naprawiali sieci, dzieci wyływały na nocne połowy.

- Trochę ślisko, panie Gornt. - Wskoczył na mokry pokład. - Udało się!

Nareszcie w domu. - Pogłaskał po włosach zaspanego chłopca i powiedział do niego w dialekcie haklo, wiedząc, że Gornt nie zna tego języka. - Obudź się, Młodszy Bracie, bo diabeł nas porwie.

- Już, już - chłopiec spojrzał zaskoczony na Gornta.

Paul Czoj wskazał drogę. Stara dżonka cuchnęła smołą i zgniłymi rybami, solą morską i tysiącami sztormów. Pod pokładem, za drzwiami, znajdowała się zwykła, pojedyncza kabina rozciągająca się na całą szerokość łodzi. W

beztrosko otwartym piecu węglowym płonęły, sycząc w ogniu, drobne polana.

Kłębiący się dym znajdował ujście przez otwór wycięty w suficie. Pod jedną ze ścian zgromadzono stare krzesła, wstawiono stół i piętrową koję.

Wu Cztery Palce siedział w samotności.

- *Heya*, dobrze cię widzieć - powiedział trudnym do zrozumienia angielskim. - Whisky?

- Tak, proszę - odparł Gornt. - Ja też się cieszę, że cię widzę.

283

Paul Czoj rozlał szkocką whisky do dwu niezbyt czystych szklanek.

- Z wodą, panie Gornt? - zapytał.

- Nie, samą. I nie za dużo, dobrze?

- Jasne.

Wu wziął szklankę i wzniosł toast:

- Dobrze cię widzieć, *heya*?

- Tak. Na zdrowie!

Obserwowali, jak Gornt wychyla whisky.

- Bardzo dobra whisky - pochwalił. Wu

ukłonił się i skinął na Paula.

- Syn siostry.

- Tak, wiem.

- Dobre szkoły, Złoty Kraj.

- Tak, tak, opowiadał mi. Na pewno jesteś z niego dumny. -Co?

Paul Czoj przetłumaczył wujowi.

- Ach, dziękuję, dziękuję. Dobrze mówi, *heya*?

- Tak, bardzo dobrze. - Gornt uśmiechnął się.

- Dobrze, dobrze. Papieros?

- Poproszę. - Gornt sięgnął po papierosa. Potem Wu także wziął jednego, a Paul podał obydwu ogień. Zapadła cisza.

- Dobrze u ciebie, Stary Przyjaciel?

- Tak, a u ciebie?

- Dobrze. - Znow cisza. - Syn siostry - powtórzył po chwili starzec. Gornt skinął i nic nie odpowiedział. Czekał. Wu sprawiało przyjemność, że Gornt u niego siedzi i cierpliwie czeka na przejście do rzeczy jak prawdziwy cywilizowany człowiek.

Część z tych różowych diabłów jest nawet nauczalna. A niektórzy pojęli aż za wiele, na przykład tai-pan tai-panów z tymi swoimi niebieskimi, zimnymi jak ryba oczami. On nawet mówi trochę w dialekcie haklo. Tak, tai-pan jest przebiegły i cywilizowany, ale zaczęli się uczyć już jego przodkowie kilka pokoleń wstecz, oni też mieli Złe Oko. Tak, Zielonooki Diabeł, pierwszy z tej linii, zawarł pakt z moim przodkiem, wielkim morskim wo-jownikiem, Wu Fang Czoj i jego synem Wu Kwokiem i nie zerwał go. Dopilnował też, żeby dotrzymał umowy jego syn i następne pokolenia. A zatem obecny tai-pan musi być uważany za wielkiego przyjaciela, chociaż jest najgorszy z całej tej rodziny.

Starzec stłumił kaszlnięcie i wypluł zło, którym niewdzięczne demony zanieczyszczają człowiekowi gardło. Wpatrywał się w Gornta. Iiii, mówił do siebie, strasznie musi być tak codziennie patrzeć w lustro na różową twarz. I te włosy jak u małpy, i worki z białej skóry! Ble!

284

Uśmiechnął się, próbując ukryć swoje zdegustowanie, i starał się wyczytać coś z twarzy Gornta, ale nie udawało mu się. Nie szkodzi, mówił w duchu, po to właśnie tyle czasu i pieniędzy poświęciłem na przygotowanie Syna Numer Siedem, jemu się uda.

- Mogę prośbę? - zapytał. Lekko

zakołysało łodzią.

- Tak. Jaką prośbę, Stary Przyjacielu?

- Syn siostry. Czas na pracę. Ty mu dać? - Zobaczył zdziwienie na twarzy Gornta i dotknęło go to, ale nic nie dał po sobie poznać. - Mów - zwrócił się po angielsku do syna, a potem dodał w haklo: - Wyjaśnij temu Zjadaczowi Żółtwiego Gówna, czego chcę. Tak jak ci mówiłem.

- Mój wujek przeprasza, że sam nie może do pana mówić, i poprosił, abym ja wszystko wyjaśnił - powiedział grzecznie Paul Czoj. - Chciałby prosić pana o pracę dla mnie. Coś w rodzaju stażu. W pańskiej kompanii morskiej i lotniczej.

Gornt napił się whisky.

- Dlaczego akurat w tej, panie Czój?

- Jak pan się orientuje, mój wujek prowadzi swego rodzaju morskie przedsiębiorstwo przewozowe i chce, abym ja dokonał jego modernizacji. Jeśli pan rozważy prośbę wuja, przedstawię swoje świadectwa. Na drugim roku w Harvardzie zajmowałem się różnego rodzaju środkami komunikacji. Zanim wujek mnie ściągnął, dostałem pracę w Międzynarodowym Banku Ohio. - Paul zawahał się. - W każdym razie wujek o to prosi.

- Jakimi pan mówi dialektami prócz haklo? . -

Mandaryńskim.

- Ile zna pan znaków?

- Około dwóch tysięcy.

- Potrafi pan stenografować?

- Nie. Umiejętność błyskawicznie pisać na maszynie, z prędkością około osiemdziesięciu słów na minutę, co prawda z pewnymi błędami.

- Co? - zapytał Wu.

Gornt przyglądał się Paulowi, gdy ten tłumaczył wujkowi, o czym rozmawiali, a potem zapytał:

- Jakiego dokładnie stażu pan oczekuje?

- Wujek chce, żebym nauczył się wszystkiego o prowadzeniu przedsię-

biorstwa przewozowego morskiego i lotniczego, także frachtunku i działań praktycznych. Oczywiście pan też może odnieść z tego korzyści. Może przyda się moja amerykańska, teoretyczna wiedza. Mam dwadzieścia sześć lat. Tytuł

magistra. Znam się na nowoczesnych teoriach komputerowych. Potrafię oczywiście programować. W Harvardzie też uczyłem się o prowadzeniu wielkich przedsiębiorstw, a także o różnego rodzaju przepływach gotówki.

285

Wu Cztery Palce zapytał o coś w haklo.

- Wujek pyta, gdzie jest ten dom.

- Na Piku. Jest naprawdę bardzo miły, panie Czój. Na pewno panu przypadnie do gustu.

- Może pan być... tak, oczywiście.

- Niech się pan przygotuje na przeprowadzkę jutro wieczorem.

- Tak, sir.

i; Gdy Wu zrozumiał, co powiedział Gornt, kiwnął z aprobatą głową. / -

Wszystko zgoda. Dwa lata, potem zobaczymy. Może więcej, *heycf!* -Tak.

- Dziękuję, Stary Przyjacielu. - A potem w hakło: - Teraz zapytaj go, o co chciałeś... O bank.

Gornt zbierał się do wyjścia, ale Paul Czoj poprosił:

- Wujek chce zapytać o jeszcze jedną rzecz, jeśli zgodzi się pan poświę-

cić chwilkę.

- Oczywiście. - Gornt z powrotem usiadł na krześle, a Paul Czoj zauważył, że twarz Gornta stężała i miał się bardziej na baczności.

- Mój wujek chciałby poznać pańską opinię na temat dzisiejszego wy-płacania pieniędzy z filii Ho-Pak w Aberdeen.

Gornt patrzył nieruchomym wzrokiem.

- A co konkretnie chce wiedzieć?

- Pojawiło się wiele plotek. Mój wujek ulokował tam wiele pieniędzy, podobnie jak większość jego przyjaciół. Upadek tego banku byłby bardzo niedobłą wiadomością.

- Wydaje mi się, że rozsądnie będzie wycofać swoje pieniądze - poradził

Gornt zadowolony z niespodziewanej okazji upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu.

- Jezu! - wyrwało się Paulowi. Uważnie przyglądał się Gorntowi i z zaskoczeniem zauważył u niego nagłe podenerwowanie i spięcie, a równocześnie nagłą radość. Zastanowił się chwilę, a potem postanowił zmienić taktykę. - Chce wiedzieć, czy stawiał pan na krótką sprzedaż.

- On czy pan, panie Gornt?

- Obydwaj. Wujek sobie życzy, żebym ja odpowiednio zagospodarował

jego portfel akcji - wyjawiał z ogromną przesadą młodzieniec. - Wyjaśniłem mu mechanizmy nowoczesnej bankowości i rynku papierów wartościowych, jak działają i czym się różni pod tym względem Hongkong od Stanów.

Wszystko pojął bardzo szybko. - Znów przesada. Paul Czoj doszedł już wcześniej do wniosku, że nie

zdoła przełamać oporów ojca. - Pyta, czy on też powinien to zrobić.

- Tak, sędzę, że to wskazane. Wiele plotek krąży na temat błędów Ho-Pak. Przyjmowali krótkoterminowe lokaty na duże odsetki i udzielali dłu-288

gotrwałych kredytów nisko oprocentowanych, głównie na nieruchomości, a to typowe przyczyny popadania banków w poważne kłopoty. Dla bezpieczeństwa należałoby wycofać pieniądze i postawić na krótką sprzedaż.

- Następne pytanie, sir. Czy Blacs albo Victoria przyjdą z pomocą?

Wiele wysiłku włożył Gornt w to, aby jego twarz pozostała nieruchoma.

Stara dżonka znów się zakołysała.

- A dlaczego miałyby tak postąpić?

Jestem w pułapce, pomyślał osłupiały. Nie mogę im wyjawiać prawdy, bo nie wiadomo, do kogo te informacje mogą trafić. Ale nie ośmielę się nie odpowiedzieć staremu łajdakowi i jego przekłętemu gnojkiowi. On prosi o wyrównanie długu za przysługę, a ja muszę to zrobić. To sprawa zachowania twarzy.

Paul Czój pochylił się z wyraźnym przejęciem.

- Według mojej teorii - zaczął - jeśli Ho-Pak naprawdę znajduje się w kłopotach, to inni nie pozwolą mu upaść, tak jak East India and Canton Bank w zeszłym roku, ponieważ to spowodowałoby szok na giełdzie, który nie byłby na rękę wielkim inwestorom. Wszyscy czekają na boom i założę się, że ci inwestorzy nie pozwolą, aby katastrofa zaprzepaściła tę szansę.

Ponieważ do największych należą Blacs i Victoria, oni mogą wspomóc Ho-Pak.

- Do czego pan zmierza, panie Czój?

- Jeśli ktoś będzie wcześniej wiedział, kiedy akcje Ho-Pak spadną do minimum, a także kiedy któryś z tych banków, a może oba, przyjdzie z pomocą, może zbić majątek.

Gornt starał się zdecydować, jak postąpić, ale był zmęczony i trudno mu było trzeźwo rozumować. Ten wypadek musiał mi bardziej zaszkodzić, niż sądziłem, myślał. Czy to sprawka Dunrossa? Czy ten łajdak chciał

odpłacić się za tanto Boże Narodzenie albo zwycięstwo w sprawie Pacific Origin, albo za wiele innych zwycięstw, a może nawet za wypadek w Makau?

Poczuł radość, wspominając dreszczyk, jaki czuł, gdy oglądał wyścig, wiedząc, że lada chwila silnik tai-pana wyleci w powietrze. Obserwował

jedną po drugiej wyjące maszyny, aż w pewnym momencie dotychczas prowadzący Dunross nie

pojawił się na kolejnym okrążeniu. Potem oczekiwanie i nadzieja, a później wiadomość, że samochód po wybuchu silnika rozleciał się na kawałki. Czekał dalej, a serce podchodziło mu do gardła.

Nadeszła wiadomość, że Dunross na czworaka wydostał się z samochodu, (iornt cieszył się, a jednocześnie było mu przykro.

Nie chciał śmierci Dunrossa. Chciał, żeby żył i z pełną świadomością mógł oglądać swój upadek.

Zachichotał w duchu. O, to nie ja nacisnąłem guzik rozpoczynający całą akcję. Oczywiście przekazałem pewne sugestie Donaldowi Nikklinowi i napomknąłem o małym *h 'eung yau...*

289

Powracając do terażniejszości, dostrzegł wyczekiwanie wpatrzonych w niego Paula Czoja oraz Wu i prysnął dobry nastrój. Ostatkiem sił skupił

myśli.

- Tak, oczywiście, ma pan rację, panie Czoj. Ale pana przewidywania nie są słuszne. Naturalnie wszystko to tylko teoria, Ho-Pak jeszcze nie upadł.

I może nie upadnie. Jednak nie ma powodu, dla którego jakiś bank miałby postąpić tak, jak pan sugeruje. Nigdy w przeszłości coś takiego nie zdarzyło się. Każdy bank w zależności od wad lub zalet upada albo robi karierę, to cecha naszego wolnorynkowego systemu. Przedstawiony przez pana obrót rzeczy mógłby stać się niebezpiecznym precedensem. Z pewnością nie dałoby się windować każdego źle zarządzanego banku. Ho-Pak nikomu nie jest aż tak potrzebny, panie Czoj. Wszystkie banki mają dość własnych klien

tów. Żaden nie wnika w działalność drugiego i wątpię, aby się to miało zmienić.

Gówny prawda, podsumował Paul Czoj. Banki tak samo jak i inne przedsiębiorstwa chcą się rozwijać, a Blacs i Victoria należą do naj zachłanniej -szych. Nie licząc Struanów i Rothwell-Gornt. I cholera, Asian Properties i tych wszystkich *hong*.

- Na pewno ma pan rację, panie Gornt. Ale tak czy inaczej wujek chciał

wiedzieć, czy coś pan słyszał, czy nie.

Odwrócił się do ojca i powiedział w hakło:

- Już skończyłem, Szlachetny Wujku. Ten barbarzyńca też uważa, że bank ma kłopoty.

Wu zbladł.

- E? Jak źle?

- Jutro musisz jako pierwszy ustawić się w kolejce. Powinieneś jak najszybciej odebrać pieniądze.

- *Aiii ia*\ O bogowie! - Wu mówił podniesionym głosem. - Uduszę Kwanga własnymi rękami, jeśli stracę chociaż centa. Mimo że to mój sio-strzeniec!

- Naprawdę? - zapytał Paul.

- Banki wymyśliły obce diabły, aby okradać uczciwych ludzi z pienięd-

zy. - Wu kipiał złością. Dostanę swoje pieniądze do ostatniego miedziaka albo poleje się jego krew! Powiedz, co on mówił o banku.

- Cierpliwości, Szlachetny Wujku. Zgodnie z barbarzyńskim zwyczajem niegrzecznie jest zatrzymywać barbarzyńcę.

Wu powstrzymał gniew i bombardował Gornta pytaniami:

- Bank źle, *heya*? Dziękuję za prawdę. Bank zły klient, *heya*?

- Czasami - odparł ostrożnie Gornt.

Wu Cztery Palce rozwarł pięści i zmusił się do zachowania spokoju.

- Dziękuję za... tak... chcę też co mówić syn siostry, *heya*?

290

- Nie rozumiem, niestety. Co miał na myśli pana wujek, panie Czój?

- Mój wujek uważa - przekazał po krótkiej szeptaninie z ojcem Paul Czój -

że wyświadczyłby pan prawdziwą przysługę, gdyby wujek mógł usłyszeć z wyprzedzeniem o usiłowaniach przejęcia, upadku lub planach wspierania banku. Oczywiście zachowa to w absolutnej tajemnicy.

Wu z uśmiechem na twarzy pokiwał głową.

- Tak. Prośba. - Wyciągnął rękę i przyjaźnie uścisnęli z Gorntem dłonie.

Wu wiedział, że barbarzyńcy lubią ten zwyczaj, choć uważał go za absolutnie niecywilizowany, niesmaczny i od niepamiętnych czasów urągający dobrym manierom. Chciał jednak, aby syn szybko się wyuczył, najlepiej oczywiście w Drugiej Wielkiej Kompanii, i potrzebował też informacji od Gornta.

Rozumiał, jak ważna jest wczesna wiedza. *liiii*, pomyślał, bez przyjaciół w policji morskiej moja flota byłaby bezsilna.

- Idź z nim na łód, Siostrzeńcu. Wezwij dla niego taksówkę i czekaj na mnie przy postoju. Zawołaj też Toka Dwie Siekiery.

Podziękował Gorntowi, odprowadził ich na pokład i patrzył, jak odchodzą, jak wsiadają na czekający już sampan i odpływają. Noc była przyjemna, postanowił zbadać wiatr. Był wilgotny. Czyżby zbliżał się deszcz? Natychmiast spojrzął na gwiazdy, koncentrując na nich całą uwagę. Doświadczenie pozwalało mu wiele z nich wyczytać. Deszcz mogła przynieść tylko burza. A burza może oznaczać tajfun. Za późno już na letnie deszcze, ale one potrafią się spóźnić, nadciągać nagle i być bardzo ciężkie. Zdarza się, że tajfun nadchodzi wcześniej, bo w maju albo późno w listopadzie, a jeśli tak zechcą bogowie, o każdej porze roku.

Do deszczu przywykliśmy, pomyślał. Ale do tajfunów nie.

Wzdrygnął się. Mamy już prawie Dziewiąty Miesiąc.

A Dziewiąty Miesiąc kojarzył mu się z nieprzyjemnymi wspomnieniami.

Podczas całego życia widział tajfun w tym miesiącu dziewiętnaście razy. Z

czego siedem razy po śmierci ojca w 1937 roku, gdy stał się Głową Domu Urodzonych Na Wodzie Wu oraz kapitanem floty.

Dokładnie pamiętał pierwszy z tych siedmiu. Z północnego wschodu wiał

wiatr z prędkością 115 węzłów i zatopił u ujścia Rzeki Perłowej całą flotę złożoną ze stu dzonek. Zginęło wtedy ponad tysiąc osób, między innymi najstarszy syn z całą rodziną. W 1949 roku, gdy musiał uciekać z Rzeki Perłowej do Hongkongu przed komunistami, został zaskoczony na morzu i stracił dziewięćdziesiąt dzonek oraz trzysta sampanów. On wraz z rodziną ocalał, ale zginęło 817 ludzi. Tamte wiatry nadchodziły ze wschodu. Dwanaście lat temu powiał z północnego wschodu i znów utonęło siedemdziesiąt dzonek. Dziesięć lat temu tajfun Susan zdziesiątkował flotę stacjonującą na Tajwanie i zabrał pięćuset ludzi, a w Singapurze dwustu oraz drugiego syna z rodziną. Tajfun Gloria w 1957 roku wiejący z prędkością stu 291

węzłów znów zdziesiątkował flotę i ludzi. W zeszłym roku tajfun Wanda zahaczył o Aberdeen i wyrządził wiele szkód mieszkańcom wiosek na wodzie na Nowych Terytoriach. Te wichury nadchodziły z północnego wschodu, a potem skręcały na południe.

Wu znał się na wiatrach i wiedział, w jakich dniach nadchodziły. Drugiego sierpnia, ósmego, znów drugiego, osiemnastego, dwudziestego drugiego, dziesiątego, a tajfun Wanda pierwszego. Tak, a te liczby dodane do siebie dają sześćdziesiąt trzy, które dzieli się przez magiczną liczbę trzy i wychodzi dwadzieścia jeden, czyli po dodaniu cyfr znowu trzy. Czy więc tajfun nadejdzie w tym roku trzeciego dnia Dziewiątego Miesiąca? Nigdy się to do tej pory nie zdarzało, ale przecież ten rok też trwa dopiero pierwszy raz. Sześćdziesiąt trzy po dodaniu cyfr daje dziewięć. Może tajfun nadejdzie dziewiątego?

Znów popróbował wiatru. Stał się jeszcze wilgotniejszy. Idzie deszcz.

Wiatr ma działanie odświeżające. Wieje z północnego wschodu.

Stary żeglarz ziewnął i splunął. *Dżosl* Trzeciego, dziewiątego czy drugiego, to zależy od dżosu. Jedyne pewne jest to, że tajfun przybędzie z tej samej strony oraz że zdarzy się to Dziewiątego Miesiąca.

Obserwował sampan, widział siedzącego obok barbarzyńcy syna i zastanawiał się, w jakim stopniu może mu ufać. Chłopak jest przebiegły i dobrze zna maniery obcych diablów, myślał z dumą. Tak, ale jak bardzo na-sięknął tym ich złem? Wkrótce się dowiem. Jeśli należy do nas, będzie posłuszny. Inaczej umrze. W przeszłości Dom Wu zawsze handlował opium z Noble House albo dla Noble House, a czasami dla siebie. Wtedy opium było towarem szlachetnym.

Dla niektórych nadal takim pozostało. Dla mnie, spadkobierców Szmuglera Mo, Lee Biały Proszek, a właściwie, co z nimi? Powinniśmy połączyć się w Bractwo czy nie?

Ale Biały Proszek? Różni się czymś? Czy to nie mocniejsze opium?

Czy nie mają się do siebie tak jak piwo i spirytus?

A jaką różnicę może między solą a Białym Proszkiem widzieć kupiec?

Żadnej. Z wyjątkiem tej, że prawo obcych diablów przewóz jednego uważa za przemyt, a drugiego nie! *Aiii ia*, zanim dwadzieścia lat temu barbarzyńcy przegrali wojnę z diablami znad Morza Żółtego, tutejszy handel monopolizował rząd.

Czyż handel Hongkongu z Chinami nie opierał się głównie na opium?

Ale oni teraz zniszczyli swoje pola uprawne i udają, że taki handel nigdy nie istniał, że jest to wielka zbrodnia, za którą można na dwadzieścia lat trafić do więzienia!

Aiii ai, jakże cywilizowany człowiek może zrozumieć barbarzyńcę?

Z niesmakiem zszedł pod pokład.

292

liii, pomyślał znużony. Ciężki dzień. Najpierw zniknięcie Johna Czena.

Potem tych dwóch kantońskich psuwrów dało się złapać na lotnisku, a moje karabiny ukradła barbarzyńska policja. Po południu nadszedł list od tai-pana:

„Szlachetny Stary Przyjacielu. Po namyśle sugeruję, abyś wysłał Syna Numer Siedem do wroga. Lepiej i dla syna, i dla nas. Poproś Czarną Brodę, żeby spotkał się z tobą dziś wieczorem. Potem zadzwoni do mnie”. Podpis tai-pana z dopiskiem „Stary Przyjaciel”.

Dla Chińczyków „Stary Przyjaciel” to osoba, która w przeszłości wy-

świadczyła nadzwyczajną przysługę, a także osoba, z którą od lat ktoś prowadził zyskowne interesy i ufał jej. Czasami takie interesy prowadzone były od wielu pokoleń.

Tak, pomyślał Wu, tai-pan to prawdziwy „Stary Przyjaciel”. To on podsunął pomysł ze świadectwem urodzenia i nowym imieniem dla Siódmego Syna, to on zaproponował wysłanie Paula do Złotego Kraju, aby tam nabrał

ogłady na wielkim uniwersytecie, to on - oczywiście w tajemnicy - pilnował

go i on rozwiązał problem, jak wykształcić jednego z synów w Ameryce, aby w żaden sposób nie przeszkadzały mu powiązania ze światem narkotyków.

Co za głupcy z tych barbarzyńców! Z wyjątkiem oczywiście tai-pana. On jest Starym Przyjacielem, on i Noble House.

Wu pamiętał zyski, jakie on i jego rodzina potajemnie zgarniali od pokoleń, dzięki pomocy Noble House i bez, podczas wojny i podczas pokoju, handlując w miejscach niedostępnych dla barbarzyńców złotem, paliwem, opium, kauczukiem, maszynami, lekami, wszystkim. Zarabiali nawet na przewozie ludzi, którym pomagali dostać się na kontynent albo wydostać stamtąd. W większości wypadków pomagał im Noble House ze sprawującym teraz władzę tai-panem, także poprzednim, Starym Orlim Nosem, oraz ojcem obecnego tai-pana, Wściekłym Psem, jak również jeszcze starszymi tai-panami. W taki sposób prosperował klan Wu.

Obecnie Wu Cztery Palce miał sześć procent udziałów w Noble House, oczywiście przez pełnomocników, nad którymi jednak stale panował. Najwięcej w przewozie złota oraz inwestycjach tutaj, w Makau, Singapurze i Indonezji, a także w nieruchomościach i bankach.

Ach, banki, pomyślał ze złością. Jeśli stracę choć jednego miedziaka, poderżnę siostrzeńcowi gardło.

Był już pod pokładem i wszedł do kabiny, w której sypiał z żoną. Ona drzemała na dużym sienniku.

- Skończyłeś? Kładziesz się?

- Nie. Śpij - odezwał się miło. - Mam pracę.

Natychmiast wypełniła jego polecenie. Była jego *tai-tai*, najważniejszą żoną, pobrali się czterdzieści siedem lat temu.

293

Zdjął ubrania i przebrał się. Założył czystą białą koszulę, czyste skarpetki, buty i szare, zaprasowane w kant spodnie. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi kabiny i ruszył na górę. Było mu niewygodnie, czuł się skrzepowany ubiorem.

- Wrócę przed świtem, Czwarty Wnuku - uprzedził.

- Tak, Dziadku.

- Nie chodź jeszcze spać!

- Tak, Dziadku.

Dał chłopcu lekkiego kuksańca i ruszył przez dżonki po pomostach z desek, ale na trzeciej zatrzymał się.

- Poon Ładna Pogoda? - zawołał.

- Tak... Co jest? - odezwał się zaspany głos. Stary mężczyzna leżał

skulony na starych workach.

i - Zwołaj wszystkich kapitanów. Wróć za dwie godziny. ; Poon natychmiast się rozbudził.

- Wypływamy? - zapytał.

- Nie. Wróć za dwie godziny. Zbierz kapitanów!

Wu ruszył dalej i szedł na swój osobisty sampan. Spojrzał na ląd. Syn stał obok wielkiego czarnego rollsa ze szczęśliwą ósemką na tablicy rejestracyjnej. Wu kupił samochód wraz z szoferem w liberii i ochroniarzem -

Tokiem Dwie Siekiery - za 150 000 dolarów hongkongijskich na aukcji rządowej. Jak zwykle z zadowoleniem patrzył na maszynę. Oczywiście nie był jedynym mieszkańcem wioski na wodzie, który posiadał własnego rollsa. Jednak zgodnie ze zwyczajem jego zawsze był największy i najnowszy. Ósemka, *baat*, przynosiła najwięcej szczęścia i rymowała się z *faat*, czyli „wystawne życie”.

Poczuł podmuch wiatru i zaniepokoił się. *liiii*, to był zły dzień, ale jutro będzie gorszy.

Czy ten psubrat John Czen uciekł do Złotego Kraju, czy naprawdę został porwany? Bez tego kawałka gówna nadal zostają na łasce tai-pana. A już się tym zmęczyłem. 100 000 nagrody za odnalezienie Johna Czena to dobrze zainwestowane pieniądze. Dałbym tuzin razy tyle, żeby dostać Czena i tę przeklętą monetę. Dzięki, o bogowie, że chociaż gospodyni Czenów mi donosi.

Machnął ręką w stronę brzegu.

- Prędko, człowieku - polecił wiosłarzowi. - Mam wiele do zrobienia przed świtem!

294

19

14:23

Dzień był gorący i parny, na niebie zaczynały gromadzić się chmury.

Zarówno na zewnątrz, jak i w środku budynku filii banku Ho-Pak w Aberdeen już od wczesnego rana kłębił się tłum rozgadanych i spoconych ludzi.

- Szlachetny Sung, nie mam pieniędzy na wypłaty - szepnęła wystraszona kasjerka, jej schludny *czong-sam* przesiąkł potem.

- Ile potrzeba?

- Dla klienta Tok-sing siedem tysięcy czterysta pięćdziesiąt siedem dolarów, ale oprócz niego czeka jeszcze piętnaście osób.

- Proszę wracać do okienka - polecił zdenerwowany dyrektor. - Niech pani gra na zwłokę i udaje, że sprawdza stan konta. W oddziale głównym przysięgają, że już godzinę temu wysłali pieniądze... może korki na ulicy...

Proszę wracać do okienka, panno Pang. - Zamknął za nią drzwi i ogromnie zdenerwowany podszedł do telefonu. - Proszę ze Szlachetnym Richardem Kwangiem. Tylko szybko...

Od czasu otwarcia banku punktualnie o dziesiątej czterysta albo pięćset osób pchało się do jednego z trzech okienek i żądało wypłaty wszystkich oszczędności. A gdy już ktoś dostał do ręki swoje pieniądze, błogosławiąc *dżos*, wycofywał się i znów wychodził na światło dzienne.

Podobnie rzecz się miała ze skrytkami depozytowymi. Ich właściciele jeden po drugim schodzili do podziemia w asyście urzędnika i oddychali z ulgą.

Urzędnik kładł swój kluczyk obok kluczyka klienta i odchodził. Spocony klient błogosławił w samotności bogów i *dżos* za to, że pozwoliły mu znaleźć się w gronie szczęśliwców. Potem trzęsącymi się dłońmi wyjmował pieniądze, złoto, klejnoty lub inne skarby, chował do teczki bądź papierowej torby albo do portmonetki. I uświadamiał sobie, że całe jego bogactwo, cała radość stają się podatne na kradzież i utratę, więc nerwowo wymykał się, aby poszukać nowego miejsca ukrycia.

Kolejka zaczęła się formować na długo przed świtem. Wu Cztery Palce i jego ludzie zajęli pierwszych trzydzieści miejsc. Wieść o tym szybko rozeszła się po dzielnicy, więc wkrótce dołączyli inni i w niedługim czasie zrobił się tłok. Około dziesiątej tłum stał się agresywny, toteż spokoju musiało pilnować kilku opanowanych i rozważnych policjantów w mundurach. Około południa na pobliskiej ulicy zatrzymały się policyjne furgonetki z oddziałem wyszkolonym do tłumienia zamieszek. Dowodzili Europejczycy.

W kolejce stali przeważnie miejscowi rybacy, Haklo i kantończycy. W

Hongkongu urodził się może jeden na dziesięciu wyczekujących pod bankiem.

Reszta to emigranci z Chińskiej Republiki Ludowej, czyli Pań-

stwa Środka, jak nazywają swój kraj. W Hongkongu znaleźli się po ucieczce przed komunistami, nacjonalistami, głodem lub odwieczną nędzą. Gdy Hongkong stał się kolonią, nie zmieniły się proporcje ludności i nadal dziewięćdziesiąt osiem procent mieszkańców stanowili Chińczycy.

Każdy wychodzący z banku powtarzał, że dostał wszystkie pieniądze.

Niemniej obawy oczekujących na zewnątrz nie malały. Wszyscy pamiętali zeszłoroczny krach, straty, oszustwa, korupcję. I wszyscy mieli świadomość, jak łatwo, niezależnie od tego, czy panują komuniści, nacjonaści, gubernator czy ktoś inny, mogą ulotnić się ich całe życiowe oszczędności. Nic się nie zmienia od czterech tysięcy lat.

Większość przeklinała swoje uzależnienie od banku, ale musieli deponować pieniądze w jakimś bezpiecznym miejscu, bo w życiu różnie bywa, a poza tym złodziei jest tyle co much. *Dew neh loh moh* na wszystkie banki, mówili, to wymysł diabła... obcych diabłów! Tak. Przed przybyciem białych do Państwa Środka nie istniały tu pieniądze papierowe, ale prawdziwe: srebrne, złote albo miedziane - przeważnie srebrne i miedziane - i zawsze było wiadomo, że takim pieniądzom nic się nie stanie. A ten papier? Mogą go zjeść szczury albo nawet ludzie. Papierowe pieniądze to kolejny

wymysł obcych diabłów. Zanim oni tu przybyli, w Państwie Środka żyło się dobrze.

A teraz? *Dew neh loh moh* na wszystkie obce diabły!

O ósmej rano zaniepokojony dyrektor banku zadzwonił do Richarda Kwanga.

- Ależ Szlachetny Panie, już czeka około pięciuset ludzi, a kolejka ciągnie się aż do brzegu.

- Nie szkodzi, Szlachetny Sung! Płaćcie tym, którzy chcą pieniędzy. Nie martw się! Mówcie każdemu, że jest niepotrzebnie przesądny. Ale tym, co będą nalegać, wypłacajcie. Ho-Pak jest równie silny jak Blacs i Victoria!

Wierutne kłamstwo, że wpadliśmy w tarapaty. Wypłacajcie! Dokładnie sprawdzajcie książeczki oszczędnościowe, nie spieszcie się. Postępujcie rozsądnie!

A zatem dyrektor przekazał kasjerkom, aby próbowały przekonywać klientów, że nie ma powodów do niepokoju, że fałszywe plotki rozsiewają źli ludzie.

- Oczywiście może pan odebrać swoje pieniądze, ale proszę nie...

- *Aiii ia*, dawaj pieniądze - odezwał się następny w kolejce. - Ona chce pieniędzy, ja chcę pieniędzy, to samo mój szwagier i moja ciocia. *Aiii ia*, nie mam czasu stać tu cały dzień! Muszę płynąć w morze. Taki wiatr, niedługo przyjdzie sztorm, a ja muszę złapać...

1 bank zaczął wypłaty. W całości.

Jak wszystkie banki Ho-Pak przeznaczał zdeponowane pieniądze na wszelkiego rodzaju kredyty. W Hongkongu regulowało tę sprawę kilka praw

296

i rozporządzeń. Niektóre banki pożyczają aż osiemdziesiąt procent pieniędzy, ponieważ miały pewność, że nigdy wszyscy klienci nie przyjdą po swoje pieniądze jednocześnie.

Chyba że tego dnia w Aberdeen. Na szczęście była to tylko jedna filia z osiemnastu w całej kolonii. Ho-Pak dotychczas wiele nie ucierpiał.

Dyrektor oddziału w Aberdeen jeszcze trzykrotnie dzwonił do oddziału głównego po pieniądze. I dwukrotnie po radę.

Minutę po dziesiątej Wu Cztery Palce usiadł z Paulem Czojem za biurkiem dyrektora. Z tyłu stał Tok Dwie Siekiery.

- Chce pan zlikwidować wszystkie konta w Ho-Pak? - zapytał roztrzęsiony Sung.

- Tak. Natychmiast - zażądał Wu, a Paul potwierdził skinieniem głowy.

- Ale nie mamy... - zaczął niepewnie dyrektor.

Wu syknął.

- Chcę pieniędzy, ale to już. Gotówka albo złoto. Natychmiast. Rozu miesz?

Sung uklonił się. Wybrał numer do Richarda Kwanga i wyjaśnił pokrótce, o co chodzi.

- Tak, tak, Panie. - Podał słuchawkę. - Szlachetny Kwang chce z tobą rozmawiać, Szlachetny Wu.

Jednak stary żeglarz nie chciał słuchać żadnych argumentów. -Nie. Teraz.

Pieniądze moje i moich ludzi. Z innych kont też, z tych... eee... specjalnych to samo.

- Ale w tym oddziale nie ma takiej gotówki, Szlachetny Wujku - mówił

potulnie Richard Kwang. - Z radością wystawię ci czek.

- Nie chcę czeków, tylko pieniędzy! - wybuchnął Wu. - Nie rozumiesz?

Pieniądzy! - Nie wiedział, co to jest czek, więc przestraszony Sung zaczął wyjaśniać.

- Szlachetny Wujku - wtrącił się Paul Czoj. - Tak będzie dobrze. Czek...

-Na co mi kawałek papieru zamiast pieniędzy? Chcę pieniędzy, i to już!

- Wielki Wujku, pozwól, że ja porozmawiam ze Szlachetnym Kwangiem - powiedział uspokajająco Paul, rozumiejąc problem banku. Może w czymś pomogę.

Wu skinął.

- Dobrze, ale pamiętaj: pieniądze w gotówce.

Paul Czoj przedstawił się i zaproponował:

- Może łatwiej będzie nam się rozmawiało po angielsku, sir. - Zamienili kilka zdań, a potem Paul przeszedł na haklo. - Wielki Wujku, Szlachetny Kwang wypłaci ci należność w złocie lub srebrze w oddziale głównym, da ci też paperek, z którym po resztę zgłosisz się do Blacs albo Victorii. Ale radziłbym... ponieważ nie masz sejfu, aby schować sztabki... żebyś przyjął

297

czek od Szlachetnego Kwanga. Z takim czekiem będziemy mogli natychmiast otworzyć konto w innym banku.

- Banki! Te banki to pułapki obcych diabłów na cywilizowanych ludzi!

Pół godziny zajęło Paulowi Czojowi przekonanie go. Pojechali razem do oddziału głównego, ale Tok Dwie Siekiery został z przerażonym Sungiem.

- Ty zostań tutaj, Tok - rozkazał Wu. - Jak nie dostanę swoich pieniędzy, zabierzesz je stąd.

- Tak, Panie.

Pojechali więc do centrum, a w południe Wu Cztery Palce miał nowe rachunki w Blacs i Victorii. Paula Czoja zadziwiła duża liczba kont, które trzeba było zlikwidować, a potem otworzyć od nowa. Także ilość gotówki.

Dwadzieścia milionów dolarów hongkongijskich.

Mimo przekonywań i wyjaśnień stary żeglarz nie dał się nakłonić do zainwestowania części pieniędzy w krótką sprzedaż Ho-Pak. Mówił, że to gra dla tych złodziei *quai loh*. Paul zrezygnował więc z nalegań i poszedł szukać kredytu na własną rękę.

Odkrył, że wszystkie biura maklerskie należą do Europejczyków, w zdecydowanej większości do Brytyjczyków. Ani jednego nie prowadzi Chińczyk.

Wszystkie miejsca na giełdzie zajmują Europejczycy, także przeważnie Brytyjczycy.

- Wydaje mi się, że to nie w porządku, panie Smith - oznajmił Paul Czoj.

- Och, obawiam się, panie... panie Czi?

-Czój, Paul Czój.

- Tak. Obawiam się, że miejscowych nie interesują zbyt nowocześnie, skomplikowane instytucje, takie jak giełda papierów wartościowych czy biura maklerskie. Zdaje sobie pan przecież sprawę, że większość miejscowych to imigranci. Gdy tu przybyliśmy, Hongkong był gołą skałą.

- Ale ja jestem zainteresowany, panie Smith. W Stanach maklerzy...

- Ach, Ameryka! Tam z pewnością jest inaczej, panie Czi. A teraz zechce pan mi wybaczyć... Życzę miłego dnia.

Paul Czój ze złością chodził od jednego do drugiego biura maklerskiego, ale wszędzie sytuacja powtarzała się. Wszyscy żądali od niego poręczenia ojca.

Usiadł na ławce przy Memoriał Square nie opodal sądu i rozmyślał, spoglądając na budynki Struanów, Rothwell-Gornt oraz stocznię. Potem wszedł

do biblioteki sądowej i zwrócił się do pedantycznego bibliotekarza.

- Jestem z „Sims, Dawson and Dick” - powiedział szybko - Niedawno przyjechałem ze Stanów i pracuję dla nich jako radca prawny. Chciałbym zasięgnąć informacji na temat giełdy papierów wartościowych i biur maklerskich.

298

- Chodzi panu o rozporządzenia rządowe? - zapytał starszy Euroazjata. -

Tak.

- Nie ma.

- Proszę?

- No, praktycznie nie ma żadnych. - Bibliotekarz podszedł do regału z książkami. Przyniósł opasły tom i pokazał Paulowi kilka akapitów.

- To wszystko? - zapytał ze zdziwieniem.

- Tak, sir.

Paul przeczytał wskazany fragment.

- Ależ z tego wynika, że giełda jest właściwie otwarta na wszystko i wszystko wolno.

- Tak - bibliotekarz okazywał lekkie rozbawienie - w porównaniu z Londynem czy Nowym Jorkiem... tak. Cóż, maklerem może zostać każdy, kto znajdzie kogoś chcącego sprzedawać i kupować akcje. Problem polega na tym, że... eee... istniejące firmy całkowicie panują nad giełdą.

- Jak można rozbić ten monopol?

- A po co? Nam w Hongkongu dobrze jest z tym *status quo*.

- Jak w takim razie przyłączyć się do tego, co się dzieje, i mieć na to wpływ?

- Obawiam się, że nie można, sir. Brytyjczycy całkowicie nad wszystkim panują - tłumaczył łagodnie.

- Wydaje mi się, że to nie w porządku.

Starszy człowiek pokiwał głową i delikatnie się uśmiechnął. Podobał mu się stojący przed nim Chińczyk, zazdrościł mu zarówno niewinnych myśli, jak i amerykańskiej edukacji.

- Domyślam się, że chce pan grać na giełdzie na własne konto - rzekł.

- Tak... - potwierdził Paul Czoj i zaraz starał się naprawić błąd. - W każ-

dym razie... Dawson prosił...

- Proszę dać spokój, panie Czoj, pan nie przychodzi z „Sims, Dawson and Dick” - powiedział uprzejmie.

- Gdyby zatrudnili kogoś z Ameryki, i ja, i stu innych dowiedzielibyśmy się o tym na długo przed pana przybyciem. Pan z pewnością jest sio strzeńcem wielkiego Wu Sang Fanga i wrócił pan właśnie z Harvardu.

Paul Czoj oniemiał.

- Skąd pan wie?

- Hongkong, panie Czoj, to małe miejsce. Musimy wiedzieć, co się wokoło nas dzieje, żeby przeżyć. Naprawdę chce pan grać na giełdzie?

-Tak, panie...

- Nazywam się Manuel Ferriera. Jestem Portugalczykiem z Makau. -

Bibliotekarz wyjął wieczne pióro i na odwrocie swojej wizytówki zapisał

kilka słów. - Proszę. Iszwar Surjani to stary przyjaciel. Ma biuro tu, w Ko-299

ulnie, przy Nathan Road. Jest Persem z Indii i obraca obcymi walutami, czasami także akcjami. Pomoże panu. Ale proszę pamiętać, że on udziela drogich kredytów, więc nie wolno się panu pomylić.

- Dziękuję, panie Ferriera. - Paul Czoj wyciągnął rękę. Zaskoczony Portugalczyk uścisnął ją. Czoj ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się. - Panie Ferriera. . A co do giełdy, czy jest jakiś sposób, żeby

zdobyć na niej wpływ wy?

Manuel Ferriera miał siwe włosy, wąskie dłonie i twarz Chińczyka.

Uważnie przyglądał się pełnemu zapału młodzieńcowi.

- Nie ma przeszkód, żeby utworzył pan kompanię w celu uformowania własnej, chińskiej giełdy. Byłoby to zgodne z hongkongijskim prawem, a raczej jego brakiem. Potrzeba panu tylko pieniędzy, kontaktów, telefonów, odpowiedniej wiedzy...

- Proszę o moje pieniądze - zachrypiała stara *amah*. - Oto moja książeczka oszczędnościowa. - Twarz kobiety była czerwona i spocona od żaru panującego w oddziale banku Ho-Pak w Aberdeen. Czekala od świtu, a do piętnastej brakowało tylko dziesięciu minut. Stara biała bluzka i czarne spodnie lepiły się od potu. Za jej plecami czekała jeszcze długa kolejka.

- *Aiii ia*, nie pchać się - upomniała stojących za nią ludzi. - Zaraz przyjdzie wasza kolej!

Młoda kasjerka wzięła książeczkę i po raz kolejny spojrzała na zegar. Dzięki, o bogowie, że już dochodzi trzecia, pomyślała. Mimo bólu głowy od ciągłego gwaru nieustannie napływających ludzi zastanawiała się, jak uda się zamknąć drzwi. Tłumy czekają jeszcze na zewnątrz.

Rachunek z książeczki oszczędnościowej opiewał na 323 dolary hongkongijskie i 42 centy. Zgodnie z instrukcjami pana Sunga, aby wydłużyć procedurę wypłaty i być dokładnym, poszła sprawdzić akta, starając się przy okazji odpocząć od zniecierpliwionych, często wulgarnych okrzyków. Upewniła się, że rachunek się zgadza, znów spojrzała na zegar i otworzyła kasę. Brakowało pieniędzy, więc zamknęła ją z powrotem i poszła do gabinetu dyrektora.

Zgromadzonych ludzi ogarnął gniew. Zaniepokojone oczy wędrowały to na nią, to na zegar.

Zapukała do drzwi i weszła do gabinetu dyrektora.

- Nie mogę wypłacić pieniędzy Starej Ah Tam - powiedziała bezradnie.

- Odwlekałam, jak mogłam. Mam tylko sto dolarów...

Dyrektor Sung otarł pot znad górnej wargi.

- Panno Czo, już prawie piętnasta, więc niech to będzie ostatnia klientka. - Sung zszedł z kasjerką do pomieszczenia, gdzie stał sejf. Wytrzesz czyła oczy na puste półki. O tej porze półki przeważnie ugięły się pod plikami poskładanych banknotów i papierowych rulonów z bilonem. Za-300

wsze po zamknięciu kasy sortowała pieniądze i zajęcie to lubiła najbardziej, ponieważ dotykane nowych, szeleszczących banknotów sprawiało jej radość.

- Straszne, Szlachetny Sung -jęknęła bliska łez. Grube okulary zaszyły jej mgłą.

- To tylko chwilowo, panno Czo, tylko chwilowo. Pamięta pani, co Szlachetny Haply napisał w

dzisiejszej „Guardian”? - Zdjął z półki ostatnie rezerwy, przeklinając, że nie nadjechały jeszcze posiłki. - Proszę. - Dał pięć-naście tysięcy dla niej i po piętnaście dla pozostałych dwóch kasjerek. Sejf ział pustką.

Gdy Czo szła z gotówką do okienka, wśród tłumu rozległ się pomruk.

Wręczyła pieniądze koleżankom i usiadła na swoim miejscu.

Wszyscy wpatrywali się, jak układa pieniądze w kasie. Na wierzchu zostawiła plik tysiąca dolarów. Złamała pieczęć i spokojnie odliczyła 320 dolarów, resztę uzbierała drobnymi monetami, jeszcze raz przeliczyła i wydała.

Stara kobieta schowała pieniądze do papierowej torebki, a osoba, która stała za Ah Tam natychmiast podsunęła pannie Czo swoją książeczkę.

- Proszę, na bogów, mam siedem tysięcy...

W tym samym momencie zadzwonił zegar, pojawił się nagle Sung i powiedział głośno:

- Niestety, musimy już zamykać. Wszystkie kasjerki proszę o... -jego słowa utonęły w okrzykach złości.

- Na bogów, czekam od świtu...

- *Dew neh loh moh*, jestem tu osiem godzin. -*Aiii ia*, wypłaćcie tylko mnie, wystarczy wam...

- Proszę, proszę, proszą...

Zwyczajowo po zamknięciu drzwi obsługiwano by klientów znajdujących się w środku, ale tym razem przestraszone kasjerki, cofając się przed wyciąganymi do nich rękami, zamknęły okienka i wystawiły tabliczki z napisem zamknięte.

Nagle w tłumie zrobił się zamęt.

Tych stojących najbliżej kas pchali ci z tyłu, a na nich z kolei napierali ci, którzy chcieli dostać się do środka. Krzyknęła jakaś dziewczyna przyparta do kontuaru. Puściły zamknięcia okienek będące raczej dekoracją niż ochroną.

Wszystkich ogarnął gniew. Stojący drugi w kolejce stary żeglarz próbował

otworzyć szufladę z kasetką na pieniądze. Stara *amah* starała się wydostać na zewnątrz, ale nie wytrzymała naporu tłumu i ściskając przy piersi pieniądze, upadła na podłogę. Chciała się podnieść, ale napierający ludzie tratowali ją, drąc jej *czong-sam* i pończochy. Gdy nie udało jej się wstać, zaczerpnęła tchu i histerycznie, głośno krzyknęła. Jej rozpaczliwy wrzask powstrzymał tłum.

Po chwili jednak ktoś zawołał:

- Zabić tego syna ladaczniczy!...

I okrzyk został podchwycony.

-Zabić!!! Zabić!!!

Po chwili wahania wszyscy jak jeden mąż ruszyli naprzód.

- Stop!

Wypowiedziane najpierw po angielsku, a potem w haklo i po kantońsku magiczne słowo ostudziło atmosferę.

Zapanowała nagle, głęboka cisza.

Przed tłumem z megafonem w dłoni stał spokojny, nie uzbrojony inspektor policji w mundurze. Wszedł tylnymi drzwiami od strony kas.

- Jest godzina piętnasta - odezwał się w haklo. - O piętnastej zgodnie z prawem trzeba bank zamknąć. Już jest zamknięty. Proszę się spokojnie rozejść i wracać do domu.

Nadal panowała cisza, czuło się narastającą wściekłość, aż ktoś burknął

ponuro:

- A co z moimi przeklętymi pieniędzmi?... - Inni podchwycili słowa i zaczęli krzyczeć. Wtedy policjant szybkim, zdecydowanym krokiem, bez cienia strachu, podszedł do prowodyra. Tłum się cofnął.

- Jutro - zapowiedział uprzejmie policjant, patrząc na niego z góry. -

Wszyscy dostaniecie pieniądze jutro. - Bliskość obcego diabła zdwoiła nienawiść w oczach człowieka z tłumy, ale cofnął się o krok.

Policjant rozglądał się po zgromadzonych, patrząc każdemu w oczy.

- Hej, ty tam z tyłu - powiedział do wybranego człowieka. - Odwróć się i zrób innym przejście.

I człowiek ten wypełnił polecenie. Ogarnięty furią tłum znów zamienił

się w niezadowolonych klientów. Po chwili wahania kolejny człowiek zaczął

się przepychać do drzwi.

- *Dew neh loh moh*. Nie mam czasu, śpieszę się - warknął.

Wszyscy zaczęli wychodzić, przeklinając pod nosem, ale każdy z osobna, nie jako tłum. Sung i kasjerki otarli pot z czoła, a potem roztrzęsieni usiedli za kontuarem.

Inspektor pomógł wstać starej *amoh*. Strużka krwi płynęła jej z kącika ust.

- Nic pani nie jest, Starsza Damo? - zapytał w hakło.

Patrzyła na niego tępo. Powtórzył po kantońsku.

- Anie, nie... - odparła zachrypłym głosem. Pieniądze nadal trzymała kurczowo przyciśnięte do piersi.
- Dziękuję, Szlachetny Panie. - Zmieszała się z tłumem i zniknęła. Hol bankowy pustoszał. Anglik wyszedł za ostatnią osobą na chodnik i bezgłośnie pogwizdując, patrzył na odchodzących.

- Sierzancie!

- Tak jest.

302

- Może pan zwolnić ludzi. Bądźcie tutaj jutro o dziewiątej rano. Ustawcie barierki i wpuszczajcie klientów do banku trójkami. Wystarczy pan i jeszcze czterech ludzi.

- Tak jest. - Sierżant zasalutował. Inspektor wrócił do banku, zamknął

drzwi na zasuwkę i uśmiechnął się do dyrektora.

- Parne popołudnie dziś mamy, prawda? - zagadnął po angielsku do Sunga, schlebiając mu, ponieważ wszyscy wykształceni Chińczycy byli dumni ze znajomości tego międzynarodowego języka.

- Tak - odparł zdenerwowany. Bardzo lubił inspektora, ale teraz po raz pierwszy w życiu zobaczył *quai loh* ze Złym Okiem, *quai loh* ośmielającego się wyjść naprzeciw rozjuszonemu tłumowi i stanąć tam jak zły demon, zadowolony, że trafiła się okazja, by zionąć ogniem.

Sung wzdrygnął się.

- Dziękuję, inspektorze.

- Chodźmy do biura, muszę wziąć od pana oświadczenie.

- Tak, proszę. - I zwrócił się do reszty personelu: - Proszę uzupełnić księgi.

Zaprowadził inspektora do biura, poprosił, by zajął miejsce, i zapytał z ukłonem:

- Herbaty?

- Nie, dziękuję. - Inspektor Donald CC. Smyth był dobrze zbudowany, miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, bujne włosy, niebieskie oczy i ogorzałą od słońca twarz. Wyjął kilka

dokumentów i położył je na biurku. -

To rachunki moich ludzi. Jutro o dziewiątej proszę im wypłacić pieniądze.

Wejdą od tyłu, dobrze?

- Tak, oczywiście. Będę zaszczycony. Ale stracę twarz, jeśli odejdzie tak wielu cennych klientów. Bank jest w tak samo dobrej kondycji jak wczoraj.

- Oczywiście. Jutro o dziewiątej. Wypłaty w gotówce. - Podał kolejne dokumenty oraz cztery książeczki oszczędnościowe. - A za tych odbiorę teraz czek gotówkowy.

- Ależ inspektorze... Dzisiejszy dzień był wyjątkowy. Ho-Pak nie ma kłopotów. Z pewnością mógłby...

- Poproszę o czek. - Uśmiechnął się. - Ze wszystkimi podpisami.

Sung spojrział na książeczki. Należały do Chińczyków, o których wiedział, że są pełnomocnikami pełnomocników człowieka o przezwisku Wąż.

Rachunki opiewały na blisko 850 000 dolarów hongkongijskich. Tylko w tym oddziale, pomyślał. Pozostawał pod wrażeniem przebiegłości Węża. A ile jeszcze ma w Blacs i Victorii...

- Dobrze - westchnął. - Ale przykro mi, że bank traci tylu klientów.

- Nie upadnie od tego cały Ho-Pak? - Inspektor znów się uśmiechnął.

303

- O nie - zaprzeczył poruszony Sung. - Mamy aktywa o wartości mi liarda dolarów hongkongijskich i dziesiątki milionów rezerw gotówko wych. A ci ludzie przestraszyli się plotki. Czytał pan kolumnę Haply'ego w „Guardian”?

-Tak.

- A zatem to tylko złośliwe pogłoski rozsiewane przez zazdrosnych tai-panów i inne banki! Jeśli ustaleń dokonał Haply, to z pewnością są prawdziwe.

- Naturalnie. Troszkę mi się spieszy.

- Tak, oczywiście. Załatwię sprawę od ręki. Czytałem w gazecie, że złapaliście jednego z tych Wilkołaków.

- Podejrzewamy triadę, panie Sung, ale tylko podejrzewamy.

Sung wzruszył ramionami.

- Co za diabły! Ale złapiecie ich... Żeby wysyłać ucho! To na pewno

; obcokrajowcy. Proszę, oto czek...

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł kapral i zasalutował.

- Przepraszam, sir, ale przyjechała bankowa furgonetka. Mówią, że są z oddziału głównego Ho-Pak.

- *Aiii ia* - powiedział z ulgą Sung. - Jak zwykle po czasie. Mieli być o drugiej. Dostawa pieniędzy.

- Ile? - zapytał Smyth.

- Pół miliona - odpowiedział kapral, wręczając kwit. Był niski, miał

rozbiegane oczy.

- Dobrze - powiedział Smyth. - Na to pan czekał, panie Sung, prawda?

- Tak, tak. - Zobaczył wpatrzony w siebie oczy obydwu i dodał natychmiast: -

Jeśli pan pozwoli, zadzwonię do pana Richarda Kwanga od razu. Z pewnością byłby zaszczycony, podobnie jak ja, gdyby przyjął pan w podzięcie pewną sumę na dobrowolny fundusz policji.

- Bardzo miło z pana strony, ale to niekonieczne.

- Jeśli pan nie przyjmie, będzie to straszna utrata twarzy.

- Bardzo pan uprzejmy - powiedział inspektor, wiedząc, że bez jego obecności zarówno Sungowi, jak i kasjerkom groziła śmierć. - Dziękuję, ale to niekonieczne. - Zabrał czek i wyszedł.

Sung namawiał także kaprala, który po dłuższej chwili przysłał swojego zwierzchnika, sierżanta Moka. Ten również odmówił.

Jednak Sung nalegał. Twierdził, że Richard Kwang byłby wielce zaszczycony, gdyby sierżant przyjął podarunek w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów hongkongijskich. W gotówce. Oraz wielkie podziękowania banku.

- Dziękuję, Szlachetny Dyrektorze Sung - powiedział uprzejmie Mok, biorąc pieniądze. Był pod wrażeniem, ponieważ dwadzieścia tysięcy to do kładnie taka suma, jaką Wąż uznał za cenę dzisiejszej akcji. - Mam nadzie-304

ję, że bank będzie wypłacalny i dzięki swojej roztropności przejdzie przez tę burzę. Jutro o dziewiątej przyjdziemy po pieniądze...

Stara *amah*, łapiąc łapczywie oddech, by uspokoić skołatane serce, siedziała na ławce przy ścianie stoczni. Bolały ją żebra, ale to normalne, po-myślała. *Dżos*.

Nazywała się Ah Tam. Już miała wstawać, gdy przysiadł się do niej młodzieniec.

- Siadaj, Stara Kobieto, porozmawiamy. - Był niski, wyglądał na dwadzieścia lat, twarz pokrywały mu małe blizny po ospie. - Co masz w torebce?

- Co? W jakiej torebce?

- W tej papierowej, schowanej w łachmanach.

- W tej? Nic, Szlachetny Panie. To na skromne zakupy...

Przysunął się do niej i syknął:

-Cicho, Stara Hag! Widziałem, jak wychodziłaś z tego przeklętego banku.

Ile tam masz?

Kobieta ścisnęła kurczowo torebkę. Zamknęła z przerażenia oczy i westchnęła.

- To moje wszystkie oszczędności, Szła...

Wyrwał jej torebkę i otworzył.

-*Aiii ia.* - Przeliczył zniszczone banknoty. - Trzysta dwadzieścia trzy -

prychnął. - U kogo jesteś *amah'*? U żebraka? Nic najlepiej sobie w życiu radziłaś.

- O tak, Szlachetny Panie, święta prawda! - Patrzyła na niego malutkimi oczkami.

- Biorę dwadzieścia procent *h'eungyau* - powiedział i zaczął odliczać banknoty.

- Ależ Szlachetny Panie! - zaprotestowała piskliwie. - Dwadzieścia procent to za dużo, ale będę zaszczyczona, dając pięć i podziękowania biedaczki.

- Piętnaście!

- Sześć!

- Dziesięć, to moje ostatnie słowo. Nie mam czasu!

- Ale, sir, pan jest młody i silny, na pewno czterysta osiemdziesiąt dziewięć. A silny musi chronić biednych.

- Prawda, prawda. - Zastanowił się chwilę. - Dobrze, siedem procent.

- Ależ pan łaskawy, sir. Dziękuję, dziękuję. - Rozradowana patrzyła, jak młodzieniec odlicza dwadzieścia dwa dolary, a potem sięga do kieszeni dzinsów i oddaje jej sześćdziesiąt jeden centów.

-
Proszę. - Oddał jej drobne i resztę pieniędzy z banku.

Podziękowała mu zadowolona z utargowanego upustu. O bogowie, my ślała, siedem procent, chociaż nawet piętnaście byłoby uczciwie.

305

- Też masz złożone pieniądze w Ho-Pak, Szlachetny Panie? - grzecznie zapytała.

- Oczywiście - młodzieniec odpowiedział z taką powagą, j akby to była prawda. - Moje Bractwo od lat ma tam swoje konto. Mamy... - podwoił pierwotnie pomyślaną sumę - mamy ponad dwadzieścia pięć tysięcy tylko w tym oddziale.

- Iiiii. Jesteście bogaci! Jak tylko cię zobaczyłam, pomyślałam, że jesteś z 14K... No i Szlachetny czterysta osiemdziesiąt dziewięć.

- Nawet czymś więcej - pysznił się chępliwie młodzieniec. - Jestem... -

zamilkł, przypomniawszy sobie, że przywódca nakazał im ostrożność, i nie powiedział: jestem Kin Sop-ming, Kin Znak Ospy, i jestem jednym z czterech sławnych Wilkołaków. - Uciekaj już, kobieto, mam ważniejsze sprawy niż rozmowa z tobą.

Wstała, ukloniła się i wtedy jej wzrok padł na mężczyznę, który stał przed nią w kolejce. Tak samo jak ona pochodził z Kantonu. Prowadził sklep i stragan na targu w Aberdeen.

- Dobrze - zachrypiała. - Ale widzę dla ciebie jeszcze jednego klienta. Stał przede mną. Wyjął osiem tysięcy.

- Gdzie? Który to? - natychmiast zapytał młodzieniec.

- Piętnaście procent dla mnie.

- Siedem. Ostatnie słowo. Siedem.

- W porządku. Siedem. Patrz, to tamten - szepnęła. - Ten grubas spasiony jak mandaryn, ten, co się tak bardzo poci.

- Widzę. - Młodzieniec wstał i szybko poszedł za ofiarą. Zaczepił go koło rogu. Mężczyzna zeszywniał ze strachu i błogosławiąc swoją przebiegłość, zapłacił szesnaście procent. Młodzieniec wrócił do Ah Tam.

- Proszę, Stara Kobieto - powiedział. - Ten psubrat miał osiem tysięcy sto sześćdziesiąt dwa dolary. Szesnaście procent to...

- Tysiąc trzysta pięć dolarów dziewięćdziesiąt dwa centy, a moje siedem procent to dziewięćdziesiąt jeden dolarów czterdzieści jeden centów - odparła w jednej chwili.

Zapłacił jej dokładnie tyle, ile chciała. Zgodziła się przyjść następnego dnia, aby pomóc mu w interesach.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Ah Su, Szanowny Panie - podała fałszywe nazwisko. - A ty?

- Mo Wu-fang - posłużył się nazwiskiem przyjaciela.

- Do jutra - pożegnała się uszczęśliwiona. Podziękowawszy mu jeszcze raz, odeszła zadowolona ze swojego zysku.

Jego zysk również wyniósł dużo. Teraz miał w kieszeniach ponad trzy tysiące, podczas gdy rano brakowało mu nawet na autobus. Był to dla niego zarobek okazyjny, ponieważ do Aberdeen przybył z Glessing Point, aby nadać kolejną przesyłkę do Czenów z Noble House.

306

- Żeby było bezpieczniej - zdecydował jego ojciec, ich przywódca -

zostawimy przekłętą policję fałszywy ślad.

- Ale to już nie przyniesie pieniędzy - odparli z niezadowoleniem inni. -

Jak możemy zwrócić im przekłętą syna, skoro leży martwy pod ziemią?

Zapłacą bez dowodu na to, że żyje? Pewnie, że nie! Nie trzeba go było walić łopata.

- Przecież próbował uciekać! - protestował jeden z braci.

- Prawda, Młodszy Bracie. Ale po pierwszym uderzeniu jeszcze żył, miał

tylko rozwaloną głowę. Mogłeś na tym poprzestać!

- Tak bym zrobił, ale wstąpił we mnie zły duch i uderzyłem go jeszcze raz. W sumie dostał cztery razy! Iiiii, ci delikatnie mają takie miękkie czaszki!

- Tak, masz rację - przyznał się ojciec. Był niski, łysy, miał wiele złotych zębów, nazywał się Kin Min-ta. Łysy Kin. - *Dew neh loh moh*, ale stało się i nie ma co tego rozpamiętywać. *Dzos*. Jego wina, że chciał uciekać!

Czytaliście poranne wydanie „The Timesa”?

- Nie, Ojcze - odpowiedzieli.

- O, macie tu, ja wam przeczytam: „Komendant policji oświadczył dzisiaj, że aresztowano członka triady, który jak się podejrzewa, jest jednym z Wilkołaków, członkiem groźnego gangu przestępców, którzy uprowadzili Johna Czena. Władze spodziewają się, że sprawa ta zostanie lada moment rozwiązana”.

Wszyscy - dwaj bracia, ich ojciec oraz bardzo dobry przyjaciel Czen Psie Ucho, Pun Po Czen - zarechotali radośnie, ponieważ dobrze wiedzieli, że to nieprawda. Żaden z nich nie należał do triady ani nawet nie miał kontaktów z nią. I żaden z nich nigdy wcześniej nie został zatrzymany za jakiegokolwiek przestępstwo, chociaż mieli swoje Bractwo, a ich ojciec prowadził od czasu do czasu mały gang zajmujący się hazardem w North Point. To właśnie on jako pierwszy zaproponował uprowadzenie, liii, mądrze to zaplanowałem, wspominał. A gdy John Czen pechowo zabił się, próbując ucieczki, także ojciec wpadł na pomysł, aby uciąć i wysłać ucho.

- Odmieni się nasz zły *dżos*. „Zabij jednego, aby wystraszyć tysiące!”.

Jak wyślemy ucho, sterroryzujemy cały Hongkong, staniemy się sławni i bo gaci!

Tak, pomyślał Kin Znak Ospy, wygrzewając się na słońcu w Aberdeen.

Ale na razie nie zdobyliśmy bogactwa. Czyż nie mówiłem ojcu dziś rano:

- Nie mam zamiaru iść taki kawał, żeby wysłać list, Ojczy. Naprawdę uważam, że dobrze to wymyśliłeś, jak sam Humphrey Bogart, ale mimo to sądzę, że nie dostaniemy okupu.

- Nic się nie martw, tylko słuchaj! Mam nowy plan wart samego Ala Capone. Poczekamy jeszcze kilka dni, a potem zadzwonimy do Czena z No-307

ble House. Jeśli nie dostaniemy natychmiast gotówki, porwiemy samego honorowego doradcę! Samego Wielkiego Skąpca Czena! Wszyscy w osłupieniu wpatrywali się w niego.

- Tak, jeśli myślicie, że nie zapłaci szybko, po tym jak dostał ucho syna, to... Możemy mu wykopać nawet całe ciało, *heya?*

Kin Znak Ospy uśmiechnął się, wspominając, jak wszyscy zaczęli chichotać.

Trzymali się za brzuchy i śmiali do rozpuku, tarzając się po podłodze czynszowego mieszkania.

- A teraz przejdźmy do interesów. Czen Psie Ucho, znów potrzebujemy twojej rady. - Czen Psie Ucho był dalekim krewnym Johna Czena i pracował dla niego jako dyrektor jednego z licznych przedsiębiorstw. - Informacje o synu sprawdziły się co do joty. Może mógłbyś powiedzieć nam coś na temat ojca?

- Oczywiście, Szlachetny Przywódco, to łatwe - odparł Czen Psie Ucho. - On ma mnóstwo nawyków i łatwo go zastraszyć. Tak samo jak jego *tai-tai*. *Aiii ia*, ta ładaczka wie, po której stronie łóżka śpi! Zapłaci szybko, żeby go mieć z powrotem. Tak, sądzę, że będzie chciał z nami współpracować. Tylko że musimy podać sumę dwa razy taką, jak ustaliliśmy, bo z niego świetny negocjator. Całe życie pracowałem dla przeklętego Domu Cze-nów i wiem, co to za skąpiec.

- Doskonale. A teraz, na bogów, kiedy i jak możemy uprowadzić samego Czena?

20 16:01

Sir Dunstan Barre został przyjęty w biurze Richarda Kwanga z należnym mu szacunkiem. Budynek Ho-Pak znajdował się w śródmieściu przy Ice House Street, był niewielki i skromnie wyposażony. Podobnie jak we wszystkich chińskich biurach, także i tutaj gabinet urządzono tak, aby służył wyłącznie do pracy, a nie na pokaz. Przeważnie jedno biuro stanowiło siedzibę dwóch, a czasem trzech firm korzystających z tych samych telefonów i sekretarek. I co w tym złego? - pytali rozsądni. Płacenie o dwie trzecie świadczeń mniej oznaczało większy zysk przy takim samym nakładzie pracy.

Richard Kwang jednak nie dzielił biura z nikim. Wiedział, że to nie spodobałoby się klientom *quai loh*, a kilku z nich było dla banku naprawdę ważnych. Poza tym oszczędzanie na takich drobiazgach mogłoby przynieść mu 308

utrąę twarzy oraz poparcia w dziedzinach nie związanych bezpośrednio z biznesem. Na przykład w superekskluzywnym klubie jeździeckim albo hongkongijskim klubie golfowym, albo w klubie krykietowym.

- Witaj, Dunstan - powiedział uprzejmie. - Co u ciebie?

- Dziękuję, w porządku. A u ciebie?

- Też. Porządnie rozgrzałem dzisiaj konia na treningu.

- O, ja też byłem na torze.

- Tak? Nie widziałem cię.

- Wpadłem tylko na kilka minut. Mój wałach ma gorączkę. Może się zdarzyć, że nie wypuścimy go w sobotę. Ale Butterscotch Lass naprawdę fruwała rano.

- Ma szanse na pobicie rekordu toru. Zobaczymy się w sobotę.

- Skontaktuję się z tobą przed wyścigiem. Wtedy mi wszystko o niej opowiesz. Tym trenerom i dżokejom nie można ufać, no nic? Obojętnie, czy twoim, czy moim.

Gawędzili jeszcze chwilę i Barre przeszedł do rzeczy.

Richard Kwang usiłował nie okazywać wstrząsu.

- Zamknąć wszystkie rachunki twojej korporacji?

- Tak, stary. Dzisiaj. Przykro mi, ale moja rada uważa, że teraz jest wła-

ściwy moment, dopóki jeszcze...

-Nie myślisz chyba, że naprawdę znaleźliśmy się w jakichś kłopotach? -

Richard Kwang roześmiał się. - Czytałeś Haply'ego w „Guardian”?” „Złośliwe kłamstwa rozsiewane przez pewnych tai-panów i pewne duże banki”...

- Tak, czytałem. To znowu tania sensacja. To śmieszne. Po co ktoś miał-

by rozsiewać plotki? Rano rozmawiałem z Paulem Havergillem i z Southerbym. Powiedzieli, że Haply powinien tym razem uważać, bo może się dopuścić oszczerstwa. Chłopakowi trzeba by przetrzepać skórę! No, ale... Chciałbym czek gotówkowy. Przykro mi, ale wiesz jak to jest z tymi radami.

- Tak, wiem. - Uśmiech nic zniknął z twarzy Kwanga, ale w duszy nienawidził tego człowieka jeszcze bardziej niż zwykle. Wiedział, że decyzja rady zależy w głównej mierze od Barre'a. - Nie mamy żadnych problemów.

Obracamy miliardami. A w Aberdeen działo się dzisiaj tak dlatego, że tam pieniądze trzymają głównie przesądni miejscowi.

- Tak. - Barre przyglądał się uważnie rozmówcy. - Słyszałem, że jakieś problemy pojawiły się też po południu w Mong Kok, także w Tsim Sza Tsui...

W Sza Tin na Nowych Terytoriach, a nawet, uchronń Boże, na Lan Tao. -Lan Tao to oddalona o sześć mil na wschód od Hongkongu mała wyspa należąca do archipelagu złożonego z trzystu innych, jeszcze mniejszych wysepek, przeważnie ze względu na brak wody - bezludnych.

- Kilku klientów wyciągnęło oszczędności - powiedział lekceważąco Richard Kwang. - Nic wielkiego.

309

A jednak kłopoty były faktem. Wiedział o tym i obawiał się, że są tego świadomi już wszyscy. Zaczęło się od Aberdeen. Potem wraz z upływem dnia zaczęli dzwonić coraz to nowi zaniepokojeni dyrektorzy. W całej kolonii mieli osiemnaście oddziałów. W czterech doszło do masowych wypłat. W Mong Kok, przeludnionej dzielnicy Koulunu, kolejka ustawiła się zaraz po południu.

Wszyscy chcieli z powrotem swoje pieniądze. Nigdzie nie doszło do takiej sytuacji jak w Aberdeen, ale to, co się działo, wskazywało na symptomy utraty zaufania. Richard Kwang potrafił zrozumieć, że słysząc, iż Wu Cztery Palce zamknął rachunek, wieśniacy pośpiesznie wycofywali oszczędności, ale dlaczego w Mong Kok? I dlaczego na Lan Tao? Dlaczego w Tsim Sza Tsui - najbardziej dochodowym, znajdującym się nie opodal przystani Golden Ferry oddziale, gdzie codziennie z i do Hongkongu przechodzi sto pięćdziesiąt tysięcy osób?

To z pewnością jakaś intryga!

Czy stoi za tym mój największy rywal, Uśmiechnięty Czing? A może te psubraty, te zawistne psubraty z Blacs albo Victorii?

Czy ta Cienka Rura z Łajnem Havergill rozpoczął atak? Albo ten So-utherby z Blacs? Zawsze mnie nienawidził. Ach, ci cholerni *quai loh*! Tylko dlaczego na mnie napadają? Oczywiście, jestem o wiele lepszym bankierem i tego mi zazdroszczą, ale prowadzę interesy tylko z cywilizowanymi ludźmi, a takie niewiele ich obchodzą. A zatem z jakiego powodu? A może mimo moich starań przedostała się do opinii publicznej wiadomość, że moi współpracownicy z banku mają zastrzeżenia do tego, że udzielam niskoprocentowych kredytów na produkcję i daję duże odsetki od krótkoterminowych lokat?

Richardowi chciało się wyć i rwać włosy z głowy. Jego tajnymi współpracownikami byli Lando Mata i Tung Zaciśnięta Pięść, obydwaj będący głównymi udziałowcami w hazardzie oraz handlu złotem w Makau, a oprócz nich spadkobiercy Szmuglera Mo, który dziesięć lat temu pomógł założyć i sfinansować bank.

- Czytałeś poranne przepowiednie Starego Ślepego Tunga? - zapytał

z uśmiechem.

- Nie, a co tam ciekawego?

Richard Kwang odszukał gazetę.

- Wszystko wskazuje na to, że gotowi jesteśmy na boom. Wszędzie na niebie pojawiają się szczęśliwe ósemki, a mamy ósmy miesiąc roku, a ósme go dnia ja obchodzę urodziny...

Barre przeczytał całą kolumnę. Chociaż nie wierzył we wróżby, za długo mieszkał w Azji, aby je całkowicie lekceważyć. Serce zabiło mu mocniej. W

Hongkongu darzono Starego Ślepego Tunga ogromnym szacunkiem.

- Jeśli mu wierzyć, znajdujemy się u progu największego boomu w historii świata - stwierdził Richard Kwang.

310

- Zwykle bywa ostrożniejszy. *Aiii ia*, dobrze by było, *heya*?

- Lepiej niż dobrze. Ale na razie, stary, zakończmy naszą sprawę, dobrze?

- Oczywiście. Wszystko to tajfun w muszli ostrygi, Dunstan. Jesteśmy silniejsi niż kiedykolwiek, nasze akcje trzymają się mocno. - Zaraz po otwarciu giełdy pojawiło się mnóstwo niewielkich ofert sprzedaży, co, gdyby nie natychmiastowa reakcja, doprowadziłoby do nagłego spadku ceny. Richard Kwang bezzwłocznie polecił swoim maklerom ciągły skup akcji. To posunię-

cie ustabilizowało kurs. Przez cały dzień musiał kupić prawie pięć milionów akcji, niesłychaną sumę

jak na jeden dzień. Żaden z jego ekspertów nie potrafił

określić, który z potężniejszych inwestorów pozbywa się swoich udziałów.

Gdyby nie wycofanie się Wu Cztery Palce, nie byłoby właściwie podstaw do obawy o utratę zaufania. A niech wszystkie bóstwa przeklną tego starego diabła i jego cwane siostrzeńca z Harvardu! - Kto nie...

Zadzwonił telefon.

- Przepraszam na chwilkę. - A potem do słuchawki: - Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

- Dzwoni pan Haply z „Guardian”, twierdzi, że ma bardzo ważną sprawę -

powiedziała sekretarka, a jednocześnie bratanica, Mary Jok. - Dzwoniła też sekretarka tai-pana. Zebranie rady nadzorczej Nelson Trading odbędzie się dzisiaj o piątej. Pan Mata dzwonił i powiadomił, że też chciałby przybyć.

Serce Richarda Kwanga zamarło. Dlaczego? - zadawał sobie pytanie. *Dew neh loh moh*, przecież miało być przeniesione na przyszły tydzień. *Oh ko*, dlaczego? Potem doszedł do wniosku, że zada to pytanie Haply'emu. Uznał

jednak, że nie powinien tego robić w obecności Barre'a.

- Zadzwonię do niego za pięć minut. - Uśmiechnął się do gościa. - Słuchaj, Dunstan, odłożmy całą sprawę na dzień, dwa. Naprawdę nie mamy kłopotów.

- Nie mogę, stary. Przykro mi. Dzisiaj mamy zebranie specjalne, a rada nalega.

- Do tej pory robiliśmy razem dobre interesy. Teraz macie czterdzieści milionów naszych pieniędzy bez zabezpieczenia. Doinwestowaliśmy twój nowy program budowlany siedemdziesięcioma milionami.

- Tak, to prawda, Richard. Na pewno przyniosą ci zysk. Ale nasze rachunki to zupełnie co innego. Otworzyliśmy je uczciwie wiele miesięcy temu i teraz równie uczciwie chcemy je zamknąć. My nie zalegaliśmy nigdy z opłatą ani w Ho-Pak, ani gdzie indziej. - Barre odłożył gazetę, a razem z nią dokumenty z pieczęcią swojej korporacji. - Na wszystkie rachunki wystarczy jeden czek.

Łączna suma przekraczała dziewięć i pół miliona.

311

Richard Kwang podpisał czek i uśmiechnął się, a gdy odprowadził Barre'a, klnąc na czym świat stoi, wrócił do gabinetu. Kopnął ze złością biurko, podniósł słuchawkę telefonu i kazał siostrzenicy połączyć się z Haplym.

Rzucając słuchawkę, prawie rozbił aparat.

- *Dew neh loh moh* na wszystkich *quai loh* - krzyknął do sufitu i po czuł się lepiej. Zastrane gnoje! Ciekawe... O, ciekawe, czy udałoby mi się nakłonić Węża do zakazania ustawiania jutro kolejek. Może mógłby ze swoimi ludźmi porachować trochę kości.

Pozwolił ponieść się myślom. Mijał straszny dzień. Zaczęło się od toru wyścigowego. Miał pewność, że albo trener, albo dżokej podali Butterscotch Lass tabletki dopingujące, więc nic dziwnego, że pędziła jak szalona i stała się faworytką. Potem w sobotę nie podaliby jej pigułek, pobełgłaby wolniej, a oni mieliby z tego zysk. Cholerne łachmaniarstwo! Oszuści! Myślą, że trzymam wyścigowego konia, aby tracić pieniądze?

Ziewnął i splunął do spluwaczki.

Łajdak Barre i głupiec Wujek Wu! Okazali się zdrajcami! Oni wyciągnęli najwięcej moich pieniędzy! Nie szkodzi. U boku Lando Maty, Tunga Zaciśnięta Pięść i tai-pana jestem bezpieczny. Będę wył, przeklinał, płakał, ale nic nie poruszy Ho-Pak. Za wiele dla nich znaczą.

Tak, straszny dzień. Jedyne miłe spotkanie to poranne spotkanie z Casey.

Cieszył go jej widok, jej uśmiech, inteligencja, amerykańska świeżość. Ga-wędzili sobie o biznesie i czuł, że mógłby w ten sposób załatwić z nią chociaż część interesów lub nawet wszystkie. Imponowała swoim zorientowaniem w bankowości i finansach, ale jej wiedza o Azji była żadna. Jest taka naiwna, tak łatwo zdradza swoje plany. Dzięki wam bogowie za Amerykanów.

- Uwielbiam Amerykę, panno Casey. O tak. Jeżdżę tam dwa razy do roku, żeby zjeść porządny stek i zabawić się w Vegas. No i oczywiście zała twię interesy.

liiii, pomyślał rozradowany, a prostytutki są w Złotym Kraju najlepsze i najchętniejsze na całym świecie. I tańsze w porównaniu z Hongkongiem!

Ooo! Znaleźć się z taką w łóżku to niewyobrażalna przyjemność. Te wyper-fumowane ramiona, wielkie piersi, łydki i pośladki. A najlepsze i tak w Vegas. Pamiętam taką złotowłosą piękność, jak siedziała na mnie, ale pochylała się...

Zadzwoił prywatny telefon. Podnosił słuchawkę z niepokojem jak zawsze, odkąd musiał zainstalować tę linię. Nie miał jednak wyboru. Gdy odeszła poprzednia sekretarka, aby wziąć ślub, jego żona doszła do wniosku, że na jej miejsce najlepiej nadaje się jej ulubiona siostrzenica. Oczywiście do szpiegowania mnie, pomyślał. liii, taki już los mężczyzn.

- Tak? - zapytał, zastanawiając się, czego tym razem chce żona.

312

- Nie dzwoniś cały dzień... Czekam już tyle godzin!

Zrobiło mu się lżej na duszy, gdy usłyszał głos, którego się nie spodziewał.

Pozbył się rozdrażnienia, jej kantoński był słodki jak jej Nefrytowe Wrota.

- Słuchaj, Mały Skarbie - przemówił czule. - Twój biedny Ojciec jest dzisiaj okrutnie zajęty. Mam...

- Już nie lubisz swojej biednej Córeczki? Będę musiała iść do portu i znaleźć sobie kogoś, kto się mną zaopiekuje...

Na dźwięk jej szlochania podskoczyło mu ciśnienie krwi.

- Posłuchaj, Moje Usteczka, spotkamy się o dziesiątej. Urządzimy sobie ucztę w Wanczai w...

- Dziesiąta to za późno i nie chcę żadnej uczy, tylko stek, i chcę iść do hotelu „Victoria” i pić szampana!

Zaniepokoił się, że tam łatwo będzie go rozpoznać, a wtedy może się o tym dowiedzieć *tai-tai*. Ooo! Ale z drugiej strony wiele by zyskał w oczach przyjaciół i całego Hongkongu, pokazując się z nową kochanką, młodą, egzotyczną, wschodzącą gwiazdką na firmamencie telewizji, z Venus Poon.

- Na dziesiątą...

- Za późno. O dziewiątej.

Pospiesznie zaczął sobie przypominać swoje wieczorne spotkania.

- Posłuchaj, Mały Skarbie, zoba...

- Dziesiąta to za późno. O dziewiątej. Chyba umrę, skoro nic cię nie obchodzi.

- Twój Ojciec ma trzy spotkania i...

- O, głowa mnie boli, jak pomyślę, że już mnie nie chcesz, ooo. Obca osoba będzie mnie musiała trzymać... - Usłyszał zmianę w jej głosie i żołądek podszedł mu do gardła. - Albo odpowiem na telefony innych, gorszych niż Szlachetny Ojciec oczywiście, ale...

- Dobrze, Mały Skarbie. O dziewiątej!

- O, ty naprawdę *love me*. - Choć Venus Poon mówiła po kantońsku, wtrąciła angielskie słowo. Językiem miłości był dla nowoczesnych Chiń-

czyków angielski, ponieważ w ich dialektach brakowało romantycznych słów.

- Powiedz to! Powiedz / *love you* \

Wystękał wyznanie i odłożył słuchawkę. Mała pinda, pomyślał rozgniewany. No ale skoro ma dziewiętnaście lat, może wymagać wiele od prawie sześćdziesięciolatka, którego potrafi uczynić dwudziestolatkiem i pobłogos-

ławić jego *yang*. Iiiii, jest najlepsza spośród wszystkich, jakie miałem. Droga, ale, iiii, ma takie mięśnie w Złotej Zatoce, o jakich można tylko poczytać u legendarnego cesarza Kung.

Czuł, jak budzi się w nim *yang*. Dzisiaj w nocy jej pokażę. Kupię coś specjalnego, o tak, pierścionek z dzwoneczkami. Ooo! To ją rozgrzeje.

313

No ale trzeba pomyśleć o dniu jutrzejszym. Jak się przygotować?

Zadzwoń do Wielkiego Smoka w Tsim Sza Tsui, do sierżanta Tang-po i poproś, żeby sprawdził, czy wszystkie oddziały w Koulunie są dobrze strzeżone. Zatelefonować do Blacs, do Kuzyna Tunga z wielkiego banku Tung Po, do kuzyna Uśmiechniętego Czinga i do Havergilla po dodatkowe pieniądze na zabezpieczenie Ho-Pak. No i także do bliskiego przyjaciela Joego Jacobsona z Chicagowskiego Banku Federalnego i Międzynarodowego Banku Kupieckiego, oni mają czteromiliardowe aktywa, a on winien mi jest wiele przysług. Dużo, zarówno *quai loh*, jak i cywilizowanych ludzi, ma u niego dług wdzięczności. Trzeba do nich zadzwonić!

Nagle przypomniał sobie wezwanie tai-pana. Należące do Nelson Trading depozyty gotówkowe i w złocie były ogromne. *Oh ko*, jeśli i Nel...

Zadzwoił telefon.

- Wujku, pan Haply.

- Halo, dzień dobry, panie Haply. Miło pana słyszeć. Przepraszam, że nie odebrałem przed chwilą.

- Nic nie szkodzi, panie Kwang. Chciałem uzyskać potwierdzenie kilku faktów. Po pierwsze zamieszki w Aberdeen. Policja...

- Trudno to nazwać zamieszkami, panie Haply. Kilku hałaśliwych, zniecierpliwionych ludzi... To wszystko - powiedział, myśląc z pogardą o amerykańsko-kanadyjskiej intonacji Haply'ego.

- Patrzą właśnie na zdjęcia, panie Kwang, te z popołudniowego „Time-sa”

i wygląda na to, że to jednak zamieszki.

Bankier poprawił się na krześle i starał się zachować spokój.

- No cóż, właściwie nie było mnie tam osobiście... Będę musiał porozmawiać z panem Sungiem.

- Ja już to zrobiłem. Rozmawialiśmy pół godziny temu. Oznajmił, że gdyby nie policja, bank mógłby zostać zdemolowany. - Nastąpiła chwila wahania. - Słusznie stara się pan to wyciszyć, ale ja chcę pomóc, a bez ustalenia faktów nie mogę. A więc gdyby mógł pan być ze mną szczery... Ile osób odebrało pieniądze na Lan Tao?

- Osiemnaście - podał Kwang, dzieląc rzeczywistą liczbę na połowę.

- Nasz człowiek twierdzi, że trzydzieści sześć. A w Sza Tin osiemdziesiąt dwie. A w Mong Kok?

- Wiele.

- Mój człowiek obliczył, że czterdzieści osiem, a odeszło po zamknięciu banku jeszcze sto. A w Tsim Sza Tsui?

- Nie mam jeszcze danych, panie Haply - wyjaśnił Kwang spokojnie, choć zaczynało go denerwować *staccato* pytań.

- Wiele wieczornych gazet pisze o upadku Ho-Pak. Niektóre z nich używają nawet tego słowa.

314

-*Oh ko...*

- Tak. Jutro musi się pan przygotować na naprawdę gorący dzień. Prze ciwnicy są dobrze zorganizowani. Za dużo tego wszystkiego, żeby mówić o zbiegu okoliczności.

- Oczywiście, dziękuję, że się pan tym interesuje. Jeśli mogę coś zrobić...

Usłyszał denerwujący śmiech.

- Czy któryś z większych inwestorów zamknął dzisiaj swoje konto? Richard Kwang wahał się przed podaniem odpowiedzi, a za moment usłyszał głos Haply'ego:

- Oczywiście wiem już o Wu Cztery Palce, ale chodzi mi o któregoś z Brytyjczyków.

- Nie, panie Haply, jeszcze nie.

- Plotka głosi, że Hongkong and Lan Tao Farm's chce się przenieść do innego banku.

- Miejmy nadzieję, że to nieprawda. O jakich pan wspominał rano tai-panach i bankach? Victoria czy Blacs?

- Może jakiś chiński. Niestety, nie mogę zdradzać źródeł swoich informacji. Ale powinien się pan mieć na baczności. Tak samo jak i ci, co stoją za panem.

16:25

- Nie śpią ze sobą, tai-pan - powiedziała Klaudia Czen.

- Proszę? - Dunross nieobecny wzrokiem spojrzął na **nią** **znad** dokumentów.

- Przynajmniej zeszłej nocy ze sobą nie spali. -Kto?

- Bartlett i ta pana Ciranoush. Dunross

przerwał pracę. -Tak?

- Owszem. Spali w oddzielnych pokojach, w różnych łóżkach, razem zjedli śniadanie w salonie, ale oboje byli ubrani, co nie pozostaje bez znaczenia, ponieważ obydwójce sypiają bez niczego.

- Czyżby?

- W każdym razie tak spali zeszłej nocy.

Dunross uśmiechnął się, a ona była zadowolona, że przyniesione przez nią wieści spodobały mu się. Pierwszy raz tego dnia zobaczyła prawdziwy

uśmiech. Od ósmej, kiedy przyszedła do biura, tai-pan cały czas pracował jak opętany. Ze spotkania spieszył na spotkanie. Z policją, Phillipem Czenem, gubernatorem, dwa razy w banku, raz w prywatnym apartamencie, ale Klaudia nie wiedziała z kim. Nie jadł lunchu, a ze słów portiera wynika, że przyjechał do biura o świcie.

Rozpoznawała objawy takiego obciążenia problemami, które dotykało każdego tai-pana, a niektórych nawet załamywało. Na własne oczy widziała, jak powstałe w wyniku wojny straty statków, katastrofalne zniszczenia w Hongkongu, śmierć synów i kuzynów, zły *dżos* za złym *dżosem* niszczyły ojca Dunrossa. Upadek Państwa Środka wykończył go zupełnie. Widziała też, jak Suez złamał Alastaira Struana. Jak tai-pan nie potrafił otrząsnąć się po nagłych stratach, a nagonka Gornta stanowiła dla niego gwóźdź do trumny.

Straszne musi być takie napięcie, myślała. Wszyscy nasi ludzie boją się wrogów, katastrof czy grzechów z przeszłości, które czekają, aby wypełznąć nagle jak zło z puszki Pandory. Szkoda, że tai-pan nie jest Chińczykiem, pomyślała. Wtedy grzechy przeszłości byłyby mniejsze.

- Skąd ta pewność, Klaudio?

- Nie mieli żadnych nocnych strojów... pizam ani koszul.

- Skąd to wiesz?

- Och, tai-pan, nie mogę ujawniać swoich źródeł.

- O czym jeszcze wiesz?

- Eee - powiedziała niechętnie i zmieniła temat rozmowy. - Za pół godziny odbędzie się zebranie rady nadzorczej Nelson Trading. Mam panu przypomnieć? Trochę wcześniej?

- Tak, jakieś piętnaście minut. A teraz powiedz... - doskonale znała tę stanowczość. - O czym jeszcze wiesz?

Westchnęła i pilnie zajrzała do notatek.

- Nigdy nie była mężatką. Miała wielu kandydatów, ale żadnemu się nie poszczęściło. Właściwie, jeśli słuchać plotek, żaden też...

Dunross podniósł brwi.

- Chcesz powiedzieć, że jest dziewicą?

- Tego nie jesteśmy pewni, ale nie ma reputacji kobiety przebywającej wieczorami czy nocami w towarzystwie dżentelmenów. Jedyny mężczyzna, z którym częściej, choć też nie za często, przebywa, to pan Bartlett. Z wyjątkiem oczywiście podróży w interesach. A tak przy okazji, to nieżył z niego podróżnik. Zyskał sobie przydomek Jeździec. Żadnych kobiet...

- Kto go tak nazwał?

- Ech! Pan Bartlett nie ma dziewczyny, tai-pan. Jak to się mówi, dziewczyny na stałe. Rozwiódł się w pięćdziesiątym szóstym i wtedy też dołączyła do niego ta pana Cirrrannnnoussssh.

- To nie jest moja Ciranoush.

316

Klaudia ukloniła się.

- Ona ma dwadzieścia sześć lat. Jest spod znaku Strzelca.

- Masz kogoś, kto mógłby zerknąć w jej paszport?

- Ależ skądże znowu, tai-pan? - udawała poruszoną. - Ja nie szpieguję, ja tylko zadaję pytania. I wszyscy mówią, że ona i pan Bartlett byli kiedyś kochankami.

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Oni się w sobie kochają. Widziałem, jak tańczyli ze sobą.

Zmrużyła oczy.

- Założymy się, że nigdy nie byli kochankami?

- Proszę? A skąd to wiesz?

- Założymy się, tai-pan? Przyjrzał

jej się uważnie.

- Tysiąc do... Dziesięć do jednego.

- Dobrze! Stawiam sto. Dziękuję, tai-pan. A co do Nelson...

- Skąd ty masz te wszystkie informacje?

Z dokumentów, które trzymała w ręku, wyjęła teleks. Resztę położyła mu na biurku.

- Prosił pan naszych ludzi w Nowym Jorku, żeby zebrali o niej informacje i sprawdzili dossier

Bartletta. W odpowiedzi przyszło to.

Przejrzał teleks w błyskawicznym tempie. Zawierał wiadomości, które Klaudia dogłębnie zinterpretowała, a także informacje o tym, że K.C. Tcho-lok nie była notowana przez policję, że ma na koncie w San Fernando 46 000

dolarów, a w Los Angeles 8700.

-Zadziwiające, jak łatwo można się w Stanach dowiedzieć o stanic czyjegoś konta, prawda, Klaudio?

- Naprawdę zadziwiające. Ja bym tam nigdy nie otwierała rachunku.

Uśmiechnął się.

- Ale można stamtąd pożyczać. Potem dasz mi teleks, Klaudio.

- Dobrze, tai-pan. Ale czy ja nie podaję informacji w sposób bardziej zajmujący?

- Owszem, ale gdzie tu jest napisane, że sypiają nago? Coś tu zmyśliłaś.

- Ależ skąd! Tę wiadomość mam z prywatnego źródła. Trzecia Toaletowa.

.. Klaudia przerwała, ale było już za późno, wpadła we własną pułapkę.

Uśmiechnął się niewinnie.

- A więc szpieg w „Victoria and Albert”! Trzecia Toaletowa! Która to, Klaudio?

-*Aiii ia*, przed superszpiegiem niczego się nie ukryje, *heya?* - Uśmiechnęła się. - Oto lista telefonów. Ile się dało, przełożyłam na jutro. W odpowiednim momencie powiadomię o zebraniu.

317

Skinął jej głową. Zauważyła, że uśmiech znika z jego twarzy, a on znów zagłębia się w swoich myślach. Wyszła, a Dunross nie dosłyszał zamykania drzwi. Rozmyślał o superszpiegach, Alanie Medfordzie, a także o swoim spotkaniu z Brianem Kwokiem oraz Rogerem Crosse'em. O tym z godziny dziesiątej i o tym, które miał wyznaczone o szóstej.

Pierwsze przebiegało szybko i w nerwowej atmosferze.

- Macie coś nowego o Alanie Medfordzie? - zapytał.

- Wszystko wskazuje na to - odpowiedział od razu Roger Crosse - że naprawdę zdarzył się wypadek. W pobliżu nie widziano nikogo, nie znaleziono śladów jakichś samochodów. Tylko motocyklowe. A teraz, łan, wracajmy do teczek. A przy okazji, wiemy, że jesteś w posiadaniu jedynych istniejących kopii. Tylko od ciebie możemy je otrzymać.

- Niestety, nie mogę zrobić tego, o co prosicie.
- Dlaczego? - W głosie policjanta słychać było szorstkość.
- Nie potwierdziłem wcale, że te teczki w ogóle istnieją, ale...
- Na litość boską, Ian, nie bądź śmieszny! Oczywiście, że istnieją. Chcesz z nas zrobić głupców? Gdyby nie istniały, już wczoraj byś nam powiedział.

Dobrze ci radzę, daj nam te kopie.

- A ja ci dobrze radzę, pohamuj swoje zapędy.

- Jeśli sądzisz, że to możliwe, mało mnie znasz. Formalnie proszę o udostępnienie tych dokumentów. Jeśli odmówisz, poproszę Urząd Akt Tajnych o pomoc i o szóstej po południu, tai-pan czy nie, Noble House czy nie, przyjaciel czy nie, zostaniesz aresztowany. Dostaniesz na piśmie, że możemy przejrzeć twoje sejfy, skrytki depozytowe i wszystkie dokumenty. Na pewno je znajdziemy! A teraz bądź tak uprzejmy i daj teczki.

Dunross przypomniał sobie napiętą twarz i zimne jak lód oczy. Prawdziwy przyjaciel, Brian Kwok, był poruszony. -Nie. Crosse ciężko westchnął.

- Dlaczego?

- Bo jeśli znalazłyby się w nieodpowiednich rękach, mogłyby zaszkodzić Jej Wyso...

- Chryste Panie, przecież ja jestem szefem SI.

- Wiem.

- A więc proszę o teczki.

- Przykro mi. Prawie całą noc spędziłem na wymyśleniu bezpiecznego...

Roger Crosse wstał.

- O szóstej wrócimy po teczki. Nie spal ich, Ian. Jeśli tylko spróbujesz, dowiem się i zostaniesz zatrzymany. O szóstej.

Zeszłej nocy, gdy wszyscy już spali, Dunross poszedł do swojego gabinetu i jeszcze raz przeczytał akta. Teraz w świetle nagłej śmierci Alana 318

Medforda, udziału MI-5 i MI-6, może także KGB, z perspektywy zadziwiającego uniesienia Crosse'a - wszystkie wiadomości wyglądały jeszcze groźniej.

Zwłaszcza że możliwe, iż część materiałów nie dotarła jeszcze do Tajnej Policji.

Przekazanie akt było zbyt niebezpiecznie. Zatrzymanie u siebie - niemożliwe.

W ciszy nocy rozważał zniszczenie ich. Wreszcie doszedł do wniosku, że nie wolno mu. Przeszło mu przez myśl, żeby zostawić je po prostu na biurku i iść spać. Jeśli Crosse'owi tak bardzo zależy, na pewno kazał go śledzić.

Niebezpiecznie było zamykać teczki w sejfie. Już raz ktoś próbował się do niego dostać. A nie istnieje sejf, który oparłby się prawdziwym profesjonalistom.

Siedząc w ciemnym gabinecie, czuł wspaniały dreszczyk na myśl o otaczającym go niebezpieczeństwie, wręcz fizycznym niebezpieczeństwie. A także świadomość bliskości wroga. Balansowania na krawędzi życia i śmierci.

Jedyna rzecz, która mąciła mu rozkoszowanie się tym uczuciem, to informacja, że Struanowie zostali zdradzeni. Wciąż nasuwało mu się to samo pytanie: Czy Sevrin sprzedał wiadomości Bartlettowi? Czy jest nim jeden z siedmiu: Alastair, Phillip, Andrew, Jacques, Linbar, David Mac-Struan z Toronto czy jego ojciec? Żaden nie wchodzi w rachubę.

Rozpatrywał każdego po kolei. Na trzeźwo, bez emocji. Wszyscy mieli takie same możliwości i takie same motywy: zazdrość i nienawiść. Różnica dotyczyła tylko natężenia. Jednak żaden nie sprzedałby Noble House. A jednak, jeden z nich to zrobił.

Kto?

Mijały godziny.

Kto? Co zrobić z teczkami? Czy Alan Medford został zamordowany? Kto jest w Sevrin? Ile z informacji zawartych w aktach jest prawdziwych?

Kto?

Noc była chłodna. Wyszedł na taras. Patrzył na gwiazdy, a wietrzyk owiewał mu twarz. Zawsze uwielbiał noc. Samotne nocne loty ponad chmu-rami sprawiają o wiele więcej radości niż latanie w dzień. Gwiazdy są tak blisko, oczy wypatrują wrogiego bombowca lub myśliwca, palce gotowe do pociągnięcia za spust. Ach... Życie wtedy jest takie proste: zabij albo zostaniesz zabity.

Stał tam chwilę, a potem, odświeżony, wrócił do gabinetu i zamknął teczki w sejfie. Usiadł w fotelu i patrząc w okno, podjął decyzję. Usatysfakcjonowany zasnął na jakąś godzinę. Obudził się, jak zwykle, przed świtem.

Garderoba znajdowała się w pobliżu sypialni i gabinetu. Ubrał się po-

śpiesznie i po cichu wyszedł. Droga była pusta. Zabrakło sześćdziesięciu sekund do pobicia rekordu. W apartamencie w budynku Struanów wykapał

się, ogolił i przebrał w tropikalny garnitur, a potem zszedł piętro niżej do biura. Parno dzisiaj, pomyślał, spoglądając w niebo. Nadchodzi burza. Może dopisze nam szczęście i nie narobi tyle szkód co inne, a przyniesie deszcz.

Odwrócił się od okna i skupił na sprawach Noble House.

Czekał na niego cały stos teleksów dotyczących wszelkiego rodzaju negocjacji, przedsięwzięć, możliwości zrobienia interesu. Z kolonii i ze wszystkich stron świata. Z Północy znad Jukonu, gdzie Struanowie prowadzili spółkę naftową z kanadyjskim potentatem drzewnym i wydobywczym McLean-Woodley. Z Południa z Singapuru, z Malajów i z Tasmanii, skąd przewozili do Japonii bogactwa mineralne oraz owoce. Z Zachodu z Wielkiej Brytanii i ze Wschodu z Nowego Jorku, gdzie dla Noble House istnieją ogromne możliwości. Dunross zawsze marzył o wykorzystaniu ich.

Wkrótce będą tak silni, żeby tego dokonać. Transakcja zawarta z Par-Con pozwoli na rozwijanie silnej sieci na całym świecie z centrum w Hongkongu.

Dzięki Bogu istnieją teleksy i telefony.

- Proszę z panem Bartlettem.

- Halo?

- Mówi Ian Dunross. Przepraszam, że tak wcześnie dzwonię. Chciałem przenieść nasze spotkanie na osiemnastą trzydzieści.

- Oczywiście. Masz jakieś kłopoty?

- Nie. To tylko interesy. Mogę się nie wyrobić.

- Wiadomo coś o Johnie Czenie?

- Niestety, jeszcze nie. Pozdrowienia dla Casey.

- Dziękuję. Bardzo nam było miło na przyjęciu. Masz **wspaniałą córkę!**

- Dziękuję. O wpół do siódmej przyjadę do hotelu. Oczywiście Casey także jest zaproszona. Do zobaczenia. Cześć.

Ach, Casey! - zadumał się.

Casey i Bartlett. Casey i Gornt. Gornt i Wu Cztery Palce.

Poprzedniego ranka dowiedział się o spotkaniu Wu Cztery Palce z Gorntem. Wcześniej poprawił mu się humor na wieść, że jego wróg prawie się zabił. Pik Road to nie najlepsze miejsce do utraty panowania nad samochodem, pomyślał.

Szkoda, że łajdak przeżył. W przeciwnym razie zaoszczędziłby mi wiele nerwów. Wrócił myślami do

Wu Cztery Palce.

Znał haklo, więc dość dobrze dogadywał się z kaleczącym angielszczyznę starym wilkiem morskim. Wu opowiedział wszystko, co mógł. O komentarzach Gornta na temat Ho-Pak, o tym, że radził Wu wypłacić pieniądze.

To zaskoczyło Dunrossa i przyciągnęło jego uwagę. A potem ten artykuł Haply'ego.

Czy ten cholerny Gornt wie coś, czego nie wiem ja?

Pojechał do banku.

320

- Paul, co się dzieje?

- Z czym?

- Z Ho-Pak.

- A, te wypłaty? Trzeba przyznać, że to niekorzystne dla wizerunku banku.

Biedny Richard! Na pewno ma wystarczająco dużo rezerw, żeby przetrwać najgorsze, ale nie znamy wszystkich jego zobowiązań. Oczywiście dzwoniłem do niego zaraz po przeczytaniu tego śmiesznego artykułu Ha-ply'ego.

Zadzwoiłem także do Christiana Toxe'a i powiedziałem mu wprost, żeby bardziej uważał na swoich dziennikarzy.

- Podobno była kolejka w Tsim Sza Tsui.

- Tak? Nic nie słyszałem. Sprawdź to. Mimo to Ho-Pak dostanie wsparcie od Czing Prosperity i banku Lo Fat. Boże, przecież Richard zamienił Ho-Pak w największy bank. Jeśli padnie, Bóg wie, co się może stać. Nawet my mamy jakieś rachunki w Aberdeen. Nie, Ian, miejmy nadzieję, że wszystko się wyjaśni. *A propos*, myślisz, że popada? Czuję to w kościach, a ty?

- Nie wiem. Miejmy nadzieję, że tak. Oby nie w sobotę!

- No właśnie! Byłoby strasznie, gdyby padało podczas wyścigów. Nic możemy na to pozwolić. A tak przy okazji, bardzo było miło wczoraj na przyjęciu. Ogromnie się cieszę, że poznałem Bartletta i jego dziewczynę. Jak tam negocjacje?

- Doskonale! Słuchaj, Paul...

Dunross uśmiechnął się, wspominając, jak zniżył głos w gabinecie Havergilla... Gabinet był

całkowicie dźwiękoszczelny.

- Sfinalizowaliśmy transakcję. Za siedem dni podpiszemy umowę. Wykładają dwadzieścia milionów.

- Gratuluję. Gratuluję z całego serca. A zaliczka?

- Siedem milionów.

- Wspaniale. To pokryje wszystkie zobowiązania. Wspaniale będzie usunąć z bilansu Toda Shipping. I Orlin. Może dadzą ci trochę więcej czasu i będziesz mógł zapomnieć o chudych latach i zacząć myśleć o dochodowej przyszłości.

- To prawda.

- Otrzymałeś już statki?

- Jeszcze nie. Przybędą z ładunkami.

- Zauważyłem, że twoje akcje skoczyły o **dwa** punkty.

- Wszystko na dobrej drodze. Za trzydzieści **dni** ich cena wzrośnie dwukrotnie.

- Ooo. Dlaczego tak myślisz?

- Nastąpi boom.

- Co?

- Zapoczątkuje go nasz kontrakt z **Par-Con**. **A to** długie przedsięwzięcie.

321

- To byłoby wspaniale. Kiedy podasz do wiadomości wynik negocjacji?

- W piątek, po zniknięciu giełdy.

- Świetnie. Zrobiłbym tak samo. W poniedziałek ustawią się po nie kolejki.

- Ale na razie niech wszystko pozostanie w rodzinie.

- Oczywiście. Słyszałeś, że Quillan o mało się nie zabił zeszłej nocy? Zaraz po wyjściu od ciebie z przyjęcia. Na Pik Road nawaliły mu hamulce.

- Tak, słyszałem. Szkoda, że się nie zabił. Z radości podskoczyłyby akcje Drugiej Wielkiej Kompanii.

- Przestań, łan! Mówisz boom, co? Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę. W dowód tego mam zamiar dokonać wielkich zakupów. Co byś powiedział o milionie kredytu na zakup akcji Struanów?
- Dla ciebie czy dla Noble House?
- Dla mnie.
- A my będziemy mogli zatrzymać akcje?
- Oczywiście.
- A jeśli spadną?
- Nie spadną.
- A jeśli?
- Co proponujesz?
- Cóż, skoro to ma zostać w rodzinie, to czy zgadzasz się, że w dniu kiedy przed zamknięciem giełdy cena spadnie o dwa punkty poniżej ceny rynkowej, sprzedamy akcje, a stratą obciążymy twoje konto?

- O trzy punkty. Akcje Struanów wzrosną dwukrotnie.
- Dobrze. Dopóki nie podpiszecie umowy z Par-Con, dwa punkty.
- W porządku.

I tak jestem bezpieczny, pomyślał Dunross. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Zanim wyszedł z banku, zajrzał do gabinetu Johnjohna. Bruce Johnjohn, drugi zastępca dyrektora i według wszelkiego prawdopodobieństwa następca Havergilla, był krępy męczyzną z witalnością kolibra. Dunross przekazał mu takie same wiadomości. Johnjohn również nie krył zadowolenia. Radził, żeby ostrożnie podchodzić do prognoz boomu i w przeciwieństwie do Havergilla, okazał niepokój co do Ho-Pak.

- Wcale mi się to nie podoba, Ian. Coś tu śmierdzi.
- Tak. A czytałeś artykuł Haply'ego?
- Eee, same bzdury. My żadnych plotek nie rozsiewamy. Blacs również nie.

Dlaczego mielibyśmy wygryzać główny chiński bank? Nawet gdybyśmy mogli.

Winę może ponosić bank Czinga. Uśmiechnięty Czing i Richard od lat ze sobą rywalizują. Albo może to dzieło kilku banków, w tym także Czinga. Albo po prostu zwykła panika klientów Richarda. Różne plotki 322

słyszę już od trzech miesięcy. Opierają się na bardzo wątplych przesłankach, jednak gdy dojdzie co do czego, wszyscy możemy wpaść w panikę. Bądź

ostrożny, Ian.

- Będę się cieszył, gdy awansujesz, Bruce.
- Nie kładź tak szybko kreski na Paulu. Jest mądry i robi wiele dobrego dla banku i dla Hongkongu. No ale wszyscy żyjemy w niespokojnych czasach, Ian. Muszę przyznać, bardzo rozsądnie z twojej strony, tak sędzę, że starasz się wkroczyć do Ameryki Południowej. To ogromny rynek. Zastanawiałeś się nad Południową Afryką?
- W jakim sensie?
- W przyszłym tygodniu zapraszam cię na lunch. Możesz we środę? Mam dla ciebie świetny pomysł.
- Tak? Na co?
- Poczekaj trochę. Słyszałeś o Gorncie? -Tak.

- Rzadko się takie rzeczy zdarzają w rollsach, **nie?** -

Tak.

- On ma pewność, że odbije ci Par-Con.

- Nie da rady.

- Widziałeś się dzisiaj z Phillipem?

- Phillipem Czenem? Nie, a co? -Nic.

- Jak to nic?

- Spotkałem go. Wygląda... No cóż, **wygląda** strasznie, **na bardzo** roz-bitego. Bardzo się przejął tym porwaniem.

- A ty byś się nie przejął?

- No tak, ale nie sądziłem, że pomiędzy nim a Synem Numer Jeden panują tak bliskie stosunki.

Dunross pomyślał o Adryon, Glennie i synu Duncanic, który wyjechał na wakacje do przyjaciół w Australii. Co bym zrobił, gdyby któreś z nich zostało uprowadzone? Jakbym się zachował, gdyby przysłano mi odcięte ucho?

Zwariowałbym.

Zwariowałbym ze złości. Wszystko inne odłożyłbym na bok i dorwałbym porywaczy, a potem postarałbym się, żeby zemsta trwała całe wieki...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę. O, cześć, Kathy - powiedział, ciesząc się na widok młodszej siostry.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Ian.- Pośpiesznie weszła do gabinetu.

- Klaudia mówiła, że masz kilka minut przed następnym spotkaniem. Mogę?

323

/

- Oczywiście. - Zaprosił ją szerokim gestem i odłożył maszynopis.

- O, dziękuję - zamknęła za sobą drzwi i usiadła w fotelu stojącym obok okna.

Dunross przeciągnął się lekko i uśmiechnął do niej.

- Ładny kapelusz. - Był jasnosłomkowy z żółtą wstążką pasującą do skromnej sukienki z jedwabiu.

- O co chodzi?

- Mam stwardnienie rozsiane.

Spojrzał na nią uważniej.

- Co proszę?

- Właśnie to wykazały badania. Już wczoraj lekarz mnie powiadomił, ale wczoraj nie mogłam powiedzieć ci... Dzisiaj skonsultował się z innym specjalistą i wiadomo, że w grę nie wchodzi żadna pomyłka. - Twarz miała spokojną, podobnie jak głos. Wydawała się jeszcze ładniejsza niż zazwyczaj. - Musiałam komuś powiedzieć. Przykro mi, że cię tak zaskakuję.

Pomyślałam, że mógłbyś pomóc mi wszystko rozplanować, nie dzisiaj oczywiście, ale jak będziesz miał trochę czasu, może podczas weekendu... -

Zauważyła jego minę i nerwowo się roześmiała. - Nie jest aż tak źle. Tak sędzę.

Dunross napiął mięśnie, poczuł, że oparcie skórzanego krzesła wbija mu się w plecy; gorączkowo starał się pobudzić do myślenia zszokowany umysł.

- Stwardnienie... To niebezpieczne, prawda?

- Tak. Rzeczywiście. Coś atakuje układ nerwowy i nie da się tego wyleczyć. Nie wiedzą, co to jest, gdzie to jest i jak... i skąd się bierze.

-Zwrócimy się do innych specjalistów. A jeszcze lepiej pojedziesz z Penn do Anglii. Tam albo na kontynencie na pewno znajdą się odpowiedni ludzie. Kathy, to się musi dać jakoś wyleczyć. Musi.

- Niestety. Ale z Anglią to dobry pomysł. Doktor Tooley mówił, że dobrze by było, żebym odwiedziła pewnego specjalistę przy Harley Street.

Chętnie pojedę z Penn. Choroba nie zrobiła jeszcze znacznych spustoszeń i jeśli będę na siebie uważała, nie powinno się zdarzyć nic złego.

- To znaczy?

- To znaczy że jeśli będę o siebie dbała, brała leki, sypiała po południu i unikała wysiłku, nadal mogę zajmować się domem, dziećmi, Andrew, pograć czasem w tenisa, golfa, ale tylko rano i po jednej partyjce. Widzisz, oni mogą powstrzymać chorobę, ale nie potrafią naprawić wyrządzonych przez nią szkód. Lekarz mówił, że jeśli nie zadbam o odpowiednią porcję wypoczynku, właśnie na to szczególnie zwracał uwagę, położę się do łóżka. I już nigdy nie wstanę. Rozumiesz?

Patrzył na nią, nie okazując, co się z nim dzieje w środku. Serce waliło mu jak młot. Myślał: moja biedna Kathy.

- Tak. Dzięki Bogu możesz odpoczywać, ile chcesz - powiedział równie spokojnym głosem. - Masz coś przeciwko temu, żebym porozmawiał z Tooleyem?

- Myślę, że wszystko się ułoży. Nie ma potrzeby bić na alarm, Ian. Obiecywał, że wszystko będzie dobrze, a ja go zapewniłam, że sam się zdziwi, jak bardzo.

Kathy była zaskoczona swoim opanowaniem. Jej smukłe dłonie bez ruchu spoczywały na kolanach i ani trochę nie zdradzały, jak wielką rozpacz przeżywa w środku. Prawie czuła, jak rozwijające się w niej robaczki, mi-kroby czy wirusy atakują ją, żywiąc się jej nerwami. Jak zjadają je wolno i spokojnie, z sekundy na sekundę, z godziny na godzinę, coraz bardziej pozbawiając ją czucia w palcach u rąk i u nóg, i w dłoniach, i rękach, i sto-pach, i łydkach, i... Boże jedyny wszechmogący...

Wyjęła z torebki chusteczkę i delikatnie wytarła grzbiet nosa i czoło.

- Strasznie dzisiaj parno, prawda?

- Tak. Kathy, czy dowiedziałas się o tym tak nagle?

- No cóż, niezupełnie. Lekarze nie potrafili postawić diagnozy i dlatego wysłali mnie na badania. - Zaczęło się jakieś sześć miesięcy temu od lekkich zawrotów i bólu głowy. Zauważyła je grając w golfa. Przymierzała się do uderzenia piłki, ale widziała ją niewyraźnie, dwoiła jej się i troiła, nie mogła zapanować nad oczami. Andrew roześmiał się i wysłał ją do okulisty.

Nie pomagały okulary, aspiryna ani mocniejsze tabletki. I wtedy stary, dobry Tooley, od niepamiętnych czasów ich lekarz domowy, wysłał ją na badania do szpitala Matilda. Testy na nowotwór mózgu niczego nie wykazały. Dopiero punkcja rdzenia kręgowego wzbudziła podejrzenia. Potwierdziły je inne badania. Wczoraj. O Jezu, dopiero wczoraj skazano mnie na wózek inwalidzki, a potem na przeistoczenie się w bezbroną, zaślinioną istotę?

- Rozmawiałaś już z Andrew?

- Nie - z coraz większym trudem powstrzymywała się od płaczu. - Jesz cze nie. Nie mogłam. Biedny Andrew, on tak bardzo się przejmie. Powiem mu wieczorem. Przedtem chciałam porozmawiać z tobą. Musiałam. Zawsze najpierw wszystko z tobą ustalaliśmy, pamiętasz? Lechie, Scotty i ja? Ty zawsze o wszystkim wiedziałeś pierwszy... - Przypomniała sobie wspania łą, szczęśliwe lata młodości spędzonej w Hongkongu i w Ayr w cudownym,

starym, wzniesionym na zboczu wzgórza domu z widokiem na morze.

Święta

wielkanocne i bożonarodzeniowe, długie letnie wakacje, siebie, lana, naj starszego z nich Lechiego oraz Scotty'ego -jej bliźniaka. Zwłaszcza te dni, gdy nie było ojca, którego bardzo się bali. Wszyscy, z wyjątkiem lana występującego zawsze w ich obronie i przemawiającego w ich imieniu. Tak że on zwykle ponosił kary - nie dostawał kolacji albo musiał pięćset razy 325

przepisać, że nie będzie dyskutował z ojcem - i to jego łajano, a nigdy nie chwalono. Biedny Lechie i Scotty...

- O Ian! - Rozpłakała się. - Tak mi przykro.

Objął ją ramieniem i poczuła się bezpieczniej, koszmar trochę się oddalił.

Wiedziała jednak, że nigdy nie minie zupełnie. I nigdy już nie zobaczy swoich braci ani ukochanego Johnny'ego, chyba że we snach.

- Już dobrze, Ian - łkała. - To nie nad sobą się rozczulam. Pomyślałam o Lechciem i Scottym. I o naszym domu w Ayr, i o Johnnym, zawsze mi smutno z ich powodu...

Lechie zmarł pierwszy. Był podporucznikiem piechoty. Zaginął w 1940 roku we Francji. Nigdy już o nim nie usłyszeli. W jednej chwili szedł drogą, a w następnej zniknął. W powietrzu pozostał tylko gryzący dym unoszący się z nazistowskich dział ustawionych w pobliżu kamiennego mostku nad rzeką płynącą do Dunkierki. Przez wszystkie lata wojny żyli w nadziei, że Lechie znalazł się jako jeńiec wojenny w jakimś nie najstraszniejszym obozie. Podjęte jednak po wojnie wielomiesięczne poszukiwania nie przyniosły żadnych efektów. Nie znaleźli ani jednego znaku po nim, ani jednego świadka i po jakimś czasie rodzina uznała go za zmarłego.

Scott miał w 1939 roku szesnaście lat, więc aby zapewnić mu bezpieczeństwo, wysłano go do Kanady. Po ukończeniu szkoły został pilotem i w dniu osiemnastych urodzin, mimo protestów ojca, wstąpił do kanadyjskiego lotnictwa, aby pomścić Lechiego. Dostał się do szwadronu bombowców i w oczekiwaniu na D Day zamieniał w proch miasta i miasteczka. Aż do 14 lutego 1945 roku, kiedy będąc już dowódcą szwadronu, wracał z nalotu na Drezno.

Napadł go Messerschmitt. Chociaż współpilotowi udało się wylądować uszkodzonym samolotem w Anglii, Scotty już nie żył.

Kathy była na jego pogrzebie, Ian również, ponieważ przyjechał właśnie do domu z Czungking, gdzie po zestrzeleniu został przydzielony do lotnictwa Czang Kai-szeka. Kathy płakała wtedy w ramię Iana. Z powodu Lechiego, Scotty'ego, a także jej Johnny'ego. Została wdową. Porucznik lotnictwa Johnny Selkirk, jeszcze jeden szczęśliwy wojenny bóg - niezwyciężony, nietykalny - wyleciał w czasie lotu w powietrze i spłonął podczas spadania na ziemię.

Johnny i Lechie nie mieli pogrzebu. Nie było nic do pochowania. Dostała tylko telegram. Jeden na dwóch.

Och, Johnny, mój najdroższy, mój najdroższy...

- Co za strata, Ian. Dlaczego?

- Nie wiem, Kathy - powiedział, nie puszczając jej. - Nie wiem. Nie wiem też, dlaczego mnie się udało, a im nie.

- Bardzo się cieszę, że ci się udało przeżyć! - Dała mu lekkiego kuksańca i zebrała się w sobie.

Zdołała jakoś odpędzić smutek. Otarła łzy, wyjęła 326

małe lustro i przejrzała się. - Boże, jak ja wyglądam. Przepraszam. - Prywatna łazienka znajdowała się za półką z książkami. Kathy wyszła poprawić makijaż.

Gdy wróciła, Dunross wyglądał przez okno.

- Teraz Andrew nie ma w biurze, ale jak wróci, powiem mu - odezwał się.

- O nie, to moja rzecz. Ja to muszę zrobić. Tak będzie uczciwie. -

Uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia. - Kocham cię, Ian.

- Ja ciebie też, Kathy.

22 16:55

Na biurku Rogera Crosse'a leżało kartonowe pudełko, które Phillip Czen dostał od Wilkołaków. Obok znajdował się list, klucze, prawo jazdy, pióro, a nawet zmięte gazety. Także foliowa torebka i pognieciona szmatka. Brakowało tylko jej zawartości.

Do każdej rzeczy przyczepiono kartkę.

Roger Crosse znajdował się w gabinecie sam i wstrząśnięty przyglądał się tym wszystkim przedmiotom. Podniósł jeden z kawałków gazety. Każdy z nich został dokładnie zbadany, prawie na wszystkich znajdowała się data i tytuł chińskiego pisma. Odwrócił strzęp na drugą stronę w poszukiwaniu jakiegoś nie zauważonego przedtem śladu lub ukrytej informacji. Nic nie znalazł i zatopił się we własnych myślach.

Obok interkomu leżał także raport Alana Medforda Granta. Panowała cisza. Niewielkie okno wychodziło na Wanczai i część portu.

Zadzwonił telefon.

-Tak?

- Przyszedł pan Rosemont z CIA oraz pan Langan z FBI.

- Proszę. - Roger Crosse odłożył słuchawkę. Otworzył górną szufladę, ostrożnie włożył akta Alana Medforda i przekręcił klucz. W środkowej szufladzie znajdował się wysokiej klasy magnetofon. Sprawdził go i dotknął

tajnego włącznika. Rolki zaczęły się bezszelestnie obracać. W interkomie na biurku był wmontowany czuły mikrofon. Z zadowoleniem zamknął szufladę na klucz. Jeszcze jeden ukryty przycisk bezgłośnie otworzył zasuwę w drzwiach. Crosse wstał.

- Witajcie, proszę do środka - zapraszał wylewnie. Po zamknięciu uści-snęli sobie ręce.

Niezauważalnie z powrotem zamknął drzwi na zasuwę. -

Siadajcie. Herbaty?

327

- Nie, dziękuję. - Pracownik CIA pokręcił głową.

- W czym mogę wam pomóc?

Obydwaj przynieśli ze sobą szare koperty. Rosemont otworzył jedną z nich i wyjął plik doskonałej jakości zdjęć formatu osiem na dziesięć cali.

- Proszę. - Podał fotografie Crosse'owi.

Kilka ujęć przedstawiało Worańskiego: biegnącego przez nabrzeże, na ulicach Koulunu, łapiącego taksówkę, telefonującego, a na pozostałych występował jego chiński zabójca. Na jednym ze zdjęć widać było dwóch Chińczyków wychodzących z budki telefonicznej oraz część leżącego w tle ciała.

Jedynie nadzwyczajne opanowanie powstrzymało Crosse'a przed okazaniem zdziwienia, a potem atakiem furii.

- Nieźle, całkiem nieźle - powiedział spokojnie, odkładając fotografie na biurko. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Rosemont trzyma w ręku jeszcze inne. - I co?

Rosemont zmarszczył brwi.

- Też go śledziliście?

- Oczywiście - potwierdził Crosse, kłamiąc bez mrugnięcia powieką. - Tu, moi drodzy, jest Hongkong. "Wolałbym, żebyście nie przeszkadzali i pozwolili nam pracować.

- Rog, my... eee... nie chcemy przeszkadzać. Tylko wesprzeć was.

- A może my tego nie potrzebujemy. - W jego głosie pojawił się ostry ton.

- Pewnie. - Rosemont wyjął papierosa i zapalił. Był wysoki, miał siwe, krótko przycięte włosy i przystojną twarz. Dłonie odznaczały się taką samą siłą jak on sam. - Wiemy, gdzie ukrywają się zabójcy. Tak nam się wydaje.

Jeden z naszych chłopaków twierdzi, że ich rozpracował.

- Ilu waszych obserwowało statek?

- Dziesięciu. Nie widzieli twoich ludzi. Nas ta zamiana też prawie zmyliła.

- Tak, bardzo sprytne - przyznał Crosse, zastanawiając się, o jaką zamianę chodzi.

- Nasi chłopcy nie przetrząsnęli mu kieszeni. Wiemy tylko, że zadzwonił

z budki dwa razy... - Rosemont zauważył, że Crosse nagle leciutko zmrużył

oczy. Dziwne, pomyślał. Crosse tego nie wiedział. A może jego ludzie wcale nie śledzili obiektu i komunista swobodnie sobie hasał po Hongkongu, aż został zabity. - Wysłaliśmy jego portret do Stanów. Wkrótce dostaniemy odpowiedź. Kim on był?

- Zgodnie z dokumentami komunista nazywał się Igor Worański i był

marynarzem sowieckiej floty handlowej.

- Masz jego akta, Rog?

328

- Niezbyt często działacie razem, no nie? To znaczy wiem z filmów, że FBI i CIA zwykle ze sobą rywalizują.

Ed Langan uśmiechnął się.

- Pewnie, że tak, jak wy i MI-5. Jak KGB i GRU, i piętnaście innych sowieckich organizacji. Jednak czasami nasze interesy idą ze sobą w parze.

My działamy raczej wewnątrz, a CIA na zewnątrz Stanów, ale cel mamy jeden: bezpieczeństwo. Myśleliśmy... Prosimy cię o współpracę. Tu może chodzić o wielką rzecz i... To przekracza moje i Staną możliwości.

- Rzeczywiście - przyznał Rosemont, nie wierząc w te słowa.

- W porządku - zgodził się Crosse, ponieważ potrzebował informacji. -Wy pierwsi.

Rosemont westchnął.

- Okay, Rog. Od jakiegoś czasu wydaje nam się, że w Hongkongu robi się gorąco i ma to jakiś związek z USA, chociaż dokładnie nie wiemy, o co chodzi. Myślę, że raport Alana Medforda też o tym świadczy. Zobacz: najpierw Banastasio, on jest z mafii. I zamieszany w narkotyki. A teraz Bartlett i karabiny. Broń...

- Bartlett ma coś wspólnego z Banastasiem?

-Nie wiemy na pewno. Sprawdzamy. Z pewnością broń została załadowana w Los Angeles. Broń, narkotyki i nasze działania w Wietnamie. Skąd pochodzą narkotyki? Ze Złotego Trójkąta. Z Wietnamu, Laosu i chińskiej prowincji Yunnan. My jesteśmy w Wietnamie i...

- Setki razy wam to odradzałem.

- Nie interesujemy się polityką ani trochę bardziej od ciebie, Rog. Po drugie: dopływa nasz lotniskowiec nuklearny, a tu zjawia się nagle ten „Radziecki Iwanow”. Dziwny zbieg okoliczności, może właśnie stąd był przeciek.

Okazuje się, że KGB działa w całej Azji, a wy macie szpiega na wysokim stanowisku.

- To jeszcze nie zostało udowodnione.

- Owszem, ale wiem, że ten Alan Medford to niegłupi facet. Jeśli twierdzi, że Sevrin działa, a wy macie zdrajcę, to macie zdrajcę. Oczywiście i u nas, w CIA, są podwójni agenci. Z pewnością u Eda w FBI też...

- Wątpię - wtrącił ostro Ed Langan. - Nasi ludzie są odpowiednio szkoleni i sprawdzani. Za każdego mogę ręczyć.

- Oczywiście - powiedział Rosemont i zasugerował, zwracając się do Crosse'a: - Wracajmy do narkotyków. Czerwone Chiny to nasz wielki wróg...

- Znow nie masz racji, Stanley. Wrogiem jest nie ChRL, lecz Rosja.

- Chiny są komunistyczne. A komuniści to nasi wrogowie. Bardzo sprytnie byłoby dostarczać do Stanów tanie narkotyki, a czerwone Chiny... no dobrze, Chińska Republika Ludowa, może otworzyć podwoje.

329

- Ale nie zrobiła tego. My mamy najsilniejszy w Azji wydział do spraw narkotyków, a nigdy nie wspominali o czymś, co mogłoby choć w pewnym stopniu potwierdzić tę teorię. ChRL jest tak samo przeciwna narkotekom jak my wszyscy.

- Zostawmy to - zaproponował Rosemont. - Rog, masz teczkę tego agenta? Jest z KGB, prawda?

Crosse zapalił papierosa.

- Worański był tutaj w zeszłym roku. Wtedy przyjechał pod pseudoni mem Siergiej Kudriow, też marynarz, też na tym samym statku. Nie są zbyt pomysłowi, co? - Żaden z nich się nie uśmiechnął. - Naprawdę nazywa się Jurij Bakjan, major KGB, Szósty Departament.

Rosemont głęboko westchnął. Ed

Langan zerknął na niego.

- A więc zgadza się. Wszystko jakoś się ze sobą łączy.

- Może. - Wysoki mężczyzna chwilę się zastanawiał. - Rog, z kim się kontaktował w zeszłym roku?

- Występował jako turysta, zatrzymał się w „Dziewięciu Smokach” w Koulunie...

- O tym samym hotelu wspomina w raporcie Alan Medford - przypomniał Langan.

- Tak. Obserwujemy to miejsce od jakiegoś roku. Nic nie zauważyliśmy.

Bakjan-Worański zachowywał się jak zwykły turysta. Mieliśmy go na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zatrzymał się na kilka tygodni, a potem tuż przed odpłynięciem statku przedostał się na pokład.

- Miał jakąś dziewczynę?

-Nie. Nie na stałe. Zabierał często jakąś z dancingu „Szczęście” w Wanczai. Wyglądał na jurnego. Jednak nikogo o nic nie wypytywał ani nie spotykał się z nikim nadzwyczajnym.

- Był na osiedlu Sinclair Towers?

-Nie.

- Szkoda - zasepił się Langan. - Pasowałoby. Tam ma mieszkanie Tsu-ian. A Tsu-ian i John Czen znają Banastasia, i znów wracamy do broni, narkotyków, Alana Medforda i Sevrin.

- Tak - mruknął Rosemont. - Znaleźliście już Tsu-iana?

- Nie. Bezpiecznie dostał się do Tajpej, a potem zniknął.

- Myślisz, że ma tam swoją kryjówkę?

- Łatwo to sobie wyobrazić - rzekł Crosse. W głębi duszy przypuszczał, że Tsu-ian już nie żyje, a wyeliminowali go albo nacjonaści, albo komuni-

ści, albo mafia, albo triada. Ciekawe, czy był podwójnym agentem. A może największym przekleństwem wszystkich służb wywiadowczych: potrójnym agentem?

330

- Znajdziecie go. Jak nie, dorwiemy go my albo chłopaki z Tajwanu.

- Roger, czy Worański naprowadził cię na jakiś trop? - zapytał Langan.

- Nie. Mimo że mieliśmy o nim informacje z ostatnich kilku lat. Pracował w Radzieckiej Komisji Handlowej w Bangkoku, jakiś czas przebywał w Hanoi i Seulu, ale nie wiemy nic o jego działalności podziemnej. Raz nawet skurczybyk wystąpił o brytyjski paszport i prawie dostał. Na szczęście nasi ludzie przejrzeni jego wniosek. Szkoda, że nie żyje. Wiecie, jak trudno teraz takiego zidentyfikować. Ogromna strata czasu i duży wysiłek. - Crosse przerwał, aby zapalić papierosa. - Major to dość wysoki stopień, a to oznacza, że coś tu śmierdzi. Może to jeszcze jeden z tych specjalistów wysłanych na podbój Azji, pewnie miał się zaszyć na jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat.

- Te łajdaki snują długoterminowe plany! - westchnął Rosemont. - Co zrobiliście z ciałem?

Crosse uśmiechnął się.

- Wysłałem jednego z moich ludzi do kapitana statku, Gregora Suslewa.

Należy oczywiście do partii, ale jest zupełnie nieszkodliwy. Ma tu dziewczynę z mieszkaniem w Mong Kok. To barmanka, którą skromnie opłaca, a ona zabawia go, gdy tu przyjeżdża. Bywa na wyścigach, w teatrze, czasami w Makau nie pogardzi hazardem, dobrze mówi po angielsku. Cały czas go śledzimy. Nie chciałbym, żeby jakiś wasz nie przemyślany strzał odbił się potem na którymś z naszych szpiegów.

- Więc Suslew bywa tu regularnie?

- Tak. Od wielu lat pływa po tych wodach, pochodzi z Władywostoku.

Nawiasem mówiąc, służył kiedyś na łodzi podwodnej. Jak przyjeżdża do nas, lubi sobie jeszcze zanurkować.

- Co masz na myśli?

- Pije, chociaż nie tak strasznie. Urządza hulanki z naszymi brytyjskimi kwiatuskami, z Samem i Molly Finn.

- To ci, co zawsze piszą listy do gazet?

- Tak. Są bardziej nieprzyjemni niż niebezpieczni. W każdym razie nasz mówiący po rosyjsku człowiek powiedział kapitanowi Suslewowi, że jest nam strasznie przykro, ale wszystko wskazuje na to, że jeden z jego marynarzy dostał zawału serca w budce telefonicznej obok przystani Golden Feny.

Suslew był wstrząśnięty, ale w granicach rozsądku. Tam na statku pracują profesjonaliści i potrafili się oczywiście domyślić, że nie pozbywamy się agentów bez naprawdę ważnej przyczyny. Wiedzą, że śledzimy takiego, zbieramy o nim informacje, a jeśli nas naprawdę rozgniewa, deportujemy go.

- Crosse popatrzył na Rosemonta. Mówił rzeczowym tonem, opanowany. -

Uznaliśmy, że nasze metody odnoszą lepsze skutki niż nóż, kula czy trucizna.

331

- Ale kto mógłby chcieć go zabić? - drażył pracownik CIA.

Crosse jeszcze raz spojrzął na zdjęcie. Nie znał tych Chińczyków, lecz wyraźnie było widać zarówno ich twarze, jak i ciało zabitego.

/

- Kimkolwiek są, odnajdziemy ich. Ten, co dzwonił na policję, mówił, że należą do 14K, ale to mało prawdopodobne, bo znał tylko szanghajski dialekt ning-po. Pewnie był z jakiejś triady. Może z

Zielonej Pang. Cecho wał go niewątpliwie profesjonalizm. Ciosu nożem dokonał z ogromną precyzją. Śmierć nastąpiła momentalnie. Mógł być na przykład jednym z waszych agentów CIA wyszkolonych specjalnie dla Czang Kai-szeka. Albo z koreańskiego CIA. Oni też są przeciwko Sowietaom, prawda? Albo agentem ChRL, ale to nie wchodzi w rachubę. Oni raczej nie mordują *quai loh*, zwłaszcza nie w Hongkongu.

Rosemont pokiwał głową i nie przerywał ciszy. Podał Crosse'owi pozostałe zdjęcia. Potrzebował jego współpracy.

- To zdjęcia domu, do którego weszli po zabójstwie. I nazwa ulicy. Nasz człowiek nie potrafił odczytać tych znaków, ale przetłumaczyliśmy je: „Ulica Pierwszej Pory Roku numer 14”. To taka mała uliczka na tyłach zajezdni autobusowej w North Point.

Crosse przeglądał fotografie w największym skupieniu. Rosemont spojrzął na zegarek, podniósł się i zbliżył do okna.

- Patrzcie! - zawołał z dumą.

Obydwaj podeszli do niego. Do portu po stronie Hongkongu zawijał

wielki lotniskowiec nuklearny. Wszystkie bandery powiewały na wietrze, na pokładzie zgromadzili się ubrani w białe mundury marynarze, obok nich stał rząd odrzutowych myśliwców. Prawie osiemdziesiąt cztery tysiące ton.

Żadnego komina, jedynie rozbudowany mostek kapitański i trzystumetrowy pas startowy dostosowany do jednoczesnych startów i lądowań. Pierwszy taki statek tej generacji.

- Niezły - odezwał się z zawiścią w głosie Crosse. Kolos ten po raz pierwszy od wodowania w 1960 roku wpływał do Hongkongu. - Piękny -

zachwycił się, żałując, że statek należy do Amerykanów, a nie do Brytyjczyków. - Jaką może osiągnąć prędkość?

- Nie wiem. Tak jak wszystko inne o nim, to tajemnica. - Rosemont spojrzął na Crosse'a. - Nie możecie wysłać tej sowieckiej łajby w diabły?

- Tak, możemy ją nawet wysadzić, ale to głupota. Spokojnie, Stanley.

Nie bądź takim barbarzyńcą. Naprawiamy im statki i mamy dzięki temu spore dochody oraz możliwości nawiązywania kontaktów wywiadowczych.

Poza tym oni regularnie płacą rachunki. Od wielu lat ze sobą współpracujemy.

Tak, pomyślał bez żalu Rosemont, to już nie to co dawniej. Nie istnieje już Imperium Brytyjskie, nie ma brytyjskiego radzatu. I przeciwnik się zmienił, teraz za wrogów mamy przebiegłych, zapalczywych fanatyków totalita-332

ryzmu. Wy, Brytyjczycy, nie posiadacie ani pieniędzy, ani marynarki, ani piechoty, ani lotnictwa, a w waszym cholernym rządzie pełno socjalistów i ukrytych wrogów. Nam się wydaje, że oni was zgubią. Klaus Fuchs i Phil-by to tylko początek. Jezu, wygraliśmy za was dwie wojny, zapłaciliśmy za to wysoką cenę, a wy nadal nie potraficie utrzymać pokoju. Gdyby nie nasze lotnictwo, nasze działa, nasza broń nuklearna, nasza marynarka, nasza piechota, nasi podatnicy i nasze pieniądze, bylibyście trupami albo wywieźliby was na cholerną Syberię. A tymczasem, czy nam się to podoba, czy nie, musimy z wami pertraktować. Potrzebny nam Hongkong jako okno na świat i wasi policjanci do pilnowania lotniskowca.

- Dziękuję za dodatkowych ludzi, Rog - powiedział. - Na pewno nam się przydadzą.

- My też nie chcemy kłopotów podczas jego pobytu.

- Kapitan będzie trzymał statek i załogę w ryzach. Skróci przepustki na ląd i ostrzeże ludzi. My będziemy ściśle współpracować.

- Dopilnuję, żebyście dostali listę barów, od których marynarze powinni trzymać się z daleka. Wiadomo, że w niektórych bywają komuniści, a w innych nasi chłopcy z HMS „Dart”. - Crosse uśmiechnął się. - Ale i tak nie unikniemy rozrób.

- Jasne, Rog. Zabójstwo Worańskiego to coś więcej niż zbieg okoliczności.

Mam ci podesłać do pomocy w przesłuchaniu faceta, który biegle zna szanghajski?

- W razie potrzeby dam ci znać.

- Możemy teraz dostać kopie innych raportów Alana Medforda dla tai-pana? Będziesz nas miał z głowy.

Mimo że Crosse przygotował się na takie pytanie, niespokojnie spojrzał na Rosemonta.

- Muszę dostać pozwolenie z Whitehall.

Rosemont nie krył zaskoczenia.

- Nasz najważniejszy człowiek w Anglii rozmawiał o tym z twoim Wielkim Białym Ojcem i wszystko zostało ustalone. Powinieneś mieć to pozwolenie godzinę temu.

- Tak?

- Jasne. Nie mieliśmy pojęcia, że Alan Medford dostawał pensję od tai-pana. Podniesiono alarm dopiero wtedy, gdy Ed dostał kopię testamentu Medforda. Waszyngton kazał nam się skupić na zdobyciu kopii raportów i mamy też pójść tropem telefonu do Szwajcarii, ale...

- Możesz powtórzyć?

- Telefonu Kiernana. Drugiego.

- Nie rozumiem.

Rosemont wyjaśnił.

333

Crosse zmarszczył brwi.

- Moi ludzie nic mi o tym nie mówili. Dunross też. Dlaczego Dunross miałby kłamać czy nie mówić mi wszystkiego? - Dokładnie przytoczył sło-

/

wa Dunrossa. - On nie ma powodu, żeby coś ukrywać, prawda?

- Nie, ale czy tai-pan jest „koszerny”?

Crosse roześmiał się.

- Jeśli pytasz, czy jest stuprocentowym brytyjskim rojalistą służącym swojej firmie, sobie i królowej, to moja odpowiedź brzmi: zdecydowanie tak.

- Możesz więc dać nam te kopie, Rog, musimy już iść.

- Gdy tylko dostanę zgodę z Whitehall.

- Sprawdź w swojej pracowni rozszyfrowywań. Priorytet l-4a. Wynika z niego, że możesz wydać nam raporty na żądanie.

l-4a zdarzał się rzadko. Używano go, gdy trzeba było coś wyjaśnić natychmiast lub bezzwłocznie podjąć działanie.

Crosse zawahał się. Chciał wydostać się z pułapki, w którą wpadł. Nie ośmieli się powiedzieć im, że nie ma jeszcze tych raportów. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Mówi Crosse. Jest coś dla mnie ze źródła? l-4a?

- Nie. Tylko ten sprzed godziny, który już pan podpisał - powiedział

kobięcy głos.

- Dziękuję. - Odłożył słuchawkę. - Jeszcze nie - oznajmił.

- Cholera! - burknął Rosemont. - Obiecali, że wyślą natychmiast i dojdzie, zanim my zdążymy tu przyjść. Poczekamy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Zaraz mam spotkanie w centrum. Może zobaczymy się wieczorem?

Obydwaj pokręcili głowami.

- Poczekamy - zdecydował Langan. - Mamy rozkaz odesłać je pod ścisłą strażą natychmiast. Na Kai Tak już czeka transportowiec do przerzucenia kuriera. Nie wolno nam nawet ich skopiować.

- Czy wy nie przesadzacie?

- Ty możesz na to odpowiedzieć. Co zawierają te akta?

Crosse bawił się zapalniczką z wygrawerowanym godłem uniwersytetu w Cambridge. Miał ją jeszcze z czasów studenckich.

- Czy to prawda, co Medford napisał o CIA i mafii?

Rosemont spojrział mu w oczy.

- Nie wiem. Podczas wojny wasi ludzie nauczyli nas wykorzystywać wszystko, co się ma. To była wasza najważniejsza zasada. Poza tym -

Rose

mont mówił z największym przekonaniem - ta wojna jest nasza i cokolwiek o tym sądzisz, mamy zamiar ją wygrać.

334

- Tak, musimy - dodał Langan. - Bo w przeciwnym razie zawali się cały świat i zostaniemy bez szans.

Z mostku kapitańskiego na okręcie „Radziecki Iwanow” trzech ludzi obserwowało przez lornetki wpływający do portu lotniskowiec. Jeden z nich -

cywil, do sprytnie zamontowanego mikrofonu magnetofonu podawał na bieżąco techniczne szczegóły amerykańskiego statku. Od czasu do czasu któryś z dwóch pozostałych dodawał jakieś komentarze od siebie. Obydwaj byli ubrani w jasne marynarskie mundury. Jednym z nich był kapitan Suslew, a drugim jego pierwszy oficer.

Lotniskowiec wpływał z majestatyczną godnością, holowniki stały w pogotowiu.

Syreny frachtowców i statków kursowych wyły wesoło na powitanie. Na rufie grała orkiestra. Ubrani na biało marynarze kiwali do przepływających statków. Dzień był

parny, a popołudniowe słońce wydłużało cienie.

- Kapitan musi być prawdziwym fachowcem - odezwał się pierwszy oficer.

- Tak. Ale z tyloma radarami nawet dziecko potrafiłoby pokierować tym statkiem - odparował

kapitan Suslew. Był barczystym, brodatym mężczyzną z głęboko osadzonymi w przyjaznej twarzy brązowymi, słowiańskimi oczami. - Tam na górze chyba są te nowe radary dalekiego zasięgu, prawda Wasilij?

Ekspert techniczny w jednej chwili przerwał transmisję.

- Tak, towarzyszu kapitanie. Ale proszę spojrzeć na rufę! Po prawej stronie stoją cztery wyrzutnie F5.

Suslew cmoknął.

- Nikt nie oczekiwał, że pojawią się w użyciu przed przyszłym rokiem.

- No właśnie - potwierdził cywil.

- Proszę zameldować o tym oddzielnie, gdy statek tylko zadokuje. Sama ta wiadomość warta jest naszej wyprawy.

- Rzeczywiście.

Suslew poprawił ostrość lornetki. Widział nośniki bomb samolotowych.

- Ciekawe, ile jeszcze mają F5 i głowic jądrowych w środku.

Dłuższą chwilę wszyscy w milczeniu obserwowali lotniskowiec.

- Może tym razem nam się poszczęści, towarzyszu kapitanie - odezwał się pierwszy oficer.

- Miejmy nadzieję. Wtedy śmierć Worańskiego nie byłaby zbyt wygórowaną ceną.

- Głupio ze strony Amerykanów, że sprowadzili tutaj ten okręt. Nie wiedzą, że będzie kusił każdego agenta w Azji?

- Dla nas to dobrze. Mamy łatwiejsze zadanie. - Suslew po raz kolejny skoncentrował się na F5 wyglądających jak wojownicy szerszeni.

335

Za nim znajdował się mostek wyposażony w sprzęt najwyższej jakości.

Jeden z radarów cały czas kontrolował przystań. Siwowłose marynarz, siedząc nieruchomo obserwował ekran. Światelko przedstawiające lotniskowiec wyróżniało się spośród innych wielkością i jasnością.

Suslew oderwał wzrok od ogromnego rozbudowanego mostka lotniskowca i zlustrował resztę kadłuba. Zdziwiła go jego długość.

- Podobno nie tankowali od 1960 roku.

Otworzyły się drzwi do znajdującej się obok kabiny łącznościowej, wszedł radiooperator, zasalutował i podał depeszę.

- Pilne z Centrum, towarzyszu kapitanie.

Suslew pokwitował odbiór. Depesza zawierała zbiór pozbawionych znaczenia słów. Po raz ostatni spojrzął na lotniskowiec, powiesił lornetkę na szyi i zszedł z mostka.

Jego kabina znajdowała się na tym samym poziomie na rufie. Podobnie jak przy większości przejść przed drzwiami stali strażnicy.

W środku przekręcił klucz w drzwiach i otworzył mały, dobrze ukryty sejf. Za podwójną ścianą znajdowała się księga kodów. Usiadł za biurkiem.

Pośpiesznie rozszyfrował depeszę. Przeczytał ją uważnie, a potem wpatrywał się chwilę przed siebie.

Przeczytał depeszę po raz drugi, schował księgę szyfrów, zamknął sejf i spalił oryginał przesyłki w popielniczce. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Mostek? Przyślijcie towarzysza Metkina do mojej kabiny! - Czekając na niego, w zamyśleniu patrzył przez luk. W kabinie panował nieład. Na biurku stała oprawiona w ramkę fotografia tęgiej kobiety z wymuszonym uśmiechem. Na drugim zdjęciu był przystojny młodzieniec w marynarskim mundurze, a na trzecim dziewczyna. Książki, gazety i rakietka tenisowa leżały na nieposłanej koi.

Pukanie. Otworzył drzwi. W progu stał marynarz, który siedział poprzednio przed ekranem radaru.

- Proszę, Dimitrij. - Przekręcając klucz w zamku, wskazał na rozszyfrowaną depeszę.

Marynarz miał siwe włosy i miłą twarz, był niski. Oficjalnie zajmował na statku stanowisko oficera politycznego. Podniósł kartkę. Przeczytał: „Gregor Suslew. Sprawa bezwzględnie priorytetowa. Natychmiast proszę przejąć obowiązki Worańskiego. Londyn donosi, że CIA i MI-5 interesują się informacjami zawartymi w niebieskich teczkach przesyłanych łanowi Dunrossowi z kompanii Struanów przez współpracownika brytyjskiego wywiadu, niejakiego AMG. Proszę rozkazać Arthurowi, aby natychmiast przejął te czki. Jeśli Dunross zniszczył je, zadeszuj o możliwości uprowadzenia go na dogłębne przesłuchanie przy użyciu środków farmakologicznych". Spojrzął na Suslewa.

336

- AMG? Alan Medford Grant? - Tak.

- Oby na wieki smażył się w piekle!

- Jeśli istnieje na świecie albo poza nim jakaś sprawiedliwość, właśnie to go czeka. - Suslew uśmiechnął się. Podszedł do szafki i wyjął butelkę do połowy napełnioną wódką oraz dwa kieliszki. - Posłuchaj, Dimitrij. Jeśli wpadnę albo nie wrócę, ty przejmiesz dowodzenie. - Podał mu kluczyk. -

Otwórz sejf. Tam znajdziesz instrukcje dekodowania depesz i wszystko inne.

- Pójdę dzisiaj za ciebie. Ty jesteś ważniejszy...

- Dziękuję, przyjacielu, ale nie. - Suslew poklepał go serdecznie po plecach. - Jeśli coś się stanie, przejmiesz dowództwo i poprowadzisz dalej naszą misję. Po to właśnie nas szkolono. - Stuknęli się kieliszkami. - Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze - uspokajał. Był zadowolony, że może robić to, co chce, że ma taką pracę i taką pozycję. Był tajnym azjatyckim koordynatorem Wydziału Pierwszego, Departamentu Szóstego KGB. Odpowiadał za działania w Chinach, Korei Północnej i Wietnamie. Zajmował

także stanowisko starszego wykładowcy na Wydziale Spraw Zagranicznych Uniwersytetu we Władywostoku, interesował się kontrwywiadem. Doszedł

w KGB do stopnia pułkownika.

Ale najbardziej szczyił się tytułem starszego członka partii. - Centrum wydało takie polecenie. Ty musisz służyć tutaj.

- Oczywiście. Nie musisz się o to martwić, Gregor. Podołam wszystkim mu. Tylko martwię się o ciebie - powiedział Metkin. Od wielu lat pływali razem i szanował Suslewa, chociaż zupełnie nie wiedział, dlaczego Gregor cieszył się u niego tak wielkim autorytetem. Czasami zastanawiał się nad tym. Starzejesz się, myślał. Zostaniesz zwolniony i może się okazać, że po trzebujesz wysoko postawionych przyjaciół. A jedyny sposób, aby skorzy stać z ich władzy, to dokładnie ich znać. Suslew czy nie, warto dostać wyso ką odprawę i osiąść spokojnie w domu na Krymie. Serce Metkina zabiło mocniej na myśl o wspaniałym klimacie i cudownych krajobrazach znad Morza Czarnego. Całe życie marzył o tym, że nie będzie musiał rozstawać się z żoną, będzie co jakiś czas widywał się z synem - obecnie oficerem KGB w Waszyngtonie - i znikąd nie zagrozi mu niebezpieczeństwo.

O Boże, chroń mojego syna przed zdradą albo popełnieniem jakiegoś błędu, modlił się często i zawsze wtedy od razu czuł napływającą falę nie-smaku, na wypadek gdyby przełożeni odkryli, że jest potajemnie wierzący, bo tak go wychowali rodzice wieśniacy. Jeśliby faktycznie zwierzchnicy o tym wiedzieli, zamiast powrócić na Krym znalazłby się w o wiele chłodniejszym klimacie i już nigdy nie zamieszkałby w prawdziwym domu.

- Worański - powiedział, tłumiąc nienawiść, jaką z całego serca do nie go żywił - był najważniejszym operatorem, nie? Na czym się poślizgnął?

337

- Jego problem polegał na tym, że został zdradzony - wyjaśnił Suslew. -

Znajdziemy jego morderców i odpłacą nam za niego. Jeśli następny na liście jestem ja. ... - Wzruszył

ramionami, a potem dolał wódki i roześmiał się głośno. - I co z tego? To w imię sprawy, w imię partii i matuszki Rossiji!

Stuknęli się kieliszkami i wychylili do dna.

- Kiedy chcesz zejść na ląd?

Suslew skrzywił się po wódce, a później poczuł wielkie ciepło, sprawiające, że niepokój i zagrożenie stawały się mniej rzeczywiste. Podszedł do luku.

- Jak tylko bezpiecznie przycumują. Ech, mimo wszystko to piękny okręt, no nie?

U nas nic mu nie dorównuje, prawda, kapitanie? I te myśliwce.

Suslew uśmiechnął się i polał.

- Prawda, towarzyszu. Ale jeśli wróg nie ma dość silnej woli, żeby odeprzeć atak, na nic się nie zda i sto takich lotniskowców.

- Tak, ale Amerykanie są omylni. Wystarczy, że któryś generał się po-

śpieszy, i mogą zmieść nas z powierzchni ziemi.

- Teraz mogą, ale nie zrobią tego. Brakuje im ikry. - Suslew wypił zawartość kieliszka. - A w przyszłości? Jeszcze tylko trochę czasu i utrzymamy im nosa! - Westchnął. - Jak my zaczniemy, wszystko będzie dobrze.

-1 strasznie!

- Nie, krótka, prawie bezkrwawa wojna z Ameryką, a potem reszta do-

łączy sama.

- Bezkrwawa wojna? A co z ich bombą atomową? A z wodorową?

- Nigdy ich przeciwko nam nie użyją. Za bardzo się boją, bo wiedzą, że my się nie zawahamy.

- Naprawdę?

- Nie wiem. Wie to tylko kilku dowódców. Ja nie. Na pewno wystrzeli-libyśmy w odpowiedzi. Ale jako pierwsi? Nie mam pojęcia. Jak dotąd wystarcza sama groźba. Bomba na pewno nie będzie potrzebna. - Podpalił rożek rozszyfrowanej depeszy i włożył ją do popielniczki. - Czeka nas kolejne dwadzieścia lat odkładania wszystkiego na później. Mamy więcej i lepszych marynarzy, więcej i lepszych lotników, więcej czołgów, więcej ludzi, ale bez statków i samolotów musimy czekać. Dwadzieścia lat oczekiwania na to, że matuszka Rossija zapanuje nad światem, to wcale nie tak długo.

- A Chiny? Co z Chinami?

Suslew wypił wódkę i jeszcze raz napełnił kieliszki. Butelka była już pusta, więc rzucił ją na koję. Widział, jak w popielniczce wije się rozpalony papier.

- Być może Chiny to jedyne miejsce, gdzie użyjemy bomby atomowej -

zawyrokował. - My od nich niczego nie potrzebujemy. Niczego. I raz na 338

zawsze mielibyśmy problem Chin z głowy. Ilu **oni** mogą mieć ludzi w wieku poborowym?

- Sto szesnaście milionów mężczyzn w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat.

- Pomyśl tylko! Sto szesnaście milionów żołtków napierających na pięć tysięcy mil granicy... A mówią, że mamy bzika na punkcie Chin! - Przechylił

kieliszek. - Bomba atomowa rozwiązałaby ten problem. Łatwo, szybko i skutecznie.

Metkin pokiwał głową.

- A co z Dunrossem i dokumentami od Medforda?

-Zdobędziemy te teczki. Słuchaj, Dimitrij, jeden z naszych ludzi należy do rodziny, drugi jest współnikiem Dunrossa, kolejny w Wywiadzie Specjalnym. Gdzie się obrócisz, natykasz się na Arthura i Sevrin, poza tym mamy kilku wywrotowców w parlamencie, kilku w rządzie. - Obaj zanieśli się śmiechem.

- A jeśli Dunross zniszczył raporty?

Suslew wzruszył ramionami.

- Podobno ma fotograficzną pamięć.

- Chcesz tutaj przeprowadzić przesłuchanie?

- Dogłębne przesłuchanie za pomocą środków farmakologicznych może być niebezpieczne. Nigdy czegoś takiego nie robiłem. A ty?

- Też nie.

Kapitan zmarszczył brwi.

- Jak będziesz wieczorem składał raport, powiedz, żeby centrala trzy mała w pogotowiu naszego fachowca Korońskiego z Władywostoku.

Dimitrij skinął w zamyśleniu głową. Wpadł mu w oko leżący na kapitańskiej koi egzemplarz „Guardian”. Podeszedł i podniósł gazetę. Nagłówek głosił: *Podjeżrzani w sprawie Wilkołaków*.

- Gregor, skoro i tak mamy przytrzymać Dunrossa, czemu nie posunąć się dalej? Wtedy będziemy mieć tyle czasu, ile potrzeba. Jeśli Dunross zniknie, to być może tai-panem zostanie nasz człowiek, nie?

Suslew zachichotał.

- Dimitrij, jesteś genialny.

Rosemont spojrział na zegarek. Czekał już długo.

- Rog, mogę zadzwonić?

- Oczywiście - powiedział Crosse.

Pracownik CIA zgasił papierosa i wybrał numer centrali CIA w konsulacie.

- Mówi Rosemont. Dajcie mi 2022. - Było to centrum komunikacyjne CIA.

339

- 2022 Chapman. Kto mówi?

- Rosemont. Cześć, Phil, co nowego?

- Nic. Tylko Marty Povitz donosi, że z mostku „Iwanowa” trzech ludzi z dalekosiężnymi lornetkami wpatruje się w lotniskowiec. Cywil, kapitan i pierwszy oficer. Cały czas działa jeden z ich radarów. Mamy zawiadomić kapitana „Corregidora”?

- Nie, nie ma potrzeby robić zamieszania. Phil, możesz sprawdzić, kiedy dostaliśmy zgodę na 40-41?

- Jasne. Czekaj chwilę... O szesnastej trzy czasu lokalnego.

- Dzięki, Phil, do zobaczenia.

Rosemont zapalił następnego papierosa. Niepalący Langan zmierzył go pełnym dezaprobaty wzrokiem, ale nic nie powiedział, ponieważ Crosse też palił.

- Rog, co ty kręcisz? - zapytał ochryłym głosem Rosemont. - Dostałeś Priorytet 1-4a trzy po szesnastej tak samo jak my. Dlaczego opóźniasz akcję?

- Bo mi się tak podoba - odpowiedział łagodnie.

Rosemont zrobił się czerwony na twarzy, Langan również.

- Ale nam nie. A mamy instrukcje, oficjalne instrukcje, żeby natychmiast zabrać kopie.

- Tak mi przykro, Stanley. Rosemont starał się

nad sobą panować.

- Nie chcesz chyba nie wykonać 1-4a?

- Tylko na razie.

Rosemont wstał i ruszył do drzwi.

- Dobrze, Rog, ale pożałujesz tego. - Otworzył zasuwę, pociągnął za drzwi i wyszedł.

Langan także wstał z miejsca.

- Roger, dlaczego?

- Co dlaczego? - Crosse wpatrywał się w niego ze spokojem. Ed Langan zezłościł się, ale powstrzymał gniew.

- Jezu, Roger, jeszcze ich nie masz, tak? Mam rację?

- Daj spokój, Ed. Ty najlepiej powinieneś wiedzieć, że jesteśmy skuteczni.

- To żadna odpowiedź. Masz je czy nie? - Pracownik FBI twardo nie spuszczał wzroku z Crosse'a, ale ani trochę go tym nie speszył. Potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Crosse natychmiast nacisnął ukryty przycisk i zasuwka wróciła na swoje miejsce. Drugim przyciskiem wyłączył magnetofon. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Brian? Masz jakieś wieści od Dunrossa?

- Nie, sir.

340

- Spotkamy się zaraz na dole. Armstrong też.

-Tak jest.

Crosse odłożył słuchawkę. Wyjął dwa formularze z nagłówkiem „Oficjalny nakaz zatrzymania”. Szybko wpisał w odpowiednią rubrykę „Ian Struan Dunross” i podpisał obydwa egzemplarze. Jeden zatrzymał przy sobie, a drugi zamknął w szufladzie. Spojrzał na gabinet, aby sprawdzić, czy coś nieodpowiedniego nie zostało na wierzchu. Zadowolony, delikatnie położył na brzegu szuflady skrawek papieru, tak aby mógł dowiedzieć się, czy ktoś ją otwierał albo usiłował to zrobić. Wyszedł. Za nim zamknęły się ciężkie zasuwki.

23

17:45

Dunross i pozostali szefowie Nelson Trading siedzieli w sali posiedzeń Struanów. Patrzyli na Richarda Kwanga.

- Niestety, Richard, nie mogę czekać do jutra.

- Przecież ci to nie sprawi żadnej różnicy, tai-pan. A mnie tak. - Richard Kwang zalewał się potem. Obserwowali go Phillip Czen, Lando Mata i Sterowiec Tung.

- Nie zgadzam się, Richard - odezwał się ostro Lando Mata. - Madonna, ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji!

- Właśnie! - dołączył się Sterowiec Tung z wykrzywioną od gniewu twarzą.

Dunross westchnął. Wiedział, że gdyby nie jego obecność, krzyczeli by na siebie, nie przebierając w słowach, jak zawsze bywa podczas negocjacji między Chińczykami. Jednak tu był Noble House i wszystkie spotkania prowadzono na sposób angielski, nie dopuszczający chińskich przekleństw i wrzasków.

- Richard, musimy teraz załatwić wszystko do końca.

- Jestem za powiedział Lando Mata. Miał miłą twarz, ostre portugalskie rysy, dobiegał pięćdziesiątki; czarne oczy i włosy oraz złota cera zdradzały chińskie pochodzenie jego matki. Bezustannie bębnił długimi palcami w stół

konferencyjny i wiedział, że Richard Kwang nigdy nie ośmieli się wyjawić, że Tung Zaciśnięta Pięść i spadkobiercy Szmuglera Mo mają udziały w banku.

Bank to jedno, myślał ze złością, a złoto drugie. - Nie możemy naszego złota ani pieniędzy narażać na niebezpieczeństwo!

341

- Nigdy - zapewnił Sterowiec Tung nerwowym głosem. - Ojciec kazał mi to wyraźnie przekazać. Chce swoje złoto!

- *Mądre de Dios*, mamy prawie pięćdziesiąt ton waszego złota.

- Ponad pięćdziesiąt - sprostował Sterowiec Tung. Na czoło wystąpił mu pot. - Ojciec podał mi dokładne liczby. Milion siedemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt osiem uncji w dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu tysiącach siedmiuset siedemdziesięciu ośmiu pięciotaelowych sztabkach. - Mimo otwartych okien powietrze w sali było ciepłe i wilgotne. Sterowiec Tung był elegancko ubranym przysadzistym czterdziestolatkiem. Miał

skośne oczy. Był najstarszym synem Tunga Zaciśnięta Pięść. Mówił po angielsku z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer. Przewisko nadał

mu ojciec w dniu urodzin, kiedy obejrzał właśnie film o sterowcach. -Zgadza się, Richard?

Richard Kwang przejrzał notatki zawierające aktualny bilans złota Nelson Trading. Jeśli będzie musiał wydać złoto i gotówkę, płynność banku zostanie poważnie zachwiana, a jeśli wiadomość ta wyjdzie na jaw, atak się stanie na pewno, na nic się zdadzą wszystkie jego wysiłki.

- I co zamierzasz robić, zakuta pało! - wrzeszczała na niego żona, zanim wyszedł do biura.

- Grać na zwłokę i mieć nadzieję...

- Nie! Udaj, że zachorowałeś. A jak jesteś chory, nie możesz wydać im pieniędzy. Nie wolno ci iść na to spotkanie! Zamkniesz się w domu i bę-

dziemy udawać...

- Nie mogę. Tai-pan dzwonił osobiście. Tak samo ten łajdak Mata! Nie ośmieliłbym sienie pójść. O... o... o...!

- No to dowiedz się, kto podkłada ci świnię i zemścij się! Ruszże głową!

Musisz kogoś oskarżyć. Najlepiej któregoś z tych wstrętnych *quai loh*.

Poszukaj go i zemścij się, bo inaczej stracimy bank, członkostwo w klubie jeździeckim, konie, rollsa i twarz! *Aiii ia*! Jeśli bank upadnie, nie będziesz już sir Richard Kwang, a ja lady Kwang. Zrób coś! Poszukaj...

Richard Kwang czuł, jak pot spływa mu po plecach, ale nadal uporczywie szukał jakiegoś wyjścia.

- Wasze złoto jest najzupełniej bezpieczne. Gotówka również. Od samego początku obsługiwaliśmy Nelson Trading i nigdy nie było z nami najmniejszego choćby kłopotu. Kiedyś było trudno...

- Daj spokój, Richard - przerwał Mata, kryjąc złość. - Nie możesz ryzykować utraty złota, naszego złota. - Złoto należało do kompanii Wielkie Szcze-

ście w Makau, która od prawie trzydziestu lat miała także monopol na hazard.

Obecna wartość kompanii wynosiła ponad dwa miliardy dolarów. Tung Zaci-

śnięta Pięć posiadał trzydzieści procent, Lando Mata czterdzieści, a spadkobiercy zmarłego w zeszłym roku Szmuglera Mo pozostałe trzydzieści.

342

I tak między nami mówiąc, myślał Mata, posiadamy pięćdziesiąt procent Ho-Pak, który ty wystawiłeś na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Przykro mi, Richard, ale głosuję za tym, żeby Nelson Trading zmieniła bank.

Przynajmniej na jakiś czas. Tung Zaciśnięta Pięć naprawdę się niepokoi... . Ja mam też

pełnomocnictwo rodziny Czin.

- Lando, nie ma się czym martwić. - Richard Kwang wskazał na leżącą na stole otwartą gazetę. - W nowym artykule Haply powtarza, że wszystko to wywołana przez wrogich bankierów burza w muszli ostrygi.

- Możliwe. Ale Chińczycy wierzą w plotki, a napływ ludzi wycofujących wkłady jest faktem - odparł ostro Mata.

- Mój ojciec też wierzy w plotki - wtrącił rozgorączkowany Sterowiec Tung. -

Wierzy też Wu Cztery Palce. A ten dzwonił do niego po południu i mówił, że wyciągnął wszystkie swoje pieniądze i radził zrobić to samo. Za godzinę razem z Landem lecieliśmy już cataliną do ciebie, chociaż strasznie nie cierpię latania.

Richard, wiesz, że jak mój ojciec chce coś natychmiast, to musi to dostać naprawdę natychmiast.

Tak, pomyślał z niesmakiem Richard Kwang, ten stary sknerus wyszedłby z grobu nawet po pięćdziesiąt centów.

- Proponuję zaczekać dzień albo...

Dunross pozwolił, żeby dla zachowania twarzy trochę sobie porozmawiali. Sam już zdecydował, co robić. Nelson Trading prawie w całości należała do Struanów, więc pozostali mieli niewiele do gadania. Chociaż Nelson Trading posiadała wyłączną koncesję na import złota, bez kompanii Wielkie Szczęście - to znaczy bez Lando Maty i Tunga Zaciśnięta Pięść - jej zyski wynosiłyby niemal zero.

Nelson Trading zyskiwała dolara na każdej uncji importowanej w celu wysłania do Makau, a także następnego dolara na uncji wyeksportowanej z Hongkongu.

Jako dalsze wynagrodzenie pobierała dziesięć procent rzeczywistego zysku za wymyślenie całej operacji. W tym roku rząd japoński ustalił cenę złota na 55

dolarów za uncję, a zatem piętnaście dolarów zysku na uncji. Na czarnym rynku jeszcze więcej. W Indiach prawie 98 dolarów.

Dunross spojrzął na zegarek. Za kilka minut miał przyjść Crosse.

- Mamy ponad miliardowe aktywa, Lando - powtarzał Richard Kwang.

- Dobrze - urwał zdecydowanie Dunross, kończąc zebranie. W takim razie jeden dzień nie sprawi ci żadnej różnicy. Nie ma na co czekać. Jestem już umówiony, że punktualnie o ósmej pod boczne drzwi podjadą nasze ciężarówki.

-Ale...

- Dlaczego tak późno, tai-pan? - zapytał Mata. - Nie ma jeszcze szóstej.

- Wtedy już się ściemnia, Lando. Wolałbym za dnia nie przerzucać pięćdziesięciu ton złota. Mogą się kręcić jacyś wieśniacy. Wiesz jak to jest, nie?

343

- O Boże. . Masz na myśli triady? - Sterowiec Tung przeraził się wstrząśnięty. -

Zadzwoń do ojca. Przyśle dodatkowe straże.

- Dobrze - przystał Mata. - Dzwon od razu.

- Nie trzeba - wtrącił się Dunross. - Policja radzi, żeby nie robić widowiska.

Powiedzieli, że będą pilnować z ukrycia.

Mata zawahał się.

- Skoro tak uważasz, tai-pan. Na twoją odpowiedzialność.

- Oczywiście - powiedział spokojnie Dunross.

- Skąd mamy pewność, że w Victorii złoto będzie bezpieczne?

- Jeśli upadnie Victoria, to i nas nie będzie w Chinach. - Dunross podniósł

słuchawkę telefonu i wybrał prywatny numer Johnjohna w banku. -Bruce? Mówi Ian.Potrzebujemy twojego podziemia. Dokładnie o ósmej trzydzieści.

- Świetnie. Pomogą wam nasi strażnicy. Podjedźcie pod boczne wejście od ulicy Dirka Struana.

- Dobrze.

- Policja jest poinformowana? -Tak.

- W porządku. I jeszcze jedno, łan... Jest z tobą Richard? -Tak.

- Zadzwoń do mnie, jak będziesz mógł. Wieczorem złapiesz mnie w domu.

Rozglądałem się trochę i sędzę, że jego sytuacja nie wygląda za dobrze. Moi chińscy koledzy bankierzy są podenerwowani. Nawet w Mok-tung w Aberdeen zwiększyły się wypłaty. U nas też. Oczywiście przekazemy Richardowi pieniądze potrzebne na zapewnienie bezpieczeństwa, ale na twoim miejscu wypłaciłbym od niego wszystkie pieniądze jeszcze dziś wieczór. Dobrze by było, żeby dzisiaj w nocy Blacs dokonał rozliczenia twojego czeku. - Wszystkie rozrachunki dokonywane były pięć razy tygodniowo o północy w Banku Londynu, Kantonu i Szanghaju.

- Dziękuję, Bruce. Do zobaczenia. - Potem zwrócił się do obecnych na sali: -

Wszystko załatwione. Naturalnie transport powinien odbyć się bez rozgłosu.

Richard, potrzebny mi będzie czek gotówkowy dla bilansu Nelson Trading.

-1 mnie dla ojca - dodał Sterowiec.

- Od razu z rana zajmę się rozesłaniem czeków.

- Nie, teraz wieczorem - zażądał Mata. - Żeby mogli dokonać w nocy rozliczenia. - Oczy błysnęły mu bardziej niż zwykle. - Ja oczywiście też potrzebuję czeku dla osobistego bilansu.

- Nie ma tyle gotówki, żeby pokryć wszystkie trzy czeki. Żaden bank by tego nie dokonał - wybuchnął Richard Kwang. - Nawet Bank of England.

344

- Oczywiście. Zadzwoń więc do kogoś, kto poręczy za ciebie. Do Havergilla albo Southerby'ego. - Mata przestał bębnić palcami w stół. - Spodziewają się twojego telefonu.

- Proszę?

- Tak. Z obydwoma rozmawiałem dzisiaj po południu.

Richard Kwang nic nie odpowiedział. Musiał znaleźć sposób, żeby nie wydawać wieczorem pieniędzy. Jeśli mu się uda, zyska na czasie, a jutro być może nie będzie musiał płacić. *Dew neh loh moh* na wszystkich *quai loh* i jeszcze gorszych *pó\quai loh*). Uśmiechnął się tak przymilnie jak Mata.

- Cóż, skoro tak sobie życzyacie. Jeśli spotkamy się za godzinę w ban ku... Mam lepszy pomysł - zaproponował Dunross. - Phillip pójdzie z tobą od razu. Dasz mu wszystkie czeki. Zgadzasz się, Phillip?

- O tak, tak, tai-pan.

- Dobrze. Dziękuję. Jeśli od razu zawieziesz je do Blacs, będą mogli w nocy przeprowadzić rozrachunek. Richard, masz mnóstwo czasu. Prawda?

- Tak, tai-pan - odparł krótko Richard Kwang. Wpadła mu do głowy doskonała myśl. Uda zawał serca! W samochodzie podczas powrotu do banku...

Potem zobaczył chłód w oczach Dunrossa, poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, i zmienił zamiar. Po co im tyle pieniędzy? - pomyślał, wstając od stołu.

- Chyba nie będę wam już potrzebny? Chodźmy, Phillip. - Wyszli.

W sali zapanowała cisza.

; - Biedny Phillip. Źle wygląda.

- Tak. Nic dziwnego.

- Wstrętne triady - powiedział, otrząsając się Sterowiec Tung. - Wilkołaki muszą być obcokrajowcami, skoro ośmielają się wysłać ucho! -

Znów się wzdrygnął. - Mam nadzieję, że nie przyjadą do Makau. Słysza-

łem plotki, że Phillip już z nimi ustalił, że będą negocjować właśnie w Makau.

- To nieprawda - zaprzeczył Dunross.

- Przecież by ci nie powiedział, tai-pan. Ja też trzymałbym taką sprawę w tajemnicy przed wszystkimi. - Sterowiec Tung spojrział na telefon. - *Dew neh loh moh* na wszystkich cholernych porywaczy.

- Myślicie, że Ho-Pak już jest skończony? - zapytał Mata.

- Jeśli Richardowi nie uda się upłynnić aktywów, to tak. Dzisiaj po po-

łudniu Dunstan zamknął wszystkie swoje konta.

- O, więc znowu plotka się potwierdza!

- Obawiam się, że tak. - Dunrossowi było przykro z powodu Richarda Kwanga i Ho-Pak, ale jutro zamierzał postawić na krótką sprzedaż. - Jego akcje spadną.

345

- Jaki to będzie miało wpływ na boom, który przewidujesz?

-Ja?

- Przecież z tego co słyszałem, skupujesz akcje Struanów. - Mata uśmiechnął się powściągliwie. - Tak samo jak Phillip, jego *tai-tai* i cała jej rodzina.

- Kto rozsądny, kupuje nasze akcje, Lando. Cały czas. Kosztują o wiele mniej, niż są warte.

Sterowiec Tung przysłuchiwał się rozmowie bardzo uważnie. Serce biło mu coraz szybciej. On także słyszał plotki, że Czenowie z Noble House kupowali dzisiaj akcje.

- Czytaliście dzisiejszą przepowiednię Starego Ślepego Tunga? O nadchodzącym boomie? Pisał bardzo poważnie.

- Tak - rzekł z kamiennym spokojem Dunross. Gdy czytał ją rano, zanosił

się śmiechem. Musiał zweryfikować swoje pełne sceptycyzmu mniemanie na temat wpływów Dianne

Czen. Jednak przeczytał horoskop jeszcze raz i zastanowił się, czy, jasnowidz" faktycznie przytacza jego własną opinię na temat boomu. - Stary Ślepy Tung to twoja rodzina, Sterowiec? -zapytał.

- Nie, tai-pan, w każdym razie ja nic o tym nie wiem. *Dew neh loh moh*, ale dzisiaj gorąco. Cieszę się, że zaraz wracam do Makau. Tam jest łagodniejszy klimat. Będziesz w tym roku na wyścigach samochodowych, tai-pan?

- Tak. Mam nadzieję.

- To dobrze! Cholerny Ho-Pak! Richard da nam te czeki, nie? Mojemu staremu pięknie żyła, jeśli straci choć pensa.

- Tak - powiedział Dunross. Zauważył coś dziwnego w oczach Maty. -O

co chodzi?

- O nic. - Mata spojrział na Sterowca. - Ważne, żebyśmy jak najszybciej dostali akceptację twojego ojca. Może pójdziesz do Klaudii i spróbujecie się z nim połączyć.

- Świetny pomysł. - Chińczyk wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Dunross skupił uwagę na Macie.

- A więc... Mata wahał

się.

- Ian - odezwał się cicho. - Poważnie zastanawiam się nad wycofaniem pieniędzy z Hongkongu i Makau i umieszczeniem ich w Nowym Jorku.

Dunross patrzył zmieszany.

- Jeśli tak zrobisz, wstrząśniesz całym układem. W ślad za tobą pójdzie Zaciśnięta Pięść, Czinowie, Cztery Palce... I wszyscy inni.

- Co ważniejsze, tai-pan, pieniądze czy układ?

- Nie chciałbym takiego szoku dla układu.

346

- Zawarliście transakcję z Par-Con?

- Ustnie. Podpisujemy za siedem dni. Wycofanie pieniędzy dotknęłoby nas wszystkich, Lando. A co złe dla nas, złe dla ciebie i bardzo, bardzo złe dla Makau.

- Rozważę to, co mówisz. A więc Par-Con wchodzi do Hongkongu.

Dobrze. I jeśli American Superfoods przejmie H.K. General Stores, na gieł-

dzie zapanuje jeszcze większe napięcie. Może Stary Ślepy Tung wcale nie przesadza. Może uśmiechnie się do nas szczęście. Czy w przeszłości często się mylił?

- Nie wiem. Osobiście nie sądzę, żeby miał konszachty z Najwyższym, choć ludzie mówią, że tak.

-

Boom dobrze by nam zrobił. Nawet bardzo dobrze. To doskonały czas.

Powinniśmy trochę pomóc w roznieceniu największego boomu w historii, no nie?

- Chciałbyś się przyłączyć?

- Dziesięć milionów amerykańskich dolarów ode mnie i Czinów. Zaci-

śnięta Pięść nie będzie zainteresowany. Ty mówisz kiedy i gdzie.

- Pół miliona w akcje Struanów po ostatniej cenie we wtorek, a reszta rozdzielona między Rothwell-Gornt, Asian Properties, Hong Kong Wharf, Hong Kong Power, Golden Ferries, Kowloon Investments i H.K. General Stores.

- Dlaczego we wtorek, a nie jutro?

- Ho-Pak osłabi rynek. Jeśli dużo kupimy we wtorek wieczorem, zbijemy fortunę.

- Kiedy ogłosisz podpisanie umowy z Par-Con?

Dunross zawahał się.

r' - W piątek. Po zamknięciu giełdy.

? - Dobrze, jestem z tobą, Ian. Piętnaście milionów. Nie dziesięć, **tylko** piętnaście. Stawiasz jutro na krótką sprzedaż Ho-Pak?

- Oczywiście, Lando. Wiesz, kto stoi za tą nagonką na Ho-Pak?

- Nie. Ale Richard już prawie splajtował. Ludzkie gadanie i Chińczycy potrafią zniszczyć każdy bank. Sądzę, że już po nim.

- Boże!

- Taki *dżosl* - Mata przestał bębnić palcami w stół, - Chciałbym potroić import złota.

Dunross spojrział uważniej.

- Dlaczego? Osiągnąłeś przecież równowagę. Puszczając za dużo złota, możesz zachwiać rynkiem.

- Tak, ale Cztery Palce i inni zapewniają, że są zainteresowani poważnymi zakupami.

- Nie ma takiej potrzeby.

347

- Posłuchaj chwilę, Ian. Indonezja ma kłopoty, to samo Chiny, Indie, Tybet, Malaje, Singapur. Na Filipinach wrze, a Amerykanie szykują się na Południowo-Wschodnią Azję. Wzrośnie inflacja, a wtedy każdy rozsądny biznesmen, zwłaszcza Chińczyk, zechce zamienić papierowe pieniądze na złoto. Musimy się przygotować na sprostanie tym potrzebom.

- Słyszałeś o czymś, Lando?

- O wielu dziwnych rzeczach, tai-pan... na przykład że pewni amerykańscy generałowie pragną bezpośredniej konfrontacji z komunistami i wybrali do tego celu Wietnam.

- Przecież Amerykanie nigdy tam nie wygrają. Chińczycy mają większe wpływy niż oni i na pewno na to nie pozwolą. W każdym podręczniku historii można przeczytać, że Chiny zawsze wkraczały do akcji, aby bronić przed najeźdźcą strefy swych wpływów.

- Mimo to dojdzie do konfrontacji.

Dunross badawczym wzrokiem obserwował Lando Matę, którego nadzwyczajne bogactwo i długotrwałe zaangażowanie w szlachetną profesję kupiecką, jak się wyrażał, pozwalało na nieograniczony dostęp do najtaj-niejszych informacji.

- O czym jeszcze wiesz, Lando?

- CIA zdwoiła swój budżet.

- Pewnie mało kto o tym wie.

- Ale ja tak. Boją się o swoje bezpieczeństwo, Ian, CIA ma wtyczki w całej Azji Południowo-Wschodniej. Przypuszczam, że są też tacy, co chcą się wkręcić w handel opium w Złotym Trójkącie dla dobra zaprzyjaźnionych górali znad Mekongu, aby ich zachęcić do walki z Vietcongiem.

- Chryste!

- Nasi bracia w Tajwanie wariują. Coraz większe pieniądze od amerykańskiego rządu idą na lotniska, porty, drogi. W Okinawie, na Tajwanie, a szczególnie w Południowym Wietnamie. Pewne powiązane z politykami rodziny dostarczają cementu i stali na bardzo korzystnych warunkach.

- Jakie rodziny?

- A kto produkuje cement? Może... Powiedzmy w Nowej Anglii?

- Boże drogi, jesteś tego pewien?

Mata uśmiechnął się smutno.

- Słyszałem nawet, że ogromna część rządowej pożyczki dla Południowego Wietnamu została przeznaczona na budowę lotniska w nie odkrytej jeszcze dżungli. Tak, łan, nakłady już są ogromne. Zamów więc na jutro potrójną porcję złota. W przyszłym miesiącu wprowadzamy nowy wodolot.

Czas przepłynięcia z Makau do Hongkongu wyniesie nie trzy godziny, ale siedemdziesiąt minut.

- Ale catalina nadal będzie bezpieczniejsza?

348

- Nie. Nie sądzę. Wodolot może zabrać więcej złota i jest najszybszy na tych wodach. Mamy też najlepszy radar, więc możemy wykryć wszystkich piratów.

- Tak - po chwili przerwy odezwał się Dunross. - Takie ilości złota kuszą różnych przestępców. Nawet międzynarodowe gangi.

Mata uśmiechnął się ze zwykłą sobie powściągliwością.

- Niech przyjeżdżają. Nigdy nie wyjadą. My w Azji mamy wiele do po wiedzenia. - Znow zaczął stukać palcami w blat stołu. - łan, jesteśmy przy jaciółmi. Chciałbym ci coś poradzić.

-Miło mi... Śmiało.

- Wierysz w zmiany?

- W biznesie?

-Tak.

- Zależy, Lando - odpowiedział natychmiast Dunross. - Noble House od prawie półtora wieku zmienił się niewiele, a jednak zmienił się bardzo. -

Patrzył wyczekująco na Lando Matę.

- Za kilka tygodni - ciągnął po namyśle Portugalczyk - rząd Makau jest zobowiązany znów wystawić na przetarg koncesję na hazard... - Dunross maksymalnie natężył swoją uwagę. Cały biznes w Makau opierał się na monopolach. Monopolistą stawała się osoba lub kompania oferująca najko-rzystniejszy podatek. - Mija właśnie pięć lat. Co pięć lat do przetargu może startować każdy, lecz w praktyce dystansujemy naszych konkurentów. -

Chwilę panowała cisza, ale Mata zaraz zaczął mówić dalej: - Mój wspólnik Szmugler Mo już nie żyje. Jego dzieci bardziej interesują się Zachodem, grą we francuskich kasynach i golfem niż przyszłością syndykatu. Takie już przeznaczenie rodu Mo: jeden na dziesięć tysięcy kulisów zdobywa pieniądze, inwestuje w ziemię, porty, bogaci się i kupuje młode konkubiny, które go wykorzystują. Drugie pokolenie wydaje pieniądze, zastawia ziemię, aby kupić sobie twarz i zaskarbić wdzięki dam.

Trzecie pokolenie sprzedaje ziemię i bankrutuje. Czwarte pokolenie to znowu kulisi. - Mówił spokojnym, nawet delikatnym głosem. - Mój stary przyjaciel umarł, a ja nie mogę się przekonać do jego synów. Są bogaci, głównie dzięki mnie, ale wkrótce znajdą swoje miejsce... dobre, złe albo bardzo złe. A Zaciśnięta Pięść... - Znow przestał

bębnić palcami. - On umiera.

- Widziałem go w zeszłym tygodniu i wyglądał rześko i zdrowo jak zawsze. Jak zwykle kipiał złością.

- On umiera, Ian. Wiem, bo pomagałem mu konsultować się z portugalskimi specjalistami. Nie chciał zaufać swym synom, więc zaufał mnie. Miesiąc go przekonywałem, żeby poszedł do lekarza. Nie ma żadnych wątpliwości: rak okrężnicy. Już są przerzuty. Został mu miesiąc, może dwa... Od zeszłego tygodnia. - Mata uśmiechnął się. - Stary Zaciśnięta Pięść oczywi-349

ście naurągał im. Wyzwał od głupców i powiedział, że nie zapłaci za złą diagnozę. - Uśmiechał się niewesoło. - Ma ponad sześćset milionów dolarów amerykańskich, a nie chce zapłacić lekarzowi. Nic też nie robi, tylko pije te cuchnące chińskie zioła i co jakiś czas pali fajeczkę opium. Nie chce przyjąć do wiadomości diagnoz *quai loh*. Znasz go. I to dobrze, no nie? Tak.

Podczas wakacji ojciec wysyłał Dunrossa do pracy u swoich przyjaciół.

Jednym z nich był Zaciśnięta Pięść. Dunross nigdy nie zapomniał gorącego lata, gdy pocił się w dusznych podziemiach banku w Makau, starając się sprostać wymaganiom swojego pracodawcy i nie rozplakać się ze złości, że on musi znosić męki, podczas gdy wszyscy koledzy mają czas na zabawę. Teraz jednak cieszył się z tak spędzonych wakacji. Wiele nauczył się o pieniądzach od Zaciśniętej Pięści. Poznał ich wartość, dowiedział się, jak je zdobywać, jak utrzymać. Poznał, czym jest chciwość, czym lichwa, a czym normalne chińskie pożyczki na dwa procent miesięcznie.

- Żądaj dwa razy takiego zabezpieczenia, jakiego ci potrzeba, ale jeśli pożyczający nie ma żadnego, wtedy popatrz mu w oczy! - wykrzykiwał

Zaciśnięta Pięść. - Nie ma zabezpieczenia, a więc masz szansę zrobić większy interes. Zastanów się, czy możesz mu zaufać. Czy będzie w stanie oddać pieniądze? Czy jest pracowity, czy leniwy? Obserwuj go, bo on jest twoim zabezpieczeniem! Ile chce moich ciężko zarobionych pieniędzy? Czy potrafi pracować? Jeśli tak, to jaka dla niego różnica, czy zapłaci dwa procent czy cztery? Żadna. Ale to moje pieniądze uczynią go bogatym, jeśli taki jego *dzos*.

Do zabezpieczenia potrzebny ci jedynie sam człowiek! Pożyczaj pieniądze synom bogaczy, jeśli zaciągają długi pod swoje dziedzictwo. Roztrwonią je na dziewczynki, ale nie przejmuj się, to ich pieniądze, a nie twoje! Jak wy osiągnęliście bogactwo? Oszczędzaliście! Oszczędzaj pieniądze, kupuj ziemię za jedną trzecią, jedną trzecią pożyczaj i jedną trzecią trzymaj w gotówce!

Pożyczaj tylko cywilizowanym, nigdy nie ufaj *quai loh*...

Dunross doskonale pamiętał starego Chińczyka o zimnych, przenikliwych oczach, prawie zupełnie

bezzębnego - potrafiącego napisać i przeczytać tylko trzy znaki kryjące jego nazwisko - który miał umysł jak komputer i pamiętał

każdego pożyczonego miedziaka. Wiedział, kiedy i w jaki sposób ma go odzyskać. Wszyscy zawsze musieli spłacić zaciągnięte u niego długi.

Tego lata Dunross miał trzynaście lat i już przyjaźnił się z Lando Matą. Tak samo jak teraz, Lando był prawie duchem, tajemniczą postacią poruszającą się ze swobodą w sferach rządowych Makau. Zawsze pozostawał jednak w tle, trudno go było zauważyć, mało kto go znał, ot, dziwny, pojawiający się znikąd i znikający Euroazjata, który kiedy chce i jak chce zdobywa niewiarygodny majątek. Nawet obecnie tylko niewielka grupka 350

osób znała jego imię i nazwisko. A w jego willi ukrytej za żelazną bramą i kamiennym murem nie był nawet Dunross. Nikt praktycznie nic o nim nie wie.

Ani skąd pochodzi, ani kim są jego rodzice, ani w jaki sposób udało mu się zdobyć monopol na hazard i nieograniczone bogactwa.

- Przykro mi z powodu Zaciśniętej Pięści - przyznał Dunross. - Zawsze był nieokrzesanym łajdakiem, ale nie w większym stopniu niż jego synowie.

- Tak. A teraz umiera. Taki *dżos*. Ja też nie jestem przekonany co do jego spadkobierców. Wszyscy będą bogaci. Nawet Sterowiec dostanie jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu milionów dolarów.

- Boże, jak pomyślę o tych pieniądzach zarobionych na hazardzie... W oczach Maty pojawił się znaczący błysk.

- Powinienem coś zmienić? - zapytał.

- Jeśli chcesz zasłużyć na pomnik, to tak. W tej chwili wolno grać tylko w chińskie gry: fan-tan, domino i kości. Jeśli pojawią się nowi ludzie o szerszych horyzontach i zaczną modernizację... Jeśli zbudują stoły do francuskiej, a nawet amerykańskiej ruletki, cała Azja będzie ciągnąć do Makau.

- Co słysząc w sprawie zalegalizowania hazardu w Hongkongu?

- Nic. Sam wiesz lepiej niż ja, że bez hazardu i złota Makau byłoby niczym.

A Brytyjczykom zależy na tym, żeby tak się nie stało. Hongkong ma tor wyścigowy, a wy stoły. Jednak z nowymi właścicielami, nowymi hotelami, grami, wodolotami tak powiększycie swoje dochody, że będziecie musieli otworzyć własny bank.

Lando Mata wyjął kartkę papieru, spojrział na nią i podał ją Dunrossowi.

- Proszę, to cztery grupy ludzi, którzy mogliby w tym wziąć udział.

Chciałbym poznać twoją opinię.

Dunross nawet nie spojrział na listę.

- Chcesz, żebym wybrał, a sam już podjąłeś decyzję?

Mata roześmiał się.

- Och, łan, za dużo o mnie wiesz! Tak, wybrałem już grupę, która byłaby najlepsza, jeśli weszliby z odpowiednimi udziałami.

- Czy oni wiedzą już, że zastanawiasz się nad wzięciem ich na wspólników?

-Nie.

- A Zaciśnięta Pięść i Czinowie? Nie będą chcieli tracić swojego monopolu.

- Jeśli Zaciśnięta Pięść umrze przed przetargiem, powstanie nowa spółka.

Jeśli nie, nastąpią inne zmiany.

Dunross popatrzył na listę. Zdziwił się. Wszystkie nazwiska były doskonale znane w Hongkongu i Makau, wszystkie należały do ludzi zamożnych, czasami o niejasnej przeszłości.

351

- Same sławy, Lando.

- Tak. Do zdobycia takiego **bogactwa i prowadzenia imperium hazardu** potrzeba ludzi z rozmachem.

Dunross uśmiechnął się.

- Zgoda. Ale dlaczego mnie tu nie ma?

- Zrezygnuj za miesiąc z Noble House i utwórz swój syndykat. Gwarantuję ci sukces. Czterdzieści procent dla mnie.

- Niestety, to niemożliwe, Lando.

- Za dziesięć lat twój osobisty majątek wynosiłby pięćset milionów do miliarda dolarów.

Dunross wzruszył ramionami.

- Co mi po pieniądzach.

- *Moh ching moh meng!* Nie ma życia bez pieniędzy.

- Tak, ale nie ma na świecie takich pieniędzy, dla których zrezygnował-

bym z Noble House. Niemniej możemy dobić targu. Struanowie poprowadzą za ciebie ten interes poprzez pełnomocników.

- Przykro mi. Albo wszystko, albo nic.

- Bylibyśmy lepsi i tańsi niż ktokolwiek inny.

- Tylko jeśli zrezygnujesz z Noble House. Wszystko **albo nic, tai-pan.**

Gdy Dunross usłyszał o takich pieniądzach, zabolalo go serce, **ale w głosie**

Lando Maty słyszał stanowczość.

- To uczciwe. Ja niestety nie mogę na to pójść.

- Na pewno byś mógł. Sam, osobiście. Oczywiście **miło mi będzie** widzieć cię jako... konsultanta.

- Jeśli wybiorę odpowiednią grupę?

- Być może. - Portugalczyk uśmiechnął się. - A więc?

Dunross zastanawiał się, czy może podjąć takie ryzyko. Udział w syn-dykacie w Makau to nie funkcja gospodarza-zarządzającego w **klubie** jeź-

dzieckim.

- Zastanowię się i dam ci znać.

- Dobrze, Ian. Za dwa dni?

- W porządku. Powiesz mi, jaki udział jest potrzebny do odniesienia sukcesu. Jeśli zdecydujesz się przeprowadzić zmiany.

- Wspólnik albo konsultant powinien to wiedzieć. A teraz jeszcze jedna sprawa i muszę już iść. Wydaje mi się, że już nie zobaczysz się nigdy ze swoim przyjacielem Tsu-ianem.

- Proszę?

- Wczoraj wieczorem dzwonił do mnie z Tajpej. Był w dziwnym stanie.

Poprosił, żebym przysłał po niego catalinę. Mówił, że to pilne i wyjaśni wszystko, jak się zobaczymy. Zaraz po przyłynięciu miał przyjść do mnie do domu. - Mata wzruszył ramionami i obejrzał wypielęgnowane paznok-352

cie. - Tsu-ian to Stary Przyjaciel, więc zgodziłem się. Wcale się nie pojawił, Ian. Przyleciał,

wylądował na wodzie, a na brzegu czekał na niego mój szofer.

To niewiarygodne, ale Tsu-ian miał na sobie łachmany kulisa i słomiany kapelusz. Bąknął coś, że wpadnie do mnie wieczorem, wskoczył do taksówki i odjechał tak szybko, jakby go goniło stado diabłów. Mój szofer stał jak wryty.

- Nie pomylił się? Na pewno widział Tsu-iana?

- Tak. Był u nas znany. Na szczęście mój szofer jest Portugalczykiem i wykazał trochę inicjatywy. Ruszył w pościg. Mówił, że taksówka pojechała na północ. Zatrzymała się obok przejścia granicznego i dalej Tsu-ian co sił w nogach ruszył za chińską granicę. Kierowca widział, jak podbiega do żołnierzy po stronie ChRL i znika w budce strażniczej.

Dunross patrzył na Landa z niedowierzaniem. Tsu-ian należał do najlepiej znanych kapitalistów i antykomunistów w Hongkongu i Tajwanie. Przed upadkiem Państwa Środka był niezamożnym obszarnikiem.

- Tsu-iana nigdy by nie przyjęto w ChRL! - zawołał. - Nigdy. Na pewno znajduje się na pierwszym miejscu ich listy przeklętych.

- No - Mata zawahał się - chyba że z nimi współpracował.

- To też niemożliwe.

- W Chinach wszystko jest możliwe.

Dziewiętnaście pięter niżej Roger Crosse i Brian Kwok wysiadali za Robertem Armstrongiem z policyjnego samochodu. Wszedł im naprzeciw ubrany po cywilnemu pracownik SI.

- Dunross jest jeszcze u siebie, sir.

- Dobrze. - Robert Armstrong został przy wyjściu, a pozostali dwaj ruszyli do windy. Wysiedli na dziewiętnastym piętrze.

- Dobry wieczór, sir - powitała ich Klaudia i uśmiechnęła się do Briana Kwoka. Sterowiec Tung czekał na telefon. Od razu rozpoznał policjantów i zdziwił się.

- Pan Dunross mnie oczekuje - oznajmił Roger Crosse.

- Tak, sir. - Nacisnęła guzik interkomu i powiedziała po chwili do słuchawki: - Tai-pan, przyszedł pan Crosse.

- Wpuść go za minutkę, Klaudio - polecił Dunross. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Maty. - Przyszedł Crosse. Jeśli nie spotkamy się w banku, złapię cię jutro rano.

- Tak, dobrze... Zadzwoń do mnie. Tak. Chcę porozmawiać kilka minut na osobności. Do wieczora albo do jutra.

- O dziewiątej wieczorem, a jak nie, to rano.

- Zadzwoń o dziewiątej. Dzięki.

Mata przeszedł przez salę do drzwi przemyślnie **schowanych** za **półką** z książkami. Wyszedł nimi na korytarz prowadzący na niższe piętro.

353

Dunross patrzył za nim w zamyśleniu. Ciekawe, o co mu chodzi. Schował dokumenty do szuflady i zamknął ją na klucz. Potem oparł się o stół i starał

się zebrać myśli. Oczy wlepił w drzwi, serce zaczęło mu bić szybciej. Nagle zadzwonił telefon. Dunross aż podskoczył.

-Tak?

- Tato - Adryon jak zwykle mówiła w pośpiechu. - Przepraszam, że ci przerywam, ale mama chce wiedzieć, o której przyjdiesz na kolację.

- Późno. Zaczynicie beze mnie. Zjem coś na mieście. O której wróciłaś wczoraj w nocy? - zapytał, przypominając sobie, że tuż przed świtem słyszał

jej samochód.

- Wcześniej - zapewniła.

Już chciał wygłaszać swoją zwykłą mowę, ale usłyszał w jej głosie smutek.

- Co się stało, kotku? - zapytał. -Nic.

- Na pewno?

- Na pewno. Miałam miły dzień. Jadłam lunch z Linkiem Bartlettem, a potem robiliśmy razem zakupy. Tylko ten Martin wystawił mnie do wiatru.

- Proszę?

- Czekałam na niego z godzinę. Umówiliśmy się na herbatę w „Victo-rii”, ale nawet się nie pokazał. Prostak.

Dunross kiwnął głową.

- Na niektórych ludziach nie możesz polegać, Adryon. Ale głowa do góry! - Potem wyjaśni jej, czym jest zajęty Haply.

- Jak wąż. Prawdziwy wąż!

Otworzyły się drzwi. Wszedł Crosse i Brian Kwok. Skinął im głową na przywitanie.

- Muszę kończyć, kochanie. Kocham, pa! - Odłożył słuchawkę. - Dobry wieczór. - Zmęczenie minęło.

- I pan, poproszę o teczkę.

- Oczywiście, ale najpierw pojedziemy do gubernatora.

- Najpierw teczkę. - Crosse wyjął nakaz, a Dunross podniósł słuchawkę i wybrał numer. Czekał krótką chwilę.

- Dobry wieczór, sir. Nadinspektor Crosse już przyszedł... tak, sir. -

Wyciągnął słuchawkę. - Do ciebie.

Crosse wziął z wahaniem.

- Nadinspektor Crosse. - Chwilę słuchał. - Tak, sir. Dobrze. - Odłożył

słuchawkę. - Co ty, do diabła, wyprawiasz za sztuczki?

- Żadne. Jestem tylko ostrożny.

Crosse pokazał nakaz.

354

- Gubernator czy nie, mam pozwolenie z Londynu na aresztowanie cię, ważne od godziny szóstej, jeśli nie przekażesz teczek.

Dunross spokojnie patrzył na niego.

- Proszę bardzo.

- I panie Struan Dunross, aresztuję cię!

Dunross zacisnął zęby.

- W porządku. Ale najpierw pójdziemy do gubernatora!

24 18:10

Tai-pan i Roger Crosse przeszli białym dziedzińcem do wejścia pałacu gubernatora. Brian Kwok został w policyjnym samochodzie. Młody urzędnik w mundurze marynarki królewskiej otworzył przed nimi drzwi, grzecznie powitał i zaprowadził do pięknego holu.

Jego Ekszelencja Sir Geoffrey Allison, odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego i medalem

D.S.O., dobiegał sześćdziesiątki, miał włosy koloru piasku, był elegancko ubrany, przemawiał łagodnym głosem, starannie dobierał słowa. Siedział za antycznym biurkiem i obserwował przybyłych.

Przywitał ich naturalnie, bez zbędnych ceremonii, i wskazał miejsca, gdzie mieli usiąść. Urzędnik, wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

- Zdaje się, Roger, że mamy problem, Ian ma prywatne, zdobyte legalnie wiadomości i nie kwapi się z przekazaniem ich tobie. A ty ich od niego żądasz.

- I to oficjalnie. Z polecenia władz londyńskich i Biura Akt Tajnych.

- Tak, wiem o tym, Roger. Przed godziną rozmawiałem z ministrem. On uważa, i ja się z nim zgadzam, że raczej nie wolno nam aresztować Iana i niefrasobliwie wpędzić Noble House w kłopoty. Jakikolwiek znaczenie mają raporty Alana Medforda, takie postępowanie byłoby nielojalne i niezbyt rozsądne. Równie nierozsądne byłoby odbieranie tych dokumentów na siłę.

Nieprawdaż?

- Gdyby Ian zechciał współpracować - mówił Crosse - taka ewentualność w ogóle nie byłaby rozważana. Zwracałem mu uwagę, że chodzi tu o rząd Jej Wysokości, ale zdaje się, że to do niego nie dotarło, Ian nie powinien odmawiać współpracy.

- Zupełnie słusznie. Minister podziela to zdanie. Oczywiście, gdy Ian przyszedł tutaj dziś rano i wyjawiał powody swojej ostrożności... Muszę przyznać, że są to istotne powody! Minister też tak uważa. - Miał niezwykle 355

badawczy i przenikliwy wzrok. - Powiedz konkretnie, kto jest ukrytym szpiegiem komunistów w mojej policji? Kto pracuje w Sevrin? Zapadła głucha cisza.

- Nie wiem, sir.

- A zatem bądź uprzejmy dowiedzieć się jak najszybciej, Ian był tak dobry i pozwolił mi przeczytać raport Medforda, który ty już otrzymałeś,

„ta informacja powinna być osobiście przekazana komisarzowi policji albo gubernatorowi, jeśli można ich uważać za godnych zaufania"... Na Boga!

Co też się dzieje na tym świecie?

- Nie wiem, sir.

- Ty, Roger, też jesteś podejrzany. Tak, tak. - Gubernator nie spuszczał

z nich oczu. - A teraz sprawa zdrajcy? Kto nim może być?

- Pan, ja, Dunross, Havergill, Armstrong... każdy - odpowiedział natychmiast Crosse. - Rzecz

charakterystyczna: przypuszczam, iż zaszył się tak głęboko, że już prawie zapomniał, kim naprawdę jest i gdzie leży jego polityczny interes. Z pewnością to osoba szczególna, tak samo jak wszyscy w Sevrin. - Spojrzał na Dunrossa. - Na pewno. Przecież SI sprawdza wszystkich bardzo starannie. Tak samo jak CIA. A nie słyszeliśmy do tej pory ani o działalności siatki, ani nie zetknęliśmy się z tą nazwą.

- Jak zamierzasz ich złapać? - zapytał Dunross.

- A jak ty zamierzasz znaleźć szpiega w Noble House?

- Nie mam pojęcia. - Czy szpieg z Sevrin przekazał nasze tajemnice Bartlettowi? Zadawał sobie pytanie Dunross. - Jeśli jest w radzie, musi na-leżeć do kręgu siedmiu osób. A to raczej nieprawdopodobne, aby był którąś z nich.

- A jednak! - zawołał Crosse. - Nieprawdopodobne, a mimo to masz szpiega. Gdy go złapiemy, przypuszczalnie dowiemy się o innych. Jeśli ich zna. - Obydwaj poczuli dreszcz, słysząc w jego głosie spokojne okrucień-

stwo. - Ale żeby któregoś złapać, musi mu się powinąć noga. Albo nam dopisze szczęście.

Przez chwilę gubernator zastanawiał się.

- Ian zapewnia - odezwał się - że w poprzednich raportach nie ma wzmianki o tym, kto to może być. A więc pozostałe raporty nie pomogłyby od razu.

- Mogłyby pomóc w innych sprawach, sir.

- Wiem. - Słowo to zostało wypowiedziane bardzo spokojnie, ale znaczyło: zamknij się i siedź cicho, dopóki nie skończę. - A więc wydaje się, że nasz problem polega nie tylko na nakłonieniu Iana do współpracy.

Powtarzam:

uwagam, że jego ostrożność jest jak najbardziej usprawiedliwiona. - Rysy jego twarzy stężały. - Philby, Burgess i Maclean dali nam wszystkim nauczkę. Muszę przyznać, że za każdym razem, kiedy dzwonię do Lon-356

dynu, zastanawiam się, czy czasem nie rozmawiam z jakimś zdrajcą. - Wydmuchał nos w chusteczkę. - Cóż, to tyle na razie, Ian, powiedz spokojnie Rogerowi, na jakich warunkach przekażesz teczkę z raportami Alana Medforda.

- Oddam je osobiście szefowi lub zastępcy MI-6 albo MI-5, pod warunkiem że dostanę pisemną gwarancję Jego Ekscelencji, że mam do czynienia z tym człowiekiem, za którego się podaje.

- Minister się na to zgadza, sir?

- Jeśli ty, Roger, się zgodzisz, tak. - Znów słowa zostały wypowiedziane grzecznie, ale wiadomo

było, że znaczą: lepiej się zgódź, Roger.

- Dobrze, sir. Pan Sindera przystał na ten plan?

- Tak. Przylatuje w piątek liniami BOAC.

- Dobrze. - Roger Crosse spojrział na Dunrossa. - Do tej pory **lepiej**, żeby teczki zostały u mnie. Dasz mi je w zalakowanej...

Dunross pokręcił głową.

- Są w bezpiecznym miejscu.

- Nie sądzę. Skoro my o nich wiemy, wiedzą też **inni**. A **inni** mogą nie chcieć postępować tak delikatnie jak my. Musisz powiedzieć, gdzie są, to wystawimy tam dwudziestoczęterogodzinne straż.

Sir Geoffrey skinął głową.

- Tak będzie rozsądnie, Ian.

Dunross chwilę się zastanawiał.

- Dobrze - przystał na propozycję. - Umieściłem je w skrytce w Victo-rii. -

Gdy Dunross wyjął kluczyk i położył na biurku, Crosse'owi poczerwieniała szyja. Numer kluczyka został dokładnie starty. - Mają tam z tysiąc skrytek.

Numer znam tylko ja. A to jedyny kluczyk. Proszę go zatrzymać, sir Geoffrey. To najlepszy sposób, żeby się ustrzec ryzyka.

- Co ty na to, Roger?

- Zgadzam się.

- A zatem raporty są bezpieczne. Nie można włamać się do wszystkich skrytek. Dobrze, to już ustalone. Nakaz aresztowania zostaje unieważniony, Ian. Obiecujesz przekazać teczki w chwili przybycia Sindera? - Znow popatrzył przenikliwym wzrokiem. - Naprawdę ta sprawa przysporzyła mi już dużo kłopotów.

- Obiecuję, sir.

Dobrze. To tyle. Wiadomo coś na temat biednego Johna Czena, Roger?

- Nie. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

- Straszna rzecz, Ian, co się dzieje z tym Ho-Pak? Naprawdę popadli w tarapaty?

- Tak, naprawdę.

357

- Upadną?

- Nie wiem. Wszystko na to wskazuje.

- A niech to! Wcale mi się to nie podoba. To psuje nasz wizerunek. A jak transakcja z Par-Con?

- Wszystko na dobrej drodze. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu złożę pomyślny raport.

- Doskonale. Przyda nam się duża amerykańska firma. - Uśmiechnął się.

- Ta dziewczyna jest naprawdę przystojna! A przy okazji, jutro spodziewamy się parlamentarnej delegacji związków zawodowych z Pekinu.

Będę ich przyjmował we czwartek. Oczywiście przyjdiesz.

- Tak, sir. Kolacja będzie oficjalna?

- Świetna myśl. Tak.

- Zaproszę ich na sobotnie wyścigi. Na pewno powiększą pulę wygranych.

- Dobrze. Dziękuję ci, Ian. Roger, możesz zostać jeszcze chwilę?

Dunross podał obydwu rękę i wyszedł. Chociaż przyjechał policyjnym samochodem, czekał na niego własny rolls.

- Jak tam, Ian? - zaczepił go Brian Kwok.

- Szef ci opowie - odparł.

- Dobrze. Długo tam zostanie?

- Nie wiem. Wszystko się ułożyło pomyślnie. Nie ma się czym przejmować. Chyba dobrze to rozegrałem.

- Mam nadzieję. Przykra sprawa.

- Tak. - Dunross usiadł na tylnym siedzeniu rollsa.

- Golden Feny - polecił kierowcy.

Sir Geoffrey rozlał przednią sherry do dwóch wspaniałych porcelanowych czarek.

- Aż strach myśleć o tej sprawie Alana Medforda - westchnął. - Obawiam się, że jeszcze nie

przywykłem do tych zrad, podkopów, podstępów.

Mimo że minęło już tyle czasu. - Sir Geoffrey całe życie pracował w korpusie dyplomatycznym, nie licząc wojny, gdy był oficerem Armii Brytyjskiej. Mówił po rosyjsku, mandaryńsku, francusku i włosku. - Straszne. -

Wzdrygnął się.

- Tak, sir. - Crosse cały czas go obserwował. - Czy Ianowi na pewno można wierzyć?

- W piątek już nie będziesz musiał snuć przypuszczeń. W piątek będziemy mieć teczki.

- Tak, sir. - Wziął porcelanową czarkę, onieśmielała go jej delikatność. -

Dziękuję.

- Radzę postawić w banku dwóch ludzi. Jednego z SI, a drugiego z CID.

I kogoś po cywilnemu do pilnowania, oczywiście dyskretnego, tai-pana.

358

- Załatwię to niezwłocznie. A tai-pana mamy już pod obserwacją.

- Doprawdy?

- Tak, sir. Przypuszczam, że będzie chciał wykorzystać tę sytuację do własnych celów. On jest bardzo pomysłowy. Mimo wszystko tai-panem Noble House nie zostaje głupiec.

- To prawda. Na zdrowie! - Delikatnie stuknęli się czarkami. Rozległ się przepiękny dźwięk. - On jest najlepszym tai-panem, jakiego znałem.

- Czy Ian wspominał, że ostatnio ponownie czytał raporty, sir? Na przykład zeszłej nocy?

Sir Geoffrey zmarszczył brwi, przypominając sobie poranną rozmowę.

- Chyba nie. Chociaż, chwileczkę... Dokładnie tak się wyraził: „Gdy pierwszy raz czytałem te raporty, myślałem, że z niektórymi wnioskami Alan Medford posunął się za daleko, ale teraz, po jego śmierci, zmieniłem zda nie"... To może oznaczać, że czytał te raporty ostatnio. A dlaczego?

Crosse pod światło oglądał porcelanę grubości papieru.

- Zawsze słyszę, że ma nadzwyczajną pamięć. Jeśli teczki leżą niedostępne w skrytce... Cóż, nie chciałbym, żeby K.GB zapragnęło go przesłuchać.

- Boże drogi, chyba nie myślisz, że postąpiliby tak niemądrze, co? Tai-pana?

- Wszystko zależy od tego, jaką wagę przywiązują do tych raportów, sir -

powiedział beznamiętnie Crosse. - Może powinniśmy otoczyć go jawną opieką, na wypadek gdyby przyszło im coś takiego do głowy. Ostrzeżcie pan tai-pana, sir?

- Oczywiście. - Sir Geoffrey zapisał w notatniku. - Dobry pomysł. Czy możliwe, aby Wilkołaki... Czy mogą istnieć jakieś powiązania między przemytem broni a uprowadzeniem Johna Czena?

- Na razie nie wiem, sir. Przydzieliłem do tej sprawy Armstronga i Briana Kwoka. Jeśli istnieją jakieś koneksje, na pewno je odkryją. - Przyglądał się światłu odbitemu od matowobłękitnej porcelany, zdającej się nabierać złotego koloru od sherry La Ina. - Ciekawa gra kolorów.

- Tak. Czarki pochodzą z 1736 roku, nazywają się Tang Jing, od zarządcy cesarskiej manufaktury. Należały do cesarza Cz'cn Leunga. - Sir Geoffrey spojrzał na Crosse'a. - Głęboko zaszyty szpieg w mojej policji, w ministerstwie skarbu, w bazie marynarki, w Victorii, w towarzystwie telekomunikacyjnym, nawet w Noble House. Mogą nas sparaliżować i doprowadzić do zaognienia stosunków z ChRL.

- Tak, sir. - Crosse spojrzał na czarkę. - Wydaje się niemożliwe, żeby porcelana mogła być tak cienka. Nigdy nie widziałem takich czarek.

- Zbierasz filizanki?

- Nie. I obawiam się, że niewiele wiem na ich temat.

359

- Te najbardziej lubię, Roger. Bardzo rzadkie okazy. Mówi się o nich *t'o t'ai*, bez ciała. Są tak cienkie, że prześwitują.

- Prawie boję się ją trzymać w ręce.

- O, są dosyć mocne. Delikatne, ale mocne. Kto może być Arthurem?

Crosse westchnął.

- W raporcie nie ma na ten temat żadnej sugestii. Czytałem go mnóstwo razy. Musi być coś w innych, niezależnie od tego, co sądzi Dunross.

- Możliwe.

Filigranowe czarki najwyraźniej fascynowały Crosse'a.

- Porcelana to glina, prawda?

- Tak. Ale ten typ wyrabiano właściwie z dwóch rodzajów gliny. Z ka-olinu, nazwa pochodzi od pagórkowatej krainy Kingtehchen, gdzie ją od-kryto, oraz z *pan tun tse*, tak zwanych małych białych cząstek. Chińczycy nazywali je ciałem i kośćmi porcelany. - Sir Geoffrey podszedł do pokrytego skórą stolika zastępującego bar i przyniósł karafkę. Miała osiem cali wysokości i była prawie

prześwitująca. - Widać też kolor niebieski. Gdy glina trochę przeschnie, wdmuchuje się w nią za pomocą bambusowej rurki proszek kobaltowy. Niebieskości przydają więc tysiące pojedynczych drobi-nek. Potem glinę wypala się w temperaturze tysiąca trzystu stopni. - Odstawił karafkę. Dotykanie prawdziwego dzieła sztuki sprawiło, że aż westchnął z rozkoszy.

- Zadziwiające.

- Został wydany edykt cesarski zakazujący eksportu tej porcelany. Dla nas, *quai loh*, przeznaczono jedynie produkty z *hua shih*, rozdrobnionego kamienia, albo z *tun ni*, ceglatego mułu. - Spojrzał na filiżankę okiem konesera. - Geniusz, który ją wykonał, zarabiał pewnie ze sto dolarów rocznie.

- Prawdopodobnie to i tak było dużo - rzucił Crosse i uśmiechnęli się do siebie.

- Być może.

- Znajdę Arthura, sir, pozostałych także. Może pan się zdać na mnie.

- Chyba będę musiał, Roger. I minister, i ja się na to godzimy. On poin-formuje premiera i szefa kancelarii.

- A więc informacja przejdzie przez wiele rąk i wróg może się dowiedzieć, że prowadzimy poszukiwania.

- Tak. Trzeba zatem działać szybko. Wytargowałem dla ciebie cztery dni, Roger. Do tego czasu minister nie podejmie żadnych kroków.

- Wytargowałem?

- Taka przerośnia. W życiu wyświadczasz przysługi innym, a inni wyświadczają tobie. W korpusie dyplomatycznym również.

- Rozumiem, sir. Dziękuję.

360

- Masz coś na temat Bartletta i panny Casey?

- Nie. Rosemont i Langan poprosili o ich dossier. Zdaje się, że istnieją jakieś powiązania między Bartлетtem i Banastasiem, nie jesteśmy pewni, jakiego rodzaju. W zeszłym miesiącu panna Tcholak i Bartlett byli w Moskwie.

- O właśnie! - Sir Geoffrey odstawił filiżankę. - Co zrobiliście z tym Worańskim?

- Wysłałem ciało na statek, sir. - Crosse opowiedział o spotkaniu z Rosemontem i Langanem oraz o fotografiach.

- Co za szczęście! Nasi koledzy robią się coraz sprytniejsi - powiedział

gubernator. - Lepiej znajdźcie tych morderców przed KGB i CIA.

- Już obstawiłem tamten dom. Gdy tylko się pojawią, zatrzymamy ich.

Oczywiście aresztujemy ich bez prawa kontaktowania się ze światem ze-wnętrznym. Wzmocniłem też strażę wokół „Iwanowa”. Obiecuję, że nikt więcej się nie prześlizgnie przez naszą sieć. Nikt.

- Dobrze. Komisarz policji powiadomił, że też zarządził w policji podwyższony stopień gotowości. - Sir Geoffrey zastanowił się. - Wyślę wyja-

śnienie do ministra, dlaczego nie zastosowałeś się do l-4a. Amerykanie na pewno narobili już w Londynie wiele szumu, ale w takich okolicznościach nie mogłeś postąpić inaczej.

- Jeśli można, sugerowałbym, żeby poprosić go, aby nie wspominał, że nie mamy jeszcze teczek. Ta informacja również mogłaby się dostać w niepowołane ręce. Na razie niech zostanie tak, jak jest.

- Dobrze. Zgoda. - Gubernator napił się sherry. Spojrzał na zegarek. -

Zadzwonię do niego za kilka minut. Jest jeden problem, który nic daje mi spokoju: „Iwanow”. Rano usłyszałem od naszego nieoficjalnego przedstawiciela, że Pekin wyraża niepokój z powodu obecności tego statku. - Nie-oficjalnym przedstawicielem ChRL był przypuszczalnie członek rady Banku Chińskiego, centralnego banku Chin mającego wyłączność na wymianę walut i zarabiającego miliardy dolarów na dostarczaniu wody, żywności oraz innych produktów do Hongkongu. Wielka Brytania uznaje od dawna, że Hongkong jest ziemią brytyjską, należącą do kolonii, i w całej historii Hongkongu od 1841 roku ani razu nie pozwoliła na oficjalne przedstawicielstwo Chin. Nigdy.

- Zrezygnował z oficjalnej procedury - ciągnął dalej Sir Geoffrey - aby napomknąć mi o „Iwanowie” i wyrazić nadzwyczajne niezadowolenie Pekinu z powodu pobytu sowieckiego statku szpiegowskiego. Sugerował nawet, że rozsądnie byłoby wydalić go... Poza tym, mówił, słyszeliśmy, że jeden z agentów KGB w przebraniu marynarza został zamordowany na lądzie.

Podziękowałem mu za zainteresowanie i powiedziałem, że przekażę jego opinie zwierzchnikom. - Napił się sherry. - Dziwne, że nie wyglądał na zirytowanego, gdy dowiedział się o lotniskowcu.

361

- Rzeczywiście! - Crosse był zaskoczony.

- Czy to może oznaczać zmianę ich polityki zagranicznej? Czyżby pragnęli pokoju z USA? Nie wierzę. Wszystko wskazuje na ich patologiczną nienawiść do Ameryki.

Gubernator westchnął i dołał płynu do czarek.

- Jeśli dotrze do nich informacja o istnieniu Sevrin, jesteśmy przegrani...

Boże drogi, dostaną konwulsji. I słusznie.

- Znajdziemy zdrajców, sir, proszę się nie martwić. Znajdziemy!

- Tak? Ciekawe. - Sir Geoffrey usiadł przy oknie i patrzył na angielski ogródek z krzakami i kwiatami porastającymi wysoki, biały mur. Zachodziło słońce. Jego żona nie chciała zatrudniać chińskiego ogrodnika, więc sama przycinała gałęzi i dbała o kwiaty. Sir Geoffrey właśnie ją obserwował. Byli małżeństwem od trzydziestu lat, mieli troje dorosłych dzieci. Byli zadowoleni z życia i ze wszystkimi żyli w dobrych stosunkach. - Zawsze ci zdrajcy - mówił

smutno. - Sowieci od dawna przodują w ich pozyskiwaniu. Łatwo było zwerbować agentów Sevrin. Teraz, aby zaniepokoić ksenofobicznych Chińczyków, wystarczy to tu, to tam wylać trochę trucizny. Och, jak łatwo rozbić łódź o skały! A najgorszy ze wszystkich jest ten twój szpieg. W policji. Aby mieć dostęp do takich informacji, musi być przynajmniej w stopniu inspektora.

- Nie mam pojęcia, kim on jest. Gdybym coś wiedział, już dawno bym go unieszkodliwił.

- A jak zamierzasz postąpić z generałem Dzenem i jego nacjonalistycznymi szpiegami?

- Na razie dam im spokój. Zostaną złapani za kilka miesięcy. Lepiej nie ruszać znanych agentów niż potem uganiać się za nowymi.

- Zgoda. Na pewno szybko zostaliby zastąpieni innymi. Smutne to! Smutne i niemądre. A ten świat jest taki piękny... mógłby być taki piękny.

Przez okno wleciała osa, zabrzęczała i wróciła do ogrodu. Sir Geoffrey zasunął firankę.

- Minister prosił, żebym upewnił naszych parlamentarzystów.. delegacja związkowa przyjeżdża do Chin jutro. . abym ich upewnił, że są całkiem wicie bezpieczni. Pilnowani, ale dyskretnie.

Tak, sir. Rozumiem.

- Wygląda na to, że jeśli w wyborach zwycięży Partia Pracy, jeden albo dwóch z nich dostanie się do rządu. Lepiej zrobić na nich dobre wrażenie.

- Myśli pan, że Partia Pracy ma szansę?

- Nie odpowiadam na takie pytania, Roger - odparł spokojnie gubernator. -

Nie jestem związany z żadną partią. Reprezentuję Jej Wysokość Królową, ale osobiście wolałbym, żeby kilku tych ekstremistów odpadło i dało nam spokój, bo większość z przesłanek ich lewicowo-socjalistycznej filo-362

zofii zupełnie nie pasuje do angielskiego trybu życia. - Ton jego głosu stał się surowszy. - Całkiem oczywiste, że któryś z nich może stać się świadomie lub nieświadomie narzędziem w ręku wroga. A skoro już przy tym jesteśmy, czy nasi goście mogą uchodzić za podejrzanych?

- Zależy, co pan przez to rozumie, sir. Dwaj z nich są lewicowymi związkowcami, pieniacze: Robin Grey i Lochin Donald McLean. McLean otwarcie wyraża swą sympatię do Brytyjskiej Partii Komunistycznej. Jest na naszej liście podejrzanych.

Wszyscy pozostali są umiarkowanymi socjalistami. Konserwatyści prezentują raczej umiarkowane poglądy, należą do klasy średniej, wszyscy służyli w wojsku.

Jeden reprezentujący Partię Liberalną uchodzi za zwolennika imperium, nazywa się Hugh Guthrie.

- A ci pieniacze też służyli w wojsku?

- McLean, a przynajmniej jego ojciec, był górnikiem. Przez większość komunistycznej kariery działał jako związkowiec w szkockich kopalniach. Robin Grey służył w armii jako kapitan piechoty.

Sir Geoffrey podniósł wzrok.

- Rzadko byli kapitanowie zostają pieniaczami w związkach zawodowych, prawda?

- Tak, sir. - Crosse napił się sherry. Czekał z wyjawieniem tego, co wie, na odpowiednią chwilę. - I rzadko związkowcy bywają spokrewnieni z tai-panem.

- Proszę?

> - Siostrą Robina Greya jest Penelopa Dunross.

- Dobry Boże! - Sir Geoffrey patrzył ze zdumieniem. - Na pewno?

- Tak, sir.

- Dlaczego Ian nic o tym nie mówił?

- Nie wiem, sir. Może się wstydzi. Pan Grey jest zdecydowanie w opozycji do lana.

- Ależ... Na Boga! Czy to pewne?

- Tak, sir. Brian Kwok to zauważył. Przypadkiem. Parlamentarzyści musieli podać pewne informacje, aby uzyskać chińską wizę. Data urodzenia, zawód, najbliżsi krewni i tym podobne. Brian Kwok sprawdzał wszystko rutynowo, żeby potem nie wyniknęły na granicy jakieś problemy, i za uważał, że pan Grey jako najbliższych krewnych wpisał Penelopę Grey, a jako adres podał Castle Avisyard w Ayr. Brian przypomniał sobie, że to adres domu rodziny Dunross. - Crosse wyjął srebrną papierośnicę. - Mogę zapalić, sir?

Proszę. I co dalej?

- Dziękuję. To było jakiś miesiąc temu. Brian uznał to za interesujące i zaczął pogłębiać tę informację. Ustalił, że pani Dunross faktycznie jest najbliższą krewną Greya. Z tego co wiemy, Penelopa pokłóciła się z bratem 363

zaraz po wojnie. Kapitan Grey był jeńcem wojennym, został złapany w Singapurze w czterdziestym drugim roku, siedział w Changi. Wrócił do domu pod koniec czterdziestego piątego roku. Ich rodzice zginęli podczas nalotu na Londyn w czterdziestym trzecim, a Penelopa była już żoną Iana - pobrali się w czterdziestym trzecim, zaraz po tym jak Dunross został zestrzelony.

Wiadomo, że siostra spotkała się z bratem, gdy został wypuszczony. Potem, jak ustaliliśmy, nie widzieli się już nigdy. Oczywiście to nie nasza sprawa, ale kłótnia musiała...

Przerwał, bo rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział Sir Geoffrey.

- Przepraszam - odezwała się grzecznie służąca. - Lady Allison prosiła, aby panu powiedzieć, że jest już woda.

- Wspaniale! Dziękuję. - Służąca zamknęła za sobą drzwi. Crosse podniósł się natychmiast, ale gubernator powstrzymał go ruchem ręki. - Nie, Roger. Dokończ, proszę. Kilka minut nie sprawi różnicy, chociaż muszę przyznać, że nie mogę się doczekać. Chcesz się wykapać przed wyjściem?

- Nie, dziękuję. W Komendzie Głównej mamy specjalne zbiorniki.

- Ach tak. Zapomniałem. Mów dalej. Co z tą sprzeczką?

- Musiała być bardzo poważna, bo wygląda na to, że była ostatnia. Bliski przyjaciel Greya powiedział kilka dni temu naszemu współpracownikowi, że nic nie wie, aby Robin Grey miał żyjących krewnych. Naprawdę muszą się nienawidzić.

Sir Geoffrey patrzył niewidzącym wzrokiem na czarzkę. Nagle przypomniał sobie własne dzieciństwo i nienawiść do ojca. Nienawiść tak wielką, że przez trzydzieści lat nigdy do niego nie zadzwonił ani nie napisał, a gdy ojciec w zeszłym roku umierał, syn nie pofatygował się, aby pogodzić się z człowiekiem, który dał mu życie.

- Ludzie bywają dla siebie okrutni - stwierdził ze smutkiem. - Wiem coś o tym. Tak. O rodzinne kłótnie bardzo łatwo. A potem, gdy jest już za późno, przychodzi gorycz, bardzo dotkliwa gorycz. Naprawdę, ludzie by wają dla siebie bezlitośni...

Crosse obserwował go i czekał, pozwalając, aby się otworzył. Starał się nie wykonać najmniejszego ruchu, aby go nie spłoszyć. Crosse, podobnie jak Alan Medford Grant, kolekcjonował tajemnice. A niech go diabli porwą razem z tymi jego teczkami! I niech będzie przeklęty Dunross z tą swoją zaciekleścią. Jak, na miłość boską, uda mi się dostać te te czki przed Sin-dersem?

Sir Geoffrey patrzył przed siebie. Słysząc było, jak w ścianach, w ru-rach, delikatnie bulgocze woda. Zauważył, że Crosse mu się przygląda.

- Hm, zaczynam głośno myśleć! Zły zwyczaj u gubernatora, prawda?

Crosse uśmiechnął się, nie dając się wciągnąć w pułapkę.

-Sir?

- No cóż. Jak mówiłeś, to naprawdę nie nasza sprawa. - Gubernator wymownie skończył sherry i Crosse wiedział, że ma odejść. Podniósł się.

- Dziękuję, sir.

Gdy gubernator został sam, westchnął z ulgą. Zastanawiał się moment, a potem podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z prywatnym numerem ministra w Londynie.

- Tu Geoffrey Allison.

- Cześć, Geoffrey!

- Witam, sir. Właśnie był u mnie Roger. Zapewnił, że miejsce ukrycia i Dunross będą pod ciągłą strażą. Pan Sinderson już w drodze?

- Zawita u was w piątek. Czy nie będzie jakichś restrykcji z powodu nieszczęśliwego wypadku tego marynarza?

- Nie, sir. Panujemy nad wszystkim.

- Najbardziej niepokoi się premier.

- Tak, sir. A co do l-4a... Chyba nie powinniśmy jeszcze wspominać o tym naszym przyjacielom.

- Już słyszałem o tej sprawie. Są poważnie rozgniewani. Nasi ludzie też.

W porządku, Geoffrey. Na szczęście mamy długi weekend, więc dopiero w poniedziałek poinformuję ich i wysłucham reprimendy.

- Dziękuję, sir.

- Geoffrey, myślę, że ten amerykański senator, który u was przebywa, powinien dostać wskazówki.

Gubernator zmarszczył brwi. „Dostać wskazówki” oznaczało w ich prywatnym kodzie „uważać na niego”. Senator Wilf Tillman odwiedził Hongkong w drodze do Sajgonu.

- Zajmę się tym zaraz po odłożeniu słuchawki. Jeszcze coś, sir? - zapytał, nie mogąc się doczekać kąpieli.

- Nie, tylko chciałbym poznać dokładnie program tego senatora. - „Program” to kolejne słowo-kod, będące prośbą o dokładne informacje. - Kiedy mogę się spodziewać?

- W piątek będzie go pan miał na biurku, sir.

- Dziękuję, Geoffrey. Porozmawiamy jutro o zwykłej porze.

Gubernator w zamyśleniu odłożył słuchawkę. Ich rozmowa mogła być podsłuchiwana z każdej strony. Mimo to czuli się bezpiecznie. Wiedzieli, że wróg ma najnowocześniejszy na świecie sprzęt elektroniczny. Do naprawdę tajnych rozmów służyło więc maleńkie bezustannie strzeżone pomieszczenie, co tydzień rzetelnie sprawdzane przez specjalistów, aby wykluczyć możliwość podsłuchu.

Przeklęte podsłuchy i szpiegowanie, myślał Sir Geoffrey. Przekłęci zdrajcy! Czy to Roger? To nie do pomyślenia! Tak samo jak Philby.

18:20

Kapitan Suslew pokiwał wesoło do policjantów przy bramie do doków w Koulunie. Pięćdziesiąt metrów za nim szli dwaj oficerowie śledczy w cywilnych ubraniach. On także miał na sobie dobrze skrojone cywilne ubranie.

Stanął na krawężniku, chwilę obserwował przejeżdżające pojazdy, a potem zatrzymał taksówkę. Ruszył za nią szary jaguar z sierżantem Lee z CID i towarzyszącym mu kierowcą, również z CID.

Taksówka skierowała się po Chatham Road na południe, przejechała przez tory kolejowe, a potem skręciła na zachód, minęła stację kolejową niedaleko terminalu Golden Ferry i zatrzymała się. Suslew zapłacił, a potem wbiegł po schodach do hotelu „Victoria and Albert”. Sierżant Lee ruszył za nim, a jego kolega zaparkował policyjnego jaguara.

Suslew wszedł do środka i na chwilę zatrzymał się w ogromnym zatłoczonym foyer z ozdobnym, wysokim sufitem i staroświeckim żyrandolem.

Rozglądał się za pustym stolikiem. Cała sala żyła postukiwaniem lodu w szklankach i konwersacjami. Przeważali Europejczycy. Chińskich par było niewiele. Suslew przeszedł między ludźmi do stolika i głośno zamówił po-dwójną wódkę. Usiadł i zajął się czytaniem gazety. Obok niego stanęła dziewczyna.

- Cześć - powiedziała.

- Ginny, *darogajal* - Wstał i ku zgorszeniu każdej kobiety i zazdrości każdego mężczyzny chwycił ją w ramiona, podnosząc nad podłogę. - Minęło dużo czasu, *golubczik*.

- *Aiii ia* - potwierdziła, kiwając głową. Usiadła, zdając sobie sprawę z otaczających ją spojrzeń. Uwielbiała je, a jednocześnie nienawidziła. - Ty późno. Dlaczego kazać mi czekać? Dama nieładnie czekać w „Victoria”

sama, *heya?*

- Masz rację, *golubczik* - Suslew wyjął pakunek i podał jej z ukłonem. -

Proszę, z samego Władywostoku!

- O, dziękuję. - Ginny Fu miała dwadzieścia osiem lat i większość nocy pracowała w barze „Szczęśliwi Pijacy” pół mili na północ na jednej z alei Mong Kok. Czasami chodziła na dancino do „Szczęścia”. W dzień zastępowała przyjaciółki za ladą w sklepie, kiedy one wychodziły z klientami. Miała białe zęby, czarne oczy, kruczoczarne włosy i złotą skórę. Luźny *czong-sam* spływał na długie nogi w pończochach. Spojrzała przejęta na podarek. -

Dziękuję, Gregor, bardzo dziękuję! - Włożyła prezent do torebki i uśmiechnęła się. Potem zwróciła

wzrok na kelnera, który właśnie przyniósł Suslewowi wódkę i spojrzał na nią z jawną niechęcią, jaką wszyscy Chińczycy 366

darzą młode Chinki siadające z *quai loh*, bo to na pewno trzeciorzędne zdziury, któż inny usiadłby z *quai loh* w publicznym miejscu, zwłaszcza w foyer „Victorii”? Z wyuczoną grzecznością postawił kieliszek i znów spojrzał na nią.

- *Dew neh loh moh* na cała twoją świńską rodzinę - syknęła po kanton-

sku. - Mój mąż jest czterysta osiemdziesiąt dziewięć w policji i jak mu szepnę

słówko, to jak tylko skończysz pracę, wyrwie ci z obleśnego ciała te niewi doczne orzeszki, które nazywasz jajami.

Kelner zbladł.

- Proszę?

- Gorącej herbaty! Przynieś tu gorącej herbaty, a jak do niej naplujesz, postaram się, żeby mój mąż zawiązał ci w supeł słomkę, którą uważasz za swoją pałkę!

Kelner odszedł.

- Co mu nagadałaś? - Suslew, chociaż płynnie mówił po angielsku, z kan-tońskiego rozumiał tylko kilka słów. Ginny Fu uśmiechnęła się słodko.

- Poprosiłam herbaty. - Wiedziała, że kelner teraz już na pewno napluje do herbaty albo, co bardziej prawdopodobne, na wszelki wypadek poprosi o to kolegę, ale ona jej nawet nie ruszy, więc dla kelnera będzie to tym większa utrata twarzy. Zawszony łajdak! - Następny raz nie spotkać się tutaj, dużo złe ludzie - powiedziała władcym tonem. Rozejrzała się i zrobiła minę do przyglądających się jej Angielek w średnim wieku. - Dużo smrodu -

dodała głośno i przeczesła włosy. Zachichotała, widząc, jak Angielki, rumieniąc się, odwracają wzrok. - Dziękuję, Gregy, za prezent!

- Nie ma za co - odparł Suslew. - Wiedział, że nie otworzy go przy nim.

Wśród Chińczyków panował taki rozsądny zwyczaj. Jeśli podarunek jej się nie spodoba albo nie będzie pasował rozmiar, kolor lub wzór i okaże po sobie niezadowolenie czy nawet zaklnie, ani on, ani ona nie utracą twarzy. -

Bardzo roztropnie!

-Co? -Nic.

- Dobrze wyglądasz!

- Ty też. - Od poprzedniej wizyty minęły trzy miesiące i chociaż we Władywostoku miał kochankę Euroazjatkę - po matce Rosjance i ojcu Chiń-

czyku - bardzo się cieszył, że widzi Ginny.

- Gregy - powiedziała, zniżając głos. - Kończ pić. Zaczynamy zabawę!

Ja mieć wódka... i inne rzeczy!

Uśmiechnął się.

- Dobrze, *golubczik*.

- Ile masz dni?

- Przynajmniej trzy, ale...

367

- O! - próbowała ukryć niezadowolenie.

- ..będę musiał wracać na statek. Mamy dzisiejszy wieczór, jutro i jutrzejszy wieczór. Będą nam świecić gwiazdy!

- Trzy miesiące, długi czas, Gregy.

- Niedługo wrócę.

- Tak. - Ginny Fu rozchmurzyła się; powrócił jej pragmatyzm. - Kończ pić i chodź! - Zobaczyła kelnera spieszącego z herbatą. Spiorunowała go wzrokiem, gdy stawiał filiżanki na stole. - Ha! Widać, że zimna i nieświeża!

- powiedziała z niesmakiem. - Myślisz, że kto ja jestem? Zwykła dziwka obcego diabła? Nie, jestem cywilizowaną osobą z Czwartej Prowincji, a ponieważ mój bogaty ojciec przegrał majątek, sprzedał mnie za Żonę Numer Dwa szefowi policji obcych diabłów! No to zmiataj stąd! - Wstała.

Kelner odwrócił się na pięcie.

- O co chodzi? - zapytał Suslew.

- Nie płac za herbatę, Gregy. Nie gorąca! - powiedziała stanowczo. -I nie daj napiwek!

Niemniej Suslew zapłacił, wziął ją pod ramię i wyszli ścigani dziesiątkami par oczu. Niosła wysoko podniesioną głowę, ale w duszy nienawidziła spojrzeń wszystkich Chińczyków, nawet młodego odzwiernego do złudzenia przypominającego jej brata, któremu opłacała szkołę.

Dunross właśnie wchodził po schodach. Gdy mijali go, popatrzył z rozbawieniem, a potem grzecznie

odkłonił się odźwiernemu. Ruszył prosto do hotelowego telefonu. Czuł na sobie spojrzenia wielu ludzi. Mijając grupkę turystów z aparatami fotograficznymi, zauważył siedzących w narożnym stoliku Jacques'a deVille'a i jego żonę Susanne. Obydwoje ze smutnymi twarzami wpatrywali się w szklanki z drinkami. Rozbawiony pokręcił głową.

Stary, biedny Jacques znowu został przyłapany, a ona jak zwykle piętnuje go za niewierność. Taki *dżosl* Niemal słyszał śmiech starego Czen-czena.

„Życie mężczyzny jest cierpieniem, młody lanie! Nieśmiertelna jm wciąż walczy z naszym tak kruchym *yang*..”.

Normalnie Dunross udawałby, że ich nie zauważył, zostawiając ich sam na sam, ale instynkt kazał mu postąpić inaczej.

- Witaj, Susanne, witaj. Jacques. Jak tam?

- O, cześć, tai-pan. - Jacques deVille uniósł się z krzesła. - Przysią-dziesz się?

- Nie, dziękuję, nie mogę. - Zauważywszy głęboki smutek przyjaciela, przypomniał sobie o wypadku samochodowym, jaki mieli we Francji jego córka Avril i jej mąż. - Co się stało? - powiedział zdecydowanym tonem, tak że jego pytanie nie mogło pozostać bez odpowiedzi.

Jacques zawahał się.

368

- Mamy wieści od Avril, tai-pan. Jak wychodziłem z biura, zadzwoniła z Cannes. Powiedziała tak: „Tato... Tato, Borge nie żyje... Słyszysz mnie? Za dwa dni chcę do was wrócić... zderzenie było czołowe, a ten drugi kierowca...

Mój Borge nie żyje... Słyszysz mnie?...”. A potem połączenie zostało przerwane. Wiemy, że jest w szpitalu w Cannes. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli Susanne od razu tam pojedzie. Leci o... Właśnie czekamy na lot.

Cały czas liczymy na połączenie telefoniczne z Cannes, ale nadzieje maleją.

- Boże, tak mi przykro - rzekł współczująco Dunross, starając się odpędzić myśli, w których na miejscu Avril znajdowała się Adryon. Avril miała dwadzieścia lat, Borge także był jeszcze młodzieńcem. Pobrali się półtora roku temu, a teraz pojechali na pierwsze wakacje od narodzin syna.

- O której odlatuje samolot?

- O ósmej.

- Susanne, jeśli chcesz, zaopiekujemy się dzieckiem. Jacques też mógłby polecieć. Ja się tu wszystkim zajmę.

-Nie. - Jacques pokręcił głową. -Dziękuję, ale nie. Najlepiej, jak poleci Susanne. Przywiezie Avril

do domu.

- Tak - odezwała się Susanne. Dunross zauważył, że ma worki pod oczami. - Są *amah*... Najlepiej pojedę tylko ja, tai-pan. *Merci*, ale tak będzie lepiej.

- Po policzkach popłynęły jej łzy. - To niesprawiedliwe! Borge był taki miły!

- Tak, Susanne. Nie martw się. Poproszę Penn, żeby zaglądała do was codziennie, aby upewnić się, czy z dzieckiem i Jakiem wszystko w porządku.

- Dunross porównał zachowanie Susanne z reakcją deVille'a.

Zauważył, że Jacques lepiej potrafi nad sobą panować. To dobrze, po-myślał. - Jacques, jak Susanne bezpiecznie odleci, idź do biura - powiedział

niemal tak, jakby wydawał polecenie. - Wyślij teleks do naszego człowieka w Marsylii. Niech zamówi apartament w „Capitolu” i czeka na Susanne z samochodem i dziesięcioma tysiącami franków. Ma jutro zadzwonić do mnie z pełnym raportem na temat Avril, wypadku i tego drugiego kierowcy.

- Dobrze, tai-pan.

- Na pewno nic ci nie jest? Jacques

zmusił się do uśmiechu.

- *No. Merci, mon ami.*

- *Rien.* Przykro mi, Susanne. Zadzwoń, jeśli czegoś będzie ci trzeba.

Odszedł. Ten nasz człowiek z Marsylii jest dobry, myślał. Wszystkim się zajmie. A Jacques to naprawdę twardy człowiek. Czy pomyślałem o wszystkim? Chyba tak. W tej chwili nic więcej nie da się zrobić.

Boże chroń Adryon, Glennę, Duncana i Penn. I Kathy, i wszystkich innych. I mnie, póki z Noble House wszystko w porządku. Spojrzał na zegarek.

Dokładnie 18:30. Podniósł słuchawkę telefonu.

369

- Poproszę z panem Bartlettem. Po chwili usłyszał głos Casey:

- Halo?

- O, cześć, Ciranoush - powiedział Dunross. - Możesz mu przekazać, że czekam w holu?

- Cześć, jasne. Może wejdiesz na górę? Właśnie...

- Lepiej wy zejździe. Jeśli nie jesteście zajęci, zabiorę was ze sobą na pewne spotkanie. Może was zaciekawić. Potem coś zjemy.

- Wspaniale. Chwileczkę.

Słyszał, jak powtarza jego słowa, i myślał o swoim zakładzie z Klaudią.

Niemożliwe, żeby tych dwoje - tak nierozłącznych ludzi - nie było kochankami. To byłoby po prostu nienaturalne!

- Zaraz schodzimy, tai-pan! - Usłyszał jej radosny śmiech i odłożył słu chawkę.

Tuż za nim stał Najważniejszy z Kelnerów. Nazywał się Popołudniowy Pok, miał siwe włosy, majestatyczny wygląd i rządził za pomocą bambusowej różgi. Czekał, aż dostąpi zaszczytu wskazania stolika tai-panowi. Gdy Dunross pojawił się przed wejściowymi schodami, wieść tę przekazał mu Drugi z Kelnerów.

- Szlachetny Panie, to dla nas wielki zaszczyt - zapewnił po kantońsku i ukłonił się. - Jadłeś już dzisiaj ryż? - Był to chiński zwrot grzecznościowy, taki jak dzień dobry, dobry wieczór czy jak się pan miewa.

- Tak, dziękuję Starszy Bracie - odpowiedział Dunross. - Znał Popołudniowego Poka niemal całe życie. Odkąd pamiętał, pełnił on funkcję starszego kelnera od południa do godziny osiemnastej. W młodości, gdy Dunross dostawał cięgi, przybiegał tutaj rozdrażniony, a Pok sadzał go przy stoliku, podsuwał słodycze, głaskał delikatnie po głowie i nigdy nie wystawiał rachunku. - Doskonale wyglądasz.

- Dziękuję, tai-pan. Ty także wyglądasz zdrowo! Lecz nadal masz tylko jednego syna! Nie sądzisz, że czas, aby szlachetna Żona Numer Jeden poszukała drugiej żony?

Uśmiechnęli się obydwaj.

- Tędy, proszę. - Starszy kelner poprowadził go do starannie wybranego stolika obsługiwanego przez czterech kelnerów, którzy w jednej chwili odeszli od innych gości. Kłaniając się, czekali w napięciu.

- To co zwykle, sir? - zapytał Kelner Od Wina. - Mamy butelkę rocznika pięćdziesiątego drugiego.

- Doskonale - pochwalił Dunross. Wiedział, że dostanie La Doucette i był z tego zadowolony. Wolałby herbatę, ale zamówienie wina wiązało się z zachowaniem twarzy. Za chwilę przyniesiono butelkę wina w wiaderku z lodem. - Czekam na pana Bartletta i pannę Tcholak.

Jeden z kelnerów natychmiast ustawił się przy drzwiach windy.

- Jeśli czegoś będzie trzeba, proszę mnie zawołać - rzekł Popołudniowy Pok i odszedł. Każdy kelner w foyer denerwował się jego obecnością. Dunross zauważył, jak Peter i Fleur Marlowe próbują zapanować nad swoimi, cztero- i ośmioletnią, córkami i podziękował Bogu, że jego córki mają już ten wiek za sobą. Z przyjemnością napił się wina. Dostrzegł starego Willie-go Tuska. Pomachał mu ręką. Tamten odpowiedział tym samym gestem.

Kiedy był chłopcem, trzy albo cztery razy na tydzień przychodził z poleceniami do Tuska od Sir Rossa Struana - ojca Alastaira, lub raczej od swojego ojca, który w tym czasie zajmował się zagranicznymi sprawami Noble House.

Raz na jakiś czas Tusk służył Noble House poradą w sprawach, w których doskonale się orientował: co wywieźć z Tajlandii, Birmy i Malajów i dokąd to przetransportować. W zamian brał mały *h'eungyau* i swoje zwykłe siedem i pół procent.

- Po co ci to pół procent, Wujku Tusk? - pewnego dnia zapytał Dunross.

- To są, jak je nazywam, damskie pieniądze, młody lanie.

- Co to znaczy damskie pieniądze?

- To takie prywatne kieszonkowe, które wydajesz tylko na wybrane przez siebie damy.

- Ale po co dajesz kobietom pieniądze?

- No cóż, to długa historia, mój chłopcze.

Dunross uśmiechnął się do siebie. Tak, tak, to bardzo długa historia.

Podczas tej części edukacji miał różnych nauczycieli: dobrych, bardzo dobrych i złych. Gdy skończył czternaście lat, Wujek Czen-czen postanowił

zaaranżować mu pierwsze spotkanie z kochanką.

- O, Wujku Czen-czen, naprawdę masz taki zamiar?

- Tak. Tylko nikomu nie mów, bo twój tata wyprułby mi flaki. Takie spotkanie powinien ci zorganizować właśnie on - mówił dalej ten wspaniały człowiek - albo chociaż mógł mnie o to poprosić, ale nie przejmuj się. Teraz...

- Ale kiedy ja, kiedy... och, jesteś pewien, że tak trzeba, Wujku Czen-czen?

To znaczy kiedy i ile mam zapłacić? No właśnie, kiedy? To znaczy... Przed czy po? Tego właśnie nie wiem.

- Nie wiesz jeszcze wielu rzeczy! Nie wiesz na przykład, kiedy się od-zywać, a kiedy nie. Jak mam ci wyjaśnić, skoro ty mnie zagadujesz? Myślisz, że przez cały dzień nie mam co robić?

-Nie.

- liii - powiedział z uśmiechem Czen-czen. - liii, ale masz szczęście!

Pierwszy raz pójdziesz do „Wielkiego George'a"! To będzie pierwszy raz, tak?

Powiedz prawdę.

- Eee... no, eee... tak.

- Dobrze.

371

Dopiero po wielu latach Dunross odkrył, że najświetniejsze domy publiczne w Hongkongu i Makau ciągnęły pewne zyski z tego, że u nich swe dziewictwo tracili tai-panowie - potomkowie samego Zielonookiego Diabła.

Oprócz famy niesionej przez pokolenia, że ten właśnie dom wybrał doradca Noble House, nadzwyczajny *dżos* spotykał samą damę. Pierwotna esencja nawet od mniej znaczącej osoby była eliksirem o cudownej wartości.

Podobnie jak dziewicze soki *j>/«* odmładzały *yang* starszego mężczyzny.

- Dobry Boże, Wujku Czen-czen! - wybuchnął. - Czy to prawda? Przecież ty mnie sprzedałeś. Sprzedałeś mnie do domu publicznego. Tak?

- Oczywiście - starzec spojrzał na niego i zachichotał. Leżał na leżaku na szczycie Panoramy Struanow. Był już prawie ślepy, zbliżał się do kresu swych dni, ale humor nadal mu dopisywał. - Kto ci o tym powiedział, co, młody lanie?

Zrobił to Tusk - wdowiec, częsty bywalec kouluńskich dancinów, barów i domów publicznych, który usłyszał kiedyś, że pewna właścicielka lupanaru, dowiedziawszy się o zwyczaju wybierania pierwszej kochanki dla potomka Zielonookiego Diabła przez doradcę Noble House, wymyśliła taką legendę.

- Tak, chłopcze - rzekł Tusk. - Dirk Struan uprzedził Sir Gordona Cze-na, ojca starego Czen-czena, że jeśli będą źle wybierać, on spojrzy na Dom Czenów swoim Złym Okiem.

- Bzdury - Dunross fuknął na Tuska, ale ten bez urazy mówił dalej, że legenda stała się już częścią hongkongijskiego folkloru i bzdury czy nie, twoje pierwsze figo-fago kosztowało tego starego rozpustnika tysiące dolarów.

- Uważam, Wujku Czen-czen, że to okropne.

- Dlaczego? Odbyła się bardzo dochodowa aukcja. Ciebie to nic nie kosztowało, a doznałeś nadzwyczajnej rozkoszy. Mnie też nic nie kosztowało, a zarobiłem dwadzieścia tysięcy. Dziewczyna

zyskała twarz. Jej też to nic nie kosztowało, a zapewniła sobie klientelę na długie lata. Któż nie chciałby przespać się z twoją wybranką Numer Jeden?

Wiedział tylko, że nazywała się Elegancki Nefryt. Miała dwadzieścia dwa lata i profesjonalne doświadczenie, ponieważ rodzice sprzedali ją, gdy skończyła dwanaście lat. Jej dom publiczny nazywał się „Dom Tysiąca Uciech”. Elegancki Nefryt, kiedy jej się podobało, była delikatna i słodka, a innym razem potrafiła zamienić się w smoka. Oszałał z miłości do niej, a ich romans przetrwał dwa sezony letnie, podczas których Ian przyjeżdżał na wakacje ze szkoły w Anglii. Spotkania organizował Czen-czen. Podczas trzecich wakacji, gdy tylko wrócił, natychmiast pośpieszył do „Domu Tysiąca Uciech”, ale dziewczyna zniknęła.

372

Do dzisiaj Dunross pamiętał, jak bardzo był zawiedziony i jak gorąco pragnął ją odszukać. Jednak dziewczyna nie zostawiła po sobie najmniejszego śladu.

- Co się z nią stało, Wujku Czen-czen? Powiedz prawdę.

Starzec westchnął i położył się na plecach na ogromnym łóżku. Był zmęczony.

- Nadszedł czas jej odejścia. Mężczyźni często nazbyt łatwo poświęcają kobietom zbyt dużo czasu i myśli. Nadszedł czas jej odejścia... Ty teraz powinieneś przestać myśleć o niej i zainteresować się Noble House... O, nie staraj się ukryć swoich pragnień, nie. Rozumiem je, o, rozumiem doskonale!

Nie martw się, została sownie opłacona, synu, nie masz z nią dziecka...

- A gdzie ona jest teraz?

- Pojechała do Tajwanu. Upewniłem się, że posiada dość pieniędzy na rozkręcenie własnego domu publicznego. Mówiła, że tego właśnie pragnie...

W mojej umowie było, że wykupię ją... To mnie kosztowało pięć czy dziesięć tysięcy... Nie pamiętam... Wybacz mi, ale jestem zmęczony. Muszę się przespać. Przyjdź jutro, mój synu.

Zatopiony we wspomnieniach Dunross napił się wina. To był jedyny raz, gdy stary Czen-czen nazwał mnie synem, pomyślał. Cóż to za wspaniały człowiek! Gdybym tylko potrafił być tak mądry, tak mądry i rozsądny jak on!

Czen-czen umarł tydzień później. Miał największy pogrzeb, jaki widział

Hongkong. Za trumną na miejsce pochówku szło tysiąc zawodowych płaczek i doboszy. Ubrane na biało kobiety zostały wynajęte do głośnego zawodzenia ku niebiosom i bogom, aby ułatwić duchowi tego wielkiego człowieka drogę do Pustki, do ponownego narodzenia lub do czegokolwiek, co go czeka po śmierci. Czen-czen nawrócił się na chrześcijaństwo, więc na wszelki wypadek miał pochówek i chrześcijański, i buddyjski...

- Cześć, tai-pan!

Obok niego stał Linc Bartlett i Casey. Uśmiechali się, choć wyglądali na zmęczonych.

Przywitali się. Casey zamówiła whisky z wodą sodową, a Linc piwo.

- Jak ci dzisiaj poszło? - zapytała Casey.

- Raz lepiej, raz gorzej - powiedział. - A wam?

- Byliśmy zajęci, ale posuwamy się naprzód - odparła. - Twój prawnik, Dawson, odwołał poranne spotkanie. Przenieśliśmy je na jutro na dwunastą.

Resztę czasu spędziliśmy dzwoniąc i wysyłając teleksy do Stanów, musimy wszystko zorganizować. Obsługę mamy dobrą. A ten hotel jest naprawdę wielki. Robimy wszystko, żeby z naszej strony jak najszybciej przygotować porozumienie.

373

- To dobrze. Mam nadzieję, że uda mi się przyjść na spotkanie z Dawsonem - obiecał Dunross. - To przyspieszy sprawę. Powiem mu, żebyśmy spotkali się u nas w biurach. Dziesięć po jedenastej przyślę samochód.

- Nie potrzeba, tai-pan. Znam drogę do promu - powiedziała. - Dzisiaj po południu płynęłam w jedną i w drugą stronę. To było najlepiej wydane pięć centów w moim życiu. Jak wam się udaje utrzymywać tak niskie opłaty?

- W zeszłym roku prom obsłużył czterdzieści siedem milionów pasa-

żerów. - Dunross spojrzał na Bartletta. - Ty też przyjdiesz jutro na spotkanie?

- Nie, chyba że jest jakiś szczególny powód - powiedział. - Na początek Casey ustali wszystkie formalności. Wie, co ma zrobić. A w czwartek przylatuje Seymour Steigler III. To nasz główny doradca i specjalista od podatków. On wszystko dogada z waszymi prawnikami, więc za siedem dni bez trudu uda nam się sfinalizować sprawę.

- Wyśmienicie. - Uśmiechnięty kelner przyniósł drinki, a Dunrossowi dolał wina.

Gdy zostali sami, Casey odezwała się po cichu:

- A statki, tai-pan? Przygotujemy na nie specjalną umowę? Jeśli zajmą się nią prawnicy, przestanie być prywatna. Jak zrobimy?

- Ja spiszę dokument i przyłożę pieczęć. Będzie legalny i ważny. A sprawa zostanie tajemnicą nas trojga, zgoda?

- O jakiej mówisz pieczęci, łan? - zapytał Bartlett.

- To coś w rodzaju ekwiwalentu pieczętki, stempelka. - Wyciągnął po-dłużne pudełko z bambusa, długie na dwa cale i mające pół cala obwodu.

Zdjął pokrywkę i przechylił je. Wyjął z wyłożonego szkarłatnym jedwabiem pudełka pieczęć i pokazał ją Amerykanom. Była zrobiona z kości słoniowej i miała wyżłobione na spodzie chińskie znaki. - Oto moja osobista pieczęć. To ręczna robota, więc praktycznie nie da się jej podrobić. Ten koniec macza się w atramencie... - Atrament był czerwony i ładnie współgrał z kolorami pudełka. - .. i przykłada do papieru. W Hongkongu często nie podpisuje się dokumentów, tylko pieczętuje je. Większość z nich bez pieczęci jest nieważna. Kompanie mają takie same jak ta, tylko trochę większe.

- Co oznaczają te znaki? - zapytała Casey.

- To kalambur mojego tytułu i tytułu mojego przodka. Dosłownie oznaczają: „słynny, ostry jak brzytwa z zielonych mórz”. W przenośni chodzi o Zielonookiego Diabła, Noble House... *dirk* znaczy też sztylet. - Dunross uśmiechnął się. - A inne znaczenie to „tai-pan Noble House”. Po chińsku... -

Na dźwięk dzwonka rowerowego podniósł głowę. Pomiędzy stolikami szedł

chłopak z tabliczką, na której wypisano nazwisko poszukiwanej osoby. Nie chodziło o niego, więc mówił dalej: - W chińskim piśmie istnieje kilka poziomów znaczeń. To sprawia, że jest ono złożone, ale i interesujące.

374

Casey wachlowała się menu. Chociaż wentylatory wypuszczały lekki wiaterek, na sali było gorąco. Wyjęła serwetkę i przyłożyła do nosa.

- Zawsze tu tak wilgotno? - zapytała.

Dunross uśmiechnął się.

- Dzisiaj jest stosunkowo sucho. Czasami po kilka tygodni mamy dziewięćdziesiąt stopni i dziewięćdziesięciopięć procentową wilgotność. Tutaj najlepszą porą roku jest wiosna i jesień. W lipcu, sierpniu i wrzesniu jest gorąco i wilgotno. Teraz przewiduje się nadejście deszczu. Może nawet tajfunu. Słyszałem, że południowy wschód obejmuje niż tropikalny. Tak, jeśli dopisze nam szczęście, popada deszcz. W „Victorii” nie ma przydziałów wody, prawda?

- Nie - potwierdził Bartlett. - Ale po tym jak zobaczyłem u ciebie w domu miski, już chyba nigdy nie będę używał za dużo wody.

- Ja też - dodała Casey. - Musi wam być bardzo trudno.

- O, można się przyzwycząić. A właśnie, podoba ci się moja propozycja umowy? - Dunross zwrócił się do Bartletta, chcąc, żeby ten poczuł się zmieszany, ponaglony do udzielenia odpowiedzi na to pytanie. Ucieszył się, gdy Bartlett, zanim odpowiedział, zawahał się przez ułamek sekundy i spojrzał na Casey.

- Jasne. - I zaraz dodał: - Ian, razem ze Steiglerem przyleci Forrester, nasz główny specjalista. Pomyślałem sobie, że nie ma potrzeby czekać na podpisanie umowy i możemy już teraz zobaczyć, jak będą działać nasze fabryki.

- Oczywiście - podchwycił Dunross. Zastanowił się chwilę i postanowił sprawdzić swoją teorię. - Od czego jest specjalistą?

- No, po prostu specjalistą.

- Charlie Forrester - odezwała się Casey - wie wszystko, co się da, na temat pianki poliestrowej. Wszystko o wytwarzaniu, dystrybucji i sprzedaży.

- Aha. - Dunross odwrócił się do Bartletta i zaproponował niewinnie: -

Może zabierzesz go do Tajpej? - Zobaczył błysk w oku Amerykanina i już wiedział, że się nie pomylił. A masz, łajdaku, jeszcze jej nie powiedziałaś, pomyślał triumfalnie. Nie zapomniałem, w jakiej mnie wczoraj wieczorem postawiłeś sytuacji, wygłaszając moje tajemnice. Zobaczymy, czy zniesiesz to bez utraty twarzy. - Jak będziemy grać w golfa albo robić coś innego, umówię Forrestera z moimi ekspertami. Będzie też mógł obejrzeć wchodzące w rachubę tereny.

- Świetny pomysł - powiedział całkiem spokojnie Bartlett i Dunross musiał skorygować swoją opinię.

- Tajpej? To w Tajwanie? - zapytała z zapalem Casey. Jedziemy do Tajpej? Kiedy?

375

- W niedzielę po południu - Bartlett przemawiał łagodnie. - Na kilka dni, Ian, i...

- Świetnie, Linc - powiedziała z uśmiechem. - Gdy wy będziecie grać w golfa, ja pomogę Charliemu. Zagram z wami następną rundę. Ile wynosi twój handicap, tai-pan?

- Dziesięć - odpowiedział Dunross. - Twój na pewno też.

Roześmiała się.

- Już dokładnie nie pamiętam. Ale gdy mam dobry dzień, czternaście.

- No, jedno, dwa uderzenia więcej albo mniej, nie?

- Jasne. Kobiety oszukują w golfie tak samo jak mężczyźni.

- Proszę?

- Tak, tak. Ale w przeciwieństwie do mężczyzn kobiety zaniżają swój handicap. A handicap świadczy o statusie, prawda? Im mniej punktów, tym większy status. Kobiety zwykle zakładają się o

niewielkie sumy, więc han dicap zaniża tylko ich pozycję. A mężczyźni? Widziałam, jak się szarpia podczas jakiejś dynamiczniejszej partii, żeby zbić swój handicap o jeden czy dwa punkty. Oczywiście tylko wtedy, gdy grają na pieniądze. Jaką usta liliście stawkę?

- Pięćset dolarów hongkongijskich.

Zagwizdała ze zdziwienia.

- Za dołek?

- Boże, nie - sprostował Bartlett. - Za całą grę.

- I tak będę raczej tylko kibicować.

- Co to znaczy? - zapytał Dunross.

- Oglądać. Muszę być ostrożna, bo Linc wymówi mi pracę w Par-Con. -

Uśmiechnęła się do nich.

Potem, ponieważ Dunross wpędził Bartletta w tarapaty, postanowił sam go z nich wyciągnąć.

- Świetna myśl, Casey - pochwalił. - Ale wpadło mi teraz do głowy, że chyba lepiej będzie, jeśli najpierw sprawdzicie z Forresterem Hongkong, a dopiero później Tajpej. Tutaj będziemy mieć większy rynek zbytu. Poza tym we czwartek przyjeżdża wasz prawnik i może chciałabyś poświęcić mu więcej czasu. - Spojrzał na Bartletta wyglądającego jak uosobienie niewinności. - Jeśli ty też chcesz odwołać nasz wyjazd, nie ma sprawy. Masz jeszcze dużo czasu, żeby zobaczyć Tajpej. Aleja muszę jechać.

- Nie - odparł Bartlett. - Casey zajmie się wszystkim. Jej pomoc zupełnie wystarczy Seymourowi. Ja pojedę na zwiad, a razem wybierzemy się tam kiedy indziej.

Napiła się whisky, na jej twarzy nie zadrgał nawet jeden mięsień. A więc nie jestem zaproszona, co? - myślała w nagłym przyływie gniewu.

- Wyjeżdżacie w niedzielę?

376

- Tak - potwierdził Dunross. Był pełen podziwu dla jej klasy, dzięki której zdołała nie okazać zmiany nastroju. - Po południu. Rano będę w górach.

- Wspinasz się, tai-pan?

- Nie, nie. Biorę udział w wyścigach samochodowych, organizowanych w Nowych Terytoriach. Jeśli was to interesuje, zapraszam. Potem możemy pojechać prosto na lotnisko - dodał, zwracając się do Bartletta. - Jeśli oczywiście uda mi się odzyskać twój samolot. Jutro się tym zajmę.

- Linc, a co z Armstrongiem i policją? Nie wolno ci opuszczać Hongkongu

- zaniepokoiła się.

- Już to załatwiłem - rzekł Dunross. - Może wyjechać za moim poręczeniem.

- Fantastycznie - roześmiała się. - Tylko nie uciekaj.

- Dobrze.

- Wyjeżdżacie w niedzielę, a kiedy wracacie?

- We wtorek na kolację.

- We wtorek podpisujemy umowę. - Tak.

- Linc, czy to nie za mało czasu?

- Nie. Będziemy w kontakcie. Poza tym wszystko już ustalone. Wystarczy przelać to na papier.

- Jak uważasz, Linc. Do waszego powrotu umowa będzie gotowa do podpisania. Tai-pan, jeśli wyniknie jakiś problem, mogę rozmawiać z Andrew?

- Tak. Albo z deVille'em. - Dunross spojrział w kąt sali. Ich stolik zajmował

już ktoś inny. To nic, myślał. Wszystko, co się dało, zostało zrobione. - W

Tajpej dobrze działają telefony. Nie ma się czego obawiać. Macie później czas na kolację?

- Oczywiście — zapewnił Bartlett.

- Jakie dania wybieracie?

- Może chińskie?

- Przepraszam, ale musicie powiedzieć dokładniej. Nie można przecież zamawiać na przykład dań europejskich, gdy gama rozciąga się od kuchni włoskiej do angielskiej.

- Linc, może zostawimy to tai-panowi? - zaproponowała Casey. - Ja lubię potrawy słodkie i kwaśne. Prażony ryż, panierowane jaja, nie za tłuste kotlety.

I nie za dużo.

- Ja też - dodał Bartlett. - I bez żadnych węży, psów czy innych egzo-tycznych potraw.

- O tej porze węże są bardzo smaczne - zachwalał Dunross. - Zwłaszcza żółć zmieszana z herbatą.

Bardzo ożywcza. A młody piesek w ostrygowym sosie smakuje wybornie.

- Próbowałaś? Próbowałaś psa? - Casey była wstrząśnięta.

377

- Powiedzieli mi, że to kurczak. I smakowało jak kurczak. Ale nigdy nie wolno jeść psa i popijać whisky. Podobno kawałki mięsa stają się twarde jak stal i źle się to wszystko kończy...

Opowiadając dowcipy i prowadząc lekką rozmowę, przyglądał się jednocześnie, jak Jacques i Susanne idą do taksówki. Sercem był przy nich i przy Kathy, i wszystkich innych. Chciał, aby Susanne bezpiecznie doleciała na miejsce i przywiozła Avril. Taka miła dziewczyna, i należy do jego rodziny...

Jak, na Boga, to możliwe, aby żyć jak człowiek, zarządzać Noble House i nie postradać zmysłów? Jak można prowadzić interesy i zajmować się rodziną?

- To udręki i radości bycia tai-panem - często w snach mówił do niego Dirk Struan.

Tak, ale tych radości jest tak mało.

Mylisz się, rację ma Dirk, ty się za bardzo wszystkim przejmujesz, my-- ślał.

Najważniejsze problemy to Par-Con, boom, Kathy, raporty Medforda, Crosse, John Czen, Toda Shipping i fakt, że odrzuciłeś propozycję Lando Maty, a nie musiałeś tego robić. Tyle pieniędzy!

Czego ja właściwie chcę od życia? Pieniądzy? Władzy? A może całych Chin?

Zauważył, że Casey i Bartlett przyglądają mu się. Odkąd przybyło tych dwoje, myślał, mam same kłopoty. Popatrzył na nich. Casey warta była tego, żeby ją oglądać.

- Ja się tym zajmę - zdecydował, postanawiając, że tego wieczora będą jeść dania kantońskie.

Usłyszeli dzwonek i zauważyli, że tym razem chłopak nosi tabliczkę z napisem „Panna K.C. Szuluk”.

- Telefon do ciebie, Casey.

- Przepraszam. - Wstała od stolika. Oczy wszystkich gości spoczęły na jej długich nogach. Mężczyźni obserwowali jej zgrabny chód. Kobiety zazdrościły jej i nienawidziły.

- Ty skurczybyku - rzucił spokojnie Bartlett.

- Proszę?

Bartlett uśmiechnął się szeroko, aby wymazać przekleństwo.

- Dwadzieścia do jednego, że powiedziałaś o Tajpej, żeby mnie wypró-

bować. Ale nie mam żalu, Ian. Wczoraj wieczorem postąpiłem ostro, ale musiałem. Może i należał mi się rewanz. Na drugi raz jednak nie mieszaj do tego Casey.

- Ale już jest w porządku?

- Tak. Czuje się odrażona. - Obejrzał się za Casey. Zobaczył, że przechodzi obok stolika Marlowe'ów zatrzymuje się, wita z nimi i dziećmi, a potem odchodzi. - Wie, że nie została zaproszona.

378

Dunross zaniepokoił się.

- Na pewno? Myślałem... nie udało mi się tego zatuszować? Gdy się zorientowałem, że jeszcze jej nie powiedziałeś... Przepraszam, myślałem, że udało mi się jakoś wybrnąć.

- Byłeś diablo wspaniały! Ale założę się, że wie, iż nie została zaproszona. - Bartiett uśmiechnął się. Najpierw raz, potem drugi. Dunross zastanawiał

się, co się za tym uśmiechem kryje. Muszę się przyjrzeć temu facetowi bliżej, pomyślał. A więc Casey została odrażona? Ciekawe, co chciał do-kładnie przez to powiedzieć.

Dunross z rozmysłem wybrał na spotkanie to foyer. Chciał, żeby widziano go w towarzystwie sławnego Bartletta i jego damy. Wiedział, że rozejdą się pogłoski o finalizacji transakcji, a to wywoła kolejną zwyżkę akcji i wytrąci spekulantów z równowagi. Jeśli upadnie Ho-Pak, zakładając, że nie pociągnie za sobą innych banków, to i tak dojdzie do boomu. Jeśli Bartiett i Casey okażą się przychylni i godni zaufania, odniosę wielkie zwycięstwo.

Dużo tych jeśli. Za dużo. W tej chwili nie panuję nad bitwą. Bartiett i Casey mają więcej impetu. Ciekawe, jak daleko posunięta jest ich współpraca.

Nadinspektor Armstrong i Brian Kwok naprowadzili go na myśl, która nie dawała mu teraz spokoju.

- Co sądzisz o niejakim Banastasiu? - zapytał rzeczowym tonem.

- O Vincenzie? Ciekawy facet, a co?

- Tak się zastanawiam - odparł Dunross. Zachował spokój, ale w duszy był głęboko poruszony. - Długo go znasz?

- Trzy czy cztery lata. Ja i Casey kilka razy robiliśmy z nim interesy.

Hazardzista na wielką skalę. Kiedyś mówił, że postawił pięćdziesiąt tysięcy na wyścigach. Przyjaźnił się z Johnem Czenem. Też go znasz?

- Nie. Ale kiedyś John mi o nim opowiadał. A Tsu-ian?

- Co Tsu-ian? Kolejny hazardzista. Gdy spotkałem się z nim w Los Angeles, nie mógł się doczekać, kiedy pojedzie do Las Vegas. Ostatni raz był

tam z Johnem Czenem. Wiadomo coś o Johnie albo o porywaczach?

-Nie.

- Co za pech.

Dunross właściwie nie słuchał. W dossier Bartletta nie było ani jednej wzmianki o kontaktach z mafią. Niemniej Banastasio spajał wszystko: broń, Johna Czena, Tsu-iana i Bartletta.

Mafia oznaczała brudne pieniądze i narkotyki, ciągłe poszukiwanie moż-

liwości prania pieniędzy. Tsu-ian przyzwyczał się do tego po dostawach leków do Korei, a teraz był zamieszany w przemyt złota z Wu Cztery Palce.

Czy Banastasio wysyłał broń do... Do kogo? Czy biedny John Czen mógł

mieć z tym coś wspólnego i z tego powodu zostać uprowadzony?

379

Czy to znaczy, że część pieniędzy Par-Con należy do mafii? Czy **Par-Con** jest zdominowany albo kontrolowany przez mafię?

- John wspominał, zdaje się, że Banastasio był jednym z ważniejszych posiadaczy twoich akcji.

- Tak, Vincenzo kupił spory pakiet. Ale nie ma wpływu na kompanię.

Dlaczego pytasz?

Dunross zauważył skupienie w niebieskich oczach Bartletta i pojął, że zastanawia się, co mają znaczyć te pytania. Postanowił więc zakończyć ten temat.

- Dziwne, że świat jest taki mały, prawda?

Casey cała gotowała się w środku ze złości. Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

- Mówi Tcholak. Jest do mnie telefon.

- Chwileczkę - odpowiedziała telefonistka.

A zatem nie zostałam zaproszona do Tajpej, myślałam rozgniewana. Dlaczego tai-pan nie oznajmił tego wprost, tylko coś kręcił? I dlaczego sam Linc mi nie powiedział? Po co te sekrety? Ciekawe, co jeszcze knują.

Tajpej? Owszem, słyszałam, że to miejsce dla mężczyzn. Jeśli chcą się w weekend zabawić, nie mam

nic przeciwko temu. Ale nie podoba mi się to, jeśli jada w interesach. Dlaczego Linc milczał? Co tu można ukrywać?

Jej gniew rósł z każdą chwilą, ale przypomniała sobie słowa Francuzki o pięknych i gotowych na wszystko Chinkach. Gniew przemienił się w niepokój o Linca.

Cholerni mężczyźni!

Przekłęci mężczyźni i świat ustawiony tak, aby pasował wyłącznie do nich. Tu jest jeszcze gorzej niż gdziekolwiek indziej.

Cholerni Anglicy! Są tacy mili, uprzejmi, wstają, gdy podchodzi kobieta, mówią proszę i dziękuję, ale pod tą maską są tak samo zepsuci jak wszyscy inni. A nawet gorsi. Zwyczajni hipokryci. Jeszcze kiedyś sobie zagramy w golfa, panie tai-pan. I lepiej, żebyś grał uważnie, bo potrafię zejść do dziesięciu i mogę utrzc ci nosa. Tak! A może w bilard? Jasne, wiem, na czym polega angielski rewers!

Z radością wspomniała, jak ojciec wtajemniczał ją w reguły obydwu gier.

Jednak dopiero Linc nauczył ją, jak ustawić kij, żeby podkręcić bilę. Pokazał

te sztuczki, gdy kiedyś wymusiła na nim partię. Zanim udzielił jej lekcji, wygrał z nią druzgoczącą przewagą.

- Casey, zanim zaczniesz walczyć, musisz poznać wszystkie słabe punkty przeciwnika. Zagrałem z tobą, żeby ci to udowodnić. Ja nie gram dla przyjemności, tylko po to, żeby wygrać. Nie będę z tobą więcej grać. Wolę się z tobą kochać. Zapomnijmy o naszej umowie i pobierzmy się...

380

Działo się to kilka miesięcy po tym, jak zaczęła dla niego pracować. Miała dwadzieścia lat i już się w nim kochała. Jednak bardziej niż małżeństwa pragnęła zemsty na innym mężczyźnie, niezależności i bogactwa.

- Nie, Linc, umówiliśmy się na siedem lat. Ja ci się pomogę wzbogacić i dzięki tobie sama zarobię miliony. Żadne z nas nie będzie należeć do drugiego. Możesz mnie w każdym momencie wyrzucić, obojętnie, z jakiego powodu, i ja też mogę odejść. Jesteśmy równi. Nie będę zaprzeczać, że ko cham cię z całego serca, ale nie chcę zmieniać umowy. Jednak jeśli nadal będziesz pragnął się ze mną ożenić, gdy skończę dwadzieścia siedem lat, wtedy się zgodzę. Pobierzemy się i zamieszkamy razem. A jeśli nie, odejdę.

To zależy od ciebie. Ale nie teraz. Tak, kocham cię, lecz jeśli teraz zostanie my kochankami... Już nigdy nie będę mogła... Po prostu nie mogę, Linc, nie teraz. Muszę się jeszcze tak dużo o sobie dowiedzieć!

Westchnęła. Co za zwariowana umowa. Czy cała ta władza i wszystkie interesy warte były tylu lat samotności i tylu przelanych łez?

Nie wiem. Po prostu nie wiem. A Par-Con? Czy osiągnę swój cel? Par-Con i Linc, czy będę musiała między nimi wybierać?

- Ciranoush? - usłyszała w słuchawce.

- O! Witam, panie Gornt! - czuła, jak oblewa ją żar. - Cóż za miła niespodzianka - dodała, zbierając myśli.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

- Ani trochę. Czym mogę służyć?

- Zastanawiałem się, czy mógłbym zaprosić was na niedzielę. Jeśli oczywiście macie czas. Planuję przyjęcie na jachcie i chciałbym, żebyście byli moimi honorowymi gośćmi.

- Przykro mi, ale Linc nie może. Już się umówił.

Usłyszała jego pełne zaniepokojenia wahanie, ale zaraz dobiegł ją miły głos:

- Anie zechciałabyś zjawić się bez niego? Przyjdzie kilku znajomych.

Na pewno będzie ciekawie.

Dla Par-Con byłoby dobrze, gdybym poszła, myślała. Poza tym skoro tai-pan i Linc lecą beze mnie do Tajpej, to dlaczego ja nie miałabym popłynąć bez nich?

- Zgadzam się z przyjemnością - powiedziała ciepłym głosem. - Jeśli naprawdę nie będę zawadzać.

- Oczywiście, że nie. Zabierzemy cię z nabrzeża naprzeciw hotelu, obok Golden Ferry. O dziesiątej. Umiesz pływać?

- Jasne.

- To dobrze. Woda bardzo odświeża. Lubisz jeździć na nartach wodnych?

- Uwielbiam.

381

- Wspaniale.

- Mam coś przynieść? Wino albo coś do jedzenia?

- Nie. Wszystko mamy na pokładzie. Zrobimy sobie piknik na jednej z wysepek. Wrócimy po zachodzie słońca.

- Panie Gornt, chciałabym, żeby to zaproszenie na wycieczkę pozostało między nami. Konfucjusz powiedział: „Do zamkniętych ust nie wleci mucha”.

- Konfucjusz mówił różne rzeczy. Kiedyś porównał kobietę do promieni księżyca.

Zaniepokoiła się. Poczwała niebezpieczeństwo. Ale zaraz usłyszała swój głos:

- Mam zabrać ze sobą przyzwoitkę?

- Może i tak - odparł i usłyszała jego śmiech.

- Może Dunross?

- On się nie nadaje na przyzwoitkę. Popsułby tylko coś, co można nazwać wspaniałym dniem.

- Do soboty, panie Gornt.

- Dziękuję. - Połączenie zostało natychmiast przerwane.

Arogant! - warknęła prawie na głos. Tylko dziękuję i nawet bez do widzenia.

Należę do Linca i nie dam się nikomu.

A więc dlaczego odgrywałaś przed nim kokietkę? - zapytała siebie. I dlaczego chciałaś, żeby ten łajdak zachował niedzielne spotkanie w tajemnicy?

Kobiety też lubią sekrety, pocieszyła się. Kobiety lubią wiele tych samych rzeczy co mężczyźni.

26 20:35

W magazynie ze złotem w banku Ho-Pak stał kulis. Był niski, stary, ubrany w dziurawy podkoszulek i połatane spodnie. Gdy dwaj strażnicy wkładali mu na plecy płócienny worek, założył sobie na czoło pasek i mocno zacisnął dłonie na uchwytach. Czuł cały ciężar ładunku, czuł, jak bije mu serce i jak drżą z wysiłku mięśnie.

Wysoki urzędnik zaplombował worek, którego zawartość ważyła ponad dziewięćdziesiąt funtów, prawie tyle co kulis. W środku znajdowało się dwieście pięćdziesiąt przemyticznych sztabek złota po pięć taeli - trochę ponad sześć uncji - każda. Jedna wystarczyłaby, aby przez kilka miesięcy 382

zapewnić bezpieczne życie kulisowi i całej jego rodzinie. Jednak starzec nawet nie myślał o kradzieży. Koncentrował się na pokonaniu zmęczenia, na tym, jak zmusić nogi do postawienia kroku, jak wykonać przydzieloną pracę, aby na koniec zmiany dostać pieniądze i wreszcie odpocząć.

- Szybciej! - ponaglił ostro kierownik. - Mamy do przeładowania jesz cze dwadzieścia ton. Następny!

Starzec nie odpowiedział. Nie zamierzał marnować energii. Jeśli chciał

dotrwać do końca, musiał uważnie rozkładać siły. Z dużym wysiłkiem udało mu się ruszyć nogą. Podczas wielu lat ciężkiej pracy łydki pokryły się żyłakami, bliznami i guzami.

Jego miejsce zajął kolejny kulis, a on powlókł się wolno do wyjścia ze skarbcza. Minał obserwowane uważnie przez dwóch strażników sterty szta-bek złota. Czekwały na przeliczenie, załadowanie do płóciennego worka i za-plombowanie.

Na wąskich schodach starzec zachwiał się. Z trudem udało mu się zachować równowagę. Postawił stopę na następnym stopniu - jeszcze tylko dwadzieścia osiem - potem dostawił drugą. Worek przeważył go i kulis oparł

się o ścianę. Serce zabiło mu mocniej, bo wiedział, że jeśli upuści worek, na pewno nie uda mu się podnieść go samodzielnie. Przestraszył się, że może nadejść strażnik. Mimo pulsującego bólu, kiedy usłyszał zbliżające się z dołu kroki, podciągnął worek i jeszcze raz udało mu się ruszyć. Prawie się przewrócił.

- Hej, Dziewięciokaratowy Czu, nic ci nie jest? - zapytał w dialekcie szantung inny kulis. Podtrzymał mu worek.

- Nie... Nie... - Odetchnął z ulgą. Był wdzięczny przywódcy ich gangu dziesięciu i przyjacielowi z tej samej, znajdującej się daleko na północy wioski. -Niech będą przekłęci bogowie! Tylko... Tylko się poślizgnąłem.

Przyjaciel patrzył na niego. W słabym świetle widział umęczone i przekrwione oczy oraz napięte mięśnie.

- Ja to wezmę, a ty odpocznij chwilę - zaproponował. - Zdjął umiejt nie worek i postawił na podłodze. - Powiem temu obcemu psubratowi, kto ry myśli, że ma dość rozumu, aby być strażnikiem, że poszedłś sobie ulżyć.

- Sięgnął do kieszeni brudnych spodni i wyjął mały pakunek z aluminiowej folii. - Weź. Potrącę sobie z twojej wieczornej pensji.

Starzec wymamrotał podziękowanie. Wszystko go bolało, nie mógł my-

śleć. Drugi kulis zarzucił sobie worek na plecy i odszedł, jęcząc z wysiłku.

Cieszył się z ubitego interesu.

Starzec wślizgnął się do zakurzonej wnęki i przykucnął. Drżącą ręką odwinął folię zawierającą biały proszek, zapalił zapalną i podgrzał folię.

Proszek zaczął ciemnieć i dymić. Starzec ostrożnie podsunął zwitek pod nos i zaciągnął się dymem. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Aż wszystkie drobinki zamieniły się w dym, który z lubością wciągał do płuc.

Oparł się plecami o ścianę. Po jakimś czasie minął ból, a pojawił się zapal i euforia. Znów poczuł się młody i silny. Wiedział, że dotrwa do końca zmiany w doskonałym stanie, a w sobotę pójdzie na

wyścigi i wygra. Tak, to będzie szczęśliwy tydzień. Całą wygraną przeznaczy na zakup akcji, tak, na początku będzie to mało warte, ale wkrótce nastąpi boom i sprzedam akcje. Zarobię majątek i kupię jeszcze więcej. Stanę się szanowanym dziadkiem, a wnuki będą padać mi do stóp...

Wstał, szedł na dół i ustawił się w ogonku, niecierpliwie czekając na swoją kolej.

- *Dew neh loh moh*, szybciej - rzekł popędliwie w dialekcie szantung. -

Mam dzisiaj w nocy jeszcze jedną pracę!

Jeszcze jedna praca była na budowie, niedaleko Ho-Pak. Cieszył się, że został pobłogosławiony dzisiejszej nocy dwiema dodatkowymi pracami, niezależnymi od jego regularnego zajęcia robotnika budowlanego. Wiedział

też, że to ten drogi biały proszek odpędził od niego ból i zmęczenie.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że proszek jest niebezpieczny. Jednak on postępował ostrożnie i rozsądnie i zażywał go tylko wtedy, gdy stawał na granicy wyczerpania. Zupełnie się nie przejmował, że brał prawie codziennie dwa razy. *Dżos*, mówił sobie, nadstawiając ramiona na nowy worek.

Kiedyś był rolnikiem, starszym synem właściciela ziemi w prowincji Szantung w delcie Żółtej Rzeki. Od wieków uprawiano tam owoce, soję, orzeszki, tytoń i tyle warzyw, aby najeść się do woli.

Ach, nasze wspaniałe pola, myślał, wchodząc po schodach i nie zwracając uwagi na tłukące się w piersi serce. Bogate pola i duże zbiory. Ach, jak pięknie! Złe czasy zaczęły się trzydzieści lat temu. Diabły znad Wschodniego Morza przyjechały z pistoletami i czołgami, ukradły naszą ziemię, a potem, gdy wyparli ich Mao Tse-tung i Czang Kai-szek, pobiły się między sobą i ziemia znów została zniszczona. Wygnał nas głód i z młodą żoną oraz dwoma synami przybyliśmy tutaj, aby żyć między obcymi diabłami i barbarzyńcami z Południa. Całą drogę przeszliśmy pieszo. Przeżyliśmy.

Większą część drogi niosłem synów na ręku. Teraz jeden ma czternaście, a drugi szesnaście lat, a nam urodziły się jeszcze dwie córki i wszyscy mają do jedzenia jedną miskę ryżu dziennie. A w tym roku dopisze nam szczęście.

Wygram na wyścigach i pewnego dnia wrócę do rodzinnej wioski, wykupię swoją ziemię. Przewodniczący Mao na pewno nas przyjmie i się zgodzi.

Będziemy żyć w szczęściu i bogactwie...

Wyszedł z budynku i stanął za ciężarówką. Czyjeś ręce odebrały od niego worek i postawiły między innymi, a urzędnicy sprawdzili numery. Przy ulicy stały dwie ciężarówki. Jedna już została zapełniona i czekała na od-jazd. Ubrojony policjant obserwował ruch na ulicy. Noc była ciepła.

- dwóch mężczyzn i kobietę. Zatrzymali się przy ciężarówce i oglądali ją.

Otworzył ze zdziwienia usta.

- *Dew neh loh moh!* Co za ładownica... Potwór o słomianych włosach

- powiedział do siebie.

- Nie do wiary - poparł go ktoś inny.

-Tak.

- Oburzające, jak się te ładownice pokazują ludziom, no nie? - rzekł stary tragarz. - Cały tyłek widać przez te spodnie. Każdą przekłętą fałdę jej dolnej dziury.

- Założę się, że całą rękę można wepchnąć aż po łokieć i nie dosięgnie się dna! - dodał ze śmiechem następny.

- Kto by tego chciał - rzucił głośno Dziewięciokaratowy Czu, splunął na ziemię i schodząc na dół, wrócił myślami do soboty.

- Nie podoba mi się, jak tak plują- powiedziała cicho Casey. - To obrzydliwe!

- Stary chiński zwyczaj -wyjaśnił Dunross. - Wierzą, że w gardle gnieździ się zły demon i trzeba się go bezustannie pozbywać, bo może udusić człowieka. Oczywiście plucie jest zabronione, ale dla nich to bez znaczenia.

- Co powiedział ten starzec? - zapytała Casey, ruszając w stronę bocznych drzwi do banku. Przeszła jej już złość i cieszyła się, że idą we trójkę na kolację.

- Nie wiem. Nie znam tego dialektu.

- Założę się, że to nie był komplement. Dunross

roześmiał się.

- Wygrałabyś. Nie mają o nas najlepszego zdania.

:t - Ten starzec musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, a nosi ciężary **jak** młodzieniec. Jak oni to robią?

Dunross wzruszył ramionami i nie odezwał się. Wiedział. Następny kulis zrzucił ładunek na ciężarówkę i popatrzył na Casey. Odchrząknął i splunął.

- Wypchaj się - burknęła Casey i udała, że też odchrząkuje i pluje daleko przed siebie. Wszyscy troje roześmiali się. Chińczyk tylko patrzył.

- Po co to wszystko, Ian? Po co tu przyszedliśmy? - zapytał Bartlett.

- Pomyślałem, że będziecie chcieli popatrzeć na pięćdziesiąt ton złota.

- W tych workach jest złoto? - zapytała ze zdziwieniem Casey.

- Tak. Chodźcie. - Dunross sprowadził ich po schodach do skarbcza.

Urzednicy bankowi grzecznie się przywitani, a nie uzbrojeni strażnicy patrzyli, nie poruszając się. Amerykanie czuli się pod tym wzrokiem nieswojo, ale wrażenie to szybko minęło, gdy zobaczyli złoto. Otaczały ich półki **385**

ze złotymi sztabkami. Na jednej znajdowało się dziesięć poziomów, a na każdym z nich po dziesięć sztabek złota.

- Mogę jedną podnieść? - zapytała Casey.

- Proszę bardzo - odparł Dunross. Obserwował tych dwoje, starając się oszacować ich zachłanność. Gramy o dużą stawkę, myślał. Muszę wiedzieć, jacy są.

Casey nigdy w życiu nie dotykała tyle złota naraz. Bartlett również.

Drżały im ręce. Casey najpierw pogładziła sztabkę. Potem ją z pietyzmem podniosła.

- Ciężka.

- Mówi się na nie sztabki przemynicze, bo łatwo je ukryć i przewieźć -

objaśnił Dunross, starannie dobierając słów. - Przemynicy zakładają płaszcze z małymi kieszeniami, w których mieszczą się sztabki. Podobno dobry kurier może przewieźć osiemdziesiąt funtów złota naraz. To prawie tysiąc trzysta uncji. Oczywiście musi być wyszkolony i silny.

Bartlett zafascynowany ważył sztabki w obydwu rękach.

- Ile wchodzi na osiemdziesiąt funtów? - zapytał.

- Mniej więcej dwieście sztuk. Casey

wytrzeszczyła oczy.

- To wszystko twoje, tai-pan?

- Dobry Boże, nie! Należy do kompanii z Makau. Przenoszą je stąd do Victorii. Amerykanom czy Anglikom nie wolno posiadać nawet jednej sztabki. Pomyślałem sobie, że to może was zainteresować. W końcu nie co dzień widzi się pięćdziesiąt ton złota w jednym miejscu.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak wyglądają prawdziwe pieniądze -

powiedziała Casey. - Teraz rozumiem, dlaczego mojemu tacie i mojemu wujkowi świeciły się oczy, gdy mówili o złocie.

Dunross nie widział w jej oczach zachłanności. Jedyne zdziwienie.

- Dużo jest w bankach takich depozytów jak ten? - zapytał ze ściśniętym gardłem Bartlett.

- Tak, cały czas - odpowiedział Dunross. Nie zdziwiłby się, gdyby Bartlett właśnie planował napad ze swoim znajomym mafiosem Banastasiem. -

Za jakieś trzy dni przyplynie wielki ładunek - dodał, kusząc jeszcze bardziej.

- Ile jest warte pięćdziesiąt ton? - zapytał Bartlett.

Dunross uśmiechnął się, bo przypomniały mu się skrupulatne wyliczenia Sterowca Tunga.

- Oficjalnie mniej więcej sześćdziesiąt trzy miliony.

- I do przeniesienia takiej fortuny wystarcza garstka starców, dwie ciężarówki i kilku nie uzbrojonych strażników!

- Jak najbardziej. W Hongkongu nie ma problemu z bronią. Jeśli znajduje się w posiadaniu tylko policji, to co mogą napastnicy?

386

- Przecież tu nie ma policji. Widzę tylko jednego, ale jest bez broni.

- O, chyba gdzieś tu są - powiedział swobodnie Dunross, celowo udając bez troskę.

Casey wpatrywała się w złoto, rozkoszując się dotykaniem drogiego metalu.

- Takie zimne i takie twarde. Jeśli oficjalna wartość wynosi sześćdziesiąt trzy miliony, to ile wyniesie na czarnym rynku, tai-pan?

Dunross zauważył nad jej górną wargą kropelki potu.

- Zależy, ile ktoś zechce zapłacić. Słyszałem, że w tej chwili najlepsze ceny są w Indiach. Płacą od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu dolarów za uncję.

Bartlett uśmiechnął się i odłożył sztabki.

- Duży zysk.

W milczeniu patrzyli, jak urzędnik plombuje kolejny worek. Dwaj ludzie założyli go na plecy starca, a ten odszedł, uginając się pod ciężarem znacznie przekraczającym jego możliwości.

- A tamte? - zapytała Casey, wskazując na o wiele większe sztabki w innej części skarbca.

- Mają po czterysta uncji. Ważą około dwudziestu pięciu funtów jedna. -

Oznaczone były liczbą 99.999. - To rosyjskie złoto. Czyste w dziewięć-

dziesiąciu dziewięciu i dziewięćdziesiąciu dziewięciu setnych procent. Po-

łudniowoafrykańskie przeważnie ma dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć-

dziesiąt osiem setnych procent czystości. Rosyjskie jest więc bardziej poszukiwane. Oczywiście, i jedno, i drugie bez trudu można kupić na giełdzie złota w Londynie. - Pozwolił im się jeszcze trochę napatrzeć i zapytał: -

Możemy już iść?

Na ulicy nadal stał jeden policjant i nie uzbrojeni strażnicy. Kierowcy ciężarówek palili papierosy w kabinach. Ruch na ulicy był coraz mniejszy.

Kręciło się kilku homoseksualistów.

Dunross cieszył się, że wyszli z niskiego pomieszczenia. Nienawidził

piwnic, odkąd ojciec zamknął go za jakieś niewinne przewinienie w spiżarni.

Pamiętał, że wtedy wstawiła się za nim stara *amah* Ah Tat. On patrzył na ojca i starał się powstrzymać łzy przerażenia, ale nie udało mu się.

- Miło znowu znaleźć się na powietrzu - westchnęła Casey. Jej oczy mimowolnie wędrowały ku workom ze złotem. - To są prawdziwe pieniądze

- mruknęła do siebie.

- Napiłbym się pi wa - powiedział Bartlett. - Tyle pieniędzy zawsze sprawia, że chce mi się pić.

- Ja też bym się napiła whisky z wodą sodową.

- Przejdźmy się do „Victorii”, tam coś zjemy... - Dunross przerwał.

W cieniu ciężarówki spostrzegł szepczących dwóch ludzi. Lekko zadrżał.

387

Tamci dwaj zauważyli go. Byli to Peter Marlowe i Martin Haply z

„China Guardian”.

- O, witaj, tai-pan - zawołał Martin Haply i podszedł bliżej. - Nie spodziewałem się pana tutaj.

Dobry wieczór, panno Casey, dobry wieczór, panie Bartlett. Tai-pan, zechciałby pan skomentować sprawę Ho-Pak?

- Jaką sprawę Ho-Pak?

- Masowe wypłaty pieniędzy, sir.

- Nic o tym nie wiem.

- Czytał pan może mój artykuł o plotkach...?

- Drogi panie Haply - powiedział uprzejmie Dunross - dobrze pan wie, że nigdy nie zabiegam o wywiady i niechętnie ich udzielam... A już nigdy na rogu ulicy.

- Wiem, sir. - Haply wskazał na worki. - Wypłata takiej ilości złota może położyć Ho-Pak, prawda? Jeśli wieść o tym się rozniesie, bank już upadł.

Dunross westchnął.

- Proszę zapomnieć o Ho-Pak. Mogę panu powiedzieć coś prywatnie? -

Delikatnie wziął młodzieńca pod ramię i podprowadził na bok. Gdy znaleźli się sami, zasłonięci przez ciężarówkę, puścił go. Haply odruchowo cofnął

się o pół kroku. Tai-pan zniżył głos. - Skoro spotyka się pan z moją córką, musi pan wiedzieć, że bardzo ją kocham i że wśród dżentelmenów panują pewne zasady. Przypuszczam, że jest pan dżentelmenem. Jeśli nie, niech Bóg ma pana w swojej opiece. - Dunross odszedł i przyłączył się do innych.

- Dobry wieczór, Marlowe, co słychać?

- W porządku, dziękuję, tai-pan. - Wysoki mężczyzna wskazał na cięż-

arówki. - Niezwykle bogactwa.

- Skąd się dowiedzieliście o transferze?

- Godzinę temu kolega dziennikarz wspomniał o tym. Powiedział, że stąd do Victorii pojedzie jakieś pięćdziesiąt ton złota. Pomyślałem, że warto będzie to obejrzeć. Mam nadzieję... Mam nadzieję, że nie zrobiłem nic niestosownego.

- Ależ skąd - Dunross odwrócił się do Bartletta i Casey. - Proszę, tak jak wam mówiłem, Hongkong to jak wioska. Żaden sekret nie utrzyma się długo w tajemnicy. Ale to wszystko... - pokazał na worki - to wszystko fałszywe. Prawdziwy ładunek odjechał godzinę temu. I nie pięćdziesiąt ton, lecz kilka tysięcy uncji. Większość złota Ho-Pak pozostała nadal na swoim miejscu. - Uśmiechnął się do Haply'ego, który słuchał go z poważną miną.

- To wszystko jest fałszywe? - dopytywała się zbity z tropu Casey.

Peter Marlowe roześmiał się.

- Muszę przyznać, że od razu pomyślałem, że ta cała operacja wygląda trochę ryzykownie.

388

- Dobrej nocy - powiedział Dunross do Marlowe'a i Martina Haply'ego.

Wziął pod rękę Casey. - Chodźmy, czas na kolację. - Ruszyli ulicą, a za nimi postępował Bartlett.

- Czy to wszystko, co widzieliśmy, to, czego ja dotykałam, to nie było złoto? Założyłabym się o życie, że miałam w ręku najszlachetniejszy z me-tali, a ty, Linc?

- Ja też - przyznał. - Ale podstęp bardzo przemyślny. Też bym tak po-stąpił.

Minęli róg i zbliżali się do wielkiego budynku banku Victoria. Powietrze było ciepłe i wilgotne.

Casey roześmiała się nerwowo.

- Ech, byłam przekonana, że to złoto, i myliłam się.

- Właściwie nie - sprostował Dunross, a ona zatrzymała się. - Przepraszam, Casey, że tak kręcę, ale musiałem tak powiedzieć dla dobra Haply'ego i Marlowe'a. Nie chciałem, żeby potwierdzili swoje przypuszczenia. Teraz trudno im będzie cokolwiek ustalić. Niewiele ponad godzinę temu zostałem poproszony o przeprowadzenie transferu i oczywiście się zgodziłem. - Serce zaczęło bić mu szybciej. Zastanowił się, ilu jeszcze ludzi wie o raportach Medforda i czy ktoś oprócz niego zna numer skrytki, w której się znajdują.

- Ja uwierzyłem w twoje słowa - przyznał się Bartlett. - Oni chyba też. -

Zastanawiał się, po co Dunross chciał im pokazać złoto. Chciałbym się tego dowiedzieć, pomyślał.

- Zadziwiająca, tai-pan. - Casey znów uśmiechnęła się speszona. - Wiedziałam, po prostu wiedziałam od samego początku, że to złoto jest prawdziwe. A jednak uwierzyłam, kiedy powiedziałaś, że jest fałszywe. I teraz też ci wierzę. Łatwo jest stwierdzić autentyczność złota?

- I tak, i nie. Na sto procent można się przekonać dopiero po szczegółowych próbach. To właściwie jedyne sposoby. Prawda? - Zwrócił się do Bartletta, chcąc się przekonać, czy rozumie, o co mu chodzi.

- Chyba tak, Ian. Tak samo jak z ludźmi.

Dunross uśmiechnął się. Dobrze, pomyślał, rozumiemy się w lot.

Zrobiło się późno. Prom Golden Ferry już nie kursował, więc Casey i Linc wracali wynajętą łódką.

Morze było spokojne, dokoła unosił się zapach słonej wody. Siedzieli obok siebie na ławce i patrzyli na Hongkong. Tak wspaniałej kolacji nie jedli jeszcze nigdy w życiu. Doskonale też rozmawiało im się z tai-panem. Skończyło się na koniaku na szczycie „Hilto-na”. Obydwoje czuli się pogodzeni ze światem i ze sobą, w cudownej harmonii z naturą.

Casey dotykała ramienia Linca.

389

- Bardzo romantycznie, prawda Linc? Spójrz na Pik i na te wszystkie światła. Nie do wiary. To najpiękniejsze i najbardziej ekscytujące miejsce, jakie w życiu widziałam.

- Fajniejsze niż południowa Francja?

- Zupełnie inne. - Dwa lata temu po raz pierwszy spędzili ze sobą wakacje w Côte d'Azur. Po raz pierwszy i ostatni. Zbyt trudno było im trzymać się od siebie z daleka. - Ian jest fascynujący, prawda?

- Tak. Ty także.

- Dziękuję panu. Pan również. - Roześmiali się. Byli szczęśliwi.

Na brzegu Linc zapłacił za łódkę i poszli do hotelu. W holu służbę pełniło jeszcze kilku kelnerów.

- Dobry wieczór panu, dobry wieczór pani - powitał ich stary windziarz.

Na górze Nocny Czang odprowadził ich do apartamentu i otworzył im drzwi.

Linc wręczył mu dolara. Nocny Czang uklonił się i zamknął za nimi drzwi.

Casey przesunęła zasuwkę.

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję. Straciłabym smak brandy. - Zauważyła, że jej się przygląda. Stali na środku salonu, przed sobą mieli duże okno z widokiem na Hongkong. Na prawo znajdowała się jego sypialnia, a po lewej jej. Czowała krew pulsującą w żyłach. Podobała mu się.

- No to... dziękuję za miły wieczór, Linc. Do jutra - powiedziała, ale nie ruszała się z miejsca.

- Do twoich urodzin tylko trzy miesiące, Casey.

- Trzydzieści tygodni i sześć dni.

- Może zapomnimy o nich i już się pobierzemy. Na przykład jutro.

- Jesteś taki cudowny, Linc, taki dobry, cierpliwy i znosisz moje... szaleństwa. - Uśmiechnęła się

uwodzicielsko. - Już niedługo. Zrobmy tak, jak się umówiliśmy. Dobrze?

Stał wpatrzony w nią. Pragnął jej.

- Jasne - powiedział. Zatrzymał się przy drzwiach do swojej sypialni. -

Masz rację, Casey. To romantyczne i ekscytujące miejsce. Mnie się też udzie lił jego urok. Lepiej idź do siebie.

Zamknął za sobą drzwi. Płakała

przed snem.

390

Środa

5:45

Dwa rozpędzone konie wyścigowe wyszły z zakrętu na ostatnią prostą.

Świtało. Niebo na zachodzie nadal było ciemne, a na torze wyścigowym w Szczęśliwej Dolinie od rana pracowali ludzie.

Korsarz pod Dunrossem pędził łeb w łeb z prowadzoną przez dżokeja Toma Leunga Noble Star. Konie miały brać udział w wyścigach, więc obydwaj jeźdźcy zachowywali w biegu pewną rezerwę. Nagle Dunross zobaczył

metę i naszła go nieodparta chęć, aby przycisnąć konia piętami i dojechać pierwszy. Dżokej zrozumiał wyzwanie i spojrzał na Dunrossa. Obydwaj wiedzieli, że są na treningu, a nie na wyścigach i nie muszą ze sobą rywalizować. Dunross zapanował nad swoim pragnieniem.

Obydwa konie opuściły uszy, boki miały mokre od potu. Obydwa zawzięcie, w zapamiętaniu pędziły do mety. Treningowy - piaszczysty, a nie trawiasty - tor zmuszał je do większego wysiłku. Jeźdźcy podnieśli się w strzemionach, pochylili do przodu i ściągnęli cugle.

Noble Star miała na sobie mniejszy ciężar. Zaczęła wysuwać się naprzód.

Dunross bezwiednie ubódł Korsarza piętami. Koń przyspieszył. Zbliżała się meta. Dunross czuł narastające napięcie. Koń galopował dość płynnie, więc nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Nie obserwował ich ze stoperem żaden rywalizujący trener, więc mogli przyspieszyć. Zaczął się wyścig. Oba konie wiedzia-

ły o tym. Wydłużyły krok. Prowadziła Noble Star, a czując, że Korsarz ją dogania, sprężyła się jeszcze bardziej i zostawiła Dunrossa o pół długości za sobą.

Za metą jeźdźcy zwolnili i swobodnym kłusem zjechali na trawiaste pobocze. Dunross przerwał trening i nie zrobił już wymaganej normalnie po wyścigu rundy zwycięzców. Zsiadł z konia, poklepał go po szyi i oddał lejce stajennemu. Ten wskoczył na siodło i prowadził dalej trening.

Dunross rozluźnił mięśnie, czuł miłe bicie serca. W ustach pojawił się posmak krwi. Zdecydowanie poprawiło mu się samopoczucie, przyjemnie bolały go rozciągnięte mięśnie. Całe życie jeździł na koniu. W Hongkongu jeździectwo nadal pozostawało sportem amatorskim. W młodości ścigał się dwa sezony i ścigałby się dalej, ale najpierw ojciec, ówczesny tai-pan, wyraził

swoją dezaprobatę, a potem Alastair Struan, gdy przejął stanowisko, polecił

mu zrezygnować z jeździectwa pod groźbą natychmiastowego pozbawienia wszystkich przywilejów w firmie. Chcąc nie chcąc przestał więc jeździć, chociaż nie zrezygnował z trenowania koni ze stajni Struanów. I czasami, gdy rano był w dobrym nastroju, lubił się też pościgać.

Bardzo budujące było galopowanie w słabym świetle wczesnego poranka, gdy większość ludzi jeszcze śpi. Emocje, prędkość i niebezpieczeństwo oczyszczały mu umysł.

Dunross pozbył się z ust słodkiego, mdłego posmaku porażki. Nawet lepiej, pomyślał. Na zakręcie prześcignąłbym Noble Star, ale nie na prostej.

Na piaszczystej alejce trenowały pozostałe konie. Dołączały albo opuszczały krąg biegających koni. Zebrani w grupki dżokeje, właściciele i trenerzy dyskutowali o nich. *Ma-foo* - stajenni - okrywali konie derkami. Dunross popatrzył na klacz Richarda Kwanga, *Butterscotch Lass*: biała gwiazdka na czole, smukłe pęciny, dżokej prowadził ją bardzo krótko, wyglądała wspaniale. Po drugiej stronie toru trenował należący do Gornta medalista *Pilot Fish*; przeszedł w galop i zaczął doganiać inną klacz, należącą do Strua-nów - *Niecierpliwość*, młodą, dobrze umięśnioną, zakwalifikowaną ostatnio do pierwszego w tym sezonie balotażu. Dunross spojrział na swojego konia krytycznym okiem i doszedł do wniosku, że brak jej wigoru. Dam jej rok, dwa lata i wtedy zobaczymy. *Pilot Fish* dogonił ją, a ona po krótkiej walce pozwoliła się wyprzedzić. Dżokej *Niewinności* powstrzymał ją i zaczął strofować, że ma przyspieszać, kiedy on tego chce, a nie ona.

- Tak, tai-pan - zamruczał trener. Miał ogorzałą twarz o twardych rysach rosyjskiego emigranta i siwe włosy. Dobiegał siedemdziesiątki, a od trzech sezonów pracował dla Struanów.

- Co, Aleksiej?

- Wstąpił w pana demon i jak zobaczył pan, że Noble Star idzie naprzód, ścisnął pan konia piętami?

- Wszyscy wiedzą, że Noble Star ciągle próbuje. . - odpowiedział spokojnie Dunross.

- Tak, ale wolałbym, żebyśmy pamiętali o tym tylko my, a nie. . - Wskazał

kciukiem na widzów i uśmiechnął się. -. . A nie każdy *wybljudokw* Azji.

Dunross odpowiedział uśmiechem.

- Za dużo widzisz.

- Za to dostaję pieniądze.

Aleksiej Trawkin potrafił w picciu i jeździe na koniu przetrzymać mężczyznę o połowę młodszego od siebie. Był samotnikiem. Wiele opowiadał o swojej przeszłości, jak wszyscy, którzy przeżyli rewolucyjny harmider w Rosji, potem w Chinach, a teraz bezskutecznie szukają spokoju na południu Azji.

Aleksiej Iwanowicz Trawkin wyjechał z Rosji do Habrin w Mandżurii w 1919

roku, a potem szukał spokoju i azylu w Szanghaju. Tam zaczął odnosić zwycięstwa w wyścigach. Ponieważ był bardzo dobry i wiedział o koniach więcej, niż większość ludzi wie o sobie, wkrótce

został trenerem. Gdy w 1949 roku zaczął się w Chinach exodus, uciekł na południe do Hongkon-394

gu, a po paru latach dalej na południe do Australii. Jednak Azja wzywała go, więc powrócił. Dunross został bez trenera i zaproponował mu prowadzenie stajni Noble House.

- Zgadzasz się, tai-pan - odparł natychmiast.

- O pieniądze martwić się nie musisz - rzekł Dunross.

- Jesteśmy dżentelmenami. Zapłaci mi pan tak, abym zachował twarz. A jestem najlepszy.

- Naprawdę?

- Jakżeby inaczej zaproponowałby mi pan posadę? Pan też nie lubi przegrywać.

W zeszłym sezonie obydwu dopisało szczęście. W pierwszym niezbyt im się wiodło. Wiedzieli, że o wszystkim zadecyduje sezon nadchodzący. . ; Minęła ich Noble Star.

- Co z sobotą? - zapytał Dunross.

- Będzie się starała.

> ; - A Butterscotch Lass?

- Też. To samo Pilot Fish i inne. We wszystkich ośmiu gonitwach. To szczególna konfrontacja. Musimy bardzo uważnie przyglądać się naszym zawodnikom.

Dunross pokiwał głową. Zauważył, że Gornt rozmawia z Sir Dunsta-nem Barre'em.

- Trochę się zezłoszczę, jeśli przegramy z Pilot Fish.

Aleksiej uśmiechnął się.

- W takim razie lepiej, żeby sam pan poprowadził Noble Star, tai-pan.

Wtedy jeśli Pilot Fish wysunie się naprzód, pan wypchnie go z toru albo przejedzie dżokejowi batem przez oczy. - Stary człowiek podniósł wzrok. -

Postąpiłby pan tak dzisiaj z Noble Star, gdyby to był wyścig?

Dunross zmrużył oczy.

- Ale to nie był wyścig, prawda?

Podszedł *ma-foo*, zsalutował Trawkinowi i podał kartkę papieru.

- Przesyłka. Pan Czój chciałby, żeby pan rzucił okiem na uprząż Chardi-stana.

- Zaraz tam będę. Proszę mu powiedzieć, żeby dzisiaj i jutro dodał więcej otrąb dla Korsarza. - Trawkin spojrzał na przyglądającego się Noble Star Dunrossa. - Zastanawia się pan nad wzięciem udziału w sobotnich wyścigach?

- Nie, nie w tej chwili.

- A radziłbym.

Dunross roześmiał się.

- Wiem. Do zobaczenia, Aleksiej. Jutro popracuję nad Niecierpliwością. - Klepnął go po przyjacielsku w plecy i odszedł.

395

Aleksiej popatrzył za nim, a potem przeniósł wzrok na konie znajdujące się pod jego opieką i na rywalizujące z nimi. W sobotę odbędzie się ważny wyścig i trzeba będzie dobrze pilnować Noble Star. Uśmiechnął się do siebie. Lubił grę o dużą stawkę.

Rozwinął trzymaną w dłoni kartkę. Treść była krótka i pisana po rosyjsku.

„Pozdrowienia z Kurganu, Wasza Wysokość. Mam wiadomości o Nestorowej (...)”. Aleksiej otworzył ze zdziwienia usta. Krew odpłynęła mu z twarzy. Na rany Chrystusa, chciał krzyknąć. Nikt w Azji nie wie, że pochodzę z Kurganu nad rzeką Toból ani że mój ojciec był księciem Kurganu, ani że moją ukochaną lat dziecinnych Nestorową pochłonęła rewolucyjna zawierucha. .. Przysięgam na Boga, że nigdy nikomu nie wspominałem jej imienia...

Jeszcze raz wstrząśnięty przeczytał kartkę. Czy to kolejne łajdactwo tych Sowietów - najgorszych wrogów wszystkich Rosjati? A może to napisał

przyjaciel? O Jezu Chryste, oby tak było!

Zakończenie listu brzmiało następująco: „Spotkajmy się w restauracji

«Zielony Smok» przy Nathan Road, o trzeciej po południu”. Podpisu brakowało.

Richard Kwang szedł właśnie po wybiegu obok mety do swojego trenera, gdy zauważył szóstego kuzyna - Uśmiechniętego Czinga, członka rady nadzorczej Czing Prosperity Bank. Stał na trybunach i przyglądał się przez lornetkę Pilot Fish.

- Witaj, Szósty Kuzynie - powiedział uprzejmie po kantońsku. - Jadłeś już dzisiaj ryż?

Stary natychmiast stał się bardzo czujny.

- Nie dostaniesz ode mnie żadnych pieniędzy! - zareagował ostro. Usta wykrzywione grymasem przypominającym uśmiech odsłaniały duże zęby.

- Dlaczego? - zapytał grzecznie Richard Kwang. - Mam u ciebie zdeponowane siedemnaście przeklętych milionów...

- Ale na trzy miesiące, a ja je dobrze zainwestowałem - warknął.

- Ty skąpy psu bracie! Ja ci pomogłem, gdy potrzebowałeś pieniędzy!

Teraz czas się odwdziaczyć.

- Niby za co? No za co? - Uśmiechnięty Czing splunął. - Przez te lata wypłaciłem ci fortunę. Ja ponosiłem ryzyko, a ty ciągnąłeś zyski. Te twoje kłopoty nie mogły się zacząć w gorszym czasie! Wszystkie pieniądze, do jednego miedziaka, mam ulokowane w inwestycjach! Ja nie jestem jak inni bankierzy! Ja zawsze robię dobry użytek z pieniędzy.

Co, jak niosła wieść, oznaczało handel narkotykami. Oczywiście Richard Kwang nigdy o to nie pytał, nikt nie wiedział nic na sto procent, ale wszyscy domyślali się, że w banku Uśmiechniętego Czanga potajemnie pierze się brudne pieniądze, pochodzące głównie z Bangkoku.

396

- Posłuchaj, kuzynie. Trzeba myśleć o rodzinie - zaczął znów Richard Kwang. - To tylko chwilowe problemy. Zaatakowały nas przekłete obce diabły. A gdy dzieje się coś takiego, cywilizowani ludzie muszą ze sobą trzymać!

- Zgoda. Lecz jedynie ty odpowiadasz za panikę z wypłatami z Ho-Pak.

Dlaczego ludzie nie wycofują pieniędzy z mojego banku? Musiałeś się czymś narazić obcym diablom! Nie czytasz gazet? Tak, z tego co słyszałem, trwonileś pieniądze na złe interesy. Sam położyłeś, kuzynie, głowę pod topór.

Poproś o pieniądze tego syna malajskiej ladaczniczki, który jest twoim wspólnikiem. On ma miliardy. Albo tego Zaciśniętą Pięść... - Starzec nagle zachichotał. - Za jednego pożyczzonego od niego dolara dam ci dziesięć!

- Jeśli mam się stoczyć, wolę pracę w toalecie Prosperity Czanga.

- O nic mnie nie obwiniaj! - krzyknął ze złością stary. W kącikach ust pojawiła mu się ślina, zlizął ją mięsistym językiem, po czym znowu na jego twarzy pojawił się charakterystyczny grymas. - Jeśli się stoczysz, to nie za moją sprawą. Dlaczego chciałbyś, żeby twój zły *dżos* przeniósł się na rodzinę? Wcale cię nie skrzywdziłem. Jeśli dzisiaj... *Aiii ia*, jeśli dzisiaj zły *dżos* spadnie na mnie i te psu braty depozytorzy zaczną odbierać pieniądze ode mnie, nie doczekasz końca dnia.

Richard Kwang na krótką chwilę poczuł się lepiej na myśl o tym, że imperium Czanga również może się znaleźć w niebezpieczeństwie. To dobrze, bardzo dobrze. Musiałby skorzystać ze wszystkich swoich koneksji, szczególnie tych w Bangkoku. Spojrzał na duży zegar obok tablicy wyników i jęknął. Minęła szósta, a o dziesiątej zostaną otwarte wszystkie banki i giełda. I chociaż miał umówione spotkania w Blacs, Victorii oraz we Wschodnim Banku Bombaju i Koulunu, skąd miał

pobrać zabezpieczenia wystarczające do spłacenia wszystkich depozytorów, ciągle się denerwował i czuł nieswojo. Musiał zawrzeć kilka umów, które nie przysporzą mu chwały.

- No, Kuzynie, tylko pięćdziesiąt milionów na dziesięć dni. Tamte pięćdziesiąt milionów zostawię na dwa lata i dodam jeszcze dwadzieścia na miesiąc.

- Pięćdziesiąt milionów na trzy dni po dziesięć procent dziennie. Jako zabezpieczenie wezmę twój obecny rachunek i posiadłości w centrum.

- Wejź przeklęty w ucho swojej matki! Te posiadłości warte są cztery razy tyle!

Uśmiechnięty Czing wzruszył ramionami i znów spojrział przez lornetkę na Pilot Fish.

- Ten wielki czarny koń wygra z Butterscotch Lass?

Richard Kwang z kwaśną miną popatrzył na konia Gornta.

- Nie. Chyba że trener i dżokej dogadają się, żeby jakoś ją wykluczyć z konkurencji!

397

- Cholerni złodzieje! Żadnemu nie można zaufać! Mój **koń** nigdy nie zajął

dobrego miejsca. Nigdy. Nawet trzeciego. Odrażające.

- Pięćdziesiąt milionów na tydzień po dwa procent na dzień.

- Pięć plus posiadłości...

- Nigdy!

- Wystarczy pięćdziesiąt procent udziałów w tych posiadłościach.

- Sześć procent - targował się Richard Kwang.

Uśmiechnięty Czing rozważał ryzyko i potencjalny zysk. Zarobi dużo, jeśli Ho-Pak nie upadnie. A jeśli nawet, posiadłości pokryją straty. Tak, dochód mógłby naprawdę być ogromny, przy założeniu, że ludzie nie rzucą się po wypłaty z jego banku.

- Piętnaście procent i koniec - uciał, wiedząc, że będzie mógł się wycofać do południa, gdy już zorientuje się, jak kształtują się ceny na rynku i czy ludzie wypłacają od niego pieniądze. Nadal zamierzał stawiać na krótką sprzedaż Ho-Pak. - Możesz jeszcze dorzucić Butterscotch Lass.

Richard Kwang zaklął i znów zaczęli się targować, aż stanęło na tym, że Richard Kwang o czternastej może dostać pięćdziesiąt milionów w gotówce. Gwarancją dla Uśmiechniętego Czinga miało być trzydzieści dziewięć procent udziałów w posiadłości w centrum, a dodatkowo jedna czwarta udziałów w klaczy. O

wszystkim rozstrzygnęła Butterscotch Lass.

- A co z sobotą?

- Proszę? - rzucił Richard Kwang przez zęby.

- Nasz koń biegnie w piątej gonitwie, *heya?* Posłuchaj, Szósty Kuzynie, może lepiej powinniśmy dogadać się z dżokejem Pilot Fish? Wtedy postawimy na naszego konia, a Pilot Fish i Noble Star na wszelki wypadek przytrzymamy.

- Dobra myśl. W sobotę rano podejmiemy ostateczną decyzję.

- Może lepiej wyeliminować też Złotą Damę, co?

- Sugerował to już trener Johna Czena.

- liii, tego głupca, co się dał porwać. Myślę, że powiesz mi, kto naprawdę zwycięży. Ja też chcę wygrać. - Uśmiechnięty Czing chrząknął i splunął.

- Tego nie wiedzą sami bogowie! Ech, ci przekłęci trenerzy i dżokeje!

Manipulują nami jak marionetkami. I kto im za to płaci, *heya?*

- Klub jeździecki, właściciele, ale najwięcej spekulanci, których nie znamy.

Słyszałem, że byłeś wieczorem w „Old Vic” na jedzeniu obcych diabłów.

Richard Kwang skinął głową. Kolacja z Venus Poon zaowocowała nadzwyczajnym sukcesem. Dziewczyna ubrała się w kupioną przez niego sukienkę do kolan od Christiana Diora z czarnego jedwabiu. Gdy zobaczył, jak Venus Poon wysiada z jego rollsa i wchodzi po schodach do „Old Vic”, stanęło mu serce i skurczył się Tajny Worek.

398

Ich wejście było niezwykle efektowne, błysnęła jej złota biżuteria, Venus uparła się, żeby nie korzystać z windy i iść schodami pieszo. Jego ogarnęło przerażenie. Mijali ubranych wieczorowo gości: Chińczyków, Europejczyków, mężów z żonami, turystów oraz miejscowych, biznesmenów wydających oficjalne kolacje, kochanków i przyszłych kochanków w każdym wieku i każdej narodowości. On miał na sobie nowy ciemny garnitur z najdroższego kaszmiru.

Idąc do wybranego stolika - za czerwonońca, sto dolarów - kiwał wielu znajomym.

Cztery razy mruknął z niezadowoleniem na widok swoich czterech chińskich krewnych z przy tęgimi i obwieszonymi przesadnie biżuterią żonami, które wpatrywały się w niego kamiennym wzrokiem.

Richard Kwang wzruszył ramionami. Żony to prawdziwe smoki, myślał, wszystkie co do jednej. O... o... o...! I męskie kłamstewka wydają im się podejrzane, zanim jeszcze zostaną wypowiedziane.

Przed jego powrotem do domu Mei-ling dowie się o Venus Poon co najmniej od trzech życzliwych. On pozwoli jej pokrzyknąć, poprzędzić, popłakać i rwać sobie włosy z głowy, aby pozbyła się demonów. Sam będzie myślał, że wrogowie napełnili jej głowę żółcią, bo jakże inaczej mogłaby być taka zła. Potem powie jej potulnie, że trzy tygodnie temu zamówił futro z nerek, które powinna dzisiaj odebrać, aby móc się w nim pokazać w sobotę na wyścigach. W domu zapanuje spokój. Aż do następnego razu.

Pogratulował sobie pomysłu zamówienia futra z nerek. Zupełnie się nie przejmował tym, że dziś rano, ledwie przed godziną, trzymając Venus Poon w ramionach, wyznał, że zamówił dla niej futro i będzie je mogła założyć na sobotnie wyścigi. Dla dziewczyny z ulicy to i tak za dużo, myślał. Futro kosztowało 40 tysięcy hongkongijskich dolarów. Kupię jej drugie. Może uda mi się gdzieś znaleźć używane...

Wzrok Uśmiechniętego Czinga wyrwał go z rozmyślań.

-Co?

- Venus Poon, *heya?*

- Tak. Chcę wprowadzić ją w świat filmu i zrobić z niej gwiazdę - powiedział dumny z wymówki, jaką przygotował sobie dla żony.

Plan ten zrobił na Uśmiechniętym Czingu duże wrażenie.

- liii, to ryzykowny interes, *heya?*

- Tak, ale są sposoby. . aby się ubezpieczyć. - Mrugnął znacząco okiem.

-*Aiii ia*, masz na myśli film porno? O! Daj znać, jak rozpoczniesz produkcję.

Może posłużę radą. Naga Venus Poon! *Aiii ia*. Za to zapłaciłaby cała Azja! Jaka ona jest w łóżku?

-Doskonała! Zwłaszcza teraz, jak ją trochę podszkoliłem... Była jeszcze dziewicą...

- Co za *dżos* - westchnął Uśmiechnięty. - Ile razy sforsowałeś Mury?

399

- Dziś w nocy? Trzy. Za każdym razem silniej niż poprzednio! - Richard Kwang nachylił się do przodu. - Ma najładniejsze Serce Kwiatu, jakie kiedykolwiek widziałem. O tak! Takie jedwabiste włosy, a dolne wargi tak delikatne i różowe. liii, a jej Nefrytowe Wrota... Ech, doskonale okrągłe, różowe, pachnące, a Perła na Stepie... - Richard Kwang poczuł, że zaczyna się pocić.

Przypomniał sobie, jak rozłożyła się na sofie, podała mu lupę i powiedziała z dumą: „Proszę. Zbadaj boginię, której twój łysy mnich chce oddać cześć”. I zrobił to. Bardzo starannie. - Lepszej kobiety nigdy w łóżku nie miałem. -

Naciągając prawdę, Richard Kwang mówił dalej: -Zastanawiam się, czy nie kupić jej pierścionka z wielkim brylantem. Biedactwo płakało, gdy wychodziłem z mieszkania, które jej podarowałem. Zaklinała się, że popełni samobójstwo, bo tak mnie *love*.

- liii, szczęściarz z ciebie! - Uśmiechnięty Czing nie mówił po angielsku, ale rozumiał słowo *love*. Poczul na plecach czyjś wzrok i obejrzał się. W sąsiednim sektorze, pięćdziesiąt metrów dalej, stał policjant obcych diabłów - Wielka Góra Łajna, znenawidzony szef kouluńskiej CID. Wpatrywał się w niego zimnymi, rybimi oczami, na piersi miał zawieszoną lornetkę. *Aiii ia*, mruknął do siebie Czing i skierował myśli ku różnym trikom i zabezpieczeniom chroniącym główne źródło jego dochodu.

- Co ci jest, Uśmiechnięty Czing?

- Nic. Muszę się odlać i tyle. Jeśli chcesz pieniędzy, o drugiej przyślij mi wszystkie dokumenty. - Ruszył w stronę toalety, zastanawiając się, czy policja wie o spodziewanym przybyciu obcego diabła ze Złotych Gór -Wielkiego Tygrysa Białych Proszków- o dziwacznym nazwisku Banastasio.

Chrząknął głośno i splunął. *Dzos*, jeśli tak, *dzos*, jeśli nie. Mnie nie ruszą, jestem zwykłym bankierem.

Robert Armstrong zauważył, że Uśmiechnięty Czing rozmawia z Richardem Kwangiem, i upewnił się, że nie doszli do porozumienia. Policja знаła plotki o Czingu, jego banku i przemyśle narkotykowym, jednak nie istniały żadne przekonujące dowody ani nawet poszlaki sankcjonujące śledztwo, deportację czy choćby przesłuchanie.

Kiedyś mu się noga powinie, pomyślał bez emocji Robert Armstrong i skierował lornetkę na Pilot Fish, później na Noble Star, Butterscotch Lass i kłacz należąca do Johna Czena - Złotą Damę. Który z wierzchowców jest w najlepszej formie?

Ziewnął i przeciągnął się. Minęła kolejna noc bez snu. Właśnie gdy wychodził z Komendy Głównej Policji w Koulunie, zadzwonił anonimowy informator, aby donieść, że Johna Czena widziano w Nowych Terytoriach w podzielonej przez granicę na dwie części malutkiej wiosce rybackiej Sza Tau Kwok.

400

Pojechał tam z całą ekipą, przeszukali wioskę, chałupa po chałupie, musieli postępować niezwykle ostrożnie, ponieważ cały teren przygraniczny był bardzo newralgicznym miejscem, a wioska z jednym z trzech przejść granicznych tym bardziej. Wieśniacy byli twardzi, milczący i niechętni, pragnęli tylko, żeby wszyscy zostawili ich w spokoju. A zwłaszcza policja obcych diabłów. Poszukiwania wykazały, że po raz kolejny był to fałszywy alarm. Przy okazji wykryto dwie nielegalne gorzelnie, mały zakład przera-biający opium na morfinę, a potem na heroinę, a do tego sześć spelunek, w których prowadzono gry hazardowe.

Po powrocie do Koulunu Armstrong odebrał kolejny telefon dotyczący Johna Czena. Teraz z kolei widziano go w Wanczai w dzielnicy dokowej opodal Glessing Point. Z brudnym bandażem na miejscu prawego ucha wchodził do czynszowego domu. Tym razem informator podał swoje nazwisko

i numer prawa jazdy, aby móc odebrać pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody oferowanej przez Noble House i Dom Czenów. Znowu Armstrong zebrał jednostkę i rozpoczął uważne poszukiwania. Dopiero o piątej rano odwołał operację i zwolnił ludzi.

- Brian, muszę się przespać - powiedział. - Znowu cała noc stracona.

Brian Kwok także ziewnął.

-No tak, ale skoro już jesteśmy po tej stronie, to może zjemy śniadanie w

„Para”, a potem skoczmy na poranny trening, co?

W jednej chwili zmęczenie Armstronga całkowicie ulotniło się.

- Świetny pomysł!

Znajdująca się nieopodal toru restauracja „Para” otwarta była cały czas.

Słysząca z tanich, smacznych dań oraz jako miejsce spotkań członków triad i ich dziewczyn. Gdy do dużej, głośniejszej, pełnej brzęku talerzy sali weszli dwaj policjanci, zapadła cisza. Natychmiast podszedł do nich właściciel Ko Jedna Stopa i wybrał najlepszy stolik.

- *Dew neh loh moh*, Stary Przyjacielu - odezwał się Armstrong i dodał

jeszcze kilka kantońskich przekleństw. Spojrzał na najbliższą grupkę zadziwionych młodzieńców, a oni nerwowo odwracali głowy przed jego wzrokiem.

Ko Jedna Stopa odsłonił w uśmiechu zepsute zęby.

- Ach, Panowie, sprawiacie mi zaszczyt swą obecnością. *Dim sum*?

- Czemu nie? - *Dim sum* znaczyło mały piesek albo mały posiłek. Były to pierogi nadziewane mielonym mięsem lub warzywami, a potem pieczone na oleju i podawane z soją i różnymi sosami.

- Trening już się zaczął?

Brian Kwok, popijając jaśminową herbatę, skinął głową. Rozglądał się po gościach, co sprawiało, że stawali się bardzo podenerwowani.

- Kto ma wygrać w piątej gonitwie? - zapytał.

Restaurator zawahał się. Wiedział, że powinien powiedzieć prawdę.

401

- Podobno Złota Dama - odparł po kantońsku - albo Noble Star lub Pilot Fish, a może Butterscotch Lass... Jeszcze nic pewnego nie wiadomo. -

Zobaczył wbite w siebie ciemnobrązowe oczy i przeszedł go ciarki. - Na bogów, takie właśnie chodzą słuchy.

- Dobrze. Przyjdę tu w sobotę rano albo jeszcze lepiej przyślę sierżanta, i wtedy, jeśli gra będzie się miała potoczyć nieuczciwie, szepniesz mu na ucho, co wiesz. A jeśli się okaże, że któryś z tych koni został wyeliminowany, a ja nic o tym nie wiedziałem... Hm, przez pięćdziesiąt lat możesz zapomnieć, jak się gotuje.

Jedna Stopa uśmiechnął się nerwowo.

- Tak, Panie. Pozwól, że zajrzę do kuchni...

- Najpierw powiedz, jakie są ostatnie pogłoski na temat Johna Czena.

- Nie ma żadnych, Szlachetny Panie. O, tylko jedna. - Nad górną wargą pojawił mu się pot. - Zatoka jest tak czysta jak dziewica. Żadnych wieści.

Nawet jednej plotki, chociaż szukają wszyscy. Słyszałem, że została wyznaczona dodatkowa nagroda.

- Co proszę? Duża?

- Sto tysięcy dolarów, jeśli John Czen znajdzie się w trzy dni.

Obydwaj policjanci gwizdnęli ze zdziwienia.

- Wyznaczona przez kogo? - zapytał Armstrong. Jedna Stopa wzruszył ramionami.

- Tego nikt nie wie. Podobno jeden ze Smoków... Albo wszyscy. Sto tysięcy i awans, jeśli w trzy dni znajdzie się żywy lub martwy. Zobaczą już, co z panów jedzeniem.

Odprawdzili go wzrokiem do drzwi kuchni.

- Można polegać na tym, co mówi? - dociekał Armstrong.

- Nie, już mnie męczy ta jego obłuda. I ci przekłęci bandyci. Ale taka nagroda może rozwiązać nasze problemy z triadami.

Armstrong zamówił piwo.

- Jak przydziałem sprawę sierżantowi Tang-po, nie sądziłem, że odzew będzie tak błyskawiczny. Sto tysięcy to fura pieniędzy! Tu nie może chodzić o takie zwykłe porwanie. Jezu Chryste, przecież to kupa forsy! Z Johnem musi się dziać coś nadzwyczajnego.

- Tak. Jeśli ta wiadomość jest prawdziwa.

Jednak nie doszli do żadnych konkluzji, a gdy dotarli na tor wyścigowy, Brian Kwok postanowił

sprawdzić te nowiny w Komendzie Głównej. Armstrong tymczasem obserwował przez lornetkę konie. Butterscotch opuściła tor; prowadzono ją w kierunku stajni. Wygląda na to, że jest w świetnej formie. Jak wszystkie. Cholera, ciekawe, który wygra.

- Robert?

- O, cześć, Peter.

402

Peter Marlowe uśmiechnął się.

- Tak wcześnie wstałeś czy tak późno się położysz?

- Późno się położę.

- Widziałeś, jak Noble Star pokazała, co potrafi? Zupełnie bez udziału dżokeja.

-Uważny jesteś.

Peter Marlowe pokręcił z uśmiechem głową. Wskazał palcem grupkę mężczyzn zgromadzonych wokół jednego z koni.

- Donald McBride mi to uświadomił.

- A! - McBride jako gospodarz klubu cieszył się niezwykłą popularnością.

Przyjechał do Hongkongu z Szanghaju w 1949 roku. - Powiedział ci, który koń wygra? Jeśli ktoś wie, to na pewno on.

- Nie, nie mówił, ale zaprosił mnie w sobotę do swojej loży. Też będziesz?

- A co myślisz? Pomacham ci, jak już będziesz sobie siedział w tej loży. Ja się nie obracam wśród snobów.

Jakiś czas obydwaj patrzyli na konie.

- Złota Dama dobrze się prezentuje.

- Jak wszystkie.

- Wiadomo już coś o Johnie Czenie?

- Nie. - Armstrong zauważył Dunrossa rozmawiającego z jednym z pracowników toru. Nie opodal stał przydzielony mu przez Crossc'a strażnik z SI. Poczekamy do piątku, pomyślał policjant. Im szybciej dostaniemy raporty Medforda, tym lepiej.

Zrobiło mu się niedobrze, ale nie potrafił określić, czy to na myśl o masie dokumentów, o Sevrin, czy

też po prostu ze zmęczenia. Zamierzał sięgnąć po papierosa.. Powstrzymał się. Nie musisz palić, powiedział sobie.

- Powinieneś rzucić palenie, Peter. Szkodzi ci.

- Tak. Masz rację. A tobie jak idzie?

- Spokojnie, żadnych problemów. O, przypomniało mi się, że stary zgodził się na twoją wycieczkę po przygranicznych drogach. W piątek, pojutrze. O szóstej rano przed Komendą Główną. Pasuje?

Peterowi Marlowe'owi mocniej zabiło serce. Nareszcie po długim oczekiwaniu będzie mógł zajrzeć w nieznaną, do Państwa Środka. Na całym terenie przygranicznym w Nowych Terytoriach było tylko jedno dostępne dla turystów miejsce, skąd można popatrzeć na Chiny. Jednak owo wzgórze leżało dość daleko od granicy i nawet przez lornetkę niewiele było widać.

- To straszne - skomentował kiedyś Marlowe. Armstrong zaproponował mu, żeby napisał prośbę o pozwolenie na wycieczkę. Droga przygraniczna wiała się od jednego wybrzeża do drugiego po bezludnych terenach między kolonią a Chinami. Na całej długości, z wyjątkiem kilku nielicznych

odcinków, był na niej zabroniony jakikolwiek ruch. Raz na dzień bardzo uważnie kontrolował ją specjalny patrol. Rząd Hongkongu nie chciał w jakikolwiek sposób zadzierać z ChRL.

- Jest tylko jeden warunek, Peter. Przez co najmniej rok nikomu o tym nawet nie wspomnisz.

- Daję słowo.

Armstrong stłumił ziewnięcie.

- Żaden Jankes tamtędy nie przejeżdżał i, prócz ciebie, żaden pewnie nie przejedzie.

- Straszne! Ale dziękuję.

- Jak ci się udało zdobyć tyle naszego zaufania?

Po chwili namysłu Marlowe odparł:

- Jestem pisarzem. Dzięki temu mam wszelkie wpływy. Ludzie zaczynają czytać to, co napisałem. Być może mam prawo do krytyki.

- Byłeś kiedyś w jakimś kraju za Żelazną Kurtyną?

- Tak. W lipcu pojechałem do Moskwy na festiwal filmowy. Wyświetlali jeden z filmów, do którego napisałem scenariusz. A czemu pytasz?

Armstrong uśmiechnął się.

- Tak tylko, bez powodu. - Przypomniał sobie o pobycie w Moskwie Bartletta i Casey.

- Słyszałem, że Bartlett miał w samolocie broń.

- Tak? - Armstrong ożywił się. Peter Marlowe jak rzadko kto w Hongkongu potrafił zyskać sobie zaufanie w wielu kręgach ludzi zwykle odnoszących się wobec siebie wrogo i każda z nich traktowała go jak przyjaciela.

- Ja dokładnie nic nie wiem, ale kilku przyjaciół wysuwa teorię...

- Chińskich przyjaciół?

- Tak. Sądzą, że ta broń to tylko próbka wysłana dla któregoś z Chińczyków, prawdopodobnie takiego, który ma za sobą przemytniczą przeszłość, a miał ją wysłać do jednej z band Vietcongu działających w Południowym Wietnamie.

Armstrong chrząknął.

- Przesada, Peter. Hongkong nie nadaje się na miejsce tranzytowe dla broni.

- Owszem, ale to był specjalny, pierwszy ładunek. W pośpiechu go zamawiano i w pośpiechu dostarczono. Słyszałeś kiedyś o Delta Force?

- Nie - odparł Armstrong. Zorientował się, że Marlowe już słyszał o operacji, która, jak zapewniał Rosemont z CIA, miała pozostawać w ścisłej tajemnicy.

- To grupa specjalnie wyszkolonych byłych żołnierzy amerykańskich, Robert. Specjalne siły działające w małych jednostkach w Wietnamie. Znajdują się pod kontrolą Grupy Amerykańskich Techników, a za tą nazwą kryje się CIA. Zdaje się, że odnoszą duże sukcesy. Yietcong musi zmodernizo-404

wać broń i gotowi są dużo za nią **zapłacić. Tak więc przemycono ją tutaj** w samolocie Bartletta.

- A on jest w to zamieszany?

- Moi przyjaciele raczej wątpią - odrzekł po chwili przerwy. - W każdym razie taka broń jest na wyposażeniu amerykańskiej armii, prawda? No cóż, jeśli ta próbka zostałaby zaaprobowana, przewóz ilości hurtowych poszedłby jak z płatka.

- Niby w jaki sposób?

- Stany zamierzają dobroić swoich żołnierzy.

- Proszę?

- No tak - ciągnął Marlowe spokojnie. - To proste. Wystarczy wcześniej podać Vietcongowi datę przybycia amerykańskiego towaru. Poinformować o dokładnym miejscu przeznaczenia, liczbie i typach broni... od małych pistoletów do rakiet.

- Chryste!

- Wiesz, jak to jest w Azji. Trochę *h'eungyau* tu, trochę tam i sam napad pójdzie łatwo.

- Wyszłoby tak, jakby sami mieli dostać zapasy broni - powiedział z przerażeniem Armstrong. - A jak płacą za tę broń? Przez tutejszy bank?

Peter Marlowe popatrzył uważnie.

- Głównie opium wysyłanym tutaj.

Policjant westchnął. Dotarła do niego przemyślność akcji.

- Majstersztyk - rzekł w zamyśleniu.

- Tak. Jakiś cholerny zdrajca w Stanach przegląda sobie właśnie rozkłady rejsów. Dzięki niemu wróg dostanie broń i amunicję do zabijania naszych żołnierzy. Za broń zapłacą nic ich nie kosztującą trucizną. Przypuszczam, że to jedyny zdatny do sprzedaży towar, jaki mają. Opium przy udziale chińskich przemytników dociera tutaj, bo tutaj są eksperci od przerobu na heroinę.

Zdrajcy w Stanach sprzedają towar mafii, która z nadzwyczajnym zyskiem, za duże pieniądze, faszeruje nim dzieciaki i w taki sposób niszczą to, co mamy najcenniejszego: młodzież.

- Jak mówiłem, prawdziwy majstersztyk. Czego te bydlaki nie zrobią dla pieniędzy! - Armstrong znów westchnął. Chwilę się zastanawiał. Ta teoria wszystko ładnie spaja. - Mówi ci coś nazwisko Banastasio?

- Brzmi z włoska. - Twarz Marlowe'a nie zmieniła wyrazu. Te rewelacyjne informacje uzyskał od dwóch portugalskich dziennikarzy zajmujących się sprawami policji. Gdy zapytał, czy może przedstawić tę teorię organom władzy, de Vega odparł:

- Oczywiście, ale oni w to nie uwierzą. Nie wspominaj tylko o nas, nie wypowiadaj naszych nazwisk ani nie mów o Wu Cztery Palce czy Szmugle-r/e Pa, o Banastasiu, Czing Prosperity Bank, ani o nikim innym.

405

- O czym jeszcze słyszałeś? - zapytał po przerwie Armstrong.

- O wielu rzeczach, ale na razie wystarczy. Dzisiaj moja kolej na zajmowanie się dzieciakami. Muszę im zrobić śniadanie i wysłać do szkoły. - Peter Marlowe zapalił papierosa, a Armstrong znów odczuł boleśnie, że jego płuca pragną dymu.

- Jeszcze tylko jedno, Robert. Pewien zaprzyjaźniony dziennikarz poprosił mnie, żebym ci przekazał, że słyszał o wielkiej konferencji narkotykowej w Makau.

Armstrong zmrużył niebieskie oczy.

- Kiedy?
- Nie wiem.
- Kto ma w niej uczestniczyć?
- Najważniejsi: dostawcy, importerzy, eksporterzy, dystrybutorzy.
- Gdzie w Makau?
- Mój przyjaciel nie mówił.
- A wymienił jakieś nazwiska?
- Nie, żadnych. Dodał tylko, że ma przyjechać ważny gość ze Stanów.
- Bartlett?
- Boże drogi, Robert. Ja nie wiem, a mój przyjaciel nie powiedział. Linc Bartlett wygląda na fajnego i czystego jak kryształ faceta. Te plotki o nim to chyba robota zazdrośników.

Armstrong uśmiechnął się.

- Jestem tylko podejrzliwym gliniarzem. A nikczemność niejedno ma oblicze. Peter, powiedz swojemu zaprzyjaźnionemu dziennikarzowi, że jeśli chce mi jeszcze coś przekazać, niech dzwoni prosto do mnie.
- On się ciebie boi! Ja zresztą też.
- Dobrze sobie. - Armstrong zachnął się. Lubił Petera Marlowe'a i cieszył się, że tę informację dostał od niego, ponieważ ten człowiek potrafił milczeć. - Peter, zapytaj go, kiedy, gdzie, kto i... - Nagle coś mu wpadło do głowy. - Peter, gdybyś miał wybrać najlepsze miejsce w kolonii do przemytu, to które byś wytypował?
- Aberdeen albo Zatokę Mirs. Każdy głupiec wie, że te miejsca były wykorzystywane, zanim jeszcze istniał Hongkong.
- Zgadzam się. - Aberdeen, myślał. Kto w Aberdeen zajmuje się przemytem? Chyba wszyscy. Po pierwsze Wu Cztery Palce. On razem z tym swoim rollsem ze szczęśliwą ósemką w numerze rejestracyjnym i cholernym zbójem Tokiem Dwie Siekiery, i siostrzeńcem z Yale - czy aby na pewno z Yale? - co ma jankeski paszport. Tak, po pierwsze Wu Cztery Palce. Potem Poon Ładna Pogoda, Szmugler Pa, Ta Sap-fok, Rybak Pok. . Boże, to lista bez końca. A to tylko ci, których znamy. A w Zatoce Mirs? Bracia Pa, Fang Duże Usta i setki innych...

- Cóż - westchnął. Był bardzo zadowolony z tych informacji. Coś mu podpowiadało, że zaplątany w

tę sprawę jest Wu Cztery Palce, chociaż nigdy nie pojawiały się plotki o jego związkach z przemysłem heroinowym. - Wiadomość za wiadomością. Powiedz swojemu przyjacielowi dziennikarzowi, że jutro przyjeżdża z Pekinu delegacja naszych parlamentarzystów ze związków zawodowych... O co chodzi?

- O nic - Peter Marlowe starał się niczego po sobie nie pokazać. - Co mówiłeś?

Armstrong przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

- Że popołudniowym pociągiem z Kantonu przyjeżdża delegacja. O szesnastej trzydzieści dwie będą na granicy, więc może twojemu przyjacielowi uda się zrobić jakiś wywiad. Zdaje się, że oni załatwili dużo rzeczy.

- Dziękuję w imieniu przyjaciela. Zaraz mu to przekażę. No cóż, muszę już iść...

Zdyszany Brian Kwok podbiegł do nich szybkim truchtem.

- Cześć, Peter. - Z trudem oddychał. - Robert, przykro mi, Crosse chce nas natychmiast widzieć.

- A niech to wszyscy diabli! - wściekł się. - Mówiłem, że lepiej poczekać z tym sprawdzaniem. Ten łajdak nigdy nie śpi. - Miał podkrążone oczy, przetarł ręką twarz, aby odpędzić zmęczenie. - Idź po samochód, Brian. Spotkamy się przy głównym wyjściu.

- Dobrze. - Armstrong patrzył za nim ze wzburzeniem.

- Pali się? - zażartował Marlowe.

- W tym naszym interesie cały czas coś się pali, stary. Zanim pójdę, Peter, chciałbym, żebyś mi powiedział, dlaczego informacja o delegacji związkowców tak cię poruszyła.

Marlowe odpowiedział po chwili wahania z dziwnym wyrazem oczu.

- Podczas wojny znałem jednego z nich. Porucznika Robina Greya.

W obozie w Changi przez ostatnie dwa lata był komendantem żandarmerii.

- Mówił całkowicie beznamiętnym tonem. Bardziej chłodnym niż Armstrong był sobie w stanie wyobrazić. - Nienawidziliśmy się nawzajem. Mam nadzieję, że się z nim nie spotkam. To tyle.

Z drugiej strony toru Gornt obserwował przez lornetkę, jak Armstrong idzie za Brianem Kwokiem. Potem w zamyśleniu przeniósł wzrok na Petera Marlowe'a zmierzającego ku grupce trenerów i dżokejów.

- Wścibski bydlak - mruknął pod nosem.

- Co? Kto? Ach, Marlowe? - Sir Dunstan Barre zachichotał. - Nie jest wścibski, tylko chce wiedzieć wszystko o Hongkongu. Fascynuje go mroczna przeszłość tai-pana i twoja.

- Dunstan, a w twojej rodzinie nie trafiały się czarne owce? - zapytał

łagodnie Gornt.

- Boże uchwaj, tego nie mówię. Przyjrzyj się Anglikowi, a zobaczysz pirata. Wszyscy jesteśmy podejrzani. Takie jest życie, no nie?

Gornt nic nie odpowiedział. Nie cierpiał Barre'a, ale potrzebował go.

- Urządzam w niedzielę przyjęcie na jachcie, Dunstan. Może przyjdiesz, powinno być ciekawie.

- Tak? A kto gra rolę honorowego gościa?

- Chciałem, żeby nie było żon, co ty na to?

v - O! Możesz na mnie liczyć - zapewnił natychmiast Barre. - Mam przyprowadzić ze sobą jakąś panienkę?

- Jak chcesz, to nawet dwie. Im więcej, tym lepiej. Zapraszam tylko małą doborową grupkę. Będzie też Plumm ze swoją przyjaciółką. - Spojrzał na Marlowe'a. Podszedł do grupki gospodarzy klubu, której przewodził Donald McBride. Wpadła mu do głowy pewna myśl. - Chyba zaproszę też Marlowe'a.

- Przecież uważasz go za wścibskiego.

- Na pewno zainteresuje go wysłuchanie prawdziwej historii o Struanach, piratach z dawnych i nowych czasów. - Gornt zaśmiał się Dunstanowi w twarz, a ten zaczął się zastanawiać, co Gornt znowu knuje.

Barre rozmasował sobie brwi.

- Chryste, mogłoby popadać! Wiedziałeś, że Marlowe latał na Hurricanach? W Bitwie o Anglię zestrzelił trzy Boche, a potem wysłali go do Singapuru i tam popadł w tarapaty. Nigdy nie przebaczę tym cholernym Japoń-

com tego, co zrobili tutaj i w Chinach.

- Ja też — wtrącił ponuro Gornt. - Wiedziałeś, że mój stary był w trzydziestym siódmym w Nankinie podczas masakry?

- Nie, Boże, jak mu się udało ujść cało?

- Kilka dni ukrywali go jacyś ludzie, zawsze mieliśmy tam znajomych.

Potem, udając przed Japońcami dziennikarza londyńskiego „Timesa”, uciekł

do Szanghaju. W nocy jeszcze nawiedzają go koszmary.

- *A propos*, pojawiając się u lana na przyjęciu, chciałeś mu zafundować koszmar?
- Myślisz, że dlatego zajął się moim samochodem?
- Proszę? Dobry Boże - Barre był przerażony - chcesz powiedzieć, że samochód został uszkodzony?
- Główny cylinder pękł z powodu jakiegoś wybuchu. Mechanik mówił, że do środka mógł się dostać kamyczek.

Barre patrzył i kręcił głową.

- Ian nie jest głupi. Dziki, ale nie głupi. To by było usiłowanie morderstwa.

408

- Nie pierwszy raz.
- Na twoim miejscu nie ogłaszałbym tego publicznie, staruszk.
- Do ciebie to nie publicznie, prawda?
- Tak, oczywiście...
- To dobrze. - Gornt wbił w niego swe czarne oczy. - Nadszedł czas, aby przyjaciele połączyli siły.
- Proszę? - Barre w jednej chwili stał się ostrożny.
- Tak. Rynek reaguje bardzo nerwowo. Kłopoty Ho-Pak mogą pokrzyżować wiele naszych planów.
- Mój Hong Kong and Lan Tao Farm's jest mocny jak sam Pik.
- Owszem, pod warunkiem że szwajcarscy bankierzy przyznają ci nową linię kredytów.

Barre zbladł.

- Co takiego?
- Bez ich pożyczek nie przejmiesz Doków i Nabrzeża Hongkongu ani Zakładu Ubezpieczeń Królewskich w Hongkongu i na Malajach, ani nie podejmiesz ekspansji na Singapur, ani nie będziesz mógł prowadzić sprytnych interesów ze swoim nowym znajomym Masonem Loftem. Prawda?

Barre patrzył na niego, a po plecach lał mu się zimny pot. Poruszyło go, że Gornt zna jego najskrytsze tajemnice.

- Gdzie się tego wszystkiego dowiedziałeś?

Gornt roześmiał się.

- Mam przyjaciół na wysokich stanowiskach, staruszk. Nie ma obaw, tylko ja znam twoją piętę achillesową.

- Nie... Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Oczywiście, że nie. - Gornt spojrział przez lornetkę na swego konia. - Atak przy okazji, Dunstan. Mogę potrzebować twego głosu na przyszłym zebraniu w banku.

- Za czym?

- Jeszcze nie wiem. - Gornt znów na niego popatrzył. - Chcę tylko wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć.

- Tak, oczywiście. - Barre gorączkowo zastanawiał się, co Gornt ma na myśli i jak dotarł do jego najgłębszych sekretów. - Zawsze do usług, staruszk.

- Dziękuję. Stawiasz na krótką sprzedaż Ho-Pak?

- Jasne. Dzięki Bogu wczoraj wycofałem wszystkie pieniądze. Dlaczego pytasz?

- Słyszałem, że kontrakt Dunrossa z Par-Con nie dojdzie do skutku.

Zastanawiam się, czy też nie stawiać na krótką sprzedaż jego akcji.

- Czyżby? Nie dojdzie do skutku? Dlaczego?

-Dlatego, że...

409

- Cześć, Quillan, cześć Dunstan. Przepraszam, że przerywam - powie dział Donald McBride. - Pozwólcie, że przedstawię wam pana Charlesa Biltzmanna, wiceprezesa American Superfoods. Będzie prowadził w kolo nii połączone koncerny General Stores i Superfoods. Oto pan Gornt i pan Dunstan Barre.

Wysoki jasnowłosy Amerykanin w szarym garniturze, w okularach ze szklami bez oprawek wyciągnął dłoń.

- Miło panów poznać. Macie fajny tor wyścigowy.

Gornt bez entuzjazmu podał mu rękę. Razem z Biltzmannem przyszedł

Richard Hamilton Pugmire - obecny tai-pan General Stores i zarządzający w klubie jeździeckim.

Niski mężczyzna po czterdziestce, który uważał, że ze względu na wzrost zawsze będzie atakowany.

- Witajcie - powiedział rzeško. - Kto wygra w piątej gonitwie?

- Dowiemy się po biegu. - Gornt uklonił się.

- Daj spokój, Quillan. Wiadomo, że wszystko jest zawsze ustalone, jeszcze zanim konie wyjdą z boksów.

- Jeśli masz jakieś dowody, chętnie je poznamy. Prawda, Donald?

- Richard żartuje - odrzekł Donald McBride. Miał około sześćdziesięciu lat, miły wyraz twarzy i przyjazny uśmiech. - Zawsze krążą plotki -zwrócił się do Biltzmanna - że wyniki wyścigów są wcześniej ustalane. Robimy, co się da, żeby tak się nie działo. Jeśli kogoś złapiemy na oszustwie, już po nim.

- Ech, do diabła, w Stanach też wyniki są ustalane wcześniej, ale tutaj chyba, skoro wyścigi są amatorskie i wszystko dzieje się otwarcie, takie oszustwa mają mniejszą skalę - perorował Biltzmann pełen animuszu. -

Twój ogier, Quillan, pochodzi z Australii i jest częściowo rodowodowy, prawda?

- Tak - odparł opryskliwie Gornt. Nie podobała mu się zażyłość Amerykanina.

- Donald objaśnił mi kilka reguł w waszych wyścigach. Sprawiłoby mi wielką przyjemność przystąpienie do waszej społeczności jeździeckiej. Mam nadzieję, że mógłbym zostać członkiem z prawem do głosu.

Klub jeździecki należał do najbardziej ekskluzywnych i przynależność do niego podlegała ścisłej kontroli. Liczył dwustu członków z prawem do głosu i cztery tysiące bez. Do łóż członkowskich mieli wstęp tylko członkowie z prawem do głosu. Także wyłącznie oni posiadali prawo wystawiania własnego konia. Jedyne oni mogli dwa razy do roku wysuwać kandydatów na członków bez prawa do głosu, ostateczną decyzję w tajnym głosowaniu podejmowali zarządzający. Zarządzającym mógł zostać jedynie członek z prawem do głosu.

- Tak - powtórzył Biltzmann. - Byłoby wspaniale.

410

- Na pewno coś się da zrobić - podkreślił z uśmiechem McBride. - Klubowi zawsze potrzeba świeżej krwi i nowych koni.

- Zamierza pan osiąść w Hongkongu na stałe, panie Biltzmann? - zapytał

Gornt.

- Proszę mówić mi Chuck. Zanosi się, że zostanę na dłużej. Zdaje się, że jestem nowym tai-panem

Superfoods. Nieźle brzmi, co?

- Wspaniale - przyznał bez entuzjazmu Barre.

Biltzmann nie umiał jeszcze rozpoznać angielskiego sarkazmu, więc kontynuował z zadowoleniem:

- Występuję w imieniu naszej rady z Nowego Jorku. Pochodzę z Missouri, więc byczo się tu czuję. - Roześmiał się, lecz nikt mu nie zawtórował. - Zamieszkamy tu na kilka lat. Jutro przyjeżdża moja panna młoda...

- Niedawno się pan ożenił, panie Biltzmann?

- Och nie, to takie amerykańskie powiedzenie. Pobraliśmy się już dwadzieścia lat temu. Jak tylko żona urządzi mieszkanie, miło mi będzie gościć was na obiedzie.

Może pieczenie mięsa na grillu? W końcu sprzedajemy najlepszej jakości steki. 1

do tego ziemniaki z Idaho - zaznaczył z dumą.

- Cieszę się na te ziemniaki - powiedział Gornt. Inni, nic nie mówiąc, czekali, co będzie dalej. Wiedzieli, że Gornt nienawidzi amerykańskich dań, a zwłaszcza okopconych węglem steków i hamburgerów oraz „tych tuczących pieczonych ziemniaków”, jak nazywał frytki. - Kiedy dojdzie do fina-lizacji fuzji?

- Pod koniec miesiąca. Wszystko zostało już uzgodnione. Przyjęto nasze uwagi.

Mam nadzieję, że nasza amerykańska wiedza przyda się na tej małej wielkiej wyspie.

- Przypuszczam, że będzie pan budował rezydencję.

- Nie. Będziemy mieszkać w mieszkaniu należącym do kompanii. Przy Blore Street, w dobrej dzielnicy.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił Gornt. Pozostali mężczyźni ledwie powstrzymywali się od śmiechu. Najstarszy i najślawniejszy dom publiczny w kolonii znajdował się od zawsze przy Blore Street pod numerem pierwszym.

Założyła go w 1860 roku Nellie Blore -jedna z „młodych dam” pani Fotheringill -

za pieniądze Culuma Struana. Nadal dom kierował się swoistymi zasadami: bywały tam wyłącznie białe kobiety, gośćmi zaś nie mogli być ani miejscowi, ani zagraniczni dżentelmeni.

Bardzo rozsądnie - powtórzył Gornt. - Nie wiem tylko, czy spełnia p;m warunki.

- Co proszę?

- Nic, nic. Z pewnością Blore Street to doskonały wybór.

- Wspaniały widok, tylko mamy kłopoty z kanalizacją - mówił Biltz-iii;inn. -

Moja żona to załatwi.

411

- Czyżby znała się na hydraulice? - zapytał Gornt.

- Nie, do diabła, ona po prostu zajmie się domem.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę porozmawiać z trenerem. - Gornt uklonił się i zwrócił do McBride'a. - Donald, mogę cię prosić na moment? Chodzi o sobotę.

- Oczywiście.

- Do zobaczenia, panie Biltzmann.

- Do widzenia, proszę mi mówić Chuck. Życzę miłego dnia. McBride ruszył

za Gorntem. Gdy byli już sami, Gornt odezwał się:

- Naprawdę sądzisz, że powinien zostać członkiem z prawem do głosu?

- No tak. - McBride zmieszał się. - Po raz pierwszy wielka kompania amerykańska inwestuje w Hongkongu. Jest dla nas bardzo ważny.

- To jeszcze nie powód, żeby wpuszczać go tutaj, nie? Można go przyjąć jako członka zwyczajnego. Może bywać na trybunach. Jeśli chcesz, zapraszaj go do swojej loży, to twoja sprawa. Ale żeby od razu członkiem z prawem do głosu? Dobry Boże, przecież on puściłby konia w barwach Superfoods!

- Quillan, on jest nowy i jeszcze się we wszystkim nie orientuje. Na pewno się wyrobi. Chociaż popełnia gafy, to przyzwoity facet. Dość bogaty...

- A od kiedy to pieniądze stanowią klucz do sezamu klubu jeździeckiego?

Boże drogi, Donald, gdyby tak było, miałby tu wstęp każdy chiński dorobkiewicz, który zdobył pieniądze na hazardzie albo na giełdzie. Nic byłoby czym oddychać.

- Może rozwiązaniem jest powiększenie liczby członków z prawem do głosu?

-Nie. Absolutnie nie. Oczywiście wy, zarządzający, zrobicie, co uważa cie, ale ja radzę jeszcze się zastanowić. - Gornt miał prawo do głosu, ale nk był

zarządzającym. Co roku dwustu głosujących członków wybierało w tajnych wyborach dwunastu zarządzających. Gornt co roku znajdował się na liście kandydatów, jednak zawsze brakowało mu kilku głosów. Większość zarządzających zostawała przeważnie na kolejne kadencje, choć od czasu do czasu następowały zmiany.

- Dobrze - obiecał McBride. - Gdy zostanie wymienione jego nazwi sko, wspomnę, że ty się nie zgadzasz.

Gornt lekko się uśmiechnął.

- To oznacza, że zostanie zatwierdzony.

McBride chrząknął.

- Nie sędzę, Quillan, chyba nie tym razem. Pug prosił mnie, żebym go przedstawiał ludziom. Przyznaję, że Biltzmann popełnia błędy. Gdy spotkał

się z Havergillem, natychmiast zaczął porównywać tutejsze banki z amerykańskimi

kańskimi i nie było to przyjemne. A przy tai-panie... - McBride ściągnął

siwiejące brwi - ...powiedział, że chciałby się z nim spotkać i usłyszeć wszystko o Hag Struan i o Dirku, i innych piratach oraz handlarzach opium! -

Westchnął. - Ian i Paul z pewnością będą głosować przeciwko niemu, więc nie masz się o co martwić. Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego Pug sprzedał im kompanię.

- Ponieważ nie wdał się w ojca. Po śmierci Sir Thomasa, General Stores zaczął podupadać. Pug osobiście zarobił na tym sześć milionów i zyskał

pięcioletni kontrakt, więc o nic go głowa nie boli. Zamierza wyjechać do Anglii.

- O, dla Puga to naprawdę dobry interes! - McBride przybrał poważniejszy ton. - Quillan, piąta gonitwa wzbudza niezwykle zainteresowanie. Obawiam się kłopotów. Chcemy wzmocnić strażę wokół wszystkich koni. Chodzą plotki...

- O środkach dopingujących?

-Tak.

- Zawsze są pogłoski i zawsze ktoś decyduje się na ryzyko. Zarządzający chyba zrobią, co do nich należy.

- Zeszłej nocy uchwaliliśmy nową zasadę. W przyszłości każdy koń będzie obowiązkowo przechodził badania przed i po gonitwie. Tak jak to jest w Anglii i Ameryce.

- Już w sobotę? Jak to zorganizujecie?

- Doktor Meng z policji obiecał się tym zająć. Dopóki oczywiście nie zatrudnimy specjalisty.

- Świetny pomysł - przyznał Gornt.

McBride westchnął.

- Tak, ale Potężny Smok nie pasuje do Lokalnego Węża. - Odwrócił się i odszedł.

Gornt zawahał się, a potem ruszył w stronę trenera Pilot Fish rozmawiającego z dżokejem Blueyem White'em - także Australijczykiem. Gornt zatrudnił go na stanowisku dyrektora jednego z przedsiębiorstw przewoźnych, dzięki czemu mógł zachować status amatora.

- Dzień dobry, panie Gornt - odezwali się obydwaj. White dotknął dżokejki.

- Dzień dobry. - Gornt patrzył na nich chwilę, a potem powiedział głośno: Bluey, jeśli wygrasz, dostaniesz pięć tysięcy premii. Jak przyjedziesz za Noble Star, zwolnię cię. Niski

mężczyzna zbladł. - Tak jest.

- Bierz się do pracy.

- Na pewno wygram - rzucił i odszedł.

413

- Pilot Fish jest w dobrej formie, panie Gornt. Chłopak będzie się starał...

- Jeśli wygra Noble Star, ciebie też zwalniam. To samo, jeśli Noble Star przybiegnie przed Pilot Fish.

- Mój Boże, panie Gornt.. - Otarł pot, który nagle wystąpił mu na czoło. - Ja nie ustalam..

- Ja nic nie sugeruję. Mówię po prostu, co ci grozi. - Gornt uklonił się grzecznie i oddalił się. Poszedł do klubowej restauracji z widokiem na tor i zamówił swoje ulubione śniadanie: jaja po benedyktynsku i jawajską kawę, którą sam dostarczał.

Wychylał właśnie trzecią filiżankę, gdy zbliżył się do niego kelner.

- Przepraszam bardzo, czy odbierze pan telefon? Gornt podszedł do aparatu.

- Gornt, słucham.

- Dzień dobry, mówi Paul Czoj. . Siostrzeniec Wu. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam.

Gornt ukrył zaskoczenie.

- Dość wczesna pora jak na telefon, panie Czoj.

- Tak, rozumiem, ale pierwszego dnia przyszedłem do pracy kilka minut wcześniej i zadzwonił akurat pan Linc Bartlett. Ten milioner, u którego znaleziono broń.

- Bartlett?

- Właśnie. Powiedział, że ma nadzwyczaj pilną sprawę i że będzie próbował

zadzwoić jeszcze do pana do domu. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak sam pana zawiadomię. Mam nadzieję, że bardzo nie przeszkodziłem.

- Nie. Co mówił?

- Tylko pytał, czy jest pan w mieście, i że chce porozmawiać. Powiedziałem, że nic nie wiem, ale postaram się pana znaleźć, ewentualnie zostawię gdzieś wiadomość, a potem oddzwonię.

- Skąd telefonował?

- Z hotelu „Victoria and Albert”, Koulun, sześćdziesiąt sześć dwadzieścia dwa trzydzieści trzy, wewnętrzny siedemset siedemdziesiąt trzy. Z biura, a nie z apartamentu.

Gornt był pod wrażeniem.

- Do zamkniętych ust nie wleci mucha, panie Czoj.

- Jezu, panie Gornt, o to nigdy nie musi się pan martwić - zapewnił

gorączkowo chłopak.

- Dobrze, dziękuję bardzo. Wkrótce się zobaczymy.

-Tak.

Gornt odłożył słuchawkę, pomyślał chwilę i zadzwonił do hotelu.

414

- Poproszę siedemset siedemdziesiąt trzy.

- Mówi Linc Bartlett.

- Dzień dobry panu, tu Gornt. Czym mogę służyć?

- O, dziękuję, że pan się tak szybko odezwał. Dostałem **pewną niepokojącą** wiadomość dotyczącą tego, o czym rozmawialiśmy.

-Tak?

- Mówi panu coś nazwa Toda Shipping?

Gornt ożywił się.

- Wielkie japońskie przedsiębiorstwo zajmujące się budową statków, w ogóle przemysłem ciężkim. Zdaje się, że Struanowie zamówili tam dwa statki. A dlaczego?

- Zdaje się! Struanowie są winni Toda Shipping sześć milionów w trzech ratach, pierwszego, jedenastego i piętnastego września, oraz kolejne sześć milionów w ciągu dziewięćdziesięciu dni. Poza tym Struanowie są dłużni Orlin International Bank sześć milionów osiemset tysięcy płatne do ósmego.

Wie pan o tym?

Z wielkim wysiłkiem Gorntowi udało się utrzymać głos na wodzy.

- T... tak. Coś słyszałem. - Dziwił się, skąd Amerykanin może mieć tak szczegółowe informacje o długach. - O co zatem chodzi?

- Słyszałem, że Struanowie mają jedynie milion trzysta w gotówce, żadnych rezerw i za małe wpływy na pokrycie długów. Większych pieniędzy, siedemnastu milionów, spodziewają się dopiero z udziałów w Kowloon Investments w listopadzie. W banku Victoria przekroczyli swoje możliwości kredytobiorcze o dwadzieścia procent.

- To... To bardzo poufne wiadomości. - Gornt czuł, jak serce szarpie mu się w piersiach, kołnierzyk wpijał mu się w szyję niczym ciasna obręcz. O

dwudziestu procentach wiedział od Plumma. Wiedzieli o tym wszyscy dyrektorzy banków. Ale o szczegółowych wpływach i rozchodach gotówki nikt nie miał pojęcia. - Dlaczego pan mi to mówi, panie Bartlett?

- Ile wynosi pańska płynność?

- Już panu mówiłem, że jestem dwadzieścia razy silniejszy niż Struanowie

- palnął bez namysłu. Kłamstwo gładko przeszło mu przez gardło. Z trudem zbierał w całość myśli o możliwościach, jakie otwierają przed nim takie informacje. - Czemu pan pyta?

- Jeśli podpisze ze mną kontrakt, a żaden bank go nie skredytuje, moja gotówka pokryje płatności w Orlin i Toda Shipping.

- Tak, rzeczywiście.

- Victoria udzieli mu kredytu?

- Zwykle mu udziela.

- Jeśli nie udzieli, Struanowie wpadną w tarapaty.

- Oni są udziałowcami banku, więc muszą dostać kredyt.

415

- Jednak przekroczył już zdolności kredytobiorcze, a Havergill niena widzi go. Razem wzięci

Czenowie, Struanowie i ich pełnomocnicy mają dwadzieścia jeden procent akcji...

Gornt niemal wypuścił z ręki słuchawkę.

- Skąd pan, u diabła, czerpie takie informacje? Tego nie może wiedzieć nikt spoza kompanii.

- Zgadza się - powiedział spokojnie Amerykanin. - Ale te dane są prawdziwe.

Mógłby pan zgromadzić pozostałe siedemdziesiąt dziewięć?

- Słucham?

- Gdybym miał wspólnika, który nastawiłby bank przeciwko niemu, i Dunross nie mógłby gdzie indziej zaciągnąć kredytu. . Krótko mówiąc: liczy się wycucie chwili. Dunross przekroczył zdolności kredytowe i jest osłabiony. Jeśli jego bank nie udzieli mu kredytu, będzie musiał coś sprzedać albo znaleźć nową linię kredytową. Tak czy siak stanie się podatny na atak i będzie można go przejąć po niskiej cenie.

Gornt rozmasował brwi, jego umysł znów zaczynał działać.

- Skąd pan wziął takie informacje?

- Nie teraz, później.

- Kiedy?

- Kiedy uderzymy.

- Skąd pewność, że te liczby się zgadzają?

- Zgadzą się. Mamy rozliczenia bilansowe za ostatnie siedem lat. Gornt zachłysnął się z wrażenia.

- To niemożliwe!

- Chce się pan założyć?

Gornt był naprawdę wytrącony z równowagi. Próbował zachować zimną krew. Spokojnie, upominał siebie. Panuj nad sobą, na litość boską.

- Jeśli... jeśli ma pan to i zdobędzie jeszcze jedną rzecz... ich strukturę wzajemnych zależności prawnych, jeśli pan by to miał, moglibyśmy zrobić ze Struanami, co nam się podoba.

- Mamy i to. Chce pan zobaczyć?

- Naturalnie. - Gornt usłyszał swoją zrównoważoną odpowiedź, chociaż szalał ze zdenerwowania. - Kiedy możemy się spotkać? Podczas lunchu?

- Czemu nie od razu? Ale nie tutaj ani nie u pana w biurze. Musimy mieć zupełny spokój.

Gornt poczuł klucie w piersiach. W ustach czuł nieprzyjemny smak.

Zastanawiał się, do jakiego stopnia może ufać Bartlettowi.

- Wyślę po pana samochód. Możemy porozmawiać w aucie.

- Dobry pomysł. Ale może spotkamy się na wyspie? Powiedzmy za godzinę przy terminalu Golden Ferry.

416

- Doskonale. Będę jaguarem z rejestracją z czterema ósemkami. Przy postoju taksówek.

Odłożył słuchawkę i chwilę wpatrywał się w telefon. Potem wrócił do stolika.

- Mam nadzieję, że to nie złe wieści, panie Gornt.

- Eee, nie, bynajmniej. Dziękuję.

- Jeszcze kawy? Świeżutka.

- Nie, dziękuję. Poproszę pół butelki Taittinger Blanc de Blances rocznik pięćdziesiąty piąty. - Czuł się dziwnie. Niemalże trzymał w garści swojego największego wroga. Jeśli oczywiście informacje Amerykanina są prawdziwe i jeśli nie knuje czegoś z Dunrossem.

Przyniesiono mu wino. Gorntowi z trudem jednak przychodziło rozsma-kowanie się w trunku. Jego myśli obsesyjnie krążyły wokół jednego tematu.

Gornt zobaczył wyróżniającego się z tłumu Amerykanina. Przez chwilę zazdrościł mu smukłej sylwetki i swobodnego stroju: dzinsów, rozpiętej pod szyją koszuli i sportowej marynarki. Trzymał aparat fotograficzny, Gornt uśmiechnął się i rozejrzał za Casey. Gdy odkładał słuchawkę telefonu, wydawało mu się oczywiste, że Bartlett zjawi się z nią, więc teraz poczuł się trochę zawiedziony. Nie stłumiło to jednak wzburzenia, które zawładnęło nim zaraz po rozmowie.

Pochylił się i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Witam w Hongkongu, panie Bartlett- zapalając silnik, powiedział z wymuszoną jowialnością. Ruszył Gloucester Road w stronę Glessing Point i jachtklubu. - Posiada pan zadziwiające informacje.

- Bez wywiadowców nie da się działać, prawda?

- Da się, ale wtedy to amatorszczyzna. Jak tam panna Casey? Myślałem, że też przyjdzie.

- Jeszcze jej w to nie wtajemniczyłem. -O?

- Tak. Lepiej, żeby nie wiedziała o planowanym natarciu.

- A więc jeszcze nic nie wie? Nawet że pan do mnie dzwonił?

- Nic, zupełnie nic.

- Myślałem, że jest pana zaufaną zastępczynią. Nazywa ją pan swoją prawą ręką.

- Owszem, to prawda, ale szefem Par-Con jestem ja.

Gornt zauważył jego twarde spojrzenie i poczuł, że to absolutna prawda i że jego pierwotne przypuszczenia miały się z rzeczywistością.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

- Możemy gdzieś tu zaparkować? Chciałbym panu coś pokazać.

417

- Oczywiście. - Jechali w gąszczu samochodów wzdłuż brzegu morza.

Zatrzymali się nie opodal zatoki Causeway przy falochronie. Po wodzie pływało wiele różnej wielkości łódek.

- Proszę. - Bartlett podał mu zapisane na maszynie kartki. Była to dokładna kopia zestawienia bilansu z czasów przed wejściem Struanów na giełdę. Gornt przebiegł wzrokiem po liczbach. - Boże - mruknął. - „Spokojna Chmura” kosztowała ich dwanaście milionów.

- Prawie ich zrujnowała. Zdaje się, że mieli niezwykły ładunek. Nie ubezpieczone silniki odrzutowe dla Chin.

- Oczywiście, że nie ubezpieczone. Kto ubezpieczyłby kontrabandę? -

Gornt próbował wniknąć we wszystkie liczby. Zaczęło mu się kręcić w głowie. — Gdybym ostatnim razem wiedział choć połowę z tego, miałbym ich już wtedy w garści. Mogę to zatrzymać?

- Dostanie pan kopię, gdy zawrzemy umowę. - Bartlett zabrał plik papierów i wręczył Gorntowi pojedynczą kartkę. - Proszę spojrzeć na to. -

Kartka zawierała graficzny wykaz akcji Kowloon Investments znajdujących się w ręku Struanów i ich pełnomocników. Były to akcje przedsiębiorstwa uchodzącego za niezależne i jako takie występujące na giełdzie, jednak całą władzę skupiał tai-pan Struanów.

- Zdziwiająca - powiedział z westchnieniem Gornt. - Struanowie mają tylko niewielką część akcji udostępnionych do obrotu publicznego, a zachowują stuprocentową kontrolę. I trzymają to w tajemnicy.

- W Stanach idzie się za to do więzienia.

- Dzięki Bogu w Hongkongu obowiązuje inne prawo. Tu wszystko jest legalne, chociaż lekko spaczone. - Roześmiali się.

Bartlett schował kartkę do kieszeni.

- Mam podobne szczegóły o ich innych holdingach.

- Co pan planuje, panie Bartlett?

- Wspólny atak na Struanów. Początek dzisiaj. Blitzkrieg. Dzielimy się po połowie. Pan bierze Wielki Dom na Piku, jacht, łoże na wyścigach i tytuł

zarządzającego w klubie jeździeckim.

Gornt przyjrzał mu się. Bartlett uśmiechnął się.

- Wiem, jakie to wszystko dla pana ważne. Pozostałe rzeczy pół na pół.

- Z wyjątkiem Kai Tak. Potrzebne mi dla moich linii lotniczych.

- W porządku, ale dla mnie całe Kowloon Investments.

- Nie - zaproponował Gornt, natychmiast mając się na baczności. - Nie, wszystko po połowie.

- Pan potrzebuje Kai Tak, a ja Kowloon Investments. Par-Con będzie się dzięki niej mógł zaaklimatyzować w Azji.

- Dlaczego?

418

- Ponieważ wszystkie fortuny w Hongkongu opierały się na nieruchomościach. Kowloon Investments będzie dla mnie świetną bazą.

- Aby przejmować kolejne przedsiębiorstwa?

- Pewnie - powiedział swobodnie Bartlett. - Następny na liście figuruje pański znajomy Jason Plumm. Możemy dokonać tego bez trudu. Pół na pół.

Zgoda?

Gornt długo nic nie mówił.

- A kto jest następny na liście? - zapytał w końcu.

- Hong Kong and Lan Tao Farm's.

Gorntowi znów zabiło mocniej serce. Zawsze nienawidził Dunstana Barre'a, a nienawiść zdwoiła

się, gdy rywal dostał w poprzednim roku tytuł

szlachecki, co najprawdopodobniej miało jakiś związek z finansowaniem Partii Konserwatywnej.

- W jaki sposób?

- Każda armia, każde państwo i każda kompania stają się kiedyś łatwym celem. Każdy generał, każdy prezes kompanii musi mieć szansę, aby stanąć na czele. Pan powinien to zrobić. Zawsze znajdą się jacyś wrogowie chętni zająć pana miejsce, pana teren. Gdy jest się osłabionym, trzeba wzmóc ostrożność.

- A pan jest teraz osłabiony?

- Nie. Dwa lata temu przechodziłem kryzys. Teraz mam dość potrzebnej mi siły. Potrzebnej nam, jeśli wchodzi pan do interesu.

Ponad nimi krążyło stado mew.

- Co miałbym zrobić?

- Pan idzie przodem, ja osłaniam tyły. Gdy wydrąży pan dziurę w ich obronie, wtedy ja zadam ostateczny cios. Postawimy na krótką sprzedaż Struanów. Domyślam się, że postąpił pan tak w wypadku Ho-Pak.

- Owszem. W niewielkim stopniu. - Gornt kłamał jak z nut.

- No dobrze. W Stanach można sprawić, że jakiś udziałowiec podzieli się informacją o wpływie gotówki z innym i po niedługim czasie wiedzą już o tym wszyscy. Czy tutaj też to zadziała?

- Chyba tak. Na pewno jednak żaden z ich udziałowców tego nie zrobi.

- Nawet za sowitą opłatą?

- Nawet. Jednak plotkę można rozpowszechnić. - Gornt uśmiechnął się.

Bardzo nieładnie ze strony Dunrossa, że ukrywał przed swoimi akcjonariuszami informacje o pozycji firmy. Tak, to się da zrobić. I co wtedy?

- Jak tylko otworzą giełdę, postawi pan na krótką sprzedaż Struanów.

Gornt zapalił papierosa.

- A co pan będzie robił?

- Jawnie nic. Będę pana asem w rękawie.

- A jeśli mnie pan podpuszcza?

- Czy może być lepszy dowód na to, że stoję po pana stronie, niż pokrycie wszystkich pana strat?

- Proszę?

- Biorę połowę zysku lub płacę za wszystkie straty dzisiaj, jutro i w pią-

tek. Jeśli do piątku po południu nie uda się nagonka na niego, przed zamknięciem wykupi pan akcje z powrotem i przegraliśmy. Jeśli wszystko będzie wskazywać na to, że go mamy, przed zamknięciem sprzedamy ile się da. To spowoduje, że Dunross cały weekend będzie się pocił ze strachu. W

poniedziałek ja podstawię mu nogę i blitzkrieg się udał.

- Tak. Jeśli mogę panu zaufać.

- Dzisiaj o dziesiątej wpłacę w Banku Szwajcarskim na pana konto dwa miliony dolarów. To około dziesięciu milionów hongkonijskich i powinno wystarczyć na pokrycie ewentualnych strat. Dwa miliony bez żadnych warunków, czeków, umów. Po prostu na pokrycie strat. To nic w porównaniu ze zgarniętymi przez nas zyskami. Tak jak mówiliśmy, dzielimy się pół na pół z wyjątkiem Kai Tak dla pana i Kowloon Investments dla mnie. I jeszcze członkostwo z prawem do głosu w klubie jeździeckim dla mnie i dla Casey.

We wtorek przelejemy to wszystko na papier. Po upadku Struanów.

- Wyłoży pan dwa miliony, a ja będę kupować wedle swej woli? - pytał z niedowierzaniem Gornt.

- Tak. Ryzykuję dwa miliony. Jaką więc może pan ponieść szkodę? Żadną. A ponieważ on wie, jaki jest pana stosunek do niego, pański atak nie będzie dla niego niespodzianką, zdziwi się dopiero na moje wejście.

- Wszystko zależy od tego, czy zgadzają się podane przez pana liczby.

- Proszę je sprawdzić. Na pewno może pan to jakoś zrobić. Tak, żeby pan się upewnił.

- Skąd taka nagła zmiana, panie Bartlett? Mógł pan poczekać z tym do wtorku, a nawet jeszcze później.

- Posprawdzaliśmy trochę i nie spodobały mi się te liczby. Musielibyśmy oszaleć, żeby wiązać się ze Struanami, skoro są tacy słabi. Panu nato miast proponuję wielką rozgrywkę o dużą stawkę: Noble House przeciwko dwóm milionom. Jeśli wygramy, takie pieniądze nie będą mieć żadnego znaczenia.

- A jeśli przegramy?

Bartlett wzruszył ramionami.

- Może wrócę do domu. Może rozpoczniemy współpracę Rothwell-Gornt

- Par-Con. Czasami się wygrywa, częściej się przegrywa. Poznałem Hongkong już na tyle, żeby wiedzieć, że rządzi się swoimi zasadami. Nie mam czasu, żeby się ich uczyć. Nie mam też powodu, skoro jest pan.

- Albo Dunross.

Bartlett roześmiał się, ale Gornt mu nie zawtórował.

420

- Pan nie jest zagrożony ani osłabiony, a on tak i na tym polega jego pech.

Co pan zdecydował? Zaczynamy najazd?

- Jest pan bardzo przekonujący. Od kogo ma pan te informacje i dokumenty?

- Powiem we wtorek, po krachu Struanów.

- Czy ów pan X także dostanie swoją dolę?

* - Jak zwykle. Pochodzi z samej góry, ale otrzyma nie więcej niż pięć procent.

- W piątek o drugiej zdecyduję się na kupno i ewentualną stratę pańskich dwóch milionów. Potem zastanowimy się, co dalej.

- Dobrze. Piątek o drugiej.

- Czy jeśli postanowimy kontynuować atak po weekendzie, dalej będzie pan pokrywał straty?

- Nie. Dwa miliony w zupełności wystarczą. W piątek wieczorem jego akcje spadną i zrujnowaliśmy go albo nie. - Bartlett uśmiechnął się zadowolony. - Rzykuję dwa miliony w rozgrywce, która przejdzie do historii.

Zmieciemy Noble House Azji w ciągu niecałego tygodnia.

Gomt pokiwał głową. Czy mogę ci wierzyć, cholerny panie Jeźdźcu, że masz pan haka na Dunrossa? Spojrzał przez okno na płynące na łódce dziecko. Czuło się na wodzie tak pewnie jak na ziemi.

- Pomyślę nad pańskimi słowami.

- Ile to zajmie czasu?

- Powiedzmy, że zdążę do jedenastej.

Niestety, tu chodzi o najazd, a nie o jakąś transakcję. **Decyzja musi zapaść teraz albo wcale.**

- Dlaczego?

- Jest wiele do zrobienia. Chcę znać pana odpowiedź natychmiast.

Gornt spojrział na zegarek. Mają dużo czasu. Jeśli zadzwoni do odpowiedniej chińskiej gazety, jego słowa zostaną wydrukowane za godzinę. Uśmiechnął się w duchu. Asem w rękawie jest Havergill. Wszystko idealnie zgrane.

Mewa zaskrzeczała i poleciała w głąb łądu, kierując się w stronę Piku.

Popatrzył za nią. Jego wzrok spoczął na Wielkim Domu wyróżniającym się na tle zieleni trawiastego zbocza.

- Umowa stoi - powiedział, wyciągając rękę. Bartlett uściśnął ją.

- Świetnie. Sprawa zostaje między nami dwoma? -Tak.

- Gdzie mam wpłacić dwa miliony dolarów?

- Bank Szwajcarski, Zurych. Numer konta: sto osiemdziesiąt jeden osiem set dziewiętnaście. - Gornt sięgnął do kieszeni, zauważył, że trzęsą mu się ręce. - Zapiszę panu.

421

- Nie ma potrzeby. Konto jest na pańskie nazwisko?

- Boże, nie! Canberra Limited.

- Canberra Limited wzbogaciło się o dwa miliony. A za trzy dni, przy odrobinie szczęścia, pan zostanie tai-panem Noble House. - Bartlett otworzył

drzwi i wyszedł. - Do zobaczenia.

- Chwileczkę! - zawołał Gornt. - Podrzucę pana, gdzie...

- Nie, dziękuję. Muszę zadzwonić. A o dziewiątej udzielam wywiadu pana przyjaciółce Orlandzie Ramos. Potem może jeszcze jakieś zdjęcia. -Pomachał

dłonią i odszedł.

Gornt startł pot z rąk. Zanim opuścił klub, zadzwonił do Orlandy, żeby umówiła się z Bartlettem na randkę. Wspaniale, myślał wciąż zaszokowany.

Będzie miała na niego oko, gdy zostaną kochankami. Casey nie ma tu nic do rzeczy. Orlanda ma zbyt wiele do zyskania.

Patrzył za Bartlettem. Po kilku chwilach Amerykanin zmieszał się z tłumem.

Nagle poczuł się zmęczony. Wszystko idzie za łatwo, za szybko, niepokoił

się. A jednak... Drżącą ręką zapalił papierosa. Skąd Bartlett zdobył takie dokumenty?

Bezwiednie skierował wzrok na Pik. Opętała go Wielki Dom, tak samo jak opętała go nienawiść odziedziczona po przodkach. Po Sir Morganie Brocku zrujnowanym przez Struanów, po Gorcie Brocku zabitym przez Dirka Struana, po Tylerze Brocku zdradzonym przez córkę. Chcąc nie chcąc rozniecił w sobie żądzę zemsty, którą poprzysiął ojcu, który obiecał swojemu ojcu, i tak dalej aż do Sir Morgana Brocka, który, zrujnowany przez siostrę - Hag Struan, bez grosza przy duszy, błagał o zemstę na Noble House i na wszystkich potomkach najgorszego człowieka na ziemi, błagał w imieniu duchów wszystkich Brocków.

O bogowie, dajcie mi siły, modlił się Quillan Gornt. Niech to, co mówi Amerykanin, będzie prawdą. Wtedy się zemszczę.

10:50

Mimo chmur Aberdeen zalewało słońce. Dochodziło do dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita przy dziewięćdziesięcioprocentowej wilgotności. Poziom wody w zatoce obniżał się. Dokoła rozchodził się smród zgnilizny połączony z wonią unoszących się na powierzchni wodorostów. Wszystko to sprawiało, że dzień był trudny do zniesienia.

422

Ponad pięćset osób przepychało się między sobą, próbując dostać się do utworzonego z barierek wąskiego przejścia do drzwi banku Ho-Pak. Wpuszczano po jednej osobie. Ani mężczyźni, ani kobiety - czasami z dziećmi - nie czekali na swoją kolej. Ludzie napierali na siebie, aby znaleźć się chociaż o cal bliżej wejścia.

- Patrz, co za głupcy - zauważył inspektor Donald CC. Smyth. - Gdyby ustawili się w kolejce i skończyli te przepychanki, wszystko poszłoby szybciej, a my moglibyśmy pójść na lunch. A tak, trzeba wezwać oddział do tłumienia zamieszek.

- Tak jest - powiedział grzecznie sierżant Mok. *Aiii ia*, myślał, idąc do radiowozu, biedak nie rozumie jeszcze, że my, Chińczycy, nie jesteśmy tak głupi jak obce diabły czy diabły znad Wschodniego Morza, żeby godzinami stać cierpliwie w kolejce. O nie, my jesteśmy cywilizowani i rozumiemy życie.

Wiemy, że każdy musi dbać o siebie. Wcisnął guzik policyjnej krótkofalówki.

- Mówi sierżant Mok. Inspektor chce, żeby oddział do tłumienia zamieszek zebrał się niedaleko nas, za rynkiem rybnym, i żeby był w pogotowiu.

- Tak jest.

Mok westchnął i zapalił papierosa. Przed Blacs i przed oddziałem Vic-torii w Aberdeen również wzniesiono barierki. To samo przed Czing Prosperity.

Mok miał na sobie starannie wyprasowany mundur, pod pachami pojawiły się plamy od potu. Tłum był groźny, a Mok nie chciał, żeby powtórzyła się sytuacja z poprzedniego dnia. Gdyby bank zamknął drzwi przed trzecią, ludzie z pewnością wdarliby się do środka na siłę. A jeśliby Mok miał tam zdeponowane pieniądze, stanąłby na czele tłumu. *Aiii ia*, myślał, na szczęście, dzięki wpływom Węża, wszystkie pieniądze odzyskał już rano.

- Precz ze wszystkimi bankami! - mruknął pod nosem. - O bogowie, sprawcie, żeby Ho-Pak wypłacił dzisiaj wszystkim. Ja mam jutro wolne, więc niech sobie upada dopiero jutro. - Zgasił papierosa.

- Sierżancie!

-Tak?

- Proszę spojrzeć tam - powiedział młody detektyw w cywilnym ubraniu.

Miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Mok przyłożył do oczu lornetkę. - Tam, obok Victoria Bank. Stara kobieta, *amah*.

- Gdzie? A tak, widzę - Mok przyglądał jej się chwilę, ale nie dostrzegł nic nadzwyczajnego. Potem zauważył, że kobieta podchodzi do przechylonego przez barierkę młodzieńca w dżinsach i szepcze mu coś na ucho. Wskazała na starszego mężczyznę, który właśnie wyszedł z banku. Młodzieniec natychmiast pobiegł za nim, a stara *amah* wróciła do miejsca przy barierce, skąd mogła obserwować wchodzących i wychodzących z budynku.

- To się zdarza już po raz trzeci, sir - wyjaśnił młody detektyw. - Stara *amah* wskazuje palcem na kogoś, kto opuszcza bank, a młodzieniec idzie 423

za nim i wraca po kilku minutach. Raz zauważyłem, że chłopak coś jej podawał.

Chyba pieniądze.

- Dobrze! Bardzo dobrze, Obserwatorze Wu. Wygląda to na działanie triady. Ta stara *hag* to pewnie matka. Idź za tym młodym łajdakiem, a ja mu odetnę odwrót. Postaraj się, aby cię nie zobaczył.

Sierżant Mok poszedł za róg i ruszył zatłoczoną aleją między gapiami oglądającymi wystawy i innymi przechodniami. Skręcił w małą uliczkę i był

świadkiem, jak pieniądze przechodzą właśnie z rąk do rąk. Począł, aż Wu zablokuje przejście z drugiej strony uliczki, a potem zdecydowanie ruszył naprzód.

- Co tu się dzieje?

- Gdzie? Eee, nic. Zupełnie nic - mówił zdenerwowanym głosem starszy mężczyzna. Pot spływał mu po twarzy. - O co chodzi? Nie zrobiłem nic złego.

- Dlaczego dajesz pieniądze temu młodemu, *heya*? Widziałem na własne oczy! -

Młodzieniec patrzył bez obaw na Moka. Niczego się nie bał, wiedział, że jest jednym z Wilkołaków, którzy wstrząsnęli ostatnio całym Hongkongiem. Nazywał

się Kin Znak Ospy. - Brał okup? Wymuszał pieniądze? Coś mi się zdaje, że jest z triady.

- Ja. . Ja byłem mu winien pięćset dolarów, wypłaciłem z banku i oddałem dług.

- Starszy mężczyzna był przerażony, ale udawał odważnego. -To mój kuzyn. -

Dokoła nich zaczęli zbierać się ludzie. Ktoś chrząknął i splunął.

- Dlaczego tak się pocisz?

- Gorąco dzisiaj! Wszyscy się pocą. Wszyscy! Mok

skierował uwagę na młodzieńca.

- Jak się nazywasz?

- Szósty Syn Wonga!

- Kłamstwo! Wywracaj kieszenie!

- Ja? Niczego nie zrobiłem! Znam prawo. Nie wolno przeszukiwać lu dzi bez nakazu.

Mok złapał młodzieńca za przedramię i wykręcił mu rękę. Zgromadzeni ludzie wybuchnęli śmiechem. Tłum uciszył się, gdy nagle pojawił się Obserwator Wu i przeszukał Kina. Mok nie puszczał go. Poruszenie wśród ludzi wywołały wyjęte z kieszeni zwitki banknotów.

- Skąd masz tyle pieniędzy?! - krzyknął Mok.

- To moje. Jestem... Pożyczam pieniądze na procent i uzbierałem.

- Gdzie prowadzisz interes?

- Na... Na Trzeciej Alei. Przy Aberdeen Road.

- Chodźmy. Zobaczymy.

Mok puścił patrzącego ze złością, nadal bez strachu, młodzieńca.

424

- Najpierw oddajcie mi pieniądze! - Odwrócił się do ludzi. - Widzieliście, jak je zabierał! Jestem uczciwym człowiekiem. Widzieliście, jak te sługusy obcych diabłów mnie okradają! Prawo zabrania przeszukiwania uczciwych obywateli.

- Oddać mu te przeklęte pieniądze! - krzyknął ktoś.

- Jeśli uczciwie pożyczają pieniądze na procent...

Ludzie zaczęli się rozstępować, a gdy Kin Znak Ospy zobaczył przejście, uciekł. Tłum przepuścił go i pozwolił mu zniknąć za rogiem. Obserwator Wu pobiegł za nim. Mok zawołał go z powrotem. W tym samym czasie zniknął

gdzieś przestraszony starszy mężczyzna.

- Niech ucieka, łajdak. - Mok machnął ręką. - Jeszcze jeden z triady żerującej na zastraszonych ludziach.

- Co zrobicie z pieniędzmi? - zapytał ktoś z tłumu.

- Oddamy na przytułek dla starych kobiet! - odciął się ostro Mok. -

Możecie narobić swoim babciom w ucho!

Ktoś roześmiał się i tłum zaczął się rozchodzić, wszyscy wracali do swoich spraw.

- *Dew neh loh moh* - zaklął Mok, gdy znaleźli się już na głównej ulicy.

- O tak. Dlaczego oni tacy są, sierżancie? - zapytał młody detektyw. -

Przecież chcemy im tylko pomóc. Dlaczego ten stary nie poskarżył się, że łajdak z triady wymuszał na nim okup?

- O ludziach nie da się niczego wyczytać ze szkolnych podręczników -

powiedział łagodnie Mok. Obserwator Wu wstąpił do policji niedawno, zaraz po skończeniu uniwersytetu. - Bądź cierpliwy. Oni niczego od nas nie oczekują, bo my jesteśmy policjantami, a oni wierzą, że pomoc mogą tylko sami sobie. W Chinach było tak zawsze, od czasów pojawienia się pierwszych policjantów.

- Ale tu jest Hongkong - przypomniał z dumą młodzieniec. - To coś innego. Jesteśmy policją brytyjską.

- Tak - Mok poczuł nagły dreszcz. Nie chciał pozbawiać młodego człowieka złudzeń. Ja też jestem lojalny wobec królowej i *quai loh*. Jednak mam odmienne doświadczenia. Gdy potrzebowałem pomocy i opieki, nigdy jej nie dostałem. Brytyjczycy bogacą się i rosą w siłę, ale wojnę z diabłami znad Wschodniego Morza przegrali. Stracili twarz i nawet wielcy tai-panowie trafili do więzienia niczym pospolici złodziejaskowie, nawet sam gubernator. A po wojnie, mimo że przepędzili diabły znad Morza Wschodniego, nigdy nie odzyskali swojej siły i twarzy.

Teraz w Azji i Hongkongu nie jest już tak jak dawniej. Z roku na rok Wielka Brytania ubożeje, traci władzę, więc jak możemy bronić rodziny przed złoczyńcami, skoro brakuje pieniędzy i siły? Płacą mi tyle co nic i traktują jak psa! Jedyłą moją ochronę stanowią pieniądze - w złocie, jeśli trzeba uciekać, 425

i w ziemi oraz domach, jeśli nie trzeba. Jak mam wykształcić synów w Anglii czy Ameryce bez pieniędzy? Rząd zapłaci? Ani mu się śni, a ja narażam życie, broniąc ulic przed cholernymi triadami, kieszonkowcami i podżegaczami.

Mok wzruszył ramionami. Bezpieczeństwo rodziny leży w moich rękach. Ach, jakże mądre są przekazy naszych przodków! Czy komisarz policji wysłucha mnie, gdy mu powiem, że potrzebuję pieniędzy na wykształcenie synów? Nie. A Wąż pomoże. Pożyczy dziesięć tysięcy dolarów na dziesięć procent i mój syn leci jak mandaryn do Ameryki, i ma na trzy lata nauki. Staje się wykształconym architektem, dostaje Zieloną Kartę i amerykański paszport, a potem może wracać i nikt go nie tknie. Zapewnia bezpieczeństwo mnie, sobie, swoim synom i synom swoich synów.

Tak, Wąż dał mi pieniądze i pozwolił mi je robić. Muszę być lojalny wobec niego, dopóki wszystko jest tak, jak jest. Pewnego dnia zmienią się *quai loh*, wszystkie węże, ale na razie ja jestem Wielkim Smokiem i ani bogowie, ani demony, ani nawet sam Wąż nie mogą nic zrobić mojej rodzinie, nie mogą naruszyć moich kont w Szwajcarii i Kanadzie.

- Lepiej już wracajmy, młody Obserwatorze Wu - zaproponował.

Po powrocie opowiedział o całym zdarzeniu inspektorowi Smythowi.

- Wyprawimy za te pieniądze bankiet dla naszych chłopców - zdecydował inspektor. - Dziś wieczór.

-Tak jest.

- Był z tobą detektyw Wu? Ten, który chce wstąpić do SI?

- Tak. Obserwator Wu to bardzo rozsądny młody człowiek. Smyth wezwał go.

- Gdzie ta stara *amahl*

Wu wskazał palcem. Obserwowali, jak kobieta zerka niecierpliwie za róg, gdzie zniknął jej współnik. Po kilku chwilach odeszła, przeklinając pod nosem.

- Idź za nią, Wu - polecił Smyth. - Nie pokazuj się. Zaprowadzi cię do tego łajdaka, który uciekł. Bądź ostrożny, a potem zadzwoń.

- Tak jest.

-1 nie ryzykuj sam. Być może uda nam się złapać cały gang. -Tak jest.

- No to w drogę. - Patrzyli, jak Wu odchodzi. - Dobry chłopak, **ale** nie **dla** nas, prawda, sierżancie?

-Tak.

- Chyba zarekomenduję go do SI. Być może...

Nagle zapadła cisza i po chwili rozległy się gniewne krzyki. Korzystając z nieobecności dwóch policjantów, tłum sforsował część barierek, minął czterech bezradnych funkcjonariuszy i napierał na bank. Dyrektor Sung i jego asystent próbowali zamknąć drzwi przed rozkrzyczanymi ludźmi.

426

- Wezwij oddział do tłumienia zamieszek.

Mok pobiegł do radiowozu. Smyth odważnie ruszył z megafonem przed tłum. Na jego rozkaz gniewna masa zatrzymała się. Do zgromadzenia przy-

łączyli się jednak ludzie z ulicy. Gromada rosła w siłę. Sungowi udało się zamknąć drzwi, ale siłą został zmuszony do ponownego otwarcia. Nagle skądś poleciała cegła i rozbiła wielką szybę w oknie. Był to znak do ponownego poruszenia. Ci z przodu chcieli się wycofać, jednak ci z tyłu napierali mocno. Posypały się kolejne cegły i sztachety z pobliskiego płotu.

Następny kamień stłukł szybę. Tłum zaczął się kotłować. Popchnięta dziewczyna upadła na ziemię i została bezlitośnie stratowana.

- Chodźcie! - krzyknął do pozostałych czterech policjantów Smyth.

Podnieśli barierkę i zaczęli nią odpychać gawieź. Leciały następne cegły.

- Zabić przeklętych złodziei! Zabić ich! Ukradli nasze pieniądze!

- Zabić plugawców!

- Chcemy pieniędzy!

- Zabić obce diabły!

Serce w piersiach Smytha znieruchomiało. Ludzie z tłumu zapomnieli o banku i zaczęli atakować jego. Widział ich wyciągnięte ręce i zacięte spojrzenia. Przypomniały mu się rozruchy z 1956 roku, gdy na ulicach Koulunu szalał rozjuszony dwustutysięczny tłum Chińczyków. Zginąłby, gdyby nie pistolet. Zabił czterech ludzi i utorował sobie drogę ucieczki. Teraz nie miał

broni, a musiał walczyć o życie. Spadła mu czapka, ktoś złapał go za pas, ktoś inny uderzył pięścią w podbrzusze, jakaś kobieta najwyraźniej chciała mu wydrapać oczy. Moka odważnie wkroczył wraz z innymi, żeby go bronić.

Jakiś człowiek rzucił w Moka kawałkiem cegły, drugi uderzył go drągami w policzek. Smyth kulił się i osłaniał rękami głowę. Wtedy rozległy się syreny i z za rogu wyjechała furgonetka z posiłkami. Dziesięcioosobowy oddział

uwolnił Smytha z rąk drapieżnego tłumu. Z ust inspektora płynęła krew, lewe ramię zwisało bez czucia.

- Nic panu nie jest, sir?

- Nie. Ustawcie barierki, na miłość boską! Trzymajcie tych łajdaków z dala od banku! Lejcie wodą!

To jednak okazało się niepotrzebne. Po pierwszym ataku oddziału tłum wycofał się na bezpieczną odległość i wszyscy przyglądali się w niemym napięciu. Czasami rozlegały się jeszcze przekleństwa. Smyth podniósł megafon i ostrzegł po kantonku:

- Jeśli ktokolwiek zbliży się na odległość mniejszą niż dwadzieścia jardów, zostanie aresztowany i deportowany! - Z trudem łapał oddech. - Kto chce wejść do Ho-Pak, niech się ustawi w kolejce sto jardów stąd.

Tłum zawył, ale oddział specjalny panował nad zgromadzeniem.

- Chyba coś mi się stało w rękę - powiedział Smyth.

427

- Co robimy dalej, sir? - zapytał Mok. Ciężko dyszał, z policzka sączyła mu się krew i plamiła mundur.

Smyth, trzymając się za ramię, spojrzał na zdenerwowanych ludzi.

- Niech oddział do tłumienia zamieszek zostanie. Sprowadź jeszcze jeden z zachodniej Aberdeen. Zawiadom też centrum. Gdzie moja cholerna czapka? Jakbym ich dostał...

- Proszę pana! - zawołał mężczyzna klęczący przy stratowanej dziewczynie. Była barmanką lub bywalczynią dancingów. Choć młoda, wyglądała na dość zniszczoną. Z ust leciała jej krew, ledwie zipała, próbując nabrać powietrza.

- Boże, wezwijcie karetkę!

Smyth patrzył bezradnie. Dziewczyna zakrztusiła się własną krwią i umarła.

Christian Toxe, redaktor naczelny „Guardian”, ze słuchawką przy uchu robił notatki.

- Jak się nazywała, Dan?! - starał się przekrzyczeć harmider panujący w pokoju redakcyjnym.

- Nie jestem pewien. Jedną książeczkę oszczędnościową miała na nazwisko Su Tsii-Ian - mówił z Aberdeen dziennikarz Dan Jap. - Miała na koncie cztery tysiące trzysta sześćdziesiąt dolarów. Na drugiej... Chwileczkę, karetka właśnie odjeżdża. Słyszysz, jaki tu hałas?

- Słyszę. Mów dalej. Druga książeczka oszczędnościowa?

- Na nazwisko Tak H'eung. Dokładnie trzy tysiące.

Tak H'eung z czymś mu się kojarzyło.

- Mówi ci coś któreś z tych nazwisk? - zapytał Toxe.

- Nie. Tyle tylko, że jedno oznacza Wisteria Su, a drugie Wonny Kwiat Tak. Była bardzo piękna. Być może Euroazjatka...

Toxe poczuł ból w piersiach na myśl o swoich trzech córeczkach, sze-

ścio-, siedmio- i ośmioletniej, oraz pięknej chińskiej żonie. Starał się skupić myśli i odsunąć skrywane ciągle obawy przed związkami Zachodu ze Wschodem. Jaka przyszłość czeka jego ukochane dzieci w tym pełnym fanatyzmu i okrutnym świecie?

Wysiłkiem woli udało mu się skoncentrować.

- Dużo pieniędzy, jak na dziewczynę z dancingu, no nie?

- Tak. Pewnie miała stałego opiekuna. Jeszcze jedna ciekawa rzecz. W

torebce znaleziono pogniecioną, datowaną przed kilku tygodniami kopertę z miłosnym listem. Adres na kopercie... chwileczkę... Tak H'eung fah, Aberdeen, Tsung-pan Street 14. Ktoś wykształcony przysięgał jej dozgonną miłość.

- Po angielsku? - zapytał zaskoczony Toxe.

- Nie, chińskimi znakami. Ale w tym piśmie było coś takiego, że mógł

to pisać *quai loh*.

428

- Masz kopię?

- Policja nie...

- Postaraj się o fotokopię. Wybłagaj albo ukradnij, żebyśmy zdążyli zamieścić w popołudniowym wydaniu. Dostaniesz tygodniową premię.

- W gotówce? Dzisiaj?

- Dobrze.

- W porządku. Będzie fotokopia.

- Jaki był podpis?

- Twój *love*.

- Panie Toxe! Wydawca na linii drugiej! - zawołała angielska sekretarka przez otwarte drzwi, jej biurko znajdowało się za szklaną ścianą.

- O Boże... Oddzwonię do niej. Powiedz, że właśnie rozpracowuję nie-samowitą historię. - Potem znów mówił do słuchawki: - Dan, zajmij się tym.

Bądź w kontakcie z policją, idź do mieszkania tej dziewczyny. Dowiedz się, do kogo ono należy, kto do niej przychodził. Potem zadzwoń do mnie! - Toxe odłożył słuchawkę i zawołał swojego asystenta:

- Hej, Mac!

Wysoki siwowłosy mężczyzna wstał od biurka i podszedł do Toxe'a.

- Tak?

- Chyba mamy coś specjalnego. Damy nagłówek: „Tłum zabija Wonny Kwiat”.

- Może lepiej „morduje”?

- Albo „Pierwsza ofiara w Aberdeen”.

- Lepiej „Tłum morduje”.

- Niech będzie. Martin! - Martin Haply najpierw spojrział znad biurka, a potem podszedł do redaktora naczelnego. Toxe przyczesał włosy i powiedział

obydwu o relacji Dana Japa. - Martin, napisz coś takiego: „Młoda, piękna dziewczyna została zdeptana stopami tłumu, kto jednak jest jej prawdziwym mordercą? Czy niekompetentny rząd nie chcący ingerować w nasz system bankowy? A może ci, co zaczęli rozsiewać plotki? Czy w szturmie na Ho-Pak wszystko jest tak jasne, jak się z początku mogło wydawać?”... i tak dalej.

- Dobra! - Haply uśmiechnął się i wrócił za biurko. Łyknął zimną kawę /

plastykowego kubka i zaczął pisać na maszynie. Na blacie biurka piętrzyły się książki, chińskie gazety i doniesienia z giełdy.

- Hej, Martin, co z cenami akcji?

Haply wybrał numer bez patrzenia na tarczę, a potem zawołał do redaktora naczelnego:

- Ho-Pak spada o cztery punkty w stosunku do dnia wczorajszego. Strua-iii iwie o jeden punkt i duże zakupy. Hong Kong Lan Tao trzy punkty do liny.

Artykuł już gotowy. Wczoraj wycofał pieniądze Dunstan Barre.

- Znowu miałeś rację. Cholera.

429

- Victoria o pół punktu w dół. To samo inne banki, brak kupujących. Są plotki, że przed Blacs i Victorią ustawiają się kolejki. - Obydwaj wytrzeszczyli ze zdziwienia oczy.

- Wyślij kogoś do Victorii, Mac. - Jezu, myślał Toxe. Poczuł nieznośny ból w żołądku. Jeśli zacznie się szturm na Victorię, cała wyspa będzie zagrożona, a razem z nią moje wszystkie oszczędności.

Rozparł się na starym krześle i położył stopy na biurku. Uwielbiał swoją pracę, kochał pośpiech i ciągłe napięcie.

- Mam do niej zadzwonić? - zapytała sekretarka.

- Do kogo? O cholera, Peg, zapomniałem. Tak, zadzwoń do Smoka.

Smokiem nazywano żonę wydawcy - Mong Pa-tok, głowę dużej rodziny Mongów - posiadającą na własność prócz tej gazety trzy chińskie i pięć magazynów. Mongowie pochodzili najprawdopodobniej od pierwszego wydawcy i założyciela gazety - Morleya Skinnera. Dirk Struan miał dać mu na własność gazetę w zamian za pomoc w zatuszowaniu zabójstwa Gortha w Makau. To Dirk Struan sprowokował pojedynek i obydwaj walczyli chińskim żelazem. Toxe dowiedział się o tym kilka lat temu z relacji Sary Czen.

Starowinka opowiadała też, że gdy Brockowie przyszli po ciało Gortha, nie poznali go. Podobno Sir Gordon Czen zmobilizował prawie wszystkich Chińczyków, żeby nie pozwolili Brockom spalić magazynów Struanów. W

zamian za to Tyler Brock podpalił Tai-ping Szan. Jedynie dzięki tajfunowi, który porwał Wielki Dom, Dirka Struana i jego potajemną chińską żonę Mei-mei, miasto uniknęło pożaru.

-Na linii drugiej.

- Co? Ach, tak, już.

- Pan Toxe. Czekałam na pana telefon, *heya*.

- Czym mogę pani albo panu Mong służyć?

- Chodzi o artykuły o tym, że kłopoty Ho-Pak powstały na skutek plotek rozpowszechnianych przez jakiegoś tai-pana i inne banki. Dzisiaj znowu to samo.

- Tak. Haply ma co do tego pewność.

- Ja i mój mąż słyszeliśmy, że to nieprawda. Żaden bank ani tai-pan nie rozsiewa ani nie rozsiewał plotek. Może więc lepiej powstrzymać ten atak.

- To nie atak, pani Mong. To tylko artykuły. Wie pani, jak Chińczycy biorą sobie do serca wyssane z palca, czcze pogłoski. Ho-Pak jest tak samo silny jak wszystkie inne banki w kolonii. Mamy pewność, że plotki wyszły z ust. .

- Nie żadnego tai-pana ani banku. Mnie i mojemu mężowi nie podobają się takie sugestie. Proszę to zmienić. - Słyszał zaciętość w jej głosie.

- Ten problem podlega mojej kontroli i cały czas nad nim panuję.

- To my jesteśmy wydawcami, to nasza gazeta, i my mówimy panu, żeby skończyć z tym.

430

- Czy to polecenie?

- Jak najbardziej.

- Dobrze. Skoro tak, skończymy.

- Znakomicie! - Połączenie zostało przerwane.

Christian Toxe złapał ołówek, rzucił nim o ścianę i zaczął kląć na czym świat stoi. Sekretarka dyskretnie zamknęła drzwi. Po chwili Toxe otworzył

je.

- Peg, zrobisz kawy? Mac, Martin, do mnie.

Toxe usiadł za biurkiem. Zaskrzybiało krzesło. Otarł pot z czoła i zapalił

papierosa. Zaciągnął się głęboko.

- O co chodzi, Chris? - zapytał Haply.

- Martin, zostaw ten artykuł, o który prosiłem, i daj coś o potrzebie ubezpieczeń banków...

Mac i Martin wytrzeszczyli oczy.

- Naszemu wydawcy nie wydaje się, żeby to miały być spreparowane przez kogoś plotki.

Martin Haply poczerwieniał.

- Pieprzyć go! Sam słyszałeś, co się mówiło na przyjęciu u tai-pana.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. Nie mamy dowodów. Zamykamy ten temat.

-Ale...

Toxe spurpurowiał.

- Zamykamy - warknął. - Zrozumiano?

Haply chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Stłumił złość, odwrócił

się na pięcie i wyszedł. Przeszedł przez główną salę i zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe.

- Ma chłopak temperament - westchnął Toxe. Zgasił papierosa i zapalił

nowego.

- Boże, za dużo palę! - Spojrzał na Maca. - Ktoś musiał do niej zadzwonić. - Czego chciałbyś w zamian, gdybyś był panią Mong?

- Oczywiście członkostwa z prawem do głosu w klubie jeździeckim.

- Przechodzisz do następnej klasy. Hinduski

reporter Singh przyniósł teleksy.

- Może ci się przydadzą, Chris.

Były to doniesienia Reutera z Bliskiego Wschodu.

„Teheran, 08:32. Z dobrze poinformowanych źródeł irańskich wiadomo, że nie opodal granicy z Iranem Związek Radziecki rozpoczyna manew-iv wojskowe. Odbędą się one na terenie bogatego w ropę naftową Azerbejdżanu. Waszyngton donosi, że poprosił o pozwolenie na wysłanie w te u-jony obserwatorów.

Tel Awiw, 6:00. Późnym wieczorem Kneset zatwierdził dalekosiężny projekt irygacji, zakładający zbudowanie kanałów doprowadzających wodę 431

z rzeki Jordan do Pustyni Negew. Natychmiast pojawiły się wrogie reakcje Jordanii, Syrii i Egiptu".

- Negew? Czyżby Izrael zaczynał budowę nowego zakładu atomowego?

- Może. W każdym razie będzie to temat do poruszenia na nowej konferencji pokojowej. Da się w ten sposób nawadniać?

- Nie wiem, Mac. Tu na pewno chodzi o podcięcie kilku jordańskich lub palestyńskich gardeł. Woda tu, woda tam, a nie ma się gdzie wykąpać. Mogłoby popadać. Singh, skróć te doniesienia i upchnijmy je na ostatniej stronie. Nie muszą zajmować dużo miejsca. A może dać na pierwszej stronie jakiś kawałek o Wilkołakach: „Policja prowadzi śledztwo na dużą skalę, jednak ofiara porwania, John Czen, nadal pozostaje w rękach przestępców. Według źródeł zbliżonych do rodziny ojca - honorowego doradcy Struanów - kidnaperzy nie przysłali nowego listu, lecz rodzina spodziewa się go w każdej chwili. «China Guardianw prosi Czytelników o pomoc w ujęciu przestępców"... I tak dalej.

W Aberdeen Obserwator Wu zauważył, że stara kobieta wychodzi z domu czynszowego z koszykiem w dłoni i miesza się z tłumem. Ostrożnie, ze wzmożoną uwagą, ruszył za nią. Gdy czekał, aż *amah* wyjdzie z domu, wdał się w rozmowę z ulicznym handlarzem sprzedającym herbatę i ryż w miseczkach.

Zamówił u niego posiłek i podczas jedzenia handlarz opowiedział mu o starszej kobiecie. Nazywała się Ah Tam i od zeszłego roku pracowała w sąsiedztwie.

Dostała się do kolonii wraz z wielką falą imigrantów, która napłynęła do Hongkongu poprzedniego lata. Jest sama, bez żadnej rodziny, a ludzie, u których pracuje, nie mają dwudziestoletniego syna, chociaż handlarz widział ją z mężczyzną w tym wieku.

- Opowiadała kiedyś, że pochodzi z wioski Ning-tok...

Wtedy Wu zrozumiał, że uśmiechnęło się do niego szczęście. Jego rodzice pochodzili z tej właśnie

wioski, a on mówił w tym dialekcie.

Teraz stał od niej o dwadzieścia kroków i patrzył, jak ogląda warzywa, wybierając tylko najlepszą cebulę i najświeższą zieleninę zerwaną przed kilku godzinami na Nowych Terytoriach. Kupowała niewielkie ilości, więc Wu domyślił

się, że pracuje u ubogiej rodziny. Kobieta stanęła przed straganem z żywymi kurczakami trzymanymi ze spętanymi nogami w klatkach. Gruby właściciel straganu targował się, a ona przebierała w kurczakach, wybrzydzała, aż wreszcie dobili targu. Ponieważ handlarzowi podobał się sposób targowania kobiety, zgodził

się na sprzedanie kurczaka bez marży. Potem wprawnie uciął kurczakowi łeb i dał

ptaka pięcioletniej córce do oskubania i wypatroszenia.

- Proszę pana! - zawołał Wu. - Poproszę o kurczaka w takiej samej cenie. Tego! - Wskazał palcem na dorodny okaz i zapłacił niezadowolone mu sprzedawcy. - Starsza Siostrze - zwrócił się grzecznie do *amah*- Zaosz-432

czędziłem dzięki tobie trochę pieniędzy. Może napijemy się razem herbaty podczas czekania na sprawienie kurczaków?

- O tak, dziękuję bardzo. Moje stare kości już się zmęczyły. Chodźmy tam. - Wskazała na drugą stronę ulicy. - Stamtąd będzie widać, czy dosta niemy to, za co zapłaciliśmy.

Sprzedawca kurczaków miotał pod nosem przekleństwa, a stara *amah* i Wu roześmiali się.

Przeszli na drugą stronę i usiedli na ławce. Zamówili herbatę i ciastka i kobieta zaczęła się żalić Wu na Hongkong i ciągle życie między obcymi.

Ułatwiał jej opowiadanie, wtrącając słowa używane w jej rodzinnej wiosce Ning-tok, a potem udawał zaskoczonego, gdy kobieta zaczęła mówić w tym dialekcie. Doszli do wniosku, że wspaniale po tylu miesiącach spotkać wśród obcych swojego dawnego sąsiada. Opowiedziała, że pracowała w Ning-tok u tej samej rodziny, odkąd skończyła siedem lat. Lecz niestety w ubiegłym roku jej podopieczna, dorosła już kobieta, zmarła.

- Zostałam w tym domu, lecz nadeszły ciężkie czasy. W zeszłym roku zapanował głód i wielu ludzi z wioski zdecydowało się na ucieczkę tutaj.

Ludzie przewodniczącego Mao nic mieli nic przeciwko temu, nawet zachę-

cali. Nazywali nas Bezżyteczne Gęby. Jakoś mi się udało przedostać przez granicę i znalazłam się tutaj. Głodna, bez pieniędzy, bez rodziny, przyjaciół, nie miałam co z sobą zrobić. Po jakimś czasie dostałam pracę jako gotująca *amah* u rodziny sprzątaczy ulic Cz'ung. Psubraty nie dają mi pieniędzy, tylko łożą na moje utrzymanie, a główna żona Cz'unga to jędza, ale niedługo od nich odejdę. Mówiłeś, że twój ojciec przyjechał tu z rodziną dziesięć lat temu?

- Tak. Mieliśmy pole obok przecinki bambusów przy rzece. Ojciec nazywał się Wu Czo-tam..

- Ach, pamiętam tę rodzinę. Tak, chyba tak. I to pole też. Ja pracowałam dla rodziny Wu Ting-top. Od ponad stu lat prowadzili aptekę na skrzyżowaniu dróg.

- A, Szlachetny Aptekarz Wu? Tak, oczywiście. - Obserwator Wu doskonale pamiętał, że Aptekarz Wu sympatyzował z maoistami, kiedyś uciekał

przed nacjonalistami. Ludzie z wioski lubili go i ufali mu. Potrafił utrzymać w wiosce spokój i bronić jej przed obcymi.

- Więc, Młodszy Bracie, jesteś jednym z synów Wu Czo-tam! - ucieszyła się Ah Tam. - liii, dawniej Ning-tok była piękna, ale ostatnio... W zeszłym roku działo się tam bardzo źle.

- Tak. Poszczyliło nam się. My mieliśmy urodzajną ziemię i od wieków ją uprawialiśmy, ale przyszli ludzie z zewnątrz i zaczęli oskarżać wszystkich właścicieli ziemi, jakbyśmy byli wyzyskiwaczami. A my sami uprawialiśmy swoją ziemię. Mimo to właściciele ziemskich zabijano, czasem wywo-433

żono, więc dziesięć lat temu mój ojciec postanowił uciekać z rodziną. Teraz już nie żyje, a my z matką mieszkamy niedaleko stąd.

- Wielu stamtąd puciekało. Słyszałam, że teraz jest lepiej. Ty też? Skoro ludzie z zewnątrz przyszli, to pewnie i sobie pójdą. W wiosce już nie jest tak źle, Młodszy Bracie. Tamci, co przyszli, dali nam spokój. Mnie i mojej podopiecznej. Dlatego że Ojciec był ważny i od początku popierał przewodniczącego Mao. Moja wychowanka nazywała się Fang-ling, teraz już nie żyje... Nie ma już kolektywizacji, więc życie toczy się jak dawniej, chociaż wszyscy muszą czytać Czerwoną Książeczkę Mao. W wiosce nie jest najgorzej. Zostali tam wszyscy moi znajomi. Hongkong to straszne miejsce, mój dom jest na wsi. Życie bez rodziny nic nie jest warte. Ale teraz... -Kobieta zachichotała i zniżyła głos. - Teraz bogowie uśmiechnęli się do mnie. Za miesiąc, może dwa, na zawsze wracam do domu.

Mam już dość pieniędzy na wyjazd i na to, żeby kupić mały domek i może kawałek pola...

- Na wyjazd? - Wu nadstawił uszu. - Kto może mieć tyle pieniędzy, Starsza Siostrze? Mówiłaś, że nic ci nie płacą...

- Ach, mam ważnego przyjaciela - pochwaliła się kobieta.

- Jakiego przyjaciela?

- Ważnego biznesmena, który potrzebuje mojej pomocy. Właśnie dlatego obiecał mi duży udział z zarobionych przez siebie pieniędzy...

- Chyba coś zmyślasz, Starsza Siostrze.

- Powiem ci tylko, że mój przyjaciel jest na tyle potężny, żeby całą wyspę wziąć w niewolę.

- Nie ma takiego człowieka.

- O, jest, jest! - Znów zniżyła głos i szepnęła: - Słyszałeś o Wilkołakach?

Obserwator Wu otworzył ze zdziwienia usta.

- Co proszę?

Kiwnęła głową i stanowczo odrzekła: -Tak.

Młodzieniec zebrał myśli. Jeśli ta kobieta mówi prawdę, on dostanie nagrodę, awans, a może także propozycję wstąpienia do Wywiadu Specjalnego.

- Zmyślasz.

- Czy okłamywałabym kogoś, kto pochodzi z tej samej wioski? Mówię ci, że mój przyjaciel jest jednym z nich. Jest czterysta osiemdziesiąt dziewięć w Bractwie, które będzie najbogatsze w całym Hongkongu.

- liii, ty masz szczęście, Starsza Siostrze! Jak go spotkasz, zapytaj, czy nie znalazłby zajęcia dla kogoś takiego jak ja. Ja też należę do triady, ale moja jest biedna i ma głupiego wodza. Twój przyjaciel też pochodzi z Ning-tok?

- Nie. To... mój bratanek. - Wu wiedział, że kłamie. - Przyjdzie później. Jest mi winien pieniądze.

434

- liii, ale nie wpłacaj ich do banku, a już na pewno nie do Ho-Pak albo...

- Ho-Pak? - zapytała zaskoczona. Nagle zmrużyła oczy. - Dlaczego mówisz o Ho-Pak? Co ma Ho-Pak do mnie?

- Nic, Starsza Siostrze - wycofał się niezręcznie Wu, klnąc swoją nieuwagę.

Wiedział, że kobieta będzie miała się teraz na baczności. - Widziałem tam rano kolejkę i tyle.

Skinęła bez przekonania głową. Zobaczyli, że ich kurczaki już są gotowe do odebrania, więc kobieta podziękowała mu za herbatę i ciastko i mruczając coś pod nosem, odeszła. Wu z największą uwagą ruszył za nią. Oglądała się od czasu do czasu za siebie, ale nie zauważyła go. Pełna wątpliwości wróciła do domu.

Pracownik CIA wysiadł z samochodu i szybkim krokiem wszedł do Komendy Głównej Policji.

- Dzień dobry, panie Rosemont - przywitał go umundurowany sierżant przy biurku.

- Mam spotkanie z panem Crosse'em.

- Tak jest. Oczekuje pana.

Rosemont ruszył do windy. Niech diabli porwą tę cholerną wyspę i Wielką Brytanię razem z nią.

- Cześć, Stanley - przywitał go Armstrong. - Co tu porabiasz?

- O, Robert, cześć. Mam spotkanko z twoim szefem.

- Ja już zażyłem dzisiaj tej wątpliwej rozkoszy. Dokładnie minutę po siódmej.

Otwarły się drzwi do windy. Rosemont poszedł przodem, a Armstrong postąpił za nim.

- Mam nadzieję, że przynosisz mu dobre wieści - powiedział ziewając Armstrong. - I tak mu humor nie dopisuje.

- Czyżbyś ty też szedł do niego?

- Obawiam się, że tak.

- Cholera. - Rosemont nie ukrywał złości. - Prosiłem o spotkanie w cztery oczy.

- Mnie można zaufać.

- Jasne, Robert. I tobie, i Brianowi, i wszystkim innym, ale jakiemuś łajdakowi nie można.

Prysnął dobry nastrój Armstronga. -Tak?

- Tak. - Rosemont już się więcej nie odezwał. Wiedział, że uraził Anglika, ale nie przejmował się. Przecież mam rację, myślał z goryczą. Im wcześniej otworzą im się cholerne oczy, tym lepiej.

435

Winda zatrzymała się. Wyszli na korytarz. W gabinecie Crosse'a przywitał ich Brian Kwok. Rosemont usłyszał za sobą zamykanie zasuw i zacisnął dłonie w pięści.

- Roger, prosiłem o prywatne spotkanie.

- Jest prywatne. Robertowi i Brianowi można ufać. Czym mogę służyć?

- Crosse mówił chłodnym, uprzejmym tonem.

- Okay, Rog. Mam do ciebie wiele spraw. Po pierwsze, jesteś zobligowany do stuprocentowej współpracy ze mną i z całym departamentem aż do dyrektora w Waszyngtonie. Mam ci też powiedzieć, między innymi, że twój szpieg tym razem przeszedł samego siebie.

-Jak?

Rosemont mówił rozdrażniony:

- Na początek dowiedzieliśmy się z naszych źródeł w Kantonie, że Fong Fong i wszyscy wasi chłopcy wpadli. Zostali zdradzeni i rozpracowani. -

Armstrong i Brian Kwok wyglądali na wstrząśniętych. Crosse popatrzył na nich, ale nic nie wyczytał z jego twarzy. - To na pewno był ten zdrajca od was, Rog. Musiał mieć dostęp do akt Alana Medforda.

- Sprawdź to - polecił Crosse Kwokowi. - Przy użyciu kodu.

- Biedacy zostali rozpracowani - rzekł z naciskiem Rosemont po wyjściu Briana.

- Wszystko sprawdzimy. Co dalej?

Rosemont uśmiechnął się ironicznie.

- Dalej? Prawie wszystkie informacje z dokumentów Medforda do tai-pana rozeszły się w światku wywiadowczym w Londynie. Oczywiście wśród tych ludzi, którzy nigdy nie powinni tego widzieć na oczy.

- Niech diabli porwą wszystkich zdrajców! - rozżłościł się Armstrong.

- Tak też bym sobie tego życzył, Robert. Następna wiadomość: Alan Medford nie zginął w wypadku.

- Co takiego?

- Nikt nie ma pojęcia, kto to zrobił, ale wszyscy wiedzą dlaczego. Motocykl został potrącony przez samochód. Nie wiadomo jaki, nie było świadków, ale został potrącony.

- Dlaczego nie dostałem wiadomości ze Źródła? Dlaczego słyszę o tym dopiero od ciebie? - zapytał Crosse.

- Dzwonili do mnie z Londynu przed chwilą. - Rosemont podniósł głos.

- Tam jest dopiero piąta rano, więc wasi ludzie może zdecydują się poinformować cię, jak w spokoju zjedzą swoje jaja na bekonie i popiją filiżanką herbaty!

Twarz Crosse'a wykrzywił grymas.

- Dosadnie to powiedziałaś, Stanley. Co jeszcze?

- Daliśmy ci zdjęcia facetów, którzy sprzątnęli Worańskiego...

436

- Obstawiliśmy ten dom, ale oni nie pojawiali się, więc wcześniej rano zarządziłem nalot. Weszliśmy do środka, ale nic ani nikogo nie znaleźliśmy.

Ani śladu tajnych przejść i skrytek. Ich po prostu tam nie było. Może twój kolega pomylił się...

- Nie. Nie tym razem. Marty Povitz ma absolutną pewność. Obstawiliśmy dom, jak tylko odszyfrowaliśmy adres, więc mieli trochę czasu na ucieczkę.

Uważam, że znów im doniósł wasz zdrajca. - Rosemont wyjął kopię teleksu, Crosse przeczytał i podał Armstrongowi.

Zakodowane od dyrektora w Waszyngtonie do Rosemonta w Hongkongu: Sindera z MI-6 przywiezie rozkaz ze Źródła w Londynie, że masz być w piątek świadkiem przekazania dokumentów i natychmiast zrobić ich fotokopie.

- W dzisiejszej poczcie dostaniesz rozkaz, Rog - oświadczył Amerykanin.

- Mogę to zatrzymać? - zapytał Crosse.

- Jasne. *A propos*, my też obstawiliśmy Dunrossa.

- Może zechciałbyś nie mieszać się w nasze sprawy - burknął ze złością Crosse.

- Już ci mówiłem, że jedziemy na tym samym wózku. - Rosemont położył

na stoliku kolejny telegram.

Rosemont, Hongkong. Proszę osobiście wręczyć ten telegram szefowi SI.

Do wydania kolejnych poleceń Rosemontowi wolno na własną rękę szukać szpiega. Jednakże jego posunięcia nie mogą wykraczać poza prawo i musi konsultować swoje ruchy z panem. Źródło 8-98/3.

Rosemont widział, że Crosse ledwie powstrzymuje wybuch gniewu.

- Co ci jeszcze wolno? - zapytał szef SI.

-Nic. Kolejna rzecz. W piątek będziemy w banku...

- Wiesz, gdzie Dunross umieścił teczki?

- Wszyscy wiedzą. Mówiłem ci, że twój szpieg działa bez przerwy.

Rosemont zdenerwował się.

- Daj spokój, Rog. Wiadomo, że jak przekazujesz pilną wiadomość do Londynu, wszyscy się o tym dowiadują. My też mamy problemy z zachowaniem tajności, ale wy macie większe. - Z trudem się uspokoił. - Mogłeś mi wcześniej powiedzieć, że Dunross się uparł. Zaoszczędzilibyśmy sobie nerwów.

Crosse zapalił papierosa.

- Może tak, a może nie. Chciałem zachować dyskrecję.

- Jesteśmy po jednej stronie.

437

- Na pewno?

- Możesz postawić na to swój tyłek. - Rosemont znów pałał złością. -

Gdyby to ode mnie zależało, jeszcze przed zachodem słońca otworzyłbym wszystkie cholerne skrytki depozytowe. Pal licha, jakie ponieśliśmy konsekwencje.

- Dzięki Bogu, tego ci nie wolno zrobić.

- Rany boskie, przecież prowadzimy wojnę, a Bóg jeden wie, co jest w tych teczkach. Może da się z nich wyczytać, kto jest zdrajcą.

- Owszem - mruknął powątpiewająco Crosse. - A może w tych papierach nie ma nic.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dunross zgodził się przekazać te czki w piątek Sandersowi. A jeśli nic w nich nie ma? A może spalił dokumenty i da nam same te czki? Co wtedy zrobimy?

- Boże, to możliwe? - Rosemont wytrzeszczył oczy.

- Oczywiście! Dunross jest przebiegły. Dokumenty mogą być bez wartości, cenne strony sfalszowane albo usunięte. Poza tym nie wiemy, czy rzeczywiście je zdeponował w schowku, czy tylko tak mówi. Jezu, są setki możliwości. Jeśli jesteś taki mądry, to powiedz mi, która to skrytka, a ja pójde i sam ją otworzę.

- Zdobądź kluczyk od gubernatora, a potem załatw pozwolenie na pięć godzin dla mnie albo dla któregoś z moich ludzi.

- Nie ma mowy! - krzyknął Crosse. Armstrong czuł bijącą od niego wściekłość i moc. Biedny Stanley, dzisiaj on jest obiektem ataku. Z dreszczykiem na plecach przypomniał sobie chwile, kiedy stał twarzą w twarz z Rogerem Crosse 'era. Szybko nauczył się, że trzeba mu zawsze mówić prawdę, zawsze i najszybciej jak się da. Wiedział, że jeśli Crosse rozpocznie przesłuchanie, każdy nieszczęśnik bez wątpienia złamie się. Na szczęście jeszcze nigdy nie zdarzyła mu się podobna sytuacja. Spojrzał na pałającego gniewem Rosemonta. Intrygujące, skąd on ma takie informacje. Ciekawe, jak się dowiedział, że Fong Fong i jego zespół są spaleni.

- Nie ma mowy - powtórzył Crosse.

- No to co do diabła robimy? Będziemy siedzieć na tyłkach do piątku?

- Tak. Będziemy czekać. Nawet jeśli Dunross zniszczył jakieś dokumenty, zawsze możemy wsadzić go do więzienia i zmusić, żeby sobie wszystko przypomniał.

- Jeśli dyrektor albo Źródło zdecydują się, że trzeba go zatrzymać, na pewno znajdzie się jakiś sposób. Tak właśnie postąpiliby wrogowie.

Crosse i Armstrong jednocześnie spojrzeli na Rosemonta.

Armstrong po dłuższej chwili odezwał się:

- Ale to nie byłoby uczciwe.

438

- Nie szkodzi. Kolejna rzecz: tylko do twojej wiadomości, Rog.

Armstrong podniósł się do wyjścia, ale Crosse skinął, żeby został.

- Robert to niemal część mojego ciała.

Armstrong ledwie się powstrzymał od śmiechu na myśl o dwuznaczności tej uwagi.

- Nie, przykro mi, Rog, taki mam rozkaz.

Armstrong widział wahanie Crosse'a.

- Robert, poczekaj na zewnątrz. Zobacz, co z **Brianem**.

- Tak jest, sir. - Armstrong wyszedł i zamknął **za sobą drzwi. Żałował, że** nie będzie obecny przy zabójstwie.

- A zatem?

Amerykanin zapalił kolejnego papierosa.

- Wiadomość ściśle tajna. Dzisiaj o czwartej rano duże jednostki Delta Force zostały przerzucone do Azerbejdżanu dla wzmocnienia granicy irań-

sko-sowieckiej. - Crosse zdębiał. - Na wyraźną prośbę szacha w odpowiedzi na zgromadzenie wojsk sowieckich przy granicy i na zwykle wspierane przez Sowietów zamieszki w całym Iranie. Jezu, Rog, masz tu jakąś wentylację? -

Rosemont wytarł czoło. - Cały Iran został obstawiony. O szóstej jednostki wojskowe wylądowały na lotnisku w Teheranie. Siódma Flota kieruje się w stronę Zatoki Perskiej, Szósta jest na Morzu Śródziemnym... zajęła już pozycje bojowe w Izraelu. Druga, na Atlantyku, kieruje się w stronę

Bałtyku.

NORAD jest zaalarmowane, NATO tak samo.

- Jezu Chryste, co się dzieje?

- Chruszczow przygotowuje się do wkroczenia do Iranu. To był dla Sowietów zawsze doskonały cel. Wydaje mu się, że ma przewagę, ponieważ to blisko ich granicy. Wczoraj ludzie z wywiadu szacha dowiedzieli się o planowanym za kilka dni w Azerbejdżanie powstaniu „socjalistycznych demokratów”. Pentagon bardzo się zaniepokoił. Jeśli ruszy się Iran, zareaguje cała Zatoka Perska, a potem Arabia Saudyjska. Zostaną zajęte źródła dostaw ropy naftowej do Europy i cała Europa zostanie zablokowana.

- Szach już wcześniej miał kłopoty. Nie pospieszycie się z reakcją?

Rysy twarzy Amerykanina stężały.

- Chruszczow wycofał się z Kuby... po raz pierwszy Sowietów wycofali się... bo Kennedy zablokował. Ado Sowietów docierają tylko argumenty siłowe. Tym razem Chruszczow też powinien się wycofać, bo możemy ukre-

cić mu głowę.

- Zaryzykujecie wysadzenie tego cholernego świata za jakichś fanatyków, którym tak naprawdę we własnym kraju przysługują jakieś prawa?

- Rog, mnie nie interesuje polityka, lecz zwycięstwo. Ropa irańska, ropa z Zatoki Perskiej i ropa z Arabii Saudyjskiej napędzają całą Europę. Nie oddamy jej wrogowi.

439

- Jeśli zechcą i tak ją wezmą.

- Ale nie tym razem. Nazwaliśmy tę operację Suchy Szturm. Chodzi o to, żeby zastraszyć ich i wyprzeć szybko i po cichu, tak żeby nie dowiedział się o tym żaden liberalny kongresman czy dziennikarz. Pentagon uważa, że Sowietów nie wierzą, że możemy zareagować tak szybko, z taką siłą i w tak odległym zakątku. Błyskawiczna akcja zszokuje ich i zwiną się.

Aż do następnego razu.

Zapadła cisza.

Crosse bębnił palcami w biurko.

- Co ja mam robić? Dlaczego w ogóle mi o tym mówisz?

- Dostałem rozkaz z dowództwa. Chcą, żeby wiedzieli o tym szefowie wywiadów, ponieważ jeśli ta

wiadomość rozejdzie się, wybuchną zamieszki solidarnościowe i musicie być na to gotowi. Być może wzmożona aktywność Sevrin, o którym pisał Medford, ma z tym coś wspólnego. Poza tym Hongkong stanowi dla nas ważny punkt. Jesteście dla nas tylnym wejściem do Chin, do Władywostoku i całej wschodniej Rosji, a także swego rodzaju drogą na skróty do ich floty na Pacyfiku i baz atomowych. -

Drżącą ręką Rosemont zapalił kolejnego papierosa. - Słuchaj, Rog, zostawmy te nasze sprzeczki, co? Możemy sobie przecież pomagać.

- Jakie bazy atomowe? - zapytał z drwiną Crosse. - Jeszcze nie mają baz atomowych...

- Jezu Chryste! Wasi ludzie zatkali sobie uszy i nie słyszą, co się do nich mówi. Sowieci mają bazy atomowe i bazy konwencjonalnej marynarki na całym Morzu Ochockim! - Rosemont wstał i podszedł do dużej mapy Azji. Wskazał palcem półwysep Kamczatka na północ od Japonii. -

Pietropaw-łowski, Władywostok... Przeprowadzają ogromne operacje na całym syberyjskim wybrzeżu. Tu w Komsomolsku przy ujściu Amuru i na Sachalinie. Ale w Pietropawłowsku za dziesięć lat będzie największy port wojskowy w Azji. Także lotniska i wyrzutnie pocisków atomowych.

Stamtąd będą mieli dostęp do całej Azji, Japonii, Korei, Chin, Filipin. Nie wspominając o Hawajach i naszym Zachodnim Wybrzeżu.

- Stany jak zwykle są przewrażliwione. Znów za szybko podejmujecie działania.

- Ludzie mówią, że ja przesadzam - powiedział Rosemont. - Ale ja jestem realistą. Sowieci cały czas są na wojennej ścieżce. Nasz Mi-das III...

- Przerwał, wściekły sam na siebie za swoje nieposkromione gadulstwo.

- Wiemy wiele o ich posunięciach i nie mamy złudzeń, że nie produkują tylko lemieszki.

- Moim zdaniem mylisz się. Myślę, że oni wcale nie pragną wojny bardziej niż my.

440

- Chcesz, żebym ci udowodnił? Jutro, jak tylko dostanę pozwolenie. Jeśli ci udowodnię, to nasza współpraca będzie się lepiej układała?

- Myślę, że już się dobrze układa.

- Czyżby?

- W każdym razie jestem do twojej dyspozycji. Czy Źródło chce, żebym jakoś specjalnie zareagował?

- Nie, bądź po prostu przygotowany. Myślę, że to wszystko różnymi kanałami dzisiaj się rozejdzie po świecie.

- Tak - powiedział nagle łagodnie Crosse. - Co cię jeszcze dręczy, Stanley?
- Straciliśmy w Berlinie wielu naszych najlepszych ludzi. Był wśród nich mój dobry kumpel. Mamy pewność, że to się jakoś wiąże z Medfor-dem.
- Tak mi przykro. Chodzi o Toma Owena?
- Nie. On wyjechał z Berlina miesiąc temu. O Franka O'Conella.
- Chyba go nie znałem.
- Słuchaj, Rog. Ten zdrajca pakuje nas w straszne bagno. - Wstał i podszedł do mapy. Patrzył na nią dłuższą chwilę. - Słyszałeś o Imanie?
- Proszę? - zapytał Crosse.
- No wiesz, o tym lotnisku.
- Jakim lotnisku?
- Niesamowita rzecz. Podziemne lotnisko, prawie jak miasto. Zostało zbudowane w naturalnych jaskiniach. Powinno się je zaliczyć do cudów świata. Można z niego wystrzelić bombę atomową. Całą bazę budowali jeńcy japońscy i niemieccy w czterdziestym piątym, szóstym i siódmym. Jakieś sto tysięcy ludzi. Pod ziemią może się zmieścić dwa i pół tysiąca samolotów, załogi i personel do obsługi. Oczywiście całość jest odporna na pociski, nawet atomowe. Osiemdziesiąt pasów startowych z wylotem w dolinie otoczonej osiemnastoma niewielkimi wzgórzami. Objechanie tego zajęło naszym ludziom dziewięć godzin. I to w czterdziestym szóstym, więc jak musi wyglądać teraz?
- Imponujące. Jeśli to prawda.
- Cały czas jest czynne. Kilku ludzi z naszego i z waszego wywiadu, nawet paru dziennikarzy, wiedziało o tym już w czterdziestym szóstym. Więc dlaczego się o tym nie mówi? Przecież ta baza stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. Nawet Chiny o niej wiedzą.
- Nie umiem odpowiedzieć.
- A ja tak. Sądzę, że ta wiadomość po prostu zapodziała się gdzieś po-między masą innych. - Amerykanin wstał i przeciągnął się. - Jezu, świat się wali, a mnie strzyka w krzyżu. Znasz jakiegoś dobrego masażystę?
- Może doktor Thomas na Pedder Street? Ja zawsze do niego chodzę.

- Ja go nie znoszę. Nie można się do niego zapisać i trzeba czekać w ko lejce. Boże, jak to dobrze, że istnieją ci masażyści. Będę namawiał syna, żeby wyuczył się tego fachu zamiast iść w ślady ojca.

Zadzwoił telefon, Crosse odebrał.

- Słucham, Brian. - Rosemont patrzył na skupionego Crosse'a. - Chwileczkę. Stanley, mogą już wrócić?

- Jasne.

- Dobrze. Brian, chodź szybko, po drodze zabierz ze sobą Roberta. -

Odłożył słuchawkę. - Nie możemy nawiązać kontaktu z Fong Fongiem.

Chyba miałeś rację. Za czterdzieści osiem godzin będą SPM albo SPU.

- Nie rozumiem.

- Spaleni, Przypuszczalnie Martwi lub Spaleni, Przypuszczalnie Ujęci.

- Przykro mi, że przyniosłem złe wieści.

- Taki *dżos*.

- Może teraz, gdy wiesz o Suchym Szturmie i Medfordzie, moglibyśmy przycisnąć Dunrossa? Areszt by mu nie zaszkodził.

- Nigdy w życiu.

- Miałbyś pozwolenie Biura Akt Tajnych.

- Nie ma mowy.

- I tak zamierzam coś z tym zrobić. A właśnie, wiesz, że Ed Langan i chłopcy z FBI znaleźli powiązania pomiędzy Bartlettem i Banastasiem? Ten Włoch ma ogromne udziały w Par-Con. Podobno dzięki niemu Par-Con trzyma się tak dobrze.

- A wiadomo coś o ich pobycie w Moskwie?

- Wiemy tylko, że pojechali tam jako turyści. Może to prawda, a może nie.

- A co z bronią? - Rano Armstrong przedstawił Crosse'owi teorię Petera Marlowe'a, więc zarządzili natychmiastową obserwację Wu Cztery Palce i wyznaczyli nagrodę za informację.

- FBI ma pewność, że została załadowana jeszcze w Los Angeles. Hangar Par-Con nie jest zabezpieczony. Sprawdzili także numery seryjne, które nam podaliście. Broń pochodzi z kradzieży z fabryki w Camp Pendleton w południowej Kalifornii. Być może trafiliśmy na jakąś większą akcję przemytniczą. Przez ostatnie pół roku skradziono siedemset pistoletów M14.

Przy okazji... - Rozległo się dyskretne pukanie. Crosse nacisnął przycisk.

Otworzyły się drzwi, wszedł Brian, a za nim Armstrong. - Przy okazji, pa-miętasz sprawę CARE?

- Podejrzenia o korupcję w Hongkongu?

- Właśnie. Możemy poprowadzić za was to śledztwo.

- Dobrze. Robert, ty się tym zajmowałeś, prawda?

- Tak jest, sir. - Armstrong westchnął. Przed trzema miesiącami wicekonsul USA poprosił CID o ustalenie, czy jakiś urzędnik jest zamieszany 442

w kradzież pieniędzy ze specjalnego funduszu na cele dobroczynne. Poszukiwania i przesłuchania nadal trwały. - Co macie nowego, Stanley?

Rosemont przeszukał kieszenie i wyjął zapisaną pismem maszynowym kartkę. Zanotowano na niej trzy nazwiska i adres: Thomas K.K. Lim (Obcokrajowiec Lim), Tak Czou-lan (Tak Wielkie Ręce), Lo Tup-lin (Lo Krzywy Ząb). Princes Building, pokój 720.

- Thomas K.K. Lim jest majątnym Amerykaninem związanym z Wa szyngtonem, Wietnamem i Ameryką Południową. Prowadzi interesy razem z tymi dwoma panami urzędującymi pod tym samym adresem. Mamy informację, że jest zamieszany w kilka niejasnych transakcji związanych z funduszem pomocy AID i że Tak Wielkie Ręce ma coś wspólnego z CARE. To nie nasza sprawa, więc przekazujemy wam. - Rosemont znów się przecią gnął. - Może to ma jakieś znaczenie. Świat się wali, a my musimy walczyć ze zwykłymi oszustami! Co za szaleństwo. Będziemy w kontakcie. Przykro mi z powodu Fong Fonga i waszych ludzi.

Wyszedł.

Crosse opowiedział Brianowi Kwokowi i Armstrongowi pokrótce, czego się dowiedział na temat operacji Suchy Szturm.

- Któregoś dnia jeden z tych szalonych Jankesów popełni błąd. To głu pota sięgać po broń atomową.

Zobaczyli na sobie ciężkie spojrzenie Crosse'a, więc zdwoili uwagę.

- Chcę dostać tego szpiega. Chcę go mieć przed CIA. Jeśli oni będą pierwsi... - Na twarzy malowała się złość. - Brian, idź porozmawiać z Dunrossem. Powiedz mu, że Alan Medford nie zginął w wypadku i żeby w tej sytuacji Ian nie wychodził nigdzie bez naszych ludzi. Napomknij też, że chciałbym zobaczyć te raporty potajemnie przed CIA.

- Tak jest, sir. - Brian Kwok wiedział, że Dunross i tak zrobi, co zechce, ale nic nie mówił.

- Normalnie powinniśmy dać sobie radę z ewentualnymi zamieszkami wywołanymi Suchym Szturmem i sytuacją w Iranie, ale trzeba powiadomić ('ID...- Przerwał. Armstrong wpatrywał się w kartkę od Rosemonta. - O co chodzi, Robert?

- Czy Tsu-ian nie miał czasem biura w Princes Building?

- Brian?

- Kilka razy go śledziliśmy. Odwiedzał tam znajomego... - Brian Kwok zastanowił się - ...zajmującego się przewozami. Ng... ten znajomy nazywał się Vee Cee Ng, Fotograf Ng. Pokój siedemset dwadzieścia jeden. Sprawdzaliśmy go, ale był w porządku. Ng prowadzi przedsiębiorstwo przewozowe i chyba z pięćdziesiąt innych rzeczy. A o co chodzi?

- Ten adres może mieć coś wspólnego z Johnem Czenem, karabinami, Uanastasiem, Bartlettem, a nawet Wilkołakami - zawyrokował Armstrong.

443

Crosse wziął kartkę.

- Robert - odezwał się po chwili - weź grupę operacyjną i sprawdźcie pokój siedemset dwadzieścia i siedemset dwadzieścia jeden.

- To nie mój teren, sir.

- Ach, prawda, masz rację - skomentował sarkastycznie Crosse. - Wiem, ty jesteś z Koulunu, a to jest... gdzieś w centrum... Nie szkodzi, idź na moją odpowiedzialność. Od razu.

-Tak jest, sir.

Armstrong wyszedł zmieniony na twarzy.

Zapadła cisza.

Brian Kwok, utkwivszy wzrok w ścianie, wyczekiwał ze stoickim spokojem. Crosse z uwagą wybierał papierosa, potem zapalił i rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Brian - rzekł miękko - myślę, że to Robert jest zdrajcą.

29 13:38

Robert Armstrong i umundurowany sierżant policji wysiedli z radiowozu

i

ruszyli

pod

arkadami

ze

sklepami

jubilerskimi,

fotograficznymi i elektronicznymi, wystawiającymi najnowsze cuda techniki, w stronę wysokiego, starego budynku. Przeszli przez hol do wind i stanęli między oczekującymi ludźmi.

Sierżant i Armstrong wysiedli na siódmym piętrze. Znaleźli się w wą-

skim, zacienionym korytarzu z rzędami nie oznaczonych drzwi. Zatrzymali się przed tablicą informacyjną. Przy numerze 720 widniał napis „Ping-sing Wah”, przy 721 - „Azjatyckie Przedsiębiorstwo Przewozowe”. Armstrong i sierżant Jat ruszyli korytarzem do przodu.

Gdy znaleźli się za zakrętem, zobaczyli wychodzącego z pokoju 720

Chińczyka w średnim wieku, ubranego w białą koszulę i czarne spodnie.

Kiedy ich spostrzegł, zbladł i wycofał się do pokoju. Armstrong spodziewał się, że drzwi będą zamknięte na klucz, ale gdy nacisnął klamkę, ustąpiły i weszli do środka właśnie w momencie, gdy mężczyzna w białej koszuli zniknął w drugim wyjściu. Drugi mężczyzna w pośpiechu ruszył za nim i zatrzasnął za sobą drzwi.

Armstrong westchnął. W biurze podzielonym na trzy części siedziały dwie przestraszone sekretarki. Jedna właśnie jadła i z zatrzymanych w pół

drogi do ust pałeczek zsunęła się kluska.

444

- Dzień dobry - odezwał się Armstrong.

Sekretarki patrzyły wybałuszonymi oczami to na niego, to na umundu-rowanego sierżanta.

- Gdzie jest pan Lim, pan Tak i pan Lo?

Jedna wzruszyła ramionami, a druga z powrotem zabrała się do jedzenia.

W biurze panował nieporządek. Wszędzie walały się papiery, plastikowe kubki, brudne miseczki i zużyte pałeczki, filiżanki i puszki.

Armstrong pokazał im nakaz rewizji.

Dziewczyny tylko się gapiły.

- Mówicie po angielsku? - zapytał poirytowany Armstrong.

- Tak, sir - odezwały się chórem.

- To dobrze. Podajcie sierżantowi nazwiska i odpowiedzcie na jego pytania. - W tym momencie

tylnymi drzwiami weszło dwóch mężczyzn w eskorcie policjantów. - Dziękuję, kapralu, dobra robota. A wy dwaj, gdzie uciekaliście?

Natychmiast zaczęli udowadniać po kantońsku swoją niewinność.

- Cisza! - zarządził podniesionym głosem Armstrong. Umilkli. - Podajcie swoje nazwiska. - Patrzyli na niego bez słowa, więc powtórzył po kantońsku: - Podajcie swoje nazwiska. Lepiej nie kłamcie, bo się bardzo ze złościę.

- To jest Tak Czou-lan - powiedział mężczyzna z krzywymi zębami. -A ty?

- Ee, Lo Tup-sop, Panie. Ale nie zrobiłem nic...

- Lo Tup-sop, a nie Lo Tup-lin?

- O nie, Panie Nadinspektorze, tak się nazywa mój brat.

- Gdzie on jest?

Mężczyzna z krzywymi zębami wzruszył ramionami.

- Nie wiem. A o co chodzi?

- Gdzie się tak spieszyłeś, Lo Krzywy Ząb?

-Zapomniałem o ważnym spotkaniu, Panie. O bardzo ważnym i pilnym.

Stracę fortunę, jeśli zaraz się tam nie zjawię. Mogę już iść, Szlachetny Panie?

-Nie! Oto nakaz rewizji. Przeszukamy biuro i zabierzemy dokumenty.

Obydwaj zaczęli protestować. Armstrong znów musiał ich uciszyć.

- Czy chcecie być zaraz odtransportowani do granicy?

Mężczyźni zbledli i pokręcili głowami.

- To dobrze. Gdzie jest Thomas K.K. Lim? - Nie dostał odpowiedzi, więc wskazał palcem na młodszego. - Ty, Krzywy Ząb Lo, gdzie jest K.K. Lim?

- W Ameryce Południowej, Panie.

- Gdzie dokładnie?

445

- Nie wiem. My tylko mamy to samo biuro. Tam jest jego przekłete biurko. - Zdenerwowany Lo machnął ręką. W rogu pokoju znajdowało się solidne biurko z telefonem i szafka z aktami. - Ja nic

złego nie zrobiłem, Panie. Obcokrajowiec Lim przyjechał ze Złotych Gór. Czwarty Kuzyn Tak wynajął mu biuro. Obcokrajowiec Lim przychodzi tu i wychodzi, kiedy mu się podoba. Nie ma nic wspólnego ze mną. Czy popełniłem przestępstwo?

Jeśli zrobiłem coś złego, nic o tym nie wiem.

- A co wiesz na temat kradzieży funduszy z programu CARE?

- Co? - Obydwaj mężczyźni równocześnie otworzyli ze zdziwienia usta.

- Informatorzy nam donieśli, że kradliście pieniądze należące do głodujących kobiet i dzieci.

Wywołało to lawinę protestów i zapewnień o niewinności.

- Dosyć! O tym zadecyduje sąd. Pojedźcie do Komendy Głównej i zło-

życie zeznania. - Armstrong przeszedł na angielski. - Sierżancie, zabrać ich na komendę. Kapralu, niech...

- Szlachetny Panie - zaczął Lo Krzywy Ząb, ale zaraz zamilkł i przeszedł

na łamaną angielszczyznę. - Ja móc mówić w biuro, proszę. - Wskazał ręką na równie zabałaganioną część należącą do niego.

- No dobrze.

Górujący wzrostem Armstrong poszedł za nim. Chińczyk zamknął drzwi i nerwowo zacinając się, wyrzucił z siebie potok słów po kantońsku.

- Nie wiem nic o żadnym przestępstwie, Panie. Jeśli coś się stało, to przez tych przeklętych obcych. Ja jestem uczciwym człowiekiem interesu.

Chcę zarobić pieniądze, żeby wysłać dzieci na studia do Ameryki.

- Tak, oczywiście. Co chcesz mi powiedzieć na osobności, zanim pojedziemy na komendę?

Mężczyzna uśmiechnął się żałośnie, podszedł do biurka i przekręcił

klucz w szufladzie.

- Jeśli ktoś ponosi winę, to na pewno nie ja, Panie. Ja nic o niczym nie wiem. - Otworzył szufladę. Była pełna używanych, studolarowych, czterech wonych banknotów pospinanych w tysiące. - Pan, Szlachetny Panie, po zwoli mi... - Uśmiechnął się, wskazując palcem na pieniądze.

Armstrong kopnął szufladę i przyciął Lo palec. Chińczyk zawył z bólu.

Wysunął szufladę drugą ręką.

- Ooo, mlójk przekłety...

Armstrong nachylił się.

- Słuchaj, zapchlony kundlu, próba przekupstwa policjanta jest wbrew prawu, a jeśli uważasz, że policja jest brutalna, bo przycięła ci palec, to osobiście wyrwę ci Tajny Worek i posiekam na kawałki.

Pochylił się nad biurkiem. Serce mu waliło, czuł ból w gardle. Odsuwał od siebie pokusę rodzącą się na widok takiej ilości pieniędzy. Z łatwością 446

mógłby pokryć wszystkie długi na giełdzie i na wyścigach i zostałyby mu jeszcze na wyjazd z Hongkongu, zanim będzie za późno.

Z łatwością. O wiele prościej jest wziąć pieniądze niż oprzeć się pokusie.

Tej czy tysiącom innych. W szufladzie jest z pewnością ze trzydzieści, czterdzieści tysięcy. A jeśli w jednej szufladzie jest pełno, to to samo musi być w drugiej. Gdybym go przycisnął, wydusiłby z siebie jeszcze z dziesięć razy tyle.

Gwałtownie chwycił Chińczyka za rękę. Ten znów krzyknął. Armstrong zauważył, że Lo ma tylko jeden złamany paznokieć, a mogłoby mu się stać coś o wiele gorszego. Złościł się na siebie, że stracił zimną krew, ale był

zmęczony, choć z drugiej strony wiedział, że powód był zupełnie inny.

- Co wiesz o Tsu-ianie?

- Nic, Panie!

- Łiesz! Tsu-ian przychodził do Nga z sąsiedniego pokoju.

- Tsu-ian? Ten od broni? Nie wiedziałem, że on przemyca broń! Zawsze myślałem, że jest biznesmenem. On tak samo pochodzi z północy jak Fotograf Ng...

-Kto?

- Fotograf Ng, panie. Vee Cee Ng z sąsiedniego pokoju. Przychodzili z Tsu-ianem pogadać... Muszę do lekarza... Moja ręka...

- Gdzie jest Tsu-ian teraz?

- Nie wiem, Panie... O, moja przekłeta ręka, ooo. Przysięgam na bogów, że nie wiem... ooo!

Zdenerwowany Armstrong pchnął go na krzesło i otworzył drzwi. Trzej policjanci i sekretarki patrzyli na niego w milczeniu.

- Sierżancie, zabierzcie tego gnojka na komendę i oskarżcie go o próbę przekupienia policjanta. Patrzcie... - wskazał ręką na szufladę.

Sierżant Jat podszedł bliżej i wytrzeszczył oczy.

- *Dew neh loh moh!*

- Przeliczcie pieniądze, niech pokwitują i zabierzcie je razem z nimi na komendę jako dowód.

- Tak jest.

- Kapralu, proszę zacząć przeglądanie kartoteki. Ja idę do sąsiedniego pokoju. Zaraz wracam.

-Tak jest.

Armstrong wyszedł. Wiedział, że pieniądze zostaną szybko przeliczone i zaraz zaczną się negocjacje pomiędzy sierżantem Jatem, Lo i Takiem. Lo i Tak będą przekonywać sierżanta, że chociaż ma zwariowanego szefa, wcale nie musi go naśladować. Nie szkodzi. Nic go to nie obchodziło. Pieniądze pochodziły z kradzieży, a sierżant Jat i jego ludzie byli dobrymi policjantami, a płace zupełnie nie przystawały do ich pracy. Odrobina *h 'eungjau* im nie zaszkodzi.

447

Na pewno?

W Chinach trzeba zachowywać pragmatyzm, myślał, pukając do pokoju 721.

Atrakcyjna sekretarka spojrzała na niego znad lunchu - talerza z białym ryżem, kawałkami smażonej wieprzowiny i zielonymi brokułami.

- Dzień dobry - powiedział, pokazując kartę identyfikacyjną. - Chciałem się zobaczyć z panem Vee Cee Ngiem.

- Przykro mi - odezwała się po angielsku. - Nie mą go. Wyszedł na lunch.

- Dokąd?

- Chyba do klubu. Wróci dopiero o piątej.

- Do jakiego klubu?

Powiedziała mu. Nie znał tej nazwy, ale dokoła znajdowały się setki prywatnych chińskich klubów podających posiłki lub organizujących *ma-dżong*.

- Jak się pani nazywa?

- Virginia Tong. - Po namyśle dodała: - Sir.

- Mogę się trochę rozejrzeć? - Widział w jej oczach zdenerwowanie. -Oto nakaz rewizji.

Wzięła i uważnie przeczytała.

- Może mógłby poczekać pan do piątej? - zapytała.

- Tylko rzucę okiem.

Wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi do biura. Było małe, niemal puste, na biurku panował nieład. Telefon, teczki, kwity. W środku znajdowało się jeszcze troje innych drzwi. Otworzył te po stronie pokoju 720, ale za nimi była cuchnąca toaleta z brudnym zlewem. Drugie drzwi były zaryglowane. Zwolnił

zasuwkę i wszedł na schody przeciwpożarowe. Zamknął drzwi z powrotem i ruszył do ostatnich. Virginia Tong nie spuszczała go z oczu. Ostatnie drzwi były zamknięte na klucz.

- Może je pani otworzyć?

- Klucz ma tylko pan Vee Cee, sir.

Armstrong westchnął.

- Panno Tong, mam nakaz rewizji i jeśli trzeba, mogę je wyważyć. Ona cofnęła się, a on przygotował się do kopnięcia.

- Proszę... Chwileczkę... Zobaczę, może pan Ng zostawił klucz przed wyjściem.

- Dobrze. Dziękuję.

Obserwował, jak udaje poszukiwania, przeglądając najpierw jedną szufladę, potem drugą i następną, aż wreszcie znalazła klucz pod kasetką z pieniędzmi.

- O, jest! - krzyknęła, jakby zdarzył się cud.

Zauważył, że cała się spociła. To dobrze, pomyślał. Otworzyła drzwi i cofnęła się. Za nimi znajdowały się następne. Armstrong pociągnął za nie 448

i gwizdnął ze zdziwienia. Znalazł się w obszernym, luksusowym pomieszczeniu z dywanem, meblami z różanego drewna pokrytego skórą oraz pięknymi obrazami. Virginia Tong stała przy drzwiach. Na antycznym biurku z błyszczącą skórą na blacie panował nieskazitelny porządek, stał wazon z kwiatami i kilka oprawionych fotografii. Wszystkie przedstawiały Chińczyka na wyścigach konnych, a jedno tego samego Chińczyka, któremu dłoń ścisnął

gubernator, w tle stał Dunross.

- Czy to pan Ng?

-Tak.

Przy jednej ze ścian, obok barku, stał wysokiej jakości sprzęt Hi-Fi. Z tego pomieszczenia można było wydostać się jeszcze jednym wyjściem. Armstrong pchnął na wpół otwarte drzwi. Zobaczył sypialnię z ogromnym, robionym na zamówienie łóżkiem pokrytym lustrami sufitem i dekoracyjną toaletką. W powietrzu unosił się zapach perfum i wody kolońskiej. Stało też dużo wiader z wodą.

- Interesujące - zauważył Armstrong.

Sekretarka czekała w milczeniu.

Armstrong przyjrzał się jej zgrabnym nogom w nylonowych pończochach, wypiełgnowanym paznokciom i zadbanym włosom. Założył się, że jest smokiem, i to drogim. Odwrócił się i patrzył w zamyśleniu. Najwyraźniej ten apartament został zrobiony z sąsiedniego biura.

Cóż, pomyślał w nagłym przypływie zazdrości, tajne mieszkanie na popołudniowe igraszki nie są zabronione żadnym prawem. I zatrudnianie atrakcyjnej sekretarki nie jest karalne. Szczęściarz. Mnie też by się przydało takie miejsce.

Otwierał szuflady biurka, ale wszystkie były puste. Przeszukał sypialnię, lecz również nie znalazł nic interesującego. W jednej z szafek znajdował się sprzęt fotograficzny i oświetleniowy, a w drugiej przybory do mycia.

Wrócił do gabinetu z satysfakcją, że niczego nie przeoczył. Sekretarka cały czas go obserwowała i chociaż starała się tego nie okazywać, widział, że jest zdenerwowana.

To zrozumiałe, myślał. Gdybym był na jej miejscu, mój szef by wyszedł, a jakiś cholerny *quai loh* węszyłby po kątach, też bym się denerwował. Nie ma nic złego w urzędzeniu sobie takiego prywatnego kącika. Wielu ludzi w Hongkongu tak robi. Spojrzał na barek. Zainteresował go kluczyk w zamku.

Otworzył drzwiczki i nie zauważył nic nadzwyczajnego. Jednak jego badawczy wzrok padł na boczną ściankę i po krótkiej inspekcji znalazł tajne drzwiczki. Otworzył je i skamieniał.

W schowku znajdowały się dziesiątki fotografii Nefrytowych Wrót w ca-

łej okazałości. Każde zdjęcie zostało starannie oprawione i opatrzone na-449

zwiskiem oraz datą. Mimowolnie roześmiał się i spojrzął za siebie. Virginia Tong zniknęła. Przejrzał nazwiska i pod sam koniec znalazł jej.

Znów się roześmiał. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Ależ niektórzy mają rozrywki. I czego te kobiety nie zrobią dla pieniędzy. Myślałem, że już wszystko w życiu widziałem... Fotograf Ng! A więc stąd ten przydomek!

Gdy minął pierwszy wstrząs, zaczął uważnie studiować zdjęcia. Każde zostało wykonane tym samym obiektywem i z tej samej odległości.

Boże drogi, pomyślał po chwili ze zdumieniem, naprawdę różnią się między sobą. Gdyby dało się zapomnieć, na co się patrzy i po prostu porównać, cóż, różne kształty, różne wielkości, różne umiejscowienie Perły na Stepie, jakość i gęstość włosów. . *Aiii ia* jest jedno *bat jam gai*. Spojrzał na podpis. Mona Leung, gdzieś już słyszałem to nazwisko. Dziwna rzecz, że Chińczycy brak owłosienia uważają za zły omen. Dlaczego. . O Boże! Spojrzał jeszcze raz, żeby się upewnić. Nie mylił się

- Venus Poon. *Aiii ia*, pomyślał w uniesieniu, a więc tak naprawdę wygląda ta, która na co dzień udaje słodkie, skromne dziewczątko!

Rozbawiony skoncentrował się na fotografii jej wdzięków. Chyba w porównaniu z powiedzmy Virginią Tong faktycznie daje się zauważyć pewną delikatność. Tak, ale ja wolę, jak to wszystko pozostaje dla mnie tajemnicą.

Spoglądał kolejno na nazwiska.

- O cholera - zaklął, rozpoznając jedno. Elizabeth Mithy pracowała kiedyś jako sekretarka u Struanów. Włóczyła się z miasteczka do miasteczka w Nowej Zelandii, aż kiedyś zawędrowała do Hongkongu, została kilka miesięcy, a potem wyszła za mąż i wyjechała na zawsze. A niech to, Liz Mithy!

Starał się nie poddawać emocjom, ale nie mógł się powstrzymać przed porównaniem Chinek i Europejek, lecz nie dopatrywał się różnic. Bogu dzięki, pomyślał i zachichotał. Mimo to cieszył się, że fotografie są czarno-białe, a nie kolorowe.

- No cóż - powiedział na głos, ciągle zażenowany. - Z tego co ja wiem, prawo nie zabrania robienia takich zdjęć i przechowywania ich w barku. Te młode damy musiały wyrazić zgodę... - Chrząknął rozbawiony, a jednocześnie zdegustowany. Chyba nigdy nie zrozumieję Chińczyków. - Liz Mithy, ech... - mruknął. Pamiętał ją, wiedział, że jest szalona, ale żeby pozować tak Ngowi? Gdyby jej stary się o tym dowiedział, dostałby zawał. Dzięki Bogu ja i Mary nie mamy dzieci.

Nie oszukuj się, chcieliście mieć dzieci, ale nie możecie, w każdym razie lekarze mówią, że Mary nie może. A więc ty także nie możesz.

Powstrzymując się od ostatniego przekleństwa, zamknął schowek, barek i wyszedł.

Za biurkiem w sekretariacie wściekła Yirginią Tong polerowała paznokcie.

450

- Czy można jakoś zadzwonić do pana Nga?

- Nie, dopiero po czwartej - warknęła, nie patrząc na niego.

- W takim razie proszę zadzwonić do pana Tsu-iana. - Armstrong zaryzykował.

Nie patrząc na aparat, wykręciła numer, odczekała chwilę, porozmawiała po kantońsku i odłożyła słuchawkę.

- Nie ma go. Wyjechał z miasta i w biurze nie wiedzą, gdzie jest.

- Kiedy go pani widziała ostatni raz?

- Trzy czy cztery dni temu. - Otworzyła kalendarz i sprawdziła. - W piątek.

- Mogę to zobaczyć?

Zawahała się, wzruszyła ramionami, podała mu kalendarz i wróciła do polerowania paznokci.

Przeglądał szybko spotkania sprzed kilku miesięcy i tygodni. Wiele nazwisk znał: Richard Kwang, Jason Plumm, Dunross (kilkakrotnie), Thomas K.K. Lim (tajemniczy amerykański Chińczyk z sąsiedztwa), Donald McBride, Mata kilka razy. Co za Mata? - pomyślał. Nigdy o nim nie słyszał. Już miał oddać kalendarz, gdy zauważył na końcu zapisek: „sobota, 10:00, V.

Banastasio". Serce mocniej mu zabiło. Chodziło o zbliżającą się sobotę.

Nic nie powiedział, odłożył kalendarz i w zamyśleniu przeglądał zawartość jakiejś teczki. Sekretarka nie zwracała na niego uwagi. Otworzyły się drzwi.

- Przepraszam, sir, telefon do pana! - poinformował sierżant Jat. Wyglądał

na zadowolonego, więc Armstrong domyślił się, że negocjacje musiały okazać się owocne. Chciałby dowiedzieć się dokładnie, o jaką sumę chodzi, ale wtedy musiałby w jakiś sposób zareagować.

- W porządku, sierżancie. Proszę tu poczekać, aż wrócę. - Chciał mieć pewność, że Virginia Tong nie zadzwoni pośpiesznie do kogoś. Wyszedł, a ona nawet na niego nie spojrzała.

W sąsiednim biurze Lo Krzywy Ząb nadal jęczał z bólu, a Tak Wielkie Ręce udawał nonszalancję i notując coś w dokumentach, na głos karciał sekretarkę za nieudolność.

Gdy wszedł Armstrong, obydwaj zaczęli na nowo protestować i zapewniać o swej niewinności. Lo dodatkowo narzekał na obolały palec.

- Spokój! Trzeba było nie pchać łap, gdzie nie trzeba. - Nie czekając na odpowiedź, dodał: - Ktoś, kto próbuje przekupić policjanta, zasługuje na natychmiastową deportację. - Gdy zapanowała cisza, podniósł słuchawkę.

Armstrong, słucham.

- Cześć, Robert, mówi Don, Don Smyth ze Wschodniej Aberdeen.

- O, cześć! - Armstrong był zaskoczony, nie spodziewał się telefonu od Węża, ale zachowywał uprzejmy ton, choć nie popierał tego, o co podejrze-451

wano Smytha: nadużywania stanowiska. Jego dochody rosły dzięki konsta-blom i niższym rangą chińskim policjantom ochraniającym nielegalny hazard. Oficer policji brytyjskiej, a postępuje jak

staroświecki mandaryn. Niemniej choć wszyscy wiedzieli o działalności Smytha, nie znaleziono przeciwko niemu żadnych dowodów, nigdy go nie przyłapano i nigdy nie toczyło się przeciwko niemu postępowanie. Plotka głosiła, że stoi za nim jakaś ważna osoba. - O co chodzi?

- Chyba nam się poszczęściło. Ty prowadzisz sprawę porwania Johna Czena, prawda?

- Zgadza się. - Armstrong wyteżył uwagę. Skorumpowanie Smytha nie miało nic wspólnego z jakością wykonywanej przez niego pracy. Uwzględniając dane z całej kolonii, najniższą przestępczość odnotowano we wschodniej Aberdeen. - Masz coś?

Smyth opowiedział o starej *omah* i zrelacjonował, czego dowiedzieli się Mok i Obserwator Wu, a potem dodał:

- Bystry chłopak, Robert. Zarekomendowałbym go do SI, gdybyś mnie poparł. Wu poszedł za nią do domu, a potem zadzwonił do mnie. Na dodatek słucha rozkazów, co się w dzisiejszych czasach rzadko zdarza. Co o nim sądzisz?

- Złoty chłopak.

- Co teraz zrobisz? Poczekasz czy przesłuchasz tę staruchę?

- Poczekam. Założę się, że Wilkołak do niej nie przyjdzie, ale do jutra warto poczekać. Miej to miejsce cały czas na oku i czekajcie na mnie.

- Dobrze.

Armstrong słyszał zadowolenie w głosie Smytha i zastanawiał się, czemu jest taki rozradowany. Wtedy przypomniał sobie o wyznaczonej nagrodzie.

- Jak tam ręka?

- Zwichnięta, a oprócz tego zgubiłem ulubioną czapkę. Poza tym wszystko w porządku. Sierżant Mok przegląda nasze kartoteki ze zdjęciami, a jeden z moich chłopaków przygotowuje portret pamięciowy. Zdaje się, że nawet ja widziałem tego gnojka. Miał na twarzy ślady po ospie. Jeśli figuruje w naszych aktach, złapiemy go przed wieczorem.

- Świetnie. A jak w banku?

- Już nad całością panujemy, ale nie jest dobrze. Ho-Pak jeszcze wypłaca pieniądze, ale wszystko idzie strasznie powoli. Słyszałem, że w całej kolonii jest to samo. Już po nich, Robert. Rozpoczął się też szturm na Victorię.

- Na Victorię?

- Tak. Pożyczali pieniądze na wszystkie strony i nic nie brali w zamian.

Triady się cieszą, na pewno kwitną kradzieże kieszonkowe. Dzisiaj złapali-

śmy takich ośmiu. Nie za różowo to wszystko wygląda.

452

- Ale z Victorią wszystko w porządku?

- W Aberdeen nie. Ja już zlikwidowałem wszystkie rachunki. Co do centa.

Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Armstrong poczuł się słabo. W Victorii ulokował oszczędności całego życia.

- Z Victorią musi być wszystko w porządku. Przecież tam są rządowe fundusze.

- Masz rację. Ale ich regulamin nic nie wspomina, że twoje pieniądze też są całkowicie bezpieczne. No, wracam do pracy.

- Dobrze. Dzięki za informację. Przykro mi z powodu twojej ręki.

- Myślałem, że stracę życie. W pewnej chwili zaczęli krzyczeć „Zabić *quai lohV* i myślałem, że już po mnie.

Armstrong poczuł mrowienie na plecach. Mimo że od 1956 roku minęło wiele czasu, często powracał do niego koszmar, w którym znajdował się przed rozjuszonym tłumem. Był wtedy w Koulunie. Motłoch przewrócił

właśnie samochód ze szwajcarskim konsulem i jego żoną i Chińczycy pod-

łożyli ogień. On i inni policjanci mieli przedrzeć się przez gawiedź, żeby uratować dyplomatę. Gdy dotarli do auta, konsul już nie żył, a jego żona płonęła. Wyciągnęli ją z samochodu, ubrania się spaliły, a skóra niemal odchodziła z niej płatami. Zgromadzeni dokoła ludzie skandowali: „Zabić *quai lohr*.”

Wzdrygnął się. Znów miał w nozdrzach swąd palonego ciała.

- Chryste, co za łajdaki!

- Tak, ale już wszystko w porządku. Będziemy na ciebie czekać. Jeśli ten cholerny Wilkołak pojawi się w Aberdeen, zarzucimy na niego sieć z oka mi mniejszymi niż dupa komara.

30

14:20

Przeglądając codzienną pocztę, Phillip Czen zbladł nagle jak ściana. Na jednej z kopert widniał napis: „Wyłącznie dla pana Phillipa Czena”.

- Co tam masz? - zapytała żona.

- To od nich. - Pokazał jej cały rozdygotany. - Od Wilkołaków.

- O! - Siedzieli przy stole wciśniętym w kąt pokoju jadalnego. Dianne nerwowo odstawiła filiżankę z kawą.

- Otwórz, Phillip, tylko ostrożnie. Może weź chusteczkę? Wiesz, chodzi o odciski palców.

453

- Tak, oczywiście, Dianne, cóż za głupiec ze mnie! - Phillip Chen wyglądał staro. Całą koszulę miał moką od potu, marynarkę powiesił na krze-

śle. Mimo że wiał lekki wiaterek, powietrze nad całą wyspą było tak gorące i wilgotne, że z trudem można było oddychać. Nożem z kości słoniowej rozciął kopertę i wyjął list.

- Tak... Od Wilkołaków. Chodzi... o okup.

- Czytaj.

- Dobrze: *Do Phillipa Czena, honorowego doradcy Noble House, z uszanowaniem. Piszę, aby poinformować pana, jak zapłacić okup. 500 000*

znaczy dla pana mniej niż chrząknięcie świni w chlewie, ale dla biednych chłopów...

- Bzdura! - syknęła Dianne, złoty naszyjnik błyszczał w słońcu. - Gdyby chłopci porwali biednego Johna, nie okaleczyliby go tak. Cholerne triady!

Czytaj dalej, Phillip.

- ...dla biednych chłopów to będzie wiano dla naszych zgłodniałych wnuków. To, że już się pan kontaktował z policją, znaczy dla nas tyle, co siki w oceanie. Tylko teraz ma się pan z nimi nie porozumiewać. Ma pan zachować wszystko w tajemnicy, bo narazi pan syna i on nie wróci, i to będzie wszystko pana wina. Wszędzie mamy oczy. Jak nas pan zdradzi, to stanie się jeszcze coś gorszego i to też będzie pana wina. Zadzwoń o szóstej wieczorem. Niech pan nie mówi nikomu, nawet żonie. A teraz...

- Cholerne triady! Chcą, psubraty, poróżnić męża i żonę - przerwała rozgniewana Dianne.

- *A teraz niech pan przygotuje pieniądze w używanych banknotach po sto dolarów...* - Phillip Czen spojrział na zegarek. - Niewiele czasu, żeby jechać do banku. Będę musiał...

- Czytaj do końca!

- Dobrze, cierpliwości, moja droga - przemawiał do niej łagodnie, chciał

się trochę uspokoić. Czuł, że za chwilę może mu się łamać głos. - Gdzie ja skończyłem? Aha... *banknotach po sto dolarów. Jeśli wykona pan moje polecenia, syn wróci do pana w nocy...* Boże, mam nadzieję. *Niech pan nie wzywa policji, ani nie przygotowuje zasadzki. Oczy mamy otwarte nawet teraz.* Popisane: Wilkołak. - Zdjął okulary. Oczy miał przekrwione i zmę-

zione. Na czole pojawiły się krople potu. - „Oczy mamy otwarte nawet teraz”? Czyżby jedna ze służących... A może opłacają szofera?

- Nie, z całą pewnością nie. Wszyscy pracują dla nas od wielu lat.

Otarł pot. Czuł się strasznie i chciał, żeby John już bezpiecznie wrócił do domu i żeby on mógł go udusić.

- To jeszcze nic nie znaczy. Lepiej zadzwonię na policję.

- Ani się waż! Zastanówmy się najpierw, co robić. Jedź do banku i wy płać dwieście tysięcy. Jak weźmiesz tyle, do tyłu będziesz musiał się wytar gować. Jeśli wypłacisz więcej, może cię podkusić, żeby dać im więcej.

454

- Tak... Bardzo rozsądnie. Gdybyśmy doszli... - Zawahał się. - A co z tai-panem? Może powinienem mu powiedzieć o wszystkim? Mógłby nam pomóc.

- Ciekawe jak. Rozmawiamy z cholernymi triadami, a nie z obcymi diabłami. Sami musimy sobie pomóc. - Zaczęły go nużyć jej badawcze spojrzenia. - A teraz powiedz mi lepiej, co cię tak rozzłościło po przyjęciu u tai-pana? Dlaczego biegales jak kot z pęcherzem?

- Problemy w interesach - odparł.

- Jakie? Ile kupiles akcji Struanów? Pamiętasz, co mówił tai-pan o nadchodzącym boomie? Pamiętasz przepowiednie Starego Ślepego Tunga?

- Pamiętam, pamiętam, oczywiście, że pamiętam. Podwoilem nasze udziały i wydałem odpowiednie polecenia brokerom.

Dianne natychmiast pomyślała o ogromnych zyskach. Także o swoim osobistym, ponieważ wszystkie swoje prywatne pieniądze zamieniła na akcje Struanów. Niemniej nic nie dała po sobie poznać.

- A ile płaciłeś?

- Dwadzieścia osiem dziewięćdziesiąt.

- Ech ty, dzisiaj na otwarcie stały o dziesięć centów mniej - powiedziała z wyrzutem. Złościła się, że zapłacił pięć centów mniej niż ona. - Trzeba było od rana iść na giełdę, a nie wylegiwać się w łóżku. Prześpisz całe życie.

- Wiesz, że źle się czułem, moja droga.

- Zaczęło się już przedwczoraj. Co cię tak niewiarygodnie rozgniewało?

Heya?

-Nic. - Wstał w nadziei, że się jej wymknie. -Nic takiego...

- Siadaj! Nic? Bez powodu więc krzyczałeś na swoją żonę przed służącymi? Bez powodu zamknąłeś mnie w pokoju jadalnym jak zwykłą dziwkę? *Heya?* - Zaczęła podnosić głos, bo zdawała sobie sprawę, że nadszedł

idealny moment, aby sobie na to pozwolić. Byli w domu sami, on wydawał

się bezbronny, więc chciała wykorzystać swą przewagę. - Myślisz, że bez karnie można obrażać żonę? Mnie, dzięki której przeżyłeś najpiękniejsze lata w życiu? Mnie, która pilnowała cię i broniła jak niewolnica? Mnie, Dianne Mei-wei T' Czung, w której żyłach płynie krew Dirka Struana? Mnie, która przyszła do ciebie jako dziewczyna, wnosząc w posagu posiadłości w Wanczai, North Point i nawet na Lan Tao plus wszystkie akcje? Mnie, z najlepszych szkół w Anglii? Mnie, która nigdy nie gderała na twoje wyoki i nie wypominała dziewczyny z dancingu, którą wysłałeś do szkoły w Ameryce?

-Co?

- Wiem i o niej, i o wszystkich innych. I o twoich upodobaniach. I o tym, że mnie nigdy nie kochałeś, tylko potrzebowałeś moich posiadłości, a także odpowiedniej ozdoby twojego marnego życia...

455

Phillip chciał zatkać uszy, ale nie mógł. Serce waliło mu jak młot. Nienawidził awantur i nienawidził jej krzyku, który przyprawiał go o ból brzucha, klucie w uszach i rozmiękczenie mózgu. Próbował jej przerwać, ale przekrzykiwała go, wywlekając coraz to nowe sprawy, o których nie miał

pojęcia, że ona wie.

- Albo ten klub...

- Jaki klub?

- Chiński prywatny klub o nazwie „Siedemdziesiąt Cztery” dla czterdziestu trzech członków z mistrzem kuchni z Szanghaju, nastoletnimi hostessami, sypialniami i saunami dla sprośnych staruszków, którym nie staje Pałka Bez Pary! No co?

- To nie tak, jak myślisz - bełkotał, nie pojmując, jakim cudem się dowiedziała i o tym. - To tylko...

- Nie kłam! Wyłożyłeś ponad osiemdziesiąt siedem tysięcy dobrych zielonych dolarów na Szitii T' Czunga i te dwie przyjaciółeczki. Do dzisiaj płacisz cztery tysiące czesnego miesięcznie. W zamian

za co? Lepiej. . A dokąd to?

Posłusznie usiadł z powrotem. -*Ja...* Ja

muszę do łazienki.

- Dobrze sobie! Kiedy tylko dyskutujemy, ty musisz do łazienki, co?

Wstydzisz się teraz tego, jak mnie traktujesz, co? Dręczy cię sumienie! -

Potem, widząc, że Phillip jest o włos od wybuchu, zmieniła ton na łagodny.- Biedny Phillip. Biedaczysko. Dlaczego się tak gniewałeś? Kto cię skrzywdził?

Powiedział jej więc i od razu poczuł się lepiej, a gniew, strach i złość zaczęły ustępować. Kobiety są przebiegłe i znają się na tych rzeczach, myślał.

Opowiedział o otwarciu depozytu Johna w banku, o listach do Linca Bartletta, o podrobionym kluczyku do swojego sejfu w sypialni.

- Wszystkie listy przyniosłem do domu - mówił, prawie zalewając się łzami. -

Sana gorze. Możesz sama je przeczytać. Mój własny syn zdradził nas!

- Mój Boże, Phillip, gdyby dowiedział się o tym tai-pan i Ojciec Czen-czen...

Tai-pan zrujnowałby nas!

- Tak, wiem o tym. Dlatego byłem taki poruszony! Zgodnie z legacją Dirka ma do tego pełne prawo. Już byłoby po nas. Ale to, niestety, jeszcze nie wszystko.

John wiedział o tajnym schowku w ogrodzie...

- Co takiego?

- Tak, tak. Wykopał skrzynkę. - Opowiedział jej o monecie.

- *Aiii ia* - Patrzyła na niego poruszona do głębi. Częściowo przepełniała ją obawa, zgroza, a częściowo podniecenie. Przecież w takiej sytuacji, nawet jeśli John powróci, Phillip go zniszczy. A z tego wynika, że w przy-456

szłości honorowym doradcą Noble House zostanie Syn Numer Jeden Ke-vin!

Jednak na jej ożywienie padł cień strachu.

- ...jeśli Dom Czenów jeszcze w ogóle będzie istniał.

- Co? Co mówisz?

- Nic. Poczekaj chwilę, daj mi czas na zastanowienie. Och, co za zepsuty chłopak! Jak on mógł nam to zrobić? Nam, którzy dbamy o niego całe życie! Idź

lepiej do banku. Wypłać na wszelki wypadek trzysta tysięcy. Musimy za wszelką cenę odzyskać Johna. Myślisz, że miał monetę ze sobą czy schował ją w jakiejś skrytce depozytowej?

- Pewnie jest w skrytce albo schowana w mieszkaniu w Sinclair Towers.

- Nie możemy tam szukać w jej obecności, nie? Przecież to jego żona. Jeśliby się dowiedziała, że czegoś szukamy.. - Słowa nie mogły jej przejść przez gardło. -

Phillip, czy to znaczy, że ktokolwiek pokaże monetę, dostanie wszystko, czego zażąda?

-Tak.

- lili, co za moc.

-Tak.

Znowu mogła trzeźwo myśleć.

- Phillip - odezwała się, panując nad sobą. - Musimy zwracać się po pomoc, gdzie się tylko da. Zadzwoń do kuzyna Wu Cztery Palce... - Spojrzał na nią zdziwiony i uśmiechnął się. - Poproś, żeby przysłał ci kilku tych swoich goryli, żeby cię ochraniałi, jak pójdziesz płacić Wilkołakowi okup. Tylko pod żadnym pozorem nie mów mu o monecie. Zapłać za Johna, ile zażąda. To tyle. Musimy odzyskać go za wszelką cenę.

- Tak - poparł ją, zadowolony. - Wu Cztery Palce akurat jest nam winien jedną czy dwie przysługi. Wiem, gdzie go można dziś po południu zastać.

- Dobrze. Ty idź do banku, ale zostaw kluczyk do sejfu, ja odwołam wizytę u fryzjera i od razu przejrzę te dokumenty Johna.

- W porządku. - Ruszył w stronę schodów. - Klucz jest na górze - skłamał, bo nie chciał, żeby myszkowała po sejfie. Miał w nim kilka rzeczy, o których wołał, żeby nie wiedziała. Na wszelki wypadek, pomyślał, schowam je gdzie indziej.

Euforia już go opuściła i powrócił przygnębiający niepokój. O mój biedny synu, mówił w duchu niemal ze łzami, co cię opętało? Byłem dla ciebie dobrym ojcem, zawsze będziesz moim spadkobiercą, kochałem cię tak samo jak twoją matkę.

Biedna Jennifer, umarła, wydawszy na świat mojego pierworodnego syna. O

bogowie, sprawcie, żeby mój syn wrócił bezpiecznie, i chrońcie nas wszystkich przed szaleństwem, a wystawię wam nową świątynię!

Sejf znajdował się za łóżkiem. Phillip odsunął je, otworzył sejf i wyjął

dokumenty Johna, a potem swoje akta prawne, listy i weksle i schował je do kieszeni marynarki. Zaraz pośpiesznie zszedł na dół.

457

- Oto listy Johna - wręczył je Dianne. - Zaoszczędziłem ci odsuwania łóżka.

Zauważyła, że ma wypchaną kieszeń marynarki, ale przemilczała to.

- Wrócę punktualnie o wpół do szóstej.

- Dobrze. Jedź ostrożnie - powiedziała odruchowo. Wszystkie myśli koncentrowała na jednym celu: jak zdobyć monetę dla siebie i Kevina.

Zadzwonił telefon. Phillip zatrzymał się przy drzwiach wejściowych, a Dianne odebrała.

- *WeiiP.* - W jej oczach pojawił się błysk. - O, cześć, tai-pan, co słychać? -

Phillip Czen zbladł.

- Dziękuję, dobrze - powiedział Dunross. - Jest Phillip?

- Tak, chwileczkę. - Wydawało jej się, że słyszy w głosie Dunrossa jakieś napięcie, i przestraszyła się. - Do ciebie, Phillip - powiedziała, starając się zachować spokojny ton. - Tai-pan. - Przyciągnęła do siebie męża tak, aby mogła przyłożyć ucho do słuchawki.

-Tak?

- Cześć, Phillip. Co planujesz na popołudnie?

- Nic szczególnego. Właśnie wychodziłem do banku, a co?

- Podskocz po drodze na giełdę. Akcje szaleją. Szturm na Ho-Pak trwa w całej kolonii, a ceny akcji spadają mimo zapewnień Richarda o wsparciu. Krach może nastąpić w każdej chwili. W wielu innych bankach wzrosły wypłaty.

Słyszałem, że w Czing Prosperity, a nawet w Victorii... - Phillip i jego żona patrzyli na siebie przerażeni. - Podobno Victoria miała problemy w Aberdeen i w centrum. Wszystkie akcje spadają, wszystkie „niebieskie żetony”: „Victoria and Albert”, Kowloon Investments, Hong Kong Power, Rothwell-Gornt, Asian Properties, H.K.L.F., Zong Securities, Solo-mon Textiles, my... wszystkie.

- O ile spadliśmy my?

- Od rana? O trzy punkty.

Phillip Czen otworzył ze zdziwienia usta i prawie upuścił słuchawkę. -Co?!

- Tak - oświadczył spokojnie Dunross. - Ktoś zaczął rozpowszechniać o nas plotki. Cała giełda mówi o tym, że mamy kłopoty, że nie możemy spłacić Toda Shipping i Orlin. Chyba już stawiają na naszą krótką sprzedaż.

458

31

14:45

Gornt siedział obok swojego maklera na giełdzie i z upodobaniem wpatrywał się w tablicę ofert. W ogromnej sali panowała wysoka temperatura i wilgotność. Słychać było terkot telefonów i podniesione głosy spoconych maklerów, chińskich urzędników i graczy. Zwykle sesja toczyła się spokojnie i powoli. Tego dnia było inaczej, wszyscy byli spięci, maksymalnie skoncentrowani i niespokojni. Wielu pozdejmowało marynarki.

Akcje Gornta również spadły o jeden punkt, ale on się tym zupełnie nie przejmował. Akcje Struanów spadły już o trzy i pół punktu, a Ho-Pak osiągnęły minimalne ceny i ciągle niżkowały. Już się zaczęło, myślał Gornt, Struanowie chylą się ku upadkowi. W godzinę po spotkaniu z Bartlettem na szwajcarskie konto Gornta wpłynęły dwa miliony. Plotki rozbudziło siedem telefonów. Wcześniejszy telefon do Japonii potwierdził wysokość zobowią-

zań Struanów. Tak, myślał, to początek ataku.

Zwrócił uwagę na tablicę wyników, gdzie wciąż przybywało sprzedających Ho-Pak, a nie zgłosił się ani jeden kupujący.

Od chwili gdy zaczął stawiać na krótką sprzedaż w poniedziałek tuż przed zamknięciem giełdy, na długo przed rozpoczęciem szturm na Ho-Pak, zarobił miliony. W poniedziałek sprzedawał akcje po 28,60, a teraz, mimo re-akcji Richarda Kwanga, spadły do 24,30.

Poniżej ceny nawet sprzed jedenastu lat przy otwarciu banku.

4,30 razy 500 000 daje 2 150 000, myślał z radością Gornt, wszystko w uczciwych hongkongijskich dolarach, oczywiście, gdybym odkupywał teraz.

Nieźle, jak na dwadzieścia cztery godziny pracy. Ale ja jeszcze nie odkupuję, o nie. Na giełdzie z pewnością nastąpi krach. Jeśli nie dzisiaj, to jutro albo we czwartek. Albo w piątek, poniedziałek, a może jeszcze póź-

niej, ponieważ żaden bank na świecie nie wytrzyma takiego naporu. Odkupię akcje dopiero wtedy za kilka centów i zarobię dziesięć milionów.

- Sprzedaj dwieście tysięcy - polecił, zaczynając jawnie stawiać na krótką sprzedaż. Pozostałe transakcje prowadził przez pośredników.

- Ależ panie Gornt - mówił jego makler. - Ho-Pak ma na wyrównanie cen akcji prawie pięć milionów. To wystarczy, żeby ustabilizować rynek.

- Tak - odrzekł jowialnie.

- Będziemy trzymać pożyczone akcje mnóstwo czasu.

- Dobrze.

Właśnie makler zbierał się do odejścia, gdy zadzwonił telefon.

- Tak? O, witaj, Dzienny Czangu - przywitał go płynnie po kantońsku.

Co mogę dla ciebie zrobić?

459

- Uratować moje pieniądze, Szlachetny Panie. Po ile są w tej chwili akcje Noble House?

- Dwadzieścia pięć trzydzieści.

Rozległ się pomruk niezadowolenia.

- Ooo, widać źle prowadzą interesy! Proszę sprzedać! Proszę natychmiast sprzedać wszystkie akcje Noble House i podległych kompanii, Good Luck Properties, Golden Ferry... A po ile są sprzedawane akcje Drugiej Wielkiej Kompanii?

- Dwadzieścia trzy trzydzieści.

- *Aiii ia*, spadek od rana o jeden punkt? Wszyscy bogowie zsyłają nam zły *dżos*. Sprzedaj. Wszystko i natychmiast.

- Ależ Dzienny Czangu, giełda...

- Natychmiast! Nie słyszałeś pogłosek? Noble House upada! *liii*, sprzedawaj i nie trać czasu! Jeszcze chwilkę, moja przyjaciółka Fung też chce porozmawiać.

- Trzecia Toaletowa Fung?

- To samo co Dzienny Czang, Szlachetny Panie! Sprzedaj akcje, zanim zostaną zrujnowana. Sprzedaj i zadzwoń z informacją po ile. Ooo, pośpiesz się.

Odłożył słuchawkę. Był to piąty telefon od ogarniętych paniką klientów. Wcale mu się taka sytuacja nie podobała. Co za niemądre postępowanie, myślał, sprawdzając księgę. Dzienny Czang i Trzecia Toaletowa Fung mieli zainwestowane w różnych akcjach ponad czterdzieści tysięcy dolarów. Jeśli teraz sprzeda akcje, oni wyjdą do przodu, jednak z powodu spadku Stru-anów ich zysk zostanie poważnie uszczuplony.

Joseph Stern był szefem działającej od ponad pięćdziesięciu lat w Hongkongu firmy „Stern and Jones”. Po wojnie zamienili się w dom maklerski, a przedtem pożyczali pieniądze na procent, handlowali obcą walutą. Był niski, spod resztek czarnych włosów przeświecała łysina. Dobiegał sześćdziesiątki, wielu ludzi uważało, że płynie w nim jakaś cząstka chińskiej krwi.

Podszedł do tablicy i zatrzymał się przy ofertach Golden Ferry. Dopisał do kolumny udziały Czanga i Fung.

- Skupuję po trzydziści centów poniżej ceny z listy - powiedział broker.
- Przecież nie ma wyprzedaży Golden Ferry - odparł ostro Stern.
- Nie, ale należy do Struanów. Sprzedajesz czy nie?
- Przecież wiesz, że w tym kwartale wzrósł zysk Golden Ferry.
- Ale tylko trochę! Boże, ale tu gorąco, nie? Powinni założyć jakąś wentylację.

A więc sprzedajesz czy nie?

- Dwadzieścia centów poniżej ceny giełdowej? - zaproponował.
- Trzydziści, to ostatnie słowo. Czym ty się zajmujesz, ty i tak masz z tego zysk. Może być trzydziści?

460

-Niech będzie. - Stern szedł dalej wzdłuż tablicy, większość akcji sprzedawał bez problemu, choć za każdym razem musiał przystawać na cenę kupującego. Z trudem pożyczyl akcje Ho-Pak. Podszedł do listy ofert banku, w większości wpisane były niewielkie sumy. On wpisał na dole dwieście tysięcy.

Po sali przeszła fala szmerów. Nie zwracał na nie uwagi, spojrział tylko na Forsytha - maklera Richarda Kwanga. Jedyne kupca akcji Ho-Pak.

- Quillan chce załatwić Ho-Pak? - zauważył ironicznie Forsyth.
- I tak już po nim. Chcesz kupić akcje?
- - Ani mi się śni! Stawiasz też na krótką sprzedaż Struanów? -Nie.
- Boże, wcale mi się to nie podoba.

- Spokojnie, Harry - uspokajał ktoś. - Wkrótce giełda się ożywi. Wszyscy na to liczą.

-I nadejdzie wielki dzień, co? - odezwał się inny makler. - Chyba dzień krachu. Ja sprzedałem wszystkie swoje akcje dzisiaj rano. Będzie krach?

- Nie wiem.

- Szok z tymi Struanami, nie?

- Wierzysz w plotki?

- Nie, oczywiście, że nie, ale wiesz, że wystarczy jedno słowo, żeby zasiać panikę.

- Ja w to nie wierzę.

- Od rana Struanowie spadli o trzy i pół punktu, staruszk, bo wielu ludzi wierzy - dorzucił inny. - Ja rano sprzedałem wszystkie akcje Struanów.

Myślicie, że Richard przetrzyma szturm?

- Wszystko w rękach... - Joseph Stern chciał powiedzieć Boga, jednak zdawał sobie sprawę, że przyszłość Richarda Kwanga leży w rękach depozytorów, a oni już podjęli decyzję. - *Dżos* - dodał smutno.

- Tak. Dzięki Bogu my pobieramy swój procent tak czy siak. Całe szczęście.

- Całe szczęście - powtórzył Stern. Osobiście darzył niechęcią zarozumiałców mówiących po angielsku z akcentem z wyższych sfer nabytym w ekskluzywnych szkołach, do których on jako Żyd nigdy nie miał wstępu.

Zauważył, że Forsyth odkłada słuchawkę i spogląda na tablicę, a potem kiwa do niego. Obserwując go uważnie, przeszedł przez salę.

- Kupujesz?

- Owszem, Joseph - potwierdził spokojnie Forsyth. - A tak między nami, czy Quillan nie mógłby się od nas odwalić? Mam powody, aby sądzić, że zmówił się z tym cholernym Southerbym.

- Oficjalnie wiadomo?

-Nie, coś ty, to moja prywatna opinia. Nie czytałeś artykułów Haply'ego?

Że jakiś tai-pan do spółki z dużym bankiem rozpuszczają plotki? Sam wiesz, 461

jaki Richard jest silny... jak Rothschildowie! Wiesz, że ma w rezerwie ponad miliard...

- Ja, staruszk, widziałem już krach w dwudziestym dziewiątym. Były trylionowe rezerwy, a i tak wszystko padło. Tu chodzi o pieniądze, kredyty i płynność. Oraz zaufanie. Przyjmujesz naszą ofertę czy nie?

- Możliwe, że tak.

- Jak długo uda wam się podtrzymać akcje?

Forsyth zastanowił się.

- Całą wieczność. Ja jestem tylko maklerem, realizuję zlecenia. Kupuję, sprzedaję i pobieram swoje ćwierć procent.

- Jeśli klient zapłaci.

- Musi. Mamy jego akcje, nie? Idź do diabła ze swoimi czarnymi myślami.

Stern roześmiał się.

- Jestem Brytyjczykiem i pójdę do nieba. Nie wiedziałeś? - Zbliżył się do biurka Forsytha.

- Sądzę, że będzie chciał odkupić przed zamknięciem.

Do trzeciej brakowało piętnastu minut.

- No dobrze - powiedział Gornt. - Teraz, proszę... - urwał. Obydwaj obejrzeni się za siebie, gdy po sali przeszedł szmer. Dunross w towarzystwie Casey i Linca Bartletta podeszli do biurka Alana Holdbrooka - „nadwornego” maklera Struanów.

- Myślałem, że poczeka do następnego dnia - szepnął Gornt.

- Tai-pan nie ucieka przed kłopotami. To nie leży w jego naturze. - Stern patrzył

w zamyśleniu na przybyłą grupkę. - Wyglądają na zaprzyjaźnionych. Może jednak plotki nie są prawdziwe i Ian podpisze umowę z Par-Con.

- Nie podpisze. Ta transakcja już przepadła - mówił Gornt. - Bartlett nie jest idiotą. Nie będzie się wiązał z upadającym imperium.

- Jeszcze kilka godzin temu nic nie wiedziałem o kłopotach Struanów z Orlin ani o nagłych płatnościach dla Toda Shipping. Ani nawet tej plotki o tym, że Victoria nie wesprze Noble House. Bzdury. Dzwoniłem dzisiaj do Havergilla i tak właśnie się wyraził.

- Mówił coś jeszcze?

- Dziwne - odezwał się po chwili Stern - że wszystkie te informacje akurat dzisiaj wychodzą na jaw.

- Świetnie. Sprzedaj dwieście tysięcy Struanów. Stern wytrzeszczył oczy i uniósł brwi.

- Panie Gornt, nie sądzi pan...

- Nie. Proszę zrobić, co mówię.

- Uważam, że tym razem pan się myli. Tai-pan jest za sprytny. Jeśli będzie potrzebował, zdobędzie wsparcie. Pan straci pieniądze.

462

- Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają. Skoro Struanowie się przeliczyli i nie mogą spłacić... Cóż, mój drogi, jesteśmy w Hongkongu i mam nadzieję, że dostanie za swoje. Powiedzmy... trzysta tysięcy.

- Po ile?

- Po cenie rynkowej.

- Trochę czasu zajmie pozyczenie akcji. Będę musiał sprzedać o wiele mniej...

- Sugerujesz, że ja nie mam kredytu zaufania albo że tobie brakuje umiejętności do przeprowadzania zwykłych transakcji giełdowych?

- Nie, oczywiście, że nie. - Nie chciał tracić swojego największego klienta.

- To dobrze. Postaw na krótką sprzedaż Struanów. Od razu.

Gornt patrzył, jak makler odchodzi. Cały drżał z radości i podniecenia.

Stern poszedł do Sir Luisa Basilia ze starej firmy maklerskiej „Basilio i Synowie”. Pożyczył akcje Struanów i podszedł do tablicy. W kolumnie z ofertami sprzedaży zaczął wpisywać swoją propozycję. Głośno skrzypnęła kreda.

Stopniowo na sali zapanowała cisza. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę Dunrossa, Holdbrooka i Amerykanów, potem na Gornta i z powrotem spoczęły na Dunrossie. Gornt zobaczył obserwujących go Linca i Casey, cieszył się, że ją widzi. Ubrana była w żółtą jedwabną spódnicę i bluzkę w kalifornijskim stylu, na złotych włosach miała zieloną wstążkę. Dlaczego ona jest taka pociągająca? -

zastanawiał się mimowolnie Gornt. Otacza ją dziwna aura, sprawiająca, że mężczyzna czuje się zaproszony do umizgów. Dlaczego? Czyżby dlatego, że jeszcze żaden mężczyzna jej nie usatysfakcjonował?

Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała tym samym, choć zauważył na jej twarzy jakiś cień. Dunross odpowiedział grzecznym uśmiechem na uśmiech Gornta. Na moment skrzyżowali wzrok.

Cisza trwała nadal. Ktoś nerwowo zakasłał. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niezwykłości propozycji i wszelkich jej konsekwencji.

Stern dokończył zapis na tablicy. Holdbrook nachylił się do przodu i szepnął coś do Dunrossa. Ten wzruszył ramionami i pokręcił głową, a potem zaczął po cichu rozmawiać z Bartlettem i Casey.

Joseph Stern czekał. W jednej chwili ktoś zaproponował kupno pewnej części. Wkrótce 50 000 akcji zmieniło właściciela, a cena giełdowa spadła do 24,90. Stern zmienił 300 000 na 250 000 i znów czekał. Sprzedał jeszcze trochę, ale ponieważ na resztę brakowało nabywców, wrócił na swoje miejsce. Cały się spocił.

- Jeśli taka sytuacja zostanie na noc, nie będzie to korzystne dla Struanów.

- Tak. - Gornt wciąż przyglądał się Casey. Ona z uwagą słuchała Dun rossa. Gornt usiadł i chwilę się zastanawiał. - Sprzedaj jeszcze sto tysięcy Ho-Pak. I dwieście tysięcy Struanów.

463

- Na Boga, panie Gornt. Jeśli upadną Struanowie, upadnie cała giełda. Nawet pana kompania będzie stratna.

- Tak, szykują się zmiany...

- Będzie jatka. Jak spadną Struanowie, to samo stanie się z innymi kompaniami, tysiące inwestorów straci pieniądze i...

- Panie Stern, ja naprawdę nie potrzebuję wykładu o ekonomii Hongkongu -

rzekł chłodno Gornt. - Jeśli nie chce pan wykonywać moich instrukcji, zwróć się do kogoś innego.

Stern poczerwieniał.

- Ja... Ja muszę najpierw zebrać takie sumy. Te liczby... Tyle...

- Radzę się pośpieszyć! Chcę, żeby oferta została złożona jeszcze dzisiaj.

Bezczelny, pomyślał Gornt, patrząc za odchodzącym Sternem. Maklerzy to pasożyty. Wszyscy co do jednego. Sam czuł się bezpiecznie. Miał na koncie pieniądze od Bartletta. Mógł nawet teraz odkupić Ho-Pak i Struanów i byłby miliony do przodu. Z zadowoleniem spojrzał na Casey. Patrzyła na niego. Nie potrafił nic wyczytać z wyrazu jej twarzy.

Joseph Stern krążył pomiędzy maklerami. Znów zatrzymał się przy biurku Basilia. Sir Luis podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Joseph, chcesz pożyczyć akcje Noble House?

- Tak, bardzo proszę.

- Dla Quillana? - zapytał Sir Luis. Był niskim, eleganckim starszym panem. W obecnym roku pełnił funkcję przewodniczącego komitetu zarządzającego giełdą.

-Tak.

- Usiądź, przyjacielu, porozmawiamy. Ile tym razem?

- Dwieście tysięcy.

Sir Luis zmarszczył brwi.

- Na tablicy już jest trzysta tysięcy i chcesz jeszcze dwieście? Czy to atak?

- On... On nic nie mówił, ale chyba tak.

- Szkoda, że ci dwaj nie mogą zawrzeć ze sobą pokoju.

- O tak!

Starszy pan myślał chwilę, a potem powiedział ściszym głosem:

- Zastanawiam się nad zawieszeniem obrotów akcjami Ho-Pak, a od lunchu także Struanów. Bardzo się martwię. Krach Ho-Pak i dodatkowo Noble House mógłby załamać cały rynek. O Madonna, upadek Noble House pociągnąłby za sobą upadek setek innych przedsiębiorstw, a być może i całego Hongkongu!

- W Noble House powinna nastąpić gruntowna restrukturyzacja. Mogę więc pożyczyć tych dwieście tysięcy akcji?

464

-Najpierw odpowiedz mi jednym słowem, tak lub nie. Powinniśmy zawiesić Ho-Pak? Powinniśmy zawiesić Struanów? Radziłem się już wszystkich członków komitetu oprócz ciebie. Zdania są podzielone.

-Nikogo nie powinno się zawieszać. Jesteśmy wolnym społeczeństwem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Trzeba pozwolić wszystkim swobodnie działać, i Struanom, i Gorntowi, i wszystkim innym. Niech się wspinają na szczyty i spadają na dno... - Stern pokręcił głową. - Tak, Luis, łatwo mi mówić, bo nie jestem wielkim inwestorem.

- Gdzie lokujesz swoje pieniądze?

- W diamentach. Wszyscy Żydzi dążą do tego, by mieć bogactwo, które łatwo ukryć i z którym łatwo uciec, i które łatwo wymienić na pieniądze.

- Przecież ty, Joseph, niczego się tu nie musisz obawiać. Od ilu już lat twoja rodzina tutaj mieszka i prosperuje? Spójrz na Salomona, on i jego rodzina chyba są najbogatsi w całej Azji.

- Strach i wymierzona w Żydów nienawiść to dla nas nieodłączne składniki życia.

Starszy pan westchnął.

- Ach, ten świat, ten wspaniały świat, jaki mógłby być piękny! - Za dzwonił telefon. Luis delikatnie podniósł słuchawkę swoją wypielęgnowaną drobną ręką i zaczął rozmowę. Sternowi podobało się łagodne brzmienie i melodyjność języka portugalskiego, choć nie rozumiał z niego ani słowa.

Wychwycił jedynie często powtarzający się zwrot „Señor Mata”, lecz to nazwisko nic mu nie mówiło. Po jakimś czasie Sir Luis odłożył słuchawkę.

- Zaraz po lunchu dzwonił bardzo zakłopotany minister finansów. Mamy u siebie delegację parlamentarną i upadek banku mógłby nam zaszkodzić -

rzekł. Uśmiechnął się. - Zaproponowałem, żeby wprowadzić rozporządzenie o częściowym zarządzie gubernatora nad bankiem. - A więc, Joseph, jesteś za tym, żeby zostawić wszystko tak, jak jest, czy za tym, żeby zawieść obrót tymi akcjami? Jeśli tak, to kiedy?

Stern spojrział na zegar. Gdyby teraz podszedł do tablicy, miałby dość czasu, aby zapisać obie oferty sprzedaży i rzucić wyzwanie Forsythowi. Podobało mu się uczucie trzymania w swoich rękach losów dwóch wielkich kompanii. Nawet chwilowo.

- Może byłoby dobrze, a może nie. Jakie są proporcje głosów?

- Już mówiłem, zdania są podzielone prawie po połowie. - Po sali przeszedł

kolejny pełen napięcia szmer i obydwaj odwrócili się. Kilka kolejnych akcji Struanów zmieniło właściciela. Cena spadła do 24,70. Phillip Czen podszedł do biurka Holdbrooka.

- Biedny Phillip. Nie najlepiej wygląda - powiedział ze współczuciem Luis Basilio.

465

- Tak. Szkoda Johna. Lubiłem go. Co z tymi Wilkołakami? Myślisz, że to manipulacje prasy?

- Nie wiem. - Stary makler zmrużył oczy. - Nie większe niż twoje, Joseph.

- Słucham?

- Postanowiłeś przeczekać i zdecydowałeś się odłożyć wszystko na jutro, O to ci chodzi, prawda?

- A jest jakieś lepsze rozwiązanie?

- Gdybym nie był taki stary, zgodziłbym się z tobą. Ale tak, gdy nie wiem, czy jutro jeszcze ujrzę światło, wolę, żeby dramat rozegrał się dzisiaj. No dobrze.

Tym razem zwalniam cię z głosowania. Komitet znalazł się w sytuacji patowej, więc zgodnie z prawem sam podejmę decyzję. Pożyczam ci akcje Noble House do piątku, do drugiej. Wtedy chcę je mieć z powrotem, ja też muszę o sobie myśleć, nie? - Wpatrywał się w Sterna przenikliwym, wyczekującym wzrokiem. - Co teraz zamierzasz, przyjacielu?

Joseph Stern smutno się uśmiechnął.

- Przecież jestem maklerem.

Podszedł do tablicy i pewną ręką zapisał ofertę sprzedaży Ho-Pak. Gdy podszedł do ofert Struanów, zapadła cisza. Spokojnie, mimo świadomości, że znajduje się w centrum uwagi, wypisał odpowiednie liczby. W ofercie znajdowało się teraz pięćset tysięcy akcji Struanów, więcej niż kiedykolwiek w historii giełdy. Czekał, pragnął, żeby zegar się pośpieszył. Poruszenie wywołał

Pers Surjani, kupując kilka pakietów akcji, ale wiadomo było, że jest pełnomocnikiem Dunrossa. Choć kupił 150 000, oferta Gornta pozostawała i tak ogromna. Cisza kłuła w uszy. Do zamknięcia sesji pozostała jeszcze minuta.

- My kupujemy - przerwał ciszę głos tai-pana.

- Wszystkie? - zapytał Stern ochryłym głosem. Serce mu łomotało.

- Tak. Od ciebie i od innych. Po cenie rynkowej. Gornt zerwał się na równe nogi.

- Za co? - zapytał z drwiną. - To prawie dziewięć milionów w gotówce.

Dunross także wstał. Z jego ust nie zniknął lekki uśmiezek.

- Noble House stać na to. I na wiele więcej. Ktoś w to wątpi?

- Ja! Jutro też stawiam na krótką sprzedaż.

W tej chwili rozległ się dźwięk dzwonka i rozładował napięcie. Posypały się spontaniczne komentarze.

- Boże, co za dzień... -Ach,

ten tai-pan...

- Długo tego nie wytrzyma...

- Czy Gornt go tym razem pokona?...

- Może te plotki to bzdury?...

466

- Ian chyba balansuje na krawędzi...

- Nie zapominaj, że na zapłacenie ma pięć dni...

- Jutro już nie da rady tak wykupić...

- Chryste, jutro! Kto wie, co będzie jutro...

Casey z łomoczącym sercem śledziła rozwój sytuacji. Oderwała wzrok od Gornta i Dunrossa i patrzyła na Bartletta, który pogwizdując bezgłośnie, siedział

wpatrzony w tablicę. Casey zdenerwowana wierciła się na krześle.

Przed spotkaniem z Dunrossem Linc Bartlett opowiedział jej o swoim planie, o telefonie do Gornta i o spotkaniu.

- Nareszcie już wszystko wiesz - powiedział z łagodnym uśmiechem. -

Oni teraz będą ze sobą walczyć, na naszych oczach i za naszą sprawę. Za jedyne dwa miliony. Zaczną sobie skakać do gardeł gotowi się pozagryzać.

A my poczekamy. Nasz D Day nadejdzie w poniedziałek. Jeśli wygra Gornt, wygramy my. Jeśli Dunross, także my. Tak czy owak staniemy się Noble House.

32 15:03

Trener Noble House Aleksiej Trawkin szedł w Koulunie zatłoczoną aleją Nathan Road do restauracji „Zielony Smok”. Pod lewą pachą miał mały pistolecik kaliber .38. Jak na człowieka w swoim wieku żwawo stawiał kroki.

W małej, skromnej, niczym się nie wyróżniającej restauracji stało z dziesięć nie nakrytych obrusami stołów. Przy jednym z nich czterech hałaśliwych Chińczyków jadło zupę z kluskami. Gdy wszedł Trawkin, kelner pospieszył do niego z menu, ale koniarz pokręcił głową i ruszył w stronę wejścia do drugiej sali.

W małym pokoiku znajdowały się cztery stoliki. W środku siedział mężczyzna.

- *Zdrastwujtie* - powiedział rozwlekle Suslew. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur.

- *Zdrastwujtie* - odpowiedział Trawkin. Lekko przymknął oczy. - Kim pan jest? - zapytał po rosyjsku.

- Przyjacielem, Wasza Wysokość.

- Proszę mnie tak nie nazywać. Kim pan jest?

- Nadal przyjacielem. Tak jak pan księciem. Przysiadzie się pan? - Suslew wskazał mu uprzejmie krzesło. Na stole stała otwarta butelka wódki i dwa kieliszki. - Pana ojciec, Nikołaj Pietrewicz także był księciem, podobnie jak jego ojciec i tak dalek od wielu pokoleń. Księciem Kurganu.

467

- Mówisz zawile, przyjacielem - powiedział pozornie spokojny Trawkin i usiadł naprzeciw Susłewa. Pistolet pod pachą dodawał mu otuchy. - Po akcencie poznaję, że pochodzisz z Moskwy i z Gruzji.

Suslew roześmiał się.

- Dobrze ma pan ucho, książę. Tak, jestem z Moskwy, ale urodziłem się w Gruzji. Moje nazwisko nic panu nie powie, ale jestem przyjacielem...

- Moim, Rosji czy Sowietów?

-

Wszystkich. Może wódki? - podnosząc butelkę, zapytał Suslew.

Trawkin przyglądał się, jak Suslew napełnia kieliszki, a potem bez wahania podniósł nie swój, lecz ten, który był przeznaczony dla Suslewa.

- Na zdrowie! - wznosił toast.

Suslew podniósł drugi kieliszek, trącili się i wypił do dna, po czym nalał następną kolejkę.

- Na zdrowie!

- Pan do mnie napisał?

- Mam wieści od pana żony.

- Nie mam żony. Czego pan ode mnie chce, przyjacielu? - zapytał takim tonem, który mógł być poczytany za obraźliwy. Zobaczył złość w oczach Suslewa.

- Tym razem, Aleksieju Iwanowiczu, wybaczam panu - rzekł wspania-

łomyślnie Suslew. - Nie ma pan żadnych powodów, żeby mnie obrażać. Czyja panu coś zrobiłem?

-Kim pan jest?

- Pana żona nazywa się Nestorowa, a jej ojcem był książę Anatolij Sier-giejew i posiadał ziemie niedaleko waszych rodowych posiadłości na wschód od Uralu. Był księciem kozackim, prawda?

Trawkin trzymał dłonie nieruchomo, żaden mięsień ani drgnął na jego twarzy, ale nie mógł powstrzymać napływającej mu do głowy krwi. Sięgnął po butelkę i napełnił kieliszki, we flaszcze pozostała jeszcze połowa zawartości. Wypił trunek.

- Dobra wódka, nie jak te szczyzny z Hongkongu. Skąd pan ją ma?

- Z Władywostoku.

- A, byłem tam kiedyś. Brzydkie miasto, ale wódkę mają dobrą. Jak się pan naprawdę nazywa i czego pan chce?

- Dobrze pan zna Iana Dunrossa? Trawkin

był zaskoczony.

- Trenuję jego konie... Trzeci rok, a co?

- Chciałby pan się zobaczyć z księżną Nestorowa?

- Na miłość boską, kimkolwiek pan jest, powtarzam, że nie mam żony.

Pytam po raz ostatni, czego pan ode mnie chce?

Suslew wychylił swój kieliszek.

468

- Aleksieju Iwanowiczu Trawkin - zaczął jeszcze uprzejmiej niż poprzednio - pana księżna ma dzisiaj sześćdziesiąt trzy lata i mieszka w Ja-kucku na...

- Nad Leną? Na Syberii? - Trawkin, czuł, że za chwilę pęknie mu serce. -

W jakim gułagu?

Do sali zajrzał kelner, rozglądnął się, ziewnął i wrócił do swoich zajęć.

- Wcale nie w gułagu, skąd to panu przyszło do głowy? - zachnął się Suslew. - Księżna wyjechała z własnej woli. Mieszka tam od wyjazdu z Kurganu. Jej... - Suslew sięgnął do kieszeni po portfel. - To jej dacha w Jakucku. - Położył na stole fotografię. - Zdaje się, że należała do jej rodziny. - Domek był pokryty śniegiem, otoczony drzewami i dobrze utrzymany płotem, a z komina sączył się swojski dym. Drobną opatuloną postać kiwała dłonią do aparatu. Jednak stała za daleko, żeby widzieć jej twarz.

- To moja żona? - zapytał Trawkin słabym głosem. - Tak.

- Nie wierzę.

Suslew wyjął kolejną fotografię. Portret siwowłosej, mniej więcej sześć-

dziesięcioletniej kobiety. Choć na twarzy odmalowały się życiowe troski, jej rysy zachowały szlachetność i elegancję. Poruszyło go ciepło jej uśmiechu i złamał się.

- Ty... Ty chanie z KGB - wycharczał zachrypłym głosem. Rozpoznał ją. -

Niech was szlag trafi, wy, parszywe zas...

- Dlatego, że ją znaleźliśmy? - zapytał z gniewem Suslew. - Za to, że zostawiliśmy ją w spokoju i nie odesłaliśmy do... w miejsce odpowiednie dla ludzi z waszej klasy? - Nalał sobie kolejny kieliszek

wódki. - Jestem Rosjaninem i szcycę się tym, a ty jesteś emigrantem. Mój ojciec był własnością jednego takiego z twojej klasy! Potem zginął w szesnastym na ba-rykadach. A moja matka... Zanim poumierali, zdychali z głodu. Oni... -

Powstrzymał się z pewnym wysiłkiem. Dalej mówił zupełnie innym tonem: Zgadza się, że obie strony mają sobie wiele do wybaczenia i wiele trzeba puścić w niepamięć. To już przeszłość. Mówię panu, że my, Rosjanie z Rosji radzieckiej, nie jesteśmy bestiami, nie wszyscy. Nie jesteśmy jak ci mordercy, Beria i Stalin... Nie wszyscy. - Wyjął paczkę papierosów. - Zapali pan?

- Nie. Jest pan z KGB czy GRU? - KGB zajmowało się bezpieczeństwem państwa, a GRU wywiadem. Trawkin nie pierwszy raz miał z nimi do czynienia. Dotąd udawało mu się jakoś ich spławić. Teraz jednak wpadł w zasadzkę. Ten człowiek za dużo o nim wiedział. Kim jesteś, łajdaku? I czego ode mnie chcesz? - myślał, obserwując, jak Suslew zapala papierosa.

- Pana żona wie, że pan żyje.

469

- Niemożliwe. Ona już umarła. Została zamordowana, gdy tłum wdarł się do naszego pała... domu w Kurganie, splądrował go i podpalił. Najpiękniejszą i zupełnie nie uzbrojoną rezydencję w promieniu stu mil.

- Masy miały prawo do...

- Napadli na nas nie nasi ludzie, lecz trockiści, którzy potem tysiącami mordowali naszych wieśniaków, dopóki sami nie padli ofiarą własnej broni.

- Może i tak, a może i nie - stwierdził chłodnym tonem Suslew. - Jednak ona uciekała ze starą służącą za panem przez Syberię do Mandżurii. Służąca pochodziła z Austrii, nazywała się Pavchen.

Trawkin prawie nie mógł oddychać.

- Kolejne kłamstwa - usłyszał swój głos. Nie wierzył już w swoje słowa, jej uśmiech zawładnął jego duszą.

- Moja żona nie żyje. Nigdy nie jeździła tak daleko na północ.

- Ale pojechała. Udało jej się wsiąść w pociąg, który tam właśnie jechał. Była późna jesień, zaczynał padać śnieg, więc postanowiła przeczekać zimę w Jakucku.

Była w ciąży... - Suslew wyjął kolejne zdjęcie. - To pana syn z rodziną. Fotografia z zeszłego roku. - Czterdziestoletni, przystojny mężczyzna w rosyjskim mundurze majora lotnictwa uśmiechał się do obiektywu, obejmował ramieniem trzydziestoletnią, ładną kobietę z niemowlakiem na ręku. Obok nich stało jeszcze dwoje rozradowanych dzieci: sześć-, może siedmioletnia dziewczynka bez dwóch przednich zębów i dziesięcioletni, poważny chłopiec. - Pana żona nazwała go Piotr Iwanowicz, po dziadku.

Trawkin nie dotknął zdjęcia. Miał twarz bladą jak kreda. Z daleka wpatrywał się w idylliczną scenkę. Nagle oderwał wzrok od fotografii i wypił zawartość najpierw swojego, a potem Suslewa kieliszka.

- To... to sprytna mistyfikacja - starał się mówić przekonywająco. -Bardzo sprytna.

- Chłopiec nazywa się Aleksiej, dziewczynka Nina po babce, a najmłodsza Wiktorina. Major Iwanowicz jest pilotem bombowca.

Trawkin milczał. Wrócił wzrokiem do portretu pięknej starszej damy i niemal się rozpłakał. Jednak nadal panował nad głosem.

- Czy ona wie, że ja żyję, co? -Wie.

- Od jak dawna?

- Od trzech miesięcy. Powiedział jej jeden z naszych ludzi.

- Jakich naszych?

- Chce pan się z nią zobaczyć?

- Dlaczego od trzech miesięcy, a nie od roku albo trzech?

- Dopiero pół roku temu dowiedzieliśmy się, kim pan jest.

- W jaki sposób?

470

- A myślał pan, że uda się na zawsze zachować anonimowość?

- Gdyby wiedziała, że żyję, napisałaby. Powiedzieliby jej, że ma to zrobić. . -

Trawkin czuł się tak, jakby brał udział w jakimś koszmarze i nie potrafił jasno rozumować.

- Napisała. Za kilka dni dostarczę panu list. Chce pan się z nią zobaczyć?

Trawkin starał się panować nad sobą. Wskazał na rodzinne zdjęcie.

- On... On też o mnie wie?

- Nie. Żadne z nich nie wie. Prosiła o to pana żona. Chciała, żeby był

bezpieczny. Jakbyśmy my mścili się na synach za grzechy ojców! W Jakuc-ku przeczekala dwie zimy. Przez ten czas w Rosji zapanował pokój, więc została.

Chociaż miała skrytą nadzieję, że pan nie zginął. Chłopak dorósł, uwierzył w pana śmierć i nic o

panu nie wie. Przynosi wam obojgu zaszczyt. W szkole był

przewodniczącym, a potem wstąpił na uniwersytet, jak obecnie wszystkie utalentowane dzieci. Wie pan, Aleksieju, że ja jako pierwszy z moich stron dostałem się na uniwersytet? Mimo że pochodziłem z chłopskiej rodziny. Teraz w Rosji jest ucziwiej.

A ile trupów pan po sobie zostawił, zanim pan doszedł do tego, kim pan jest?

- Kilka. Samych kryminalistów i wrogów Rosji.

- Proszę o nich opowiedzieć.

- Innym razem.

- Walczył pan podczas ostatniej wojny? Był pan komisarzem?

- Walczyłem w Siedemnastym Korpusie Pancernym. W Sewastopolu i potem w Berlinie. Byłem dowódcą *czoigu*. Chce pan się spotkać ze swoją żoną?

- Ponad życie. Jeśli ona naprawdę żyje.

- Żyje. Mogę panu to zorganizować.

- Gdzie?

- We Władywostoku.

- Nie, tutaj w Hongkongu.

- To niestety niemożliwe.

- Oczywiście. - Trawkin roześmiał się. - Oczywiście, przyjacielu. Napijmy się.

- Rozlał po połowie resztkę wódki. - Na zdrowie!

Suslew przyglądał mu się. Potem spojrział na portret kobiety i zdjęcie majora z rodziną, podniósł je i zamyślił się. Narastała cisza. Podrapał się po brodzie.

- W porządku - powiedział zdecydowanym tonem. - Tutaj w Hong kongu.

- W zamian za co?

Suslew zgasił papierosa.

471

- Za informacje i współpracę.

- Jakie informacje?

- Chcę wiedzieć wszystko to co pan, o tai-panie i Noble House. O wszystkim, co pan robił w Chinach, kogo pan poznał i z kim się spotykał.

- A współpraca?

- Później panu powiem.

-I za to pan sprowadzi moją żonę do Hongkongu? -Tak.

- Kiedy?

- Na Boże Narodzenie.

- Dlaczego miałbym panu ufać?

- Nie ma takich powodów, ale jeśli będzie pan współpracował, na Boże Narodzenie ona tu przyjedzie. - Trawkin patrzył, jak Suslew bawi się zdję-

ciami, potem spojrzał mu w oczy i poczuł ucisk w żołądku. - W każdym razie musi pan być ze mną szczerzy. Żona czy nie, jako zakładników mamy, księżę, pana syna i wnuki.

Trawkin wychylił kieliszek do dna.

- Teraz wierzę, że jest pan tym, za kogo się podaje. Od czego chce pan zacząć?

- Od tai-pana. Ale najpierw muszę iść na stronę. - Suslew wstał, zapytał

kelnera o drogę i zniknął za kuchennymi drzwiami.

W samotności ogarnęła Trawkina rozpacz. Podniósł zdjęcie i wpatrywał

się w daczę. Oczy zaszyły mu łzami. Otarł je ręką i poczuł pod pachą bezu-

żyteczny teraz pistolet. Całą wewnętrzną siłę skoncentrował na zachowaniu rozsądku i na tym, żeby nie uwierzyć w tę całą historię, ale w głębi serca, gdy tylko zobaczył portret żony, wiedział, że zrobi wszystko, aby się z nią zobaczyć.

Zdawał sobie sprawę, że jest ścigany i przez wiele lat starał się ich unikać.

Był przywódcą białych na swoim terenie wokół Kolei Transsyberyjskiej i zabił wielu czerwonych. Potem miał już dość zabijania i w 1919 wyjechał do Szanghaju. Tam się zadomowił, ale przyszła armia japońska i musiał uciekać.

Przyłączył się do chińskich partyzantów, walczył na południe od Czung-kingu. Potem najmował się do band Anglików, Francuzów, Australijczyków i Chińczyków, aż do bezwarunkowej kapitulacji

Japonii. Wrócił do Szanghaju, ale wkrótce znów musiał uciekać. Ciągłe uciekam, myślał.

Boże drogi, moja kochana. Byłem pewien, że nie żyjesz. Powiedział mi ktoś, kto widział napad na nasz pałac, widział, jak cię otoczył tłum...

A teraz co?

Naprawdę żyjesz?

Trawkin z nienawiścią spojrział w stronę kuchennych drzwi. Wiedział, że już zawsze będą deptać mu po piętach. Jak oni mnie znaleźli?

472

Czekał długo, aż po jakimś czasie poszedł ze strachem szukać Suslewa.

Toaleta była pusta. Wybiegł na ulicę, ale w tłumie nie widział znajomej sylwetki.

Czuł niesmak w ustach, niedobrze mu się robiło od dręczących go obaw.

Czego, na Boga, on chce od tai-pana?

33 17:50

- Cześć, Ian - powiedziała Penelopa. - Wcześniej dzisiaj wróciłeś. Jak minął dzień?

- Dziękuję, dobrze - odparł machinalnie. Pomijając inne problemy, tuż przed wyjściem z biura odebrał telefon od Briana Kwoka, który przekazał mu wiadomość o tym, że Alan Medford został prawdopodobnie zamordowany, i ostrzegł, żeby Ian nie lekceważył środków ostrożności.

- To był jeden z tych dni, tak? - zapytała bez namysłu. - Może się napijesz?

Szampana?

- Świetny pomysł. - Zauważył jej uśmiech i od razu poczuł się lepiej. -

Penn, czytasz w moich myślach. - Odłożył teczkę i poszedł za żoną do saloniku Wielkiego Domu. Szampan, otwarty, już mroził się w kubelku z lodem, obok czekały oszronione kieliszki.

- Na górze jest Kathy. Czyta Glennie o dawnych czasach - powiedziała Penelopa, nalewając szampana. - Właśnie mówiła mi o... o tym stwardnieniu.

- Och. - Wziął od niej kieliszek. - Dziękuję. Jak to zniósł Andrew? Nic mi dzisiaj nie wspominał.

- Powie mu dopiero wieczorem. Szampan dodał jej trochę otuchy. -

Spojrzała na Iana z obawą. - Nic jej nie będzie, prawda?

- Chyba nie. Długo rozmawiałem dzisiaj z doktorem Tooleym. Pocieszał

mnie, dał mi kilka nazwisk najlepszych specjalistów w Anglii i trzech /

Ameryki. Do trzech z Anglii już wysłałem telegram z prośbą o spotkanie, ;i doktor Ferguson wysłał im historię choroby. Jak tam przyjedziecie, już ilotrze.

Napiła się wina. Lekki wietrzyk sprawiał, że dzień był łatwiejszy do

/niesienia. Zbliżała się szóstka. Drzwi do ogrodu były otwarte.

- Myślisz, że powinniśmy pojechać od razu? Kilka dni może coś Zmielili?

- Nie sądzę.

473

- Ale powinniśmy jechać?

- Gdyby tobie się coś takiego **przytrafiło, postawiliśmy tę sprawę na pierwszym planie.**

- Tak. Gdybym ci powiedziała.

- Powiedziałaabyś?

- Chyba tak. Zarezerwowałam bilety na jutro. Liniami BOAC.

Zdziwił się.

- Klaudia nic mi nie mówiła.

Uśmiechnęła się.

- Bo ja sama zarezerwowałam te bilety. Widzisz, jaka jestem zdolna?

Dla siebie, Kathy i Glenny. Historię choroby weźmiemy ze sobą. Kathy chyba powinna jechać bez dzieci. Przy *amah* nic im się nie stanie.

- Tak, tak będzie lepiej. Doktor Tooley powtarzał, że potrzebny jej spokój. To w sumie najważniejsza rzecz: dużo odpoczynku. - Dunross uśmiechnął się. - Dziękuję, Penn.

Patrzyła na kropelki wody osadzającej się po zewnętrznej stronie kubel-

ka z szampanem.

- Straszna choroba, prawda?

- O tak, Penn. A najgorsze, że nieuleczalna. Tooley mówił, że można ją tylko powstrzymać. - Dopił szampana i dołał do kieliszków. - Były do mnie jakieś przesyłki?

- Och, przepraszam. Na stoliku w holu. Był też przed chwilą telefon z Marsylii.

- Od Susanne?

- Nie, od pana Delanda.

- To nasz tamtejszy agent.

- Przykro z powodu młodego Borge'a.

- Tak. - Przeglądał przesyłki. Johnjohn z banku, Holdbrook, Phillip Czen i lakoniczna prośba: „Zadzwoń do Klaudii”. Westchnął. Ledwie pół

godziny temu opuścił biuro i znów ma do niej dzwonić. Ani chwili na pofiglownię, pomyślał z uśmiechem.

Cieszył się, że wykupił ofertę Gornta na giełdzie. W tej chwili nie miał

pieniędzy na spłatę, ale nie przejmował się. Masz na to pięć dni, analizował. Jeśli *dżos* dopisze, na wszystko znajdzie się pokrycie. Ach, ten *dżos*.

Od chwili gdy kilka minut po dziesiątej zadzwonił do niego zaniepokojony plotkami makler i doniósł o zachowaniu giełdy, Dunross zaczął

rozmyślać nad obroną przed nagłym, nieoczekiwanym atakiem. Do spółki z Philli-pem Czenem, Holdbrookiem, Gavallanem i deVille'em skontaktowali się z najważniejszymi posiadaczami ich udziałów i zapewniali, że wszystkie plotki są bzdurami. Radzili nie pożyczać Gorntowi dużej liczby ich akcji, ale pozwolić mu zabiegać to tu, to tam o niewielkie ilości. Kilku wybranych

474

Dunross poinformował, że umowa z Par-Con już została podpisana i wymaga tylko opieczętowania, więc nadarza się doskonała sposobność, żeby pozbyć się Rothwell-Gornt raz na zawsze.

- Jeśli Gornt postawi na krótką sprzedaż, proszę bardzo. My udajemy słabych, ale zdołamy podtrzymać ceny. W piątek damy ogłoszenie o trans akcji, nasze akcje podskoczą i doprowadzimy Gornta do ruiny - powtarzał

wszystkim. - Odzyskamy nasze linie lotnicze i dodatkowo dostaniemy jego statki. Opanujemy przewóz na lądzie, morzu i w powietrzu w całej Azji.

Gdybyśmy naprawdę mogli pozbyć się Gornta, mielibyśmy spokój na wiele pokoleń. A przy sprzyjającym *dżosie* i z pomocą Par-Con dokonali-byśmy tego. Chryste, to straszne ryzyko.

Cały dzień starał się umacniać zaufanie do swoich akcji, ale nie widział, żeby jego działania odnosiły pożądane skutki. Wielu dużych udziałowców krzychało nerwowo, a on ich uspokajał. Największe udziały miał Tung Za-ciśnięta Pięść i Wu Cztery Palce. Do obydwu dzwonił po południu i obydwaj zgodzili się nie pożyczać ani nie sprzedawać akcji przez jakiś tydzień.

Jednak z żadnym nie poszło mu łatwo.

Wreszcie, myślał, udało mi się odeprzeć pierwsze natarcie. Wszystko rozegra się dopiero jutro albo w piątek. Czy Bartlett jest przyjacielem, wrogiem, czy Judaszem?

Czuł, jak narasta w nim gniew, ale powstrzymywał wybuch wściekłości.

Spokojnie, myślał, tylko spokojnie. Dobrze, ale cholernie dziwne, że wszystkie wiadomości, którymi podczas przyjęcia zbombardował moją defensywę Bartlett, w cudowny sposób dostały się na giełdę i narobiły spustoszeń niczym tajfun. Kto szpieguje? Kto przekazał mu te informacje?

Czy ma to jakiś związek z Sevrin? Cóż, na razie to nie ma znaczenia. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Podszedł do telefonu i poprosił o osobistą rozmowę z panem Delandem.

- Susanne już tam jest? - zapytała Penelopa.

- Chyba tak. Jeśli samolot nie miał opóźnienia. W Marsylii jest już koło jedenastej. Szkoda tego Borge'a! Lubiłem go.

- Co zamierza zrobić Avril?

- Wydobrzeje, wróci do domu, odchowa syna, niedługo spotka nowego księcia z bajki, a jej syn zacznie pracować dla Struanów. Tymczasem musimy jej zapewnić opiekę.

- Wierysz w to, Ian, w księcia z bajki?

- Oczywiście - zapewnił z mocą. - Wierzę, że wszystko będzie dobrze. I II niej, i u Kathy, i u... wszystkich.

- Nie możesz się martwić o wszystkich, Ian.

- Wiem. Ale póki ja żyję, w rodzinie niczego nikomu nie może brakować. A ja będę żył zawsze.

475

Spojrzała na niego i przypomniała sobie, jak zobaczyła go po raz pierwszy. Młodzieńca siedzącego w kabinie samolotu, który powinien się rozbić, ale jakimś cudem ocalał. Potem Ian wyszedł, powoli powracał do realnego świata, starał się wymazać obrazy bitwy powietrznej z pamięci, a ona zobaczyła w jego oczach, czym jest strach. Wziął od niej kubek z herbatą. „O, dziękuję, pani jest nowa, prawda?“, zapytał z akcentem świadczącym o tym, że pochodzi z wyższych sfer.

Jak to już dawno, minęło chyba z tysiąc lat, jakbyśmy znajdowali się już w innym życiu, myślała. Te dni pełne ciągłego strachu: wróci dzisiaj czy nie?

Zginie w porannym bombardowaniu czy w wieczornym? Czy rodzice nie odpowiadają na telefon dlatego, że została uszkodzona linia telefoniczna, czy dlatego, że podczas nalotu dom w Streatam zmiotło podobnie jak tysiąc innych?

Kiedyś nadeszła ta wiadomość, która pozbawiła Penelopę przeszłości.

Został jej tylko Ian i obawiała się, że może stać się z nim to co z innymi. To był najgorszy okres, myślała. Ciągłe oczekiwanie i zastanawianie się nad kruchością życia ludzkiego. Boże, jak szybko dojrzelismy.

- Mam nadzieję - powiedziała bezbarwnym, chłodnym głosem. Nie chciała teraz okazywać swojej miłości. - Tak, chciałabym, żebyś był nie śmiertelny.

Uśmiechnął się do niej, bardzo ją kochał.

- Jestem nieśmiertelny, Penn. Nie musisz się przejmować. Nawet po śmierci będę się opiekował tobą, Glenną, Duncanem i Adryon, i wszystki mi innymi.

Spojrzała na niego uważnie.

- Jak Dirk Struan?

- Nie - sprostował zupełnie poważnym tonem. - Nigdy bym z nim nie chciał konkurować. Jego obecność można odczuć zawsze, moja byłaby tylko okresowa. - Nie spuszczał z niej oczu. - Coś dzisiaj jesteś w minorowym nastroju, no nie?

Obydwoje roześmiali się.

- Zastanawiałam się nad tym, jak trudno jest cokolwiek w życiu przewidzieć. Ono jest takie gwałtowne, okrutne. Najpierw John Czen, teraz Bor-ge, Kathy... - Wzdrygnęła się lekko na myśl, że mogłaby stracić jego. - Kto będzie następny?

- Ktoś z nas. A na razie bądź Chinką. Pamiętaj, że na niebie wszystkie wrony są czarne. Życie jest dobre. Bogowie chodzą spać i popełniają czasem pomyłki. Dlatego róbmy, co się da, i nigdy nie wierzymy *quai loh*

Znowu się roześmiali.

- Czasami, łanie Struan Dunross, naprawdę cię lubię. Czy myślisz... -

Zadzwonił telefon, przerwała i pomyślała: niech piekło pochłonie wszyst-476

kie telefony. Gdybym mogła, zakazałabym używania telefonów po osiemnastej, ale wtedy biedny Ian oszalałby, a Noble House rozleciałby się, a jest całym jego życiem. Ja i dzieci jesteśmy drugim, i tak

być powinno, czyż nie?

- O, witaj, Lando - mówił Dunross. - Co nowego?

- Mam nadzieję, że cię nie niepokoję, tai-pan.

- Nie - zaprzeczył. - Zrobili to inni. W czym ci mogę pomóc?

- Przykro mi, ale wstrzymuję obiecaną na jutro piętnaście milionów. Na jakiś czas. Zdenerwowałem się giełdą.

- Nie ma się czym przejmować - zapewnił Dunross, żołądek podszedł mu do gardła. - Gornt próbuje swoich sztuczek i tyle.

- Ja się naprawdę martwię. Nie chodzi tylko o Gornta. Także o Ho-Pak i zachowanie giełdy - powiedział Mata. - Zaczyna się szturm na Czing Prosperity, nawet na Victorię... To złe oznaki i chcę poczekać.

- Wszystko rozegra się jutro, Lando. Jutro. Liczyłem na ciebie.

- Potroiłeś zamówienie na złoto, jak prosiłem?

- Tak, osobiście. Wysłałem do Zurychu specjalnie zakodowany telegram.

- Doskonale, doskonale!

- Potrzebna mi będzie na jutro twoja akredytywa.

- Oczywiście. Wyślij kogoś do mnie do domu, dam ci czek na całą sumę.

- Czek? - Dunross starał się powstrzymać zdumienie. - Do którego banku, Lando?

- Do Victorii.

- Boże, to za dużo pieniędzy, żeby je teraz wycofywać.

- Ja nie wycofuję, tylko płacę za złoto. Chcę wywieźć pewną sumę w złocie z Hongkongu w przyszłym tygodniu i teraz jest idealny moment, łan, nie wycofuję pieniędzy, jedynie płacę za złoto. Na twoim miejscu też bym spróbował zadysponować gotówkę.

- Słyszałeś o czymś, Lando? - zapytał, panując nad głosem.

- Wiesz, że jestem ostrożniejszy niż ty, tai-pan. Moje pieniądze dużo kosztują.

- Nie więcej niż moje.

- Dobrze. Porozmawiamy jutro i zobaczymy. Ale nie licz na te piętnaście milionów, przykro mi.

- Musiałeś coś usłyszeć, jestem pewien. Powiedz mi. *Czi pao pu czu lino*, czyli nie zawiniesz ognia w papierek, to znaczy sekretu nie da się utrzymać wiecznie.

Po dłuższej przerwie Mata odezwał się niskim głosem:

- Powiem ci w zaufaniu, łan, że Zaciśnięta Pięść wyprzedaje się. Poży czył wszystkie swoje udziały. Stary diabeł może i umiera, ale nos ma czuły, rdy chodzi o stratę pieniędzy. Jeszcze nie widziałem, żeby się kiedyś po mylił.

477

- Wszystkie swoje udziały? - zapytał ostro Dunross. - Kiedy z nim rozmawiałeś?

- Cały dzień byliśmy w kontakcie. A co?

- Dzwoniłem do niego po lunchu i obiecał nie sprzedawać i nie pożyczać akcji Struanów. Zmienił zdanie?

- Nie. Na pewno nie. Nie miał żadnych akcji Struanów.

- Miał czterysta tysięcy!

- Nie, tai-pan, chociaż dokładna liczba wynosi sześćset tysięcy. Sir Luis był

jego pełnomocnikiem i pożyczył dzisiaj całe sześćset tysięcy akcji.

Dunross miał przekleństwo na końcu języka. -Co?

- Posłuchaj, młody przyjacielu, to tajemnica, ale lepiej, żebyś był przy gotowany. Zaciśnięta Pięść rano, gdy tylko rozniosły się plotki, polecił Sir Luisowi sprzedać albo pożyczyć wszystkie udziały Noble House. Sto tysięcy cy rozeszło się między maklerów i zostały od razu sprzedane, pozostałe...

pół miliona ty kupiłeś od Gomta. Jasne było, że Gornt zaatakuje Noble House i zacznie krótką sprzedaż, więc Zaciśnięta Pięść polecił Sir Luisowi pożyczenie wszystkiego. Dla zachowania twarzy... twojej, zostawił sobie tysiąc akcji. Po zamknięciu giełdy był z siebie zadowolony. Jednego dnia zarobił dwa miliony.

Dunross stał niewzruszony jak skała. Panował nad sobą i swoim głosem i sprawiało mu to przyjemność. Jednak był wstrząśnięty. Jeśli Zaciśnięta Pięść pozbył

się udziałów, w jego ślad pójda inni Chińczycy, a to oznacza chaos.

- Stary łajdak - mruknął. Nie żywił urazy. Siebie obwiniał za nieskon-taktowanie się z nim w odpowiednim czasie. - Lando, a co z twoimi trzystu tysiącami akcji?

Czuł, że Portugalczyk waha się, i żołądek znów mu zaczął podchodzić do gardła.

- Jeszcze mam. Kupiłem zaraz po twoim wejściu na giełdę po szesnaście, więc na razie się nie przejmuję. Może Alastair Struan miał rację, gdy odradzał upublicznienie Noble House? Przez to staliście się tylko podatniejsi na ataki z zewnątrz.

- Od czasu wejścia na giełdę nasze akcje wzrosły pięć razy więcej niż Gornta.

Poza tym nie było innego wyjścia z kłopotów, jakie dostałem w spadku. Victoria nam pomoże. Mam tam udziały i większość głosów w radzie, więc będzie musiała.

Naprawdę jesteśmy bardzo silni i gdy to wszystko minie, staniemy się najpotężniejsi w Azji.

- Być może. A być może rozsądniej z twojej strony byłoby przyjąć naszą propozycję zamiast ciągle ryzykować i odpierać giełdowe ataki.

- Nie mogłem wtedy, nie mogę i teraz. Nic się nie zmieniło. - Dunross uśmiechnął się. Lando Mata, Tung Zaciśnięta Pięść i Hazardzista Czin wspólnie-478

nie zaproponowali mu dwadzieścia procent zysków ze swojego syndykatu obracającego złotem i zajmującego się hazardem w zamian za pięćdziesiąt procent Struanów, jeśli kompania powróci do swej prywatnej formuły.

- Tai-pan, bądź rozsądny! Za pięćdziesiąt procent udziałów Zaciśnięta Pięść jeszcze dzisiaj da ci sto milionów amerykańskich dolarów. Twoja pozycja tai-pana pozostanie nienaruszona, nadal będziesz głową kompanii i za dziesięć procent osobistego zysku jawnie lub tajnie będziesz zarządzał naszym syndykatem.

- Kto wyznaczy następnego tai-pana?

- Ty. Po konsultacjach.

- Sam widzisz! To niemożliwe. Pięćdziesiąt procent daje wam władzę nad Struanami, a ja nie mogę jej oddać. Postąpiłbym wbrew legacji Dirka.

Złamałbym przysięgę i stracił pełnię władzy. Niestety, to niemożliwe.

- Z powodu przysięgi złożonej jakiemuś bóstwu, w które sam nie wierzysz, w imieniu pirata, który nie żyje od ponad stu lat?

- Jakikolwiek jest powód, moja odpowiedź brzmi: nie, dziękuję.

- Możesz stracić całą kompanię.

- Nie. Nadal posiadamy sześćdziesiąt procent akcji, więc ja mam prawo do podejmowania decyzji. Stracilibyśmy dobra materialne i tytuł Noble House, a do tego, na miłość boską, dojść nie może.

Zapanowało milczenie.

- Nasza oferta jest ważna dwa tygodnie - zaznaczył jak zwykle przyja-
cielskim tonem Mata. - Jeśli *dżos* ci nie dopisze i przegrasz, oferta zarzą-

dzania nowym syndykatem jest nadal aktualna. Gdy akcje Struanów spadną do dwudziestu jeden, sprzedam je lub pożyczę.

- Do dwudziestu.

- Spadną aż tak nisko?

- Nie, targuję się z przyzwyczajenia. Zawsze lepiej, gdy do dwudziestu niż dwudziestu jeden.

- Tak. Zgoda. Zobaczymy, co nam przyniesie jutro. Życzę ci pomyślnego *dżosu*, tai-pan. Dobranoc.

Dunross odłożył słuchawkę i dopił szampana. Znajdował się o krok od przepaści. Ach, ten stary łajdak Zaciśnięta Pięść, myślał z podziwem. Zgodził

się nie sprzedawać naszych akcji, bo miał tylko tysiąc, a z 600 000 zysk już zapewniony. Dobry z niego negocjator. Rozsądnie ze strony Landa i Zaciśniętej Pięści, że ponawiają swoją ofertę właśnie teraz. Sto milionów! Boże drogi, z takimi pieniędzmi rozniósłbym Gornta na kawałki, a potem przejął

Asian Properties i wysłał Dunstana na wcześniejszą emeryturę. Wtedy Noble House w dobrej kondycji przekazałbym Jacques'owi lub Andrew i...

I co wtedy? Co bym robił wtedy? Chodził na bagna polować na gęsi?

Zaliczał wszystkie bankiety w Londynie? A może zasiadłbym w parlamen-479

cie i spał w ławie, podczas gdy cholerni socjaliści oddawaliby kraj komunistom? Boże, zanudziłbym się na śmierć!

- Proszę? - ocknął się z zamyślenia. - Przepraszam, Penn, co mówiłaś?

- Powiedziałaam tylko, że wygląda na to, że dostałaś złą wiadomość.

- Tak, rzeczywiście. - Uśmiechnął się i odpędził od siebie cały niepokój.

- Taki *dżos!* Jestem tai-panem - powiedział z zadowoleniem. - Mogłaś się tego spodziewać. - Podniósł butelkę, była pusta. - Chyba przyda nam się jeszcze jedna... Nie, złotko, ja przyniosę. - Podszedł do lodówki zamontowanej w szkarłatnej szafce z chińskiej laki.

- Jak sobie poradzisz, łan? - zapytała. - Zawsze coś się dzieje niedobre-go, odkąd przejąłeś Noble House. Ciągłe kłopoty, nagłe telefony, nieustająca praca, od naszego przyjazdu do Hongkongu nie miałaś wakacji... Najpierw twój ojciec, potem Alastair, teraz... Czy kiedyś skończy się ta zabawa w kotka i myszkę?

- Oczywiście, że nie. To już taka praca.

- Czy warto?

Wiedząc, że ta rozmowa do niczego ich nie doprowadzi, zajął się kor-kiem.

- Oczywiście.

Dla ciebie tak, pomyślała. Ale nie dla mnie.

- A więc nie muszę się martwić?

- Oczywiście, że nie. Przypilnuję Adryon, z Duncanem też będzie wszystko w porządku. Baw się dobrze i szybko wracaj.

- Jedziesz w niedzielę w góry?

- Tak. A potem do Tajpej. Wracam we wtorek. Bartlett jedzie ze mną.

Usłyszawszy o Tajpej, pomyślała o tamtejszych specjalnych dziewczy-nach, o połowę młodszych od niej, z miękką i ciepłą skórą, choć nie bardziej niż jej własną. Jednak one mają o połowę lat mniej, są zawsze uśmiechnięte i nie przeżyły tego wszystkiego co ona. Wychowywania dzieci, wielu lat małżeństwa, nawet z dobrym mężczyzną.

Gdybym była mężczyzną... Tam czeka tyle pokus, tyle pięknych dziewczyn. Jeśli wierzyć choć w część tego, co mówią inni...

Popatrzyła, jak Ian rozlewa wino. Miał twarde rysy twarzy, oznaczające pewną nieprzystępność, a jednocześnie w jakiś sposób bardzo miłe. Zastanawiała się, czy kobieta może posiadać jakiegoś mężczyznę dłużej niż kilka lat...

- Proszę? - zapytał.

- Nic - odpowiedziała. Kochała go. Tręcili się kieliszkami. - Ostrożnie w górach.

- Oczywiście.

- Jak ty sobie radzisz z pełnieniem funkcji tai-pana?

480

- A ty jak sobie radzisz z prowadzeniem domu, wychowywaniem dzieci, zachowywaniem spokoju i wszystkimi innymi rzeczami, które robisz? Jak ci się to udaje? Ja bym tego nie potrafił. Nigdy. Dawno temu zostałem oddany duchom. Kształciłem się, a nawet urodziłem po to, żeby robić to, co robię.

- A więc miejsce kobiety jest w domu?

- Nie wiem jak innych, Penn, ale odkąd ty jesteś ze mną, w moim życiu wszystko się układa. -

Zakorkował butelkę.

- Dziękuję ci - powiedziała i uśmiechnęła się. - Obawiam się jednak, że nie mam za wielkiego wyboru i nigdy nie miałam. Teraz to się wszystko zmieni, następne pokolenie ma szczęście. Mężczyźni utracą swoją dominację.

- O! Czyżby? - zapytał i w tym momencie pobiegł myślami do rozmowy z Matą, do dnia jutrzejszego i do problemu, jak zdobyć sto milionów bez utraty kontroli.

- Tak, tak. Dziewczyny z następnego pokolenia nie będą ślęczyć nad garami. - Boże, jak ja nienawidzę domowych prac, każda kobieta ich nie cierpi. - Nasze córki to wszystko zmienią! Weźmy Adryon. Boże, nie chciałabym być jej mężem!

- Każdemu pokoleniu się wydaje, że zmieni świat. - Rzekł sentencjonalnie Dunross, nalewając wina. - Doskonały szampan. Pamiętasz, jak było z nami?

Jak przeklinaliśmy podejście do życia naszych rodziców?

- Tak. Tylko że nasze córki mają do dyspozycji pigułkę, a to stawia wszystko w zupełnie innym świetle...

- Co? - Dunross był wstrząśnięty. - Chcesz powiedzieć, że Adryon bierze pigułki? Jezu Chryste, od kiedy...? Twierdzisz, że ona...

- Uspokój się, łan, i posłuchaj. Ta mała pigułka chroni kobiety przed ciągłym strachem. Mężczyzn w pewien sposób także. Chyba niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, co stworzy rewolucja socjalna. Kobiety mogą teraz uprawiać miłość bez strachu przed zajściem w ciążę, mogą tak samo jak męż-

czyźni dysponować własnym ciałem, i dla korzyści, i dla przyjemności, i bez wstydu. - Spojrzała na niego uważniej. - A co do Adryon, to zapytała mnie o pigułkę, gdy miała siedemnaście lat.

- Co takiego?

- No tak. Wolałbyś, żeby miała dziecko?

- Jezu, Penn, oczywiście, że nie. Ale na Boga, kto...? Czy to znaczy, że miała romans? A może niejeden?

- Pomyślałam sobie, że najrozsądniej będzie wysłać ją do doktora To-oleya.

- Co proszę?

- Tak. Gdy miała siedemnaście lat, powiedziała, że wszystkie jej koleżanki biorą pigułki, i spytała, co ma robić. Ponieważ są różne rodzaje, wo-481

lałam, żeby zasięgnęła rady specjalisty. Doktor Tooley... Dlaczego się tak czerwienisz, łan? Adryon w przyszłym miesiącu kończy dwadzieścia lat, to całkiem normalne.

- Na Boga, wcale nie. Wcale nie.

- Ależ tak, mój chłopcze - zaczęła naśladować babcię Dunross. - Chodzi tylko o to, że dzisiejsze panny wiedzą, co im wolno, a ty nie waż się wspomnieć cokolwiek Adryon, bo ci przyłożę różgą przez tyłek.

Patrzył na nią w milczeniu.

- Na zdrowie! - powiedziała, unosząc kieliszek. - Czytałeś popołudniowy

„Guardian”?

- Penn, nie zmieniaj tematu. Chyba powinienem z nią porozmawiać.

- W żadnym razie. To... to bardzo osobista sprawa. To jej ciało, jej życie i cokolwiek myślisz, Ian, ona ma prawo robić ze swoim życiem, co jej się podoba.

Twoje słowa nic tu nie zmieniają. Jedyne obydwójce znajdziecie się w niezręcznej sytuacji. Oczywiście ona wysłucha cię i weźmie sobie twoje słowa do serca, ale ty dla własnego dobra musisz pogodzić się ze zmieniającymi się czasami.

Nagle zobaczyła na jego twarzy gwałtowny przyływ niepokoju.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic. Zastanawiałem się... Po prostu zastanawiałem się...

- Nad tym, kto był, lub mógł być jej kochankiem?

-Tak.

- Lepiej się nie zastanawiaj, Ian.- Penelopa westchnęła. - Adryon jest bardzo rozsądna jak na dziewiętnastolatkę... tak, bardzo rozsądna. Pomyśl lepiej o tym, że cały dzień jej nie ma. Wymknęła się w moim nowym pasku. Pamiętasz tę bluzkę, którą jej pożyczyłam? Znalazłam ją pomiętą na podłodze w łazience. Cieszyłabym się, gdybyś o tym z nią porozmawiał.

- Przecież, na Boga, ona jest jeszcze za młoda.

- Nie zgadzam się z tobą. Już mówiłam, że teraz są inne czasy, a pigułka to fantastyczny, niewiarygodny krok naprzód. Możesz chyba być bardziej wyrozumiały?

- To... To wszystko tak nagle...

Roześmiała się.

-Rozumiałabym, gdybyśmy mówili o Glennie.. Boże, Ian, ja tylko żartuję.

Adryon jest zdrowa i ładna, więc cóż w tym dziwnego? Może ma zbyt duży temperament, zbyt łatwo wybucha, a jej frustracja wynika przede wszystkim stąd, że chcemy jej wpoić nasze staroświeckie obyczaje.

- Masz rację- starał się mówić z przekonaniem, ale nie wychodziło mu. - Masz rację, tylko że... Masz rację.

- Mój chłopcze, czy nie powinienes czasem udać się do Drzewa Krzyku? -

zapytała z uśmiechem. Zgodnie ze starym zwyczajem, gdzieś nieda-482

leko domu najstarszej kobiety w rodzinie rosło Drzewo Krzyku. W młodości Iana najstarsza była babcia Dunross, która mieszkała na wzgórzu nieopodal Kilmarnock w Ayrshire. Przy jej domu rósł wielki, rozłożysty dąb. Do drzewa chodzi się, gdy, jak mówiła babcia, w człowieku siedzi demon, i wówczas w samotności wykrzykuje się dowolne przekleństwa. „I wtedy, moja droga -

opowiadała babcia - w domu panuje spokój i nikt nie krzyczy na męża, na żonę, na ukochanego ani na dzieci. Tak, tak, drzewo potrafi znieść wszystkie przekleństwa, jakie zdoła wymyślić diabeł...”.

Penelopa pamiętała, że babcia Dunross od razu jej się spodobała. Odwiedzili ją z Ianem zaraz po ślubie, Ian był jeszcze chory, chodził o kulach, miał poparzone nogi, ale goiły się, właściwie poza tymi obrażeniami wyszedł

z wypadku bez szwanku. Niemniej w jego duszy odłożył się gniew, gorycz, zatruwały go wspomnienia wojennych przeżyć i pozostałyby tam na wieki, gdyby nie możliwość wyładowania się.

- Nie, dziękuję - uspokoił ją Ian - nic mi nie jest.

- Ta babcia Dunross musiała być naprawdę mądra, skoro potrafiła pozostać taka cudowna mimo całego swojego tragicznego życia. Jak ona to robiła?

- Nie wiem. Może wtedy ludzie byli twardsi.

- Brakuje mi jej. - Babcia Dunross umarła w wieku osiemdziesięciu pięciu lat. Zanim wyszła za swojego kuzyna Dirka Dunrossa, Dirka McCloud Dunrossa, syna jedynej córki Dirka Struana-Winifred, nazywała się Agnes Struan. Dirk Dunross był czwartym tai-panem i zginął na morzu, płynąc

na „Zachodzącej Chmurze”. On miał wtedy czterdzieści dwa lata, ona trzydzieści jeden. Nigdy później nie wyszła za męża. Mieli ze sobą trzech synów i jedną córkę. Dwaj synowie zginęli podczas pierwszej wojny światowej, jeden w wieku dwudziestu jeden lat w Gallipoli, a drugi został zagazowany, gdy miał

dziewiętnaście lat, we Flandrii. Córka Annę poślubiła Gastona deVille'a, ojca Jacques'a. Zginęła podczas bombardowania Londynu, gdzie schroniła się cała rodzina deVille, oprócz Jacques'a walczącego z Niemcami w oddziale francuskich partyzantów. Najmłodszy syn babci, Colin, ojciec Iana, także miał

trzech synów i córkę. Dwaj synowie zginęli podczas drugiej wojny światowej, a córka Kathren poślubiła dowódcę szwadronu, w którym służył Ian. Jej mąż zginął w Bitwie o Anglię. - Tyle śmierci, okrutnych śmierci - mówiła smutno Penelopa. - To straszne widzieć, jak się rodzą i umierają. Biedna babcia.

Jednak nawet po śmierci wyglądała na spokojną, z delikatnym uśmiechem na twarzy.

- Taki *dżos*. Oni wszyscy robili, co do nich należało, Penn. Mimo wszystko historia naszej rodziny niewiele różni się od innych. Jesteśmy Brytyjczykami.

Wojna od wieków stanowi dla nas treść życia. Przypatrz się swojej rodzinie: jeden wuj zginął na morzu, jeden pod El Alamejn, rodzice zginęli 483

podczas... Zwyczajna rzecz. Tego się nie da wyjaśnić żadnemu obcokra-jowcowi, prawda?

- Tak. Wszyscy szybko dorośleliśmy, no nie, Ian? - Przytaknął, a po chwili ona dodała: - Lepiej już przebierz się na kolację, żebyś się nie spóźnił.

- Nie przesadzaj, Penn, tobie przebieranie zajmuje godzinę dłużej niż mnie.

Ale pośpieszmy się, to pójdziemy pieszo. Może... - Zadzwoił telefon, Ian podniósł słuchawkę. - Tak? O, dzień dobry, panie Deland.

- Dobry wieczór, tai-pan, mam dla pana wiadomości o córce i zięciu madame deVille.

- Tak, słucham.

- Jest mi bardzo przykro, że muszę donosić o tak nieprzyjemnych sprawach.

Wypadek zdarzył się za Cze. Kierowca drugiego samochodu był pijany. Gdy policja przyjechała około drugiej nad ranem, pan Escary już nie żył, a jego żona leżała nieprzytomna. Lekarz mówi, że czuje się dobrze, ale obawia się, że jej narządy rodne mogły ulec trwałemu uszkodzeniu. Być może będzie potrzebna operacja. Lekarze...

- Czy ona już o tym wie?

- Nie, monsieur, jeszcze nie, ale lekarz powiedział już o tym madame deVille. Wyjechałem po nią i zająłem się wszystkim, tak jak pan kazał. Odszukałem specjalistę od tych spraw w Paryżu i dziś po południu przyjedzie do szpitala w Nicei.

- Czy dziewczyna odniosła jeszcze jakieś obrażenia?

- Poważnych już nie. Jedynie złamała rękę i rozcięła w kilku miejscach skórę.

Jednak... młoda dama popadła w rozstrój nerwowy. Cieszę się, że przyjechała jej matka, to na pewno pomoże. Już pomogło. Madame deVille zatrzymała się w hotelu „Metropole”. Oczywiście cały czas jesteśmy w kontakcie.

- Kto prowadził?

- Madame Escary.

- A kim był drugi kierowca?

Nastąpił moment wahania.

- Nazywał się Charles Sessone. Jest piekarzem, mieszka w Cze i wracał do domu z wieczoru karcianego u przyjaciół. Policja. . madame Escary przysięga, że on jechał po złej stronie drogi. On tego nie pamięta. Oczywiście policja oskarżyła go o jazdę po pijanemu...

- Czy to był jego pierwszy raz?

- *Non, non.* Niedawno został zatrzymany i ukarany grzywną.

- Co mu grozi według francuskiego prawa?

- Najpierw odbędzie się rozprawa.. Nie wiem, monsieur. Nie było żadnych świadków. Może grzywna, może więzienie. Przykro mi. Nie wiem.

Dunross zastanowił się.

484

- Gdzie on mieszka?

- Rue de Verte 14, Cze.

Dunross dobrze pamiętał tę wioskę. Leżała nad samym Lazurowym Wybrzeżem nie opodal Monte Carlo. Z jednej strony było widać stamtąd Włochy, a z drugiej Niceę.

- Dziękuję, panie Deland. Wysłałem panu dziesięć tysięcy dolarów na wydatki madame deVille. Proszę podjąć wszelkie konieczne kroki. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli tylko... I niech pan poprosi specjalistę, żeby się ze mną skontaktował, gdy tylko zbada madame Escary. Rozmawiał pan już z Jakiem deVille'em?

- Nie, tai-pan. Pan mi nie kazał. Mam zadzwonić?

- Nie. Ja to zrobię. Jeszcze raz za wszystko dziękuję.

Dunross odłożył słuchawkę i o wszystkim - bez opisywania wewnętrznych obrazów córki deVille'a - opowiedział Penelopie.

- Straszne! Takie... bez sensu.

Dunross wyjrzał przez okno na zachód słońca. To on zasugerował, żeby młodzi pojechali do Nicei i

Monte Carlo, gdzie oni sami kiedyś z Penelopą świetnie się bawili, zajadali wyśmienitym jedzeniem i wypili morze przedniego wina, a nawet próbowali hazardu. *Dżos*, pomyślał. Boże jedyny wszechmogący!

Wykręcił numer do Jacques'a deVille'a, ale nie zastał go w domu. Zostawił mu wiadomość z prośbą o telefon.

- Zobaczę się z nim dzisiaj przy kolacji - powiedział. Szampan już stracił smak. - No cóż, lepiej się przebierzmy.

- Ja nie idę, łan.

-Ależ...

- Muszę się przygotować na jutro. Przepraszam, że nie mogłam przyjść, ty oczywiście musisz się tam zjawić. I tak będę zajęta. Trzeba przygotować rzeczy do szkoły Glennie i Duncanowi. Przecież wraca już w poniedziałek.

Odprowadź go potem do samolotu i upewnij się, że ma paszport... Prze pros, że nie przyszłam, ale wyjeżdżam.

Uśmiechnął się lekko.

- Oczywiście, Penn. Ale mnie możesz wyznać, jaki jest prawdziwy powód.

- Nie ma o czym mówić. Tam będzie Robin.

- Przecież oni mają przyjechać dopiero jutro.

- Nie. W dodatku do „Guardian” wyczytałam, że przyjechali po południu.

Na pewno cała delegacja została zaproszona. - Bankiet wydawał multimilioner Szi-teh T'Czung. Z jednej strony miała to być uroczystość z okazji jego nobilitacji i nadania mu tytułu szlacheckiego, a z drugiej chodziło o uczczenie otwarcia nowego skrzydła szpitala, na który on wyłożył pieniądze-

485

dze. - Nie mam ochoty tam iść, a ponieważ ty będziesz obecny, nic takiego się nie stanie. I naprawdę chcę się wcześniej położyć spać.

- No dobrze. Załatwię te telefony i pójdę. Przed wyjściem jeszcze do ciebie zajrzę. - Dunross poszedł na górę do swego gabinetu. Na straży czekał Lim. Był

ubrany w białą tunikę, czarne spodnie i miękkie obuwie.

- Dobry wieczór, Lim - powiedział po kantońsku Dunross.

- Dobry wieczór, tai-pan. - Starszy mężczyzna w milczeniu wskazał na okno.

Za wysokim murem otaczającym Wielki Dom, przy otwartej bramie, stało dwóch Chińczyków. - Są tam już od dłuższego czasu, tai-pan.

Dunross przyjrzał im się bez słowa. Swoich strażników już odesłał, a ponieważ Brian Kwok także idzie do Sir Szi-teha, powinien się tu wkrótce sam pojawić.

- Jeśli nie odejdą po zmroku, zadzwoń do biura nadinspektora Crosse'a. -

Zapisał numer i podał służącemu. Nagle odezwał się ostrym tonem: -I póki pamiętam, Lim. Jak będę chciał, żeby uszkodzić samochód jakiegoś obcego diabła, sam ci o tym powiem. - Starszy mężczyzna wpatrywał się w niego beznamiętnie. Lim Czu pracował dla Dunrossów, odkąd skończył siedem lat, tak samo jak jego ojciec i ojciec jego ojca. Wywodził się od -żyjącego jeszcze przed powstaniem Hongkongu - Służącego Numer Jeden w rezydencji Struanów w Makau.

- Nie rozumiem, tai-pan.

- Nie zawiniesz ognia w papierek. Policja jest wystarczająco przebiegła, a Czarna Broda ma poparcie w policji. Eksperci przebadają hamulce i wiele się dowiedzą.

- Ja nic o niczym nie wiem. - Wzruszył ramionami i ukłonił się. - Tai-pan, ja nie wchodzę na drzewo, żeby łowić ryby. Pan też. Chciałem też nadmienić, że tej nocy nie spałem i przyszedłem tutaj. Widziałem, że jakiś cień zsunął się po rynnie i zniknął w krzakach. - Służący wyjął z kieszeni kawałek materiału. - To znalazłem na rynnie.

Dunross obejrzał skrawek materiału. Nic nie potrafił z niego wyczytać.

Zerknął na olejny portret Dirka Struana. Znajdował się idealnie na swoim miejscu. Odsunął go lekko i zauważył, że włożony przez niego włos pozostał

nietknięty. Zadowolony przesunął obraz na miejsce, a potem wyjrzał przez okno.

Dwaj Chińczycy stali tam gdzie przedtem. Po raz pierwszy Dunross poczuł ulgę, że jego dom jest obstawiony przez SI.

19:58

Zdenerwowany Phillip Czen siedział za biurkiem i nerwowo wpatrywał się w telefon. W gabinecie było gorąco i duszno. Podskoczył, gdy otworzyły się drzwi. Weszła Dianne.

- Nie ma na co czekać, Phillip - odezwała się poirytowana. - Lepiej idź i się przebierz. Ten cholerny Wilkołak już dzisiaj nie zadzwoni. Musiało się coś stać. No rusz się! - Miała na sobie wieczorowy *czong-sam*, najdroższy fason, będący ostatnim krzykiem mody, zakręcone włosy i tyle ozdób co bożonarodzeniowa choinka. - Tak, musiało się coś stać... Może policja... Ha, spodziewać się, że go złapali, to przesada. Bardziej prawdopodobne, że bawi się z nami demon *fang pi*. Idź się przebierz, bo się spóźnimy. Pośpiesz się!

- Nie chcę iść i już! - krzyknął do niej. - Szitii T'Czung mnie nudzi, a Sir T'Czung jest podwójnie nudny. - Wiele lat temu najbliżsi przyjaciele Szi-teha zaczęli go przezywać Szitii. - Poza tym jeszcze nie ma ósmej, a kolacja nie zacznie się przed wpół do dziesiątej. On zawsze się spóźnia. Z bankietami co najmniej godzinę. A idźże sobie, na miłość boską!

- *Aiii ia*, musisz iść. Tu chodzi o zachowanie twarzy - odpowiedziała tak samo jak on rozdrażniona. - Po dzisiejszym dniu na giełdzie... Jak nie pójdziemy, stracimy twarz i akcje polecą dalej. Cały Hongkong będzie się z nas śmiał. Oni nie mogą się tego doczekać. Powiedzą, że wstydzimy się, bo Noble House nie może spłacić długu i nie chcemy pokazywać się publicznie. A ta stara ladacznica Konstancja, żona Szitii, umiera z pragnienia, żeby zobaczyć, jak się martwię! - Niemal wrzeszczała. Jej jednodniowe straty sięgały około stu tysięcy dolarów. Gdy Phillip zadzwonił do niej zaraz po trzeciej, żeby powiedzieć, co się działo na giełdzie, omal nie zasłabła. - *Oh kol* Musisz iść, bo inaczej będziemy zrujnowani!

Phillip żałośnie pokiwał głową. Wiedział, co znaczą plotki i pogłoski na bankiecie. Cały dzień zadawano mu pytania i wyrażano swoje obawy.

- Chyba masz rację. - Stracił około miliona dolarów i jeśli spadek bę dzie trwał nadal, a Gornt wygra, zostanie bez grosza przy duszy. Ooo, dla czego uwierzyłem Dunrossowi i tyle kupilem? Chętnie by kogoś kopnął

/ wściekłości. Spojrzał na żonę. Serce mu zadrżało, gdy rozpoznał u niej o/naki niezadowolenia z życia, a z niego w szczególności. Stłumił złość. -

I)obrze. Zaraz będę gotów.

Gdy ruszył do drzwi, zadzwonił telefon. Znow mu zadrżało serce i po-ivuł

mdłości. Od szóstej telefon dzwonił cztery razy. Za każdym razem ktoś chciał

znać jego opinię na temat giełdy i plotek i za każdym razem słyszał: (*>h ko*, Phillip, chyba lepiej sprzedam.

- *Weiii?* - zapytał rozeźlony.

W słuchawce panowała cisza, a po chwili ktoś powiedział po kantońsku.

- Kimkolwiek jesteś, nie grzeszysz dobrymi manierami.

- Kto tam? Eee... kto mówi? - zapytał.

- Wilkołak. Najwyższy Wilkołak. Kim ty jesteś?

- O! - Krew odpłynęła z twarzy Phillipa. Ze strachem skinął na żonę.

Zapomniała o wszystkim i nachyliła się nad słuchawką. - Tu Szlachetny Czen -

powiedział ostrożnie. - Jak się... jak się pan nazywa?

- Masz uszy zatkane woskiem? Mówiłem, że jestem Wilkołakiem. Nie jestem tak głupi, żeby podawać swoje imię.

- Prze... Przepraszam, ale... Ale skąd mam wiedzieć, że to prawda?

- A skąd ja mam wiedzieć, z kim rozmawiam? Może jesteś zasranym policjantem? Kim jesteś?

- Przysięgam, że jestem Phillip Czen.

- Dobrze. Nie dostałeś mojego listu? Przecież napisałem, że zadzwonię koło szóstej.

- Dostałem list. - Odczuwał ulgę połączoną z gniewem, frustracją i strachem. -

Pozwól mi porozmawiać z Synem Numer Jeden.

- To niemożliwe! Niemożliwe! Czy żaba może zjeść łabędzia? Twój syn jest w innej części wyspy... chwilowo przebywa w Nowych Terytoriach, gdzie nie ma telefonu. Ale jest bezpieczny, tak, całkiem bezpieczny. Niczego mu nie brakuje.

Masz pieniądze na okup?

- Tak... jakieś sto tysięcy będę...

- O bogowie, dodajcie mi cierpliwości! - zawołał ze złością mężczyzna. -

Wiesz dobrze, że chcę pół miliona! Jeden czy pięć to dla ciebie tyle co mały włos na dziesięciu bykach.

- Nieprawda! - zaprzeczył z mocą Phillip Czen. - To moi wrogowie rozsiewają takie plotki. Nie jestem aż tak bogaty... Nie słyszałeś o dzisiejszym dniu na giełdzie? - Phillip z bijącym sercem

sięgnął po krzesło i usiadł tak, żeby żona mogła słyszeć głos ze słuchawki.

- *Aiii ia*, giełda! My, biedni chłopci, się na tym nie znamy. Chcesz jego drugie ucho?

Phillip zbladł.

- Nie. Musimy porozmawiać. Pięćset tysięcy to z:a dużo. Może uda mi się zebrać sto pięćdziesiąt.

- Gdybym zgodził się na sto pięćdziesiąt, całe Chiny by mnie wyśmiały!

Myślisz, że mam barani łeb? Sto pięćdziesiąt za Syna Numer Jeden Cze-nów, ha!

Nie ma mowy! Chodzi o zachowanie twarzy! Na pewno rozumiesz.

Phillip Czen zawahał się.

- No dobrze - zgodził się - masz rację. Ale najpierw chcę wiedzieć, kiedy wróci mój syn.

488

- Jak tylko zapłacisz okup. Przysięgam na kości moich przodków! W kilka godzin od dostarczenia pieniędzy syn znajdzie się przy Sza Tin Road.

- Ach, więc jest w Sza Tin?

- *Aiii ia*, chcesz mnie złapać w sidła, Szlachetny Czen, co? Ta rozmowa mi śmierdzi gównem. Podstuchuje cholerna policja? Zadzwoiłeś na policję?

- Przysięgam, że nie. Nie dzwoniłem na policję i nie zamierzam łapać cię w sidła, ale potrzebuję jakiegoś zabezpieczenia. - Pot zalewał Phillipa Czena. - Nic ci nie grozi. Dlaczego miałbym dzwonić na policję? Przecież wtedy nie moglibyśmy negocjować.

Po dłuższej przerwie mężczyzna odezwał się łagodniejszym tonem:

- Zgoda. Ale jeśli coś się stanie twojemu synowi, to będzie to twoja wina, a nie nasza. W porządkują też jestem rozsądny. Przyjmuję czterysta tysięcy, ale koniecznie dzisiaj w nocy.

- Niemożliwe! Żądasz, żebym w morzu złowił tygrysa. Dostałem twój list po zamknięciu banków, ale mam sto tysięcy w małych banknotach... -

Dianne szturchnęła go i pokazała dwa palce. - Posłuchaj, Szlachetny Wilkołaku, może uda mi się pożyczyć jeszcze trochę. Może za godzinę mógł-

bym zdobyć dla ciebie dwieście tysięcy.

-Bogowie zagrzmiają, jeśli zgodzę się na taką sumę. Trzysta pięćdziesiąt.

- Dwieście za godzinę.

- Albo trzysta dziś w nocy, albo za dwa dni przysyłamy drugie ucho.

Phillip Czen przeklinał, zaklinał i negocjowali jeszcze jakiś czas, ponieważ obydwaj byli w tym dobrzy. Co najmniej dziesięć minut walczyli ze sobą na słowa, a każdy z nich używał takiej broni, jaką dysponował. Porywacz - gróźb, a Phillip Czen - podstępów, pochlebstw i obietnic.

- No dobrze, jesteś dla mnie za dobrym negocjatorem. Dzisiaj w nocy zapłacę dwieście tysięcy, a za cztery miesiące pozostałe sto.

- Za miesiąc.

- Za trzy! - Wysłuchując potoku przekleństw, Phillip Czen zastanawiał się, czy udało mu się przechytrzyć rozmówcę.

- Za dwa!

Dianne znów go szturchnęła, żeby się zgodził.

- Dobrze - przystał. - Zgoda. Pozostałe sto tysięcy za dwa miesiące.

- Niech będzie - odparł z satysfakcją mężczyzna. - Zastanowię się nad m, co mówiłeś, i zadzwonię. - Chwileczkę, Szlachetny Wilkołaku. Kie- *i...*

- Za godzinę.

- Ale... - Połączenie zostało przerwane. Phillip Czen zaklął, a potem arł

pot z czoła. - Myślałem, że go mam. Niech diabli porwą tego cholera-Sgo psubrata!

489

- Tak - powiedziała Dianne. - Dobrze się spisałeś, Phillip. Teraz tylko dwieście tysięcy, a za dwa miesiące sto. - Z radością otarła kropelki potu znad wargi. Nagle uśmiech zniknął z jej ust. - A co z Szitii T' Czungiem? Trzeba iść, ale ty musisz zaczekać.

- Tak, muszę! Weź Kevina, ja się spóźnię. Nic wielkiego się nie stanie.

- Dobrze! Jesteś bardzo rozsądny. Musimy dostać z powrotem naszą monetę. Bardzo dobrze. Może nasz *dżos* się odwróci i zacznie się boom na giełdzie, jak przepowiadał Stary Ślepy Tung. Kevin tak się tobą niepokoi.

Biedaczysko chodzi przerażony twoimi problemami. Martwi się też o twoje zdrowie. - Pospieszyła się, bo wiedziała, że lepiej będzie, jeśli wróci przed powrotem Johna Czena. Doskonale, myślała, Kevin może założyć swoją nową, białą skórzaną marynarkę. Najwyższy czas, żeby zaczął się ubierać stosownie do swojej pozycji. - Keeeviiiiin!!!

Zamknęła za sobą drzwi. Phillip Czen jęknął. Zebrawszy siły podszedł do barku i nalał sobie brandy. Przed wyjściem Dianne i Kevina zdążył wychylić jeszcze jedną. Telefon zadzwonił piętnaście minut przed dziewiątą.

- Szlachetny Czen? -Tak... Szlachetny

Wilkołak?

- Zgadzą się. Ale dzisiaj w nocy!

Phillip Czen westchnął.

- Dobrze. A teraz...

- Zbierzesz tyle pieniędzy?

- Tak.

- W studolarowych, używanych banknotach, tak jak mówiłem?

- Tak. Sto mam, sto pożyczę od przyjaciela.

- Masz bogatych przyjaciół - zauważył zaskoczony mężczyzna. - Mandaryn?

- Jest bukmacherem - odparł szybko Phillip Czen, przeklinając swoją nieuwagę. - Poprosiłem go zaraz po twoim telefonie. Na szczęście miał niezły dzień.

- No dobrze. Weź taksówkę...

- Ale ja mam samochód...

- Wiem, że masz swój cholerny samochód, i znam twój numer rejestracyjny - przerwał mu ze złością mężczyzna. - Wiemy o tobie wszystko i jeśli zachcesz nas zdradzić, nigdy nie zobaczysz swojego syna, a sam jesteś drugi na liście! Zrozumiano?

- Tak... tak, oczywiście, Szlachetny Wilkołaku - powiedział pojednawczo Phillip Czen. - A więc wezmę taksówkę... Dokąd?

- Do trójkątnego ogrodu w Koulun Tong. Pójdiesz drogą, która się nazywa Essex Road. Tam jest ogrodzenie z dziurą. Zaprowadzi cię do niej strzałka narysowana na chodniku. Włóżysz rękę w dziurę i wyjmiesz list.

490

Przeczytasz go i wtedy podejdzie do ciebie jeden z naszych ludzi i powie: *Tin kun czifuk*, a ty mu oddasz torbę.

- Och, nie! Niemożliwe. Mogę ją dać komuś innemu przez pomyłkę!

- Nie. Rozumiesz hasło i wszystko inne?

- Tak.

- Jak długo zajmie ci dojechanie tam?

- Mogę jechać od razu... Resztę pieniędzy wezmę po drodze, więc mogę jechać natychmiast.

- Więc jedź. I masz przyjechać sam. Będziesz obserwowany od chwili wyjścia z domu.

Phillip Czen otarł pot z czoła.

- A mój syn? Kiedy...

- Wykonuj polecenia! Bądź ostrożny i przyjedź sam.

Znów połączenie zostało przerwane. Gdy nalewał sobie brandy, trzęsły mu się ręce. Wypił jednym haustem. Poczul rozplywające się w środku ciepło, ale zdenerwowanie nie minęło. Zebrał się w sobie i wybrał zastrzeżony numer.

-

Chciałbym rozmawiać z Wu Cztery Palce - powiedział w dialekcie Wu.

-Chwileczkę, proszę. - Słyszał jakieś głosy w hakło, a potem skierowa ne do niego pytanie po angielsku: - Czy to pan Czen? Phillip Czen?

- Tak, to ja.

- Świetnie. Miał pan wieści od porywaczy?

- Tak, miałem. - Phillip Czen czuł się nieswojo, rozmawiając z obcym, ale nie miał wyboru. Przekazał Paulowi Czojowi instrukcje, jakie właśnie dostał.

- Chwileczkę, sir.

Rozmówca zakrył dłonią mikrofon. Czen usłyszał stłumioną rozmowę w hakło.

- Wszystko ustalone, sir. Wysyłamy po pana taksówkę. Dzwoni pan z Panoramy Struanów?

- Tak, jestem w domu.

- Kierowcą będzie jeden z naszych. W Koulun Tong zostaną... rozstawieni inni ludzie wujka, więc proszę się nie martwić. Proszę przekazać pieniądze, a już oni wszystkim się zajmą. Porucznik... Eee, ich szef mówi, że nie ma się czego obawiać, obstawią cały teren... Panie Czen?

- Tak, tak. Jestem. Dziękuję.

- Taksówka przyjedzie za dwadzieścia minut.

Paul Czoj odłożył słuchawkę.

- Czen z Noble House dziękuję ci, Szlachetny Ojczy - powiedział w haklo do Wu Cztery Palce, patrząc mu w zimne, pozbawione wyrazu, kamienne 491

oczy. Pot zalewał mu twarz. Bezskutecznie starał się ukryć strach. W rozgrzanej kabinie starej dżonki zacumowanej na stałe w Aberdeen było tłoczno. - Mogę iść z nimi?

- Nie wysyła się królika na smoka! - ofuknął go Wu Cztery Palce. -

Umiesz się bić? Czy ja jestem tak samo głupi jak ty? I taki nierozsądny?

- Spojrzał na Poona Ładna Pogoda. - Ty poprowadzisz ludzi!

Mężczyzna wstał, a inni podążyli za nim.

W kabinie zostali tylko we dwóch.

Stary siedział na odwróconej do góry dnem beczce. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko, zakasłał i splunął na podłogę. Paul Czoj patrzył na niego, pot - bardziej ze strachu niż od gorąca - spływał mu po plecach. W

pomieszczeniu znajdowało się kilka starych biurek, szafka z aktami, krzesła i dwa telefony. Było to biuro Wu Cztery Palce i jego centrum komunikacyjne. Głównie stąd wysyłał wiadomości do swojej floty. Większość jego interesów to regularne przewozy morskie, ale polecił swoim kapitanom pływającym pod banderą ze Srebrnym Lotosem, żeby „przewozić wszystko, wszędzie i zawsze, ale za odpowiednią cenę”.

Stary ponownie odkaslnął i popatrzył na syna.

- Dziwnych rzeczy cię uczyli w Złotych Górach, *heya?*

Paul Czoj zacisnął zęby i nic nie mówił. Chciałby nigdy nie wracać do Hongkongu i znów znajdować się w Stanach albo -jeszcze lepiej - pływać sobie na desce w Honolulu i wygrzewać się na plaży ze swoją dziewczyną. Na myśl o niej coś mu w duszy zagrało.

- Nauczyli cię gryźć rękę, która cię kanni, *heya?*

- Nie, Szlachetny Ojczy, przykro...

- Nauczyli cię, że moje pieniądze są twoimi pieniędzmi? Że możesz mojego bogactwa i mojej pieczęci używać, kiedy ci się podoba, *heya?*

- Nie, Szlachetny Panie, przepraszam, że sprawiam przykrość - mówił Paul Czoj słabym głosem, nieudolnie tłumiąc strach.

Rano, gdy Gornt wrócił ze spotkania z Bartlettem, ponieważ jeszcze nie przyszły do pracy sekretarki, Paul Czoj zaproponował pomoc. Gornt poprosił go o połączenie się z kilkoma ludźmi. Do paru innych zadzwonił sam z prywatnego telefonu. Paul Czoj nic nie rozumiał z zachowania swojego pracodawcy aż do momentu podsłuchania informacji o Struanach. Przypomniał sobie poranny telefon Bartletta, doszedł do wniosku, że skoro Gornt wrócił w tak świetnym humorze, musiało dojść do spotkania, i bardzo go dziwiło przekazywanie różnych informacji coraz to innym ludziom. Później przypadkiem usłyszał, jak Gornt rozmawia ze swoim prawnikiem.

- Stawiaj na krótką sprzedaż... Nic się nie martw, nic się nie stanie, dopóki mam pokrycie. . Po jedenastej. . Oczywiście, wyślę dokument z pieczęcią, jak tylko...

492

Następnie Paul Czoj miał się połączyć z dyrektorem Banku Szwajcarskiego w Zurychu. Dyskretnie podsłuchał:

- ...spodziewam się dużego przekazu z USA przed jedenastą. Proszę do mnie zadzwonić natychmiast, gdy pieniądze znajdą się na moim koncie...

Paul Czoj poskładał więc zasłyszane informacje w całość i postawił następującą hipotezę: jeśli Bartlett organizuje spotkanie, a potem zawiera pakt z Gorntem, powszechnie znanym wrogiem Struanów, jeśli Bartlett podejmuje ryzyko, pokrywając straty z krótkiej sprzedaży, jeśli rozmawia z Gorntem przed podpisaniem umowy z jego wrogiem, to na pewno to zachowanie odbije się na giełdzie i akcje Struanów spadną.

Poczuł się zobligowany do podjęcia natychmiastowej decyzji. Postawić na krótką sprzedaż Struanów, zanim zrobią to wielcy inwestorzy.

Pamiętał, że niemal jęknął, ponieważ nie miał pieniędzy ani możliwości kredytowych, ani udziałów, ani szans na pożyczkę. Wtedy przypomniał sobie, co wpajali w nich wykładowcy w Harvardzkiej Szkole Biznesu: z wątlym sercem nie zdobędziesz pięknej damy. Poszedł więc do swego gabinetu i zadzwonił do nowo poznanego dzięki Euroazjacic z biblioteki przyjaciela -

Iszwara Surjaniego, który handlował obcymi walutami i pożyczał pieniądze.

- A więc, Iszwar, twój brat jest szefem Domu Maklerskiego Surjani, tak?

- Nie, Młody Panie, Arjan to mój kuzyn. A dlaczego pytasz?

- Czy pomożecie mi, jeśli będę chciał postawić na krótką sprzedaż?

- Oczywiście. Już mówiłem. Z tego się utrzymuję. Jeśli masz odpowiednie zasoby gotówki na pokrycie strat... Gotówki albo czegoś w zamian. Jeśli nie, niestety.

- A powiedzmy, że mam jakąś informację z pierwszej ręki.
- Droga do piekła i więzienia za długi wybrukowana jest takimi informacjami.
- Ech - nie krył niezadowolenia Czoj. - Przed trzecią zarobilibyśmy ze sto tysięcy.
- O! Powiesz mi, o jakie akcje chodzi?
- Dasz mi w zamian dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów?
- Przykro mi. Młody Panie. Ja pieniądze pożyczam, a nie rozdaję.
- Dwadzieścia tysięcy hongkongijskich dolarów?
- Nawet dziesięciu dolarów bez poręczenia.
- Nie jesteś skory do pomocy, Iszwar.
- Dlaczego nie poprosisz wujka o pieczęć? Od razu wyłożyłbym z pół miliona hongkongijskich.

Paul Czoj wiedział, że wśród gotówki i aktywów ojca przetransferowanych z Ho-Pak do Victorii znajdowało się wiele akcji i lista dysponujących nimi maklerów. Wu Cztery Palce miał między innymi 150 000 udziałów Stru-inów.

Jeśli mam rację, jeśli Gornt zaatakuje, stary straci mnóstwo pieniędzy.

493

- Świetny pomysł, Iszwar. Zadzwoń później. - Natychmiast zatelefo nował do ojca, ale nie zastał go. Zostawił dla niego wiadomość i zaczął czekać. Z każdą minutą rósł jego niepokój.

Parę sekund przed dziesiątą usłyszał głos sekretarki Gornta:

- Tak?.. Już, chwileczkę... Panie Gornt, rozmowa z Zurychem, przełą czam.

Jeszcze raz chciał się skontaktować z ojcem, aby przekazać mu pilne wieści.

Potem zawołał go Gornt, dał zapieczętowaną kopertę i powiedział:

- Panie Czoj, mógłby pan to oddać mojemu prawnikowi? Do rąk własnych.

- Tak, sir.

Wyszedł więc z biura, ale zatrzymywał się przy każdym telefonie, żeby porozmawiać z ojcem. Gdy

dostarczył kopertę na miejsce, uważnie przyglądał

się twarzy prawnika.

- Jakaś odpowiedź, sir? - zapytał uprzejmie.

- Proszę tylko powiedzieć, że wszystko zostanie wykonane zgodnie z poleceniami.

Jadąc windą, rozważał wszystkie za i przeciw. W napięciu podszedł do najbliższej budki telefonicznej.

- Iszwar? Mam pilne polecenie od wujka. Chce sprzedać wszystkie akcje Struanów. Sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Bardzo rozsądnie. Pojawiły się wielce nieprzyjemne plotki.

- Zaproponowałem, że wy możecie to zrobić za niego. Prosi, żeby tego dokonać natychmiast. Możecie?

- Tak jak ptak może szybować na wietrze. Szlachetny Wu Cztery Palce jest dla nas Rothschildem! Gdzie znajdują się akcje?

- W skarbcu.

- Będzie potrzebna pieczęć.

- Zaraz ją dostanę, ale wujek polecił sprzedać akcje natychmiast. Najlepiej w niewielkich pakietach, żeby nie zachwiać giełdą. Chciałby dostać jak najlepszą cenę. Możesz to zrobić?

- Oczywiście, nie ma strachu. Po najwyższej cenie.

- Dobrze. I ważne, żeby to pozostało tajemnicą.

- Oczywiście, Młody Panie. Możesz mi zaufać. A akcje, które chciałeś pożyczyć na krótką sprzedaż?

- Ach, to... to może poczekać... Aż będę miał zdolność kredytową, *heya?*

- Bardzo rozsądnie.

Paul Czoj wzdrygnął się. Serce waliło mu jak młot, gdy obserwował ojca z zapalonym papierosem. Na twarzy Wu nie było złości, chociaż Paul Czoj wiedział, że w tej chwili ważą się jego losy. Przypomniawszy sobie, że 494

prawie krzyknął ze zdziwienia, gdy giełda niemal w jednej chwili się załamała.

Przed zamknięciem kazał Surjaniemu odkupić akcje. Ogarnęła go euforia.

Natychmiast zadzwonił do swojej dziewczyny, tracąc trzydzieści cennych dolarów, aby jej

powiedzieć, że mu się powiodło, miał swój szczęśliwy dzień i tęskni za nią. Ona również zapewniła, że jej go brakuje, i zapytała, kiedy przyjedzie do Honolulu. Nazywała się Mika Kasunari i była *sansei* -

przedstawicielką trzeciego pokolenia Japończyków zamieszkałych w Ameryce. Jej rodzice nie znosili go, bo był Chińczykiem. Domyślał się, że jego ojciec również by jej nienawidził za to, że jest Japonką. Oni jednak byli Amerykanami, spotkali się w szkole i zakochali.

- Już niedługo, kochanie - obiecał. - Na pewno na Boże Narodzenie...

Po dzisiejszym moim wyczynie ojciec na pewno da mi premię...

Z radością wykonywał pracę zleconą przez Gornta na dalszą część dnia. Po południu zadzwonił do niego Poon Ładna Pogoda z wiadomością, że ojciec chce go widzieć o wpół do ósmej w Aberdeen. Zanim tam poszedł, odebrał od Surjaniego wystawiony na ojca czek na 615 000 dolarów hongkongijskich minus opłata maklerska.

Zadowolony przybył do Aberdeen i wręczył ojcu czek. Zdziwił się, gdy ojciec wybuchł gniewem. Tyradę przerwał telefon Phillipa Czena.

- Strasznie mi przykro, że cię rozzłościłem, Szlachetny...

- A więc moja pieczęć i moje bogactwo są twoje, *heya?* - krzyknął nagle Wu Cztery Palce.

- Nie, Szlachetny Ojczy, ale informacja była pewna i chciałem chronić twoje akcje i zarobić dla ciebie pieniądze.

- Nie dla siebie, *heya?*

Nie, Szlachetny Ojczy. Dla ciebie. Żeby zwróciło ci się choć trochę to, co we mnie zainwestowałeś. Akcje są twoje, więc i pieniądze również... (liciałem...

- To żadne przekłete usprawiedliwienie! Chodź ze mną!

Cały roztrzęsiony Paul Czój wstał i poszedł za starym na pokład. Wu /

przekleństwem odprawił goryla i wskazał palcem na wodę w zatoce.

Gdybyś nie był moim synem... - syknął. - Gdybyś nie był moim synem, już by się tam tobą ryby pożywiły!

Tak, Ojczy.

Jeśli jeszcze raz użyjesz bez mojej wiedzy mojego nazwiska lub pie-i/cci, już będzie po tobie.

Tak, Ojczy. - Paul ani przez moment nie wątpił, że Wu nie uląkłby się spełnić swoją groźbę. - Przepraszam, Ojczy. Przysięgam, że to się nigdy nu- powtórzy.

- Dobrze. Gdybyś stracił choć jednego miedziaka, już byś gnił w wo dzie. Żyjesz tylko dlatego, że zarobiłeś.

495

- Tak, Ojczy.

Wu Cztery Palce patrzył na syna, skrywając swój ogromny podziw. 615

000 bez kilku dolarów. Nie do wiary! I to wszystko po kilku telefonach, myślał. To tak samo cudowne jak przerzucenie dziesięciu ton opium przed nosem celników. Chłopak odpłacił wielokrotnie za swoją edukację, a jest tu dopiero trzeci tydzień. Sprytne... Ale i niebezpieczne.

Przeraziła go myśl, że inni też mogliby podejmować za niego decyzje.

Dew neh loh moh, wtedy dałbym im władzę nad sobą i wkrótce wylądował-

bym w więzieniu za ich błędy. A jednak, myślał, barbarzyńcy właśnie tak załatwiają interesy. Syn Numer Siedem nauczył się od nich. Bogowie mi świadkami, że nie chciałem wychować zmi!

Popatrzył na syna. Nie rozumiał go, nie podobał mu się jego barbarzyński sposób mówienia wprost zamiast insynuowania i przekomarzania się jak cywilizowana osoba.

A jednak... A jednak w jeden dzień zdobył ponad 600 000. Gdybym przedtem ja z nim porozmawiał, straciłbym tyle pieniędzy! *Aiii ia!* Tak, moje akcje spadłyby i straciłbym fortunę... ooo!

Po omacku sięgnął po skrzynkę i usiadł roztrzęsiony, tak go przeraziła wizja ruiny.

Nie spuszczał wzroku z syna. Co z nim zrobić? - zadawał sobie pytanie.

W kieszeni czuł czek. To nie do wiary, że jego syn zarobił tyle pieniędzy przez kilka godzin, nie ruszając akcji z miejsca.

- Wyjaśnij mi, jak ten obcy diabeł o ciemnej twarzy i obcym nazwisku zarobił dla mnie tyle pieniędzy?

Paul Czoj spokojnie wyjaśnił działanie mechanizmu giełdy.

Stary zastanowił się.

- A więc jutro powinienem zrobić to samo?

- Nie, Szlachetny Ojczy. Zarobiłeś pieniądze, więc nie trać ich. Dzisiaj wszystko było jasne. Gornt atakował. Nie wiemy, jak jutro zareaguje Noble House ani jak postąpi Gornt. Może po prostu odkupić akcje i wygraną ma w kieszeni. Bardzo niebezpiecznie iść jutro w ślady Gornta.

Cztery Palce wyrzucił papierosa.

- A więc co mam jutro robić?

- Czekać. Giełda obcych diablów jest nerwowa. Radzę czekać i patrzeć, co się dzieje z Victorią i Ho-Pak. Mogę zapytać w twoim imieniu obcego diabła Gornta o Ho-Pak?

-Co?

Paul Ozoj przypomniał ojcu o szturmie na banki i możliwości giełdowej manipulacji.

- A tak, rozumiem... - odrzekł stary. Paul Czoj wiedział, że to niepraw da. - Więc... mam czekać?

496

- Tak, Szlachetny Ojczy.

Cztery Palce z niesmakiem wyjął czek.

- A co z tym przeklętym kawałkiem papieru? Co z tym zrobić?

- Zamienić na złoto, Szlachetny Ojczy. Jego wartość nie maleje. Mogę porozmawiać o tym z Surjanim, jeśli sobie życzysz. On zajmuje się handlem walutą.

- A gdzie miałbym trzymać złoto? - Co innego przemysł złota, a co innego troska o swoje własne.

Paul Czoj wyjaśnił, że niepotrzebne jest fizyczne posiadanie złota.

- Ale ja nie ufam bankom - parsknął z gniewem Wu. - To moje złoto, a nie banku.

- Tak, Ojczy. Ale można by je zdeponować w banku szwajcarskim, a nie hongkongijskim. Tam byłoby całkowicie bezpieczne.

- Gwarantujesz to swoim życiem?

- Tak, Ojczy.

- Dobrze. - Stary wyjął pióro i napisał na odwrocie czeku, żeby Surjani zamienił go na złoto. Dał czek synowi. - Zajmij się tym. A jutro czekamy?

Jutro nie zarobimy pieniędzy?

- Może się nadarzyć jakaś okazja, ale nie gwarantuję. Będę wiedział koło południa.

- Zadzwoń do mnie.

- Tak, Ojczy. Oczywiście gdybyśmy mieli własną giełdę, moglibyśmy obracać o wiele większymi sumami... - Paul Czoj wreszcie wypowiedział na głos swoje najśmielsze marzenie.

- Co takiego?

Młodzieniec zaczął spokojnie wyjaśniać, z jaką łatwością można otworzyć własną giełdę opanowaną przez Chińczyków i jakie nieograniczone zyski mogłaby taka giełda przynieść. Przez godzinę starał się wyjaśniać wszystko jak najprościej i przeciągnąć ojca na swoją stronę.

- Jeśli to takie łatwe, synu, dlaczego nie zajął się tym Tung Zaciśnięta Pięść albo Sung Wielki Hałas, albo Ng Worki Pieniędzy, albo półbarbarzyńca przemytnik złota z Makau, albo bankier Kwang, albo dziesiątki innych, *heya?*

- Może nie wpadli na ten pomysł lub zabrakło im odwagi. Może wolą działać w układzie obcych diabłów: klub jeździecki, klub krykieta, szlachectwo i inne angielskie bzdury. Może boją się iść pod prąd lub brakuje im wiedzy. A my mamy i wiedzę, i możliwości. Ja mam w Żółtych Górach przyjaciela, dobrego przyjaciela ze szkoły, który...

- Jakiego przyjaciela?

- Jest szanghajczykiem, smokiem na giełdzie. Pracuje jako makler w No wym Jorku. Gdybyśmy mieli gotówkę, mogliśmy tego razem dokonać.

Wiem, że udałoby się.

497

- *Aiii ia!* Z barbarzyńcą z Północy? Jak można mu ufać?

- Myślę, że można, Szlachetny Ojczy. Ale ty, oczywiście, lepiej potrafisz oddzielać ziarna od plew.

- Jednak cała władza w Hongkongu należy do obcych diabłów. Cywili-zowanej osobie nie uda się utrzymać konkurencyjnej giełdy.

- Może masz rację, Szlachetny Ojczy - pokornie zgodził się Paul Czoj, nie okazując, jak bardzo się zapalił do tego planu. - Ale Chińczycy uwielbiają hazard. Czy wiesz, Ojczy, że żadna cywilizowana osoba nie jest u nas maklerem?

Dlaczego obce diabły nas nie dopuszczają? Bo boją się, że okażemy się lepsi od nich. Dla nas giełda byłaby najlepszą inwestycją na świecie. Gdy nasi w Hongkongu zorientują się, że nasza giełda stoi przed nimi i ich kompaniami otworem, przyjdą do nas. Obce diabły też będą zmuszone otworzyć swoją giełdę dla nas. A my jesteśmy lepszymi od nich graczami. Szlachetny Ojczy... -

skinął ręką na wybrzeże, na wysokie budynki, łódki, dżonki i pływające restauracje - To wszystko może należeć do ciebie! Dzięki akcjom i giełdzie, a nowoczesny człowiek tak właśnie pojmuje własność!

Cztery Palce palił spokojnie papierosa.

- Jakie koszty pociągnęłaby za sobą giełda, Synu Numer Siedem?

- Przygotowania zajęłyby rok, a początkowa inwestycja... Dokładnie nie wiem. - Serce młodzieńca

ślukło się w piersiach jak oszalałe. Czuł skąp stwo ojca. Możliwości wzbogacenia się na utworzeniu giełdy na tym jesz cze nie podbitym, dającym nieograniczone możliwości kapitalistycznym rynku przyprawiały go o zawrót głowy. Zarobiłby z łatwością... No ile? -

Za tydzień mógłbym przedstawić kosztorys.

Cztery Palce popatrzył na syna i widział jego zapał i rozgorączkowanie.

Podnieca go władza czy pieniądze? - zastanawiał się.

I jedno, i drugie, doszedł do wniosku. Młody w swej głupocie nie wie, że są tym samym. Pomyślał o władzy Phillipa Czena, o potędze Noble House i mocy połówki monety skradzionej przez Johna Czena. Phillip Czen i jego żona też są głupi, mówił sobie w duchu. Powinni pamiętać, że ściany mają uszy i kiedy zazdrosna matka usłyszy tajemnicę, to tajemnica przestaje być tajemnicą. Tak samo płonne są nadzieje obcych diabłów powierzających sobie sekrety w hotelu, że nie wyjdą one poza pokój; ci zarozumialcy uważają, że służba nie zna ich języka i nie ma uszu ani oczu.

Ach, ci synowie, dumał. Synowie są bogactwem ojców, ale czasami bywają przyczyną ich śmierci.

Ludzie są głupi, że ufają synom. Zupełnie głupi. *Heya?*

- Dobrze, mój synu - powiedział. - Przedstaw mi swój plan na papierze i wtedy podejmę decyzję.

498

Phillip Czen wysiadł z taksówki z teczką przyciśniętą do piersi. Kierowca wyłączył licznik i podniósł wzrok. Licznik wskazywał siedemnaście dolarów i osiemdziesiąt hongkongijskich centów. Gdyby to zależało od Philli-pa, nie brałby taksówki od Panoramy Struanow aż do Koulun Tong. Licznik bił przez całą trasę promu. Phillip zapłaciłby za prom piętnaście centów i w Koulunie wziąłby drugą taksówkę. Zaoszczędziłby przynajmniej osiem dolarów. Co za strata pieniędzy, pomyślał.

Uważnie odliczył osiemnaście dolarów. Dodał trzydzieści centów napiwku i poczuł się bardzo szczodry. Kiedy kierowca odjechał, Phillip Czen został

sam na placu.

Koulun Tong było przedmieściem Koulunu pełnym niskich budynków, ludzi i samochodów. Odszukał biegnącą wzdłuż parku Essex Road i ruszył

przed siebie. Teczka wydawała mu się ciężka, ponieważ był pewien, że wszyscy wiedzą, że jest w niej dwieście tysięcy. Denerwował się coraz bardziej. W takim miejscu jak to można załatwić czyjąś śmierć za kilka setek, wystarczy wiedzieć, do kogo się zwrócić. Dla własnego bezpieczeństwa należałoby wynająć armię. Błądził wzrokiem po popękany chodniku. Gdy zbliżał się już do końca alei, zauważył strzałkę skierowaną w stronę ściany.

Zatrzepotało mu serce w piersi i poczuł ból. Paliło się niewiele ulicznych latarni i było ciemno.

Dziurę zrobiono, wyjmując kilka cegieł. W środku zobaczył coś przypominającego zmiętą gazetę. Z wahaniem wyjął papier, upewnił się, że w środku już nic nie ma, i podszedł do ławki pod latarnią.

Usiadł, poczekał, aż oddech mu się wyrówna, i rozwinął gazetę. W środku znalazł kopertę. Była cienka i to go trochę uspokoiło. Obawiał się, że może w niej być drugie ucho.

Idź do Waterloo Road - przeczytał. - Potem się skieruj na północ w stronę koszar i trzymaj się północnej strony drogi. Ostrożnie, już cię śledzimy.

Po ciebie przeszły mu ciarki. Rozejrzał się uważnie dokoła. Nie było widać nikogo. Ani przyjaciół, ani wrogów. Jednak czuł na sobie czyjś wzrok. Teczka zrobiła się jeszcze bardziej ciężka.

O bogowie, chrońcie mnie, modlił się, zbierając odwagę do dalszego działania. Gdzie są, do diabła, ci ludzie Wu Cztery Palce?

Waterloo Road jest niedaleko, pomyślał. Nie zwracając uwagi na ludzi, niczego nie widząc ani nie słysząc, ruszył przed siebie. Sklepy były otwarte, restauracje zapełnione gośćmi. Z pobliskiego nasypu doleciała syrena przejeżdżającego pociągu. Noc była duszna i ponura.

Uszedł pół mili. Razem z innymi ludźmi zatrzymał się, żeby przepuścić ciężarówkę i w tym momencie podeszło do niego dwóch młodzieńców.

- *Tin kun czifukl* - syknął jeden.

-Co?

499

Obydwaj nagabujący go mężczyźni mieli głęboko wciśnięte czapki i ciemne okulary, byli do siebie podobni.

- *Tin kun czy fuk* - powtórzył Kin Znak Ospy. - *Dew neh loh moh*, dawaj teczkę!

- O! - Poblądły Phillip Czen wykonał polecenie.

- Nie oglądaj się za siebie i idź dalej na północ.

- Dobrze, ale dotrzymajcie obietnicy... - Phillip Czen przerwał.

Młodzieńców już nie było. Wydawało mu się, że wszystko trwało niewiele ponad sekundę. Wstrząśnięty, zmusił nogi do ruchu, starając się utrwalić sobie w pamięci jak najwięcej szczegółów z ich twarzy. Nagle wpadła na niego idąca z przeciwka kobieta i zakłęta siarczyście.

- Gdzie przekłeta teczka?

- Co? - wytrzeszczył oczy na staruchę będącą Poonem Ładna Pogoda.

- Gdzie twoja teczka?

- Ci dwaj mężczyźni... - Bezradnie machnął ręką do tyłu. Poon zaklął i zmieszał się z tłumem. Potem włożył palce do ust i głośno zagwizdał. Pojawili się inni ochroniarze i Poon Ładna Pogoda wskazał na dwóch młodzieńców z teczką skręcających z oświetlonej drogi w ciemną alejkę. Pobiegł w tamtą stronę, a reszta za nim.

Kin Znak Osipy i jego młodszy brat bez pośpiechu szli między ludźmi.

Uliczkę oświetlały tylko gołe żarówki przy straganach i światła wystaw.

Uśmiechali się do siebie. Czuli się zupełnie bezpiecznie, zdjęli czapki i okulary. Byli do siebie podobni jak bliźniacy. Zmieszali się z tłumem.

- *Dew neh loh moh*, stary łajdak był przerażony na śmierć! - zachichotał

Kin Znak Osipy. - Jednym krokiem weszliśmy do nieba.

- Tak. A w przyszłym tygodniu, gdy złapiemy jego samego, zapłaci jeszcze więcej.

Roześmiali się i przystanęli, żeby w świetle żarówki zajrzeć do teczki.

Obydwaj westchnęli z lubością na widok plików banknotów.

-*Aiii ia*, naprawdę jednym krokiem weszliśmy do nieba, Starszy Bracie.

Szkoda, że jego syn już nie żyje.

Kin Znak Osipy wzruszył ramionami i poszli dalej. Pewnym krokiem skręcili w mroczną uliczkę.

- Szlachetny Ojciec miał rację. Obróciliśmy pech w szczęście. Nie twoja wina, że ten łajdak miał taką miękką głowę. Gdy wykopimy go i zostawiemy z kartką na piersi na ulicy... - Przerwał, gdy wraz z innymi ludźmi musieli odsunąć się, aby przepuścić rozklekotaną ciężarówkę. Gdy czekali, przypadkiem obejrzał się za siebie. Na końcu uliczki zauważył trzech spieszących w ich kierunku mężczyzn.

- *Dew neh loh moh*, zdrada! - syknął i rzucił się do ucieczki. Brat ruszył

za nim.

500

Strach dodawał im siłę, więc biegli bardzo szybko, roztrzaskując bluźnią-

cych ludzi, przeskakując dziury w chodniku i mijając małe stragany. Pomagała im ciemność. Prowadził Kin Znak Osipy. Przemknął pomiędzy kilkoma straganami i skręcił w wąziutkie, całkiem ciemne przejście. Teczkę kurczowo przyciskał do piersi.

- Uciekaj do domu inną drogą, Młodszy Bracie! - wysapał.

Za rogiem brat pobiegł prosto, a on w lewo. Trzej goniący także się po-dzielili, dwóch pobiegło za nim. W ciemności niemal nie można się było zorientować, gdzie jest jakieś przejście, a gdzie ślepa uliczka. Dyszał ciężko, ale wyprzedzał goniących spory kawałek. Pobiegł na skróty i w pewnym momencie znalazł się w opuszczonym magazynie służącym biedakom za mieszkanie. Nie zwracając uwagi na oglądającą telewizję rodzinę, przemknął się do tylnych drzwi i wybiegł z powrotem na ulicę. Ostrożnie zajrzał

za róg. Kilku ludzi przyglądało mu się z zainteresowaniem, ale ani myśleli go zatrzymać, zbyt dobrze wiedzieli, czym to pachnie.

Po jakimś czasie, w przekonaniu, że jest bezpieczny, zmieszał się z tłumem i szedł wolno z opuszczoną głową. Powoli uspokajał oddech, a w duszy słał przekleństwa Phillipowi Czenowi i ślubował mu zemstę. Świadcami mi wszyscy bogowie, że jak w przyszłym tygodniu go porwiemy, utnę mu nos. Jak on śmiał wezwać policję? Hej, chwileczkę, to była policja?

Idąc w tłumie, od czasu do czasu na wszelki wypadek oglądał się za siebie, ale był już pewien, że nikt go nie ściga. Zaczął myśleć o pieniądzach.

Na co wydam swoje pięćdziesiąt tysięcy? Za czterdzieści kupię mieszkanie i od razu je wynajmę. *Aiii ia*, jestem właścicielem nieruchomości! Kupię sobie rolexa, rewolwer i nowy nóż sprężynowy. Żonie podaruję bransoletkę albo i dwie. Dziś będziemy mieć święto.

Szedł dalej rozradowany. Na straganie ulicznym kupił tanią torebkę i przełożył pieniądze. Na innej ulicy po pięciominutowych targach sprzedał

handlarzowi teczkę Phillipa Czena za przyzwoitą sumkę. Zadowolony z siebie wszedł do autobusu do Koulun City, gdzie ojciec, z dala od ich prawdziwego mieszkania w Wanczi, wynajmował małe mieszkanie pod przybranym nazwiskiem. W autobusie nie zauważył Poona Ładna Pogoda ani nie zwrócił uwagi na dwóch innych mężczyzn, ani nie zaniepokoiła go jadąca z tyłu l;iksówka.

Koulun City była dzielnicą slumsów i biedaków. Kin Znak Ospy czuł się tu bezpiecznie. Gdy Chiny w 1898 roku oddawały Nowe Terytoria w dzied-

nię na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, ustalono, że Koulun City zostanie pod ich panowaniem na zawsze. Teoretycznie teren ten należy do Chin.

Brytyjskie władze, dopóki panuje spokój, nie wkraczają tam. Toteż miejsce to stało się siedliskiem przetwórci opium, szkół nielegalnego hazardu, rajem dla przestępców i idealną lokalizacją siedzib dla triad. Od czasu do 501

czasu policja przeprowadzała naloty. Jednak już następnego dnia życie w Koulunie wracało do normy.

Schody do mieszkania na czwartym piętrze były stare i uginały się pod ciężarem wchodzącego. Kin był już zmęczony. Zapukał specjalnym kodem. Drzwi otworzyły się.

- Witaj, Ojczy, witaj, Czen Psie Ucho. Oto pieniądze. - Zobaczył młodszego brata. - O, tobie też się udało uciec, to dobrze.

- Parszywi policjanci po cywilnemu! Powinno się ich pozabijać! - Kin Pak wymachiwał pistoletem. - Zemścimy się!

- Chyba nie powinniśmy zabijać policjantów. To by ich tylko rozwścieczyło -
zaoponował Czen Psie Ucho.

- *Dew neh loh moh* na całą policję! - zaklął Kin Pak i schował pistolet do kieszeni.

Kin Znak Ospy wzruszył ramionami.

- Mamy pieniądze, a to...

W tym momencie otworzyły się gwałtownie drzwi. Poon Ładna Pogoda i trzech jego ludzie wpadli do pomieszczenia z nożami w dłoniach. Wszyscy zamarli w bezruchu. Nagle Łysy Kin wyciągnął nóż z rękawa i ruszył do przodu, ale zanim mu się udało kogokolwiek dosięgnąć, Poon rzucił nóż i wbił mu w gardło.

Łysy Kin, padając na plecy, złapał za rękojeść. Ani Czen Psie Ucho, ani bracia nie poruszyli się. Patrzyli, jak umiera. Po chwili ciałem przestały szarpać drgawki i znieruchomiało.

- Gdzie Syn Numer Jeden Czena? - zapytał Poon. W ręku trzymał długi nóż.

- Nie znamy żadnego Syna.

Dwaj mężczyźni złapali Kina Znak Ospy i rozcapierzyli mu dłoń na stole. Poon Ładna Pogoda nachylił się i odciął mu palec wskazujący. Kin Znak Ospy poszarzał. Pozostali dwaj znieruchomieli z przerażenia.

- Gdzie Syn Numer Jeden Czena?

Kin Znak Ospy patrzył na odcięty palec i krew lejącą się na stół. Wrzasnął, gdy Poon pochylił się ponownie.

- Nie, nie! - błagał. - On nie żyje.. Nie żyje i pochowaliśmy go. Przysięgam!

- Gdzie?

- Przy Sza... Sza Tin Road. Słuchajcie - charczał. - Podzielimy się z wami pieniędzmi. My... - Skamieniał, gdy Poon Ładna Pogoda przyłożył mu ostrze noża do ust.

- Odpowiadaj na pytania, kupo parszywego gówna, bo utnę ci język! Gdzie rzeczy Syna Numer Jeden! Te, które miał ze sobą?!

- My. . My wszystko wysłaliśmy do Czena z Noble House. Wszystko prócz pieniędzy. Przysięgam. - Skrzywił się z bólu. Dwaj mężczyźni wy-502

kręcili mu ramię. Krzyknął rozpaczliwie: - Wszyscy bogowie świadkami, że to prawda! - Wrzasnął jeszcze raz i zasłabł. W drugiej części pokoju Czen Psie Ucho jęczał ze strachu. Zawył z trwogi, ale jeden z ludzi Poona dał mu w twarz, aż uderzył głową o ścianę i padł nieprzytomny. Wszystkie oczy skierowały się na Kin Paka.

- To prawda! - Był przerażony i zaskoczony tempem akcji. - Wszystko, co powiedział, to prawda.

Poon Ładna Pogoda zaklął.

- Przeszukaliście Czena, zanim go pochowaliście?

-Tak, Panie, ja nie... On... -pokazał drżącą ręką na ciało ojca.-To on.

- Byłeś przy tym?

Młodzieniec zawahał się. W jednej chwili Poon Ładna Pogoda ruszył w jego stronę z szybkością niespotykaną u ludzi w jego wieku. Przyłożył Kin Pakowi nóż do policzka i rozciął skórę pod samym okiem.

- Łzesz!

- Byłem, Panie. Chciałem ci powiedzieć, że przy tym byłem. Nie zamierzam cię okłamywać, Panie. Przysięgam.

- Jeśli następnym razem skłamiesz, stracisz oko. Byłeś przy tym, *heya?*

- Tak... Tak, panie.

- A on tam był? - wskazał na Kina Znak Ospy.

- Nie, Panie. -Aon?

- Tak. Psie Ucho był.

- Przeszukaliście ciało?

- Tak, Panie. Pomagałem ojcu.

- Wszystkie kieszenie?

- Tak, tak, wszystkie.

-Znaleźliście jakieś papiery? Dziennik, notatnik? Bizuterię? Oszalały z przerażenia młodzieniec zastanawiał się. Ostrze noża nadal znajdowało się przy jego twarzy.

- Nie, Panie. Nie przypominam sobie. Wszystkie rzeczy z wyjątkiem pieniędzy wysłaliśmy do jego ojca... Pieniądze zatrzymaliśmy. A... i jesz-i'/.e zegarek. Zapomniałem. To ten! - Wskazał zegarek na nadgarstku ojca.

Poon Ładna Pogoda zaklął. Wu Cztery Palce kazał mu odbić Johna Czeni i zabrać od porywaczy wszystkie jego rzeczy. Przede wszystkim chodziło o monetę albo o część monety. Potem miał się pozbyć porywaczy. Lepiej od razu do niego zadzwonię, pomyślał. Poproszę o instrukcje. Nie chcę popełnić jakiegoś błędu.

- Co zrobiliście z pieniędzmi?

- Wydaliśmy, Panie. Miał tylko kilkaset dolarów i trochę drobnych. Ro zeszyły się.

503

- Chyba kłamie - stwierdził jeden z mężczyzn.

- Nie, Panie, przysięgam! - Kin Pak niemal zalał się łzami. - Nie kłamie.

Proszę...

- Zamknij się! Mam temu poderżnąć gardło? - wskazał na leżącego w kałuży krwi Kina Znak Ospy.

- Nie, jeszcze nie. Niech tam zostanie. Pójdziemy odkopać Syna Numer Jeden Czena. Tak właśnie zrobimy. Mów, zasrańcu, kto go zabił?

Kin Pak bez wahania wskazał na ciało ojca.

- On. To straszne. On jest naszym ojcem i uderzył go łopata. . Uderzył go, bo chciał nam uciec. . Tej nocy, gdy go złapaliśmy. - Młodzieniec trząsał się, miał

bladą twarz, pożerał go strach przed przyłożonym do oka nożem. -To nie moja wina, Panie.

- Jak się nazywasz?

- Su Tak-gai, Panie - podał przygotowane na wypadek niebezpieczeństwa nazwisko.

-Aon?

- Su Tak-tong. -Aten?

- Wu-tip Sup.

- A tamten?

Młodzieniec popatrzył na ciało ojca.

- Su Złoty Ząb, Panie. On był bardzo zły, a my... My musieliśmy go słuchać. Musieliśmy, bo... bo był

naszym ojcem.

- Dokąd zabraliście Syna Numer Jeden Czena, zanim go zabiliście?

- Do Sza Tin, Panie, ale ja go nie zabiłem. Złapaliśmy go w Hongkongu i ukradzionym samochodem zawieźliśmy do Sza Tin. Ojciec wynajął tam taką starą chałupę, zaraz za wioską... Wszystko zaplanował. Musieliśmy go słuchać...

Poon chrząknął i skinął na swoich ludzi.

- Najpierw tu poszukamy. - Natychmiast zrzucili Kina Znak Ospy ze stołu. - *A ty obwiąż mu palec!* - Kin Pak niepewnie wziął szmatę i prawie wymiotując z obrzydzenia, opatrzył bratu ranę.

Poon westchnął. Nie wiedział, co najpierw robić. Po chwili namysłu otworzył torbę. Oczy wszystkich powędrowały na stertę banknotów i zapalały chciwością. Poon przełożył nóż do drugiej ręki i zamknął torbę. Zostawił ją na stole i zaczął przeszukiwać mieszkanie. W środku był tylko stół, kilka krzeseł i łóżko z brudnym materacem. Od ścian odrywała się tapeta, a w oknach brakowało szyb. Odwrócił materac, ale nic nie znalazł. Poszedł do brudnej, prawie pustej kuchni i włączył światło. Potem zajrzał do cuchnącej toalety. Kin Znak Ospy jęknął, wracając do przytomności.

W szufladzie Poon znalazł kilka kartek, atrament i pędzelki do pisania.

504

- Po co to? - zapytał, podnosząc kartkę. Grubymi znakami było na niej wypisane: *Syn Numer Jeden Czena był na tyle głupi, że chciał nam uciec.*

Wilkołakom nikt nie ucieknie. Niech się strzeże cały Hongkong. Nasze oczy są wszędzie! - Po co to, heya?

Kin Pak spojrzał znad podłogi.

- No bo nie mogliśmy oddać żywego Czena i... I ojciec kazał, żeby dzisiaj w nocy go wykopać, powiesić mu na piersiach tę kartkę i zostawić na Sza Tin Road.

Poon Ładna Pogoda przyjrzał mu się uważniej.

- Jak zaczniesz go odkopywać, to lepiej, żeby ci się udało za pierwszym razem i żeby ci szybko poszło - rzucił z niechęcią. - Tak. Bo jak nie, to twoich oczu nie będzie nigdzie!

35 21:30

Po szerokich schodach Orlanda Ramos weszła do przestronnej restauracji

„Latający Smok” w Aberdeen i mijając konwersujących gości bankietu wydanego przez Sir Szi-teha T' Czunga, szukała Linca Bartletta i Casey.

Podczas porannego, dwugodzinnego wywiadu z Linkiem Orlanda wiele się dowiedziała, zwłaszcza o Casey. Instynkt podpowiadał jej, że im wcze-

śniej rozpocznie walkę z przeciwnikiem, tym lepiej dla niej. Bez trudu zdobyła zaproszenie dla obydwójga na ten wieczór. Szi-teh był starym, dobrym przyjacielem Gornta, a jemu spodobał się pomysł z zaproszeniem.

Znajdowali się na najwyższym pokładzie. Przez wielkie okna wpadał do środka przyjemny zapach morza. Noc, choć duszna, nad brzegiem była przyjemna. Wszędzie dokoła widać było światła Aberdeen. Na przystani kołysały się częściowo oświetlone dżonki, na których żyło swoim życiem prawie sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Sala przybrana szkarłatem, zielenią i złotem zajmowała pół długości całej łodzi. Wszystkie trzy pokłady restauracji były ozdobione drewnianymi i gipsowymi jednorożcami, maskaronami i smokami. Pod pokładem w kuchni pracowało dwudziestu ośmiu kucharzy, a każdy miał całą armię pomocników. „Latającego Smoka” obsługiwało czterdziestu dwóch kelnerów. Na pierwszych dwóch pokładach było po czterysta, a na najwyższym dwieście miejsc. Szi-teh wynajął cały najwyższy pokład, który już zapełnił się grupkami niecierpliwych gości, czekających na rozsadzenie przy dwunastoosobowych stolikach.

505

do mnie zadzwonisz albo nawet zaczniesz rozmowę, rozpowiem w całym Hongkongu o twoich szczególnych upodobaniach. - Uprzejmie skinęła Bilt-zmannowi i odeszła.

Po chwili Pugmire wrócił do Amerykanina.

- Ale ciało! - jęknął Biltzmann, nie spuszczając z niej wzroku.

- To... To znana dziwka - powiedział z przekąsem Pugmire. - Mogliby się pośpieszyć z tym jedzeniem. Konam z głodu.

- Należy do kogoś na stałe?

- Tego nigdy nie wiadomo - rzekł Pugmire i zniżył głos: - Nie sądziłem, że Szitii T'Czung ją zaprosi. Chociaż teraz, gdy szlachectwo ma już opłacone i przyznane, pewnie mu nie zależy. Parę lat temu była przyjaciółką...

dziewczyną przyjaciela, ale nie mógł jej dogodzić i znalazła sobie kogoś na boku. Przyłapał ją na tym i dał jej wielkie K.

- Wielkie K?

- Wielkiego kopa, porzucił ją.

Biltzmann nie mógł oderwać od niej oczu.

- Jezu - bąknął. - Nie wiem nic o wielkim K, ale powierzyłbym jej swojego wielkiego.

- Zapewniam cię, staruszk, że to tylko kwestia pieniędzy. Nie jest ich warta. Kiepska jest w tych sprawach, jato wiem. A teraz nie wiadomo jeszcze, kto był przed tobą. - Pugmire zarechotał. - Nie przejmuj się tak bardzo moimi słowami, ale jeśli zdecydujesz się do niej wystartować, to lepiej się odpowiednio zabezpiecz.

Zaraz po przybyciu na bankiet Dunross słuchał jednym uchem recept i planów Richarda Kwanga, jak powstrzymać szturm i jak nieodpowiedzialni są ludzie rozpuszczający plotki.

- Zupełnie się z tobą zgadzam - zapewnił Dunross. Chciał przyłączyć się do towarzystwa stojących w drugim końcu sali członków parlamentu. -Zawsze znajdą się jacyś łajdacy. Przepraszam cię...

- Oczywiście, tai-pan. - Richard Kwang ściszył głos, ale nie udało mu się całkowicie zataić niepokoju. - Będę potrzebował pomocy.

- Wszystko oprócz pieniędzy.

-

Mógłbyś porozmawiać z Johnjohnem w moim imieniu? On...

-Richard, sam wiesz, że on niewiele może. Jedyłą twoją szansą są chińscy przyjaciele. Może Uśmiechnięty Czing?

- Tego sknerusa nie poproszę o złamanego centa! - rzucił zawzięcie Richard Kwang. Uśmiechnięty Czing zmienił umowę i odmówił udzielenia mu pożyczki.

- Staruch nadaje się tylko do więzienia! Na niego ludzie też przypuścili szturm, ale sobie zasłużył. Mnie się wydaje, że to wszystko... to sprawa komunistów. Oni chcą nas zrujnować. Słyszałeś, że kolejka ustawiła się 508

nawet przed oddziałem Victorii w centrum? W Blacs to samo. Tok Wielki Brzuch z Banku Japonii i Wschodniej Azji w ogóle nie otworzył wczoraj drzwi.

- Chryste, na pewno?

- Dzwonił do mnie z prośbą o dwadzieścia milionów. *Dew neh loh moh* na nas, tai-pan, dopóki nie zamkniemy drzwi dla całego Hongkongu. Mamy... -

Wtedy przy wejściu dostrzegł Venus Poon pod rękę z Wu Cztery Palce i serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Dzisiejszego wieczora dostała furii, ponieważ Richard Kwang nie przyniósł jej obiecane futra z norek. Płakała i krzyczała, dołączyła do niej jej *amah* i uspokoił je dopiero obietnicą, że przed wyścigami przyniesie obiecany podarek.

- Zabierzesz mnie do Szi-teha?

- Moja żona zmieniła zdanie i chce iść, więc nie mogę, ale zaraz potem...

- Potem to będę zmęczona! Najpierw nie przynosisz prezentu, a teraz nie chcesz mnie wziąć na przyjęcie! A gdzie naszyjnik obiecany w zeszłym tygodniu? Gdzie moje norki? Założę się, że na plecach twojej żony! *Aiii ia*, moja fryzjerka przyjaźni się z jej fryzjerką, więc się wszystkiego dowiedziałam. Będę musiała się zabić albo przyjąć zaloty Wu Cztery Palce.

-Co?

Richard przypomniał sobie, że prawie dostał wtedy zawału. Krzyczał, że jej mieszkanie kosztuje go fortunę, a ona wydaje tysiąc dolarów tygodniowo na ubrania, ona w odpowiedzi darła się wniebogłosy:

- A co z upadkiem banku? Uda ci się z tego wydostać? Co z moimi oszczędnościami? Są bezpieczne, *heya?*

-*Aiii ia*, ty skąpa dziwko, jakie oszczędności? Te, które ja wpłaciłem na twoje konto? Ha! Oczywiście, że są bezpieczne. Jak w Bank of England.

- Ooo, zostałam bez grosza. Twoja biedna córeczka! Muszę się sprze dać albo popełnić samobójstwo. Tak, tak zrobię! Trucizna... o właśnie.

Najlepiej przedawkować... aspirynę. Ah Pu! Przynieś mi za dużą dawkę aspiryny!

Prosił ją i błagał, aż w końcu zgodziła się oddać mu aspirynę, a on obiecał, że przyjdzie do niej natychmiast po skończeniu przyjęcia. Teraz oczy \\\

yskoczyły mu niemal z orbit, jak widział w drzwiach Venus Poon trzymając pod rękę Wu Cztery Palce. Obydwoje rozpierała duma. Ona ubrana w sukienkę, za którą zapłacił Richard.

- Co się stało, Richard? - zapytał Dunross.

Richard Kwang próbował odpowiedzieć, ale zdołał tylko odwrócić głowę w stronę swojej żony, która oderwała oczy od Venus Poon i popatrzyła na niego.

Cześć - powiedział. Nogi miał jak z waty.

Cześć - odparła słodko Mei-ling Kwang. - Co to za dziwka?

509

- Gdzie?

- No tam.

- A! Jak ona się nazywa... czy to nie ta gwiazdka z telewizji?

- Czy ona nie nazywa się czasem Świerzb w Majtkach Poon? Udawał, że to go rozbawiło, ale bynajmniej nie było mu do śmiechu.

Fakt, że jego ostatnia kochanka przyszła z kimś innym, nie pozostanie w Hongkongu bez echa. Wszyscy poczytają to za oznakę całkowitego upadku finansowego i jako gest dziewczyny ratującej się z tonącej dżonki. A przyjście z jego wujkiem Wu Cztery Palce jedynie pogarszało sprawę. Mogło być świadectwem tego, że Wu wycofał wszystkie swoje bogactwa z Ho-Pak, a więc z pewnością Lando Mata i cały syndykat postąpił tak samo. Wszyscy cywilizowani ludzie wiedzieli, że odkąd umarł Szmugler Mo, Wu jest największym przemytnikiem złota. Oj, nieszczęścia chodzą parami.

- Co? Co mówiłaś?

- Pytałam, czy tai-pan zgodził się wstawić za nami w Victorii.

Ze względu na znajdujących się w pobliżu Europejczyków, przeszedł na kantoński.

- Pech chce, że ten syn ladaczniczy sam ma kłopoty. Nie, nie pomoże nam.

Znaleźliśmy się w tarapatkach nie z naszej winy. Dzień byłby straszny, gdyby nie jedna rzecz. Mieliśmy dzisiaj zysk. Sprzedałem wszystkie akcje Noble House.

- To świetnie. Po ile?

- Zarobiliśmy po dwa siedemdziesiąt na akcji. Wszystko zamieniłem na złoto i zdeponowałem w Zurychu. Na naszym wspólnym koncie - dodał skrupulatnie.

Cały czas zastanawiał się, co zrobić, żeby wyprowadzić żonę z sali, aby móc podejść do Wu i Venus Poon, jakby nic się nie stało.

- Dobrze. Bardzo dobrze - pochwaliła go Mei-ling. Bawiła się naszyjnikami.

Nagle po plecach Richarda Kwanga przebiegł dreszcz. To właśnie ten naszyjnik obiecał Venus Poon! Ooo...

- Dobrze się czujesz?

- Eee, ja... Chyba zjadłem nieświeżą rybę. Muszę iść do łazienki.

- Idź, idź. Zaraz chyba podadzą kolację. Szitii zawsze musi się spóźniać. -

Zauważyła, że Richard spogląda nerwowo w stronę Venus Poon i wujka Wu. - Ta dziwka mnie fascynuje. Jak pójdziesz, przyjrę jej się.

- A może pójdziemy razem? - Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę schodów prowadzących do łazienki. Po drodze uśmiechali się do przyjaciół. Gdy zniknęła w damskiej toalecie, pędem ruszył z powrotem na górę. Natknął się na Sterowca Tunga, zamienił z nim kilka słów i udał, że dopiero teraz zauważył

Cztery Palce.

- O, witaj Szlachetny Wuju - powitał go przyjaźnie. - Dziękuję, że ją przyprowadziłeś. Witaj, kwiatuszku.

510

- Co? - zapytał zaskoczony Wu. - Przyprowadziłem ją dla siebie, nie dla ciebie.

- Tak. I nie jestem twoim kwiatuszkiem! - syknęła Venus Poon i wzięła pod rękę Wu Cztery Palce. Richard Kwang omal nie padł trupem. - Rozmawiałam dzisiaj z fryzjerką. Moje futro z norek nosi ona! Mój naszyjnik, ten, który ma teraz, też. Dzisiaj prawie popełniłam samobójstwo, dlatego że nie podobam się mojemu Szlachetnemu Ojcu... który mnie ciągle tylko okłamuje i okłamuje. Och, chyba znów chcę się zabić!

- Eee, jeszcze nie, mój kwiatuszku - szepnął zaniepokojony Wu Cztery Palce. Wynegocjował już umowę z Uśmiechniętym Czingiem na poszerzenie swojej oferty. - Idź już, bratanku, stawiasz ją w niezręcznej sytuacji. Ona może to zrobić!

Richard Kwang zmusił się do uśmiechu, wybąkał kilka grzecznościowych zwrotów i odszedł cały roztrzęsiony. Wyszedł na klatkę schodową, aby zaczekać na żonę.

- Widzę, że pewna klacz wybiegła na bardziej trawiastą łąkę - zauważył

ktoś złośliwie.

- Co za bzdury! - odparł natychmiast. - Poprosiłem starego durnia, żeby ją przyprowadził, bo ja musiałem przyjść z żoną. Czego ona od niego mogłaby oczekiwać? Czy stary ma jeszcze w sobie wigor wołu? Albo chociaż karłowatego koguta? Nie! *Aiii ia*, nawet Venus, z tym wszystkim, czego ją nauczyłem, nie podniesie czegoś, czego się podnieść nic da. Takie udawanie to dla niego świetny sposób na zachowanie twarzy, *heya?* Ona oczywiście chciała zobaczyć się ze swoim Starym Ojcem. I sama też chciała się pokazać.

- liii, bardzo sprytnie, Richard - odpowiedział mężczyzna i odszedł zamieniwszy kilka słów ze znajomym, który mu natychmiast, pełnym politowania głosem, uświadomił:

- Ha, ty byś połknął kubeł z łajnem, gdyby ktoś ci powiedział, że to wołowina z fasolą. Nie wiedziałeś, że stary Wu Cztery Palce odżywia swoją Pałkę najdroższymi balsamami i maściami, jakie można kupić? W zeszłym miesiącu jego Konkubina Numer Sześć dała mu syna! liii, nie martw się o starego. Zanim Venus Poon pójdzie dzisiaj spać, będzie w ośmiu dialektach błagała o litość dla swej Złotej Zatoki...

- Tai-pan, zostajesz na kolacji? - zapytał Brian Kwok. - Jeśli w ogóle ją podadzą.

- Tak, a co?

- Przykro mi, ale muszę wrócić jeszcze do pracy. Przyślę kogoś innego, żeby cię odstawił do domu.

- Brian, na miłość boską, nie przesadzasz? - zapytał cicho Dunross.

Brian Kwok także zniżył głos.

511

- Chyba nie. Przed chwilą dzwoniłem do Crosse'a dowiedzieć się, co się stało z tymi dwoma Chińczykami sprzed twojego domu. Zmyli się, jak tylko przyjechali nasi chłopcy.

- Może to złodziejaskowie bojący się policji?

Brian Kwok pokręcił głową.

- Crosse jeszcze raz prosił, żebyś dał nam teczki już teraz.

- W piątek.

- Poleciał ci przekazać, że w porcie cumuje sowiecki statek szpiegowski.

Już miało miejsce jedno morderstwo. Został zasztyletowany człowiek ze statku.

Dunross był wstrząśnięty.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Sam chyba na to wpadniesz. Wiesz, co się znajduje w tych raportach.

Muszą być poważne rzeczy, bo inaczej nie stawiałbyś takich oporów...

Albo nie byłbyś taki ostrożny. Crosse mówił... Zresztą nieważne! Ian, jesteśmy przyjaciółmi. Naprawdę się o ciebie martwię. - Brian Kwok przeszedł na kantoński. - Nawet mędrzec może się nadziać na kolce... na zatrute kolce.

- Za dwa dni przyjedzie Wielki Mandaryn. Dwa dni to niedługo.

- To prawda. Jednak przez dwa dni szpieg może nam zadać wiele ran.

Po co kusić demony? To moja prośba.

- Przykro mi, ale nie. Brian

Kwok spoważniał.

- Amerykańscy koledzy prosili o zapewnienie ci ochrony.

- Co za nonsens!

- Żaden nonsens, Ian. Powszechnie wiadomo, że masz fotograficzną pamięć. Im wcześniej oddasz

dokumenty, tym lepiej. Nawet później jednak musisz zachować ostrożność. Dlaczego nie chcesz zdradzić, gdzie są? My byśmy się wszystkim zajęli.

Dunross także spoważniał.

- Wszystko już ustalone, Brian. Trzymajmy się planu.

Wysoki Chińczyk westchnął, a potem wzruszył ramionami.

- Dobrze, szkoda. Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegałem. Gavallan i Jacques też zostają na kolacji?

- Nie, chyba nie. Prosiłem ich, żeby się tylko pokazali. A dlaczego?

- Mogliby z tobą jechać do domu. Proszę cię, nie wychodź nigdzie sam.

Nawet na chwilę. I nie próbuj pozbyć się strażników. Jeśli... hm... będziesz miał jakieś osobiste spotkania, no... randki... wtedy zadzwoń do mnie.

- Ja? Randki? W Hongkongu? Co za pomysły!

- Mówi ci coś nazwisko Džen?

Oczy Dunrossa skamieniały.

- Twoi ludzie potrafią być za głośni.

512

- A ty chyba sobie nie zdajesz sprawy, że bierzesz udział w brudnej rozgrywce, gdzie nie obowiązują zasady z Queensberry.

- Przyjąłem do wiadomości.

- Dobranoc, tai-pan.

- Dobranoc. - -Ruszył w stronę członków parlamentu rozmawiających w rogu sali z Jakiem deVille'em. Na przyjęciu zjawilo się tylko czterech.

Pozostali odpoczywali po ciężkiej podróży. Jacques przedstawił ich. Sir Charles Pennyworth, konserwatysta. Hugh Guthrie, liberał. Julian Broadhurst i Robin Grey, laburzyści. - Cześć, Robin.

- Cześć, Ian. Minęło dużo czasu.

-Tak.

- Wybaczcie mi, panowie, ale musze już iść - oświadczył deVille z za-troskaną twarzą. - Moja żona wyjechała i mam na głowie dziecko.

- Rozmawiałeś z Susanne? - zapytał Dunross.

- Tak, tai-pan. Nic jej nie jest... Nic jej nie będzie. Dziękuję, że zadzwoniłeś do Delanda. Do jutra. Dobranoc, panowie. - Odszedł.

Dunross spojrział z powrotem na Robina.

- Nic się nie zmieniłeś.

- Ani ty - odpowiedział Grey i zwrócił się do Pennywortha: - Sir Charles, poznałem Iana w Londynie zaraz po wojnie. Pracowałem jako kierownik sklepu. - Robin był wysokim mężczyzną o wyrazistych rysach twarzy i siwych włosach.

- Tak, tak, ładnych parę lat minęło od tego czasu - zauważył uprzejmie Dunross, grając dalej rolę, jaką wiele lat temu wyznaczyli mu Robin z Penelopą. - Jak długo zamierzacie zostać, Robin?

- Tylko kilka dni - wyjaśnił Grey. Uśmiechnął się powściągliwie. - Nigdy jeszcze nie byłem w tym rajku robotników i chciałem odwiedzić kilka związków zawodowych. Zobaczyć, jak żyje pozostałych dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi.

Sir Charles Pennyworth, przewodniczący delegacji, roześmiał się. Był

rumianym mężczyzną o nienagannych manierach, byłym pułkownikiem londyńskiego regimentu szkockiego, odznaczony medalem DSO.

- Robotnicy za wiele się tu chyba nie zajmują związkami, prawda, tai-pan?

- Nasi ludzie radzą sobie bez nich - zapewnił gorąco Dunross.

- Wasze statystyki wykazują, że ludzie pracują w pocie czoła - odparował natychmiast Grey.

- Nie nasze statystyki, tylko wasze - sprostował Dunross. - Tutaj ludzie są najlepiej opłacani w całej Azji. Nie licząc Japonii. Poza tym to wolne społeczeństwo.

513

- Wolne? Daj spokój - rzekł Grey. - Bo wolno wykorzystywać robotników?

Ale to nic. Gdy Partia Pracy wygra następne wybory, zmienimy to.

- Daj spokój, Robin - przywołał go do porządku Sir Charles. - Partia Pracy nie ma szans w następnych wyborach.

Grey uśmiechnął się.

- Nie byłbym tego taki pewien. Ludzie w Anglii zmienili się. Nie wszyscy biliśmy się na wojnie za stare złe porządki. Laburzyści chcą zmian socjalnych.

Postulują, żeby robotnicy mieli zysk z tego, co wytwarzają.

- Zawsze uważałem, że socjaliści nadużywają słowa „robotnicy”. I mówią tak, jakby to robotnicy robili wszystko, a my nic. My też jesteśmy robotnikami.

My też pracujemy ciężko, przypuszczalnie ciężiej i dłużej niż oni.

- Tak, ale ty jesteś tai-panem i mieszkasz w wielkim domu, który odziedziczyłeś w spadku razem z władzą. A wszystkie pieniądze wydane na budowę tego domu pochodzą z potu biednych ludzi. Że nie wspomnę już o handlu opium. Uczciwie będzie, gdy wszyscy dostaną równe szanse na start i jednakowy dostęp do kapitału. Bogaci powinni płacić więcej podatków. Im szybciej upadną wielkie fortuny, tym lepiej dla Anglików, nie, Julian?

Julian Broadhurst był wysokim, dystygowanym mężczyzną po czterdziestce, filarem Fabian Society - intelektualnego zaplecza socjalizmu.

- No cóż, Robin - powiedział powolnym, niemal rozwlekłym tonem. - Nie jestem, tak jak ty, zwolennikiem budowania barykad, ale sądzę, panie Dunross, że tu, w Hongkongu, moglibyście stworzyć ludziom odpowiednie warunki socjalne, zaplecze medyczne i zapewnić wszystkie przywileje, jakie wprowadziliśmy w Wielkiej Brytanii.

- Myli się pan całkowicie, panie Broadhurst. Chiny nie zgadzają się na status kolonii i nie pozwolą na wprowadzenie na swoim terenie jakichkolwiek zmian.

A co do reszty, to kto miałby za to płacić? - zapytał Dunross. Nasz nieskrępowany system znacznie przewyższa brytyjski...

- Wy powinniście za to zapłacić ze swoich dochodów, Ian - podkreślił z uśmiechem Robin Grey. - Powinniście płacić uczciwy podatek, a nie piętnaście procent. Powinniście płacić tyle co w Wielkiej Brytanii...

- Boże ucho! - wykrzyknął Dunross, ledwie panując nad nerwami. -

Opodatkowaliście się od obrotu i od...

- Zysku? - wtrącił liberał Hugh Guthrie. - Ostatni rząd laburzystowski pozbawił nas parę lat temu części zysków i wydawał go wielce nierozsądnie, doprowadzając do rozpadu Imperium i wyprowadzając Anglię na manowce.

Cholernie śmieszne!

- Rząd laburzystowski - wyjaśnił dobitnie Robin Grey - postępował

zgodnie z wolą ludzi, zgodnie z wolą mas.

- Bzdura! Zgodnie z wolą wroga - komunistów. Przez osiemnaście lat straciliśmy największe imperium, jakie widział świat, i spadliśmy na drugi plan, a Sowieci zajęli większą część Europy. Cholernie śmieszne.

- Z całego serca zgadzam się, że komunizm jest zły Jednak co do straty imperium, to przyczynił się do tego wiejący po świecie wiatr zmian. - Powiedział

uspokajająco Broadhurst. - Kolonializm już: się przeżył. Musisz patrzeć perspektywicznie.

- Patrzą. Uważam, że płyniemy w górę rzeki bez wiosła. Churchill jak zwykle miał rację.

- Ludzie są innego zdania - zaproponował Grey. - Dlatego nie zdobył głosów.

Wybory wykazały, że ludzie już go mieli dosyć. A co do kolonializmu, Hugh, to nie był on niczym innym, jak tylko wykorzystywaniem tubylców nie mających niczego innego do wyboru. - Grey spojrział na ich twarze. Przywykł już do otaczającej go nienawiści. Sam nienawidził ich jeszcze bardziej. Po wojnie chciał

zostać w wojsku, ale nie przyjęto go. Podczas gdy on siedział jako jeńiec w Changi, na wojnie hojnie rozdawano awanse, więc kapitanów było w bród. Pełen złości i rozczarowania zatrudnił się jako mechanik samochodowy w wielkiej fabryce Crawleya. Po krótkim czasie został kierownikiem sklepu i organizatorem związków zawodowych w fabryce, a potem niższym urzędnikiem w radzie głównej związków zawodowych. Pięć lat temu został posłem z ramienia laburzystów jako błyskotliwy i ostry dyskutant oraz protegowany działacza lewicowego Aneurina Bevana. - Tak, wyparliśmy Churchilla i gdy w przyszłym roku przejmie władzę, zmienimy reguły działania i weźmiemy się za uprzywilejowane klasy. Zracjonalizujemy przemysł...

- Doprawdy, Robin - przerwał mu Sir Charles. - Jesteśmy na bankiecie, nie w Hyde Parku. Umówiliśmy się, że podczas tej podróży nie dyskutujemy na tematy polityczne.

- Racja, Sir Charles. Odpowiadam po prostu na pytanie tai-pana Noble House.

- Grey zwrócił się do Dunrossa: - A jak tam Noble House?

- Dziękuję, dobrze.

-W dzisiejszej gazecie napisano, że zaczęła się wyprzedaż waszych akcji.

- Jeden z naszych wrogów próbuje swoich sztuczek, to wszystko.

A co ze szturmem na banki? Też nic niepokojącego?

- Nie, to już poważniejsza sprawa. - Dunross uważnie dobierał słów.

Wiedział, że parlamentarne lobby antyhongkongijskie jest bardzo silne i członkowie wszystkich trzech partii opowiadają się przeciwko kolonialnemu statusowi Hongkongu, przeciwko ich niegłosowaniu i przeciwko ni skim podatkom. Nic nie szkodzi, pomyślał. Od 1841 roku przeżyliśmy

już niechęć parlamentu, pożar, tajfuny, zarazę, plagę, embargo, depresję, oku pację i okresowe konwulsje targające Chinami i wszystko jakoś się kręci.

515

- Ludzie dokonują masowych wypłat z Ho-Pak.. to chiński bank - powiedział

Dunross.

- Największy, prawda? - zapytał Grey.

- Nie, ale duży. Wszyscy mamy nadzieję, że jakoś sobie poradzi z kłopotami.

- Jeśli bank upadnie, co się stanie z pieniędzmi depozytorów?

- Stracą je - przyznał zrezygnowany Dunross zapędzony w pułapkę.

- Potrzebujecie angielskiego prawa bankowego.

- Nie, nasz system działa bardzo sprawnie. A co sądzicie o Chinach? -Dunross zmienił temat, aby nie dopuścić do rozwinięcia tej dyskusji.

Zanim Sir Charles odpowiedział, wtrącił się Grey:

- Wydaje nam się, że są niebezpieczne, wrogo nastawione i trzeba się od nich odizolować i zamknąć granicę z Hongkongiem. Jawnie chcą się stać światem wrogiem, a ich komunizm służy umacnianiu dyktatury i wyzyskowi mas.

Dunross i inni *yan* z Hongkongu zbledli.

- Daj spokój, Robin - zareagował ostro Sir Charles. - To tylko pogląd twój i kom... eee... McLeana. Ja jestem przeciwnego zdania. Uważam, że Chiny bardzo uczciwie zabierają się za rozwiązywanie swoich gigantycznych problemów.

- Znosi się tutaj na większe kłopoty - rzucił z przekąsem Grey. - Nawet Rosjanie to wiedzieli. I dlatego zostali wyrzuceni.

- Wyrzuceni zostali dlatego, że są wrogami i dlatego jeszcze, że mają pięć tysięcy mil wspólnej granicy. - Dunross starał się powstrzymać złość. - Nastają na siebie od wieków. Zdobycie Chin jest od bardzo dawna rosyjską obsesją.

- Przesadza pan, panie Dunross - rzekł powątpiewająco Broadhurst.

- Rosja dąży do osłabienia Chin i zdestabilizowania Hongkongu. Podwaliną rosyjskiej polityki zagranicznej jest słabość Chin.

- Rosja jest przynajmniej krajem cywilizowanym - zaznaczył Grey. -

Czerwone Chiny przerażają fanatyzmem i powinno się zapobiegać rozprze-strzenianiu tej zarazy. Zwłaszcza poprzez Hongkong.

- Śmieszne - obruszył się Dunross. - Chiny to najstarsza cywilizacja na ziemi.

Chiny w desperacji szukają przyjaciół na Zachodzie. Chiny najpierw były chińskie, a dopiero potem komunistyczne.

- To Hongkong i wy, „kupcy”, utrzymujecie komunistów przy władzy.

- Bzdury! Mao Tse-tung i Czou En-lai tak samo potrzebują w Pekinie nas, jak i Rosjan.

- Według moich ustaleń - odezwał się Hugh Guthrie - Czerwone Chiny są tak samo niebezpieczne jak Rosja radziecka.

- Nie ma porównania! - zaperzył się Grey. - W Moskwie jedzą nożem i widelcem! A w Chinach mają tylko zepsute jedzenie, brudne hotele i dużo częściej gadaniny.

516

- Zupełnie cię nie rozumiem, chłopie - rzekł Sir Charles. - Walczyłeś jak diabli, żeby dostać się do tej delegacji, uchodziłeś za zainteresowanego sprawami Azji, a teraz nic, tylko narzekasz.

- Krytycyzm to nie narzekanie, Sir Charles. Fakt, jestem przeciwny udzie-laniu Chinom jakiegokolwiek pomocy. I zaraz po powrocie bezzwłocznie zaproponuję zmianę statusu Hongkongu. Będę dążył do nałożenia embarga na handel z Chinami, do natychmiastowego przeprowadzenia tutaj wyborów, wprowadzenia podatków i przeniesienia na ten grunt brytyjskiej sprawiedliwości społecznej.

Dunrossowi zadrżał podbródek.

- Zniszczysz naszą pozycję w Azji!

- Pozycję tai-panów, tak. Ale nie pozycję ludzi! Rosja ma rację co do Chin.

- Ja mówię o wolnym świecie! Dla wszystkich powinno być jasne, że Rosja sowiecka dąży do naszej destrukcji i do dominacji nad światem! Chiny nie! - tłumaczył z zaangażowaniem Dunross.

- Mylisz się, Ian. Drewno nie powinno przysłać drzewa - rzekł Grey.

- Posłuchaj! Jeśli Rosja...

- Rosja teraz boryka się z własnymi problemami, panie Dunross - przerwał Broadhurst. - Jednym z nich jest powstrzymanie naporu USA. Oni po prostu chcą mieć spokój i żeby egzaltowani Amerykanie trzymali się od nich jak najdalej... razem z tymi swoimi bombami nuklearnymi.

- Bzdury! Jankesi są naszymi jedynymi przyjaciółmi - rzekł rozgniewany Hugh Guthrie. - A co do Sowietów, to czy zapomnieliście o Zimnej Wojnie?

Berlin, Węgry, Kuba, Egipt... Połykają nas po kawałku.

Sir Charles Pennyworth westchnął ciężko.

- Życie jest dziwne, a pamięć krótka. W czterdziestym piątym, drugiego maja wieczorem, w północnych Niemczech spotkaliśmy się z Rosjanami.

Nigdy w życiu nie byłem taki szczęśliwy i dumny, tak, tak, dumny. Razem śpiewaliśmy, piliśmy, wznosiliśmy toasty. Potem moja dywizja, tak samo jak wszystkie inne alianckie dywizje, została wycofana z tej części Niemiec, z Bałkanów, Czechosłowacji, Polski i innych miejsc po to, żeby mogli tam wejść Rusczy. Wtedy wiele się nad tym nie zastanawiałem. Dzięki wałem Bogu, że wojna nareszcie zbliża się do końca, i cieszyłem się, że mamy w Rosji sojusznika. Ale teraz, patrząc z perspektywy, wiem, że my, żołnierze, zostaliśmy zdradzeni. Tak samo zresztą jak żołnierze rosyjscy.

Najzwyczajniej nabici w butelkę. Naprawdę nie wiem, jak to się stało, ale mam świadomość, że zostaliśmy zdradzeni przez naszych przywódców, przez cholernych socjalistów z Eisenhowerem na czele. Przysięgam na Boga, że dotąd nie wiem, jak to się stało, ale straciliśmy na wojnie. Wygraliśmy ją, ale na niej straciliśmy.

517

- E. . tam, Charles, zupełnie nie masz racji. Wszyscy wygraliśmy - po wiedział Broadhurst. - Świat wygrał, a niemieccy naziści zostali... - Prze rwał, widząc gwałtowną zmianę na twarzy Robina Greya. - Co się stało, Robin?

Grey bardzo uważnie przyglądał się komuś z drugiej strony sali.

- łan, widzisz tego faceta tam, obok tego Chińczyka? Znasz go? Tego wysokiego w blezerze.

Nie mniej zaskoczony Dunross spojrział w drugi koniec sali.

- Ten z jasnymi włosami? Chodzi ci o Marlowe'a, o Petera...

- Pieprzony Peter Marlowe! - warknął Grey. Co. . Co on robi w Hongkongu?

- Przyjechał po prostu z wizytą. Ze Stanów. Jest pisarzem. Zbiera materiały do książki o Hongkongu.

- Pisarzem? Dziwne. To twój znajomy?

- Poznałem go kilka dni temu. A dlaczego pytasz?

- Ta obok niego to jego żona?

- Tak. Fleur Marlowe, a co?

Grey nie odpowiedział. W kąciku jego ust pojawiła się kropelka śliny.

- Co cię z nim łączy, Robin? - zapytał Broadhurst.

Grey z wielkim wysiłkiem oderwał wzrok od Marlowe'a.

- Siedzieliśmy razem w Changi, Julian. W japońskim obozie jenieckim. Ja przez ostatnie kilka lat byłem komendantem żandarmerii, żeby utrzymać dyscyplinę. -

Otarł pot z nad górnej wargi. - Marlowe zajmował się tam czarnym rynkiem.

- Marlowe? - zapytał zadziwiony Dunross.

- Tak, tak. Porucznik Marlowe. Angielski dżentelmen. - Grey mówił głosem pełnym goryczy. - Razem ze swoim kołesiem, Amerykaninem... kapralem Królem.

Oprócz nich jeszcze Timsen, Aussie... Ale najważniejszy był Król. Teksańczyk. U

niego na garnuszku siedzieli pułkownicy, majorowie, kapitanowie, wszyscy angielscy dżentelmeni. Marlowe służył mu za tłumacza w rozmowach z koreańskimi i japońskimi strażnikami.. Zwykle z Koreańczykami, Boże, najgorsi pod słońcem.. - Grey zakasłał. - Jak to niedawno. Marlowe i Król żyli sobie jak paniska, jedli co najmniej jedno jajko dziennie, a my głodowaliśmy. Możecie sobie wyobrazić, jak. . - Grey znów otarł pot z twarzy.

- Jak długo byliście jeńcami? - zainteresował się Sir Charles.

- Trzy i pół roku.

- Straszne - przeraził się Hugh Guthrie. - Mój kuzyn pracował przy budowie kolei w Birmie. Okropieństwo.

- Było strasznie - potwierdził Grey. - Ale nie tym, którzy handlowali. Obojętnie, czy przy budowie kolei, czy w Changi. - Oczy mu nabiegły krwią.

518

Rzekł rozdrażniony do Sir Charlesa: - Marlowe'owie tego świata zdradzili nas, nas, zwykłych ludzi urodzonych bez przywilejów. - W jego głosie pojawiło się jeszcze więcej goryczy. - Teraz rachunki się wyrównają. Boże, muszę się napić. Przepraszam na chwilę. - Odszedł w stronę barku.

- Niesłychane - skomentował Sir Charles.

, • Guthrie westchnął i zaśmiał się nerwowo.

-

Przez chwilę myślałem, że ruszy z pięściami na tego Marlowe'a.

Wszyscy patrzyli za Greyem. Broadhurst zauważył, że Dunross zmarszczył brwi, a jego twarz

nabrała ostrego, odpychającego wyrazu.

- Proszę się nim nie przejmować, panie Dunross. Obawiam się, że on jest trochę przemęczony i... pochodzi z nizin społecznych. Jednak... no cóż, bynajmniej nie jest reprezentacyjnym członkiem Partii Pracy. I Bogu dzięki.

Spodobałby się panu nasz nowy przywódca, Harold Wilson. Gdy odwiedzi pan Londyn, jeśli będzie miał pan czas, z przyjemnością go panu przedstawię.

- Dziękuję. Teraz zastanawiam się nad Marlowe'em. Trudno uwierzyć, żeby mógł handlować albo kogoś zdradzić.

- Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Ze szklaneczką whisky z wodą sodową Grey przeszedł na drugi koniec sali.

- No, no, no, przecież to porucznik Marlowe!

Zaskoczony Peter Marlowe odwrócił się. Gdy stanęli naprzeciw siebie, uśmiech zniknął z jego twarzy. Fleur Marlowe zamarła w bezruchu.

- Witaj, Grey - powiedział obojętnie. - Słyszałem, że jesteś w Hongkongu.

Czytałem twój wywiad w popołudniowej gazecie. - Zwrócił się do żony. -

Kochanie, to Robin Grey, członek parlamentu. - Przedstawił go też Chińczykom, wśród których znajdował się Sir Szi-teh TCzung.

- Ach, pan Grey, co za zaszczyt, że pan przyszedł - powiedział Szi-teh po angielsku z oksfordzkim akcentem. Był wysoki, przystojny, więcej w nim było z Europejczyka niż z Chińczyka. - Mam nadzieję, że spodoba się panu w Hongkongu. Jeśli będę mógł w czymś pomóc, proszę tylko szepnąć słówko.

- Dziękuję - odparł bez entuzjazmu Grey. Wszyscy dostrzegli jego niechęć.

- No, Marlowe, tak bardzo się nie zmieniłeś.

- Ty również. Dobrze wyglądasz. - Marlowe wyjaśnił pozostałym: -Znamy się z Greyem z czasów wojny. Nie widzieliśmy się od czterdziestego piątego roku.

- Byliśmy jeńcami - powiedział Grey. - Znajdujemy się po dwóch różnych stronach sceny politycznej. - Przerwał, żeby przepuścić Orlandę Ra-mos.

Uśmiechnęła się do Szi-teha i poszła swoją drogą. Grey obejrzał się za nią. -

Marlowe, nadal zajmujesz się handlem? - Dla Marlowe'a, w którego 519

rodzinie od wielu pokoleń mężczyźni zasilali szeregi oficerów armii brytyjskiej,

„handel” był zajęciem wulgarnym i przystającym jedynie niższym klasom.

- Jestem pisarzem - odpowiedział spokojnie. Spojrzał na żonę i uśmiechnął się do niej samymi oczami.

- Myślałem, że zostaniesz w RAF. Byłeś przecież zawodowym oficerem.

- Nie przyjęli mnie ze względu na stan zdrowia. Wykończyła mnie malaria i tego typu sprawy... - powiedział Marlowe z akcentem podkreślającym jego dobre urodzenie, bo wiedział, że tym może doprowadzić Greya do furii. - A ty zasiadasz w parlamencie? Sprytnie. Reprezentujesz Streatham East? Chyba tam się urodziłeś?

Grey zrobił się czerwony.

-Tak, tam...

Szi-teh wyczuł jego zakłopotanie i budzące się między nimi napięcie.

- Muszę. . eee, muszę zobaczyć, co z kolacją. - Odszedł. Pozostali Chiń czycy przeprosili i podążyli za nim.

Fleur Marlowe postanowiła wybawić ich z niezręcznej sytuacji.

- Peter, kochanie, chyba powinniśmy poszukać naszego stolika.

- Świetny pomysł, pani Marlowe - powiedział Grey. Podobnie jak Peter Marlowe musiał mocno nad sobą panować. - Jak tam Król?

- Nie wiem. Nie widziałem go od czasów Changi. - Marlowe popatrzył na Greya z góry.

- Ale utrzymujecie ze sobą kontakt?

- Nie. Już nie.

- Dziwne. Byliście sobie tacy bliscy. - Grey skierował wzrok na Fleur Marlowe i pomyślał, że to najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu. Taka ładna, miła i taka angielska, jak jego była żona Trina, która wyjechała z Amerykaninem miesiąc po otrzymaniu wiadomości o zaginięciu Greya podczas akcji. Po jednym miesiącu. - Wie pani, że byliśmy w Changi wrogami, pani Marlowe? - powiedział

z uprzejmością, która przestraszyła Fleur.

- Peter nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał. Ani z nikim, kogo znam.

- Dziwne. Wiele tam przeżyliśmy. Ja nie zapominałem niczego.. Przepraszam, że przeszkodziłem. -

Spojrzał na Marlowe'a. Chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i odszedł.

- Och, Peter, co to za okropny człowiek - zachnęła się Fleur. - Aż dostałam gęsiej skórki.

- Nie przejmuj się, kochanie.

- Dlaczego byliście wrogami?

- Nie teraz, później. - Uśmiechnął się. - On się dla nas nie liczy.

520

36

21:45

Zanim Orlanda znalazła Linca Bartletta, on zauważył ją i aż mu dech w piersiach zaparło. Nie mógł się oprzeć porównaniu jej z zajętą rozmową z Andrew Gavallanem Casey. Orlanda ubrana była w sięgającą do ziemi suknię z białego jedwabiu. Dzięki głębokiemu dekolтови na plecach widać było jej złote ciało. Casey miała zieloną suknię, którą widział wiele razy, i rozpuszczone, opadające na ramiona włosy.

- Przyjdziecie obydwójcie na dzisiejsze przyjęcie Szi-teha? - zapytała rano. -

To się może okazać ważne dla ciebie i twojej Casey.

- Dlaczego?

- Ponieważ prawie wszystkie tego typu imprezy w Hongkongu służą temu samemu. Nie można robić w Hongkongu interesów i nie pokazywać się w towarzystwie takich ludzi jak Szi-teh, nie bywać w klubie jeździeckim, w klubie krykietowym... także w tym klubie, chociaż to niemożliwe.

- Dlatego, że jestem Amerykaninem?

- Dlatego, że ktoś musi umrzeć, żeby zwolniło się miejsce. Dla Szkota lub Anglika. - Roześmiała się.

- Lista oczekujących jest tak długa jak Qu-eeen's Road! Tam wstęp mają tylko mężczyźni, jest bardzo tłoczno, stoją stare skórzane fotele, a starszycy zasypiają przy trzygodzinnym lunchu, czytają

„The Timesa” i tak dalej.

- Do diabła, to musi być fascynujące!

Znów się roześmiała. Miała białe zęby. Spotkali się na śniadaniu i Bar-tlett odkrył, że to przyjemność z nią gawędzić. Radość sprawiała mu też jej obecność. Powabnie pachniała perfumami. Casey rzadko używała perfum.

Mówiła, że to rozprasza pertraktujących z nią biznesmenów. W nowoczesnym hotelu „Mandaryn”,

zapropionowanym przez Orlandę, zjedli na śniadanie tosty, jaja na chrupiącym bekonie i wypili kawę. Casey nie jadała śniadań. Wypijała tylko kawę, czasami zagryzając tostem lub rogalem.

Wywiad poszedł gładko i czas upłynął im szybko. Bartlett nigdy dotychczas nie przebywał w towarzystwie dziewczyny tak mocno, a jednocześnie tak dyskretnie, manifestującej swoją kobiecość, Casey była chłodna, konkretna i bezpośrednia, zupełnie pozbawiona będącej atrybutem jej płci bezradności czy kokieterii.

- To jest ta Orlanda? - zapytała Casey.

- Tak - odparł, bezskutecznie próbując odgadnąć jej wrażenie. - Co o niej sądzisz?

Bombowa!

- Z której strony?

521

Casey uśmiechnęła się. Odwróciła się do Gavallana, który starał się skoncentrować i grzecznie podtrzymać rozmowę, jednak myślami cały czas uciekał do Kathy. Gdy wieczorem wyznała mu wszystko, chciał przy niej zostać, ale nalegała, żeby tu przyszedł, bo to dla niego ważne.

- Znasz ją, Andre w?

- Kogo?

- Tę dziewczynę w białym.

- Gdzie? A tak, ale tylko ze słyszenia.

- Dobra czy zła?

- Hm... to zależy od punktu widzenia, Casey. Jest Portugalką, oczywiście Euroazjatką. Kilka lat była przyjaciółką Gornta.

- Kochanką?

- Tak, to chyba odpowiednie słowo - powiedział uprzejmie, choć nie podobała mu się dosłowność Casey. - Jednak są to bardzo intymne sprawy.

- Gornt ma dobry gust. Linc, wiedziałeś, że byli ze sobą na stałe?

- Tak, mówiła mi rano. Poznałem ją u Gornta kilka dni temu. Przyznał, że nadal pozostali przyjaciółmi.

- Gorntowi nie można ufać - ostrzegł Gavallan.

- Słyszałam jednak, że ma wielu zwolenników. Zarówno w Hongkongu, jak i poza nim. Z tego co wiem, jest w lepszej kondycji niż wy. Na pewno słyszałaś, że chce, abyśmy z nim podpisali umowę.
- Nie jesteśmy w złej kondycji - obruszył się Gavallan. Spojrzał na Bartletta.
- Podpisujemy umowę?
- We wtorek, jeśli będziecie gotowi.
- Już jesteśmy gotowi.
- Ian chce, żebyśmy do niedzieli milczeli, i to nam odpowiada - powiedziała Casey. - Prawda, Linc?
- Jasne. - Bartlett obejrzał się za Orlandą. Casey podążyła za jego wzrokiem.

Zauważyła, że dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach.

- Z kim ona rozmawia, Andrew? - Zauważyła eleganckiego pięćdziesięciolatka o interesującym wyglądzie.

- To Lando Mata. Też Portugalczyk. Z Makau. - Gavallan zastanawiał się, czy Dunrossowi udałoby się nakłonić Matę do wsparcia swoimi milionami Noble House na giełdzie. Co bym zrobił na miejscu tai-pana? Dalej jutro bym odkupywał czy zgodziłbym się na propozycję Lando Maty i Zaciśniętej Pięści? Z

ich milionami Noble House, choć straciłby wyłączność na panowanie, zyskałby bezpieczeństwo na wiele pokoleń. Na razie nie ma się czym martwić. Poczekaj, aż sam zostaniesz tai-panem, pomyślał. Potem zauważył, że Mata uśmiechnął się do Orlandy, a później obydwójce obejrze-522

li się za siebie i ruszyli w ich stronę. Utkwił wzrok w nie skrupowanych niczym pod jedwabiem piersiach Orlandy. Ma twarde sutki, myślał, dobry Boże, nawet Venus Poon nie ośmieliłaby się założyć takiego stroju. Gdy podeszli, przedstawił ich i cofnął się, aby móc lepiej widzieć piersi Orlandy.

- Witaj - zwróciła się ciepło Orlanda do Casey. - Linc opowiadał mi dużo o tobie i o tym, jak wiele dla niego znaczysz.

- Ja też o tobie słyszałam. - Casey odpowiedziała prawie tak samo życzliwie. Jednak jakaś obca nuta zagrała w jej głosie. Jesteś ładniejsza, niż mówił Linc, pomyślała. O wiele ładniejsza. A więc mamy tu Orlandę Ramos. Cudowną, pięknogłosą, kobiecą piranię, która ostrzy sobie zęby na mojego Linca. Jezu, co ja powinnam teraz zrobić?

Prowadziła mało znaczącą konwersację, ale bez przerwy myślała o Orlandzie Ramos. Z drugiej strony przydałby się Lincowi romans. Trochę opadłaby z niego gorączka. Zeszłej nocy pragnął mnie tak samo jak ja jego.

Miał rację, że kazał mi wtedy odejść. Ale jeśli ona porwie go swoją magią, to czy zdołam go

odzyskać? A może Orlanda to jeszcze jedna dziewczyna, która ani dla mnie, ani dla niego nic nie znaczy?

Nie, doszła do wniosku Casey. Mogę albo czekać trzynaście tygodni plus cztery dni i zacząć bój, albo nie czekać i... też zacząć.

Uśmiechnęła się.

- Masz wspaniałą suknię, Orlando.

- Dziękuję. Mogę mówić ci po imieniu?

Obydwie wiedziały, że wstąpiły na ścieżkę wojenną.

Bartlettowi wydawało się, że Casey polubiła Orlandę. Gavallan zachwycony całą czwórką przyglądał im się z boku. Wytworzyło się między nimi niezwykle ciepło, zwłaszcza między Orlandą i Bartlettem.

Zwrócił uwagę na Matę i Casey. Mata czarował ją swym urokiem i bawił

się nią jak rybką. Ciekawe, jak daleko się posunie, głowił się. Dziwne, że Casey wcale nie przejmuje się Orlandą. Na pewno musiała zauważyć, że jej facet zadurzył się. A może to uszło jej uwagi? Albo oni naprawdę są tylko współnikami w interesach i niczym więcej. Albo ona tak naprawdę woli kobiety. Lub jest tylko oziębła. Jakaż to by była szkoda!

- Jak się pani podoba Hongkong, panno Casey? - zapytał Mata, zastanawiając się, jaka ona jest w łóżku.

- Obawiam się, że niewiele jeszcze widziałam, chociaż byłam już na Nowych Terytoriach popatrzeć na Chiny.

- Chciałaby pani tam pojechać? Do Chin? Powiedzmy do Kantonu. Mogę zorganizować pani zaproszenie.

Była zdumiona.

- Ale przecież to zabronione... nasze paszporty nie są tam ważne.

523

- O, paszport nie będzie potrzebny. ChRL się tym nie przejmuje. Kilku *quai loh* w Chinach nie stanowi problemu. Dadzą wizę na papierze, pod-stemplują i tyle.

- Ale nasz Departament Stanu... Chyba nie mogłabym sobie pozwolić na takie ryzyko.

Bartlett pokiwał głową.

- My się boimy wejść nawet do tutejszego komunistycznego domu to-warowego.

- Tak, rzeczywiście, wasz rząd dziwnie postępuje - zgodził się Mata. -

Jakby wejście do sklepu miało jakieś znaczenie. Słyszeliście plotki o „Hiltonie”?

- Jakie?

- Podobno zakupiono do nowego hotelu wspaniałą kolekcję chińskich antyków. - Mata uśmiechnął się. - Nabyli je tutaj i Stany zdecydowały, że nie można ich używać. Nawet w Hongkongu. Wszystko leży w magazynie.

Tak przynajmniej głosi plotka.

- Możliwe.

- Casey, musi pani zdecydować sama - zasugerował Mata. - Proszę iść do sklepu na Queen's Road. Nazywa się „Chińskie Rzemiosło i Sztuka”.

Ceny są rozsądne, a komuniści naprawdę nie mają rogów ani ogonów.

- Nic nadzwyczajnego - stwierdził Bartlett. - Na wiele rzeczy kręciłabyś nosem, Casey.

- A ty byłeś? - zapytała zaskoczona.

- Jasne.

- Ja rano zabrałam Linca - wyjaśniła Orlanda. - Było nam po drodze.

Miło mi będzie iść także z tobą, Casey. Jeśli oczywiście chcesz.

- Tak, dziękuję - odrzekła bez entuzjazmu. Wyczuwała niebezpieczeń-

stwo. - Tylko że w Los Angeles mówiono mi, że takie sklepy służą amerykańskim komunistom za skrzynki kontaktowe.

- Jak dla mnie, to zwykły sklep, Casey - powiedział Bartlett. - Z wyjątkiem kilku plakatów Mao nie widziałem nic specjalnego. Chociaż ceny są wypisane, można się targować i dostać upust, jakiego w życiu nie widziałas.

Szkoda, że nie wolno nic stamtąd zabrać do domu. - Stany nałożyły embargo na wszelkie towary z Chin, nawet znajdujące się od stu lat w Hongkongu antyki.

- Nie ma sprawy - wtrącił się Mata, zastanawiając się natychmiast, ile mógłby zarobić na pośrednictwie. - Jeśli chcecie coś kupić, mogę pomóc.

- Ale i tak nie będziemy mogli wwieźć tego do Stanów, panie Mata -

przypomniała Casey.

- Nic trudnego. Cały czas pomagam w tym przyjaciołom ze Stanów. To co oni kupią, ja wysyłam do swojej kompani w Manili albo do Singapuru, 524

a tam produkty dostają świadectwo pochodzenia. Filipińskie lub malajskie. Do wyboru.

- Ale to oszustwo. Przemyt!

Mata, Gavallan i Orlanda roześmiali się, a Gavallan rzekł sentencjonalnie:

- Handel rządzi światem. Objęte embargiem produkty z Tajwanu i USA dostają się jakoś do ChRL, a tamtejsze produkty do Ameryki i na Tajwan. Jeśli oczywiście jest na nie zbyt.

- Wiem - powiedziała Casey. - Ale to chyba nie w porządku.

- Rosja sowiecka chce was zniszczyć, a wy i tak prowadzicie z nią interesy

- nie omieszkał wytknąć Gavallan.

- My osobiście nie - odezwała się Casey. - Par-Con nie. Chociaż bliscy byliśmy sprzedaży komputerów. Nie mogliśmy się dogadać co do zysku. Rząd prowadzi jakąś wymianę, ale jedynie ściśle określonych towarów. Pszenica i tym podobne.

- Tam gdzie są klienci, na pewno znajdzie się sprzedawca - powiedział

poirytowany jej słowami Gavallan. Wyrzwał przez okno i zamarzył, aby znaleźć się w Szanghaju. - Weźmy na przykład waszą Algierię, mam na myśli Wietnam.

- Proszę? - zapytała Casey.

- Wietnam ma dla was takie samo ekonomiczne znaczenie jak dla Francji Algieria.

- Nigdy nie wejdziemy do Wietnamu - rzucił pewny siebie Bartlett. - Bo niby po co? Wietnam się dla nas nie liczy.

- Zgoda - mruknął Mata. - Jednak Stany rozszerzają tam swoje wpływy.

Wydaje mi się, panie Bartlett, że zostaniecie wessani jak w próżnię.

- W jakim sensie?

- Wydaje mi się, że Sowieci chcą was zwabić do Wietnamu. Wy wysłaliście tam swoich żołnierzy, a oni nie. Wy będziecie walczyć z Wietnamczykami w dżungli, a Sowieci wygrają. CIA już rośnie tam w siłę. Założyli linię lotniczą.

Nawet teraz za amerykańskie pieniądze buduje się lotniska. Napływają coraz nowi żołnierze.

Niektórzy już walczą.

- Nie wierzę. - Casey wydeła usta.

- Może pani nie wierzyć. Te oddziały nazywają się Siły Specjalne, a inaczej Delta Force. Przypuszczam, że Wietnam przysporzy niestety waszemu rządowi sporo problemów.

- Kennedy dał sobie radę na Kubie, to poradzi sobie też z Wietnamem.

Wymierzył Sowiecom Wielkiego K wtedy, dołoży im i teraz. Wygramy -

prorokował Bartlett.

Gavallan patrzył z rozbawieniem.

- Powinieneś porozmawiać o Kubie z Ianem, jego te sprawy bardzo ob chodzą. On twierdzi, a ja się z nim zgadzam, że przegraliście. Sowieci wciąż-

525

gnęli was w kolejną pułapkę. Niemal jawnie wybudowali swoje bazy, żebyście mogli je wykryć, a gdy już to zrobiliście, zaczęły się pogrożki i świat zamarł z przerażenia. W zamian za wycofanie się Sowieców z Kuby wasz prezydent zgodził się zerwać z doktryną Monroe'a, na której opierał się cały wasz system bezpieczeństwa.

- Co takiego?

- Oczywiście. Czyż Kennedy nie dał Chruszczowowi pisemnej obietnicy, że nie najedzie na Kubę i nie dopuści do inwazji z innej części Ameryki i całej zachodniej półkuli? Na piśmie! Tak więc teraz sowiecka Rosja, całkowicie wbrew waszej doktrynie Monroe'a, jak najbardziej jawnie zajęła pozycję dziewięćdziesiąt mil od waszego wybrzeża, na granicy pisemnie zagwarantowanej przez prezydenta i ratyfikowanej przez kongres. Ten wielki K

zamienił się w piwojakiego nie naważył jeszcze nikt w historii. Wszystko za nic!

- Gavallan zniżył głos. - Teraz Kuba jest dzięki wam absolutnie bezpieczna i Sowieci mogą się przygotowywać do ekspansji na całą Amerykę Południową...

Chryste wszechmogący, zadziwiające zwycięstwo.

Zszokowana Casey wpatrywała się w Bartletta.

- Tak, Linc, to nie w porządku.

Bartlett był równie mocno wstrząśnięty jak ona.

- Chyba... Tak... To możliwe...

- Ian jest o tym przekonany - zapewnił Gavallan. - Porozmawiajcie z nim o tym. I chociaż lubimy Kennedy'ego jako człowieka, uważamy, że tu, w Wietnamie, też może ulec manipulacji. Azja to nie Europa czy Ameryka. Tutaj ludzie inaczej myślą, inaczej swoje myśli wyrażają. . mają inne wartości.

Nagle zapadło milczenie.

- A zatem uważacie, że będzie wojna? - zapytał po chwili Bartlett.

- Wy nie musicie się przejmować! Par-Con z pewnością nieźle na tym wyjdzie. Zajmujecie się przemysłem ciężkim, komputerami, pianką poli-uretanową, przemysłem petrochemicznym, sprzętem komunikacyjnym. . Jeśli wybuchnie wojna, to z waszymi produktami i naszą wiedzą... hm... niebo nie ma granic.

- Chyba nie bardzo podobałby mi się taki zysk. - Casey zirytowała się. -To ohydny sposób zarabiania forsy.

- Podobnie jak wiele innych rzeczy na tej ziemi. - Gavallan był bezlitosny. -

Także złych, nieuczciwych... - Zamierzał dać jej nauczkę za przerwanie rozmowy z Bartlettem, ale doszedł do wniosku, że ani po temu czas, ani miejsce, więc dodał grzecznie: - Ale oczywiście masz rację. Nikt nie chce czerpać korzyści z zabijania. Przepraszam na chwilę. . Wiedziecie, że każdy ma wyznaczone miejsce? Kolacja lada moment.

Odszedł.

526

- On mnie chyba wcale nie lubi - westchnęła Casey.

Roześmiali się z tonu jej głosu.

- Miałaś rację, Casey - rzekła Orlanda. - Tak... tak. Wojna to okrutna rzecz.

- Byłaś podczas wojny tutaj? - zapytała niewinnie Casey.

- Tak, w Makau. Jestem Portugalką. Matka opowiadała mi, że tam nie było tak źle. Japończycy nie interesowali się Makau, bo Portugalia pozostała neutralna -

powiedziała z czarującym uśmiechem Orlanda. - Mnie oczywiście trudno cokolwiek pamiętać, mam dopiero dwadzieścia pięć lat. Gdy wojna się skończyła, byłam siedmiolatka. Makau jest bardzo ładne, Casey. Zupełnie inne niż Hongkong. Spodobałoby się i tobie, i Lincowi. Warto je zobaczyć. Z przyjemnością posłużę za przewodnika.

Na pewno, pomyślała Casey, czując się staro ze swoimi dwudziestoma sześcioma latami przy Orlandzie, która miała skórę jędrną jak siedemnastolatka.

- Byłoby wspaniale. Lando, co z Andrew? Dlaczego był taki zły? Dlatego, że jestem kobietą i zajmuję wysokie stanowisko?

- Wątpię. Andrew na pewno przesadza - odparł Mata. - Chodzi chyba o to, że nie jest zbyt proamerykański i do szaleństwa doprowadza go to, że Stany, a nie Imperium Brytyjskie, grają rolę arbitra światowych konfliktów i, według niego, popełniają błędy. Obawiam się, że zgodziłaby się z nim większość Brytyjczyków!

Częściowo chodzi tu o zazdrość. Jednak z Andrew musisz być cierpliwa. Mimo wszystko wasz rząd w czterdziestym piątym oddał Hongkong Czangowi i dopiero interwencja brytyjskiej marynarki to zmieniła. Amerykanie stanęli po stronie Rosji w Suezie i wsparli Żydów w Palestynie. Takie przykłady można mnożyć. Wielu z nas teraz również uważa, że waszej obecnej wrogości wobec Chin nie da się rozsądnie uzasadnić.

- Przecież tam są tacy sami komuniści jak w Rosji! Chcą z nami wojny, a my tylko staramy się bronić wolności w Korei Południowej. Nie mamy zamiaru atakować pierwsi.

- Zawsze w historii Chiny przekraczały Jalu, gdy obcy najeźdźcy zbliżali się do ich granicy. Zawsze. Zdaje się, że wasz MacArthur jest historykiem -

tłumaczył cierpliwie Mata, zastanawiając się, czy w sprawach łóżkowych też jest tak mało bystra. - Powinien o tym wiedzieć. Albo on, albo prezydent musi mieć świadomość, że Chiny nie pozwolą tak blisko podejść do siebie. Mam co do tego absolutną pewność.

- Ale przecież my nie jesteśmy najeźdźcami! To Korea Północna zaatakowała Południową. Wydajemy miliony, żeby ludzie mogli pozostać wolni.

- Przerwała z ulgą, gdy po sali rozniósł się szmer i ludzie ruszyli do stoli ków. Pojawili się kelnerzy ze srebrnymi tacami. - Dzięki Bogu! Konam z głodu.

527

- Ja też - wyznał Bartlett.

- Szitii i tak się dzisiaj pośpieszył - rzekł ze śmiechem Lando Mata. -

Orlando, powinnaś ich uprzedzić, że przed bankietem u Szitii zawsze trzeba coś przekąsić.

Orlanda tylko się uśmiechnęła.

- Orlanda ostrzegła Linca, a on mnie, ale sądziłam, że wytrzymam.

Spojrzała na swą niższą o głowę rywalkę. Po raz pierwszy w życiu poczuła się duża i niezdarna. Mówiąc szczerze, myślała, odkąd wyszłam z hotelu i zobaczyłam na ulicy te chińskie dziewczyny ze smukłymi dłońmi, taliami, czarnymi oczami i włosami, poczułam się wielka i obca. Tak, teraz już rozumiem, dlaczego tak się za nami oglądają. Za nami i za innymi opasłymi, głośnymi turystami.

Mimo to, Orlando Ramos, chociaż jesteś taka piękna i mądra, jak ci się przynajmniej wydaje, nie pasujesz do Linca Bartletta. Więc lepiej zabieraj stąd swój tyłek!

- Następnym razem, Orlando, bardziej sobie wezmę do serca twoje ostrzeżenia - powiedziała łagodnie Casey.

- Teraz proponuję już iść, ja też jestem głodna - zawołała Orlanda.

- Zdaje się - zauważył Mata - że siedzimy przy tym samym stoliku. !

Przyznaję, że ja się o to postarałem. - Zadowolony z siebie poszedł przedem, coraz bardziej podniecała go myśl o zaciągnięciu Casey do łóżka. ; Zdecydował się, w chwili gdy ją zobaczył. Częściowo dlatego, że kontrastowała swym wzrostem, urodą i wydatnym biustem z dziewczynami azjatyckimi.

Częściowo dlatego, że zaproponowała mu to Orlanda. Ale najbardziej dlatego, że nagle przyszło mu do głowy, że jeśli rozbije związek Casey-Bartlett, Par-Con nie wkroczy do Azji. Lepiej, póki się da, trzymać tych Amerykanów z ich sztywną, niepraktyczną moralnością z daleka od naszych terenów. A poza tym jeśli Dunross nie będzie miał Par-Con, sprzeda mi kontrolny pakiet akcji. I później stanę się w końcu tai-panem Noble House, na przekór wszystkim Dunrossom i Struanom.

O Madonna, życie naprawdę jest wspaniałe. Dziwne, że ta dziewczyna może stać się kluczem do zamknięcia Azji, pomyślał. Oczywiście można ją kupić. To tylko kwestia ceny.

23:01

Kolacja składała się z dwunastu dań. Wątróbki drobiowe w sosie z kuropatw, zupa z płetwy rekina, kurczak pieczony. Chińska zielenina, groszek, brokuły i wiele innych warzyw z mięsem krabów, skórka z pieczonej pekińskiej kaczki podlanej śliwkowym sosem, z dodatkiem krajanej cebulki dymki i cienkiego jak papier pieczywa, grzyby gotowane i rybnie żołądki z ryżem w stylu Jangczow i domowym makaronem. A potem deser. Ziarna lotosu na słodko i lilie w ryżowym kleiku. I przez cały czas herbata.

Mata i Orlanda pomagali Casey i Bartlettowi. Jedynymi Europejczykami przy ich stoliku byli jeszcze Fleur i Peter Marlowe. Chińczycy podali swoje wizytówki, głównie po to, by przyjąć wizytówki innych.

-O! Umiecie jeść pałeczkami! -Chińczycy chórem wyrazili swoje zdziwienie, a potem przeszli na kantoński. Obwieszona biżuterią kobiety obgadywały Casey, Bartletta i Marlowe'ów. Przekazywały sobie komentarze dyskretnie ze względu na obecność Maty i Orlandy.

- Orlanda, co oni mówią? - zapytał cicho Bartlett.

- Rozprawiają o tobie i Casey - powiedziała, nie wdając się w szczegóły i nie precyzując, że komentarze dotyczą wielkości biustu Casey, pochodzenia jej ubrań, ich ceny, braku biżuterii i jak to jest być takim wysokim. O Bartlecie mówili niewiele, zastanawiali się tylko, czy to prawda, że należy do mafii, jak sugerowała jedna z gazet.

Orlanda nie wątpiła, że to nieprawda. Wiedziała jednak też, że powinna zachowywać się ostrożnie w obecności Casey. Nic zbliżać się do niego za bardzo, a już w żadnym razie nie dotykać go. A dla niej być słodka i próbować zbić ją z tropu.

Do każdego z dań podawano z brzękiem nowe talerze. Jedni kelnerzy poganiali drugich, aby wymiana szła sprawniej.

Trzy poziomy niżej, w kuchni, było istne piekło. Ogromne półokrągłe woki podgrzewano doprowadzanym na statek gazem. Niektóre z nich służyły do gotowania na parze, inne do obsmażania, jeszcze inne do właściwego smażenia, duszenia, gotowania białego ryżu. Mięso piekło się na ruszcie opalonym drewnem.

Dwudziestu ośmiu kucharzy wraz z armią pomocników przygotowywało mięsa i warzywa, skubało kurczaki, zabijało i patroszyło ryby, homary, kraby i wykonywało tysiące innych czynności niezbędnych w chińskiej kuchni, na przykład gotowanie każdego dania oddzielnie dla każdego z gości.

Restaurację otwierano o dziesiątej rano, a kuchnię zamykano przed jedenastą wieczorem, a czasami - gdy wydawano specjalne przyjęcie - jesz-529

cze później. Jeśli gospodarz wieczoru był dość bogaty, mógł zamówić dancing lub występy artystów. Dzisiaj, choć nie planowano występów ani dancingu, wszyscy wiedzieli, że dochody z napiwków Szitii T' Czunga będą bardzo wysokie, ponieważ należał on do ludzi hojnych. Panowało takie przekonanie nawet mimo podejrzeń, że większość z jego pieniędzy przeznaczanych na cele charytatywne trafiała do żołądków jego gości lub do sklepów, w których ubierały się jego przyjaciółki. Słynął

również ze skąpstwa wobec rodziny i mściwości w stosunku do wrogów.

Nic nie szkodzi, myślał szef kuchni. Na tym świecie człowiek musi mieć delikatne usta i ostre zęby.

- Szybciej! - krzyczał. - Mam czekać całą przekłętą noc? Krewetki! Przynieść krewetki! - Spocony pomocnik w starym podkoszulku przybiegł z bambusowym koszykiem świeżo złowionych, pokrojonych krewetek. Szef kuchni wrzucił je do woka, dodał garść glutaminianu sodu, dwukrotnie zamieszał i wyjął. Położył na dwóch talerzach po garści gotowanej na parze zielonej fasoli, a potem po równo posypał je krewetkami.

- Niech wszyscy bogowie spaskudzą krewetki! - zaklął. Po dziesięcio-godzinnej pracy bolały go nogi i brzuch. - Wysłać je na górę, zanim ostygną! *Dew neh loh moh*, szybko... to moje ostatnie polecenie. Czas do domu!

Pozostali kucharze, klnąc przy gotowaniu, również wydawali ostatnie rozkazy.

Wszyscy z niecierpliwością czekali na koniec pracy.

- Szybko! Na górę!

Nagle młody pomocnik niosący pojemnik z tłuszczem potknął się i rozlał

tłuszcz na ogień. Wtedy zaczęło się prawdziwe piekło. Płomień buchnął na twarz i włosy wrzeszczącego kucharza. Ktoś złapał wiadro z wodą i wylał na ogień. Część płomieni zamieniła się w dym. Rozkrzyczani kucharze uciekali w popłochu. W

powietrzu unosił się czarny, ciężki dym z łoju.

Człowiek znajdujący się najbliżej klatki schodowej złapał za gaśnicę, skierował wąż w stronę ognia i pociągnął za rączkę. Nie zadziałała. Pociągnął za rączkę jeszcze raz, a ktoś inny wyrwał mu gaśnicę i miotając przekleństwa, bezskutecznie próbował ją uruchomić, a potem cisnął na podłogę. Druga gaśnica również była zepsuta. Personel nigdy nie zatroszczył się, aby je wypróbować.

- Niech bogowie przeklną te wymysły sparszywiałych obcych diabłów!

- zaklął kucharz, szykując się do ucieczki. W drugim końcu kuchni przestra szony kulis, uciekając przed ogniem, stracił półkę ze słojami. W niektórych znajdowały się stuletnie jaja, a w innych olej sezamowy. Olej natychmiast się zapalił i kulis zniknął w płomieniach. Pożar ogarnął połowę kuchni.

Minęła północ i kolacja dobiegła już niemal końca. Na najwyższym pokładzie

„Latającego Smoka" znajdowało się jeszcze kilkoro ludzi. Większość Chińczyków, między innymi Wu Cztery Palce i Venus Poon, wyszli 530

jeszcze przed ostatnim daniem. Chiński *savoir-vivre* nakazywał wychodzenie z uczyty zaraz po skończeniu ostatniej potrawy. Pozostali tylko Europejczycy, raczący się koniakiem, porto i cygarami.

Na nabrzeżu Chińczycy oblegali stoliki do gry w *ma-dżong*. Dokoła rozchodził

się dźwięk rozrzuconych płytek z kości słoniowej.

- Czy pan gra w *ma-dżong*, panie Bartlett? - zapytał Mata.

- Nie. Proszę mi mówić po imieniu.

- Powinieneś się nauczyć. To lepsze niż brydż. Grasz w brydża, Casey? Linc Bartlett roześmiał się.

- Niezły z niej szuler, Lando. Lepiej nie graj z nią na pieniądze.

- Może zagralibyśmy kiedyś, co? Ty też grasz, Orlando, prawda? - zapytał

Mata, przypominając sobie, że Gornt jest zapalonym brydżystą.

- Tak, trochę - odpowiedziała niewinnie Orlanda. Mogę się założyć, że ta dziwka jest taką samą szulerką jak ja.

- Uwielbiam grać - rzekła słodko Casey.

- Świetnie, może w przyszłym tygodniu... - mówił Mata. - O, cześć, tai-pan!

Dunross powitał wszystkich uśmiechem.

- Jak wam smakowała kolacja?

- Fantastyczna! - powiedziała Casey. Podobał jej się Dunross w smokingu. -

Przyłączysz się do nas?

- Dziękuję, ale...

- Dobry wieczór, tai-pan. - Dianne Czen podeszła z synem Kevinem, przysadzistym młodzieńcem o czarnych, kręconych włosach i wyrazistych wargach.

Dunross przedstawił ich.

- Gdzie Phillip?

- Miał przyjść, ale dzwonił, że coś go zatrzymało. Życzę dobrej nocy... -

Dianne i Kevin uśmiechnęli się, a potem ruszyli w stronę drzwi. Casey i Orlanda wprost pożerały wzrokiem biżuterię Dianne.

- Muszę iść - powiedział Dunross.

- Jak było przy twoim stoliku?

- Dość męcząco - przyznał, po czym roześmiał się swym zaraźliwym śmiechem.

Siedział z członkami parlamentu, Gorntem, Szi-tehem i jego Żoną Numer Jeden i oprócz odgłosów sztućców przy ich stoliku słyhać było jedynie wybuchy gniewu. -

Robin Grey za dużo mówi, a za mało wie. Mieliśmy gojuż dosyć. Na jakiś czas ja i Gornt stanęliśmy pojednej stronie. Nas pierwszych obsługiwano, więc Szi-teh z żoną mogli szybko uciec. Na piętnaście minut przedtem miał już dość wszelkich elit. Roześmiali się. Dunross obserwował Marlowe'a. Zastanawiał się, czy wie, że Grey jest jego szwagrem.

531

- Zdaje się, że Grey dobrze pana zna, panie Marlowe.

- Ma dobrą pamięć, tai-pan, ale brakuje mu manier.

- Nie znam się na tym, ale jeśli zacznie przeforsowywać swoją koncepcję w parlamencie, Hongkongowi pomoże jedynie sam Bóg wszechmogący. No ale chciałem tylko życzyć wam wszystkim dobrej nocy. - Uśmiechnął się do Casey i Bartletta. - Co powiecie na wspólny lunch, Jutro?

- Świetna myśl - ucieszyła się Casey. - Przyjdiesz do „Victoria and Albert”? - Zauważyła, że po drugiej stronie sali Gornt podnosi się do wyjścia.

Zastanowiła się, kto wygra. - Przed kolacją Andrew powiedział...

Podobnie jak pozostali goście usłyszała krzyki. Zapadła cisza i wszyscy nasłuchiwali.

- Pożar!

- Chryste, patrzcie! - Przerażeni spojrzeli na pomieszczenie dla kelnerów i zauważyli wydobywający się ze środka dym, a potem języki ognia.

Po krótkiej chwili niedowierzania ludzie zerwali się. Ci stojący najbliżej wyjścia ruszyli do drzwi. Zrobił się straszny tłok. Inni zaczęli krzyczeć.

Dunross skoczył na równe nogi i pociągnął za sobą Casey. Mata podobnie jak wielu innych gości ruszył biegiem do stłoczonej przy wejściu gromady.

- Spokojnie! - Dunross przekrzykiwał hałas. Wszyscy zatrzymali się. -

Nie ma się co spieszyć... Mamy dużo czasu... Nie trzeba biegać. Jeszcze nie jest niebezpiecznie. - Pocieszył tylko tych mniej przestraszonych, którzy cofnęli się od obłożonych drzwi. Na klatce schodowej kłębiły się tłumy, narastała panika.

Nie wszystkich poruszył pierwszy krzyk o niebezpieczeństwie. Gornt ani drgnął. Pykał tylko dymem z cygara i starał się skoncentrować. Haver-gill z żoną i lady Joanną podeszli do okna, obserwując ludzi tłoczących się przy głównym wejściu.

- Chyba nie ma powodów do obaw, kochanie - uspokajał Haver-gill. - Gdy tłum się wysypie, my po prostu sobie wyjdziemy.

- Widziałeś, jak uciekał Biltzmann? - spytała lady Joanna. - Co za tchórz!

- Rozejrzała się i zobaczyła Bartletta wraz z Casey czekających u boku Dunrossa. - O, myślałam, że tych dwoje też weźmie nogi za pas!

- Ależ droga Joanno, nie wszyscy Jankesi to tchórze!

Nagle z pokoju dla kelnerów buchnął kłęb dymu. Okrzyki znów zaczęły się wzmacniać.

- Łan, jest tu drugie wyjście? - zapytał Bartlett, myśląc o drugim końcu sali, bliżej ognia.

- Nie wiem - odparł Dunross. - Rozejrzyj się, ja spróbuję uspokoić ludzi. -

Bartlett odszedł, a Dunross powiedział na głos: - Nie ma powodów do strachu! - Fleur Marlowe zbladła, ale nie traciła panowania nad sobą.

532

Przerażona Casey patrzyła na ludzi przy drzwiach. Orlanda stała sparaliżowana, zdruzgotana. - Orlando, wszystko jest w porządku - zapewnił mocnym głosem. -

Nie ma niebezpieczeństwa.

Gornt wstał i podszedł blisko wyjścia. Wiedział, że na schodach musi panować zamęt. Okrzyki i wrzaski potęgowały strach. Sir Charles Penny-worth starał się zaprowadzić jakiś porządek. Dym zaczął gęstnieć. Boże drogi, pomyślał Gornt, cholerny pożar, pięćdziesiąt osób w jedne drzwi. Nagle spojrzał na bar. Podszedł

do niego i ze spokojem nalał sobie whisky z wodą sodową. Jednak po plecach spływał mu pot.

Na poziomie drugiego pokładu Lando Mata potknął się, upadł, a o niego przewracali się kolejni ludzie, między innymi Dianne Czen z Kevinem, tworząc zator na jedynej drodze ucieczki. Dopiero Pugmire'owi udało się przytrzymać poręczy i utrzymać na nogach. Dzięki swojej sile uchronił przed upadkiem ludzi schodzących za nim. Dopomógł mu w tym Julian Broadhurst. We dwóch powstrzymywali prących z tyłu ludzi, ale stopniowo zaczynali tracić siły. Pugmire poczuł, że poręcz wysuwa mu się z dłoni. Dziesięć stopni niżej Lando Mata zdołał

wstać i przeciskał się przez tłum na dół. Podnosząc się Dianne Czen nie zauważyła, że jakaś kobieta zerwała jej z szyi brylantowy naszyjnik i schowała do kieszeni.

Bijący od dołu dym budził coraz większy strach. Pugmire puścił poręcz. Napierający ludzie przycisnęli go do ściany, a Broadhursta przewrócili. Znow zaczęła się kotłowanina.

Gdy pożar zaczął ogarniać statek, Wu Cztery Palce i Venus Poon znajdowali się na najniższym poziomie, więc kilkoma susami dotarli do schodni i zeszli na ląd.

Stojąc bezpiecznie na nabrzeżu, Wu patrzył na statek. Oddychał ciężko i mocno biło mu serce. Ze zdobionego wyjścia wysypywali się mężczyźni i kobiety, z okien wydobywał się dym. Znajdujący się w pobliżu na patrolu policjant zauważył pożar, a potem pędem ruszył do najbliższego telefonu. Wu cały czas starał się uspokoić oddech. Zobaczył miotających się Richarda Kwanga z żoną i zaczął się śmiać.

Venus Poon również uważała, że wyglądają zabawnie. Gapie gromadzili się w bezpiecznym miejscu i - nie myśląc nawet o udzieleniu jakiegokolwiek pomocy -

przyglądali się rozwojowi sytuacji. Mają rację, pomyślał Wu. Nie wolno ingerować w boskie wyroki. Bogowie postępują według własnych zasad i sami decydują o dżosie człowieka. Mnie było przeznaczone uciec z pożaru i cieszyć się tą dziwką. O

bogowie, sprawcie też, żebym utrzymał swoje Cesarskie Żelazo, aż ona zacznie błagać o litość.

- Chodź, kwiatuszku - powiedział do Venus Poon. - Zostawmy ich dżo-sowi.

Szkoda czasu.

- Nie, Ojciec - zaprotestowała natychmiast - Za chwilę przybędą kamery telewizyjne. Musimy dbać o swój image, *heya?*

- Image? Łóżko czeka...

533

- Później - odpowiedziała stanowczo, a on ledwie powstrzymał się, żeby nie zakląć. - Nie chcesz być uważany za bohatera? Może dadzą ci szlachec two jak Szitii. - Pobrudziła sobie dłonie, twarz, ostrożnie zerwała ramiączko sukienki i podeszła do schodni, skąd łatwo można ją było dostrzec. Wu Cztery Palce patrzył na nią ze zdziwieniem. Szlachectwo *quai loki* Jak Szitii?

- myślał. liii, czemu nie. Ostrożnie, unikając najmniejszego niebezpieczeństwa, ruszył w jej ślady.

Widzieli wydobywające się z komina języki ognia i wyglądających przez okna wszystkich trzech pokładów przestraszonych ludzi. Na nabrzeżu gromadził się coraz większy tłum. Niektórzy krztusili się od dymu. Przy wejściu uciekający ludzie znow zaczęli się przewracać, a Wu nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Podobnie jak inni gapie.

Na najwyższym pokładzie Bartlett spojrział z tarasu przez poręcz w dół.

Zobaczył zgromadzony na nabrzeżu i kotłujący się przy wejściu tłum. Nie było żadnych bocznych schodów, żadnej drabiny ani innej drogi ucieczki. Serce waliło mu jak młot, ale nie bał się. Na razie jeszcze nie ma niebezpieczeństwa, pocieszał

się. Możemy skoczyć do wody. To tylko jakieś trzydzieści, czterdzieści stóp.

Wrócił biegiem do pełnej dymu i ognia sali. Z przewodów wentylacyjnych wydobywały się czarne kłęby.

Bartlett natychmiast zamknął za sobą drzwi, aby nie robić przeciągu. Z

pokoju dla kelnerów wypełzały języki ognia i buchał coraz większy dym. W

powietrzu czuć było zapach palonego mięsa. Prawie wszyscy tłoczyli się przy wyjściu, jedynie Gornt, stojąc samotnie z boku i popijając whisky, obserwował

rozwój akcji. Ma łajdak zimną krew, pomyślał Bartlett. Ostrożnie omijając wejście do pokoju kelnerów, niemalże wpadł na wydzierającego się do telefonu Christiana Toxe'a.

- Ja nie żartuję, dawać mi tu fotoreportera, natychmiast! A potem zadzwonić po straż! - Po tych słowach redaktor naczelny ze złością rzucił słuchawką. -

Głupie skurwiele - bąknął i wrócił do żony. Bartlett podbiegł do Dunrossa. Tai-pan spokojnie stał obok Orlandy, Casey i Petera i Fleur Marlowe'ów.

- Nic nie ma, Ian - usłyszał swój własny, dziwnie brzmiący głos. - Ani schodów, ani cholernej drabiny, nic. Ale jak będzie trzeba, możemy skakać.

- Tak, mamy szczęście, że jesteśmy na tym pokładzie. - Dunross obserwował, jak ogień z pokoju kelnerów zbliża się do wyjścia na taras. - Musimy zaraz się zdecydować, którędy uciekamy - powiedział spokojnie.

- Płomienie mogą odciąć nam drogę. Jeśli wyjdziemy na zewnątrz, nie będzie drogi odwrotu... tylko woda. Jeśli zostaniemy, zostaną nam jedyne schody.

- Jezu - wymamrotała Casey. Cały czas starała się uspokoić łomocące serce i zwalczyć ogarniające ją poczucie klaustrofobii. Patrzyła to na wyj-534

ście na taras, to na drzwi prowadzące do schodów. Bartlett objął ją ramieniem. - Nie ma się czego bać. Możemy skakać.

- Jasne, Linc - powiedziała, przytulając się do niego.

- Umiesz pływać, Casey? - zapytał Dunross.

- Tak. Tylko... Tylko byłem już kiedyś w sercu pożaru i od tamtej pory śmiertelnie boję się ognia. - Kilka lat temu, gdy mieszkała w domku na wzgórzach Hollywood, podczas letniej suszy wybuchł pożar. Była właśnie w domu, więc natychmiast odkręciła wszystkie krany z wodą i zaczęła gumowym węzłem polewać dach. Czuła bijący żar zbliżającego się ognia rozprzestrzeniającego się z prędkością stu mil na godzinę. W płomieniach ginęły drzewa i domy, nie było drogi ucieczki. Koty i psy przebiegały obok jej domku, zastraszonego wilczur schronił się u niej na werandzie. Otaczający ogień i dym przerażały ją. Nagle pożar zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt stóp od jej domu. Bez powodu. Spłonęły wszystkie inne zabudowania na jej ulicy.

- Wszystko w porządku, Linc - zapewniła drżącym głosem. - Chyba...

Chyba wolalabym wyjść na zewnątrz. Chodźmy już z tego piekła. Woda będzie lepsza.

- Ja nie umiem pływać - zawołała płaczliwe Orlanda. Nie wytrzymała i rzuciła się w stronę schodów. Bartlett zatrzymał ją.

- Wszystko będzie dobrze. Jezu, tamtędy się nie wydostaniesz. Posłuchaj tych krzyków z dołu. Wiesz, co tam się musi dziać? Zostaniesz, dobrze? Po schodach się nie da uciec. - Przytuliła się do niego ze strachu.

- Nic ci się nie stanie - powiedziała ze współczuciem Casey.

- Tak - potwierdził Dunross wpatrzony w ogień.

- Tai-pan... - odezwał się Marlowe. - Nie jest... eee... nie jest z nami tak źle, prawda? Pożar musiał wybuchnąć w kuchni. Na pewno zaraz go opanują.

Fleur, może nie będzie potrzeby skakać.

- Zabiorą nas sampany, nie ma się czego bać - zapewnił Bartlett.

- Ale ona też nie umie pływać! Fleur

wzięła męża pod ramię.

- Zawsze mówiłeś, że powinnam się nauczyć, Peter.

Dunross nie słuchał. Starał się zapanować nad ogarniającym go strachem.

Nozdrza wypełniał mu swąd palonego mięsa i wiedział, że niewiele mu brakuje, aby zwymiotować. Wracał pamięcią do płonącego myśliwca zestrzelonego nad kanałem La Manche przez Messerschmitta daleko od brzegu. Wiedział, że ogień go pochłonie, zanim uda mu się otworzyć kabinę i katapultować się. Czuł przerażającą woń nadpalonego własnego ciała. Jedną ręką bezskutecznie walił w szybę kabiny, a drugą tłumił ogień zajmujący mu nogi. Krztusił się żrącym dymem, prawie nic nie widział. Potem był huk i kabina rozleciała się. Dunross znalazł się w centrum

ognia, a potem pole-535

ciał w dół. Nie wiedział, czy ma jeszcze skórę na twarzy, czy ma ręce, nogi.

Jego kombinezon nadal się tlił. Potem szarpnięcie i otworzył się spadochron.

Dunross zauważył ciemną sylwetkę samolotu wroga, usłyszał terkotanie karabinów maszynowych.

Właściwie z całego zdarzenia pamiętał jedynie smród palonego ciała.

- Jak sądzisz, tai-pan? -Co?

- Mamy zostać czy skakać? - powtórzył pytanie Marlowe.

- Na razie zaczekamy - zdecydował, a wszyscy zaczęli się zastana wiać, skąd ma tyle spokoju. - Wyjdziemy, jak się rozluźni na schodach.

Póki nie trzeba, nie ma co się moczyć.

Casey uśmiechnęła się z wahaniem.

- Często zdarzają się takie pożary?

- Tutaj akurat nie, ale obawiam się, że w Hongkongu tak. Nasi chińscy przyjaciele niezbyt przejmują się przepisami przeciwpożarowymi...

Chociaż od wybuchu pożaru minęło dopiero kilka minut, ogień zajął już większą część kuchni, a poprzez połączone ze sobą sale dla kelnerów dostał

się także na wszystkie trzy pokłady. Część kuchni została odcięta od wyjścia na klatkę schodową. Dwudziestu przerażonych ludzi dostało się w pułapkę.

Reszcie udało się dołączyć do nacierającej na wyjście masy. W kuchni znajdowało się kilka luków, ale za małych do ucieczki. Jeden z kuchcików postanowił przedostać się przez barierę z ognia, prawie mu się udało, ale poślizgnął się, upadł i długo krzyczał. Jego głos odstraszył innych od podobnych prób. Innej drogi ucieczki nie było.

Uwięziony został także szef kuchni. Był człowiekiem doświadczonym i przeżył niejednen pożar kuchni, więc nie wpadał w panikę. Zaczął przypominać sobie poprzednie takie wypadki i szukać jakiegoś rozwiązania. Znalazł.

- Szybko! - zawołał. - Bierzcie worki z mąką ryżową... szybko!

Ponieważ wszyscy, sparaliżowani strachem, tylko patrzyli na niego, sam złapał pięćdziesięciofuntowy worek i otworzył go.

- Niech będzie przeklęty każdy pożar, poczekaj, ja ci pokażę! - Dusił

się, prawie nic nie widział.

Nagle pękł jeden z luków i ogień wzmógł się. Kucharze, krztusząc się, natychmiast złapali za worki z mąką.

- Teraz! - zawołał szef kuchni i posypał mąką zajętą przez ogień przez strzeń między dwoma piecami. Niewielka liczba płomieni została stłumiona. W ślad szefa poszli podwładni. Tłumili kolejne płomienie, aż po chwili mieli przed sobą wolną od ognia ścieżkę. Szef ruszył naprzód, a inni za nim. Dotarli do schodów, zanim zapaliła się mąka i ogień z powrotem zajął

ścieżkę. Dołączyli do tłumu pchającego się w stronę drzwi.

536

Po twarzach większości ludzi płynęły łzy. Na niższych poziomach dym był bardzo gęsty. Ściana, za którą znajdował się korytarz łączący pokoje kelnerów z kuchnią, zaczęła czernieć. Nagle pękła i z otworów buchnął

ogień. Ludzie znajdujący się w niższych partiach schodów ruszyli szybciej naprzód, a ci znajdujący się wyżej cofnęli się. Jeden z parlamentarzystów -

Hugh Guthrie - zobaczył upadającą kobietę. Złapał się za poręcz, żeby jej pomóc, ale napierający ludzie przewrócili go. Podniósł się, klnąc pod nosem, pomógł kobiecie i udało im się bezpiecznie dotrzeć do wyjścia.

Pomiędzy pierwszym a drugim pokładem znajdowało się miejsce nie zajęte ogniem, ale zasłonięte dymem. Tłum już się przerzedził, choć nadal uwięzionych pozostawało około stu ludzi. Wszyscy, nie widząc, co się przed nimi dzieje, przeklinali i zadawali sobie pytania:

- Można iść...? -Co ze

schodami...?

- Na miłość boską...

- Gorąco tu jak cholera...

- Co za jatka...

Jednym z uwięzionych był Grey. Widział rozwalającą się ścianę i wiedział, że z drugą może się zaraz stać to samo. Nie mógł się zdecydować, czy iść naprzód, czy nie. Zauważył chowającego się pod poręczą skulonego chłopca. Udało mu się go podnieść i ścisnąć w ramionach. Potem ośmielony ruszył przez dym.

Na najwyższym pokładzie Gornt i inni słuchali nieludzkich wrzasków z dołu. Pozostało tam tylko około trzydziestu osób. Skończył pić, odstawił

szklaneczkę i podszedł do grupy otaczającej Dunrossa. Orlanda siedziała na krześle, miętosząc chusteczkę do nosa. Fleur i Peter Marlowe nie okazywali niepokoju, a Dunross jak zwykle panował nad sobą. Boże, pomyślał Gornt, dzięki ci za moje dziedzictwo i edukację. Do tradycji brytyjskiej należało nieokazywanie przerażenia nawet w najgorszym niebezpieczeństwie. Poza tym, przypomniawszy sobie, większość z nas przeżyła bombardowanie, ostrzały lub więzienia. Siostra Gornta służyła w kobiecym oddziale marynarki wojennej, jego matka w służbach pomocniczych lotnictwa, ojciec w wojsku, wujek został zabity pod Monte Cassino, a on sam po ucieczce z Szanghaju służył z Australijczykami w Nowej Gwinei. Walczył też w Birmie i Singapurze.

- Ian - powiedział nonszalanckim tonem. - Wygląda na to, że ogień dotarł już do pierwszego pokładu. Proponuję trochę popływać.

Dunross spojrzął na ogień przed wyjściem na taras.

- Niektóre z dam nie potrafią pływać. Poczekajmy jeszcze kilka minut.

- Dobrze. Chyba ci, co nie zamierzają skakać do wody, powinni zejść na dół. Ten pożar staje się nudny.

537

- Mnie się nie nudzi - zaprotestowała Casey. Wszyscy roześmiali się.

się.

- To takie powiedzenie - wyjaśnił Marlowe.

Eksplozja pod pokładem wstrząsnęła statkiem. W jednej chwili zapadła cisza.

W kuchni ogień dotarł do spizarni i otoczył cztery stugalonowe zbiorniki z oliwą. Ten, który wybuchnął, wyrwał w statku dziurę. Po podłodze rozlała się płonąca oliwa i morska woda. Hordy piszczących szczurów szukały drogi ucieczki.

Wybuchnął kolejny metalowy zbiornik z oliwą i wyrwał ogromną dziurę w burcie poniżej poziomu wody. Ludzie na nabrzeżu jęknęli z przerażenia i choć nie było niebezpieczeństwa, niektórzy cofnęli się.

Inni nerwowo śmiali się. Znów eksplodował zbiornik i płomienie ognia rozprzestrzeniły się na wszystkie strony. Stemple podtrzymujące sufit obluzowały się. Pod stopami ludzi na pierwszym pokładzie niebezpiecznie zatrzęsała się podłoga.

Grey, nadal z dzieckiem na ręce, przytrzymując się poręczy, rozsuwał ludzi i parł naprzód. Gdy dotarł do tłumu przy wyjściu, stanął, czekając na swoją kolej. Zaczynał się tlić dywan. Jakiś gruby mężczyzna przewrócił się i zadrżała podłoga.

- Szybciej! - krzyknął Grey do stojących przed nim. Gdy wszedł na schodnię, eksplodowały dwa pozostałe zbiorniki z olejem. Podłoga z tyłu

zawaliła się.

Spośród wielu gapiów do Greya wyszedł Hugh Guthrie.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Ledwie przytomny Grey próbował złapać oddech. Guthrie pomagał mu otrzepać usmolone ubranie. - Nie... chyba nic. Guthrie delikatnie położył dziecko na ziemi i uklęknął nad nim.

- Biedaczysko! -

rzekł.

-Żyje?

- Chyba tak. Proszę... - Przekazał małego chińskiego chłopca jednemu

z gapiów i obydwaj ruszyli, by pomóc ludziom próbującym wyjść z płoną

cego statku. - Boże wszechmogący! - szeptali załamani tragedią. Z

tyłu

słyszeli coraz bliższe syreny.

Przy wyjściu z najwyższego pokładu na taras ogień powiększał się.

Niższe pokłady zajął pożar, więc ludzie zaczęli się wycofywać z powrotem na górę. W powietrzu wisiał strach.

- łan, lepiej już stąd chodźmy - powiedział Bartlett.

- Dobrze. Quillan, poprowadź ludzi - zdecydował Dunross. - Ja pójdę na końcu.

Gornt odwrócił się i zawołał:

::r:f

- Wszyscy tędy! Na tarasie nic wam się nie stanie Po kolei! - Otworzył

drzwi i starał się utrzymać porządek wśród pozostałych kilku Chińczyków i większości Brytyjczyków. Na zewnątrz było bezpieczniej i mniej duszno.

Czekając w sali na swoją kolej, Bartlett czuł przyjemne napięcie. Nadal się nie bał. W każdej chwili mógł wybić okno i wyskoczyć razem z Casey do morza. Ludzie znów zaczęli się tłoczyć. Ogień z pokoju dla kelnerów nasilał

się.

- Jak tam, Casey?

- Dobrze.

- Idziesz?

- Razem z tobą.

- Dobra. - Bartlett uśmiechnął się do niej.

Sala pustoszała. Bartlett pomógł lady Joannie, a potem Havergillowi.

Casey zauważyła, że Orlanda nie rusza się z krzesła. Biedna dziewczyna, pomyślała ze współczuciem. Przypomniała sobie swoje przerażenie podczas pożaru na wzgórzach Hollywood. Podeszła do niej.

- Chodź - przemówiła łagodnie i podała jej rękę. Orlandzie trzęsły się kolana, Casey objęła ją.

- Ja... Ja... Gdzieś mi zginęła torebka - bełkotała Orlanda.

- Tutaj. - Casey podniosła torebkę z krzesła i razem z Orlanda poszły przez płomienie do wyjścia. Na tarasie było tłoczno, ale Casey poczuła się lepiej. -

Wszystko będzie dobrze - powiedziała z otuchą. Podprowadziła Orlandę do poręczy. Odwróciła się i zobaczyła na sali Bartletta i Gornta. Bartlett pomachał do niej, ona mu kiwnęła ręką, żałując, że nie ma go przy niej.

Peter Marlowe wprowadził żonę na taras i podeszli do Casey.

- Wszystko w porządku?

- Jasne. Jak się czujesz, Fleur?

- Dziękuję, dobrze... Na zewnątrz przyjemniej, prawda? - powiedziała Fleur Marlowe. Czowała się strasznie, przerażała ją myśl skakania z takiej wysokości. - Myślisz, że popada?

- Im szybciej, tym lepiej. - Casey spojrzała w dół na ciemną wodę, gdzie zaczęły się zbierać sampany. Wszyscy z łódek wiedzieli, że ci z góry będą musieli wkrótce skakać. Z sampanów było widać, że ogień zajął większość drugiego i pierwszego pokładu. Zostało uwięzionych kilka osób. Jeden z mężczyzn wybił krzesłem okno, a potem wyskoczył do wody. Natychmiast podpłynął do niego sampan i zrzucano mu linę. Inni uwięzieni na drugim i pierwszym pokładzie uczynili tak samo. Jedna z kobiet nie wypłynęła.

Noc była ciemna, choć płomienie rzucały dużo światła. Gdy nadszedły wozy strażackie, tłum gapiów rozstąpił się. Chińscy strażacy pod dowództwem brytyjskiego oficera zaczęli rozwijać węże. Jeden z

cowano do pobliskiego hydrantu i na ogień popłynęła pierwsza struga wody.

Po chwili działało sześć sikawek. Dwaj strażacy w maskach, azbestowych ubraniach i w aparatach tlenowych weszli na statek i zaczęli wyciągać nie-przytomnych. Po kolejnym wybuchu posypały się na nich płonące żagwie.

Jeden ze strażaków polał wszystkich wodą, a potem znów skierował strumień na wejście.

Na najwyższym pokładzie znajdował się tylko Bartlett, Dunross i Gornt.

Czuli, że zarywa się pod nimi podłoga.

- Chryste! - zawołał Bartlett. - Chyba toniemy.

- Te wybuchy mogły uszkodzić dno - dodał Gornt. - Chodźmy - ponaglił

ich i ruszył do drzwi. Bartlett poszedł za nim.

Dunross został sam. Doskwierał mu ostry dym, gorąco i smród. Z pełną świadomością wysilił się, aby nie uciekać i zapanować nad lękiem. Pobiegnął

na klatkę schodową upewnić się, że nikt tam nie został. Na schodach zobaczył leżącą postać. Wszędzie dokoła szalał ogień. Znów ogarnął go strach, ale przemógł się i zaczął ściągać mężczyznę ze schodów. Chińczyk był ciężki, a Dunross nie wiedział, czy jeszcze żyje. Było gorąco. Odór przypalanego ciała wzmógł się. Nagle pojawił się Bartlett i wspólnie wyciągnęli Chińczyka na taras.

- Dzięki - sapnął Dunross.

Podszedł do nich Gornt, nachylił się i odwrócił mężczyznę na plecy.

Chińczyk miał częściowo nadpaloną twarz.

- Mogłeś sobie oszczędzić bohaterstwa. On nie żyje.

- Kto to jest?

Gornt wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Znasz go, łan?

Dunross patrzył na ciało.

- Tak. To... To Sterowiec Tung.

- Syn Zaciśniętej Pięści? - Gornt był zaskoczony.

- Boże, ale przytył. Nigdy bym go nie poznał. - Podniósł się. - Lepiej się przygotujmy do skakania. Ten statek to trumna. - Zauważył stojącą przy poręczy Casey.

-Nic ci nie jest?.

- Nie, dziękuję. A tobie?

- Też nic.

Obok Casey nadal stała Orlanda. Z bladą twarzą wpatrywała się w wodę.

Pozostali ludzie kręcili się po tarasie.

- Chyba będę musiał zaprowadzić tu porządek! - warknął Gornt. - Za raz wracam.

Kolejna eksplozja znów wstrząsnęła statkiem. Kilku ludzi weszło na burtę i skoczyło. Sampany ruszyły im z pomocą.

540

Christian Toxe trzymał swoją chińską żonę i z niesmakiem patrzył na dół.

- Musicie skakać, Christian! - zawołał Dunross.

- Do zatoki Aberdeen? Chyba żartujesz! Jeszcze bym złapał jakąś zarazę.

- Masz do wyboru upieczenie tyłka - dowcipkował ktoś, nie bacząc na grozę sytuacji.

- Naprzód, młoda damo - zachęcał Sir Charles Pennyworth Orlandę. -

Wystarczy skoczyć.

Pokręciła z przerażeniem głową.

- Nie... Nie teraz... Nie umiem pływać. Fleur

Marlowe objęła ją ramieniem.

- Nie przejmuj się. Ja też nie umiem. Też zostaję.

- Peter, jak będziesz trzymał ją za rękę, nic jej się nie stanie. Fleur, wystarczy, że wstrzymasz oddech.

- Ona nie skoczy - powiedział cicho Peter Marlowe. - Najwyżej w ostatniej chwili.

- Przecież to bezpieczne.

- Tak, ale nie dla niej. Jest *enceinte*.

- Proszę?

- Fleur jest w ciąży. W trzecim miesiącu.

- O Jezu!

Płomienie wzbijały się w niebo. W sali na najwyższym pokładzie zajęły się ogniem stoliki i zasłony. Z drzwi do klatki schodowej sypały się niezliczone stosy iskier.

- Boże, ten statek to pułapka. Co z tymi na dole? - zapytała Casey.

- Już dawno ich zabrali - odparł Dunross, nie bardzo wierząc w swoje słowa. Powietrze na tarasie sprawiło, że poczuł się świetnie. Zapanowanie nad strachem rozjaśniło mu umysł. - Ładny stąd widok, nieprawdaż?

- Mamy szczęście! - zawołał jowialnie Pennyworth. - Statek tonie pod takim przechyłem, że jesteśmy tu bezpieczni. Jak za dawnych czasów. Trzy razy tonąłem.

- Ja też - przyznał się Marlowe. - W cieśninie Gaspar na Sumatrze.

- Nie wiedziałam o tym, Peter - odezwała się Fleur.

- To nic takiego.

- Ile zatoka ma tu głębokości? - zapytał Bartlett.

- Jakieś dwadzieścia stóp, może więcej - zawyrokował Dunross.

- A więc będzie... - Rozległo się wycie syren płynącej między łódkami policyjnej motorówki. To tu, to tam padało światło reflektora. Gdy motorówka znalazła się niemal przy burcie „Latającego Smoka”, usłyszeli przez megafon głos nakazujący po chińsku:

541

- Wszystkie sampany opuścić teren... - A potem po angielsku: - Wy na górze, przygotujcie się do opuszczenia statku! Jest dziurawy i tonie, proszę się przygotować do ewakuacji.

- Wypchaj się, jeśli myślisz, że zamierzam zniszczyć sobie wieczorową marynarkę - powiedział Christian Toxe.

- Chris - łagodnie odezwała się jego żona - przecież i tak ci się nie podobała.

- Już mi się podoba. - Próbował się uśmiechnąć. - A ty nie umiesz pływać.

Wzruszyła ramionami.

- Założę się o pięćdziesiąt dolarów, że we dwoje będziemy pływać jak najprawdziwszy węgorz.

- Pani Toxe, oczywiście może się pani założyć. Wypada jednak, abyśmy skakali ostatni. - Wyciągnął z kieszeni papierosa. Starał się być odważny, lecz obawiał się o bezpieczeństwo żony. Nie mógł znaleźć zapalek. Ona sięgnęła do torebki i po chwili poszukiwania wyjęła zapalniczkę. Zadziałała za

trzecim razem. Oboje byli świadomi, że dziesięć stóp za nimi znajdują się płomienie.

- Za dużo palisz, Christian - wytknął mu Dunross.

Pokład zachwiał się. Statek tonął. Do środka, przez wielkie dziury, na-pływała woda. Strażacy dzielnie polewali węzami płomienie, lecz ich dzia-

łania miały niewielki wpływ na pożar. Po kolejnym wstrząsie przez tłum przeszedł szmer.

Pennyworth chodził po tarasie i pomagał ludziom skakać. Do tej pory zdecydowało się niewielu. Paul Havergill patrzył, jak skacze do wody jego żona oraz lady Joanna, i poszedł w ich ślady. Z policyjnej motorówki wciąż rozlegał się komunikat nawołujący po kantonku sampany do zrobienia miejsca. Policjanci rzucali kamizelki ratunkowe. Sześciu skoczyło do wody, aby pomagać mężczyznom, kobietom i dzieciom mającym kłopoty z pływaniem. Jeden z sampanów podpłynął po lady Joannę i Paula Havergilla. Z

wdzięcznością wspięli się na pokład.

„Latający Smok" tonął. Ktoś poślizgnął się, potracił Pennywortha, a ten, na wpół spadając, na wpół skacząc, poleciał w dół. Zawadził głową o ster sampana, złamał sobie kark, wpadł do wody i utonął. W całym tym piekle i zamęcie nikt tego nie zauważył.

Casey stała przy poręczy z Bartlettem, Dunrossem, Orlandą i Marlowe'ami. Nie opodał nich Toxe dodawał sobie odwagi, paląc papierosa. Jego żona ostrożnie wyrzuciła niedopałek. Nagle nastąpiło tąpnięcie. Gornt przewrócił się, uderzył głową o poręcz i zemdlał. Toxe wraz z żoną stracili równowagę i wylecieli za burtę. Peter Marlowe chwycił Fleur i udało jej się nie polecieć w stronę ognia jak Casey. Jednak Bartlett mocno przytrzymał przyjaciółkę i nic się jej nie stało.

542

Na dole marynarze pomagali ludziom opuszczającym pokład. Jeden z nich dojrzał, jak Toxe i jego żona łapią na powierzchni oddech, krztuszą się wodą i zanurzają z powrotem. Marynarz skoczył do wody i po trwającej wieczność chwili udało mu się złapać za ubranie Toxe'a i wyciągnąć go na powierzchnię.

Młody porucznik zanurkował po panią Toxe, ale w ciemności nie mógł jej znaleźć. Wypłynął, aby zaczerpnąć powietrza, i zanurkował jeszcze raz. Toxe, miotając się w panice, dławił się wodą. Młodzieniec złapał go i zaczął

holować do łodzi.

Na górze, na pokładzie, Dunrossowi udało się wstać. Zobaczył nieprzytomnego Gornta, nachylił się nad nim i próbował go podnieść.

- Nic... Nic mi nie jest - sapnął Gornt, dochodząc do siebie. Potrząsnął

głową jak mokry psiak. - Chryste, dziękuję... - Spojrzał do góry i zobaczył

Dunrossa. - Dziękuję - powiedział z uśmiechem i z trudem wstał. - Jutro nadal będę sprzedawał i za tydzień tego pożałujesz.

Dunross roześmiał się.

- I tak mam szczęście! Topienie się z tobą albo wspólna śmierć w pło mieniach napawa mnie jednakowym niesmakiem.

Dziesięć jardów dalej Bartlett podnosił Casey. Ogień nadal się wzmagił, pozostawało coraz mniej miejsca.

- Ta cholerna skorupa zaraz zatonie.

- Co z nimi? - zapytała Casey, patrząc na Orlandę i Fleur. Chwilę zastanowił się, a potem stanowczo polecił:

- Ty skacz pierwsza i zaczekaj na dole.

- Dobra! - Oddała mu torebkę. Schował ją do kieszeni, a Casey zdjęła pantofle, odpięła i zrzuciła sukienkę. Zawiązała ją sobie w talii i wspięła się na poręcz, czekając na odpowiedni moment do skoku. Potem w idealnym stylu skoczyła głową w dół. Obserwujący ją Gornt i Dunross natychmiast zapomnieli o niebezpieczeństwie.

Bartlett stanął koło Orlandy. Zobaczył sprawnie nurkującą Casey i zanim Orlanda zdążyła powiedzieć słowo, przełożył ją przez poręcz.

- Wstrzymaj oddech, kochanie - powiedział i ostrożnie ją wypuścił. Do wody wpadła w odległości kilku metrów od Casey, która zdążyła się już wynurzyć i płynęła do niej. Złapała Orlandę za ubranie i zanim ta zorientowała się, że nie znajduje się już na pokładzie, była bezpieczna.

Dunross i Gornt patrzyli zadowoleni. Statek znów się zachwiał. Wszyscy niemal się przewrócili. Bartlett znalazł się koło Marlowe'ów.

- Dobrze pływasz, Peter?

- Przeciętnie.

- Powierzysz mi ją? Parę lat byłem ratownikiem.

Zanim Marlowe zdążył zaprotestować, Bartlett złapał Fleur, przeszedł przez poręcz i chwilę czekał.

543

- Wstrzymaj oddech! - Jedną ręką zatkała sobie nos, a drugą objęła go za szyję. W odpowiedniej chwili Bartlett puścił się poręczy. Fleur była w je go ramionach bezpieczna. Łagodnie wpadli do

wody, Bartlett ochraniał ją od nadmiernego wstrząsu. Tylko kilka sekund miała głowę pod powierzchnią i nie zdążyła się nawet napić wody. Po chwili znajdowali się już na łodzi.

Gdy Marlowe zobaczył, że skok się udał, uspokoił się.

- Co za szczęście - szepnął.

- Widziałeś, jak skoczyła Casey? - zapytał Dunross. - Fantastycznie.

- Co? Nie, nie tai-pan.

- Była tylko w majtkach. Wspaniale skoczyła. I Boże, co za figura!

- W Stanach dbają o ciało - powiedział bezwiednie Marlowe, zbierając w sobie odwagę. - Taka moda...

Dunross prawie nie słuchał.

- O tak - potwierdził Gornt. - Święta Agnieszko, co za figura. I te *cojones*.

W końcu ostatni trzech mężczyźni opuścili pokład. Peter Marlowe skoczył na nogi, Dunross i Gornt na głowy, jednak żaden z nich nie dorównywał stylem Casey.

38 23:30

Po drugiej stronie wyspy wąską ulicą jechała stara taksówka, na tylnym siedzeniu podskakiwał pijany Suslew. Śpiewał zmęczonemu kierowcy smutną rosyjską balladę, miał rozluźniony krawat, rozpięty kołnierzyk i przepoconą do cna koszulę. Powietrze robiło się coraz gorętsze i wilgotniejsze.

- *Matierjebied* - mruknął, klnąc na upał, a potem uśmiechnął się, przekleństwo sprawiło mu przyjemność. Wyjrzał przez okno. Światła miasta i przystani osłaniała lekka mgiełka. - Wkrótce popada, towarzyszu - powiedział

po angielsku, nie przejmując się, czy kierowca rozumie, czy nie.

Stara taksówka podskakiwała na wybojach. Silnik zakrztusił się i Suslew przypomniał sobie o kaszlu Arthura i nadchodzącym spotkaniu. Poczuł podniecenie.

Przejechali obok Golden Ferry, potem skierowali się w stronę Piku, minęli dom, w którym mieszkał gubernator, obok ogrodu botanicznego. Mijając te miejsca, Suslew mimowolnie zastanawiał się, kiedy na pustym maszcie zawiśnie flaga z sierpem i młotem. Z pomocą Arthura i Sevrin, pomyślał zadowolony, całkiem niedługo. Jeszcze tylko kilka lat.

Spojrzał na zegarek. Trochę się spóźni, ale nie przejmował się tym. Arthur zawsze przychodził co najmniej dziesięć minut po czasie, ale nigdy więcej niż dwadzieścia. W naszej profesji, pomyślał, niebezpiecznie jest mieć nawyki.

Tak czy inaczej Arthur i jego twór - Sevrin - są perfekcyjnym, ostrym narzędziem w rękach KGB. Głęboko zakonspirowani, cierpliwie czekający, jak zresztą wszystkie ogniwa Sevrin na świecie. Dziewięćdziesiąt tysięcy oficerów KGB rządzi prawie całym światem. Już go zmieniliśmy. ..

zmieniamy cały czas, już prawie połowa należy do nas. I w jak krótkim czasie tego dokonaliśmy... Od 1917 roku.

Nas tak mało, a ich tak wielu. Jednak nasze macki sięgają już do najdalej-szych zakątków. W każdym kraju zwerbowaaliśmy armię pomocników: informatorów, zdrajców, wywiadowców, głupców i fanatyków. Żywią się sobą nawzajem jak szkodniki, którymi zresztą są w istocie, napędzają ich samo-lubne pragnienia i strach. I wszędzie jeden z nas, przedstawiciel elity oficerów KGB, stoi w centrum siatki i nad wszystkim panuje. Sieci i sieci aż do samego prezydium tak bardzo przylgnęły do matuszki Rosji, że są już nie-zniszczalne. My jesteśmy Rosją nowoczesną, pomyślał z dumą. Jesteśmy włócznie Lenina. Bez nas, bez naszej techniki, naszego mistrzowskiego, zdalnego kierowania za pomocą strachu nie byłoby radzieckiej Rosji, radzieckiego imperium ani siły przewodniej i nie miałby kto zapewniać władzy przywódcom partyjnym. I nie byłoby na świecie komunistycznego państwa.

Tak, jesteśmy elitą.

Uśmiechnął się w duchu.

Mimo otwartych okien w samochodzie było gorąco i duszno. Jechali między szeregami bloków pozbawionych zieleni. Po policzku spłynęła Suslewowi kropla potu, czuł, że całe ciało mu się klei.

Wykąpałbym się, rozmarzył się. W chłodnej, słodkiej, gruzińskiej wodzie, a nie w tym odsalanym ścieku puszczanym przez hongkongijskie rury.

Chciałbym znaleźć się w dacy w Tbilisi, ach, jakże byłoby wspaniale! Tak jak dawniej, z mamą i z tatą, mógłbym kąpać się w przepływającym przez nasze pole strumieniu osłoniętym gruzińską winną latoroślą, a potem schnać na świecącym ponad górami słońcu. Jeśli istniał Eden, to musiał być właśnie tam. Góry i pastwiska, winogrona i bogate zbiory, idealnie czyste powietrze.

Zachichotał, przypomniawszy sobie historię, którą przedstawił Trawkinowi. Jeszcze jeden głupiec, którego trzeba wykorzystać, a jak się go zużyje, zlikwidować.

Ojciec Suslewa od najmłodszych lat był komunistą, najpierw potajemnie w Cze-ka, a potem, po rewolucji 1917 roku, w KGB. Teraz dobiegał

osiemdziesiątki, był wysoki, czerstwy, jako honorowy członek KGB żył jak prawdziwy książę, otoczony służącymi, końmi, ochroniarzami. Suslew miał

nadzieję odziedziczyć tę daczę i tę samą ziemię. A potem przekazać ją sy-545

nowi, jeśli ten nadał będzie wykazywał się takim oddaniem KGB. I to wszystko dzięki ofiarnej pracy. Suslew miał na koncie imponujące dokonania, a kończył

dopiero pięćdziesiąt dwa lata.

Tak, pomyślał, za trzynaście lat przejdę na emeryturę. Za trzynaście lat ataków i walki z wrogami.

Tylko jakimi wrogami? Kim oni naprawdę są?

Tymi, co są przeciwko nam, tymi, którzy odmawiają nam palmy pierwszeństwa, nam, Rosjanom.

Roześmiał się na głos.

Taksówkarz z kwaśną miną spojrział we wsteczne lusterko i z powrotem zajął

się kierowaniem. Miał nadzieję, że klient jest tak pijany, że nie przeczyta, ile wybiję licznik, i da suty napiwek. Jechał pod podany adres.

Rosę Court przy Kotewall Road był nowoczesnym, trzynastopiętrowym domem mieszkalnym. Pod ziemią znajdował się trzypoziomowy garaż, a dokoła rozchodziły się betonowe ścieżki, niektóre prowadziły do innych bloków, a niektóre do Sinclair Road i Sinclair Towers. Miejsce to wybornie nadawało się do zamieszkania. Z okien rozciągał się szeroki widok, a nawet do najwyższych pięter nie zniżały się chmury, od których wilgotnieją ściany i wszystko zawsze wydaje się mokre.

Licznik wybił 8,70 hongkongijskich dolarów. Suslew spojrział na plik banknotów, zamiast dziesiątki dał taksówkarzowi setkę i z trudem wysiadł.

Natychmiast do samochodu podbiegła Chinka i poprosiła, żeby taksówkarz poczekał na jej męża. Potem z niesmakiem popatrzyła na podchodzącego do domofonu Suslewa.

Z trudem trzymał się na nogach. Znalazł guzik, którego szukał - „Ernest Clinker”, i nacisnął.

-Tak?

- Ernie, to ja, Gregor - powiedział, a potem mu się odbiło. - Jesteś?

Rozmówca roześmiał się.

- A coś myślał? Pewno, że jestem! Spóźniłeś się! Chybaś był w pubie, bo tak mówisz! Mamy piwo i wódkę. Czekamy razem z Mabel.

Suslew skierował się do windy. Nacisnął guzik ze strzałką do dołu. Na niższym poziomie wysiadł i przeszedł na drugą stronę budynku. Drzwi do mieszkania już były otwarte, a w nich stał z rozpostartymi rękoma niski, brzydki sześćdziesięciolatek.

- A niech mnie! - krzyknął Clinker, pokazując w uśmiechu tanią prote zę. - Chyba jesteś trochę na gazie, co?

Uścisnęli się.

Na mieszkanie składały się dwie małe sypialnie, pokój gościnny, kuchnia i łazienka. Pomieszczenia były skąpo umeblowane, ale miłe. Jedynym luksusem był magnetofon, z którego właśnie płynęły dźwięki opery.

546

- Piwo czy wódka?

Suslew czknął.

- Najpierw muszę się odlać, potem wódka, potem jeszcze jedna, a potem.

.. do łóżka. - Jeszcze raz czknął i poszedł do toalety.

- Masz rację, kapitanie. Mabel, przywitaj się z kapitanem! - Zaspany buldog otworzył na krótko jedno oko, szczerknął i niemal natychmiast zasnął

z powrotem. Clinker skinął głową, podszedł do stołu i nalał do szklanki wódki i wody. Bez lodu. Sam napił się guinnessa i zawołał: - Gregor, jak długo zostajesz?

- Tylko na jedną noc, towarzyszu. Może na dwie. Jutro... Jutro muszę wracać na pokład. Ale może jutro w nocy...

- A co z Ginny? Znowu cię puściła kantem?

W zaparkowanej w dole ulicy niepozornej furgonetce rozmowie tej przysłuchiwali się z głośnika: policyjny technik, Roger Crosse i Brian Kwok.

Jakość dźwięku była zupełnie dobra, choć co jakiś czas pojawiała się trochę szumów. Cały samochód został wypełniony sprzętem do podsłuchu radiowego. Słyszeli, jak Clinker śmieje się i powtarza:

- Puściła cię kantem, co?

- Cały wieczór się zabawialiśmy, a potem powiedziała, żebym poszedł i przenocował u Erniego, bo ona chce spać.

- Ty, koleś, masz farta. Z niej to dopiero księżniczka. Przyrowadź ją jutro.

- Tak... Tak... Dobrze. Jest niezła.

Usłyszeli, jak Suslew wylewa w łazience wiadro z wodą i wraca.

- Masz, staruszk.

- Dzięki. - Odgłos łąpczywego picia. - Chyba... Chyba się na... Położę się... Chyba... na kilka minut...

- Upuścił szklanę.

- Chyba kilka godzin! Nic się nie martw, zrobię śniadanie! Masz tu, jeszcze se łyknij...

Policjanci nasłuchiwali z uwagą. Crosse kazał założyć podsłuch w domu Clinkera dwa lata temu. Korzystano z niego zawsze, gdy zjawiał się Suslew.

Suslew znajdował się pod ścisłą obserwacją. Także wtedy, gdy w barze spotkał Clinkera. Obydwaj pływali na łodziach podwodnych, więc łatwo nawiązali przyjaźń. Suslew czasami przyjmował zaproszenie Clinkera.

Crosse natychmiast sprawdził Clinkera, ale nie znalazł nic szczególnego.

Dwadzieścia lat służył w Królewskiej Marynarce Wojennej. Po wojnie pracował dorywczo w marynarce handlowej, pływał do Azji i Hongkongu, gdzie osiedlił się po przejściu na emeryturę. Był spokojnym, układnym człowiekiem, od pięciu lat zajmował mieszkanie strażnika garażu. Z

Suslewem zawsze dużo pili i opowiadali sobie różne historyjki. Z żadnej z wielogodzinnych rozmów nie udało się wyłowić nic cennego.

547

- Dostał dzienną porcję - powiedział Crosse do Briana.

- Tak, sir - odparł Brian, starając się nie okazywać znudzenia. W

małym pokoju gościnnym Clinker podał Suslewowi ramię.

- Chodź, czas uderzyć w kimę. - Zaciągnął Suslewa do małej sypialni, a Rosjanin zwałił się na łóżko i sapnął.

Clinker zasunął zasłony i włączył drugi, mały magnetofon. Po chwili z taśmy rozległo się ciężkie oddychanie i chrapanie. Suslew wstał bezgłośnie.

Udawane opicie minęło. Clinker klęknął i odsunął chodnik. Podniósł klapę.

Schody prowadziły do tunelu i suchego ścieku służącego do odprowadzania deszczowej wody. Suslew szedł ostrożnie, oświetlał sobie drogę latarką, którą miał wcześniej przygotowaną na schodach. Tuż nad głową usłyszał

przejeżdżający samochód. Doszedł do drabinki prowadzącej do kantorku dozorca i ruszył do góry.

Roger Crosse nadal słuchał głębokiego oddechu z operą w tle. W furgonetce było ciasno i duszno, wszyscy się pocili. Crosse palił papierosa.

- Wygląda na to, że będzie spał całą noc - stwierdził.

Słyszeli, jak Clinker nuci pod nosem i zamiata potłuczoną szklanę. Na odbiorniku radiowym zaczęło migać czerwone światło. Operator włączył

mikrofon.

- Samochód patrolowy czternaście dwadzieścia trzy, słucham?

- Komenda Główna do nadinspektora Crosse'a. Pilne.

- Mówi Crosse.

- Sir, nadszedł właśnie raport o pożarze w restauracji „Latający Smok”...

- Brian Kwok syknął. - Straż pożarna jest już na miejscu, a konstabl mówi, że zginęło albo utonęło jakieś dwadzieścia osób. Pożar wybuchł w kuchni.

Było kilka wybuchów, zrobiły się dziury i... Chwileczkę, sir, mamy nowy raport...

Czekali. Milczenie przerwał Brian Kwok.

- Dunross?

- Przyjęcie było na samej górze? - zapytał Crosse.

- Tak jest, sir.

- On jest za sprytny, żeby spłonąć albo się utopić - powiedział cicho Crosse. - To było podpalenie czy wypadek?

Brian Kwok milczał.

Znów doleciał ich głos z Komendy Głównej.

- Statek zatonął.

- Nasz agent był na pokładzie?

- Nie. Siedział w samochodzie na nabrzeżu.

- Co się stało z ludźmi z najwyższego pokładu?

- Chwileczkę, zapytam...

Znów cisza. Brian Kwok otarł pot z czoła.

- Podobno jakieś dwadzieścia czy trzydzieści osób skakało, sir. Na nieszczęście trochę za późno,

przed samym zatonięciem. Nie wiadomo, ilu zginęło.

- Proszę poczekać - odezwał się Crosse i zamyślił. Po chwili znów powiedział do mikrofonu: - Natychmiast wysłałam tam nadinspektora Kwoka.

Przyślijcie mu ekipę pletwonurków. Poproście o pomoc marynarkę. Gdyby coś było potrzebne, ja jestem w domu. - Wyłączył mikrofon i zwrócił się do Briana Kwoka.- Pójdę pieszo. Zadzwoń, jak się dowiesz czegoś o Dunros-sie. Jeśli nie żyje, natychmiast jedziemy do banku. Pał diabli konsekwencje. A teraz w drogę.

Wyszedł. Furgonetka zjechała ze wzgórza. Aberdeen znajdowała się bardziej na południe, za pasmem gór. Crosse obejrzał się na Sinclair Towers i Rosę Court. Jeden z jego patroli nadal obserwował wjazd, czekając cierpliwie na powrót Tsu-iana. Gdzie się podział ten łajdak? - poirytowany zadawał sobie ciągle to pytanie.

Pełen niepokoju ruszył w dół. Po chwili spadły na niego pierwsze krople deszczu. Przyspieszył kroku.

Suslew wyjął lodowate piwo z lodówki i otworzył butelkę. Napił się z przyjemnością. Mieszkanie w Sinclair Towers pod numerem 32 było obszerne, czyste, bogato umeblowane, z trzema sypialniami i dużym salonem.

Znajdowało się na dziesiątym piętrze. Na każdym z pięter było troje drzwi do mieszkań, drzwi do klatki schodowej i do dwóch wind. Numer 31 należał do Johna Czena i jego żony. Numer 33 zajmował pan K. V. Lee. Arthur powiedział Suslewowi, że to pseudonim Iana Dunrossa, który zgodnie z tradycją przekazywaną przez przodków ma w całej kolonii kilka prywatnych mieszkań. Suslew nigdy nie spotkał tu ani Johna Czena, ani Dunrossa, choć niejedną raz widział ich na wyścigach i w innych miejscach.

Skoro mamy go przesłuchać, tu będzie najwygodniej, pomyślał. A z pomocą Trawkina...

Nagły powiew wiatru poderwał zasłonę, otworzył okna i Suslew usłyszał

spadające krople deszczu. Dokładnie zamknął okno i wyjrzał na zewnątrz.

Duże krople rozbijały się o szyby. Ulice i dachy były już mokre. Błyskawica przecięła niebo. Potem usłyszał grzmot. Temperatura spadła o kilka stopni.

Będzie burza, pomyślał z zadowoleniem. Cieszył się, że nie jest już w domu Clinkera ani w mieszkaniu Ginny Fu na piątym piętrze bez windy w Mong Kok.

To Arthur wszystko zorganizował: Clinker, Ginny Fu, ten „bezpieczny dom”, tunel. Suslew oczywiście potrafiłby urządzić we Władystoku wszystko tak samo. Clinker był marynarzem, mówił żargonem i darzył sympatią wszystkich kolegów po fachu. Arthur powiedział, że łatwo będzie go

skaptować, zachowując tajemniczość, apelując do jego zawodowej solidarności.

- Ernie niewiele o tobie wie, Gregor. Tyle, że jesteś Rosjaninem i kapitanem na „Iwanowie”. A co do tunelu, to powiedziałem mu, że masz romans z mężatką z Sinclair Towers, z żoną kogoś z kręgu tai-panów. Wyjaśniłem mu, że potrzebne będą te chrapania z taśmy i tajemniczość, bo cholerni peelersi śledzą cię i założyli u niego podsłuch.

- Peelersi?

- Tak się żargonowo nazywa policję. Nazwa pochodzi od Sir Roberta Peela, premiera Anglii, który był założycielem policji. Marynarze nienawidzą peelersów i Ernie z przyjemnością wyprowadzi ich w pole. Opowiadaj się za Królewską Marynarką Wojenną, a będzie ci jadł z ręki.

Suslew uśmiechnął się. Clinker nie jest zły, pomyślał, ale nudny.

Napił się piwa i wrócił do salonu. Na stoliku zauważył popołudniową gazetę. W dodatku do „Guardian” znajdował się krzykliwy nagłówek: *Thum stratował „Wonny Kwiat”*, a pod spodem fotografia z zamieszek. Usiadł w fotelu i przeczytał.

Czujnym uchem wyłowił dźwięk zatrzymywanej windy. Podeszedł do stolika obok drzwi i wyjął automat z tłumikiem. Schował pistolet do kieszeni i wyjrzał przez judasza.

Odezwał się dzwonek. Otworzył drzwi i uśmiechnął się.

- Witajcie, przyjacielu - serdecznie zaprosił Jacques'a deVille'a. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Tak, tak, towarzyszu - powiedział równie serdecznie deVille. Ostatnim razem spotkał Suslewa w Singapurze pięć lat temu. Na tajnym, zaaran-

żowanym przez Arthura spotkaniu, na którym deVille został włączony do siatki Sevrin. Tak samo potajemnie jak za pierwszym razem, kiedy spotkał

się z Suslewem w Lyonie we Francji w czerwcu 1941 roku, na kilka dni przed wkroczeniem Niemców do Związku Radzieckiego, kiedy to jeszcze obydwa kraje pozostawały sprzymierzeńcami. DeVille należał wówczas do partyzantów francuskich, a Suslew był zastępcą komendanta i tajnym komisarzem politycznym na radzieckiej łodzi podwodnej pozornie pełniącej patrol na Atlantyku. Wtedy właśnie zapytano deVille'a, czy nie zechciałby po pokonaniu faszystów wziąć udziału w „prawdziwej walce”, walce przeciwko kapitalistycznemu wrogowi. Oczywiście jako tajny agent.

DeVille zgodził się z największą ochotą.

Suslew skaptował go bez trudu. Ponieważ deVille był przeciwny wojnie, KGB zdradziło go Gestapo, a potem odbiło z niemieckiego więzienia rękami komunistycznych *guerrillas*. Przedstawiono mu później fałszywy dowód, że jeden z przyjaciół zdradził go za pieniądze. DeVille miał wtedy trzydzieści dwa lata i jak wielu innych zaraził się ideami socjalizmu i nie-550

którymi naukami Marksa i Lenina. Nigdy nie wstąpił do Francuskiej Partii Komunistycznej, ale teraz, ze względu na działalność w Sevrin, został mianowany honorowym kapitanem KGB.

- Licho wyglądacie, Frederick - Suslew zwrócił się do niego, używając pseudonimu. - Co się stało?

- Ach, to tylko problemy rodzinne.

- Opowiedzcie.

Suslew uważnie wysłuchał zwierzeń o zięciu i córce. Od spotkania w 1941

roku Suslew był zwierzchnikiem deVille'a. W 1941 roku rozkazał mu wyjechać do Hongkongu i przyłączyć się do Struanów. Przed wojną deVille i jego ojciec posiadali zyskowne przedsiębiorstwo importowo-eksportowe. Ze względów rodzinnych i handlowych przyjęto go w Hongkongu życzliwie.

DeVille miał do wykonania tajne zadanie: zasiąść w radzie, a potem zostać tai-panem.

- A gdzie jest teraz wasza córka? - zapytał ze współczuciem.

DeVille powiedział.

- A kierowca tego drugiego samochodu? - Suslew zanotował w pamięci nazwisko i adres. - Poniesie karę...

- Nie - rzekł natychmiast deVille. - To... To był wypadek. Nie można karać kogoś za wypadek.

- Był pijany. Nic można wybaczyć jazdy po pijanemu. W każdym razie wy jesteście dla nas ważni, a my opiekujemy się swoimi ludźmi. Poniesie karę.

DeVille wiedział, że nie ma co dyskutować. Krople deszczu bombardowały okna.

- *Merde*, ale deszcz dobrze robi. Temperatura już chyba spadła o jakieś pięć stopni. Na tym się skończy?

- Front burzowy ma być bardzo rozległy.

Obserwując spływającą po szybie kroplę, DeVille zastanawiał się, w jakim celu został wezwany.

- Dobrze. Napijcie się wódki? - Suslew podszedł do barku za lustrem. -

Mam bardzo dobrą.

- Tak, poproszę, ale mało.

- Jeśli Dunross odejdzie, ty zostaniesz tai-panem?

- Nie wiadomo. W rachubę wchodzi nas czterech: Gavallan, David MacStruan, ja i Linbar Struan.

- W takiej kolejności?

- Nie wiem. Jednak na pewno na ostatniej pozycji znajduje się Linbar Struan. Dziękuję. - Wziął wódkę. Wspólnie wzniesli toast. - Stawiałbym raczej na Gavallana.

551

- Co to za MacStruan?

- Daleki kuzyn. Obecnie zajmuje się naszą ekspansją w Kanadzie. Chcemy się dostać do zasobów drzewnych, do miedzi i wielu innych kanadyjskich minerałów.

- Dobry jest?

- Bardzo. Jest ostry. Dawniej był lotnikiem. Kiedyś nad Birmą niemalże stracił rękę, gdy zaplątała mu się w linki spadochronu, ale on po prostu odciął

linki i walczył dalej. Dostał za to Krzyż Wojenny. Na miejscu tai-pana wybrałbym jego. - DeVille wzruszył ramionami. - Jednak zgodnie z prawem naszej kompanii następcę wyznacza tylko tai-pan. Może to zrobić nawet wbrew woli ewentualnego następcy. W każdym razie chodzi o umocnienie Noble House.

- Dunross podjął już postanowienie?

- Ian nie jest pochopny w swych decyzjach.

- Jeszcze wódki?

- *No, merci.* Arthur też przyjdzie?

- Tak. W jaki sposób moglibyśmy spowodować, żebyście wy zostali głównym kandydatem?

DeVille zawahał się, a potem wzruszył ramionami. Suslew zrobił sobie drugiego drinka.

- Łatwo będzie usunąć tego MacStruana i innych. - Suslew odwrócił się i popatrzył badawczo na DeVille'a. - Nawet Dunrossa.

- To nie jest dobre rozwiązanie.

- A jakie będzie lepsze?

- Cierpliwie czekać. - DeVille uśmiechnął się, oczy miał zmęczone i podkrążone. - Nie chciałbym, żeby on czy oni zostali wyeliminowani z mojego powodu.

- Przecież żeby ich usunąć, nie trzeba od razu zabijać! - Roześmiał się. - Nie jesteśmy barbarzyńcami. - On powinien stwardnieć, pomyślał. - Opowiedzcie o kontrakcie Struanów z Par-Con i o tym Bartlecie.

DeVille przekazał wszystkie informacje, jakie posiadał.

- Pieniądze Bartletta zapewnią nam to, czego potrzebujemy.

- Czy Gorntowi może się udać przejęcie?

- I tak, i nie. To twarde i szczerze nas nienawidzi. Od dawna jest naszym rywalem...

- Tak, wiem. - Suslewa zaskoczyło, że deVille podaje dane, które on już zna. To zły znak, pomyślał i spojrzął na zegarek. - Nasz przyjaciel spóźnia się już dwadzieścia pięć minut. To nie w jego zwyczaju. - Obydwaj byli zbyt dobrzy w swoim fachu, żeby się martwić. Spotkań takich jak te nigdy nie dało się dokładnie ustalić, ponieważ nikt nie potrafi przewidzieć, co może wyniknąć.

552

- Słyszeliście o pożarze w Aberdeen? - zapytał nagle deVille.

- Jakim pożarze?

- Zanim wszedłem tutaj, słyszałem w radiu. - DeVille mieszkał tu wraz z żoną na szóstym piętrze. - Spłonęła restauracja „Latający Smok”. Może był w niej Arthur?

- Widziałeś go?

- Nie, ale bez trudu mogłem go przeoczyć. Poza tym wyszedłem przed kolacją.

Suslew w zamyśleniu napił się wódki.

- Czy mówił wam, kto jeszcze jest w Sevrin?

- Nie. Pytałem, jak kazaliście, ale on nigdy...

- Kazałem? Towarzyszu, ja nic nie każę. Ja tylko sugeruję.

- Naturalnie. Powiedział tylko, że muszą się spotkać w trybie nadzwyczajnym.

- Wkrótce wszystkiego się dowiemy. On musi być ostrożny.

Suslew chciał wypróbować Arthura i deVille'a. Jedną z naczelnych zasad KGB

było nieufanie swoim wywiadowcom, nawet tym najważniejszym. Przypomniał

sobie, jak instruktor wbijał mu do głowy sentencję Sun Tzu ze *Sztuki wojennej*, którą obowiązkowo czytali wszyscy rosyjscy żołnierze: „Istnieje pięć rodzajów szpiegów: miejscowi, wewnętrzni, nawróceni, z przeznaczeniem i ci, którzy przeżyli. Jeśli wszyscy działają ze sobą w zgodzie, państwo jest bezpieczne, a armia niezwyciężona. Miejscowi szpiegowie to ci, którzy są mieszkańcami danego terenu.

Szpiegowie wewnętrzni są wysłannikami wroga. Szpiegowie nawróceni to szpiegowie wroga po przejściu na

naszą stronę. Ci z przeznaczeniem mają fałszywe informacje, które ma od nich po torturach wyciągnąć wróg. A ci, którzy przeżyli, przynoszą informacje z obozu wroga. W całej armii oni muszą być wynagradzani najlepiej.

Jednak jeśli szpieg wyjawia choć część informacji, należy go zabić, tak samo jak osobę, której ją przekazał".

Jeśli inne raporty Alana Medforda są takie same jak ten odkryty, pomyślał bez emocji Suslew, to Dunross jest szpiegiem z przeznaczeniem.

Spojrzał badawczo na deVille'a. Lubił go i cieszył się, że znów pomyślnie przeszedł test, tak samo zresztą jak Arthur. Przyszedł mu na myśl ostatni akapit *Sztuki wojennej* Sun Tzu, tej maleńkiej książeczki znanej niektórym członkom radzieckich elit na pamięć: „Jedynie najbardziej oświecony władca i mądry generał

wykorzystują jako szpiegów najinteligentniejszych ludzi. Wywiadowcy są najważniejsi na wojnie, ponieważ od nich zależą posunięcia armii".

I KGB o tym wie, pomyślał z zadowoleniem. Wyszukujemy najbardziej utalentowanych ludzi. My jesteśmy elitą i potrzebujemy szpiegów wszystkich pięciu kategorii. Potrzebujemy i Jacques'a, i Arthura i innych.

553

Tak, bardzo ich potrzebujemy.

- Arthur nigdy nie wspomniał, kim są inni.

- Musimy być cierpliwi - powiedział Suslew. Poczul ulgę, dowiedziawszy się, że Arthur zachowuje należytą ostrożność. Zgodnie z planem żaden z siedmiu członków Sevrin nie znał drugiego i żaden nie wiedział, że zwierzchnikiem Arthura jest Suslew. Suslew znał tożsamość każdego ze szpiegów siatki Sevrin.

Przez wiele lat dobierał ich z Arthurem, cały czas poddawał testom, sprawdzał

lojalność, jednych eliminował, innych zastępował. Zawsze należy sprawdzać szpiega, żeby móc go usunąć lub unieszkodliwić, zanim on usunie i unieszkodliwi ciebie. Sprawdzam nawet Ginny Fu, myślał, a ona nie jest ani szpiegiem, ani nic nie wie. Pewnym można być tylko siebie, tego uczy sowiecki system. Tak, muszę zabrać ją na obiecaną wycieczkę. W przyszłym tygodniu na krótko do Władywostoku. Tam zostanie oczyszczona, zrehabilitowana i stanie się użyteczna, a tu już nie powróci.

Napił się wódki, potrzymał szczypiący napój na języku.

- Damy Arthurowi pół godziny - powiedział, ruszając w stronę fotela.

DeVille podniósł gazetę.

- Czytaliście o szturmach na banki? Suslew

ukłonił się.

- Tak, towarzyszu. To wspaniałe.

- KGB maczało w tym palce?

- Ja nic o tym nie wiem. Jeśli tak, to żeby ktoś mógł się wybić. - Doktryna leninizmu zakładała ścisłą kontrolę nad zachodnimi bankami będącymi podstawą potęgi Zachodu. Ich infiltrację, osłabianie zachodnich walut, a jednocześnie pożyczanie jak najwięcej pieniędzy na jak najdłuższe okresy i nie zważając na koszty, regularne ich spłacanie, aby dowieść, iż Rosjanie spłacają swoje długi w terminie. - Krach Ho-Pak na pewno pociągnie za sobą inne.

Może nawet Victorii, czytaliście?

DeVille wzdrygnął się mimo woli, a Suslew zauważył to.

- *Merde*, to zniszczyłoby cały Hongkong - zasepił się deVille. - Och, wiem, że im wcześniej, tym lepiej, ale... Ale będąc w tak głębokiej konspiracji, czasami zapomina się, kim się naprawdę jest.

- Nie martwcie się. Każdemu się to zdarza. Macie problemy z córką. Który ojciec nie byłby wtedy podenerwowany? To minie.

- Kiedy będę mógł coś zrobić? Już się zmęczyłem tym czekaniem.

- Niedługo. Posłuchaj - powiedział pokrzepiająco Suslew - w styczniu byłem na zebraniu w Moskwie. Bankowość wymienialiśmy na pierwszym miejscu.

Według naszych obliczeń jesteśmy winni kapitalistycznym bankom, głównie amerykańskim, trzydzieści miliardów.

DeVille nie krył zdziwienia.

554

- Madonna, nie wiedziałem, że ta akcja powiedzie się aż do tego stopnia. Suslew uśmiechnął się szeroko.

-1 to sama Rosja. Nasze państwa satelitarne mają następne sześć miliardów trzysta milionów. Wschodnie Niemcy dostały kolejny miliard trzysta milionów na kupienie kapitalistycznej technologii komputerowej i innych potrzebnych nam rzeczy. - Roześmiał się, wypijając do końca wódkę. - Naprawdę nie rozumiem tych kapitalistów. Żyją złudzeniami. Otwarcie ich pochłaniamy, a oni nam na to pozwalają. Zdziwiający. Po pewnym czasie, po dwudziestu, najwyżej dwudziestu, latach nasz dług wzrośnie do sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu miliardów, a ponieważ nigdy nie zalegamy z płatnościami, nie będziemy klientami ryzykownymi. - Wybuchnął śmiechem. - Jak to mówił ten szwajcarski bankier?

„Pożycz komuś trochę pieniędzy, a będziesz miał dłużnika, pożycz dużą sumę, a zyskasz współnika”. Jacques, siedemdziesiąt miliardów, w naszych rękach... ech.

Z tymi pieniędzmi możemy podporządkować sobie całą ich policję, a potem rozpocząć ostateczną rozgrywkę. „Przepraszam, panie Kapitalistyczny Syjoni-styczny Bankierze, przykro nam, ale zbankrutowaliśmy! Niestety, nie możemy już spłacać długów, nawet odsetek. Zawiadamiamy, że od tej chwili mamy nową walutę. Nasze nowe pieniądze to czerwone ruble warte sto dolarów jeden”...

Suslew znów zaniósł się śmiechem, czuł się szczęśliwy.

- ...A wtedy banki, żeby nie wiem jak działały, nie wyciągną od nas siedemdziesięciu miliardów. Nigdy. Siedemdziesiąt plus pieniądze z całego bloku wschodniego! To doprowadzi do recesji, a bankierzy pochylą przed nami te swoje żydowskie nosy i zaczną nas błagać, żeby ratować ich skórę.

Te głupie łajdaki zasługują na upadek! Po co mamy z nimi walczyć, jak oni sana tyle durni, żeby się sami załatwić!

DeVille niepewnie pokiwał głową. Suslew przerażał go. Chyba się starzeję, pomyślał. W dawnych czasach łatwo było wierzyć w sprawy ludu. Krzyk uciskanych był wtedy tak wyraźny i tak łatwo słyszalny. A teraz? Teraz już nie. Ale nadal jestem po ich stronie. Niczego nie żałuję. Francja powinna być komunistyczna.

Czy będzie?

Już nic nie wiem na pewno, nie tak jak dawniej. Szkoda, że muszą być jakieś

„izmy”, myślał, starając się nie okazywać złości. Lepiej, gdyby ich nie było, a Côte d'Azur błyszczało w słońcu.

- Mówię ci, przyjacielu, Stalin i Beria byli geniuszami. Największymi Rosjanami w historii.

DeVille'owi udało się nie okazywać zaszokowania. Pamiętał horror niemieckiej okupacji, wyniszczenie całej Francji, winnic, wiosek i miasteczek.

555

Pamiętał, że Hitler nie ośmieliłby się napaść na Polskę bez uprzednich negocjacji ze Stalinem. Bez Stalina nie rozpoczęłaby się wojna, nie byłoby holokaustu.

- A co z dwudziestoma milionami Rosjan i niezliczoną rzeszą innych?

- Niewielkie koszta - Suslew znów nalał sobie wódki. - Dzięki Stalinowi i Berii mamy całą Europę Wschodnią od Bałtyku aż po Bałkany. Estonię, Litwę, Łotwę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię, całą Polskę, Prusy, połowę Niemiec i jeszcze Mongolię. - Czknął zadowolony. - Koreę Północną i wpływy na całym świecie. Operacja Lew zmiotła z powierzchni ziemi Imperium Brytyjskie. Narody Zjednoczone dały nam najmocniejszą broń ze wszystkich możliwych. Dalej mamy Izrael. Mój ojciec zajmował się tym programem.

DeVille poczuł, jak po krzyżu przebiegają mu ciarki.

- Co takiego?

- Izrael to ogromne osiągnięcie Stalina i Berii. Kto pomógł w powstaniu i rozwoju Izraela? Kto natychmiast go uznał? My! A dlaczego? - Suslew czknął. - Aby zaszcześcić w Arabii raka, który skłóci i osłabi obie strony.

Potem razem z nimi zniszczymy zachodni przemysł. Żydzi są przeciwnikami muzułmanów, a ci przeciwnikami chrześcijan. Ci fanatycy nigdy nie utrzymają pokoju, choćby nawet nic ich to nie kosztowało. Nigdy nie wyzbęda się wzajemnej nienawiści, choćby mieli stracić życie. - Roześmiał się i spojrział

na szklaneczkę. DeVille poczuł do Suslewa nienawiść. Chciał wcisnąć mu kłamstwo z powrotem do gardła, jednak bał się, znając siłę Suslewa. Kiedyś przed kilku laty przeszkodził w wysłaniu do skrzynki pocztowej w Berlinie jakichś liczb dotyczących Struanów. Następnego dnia zadzwonił do niego ktoś obcy. Takich telefonów nie miewał nigdy przedtem. Obcy rozmawiał

miło, ale DeVille wiedział, co się za tym kryje.

Suslew patrzył na DeVille'a, a ten powstrzymał się od okazania prawdziwych uczuć, starał się panować nad wyrazem twarzy, by żadnym grymasem nie wzbudzić podejrzeń.

- Zgadza się ze mną, towarzyszu? - powiedział agent KGB. - Ja nigdy nie zrozumieję tych kapitalistów. Robią sobie wrogów z Arabów, którzy posiadają największe na świecie zasoby tak potrzebnej ropy. Wkrótce do nas będzie należała Zatoka Perska, Iran i cieśnina Ormuz. Wtedy w naszym ręku znajdą się zasoby zachodniego paliwa i nie będzie potrzebna żadna wojna, tylko egzekucja. - Wypił wódkę i wlał następną.

DeVille obserwował go ze wstrętem. Zastanawiał się nad pełnioną przez siebie funkcją. Czy to możliwe, żebym ja był niemalże doskonałym szpiegiem od szesnastu lat, pozostającym w ciągłej gotowości i nie budzącym cienia podejrzeń? Nawet Susanne niczego się nie domyśla, a każdy ma mnie za antykomunistę sprzyjającego Struanom, uważanym za najbardziej 556

kapitalistyczny twór w całej Azji. Przepelnia nas pragnienie Dirka Struana.

Zysk. Zysk dla tai-pana, dla Noble House i dopiero zysk dla Hongkongu, a do diabła z Koroną, Anglią i Chinami. Jeśli nawet nie zostanę tai-panem, to i tak sprawię, żeby Sevrin doprowadził do zniszczenia Chin, jak tego pragnie Suslew i Arthur. Ale czy ja też tego chcę? Teraz, gdy po raz pierwszy naprawdę dostrzegłem całą tę ich potworność i hipokryzję?

- Stalin - rzucił, niemal skręcając się pod spojrzeniem Suslewa. - Czy...

czy spotkaliście go kiedyś?

- Raz byłem przy nim. W odległości kilku stóp. Był drobny, ale czuło się jego siłę i moc. W pięćdziesiątym trzecim roku Beria wydał przyjęcie dla starszych oficerów KGB. Zaproszono mojego

ojca, a mnie pozwolono przyjść z nim. - Suslew wypił wódkę, porwała go przeszłość i pełen zaangażowania udział jego rodziny. - Na przyjęciu był Stalin, Beria, Malen-kow...

Wiedzieliście, że Stalin naprawdę nazywał się Josif Wissarionowicz Dżugaszwili? Był synem szewca z Tbilisi, stamtąd, skąd pochodzę, i miał

zostać kapłanem, ale opuścił seminarium. Dziwne to wszystko, dziwne!

Stuknęli się kieliszkami.

- Nie musicie być smutni, towarzyszu - odezwał się, źle odczytawszy nastrój deVille'a. -Chociaż macie osobiste problemy, jesteście częścią przyszłości, bierzecie udział w marszu ku zwycięstwu! - Suslew przechylił swój kieliszek. - Stalin musiał umrzeć szczęśliwy. My też powinniśmy być szczęśliwi, no nie?

- A Beria?

- On za późno zabrał się za przejmowanie władzy. Przegrał. My w KGB

jesteśmy jak Japończycy, uważamy, że można tylko raz popełnić grzech porażki. Za to Stalin... Mój ojciec opowiadał historię, jak podczas spotkania w Jałcie Roosevelt zgodził się oddać Stalinowi Mandżurię i Kuryle, gwarantujące naszą dominację na chińskich, japońskich i wszystkich azjatyckich wodach, wtedy Stalin dostał podczas śmiechu ataku serca i prawie umarł.

- A Sołżenicyn i gułagi? - zapytał po chwili deVille.

- Prowadzimy wojnę, przyjacielu, więc zawsze znajdą się zdrajcy. Garstka ludzi nie może rządzić masami, nie stosując terroru. Stalin o tym wiedział. Był

naprawdę wielki. Nawet jego śmierć przysłużyła się nam. Sprytnie ze strony Chruszczowa, że wykorzystując tę śmierć, „zhumanizował” ZSRR.

- Czyżby kolejna intryga? - zapytał deVille.

- To tajemnica państwowa - Suslew powstrzymał się od czknięcia. - To nic. A co z Ottawą?

- O, kontaktowałem się z Jeanem-Charles'em... - Nagle zadzwonił ten telefon. Pojedynczy sygnał. Obydwaj spojrzeli na aparat. Niemal powstrzy mali oddech. Po dwudziestu sekundach kolejny pojedynczy dźwięk. Oby-557

dwaj trochę się rozluźnili. Po kolejnych dwudziestu sekundach telefon zaczął

dzwonić ciągle. Jeden dzwonek oznaczał „Niebezpieczeństwo, wychodzić natychmiast”. Dwa, że spotkanie odwołane. Trzy - ktokolwiek dzwoni, wkrótce się tu zjawi. Za trzecim razem ciągle - można rozmawiać spokojnie. Suslew podniósł

słuchawkę. Usłyszał oddech, a potem wypowiedziane z dziwnym akcentem pytanie Arthura.

- Czy zastałem pana Lop-sing?

- Nie ma pana Lop-ting, to pomyłka - odpowiedział Suslew zmienionym głosem, koncentrował się z wysiłkiem.

Uważnie wypowiedzieli całe hasło. Wszelkie wątpliwości Suslewa rozwiązał suchy kaszel Arthura.

- Nie mogę przyjść dzisiaj na spotkanie - odezwał się Arthur. - Czy będzie odpowiadać piątek o trzeciej? - Piątek oznaczał czwartek, środa wtorek i tak dalej. Godzina trzecia wyznaczała miejsce spotkania: Szczęś liwa Dolina, poranny trening. Jutro o świcie.

-Tak.

Połączenie zostało przerwane.